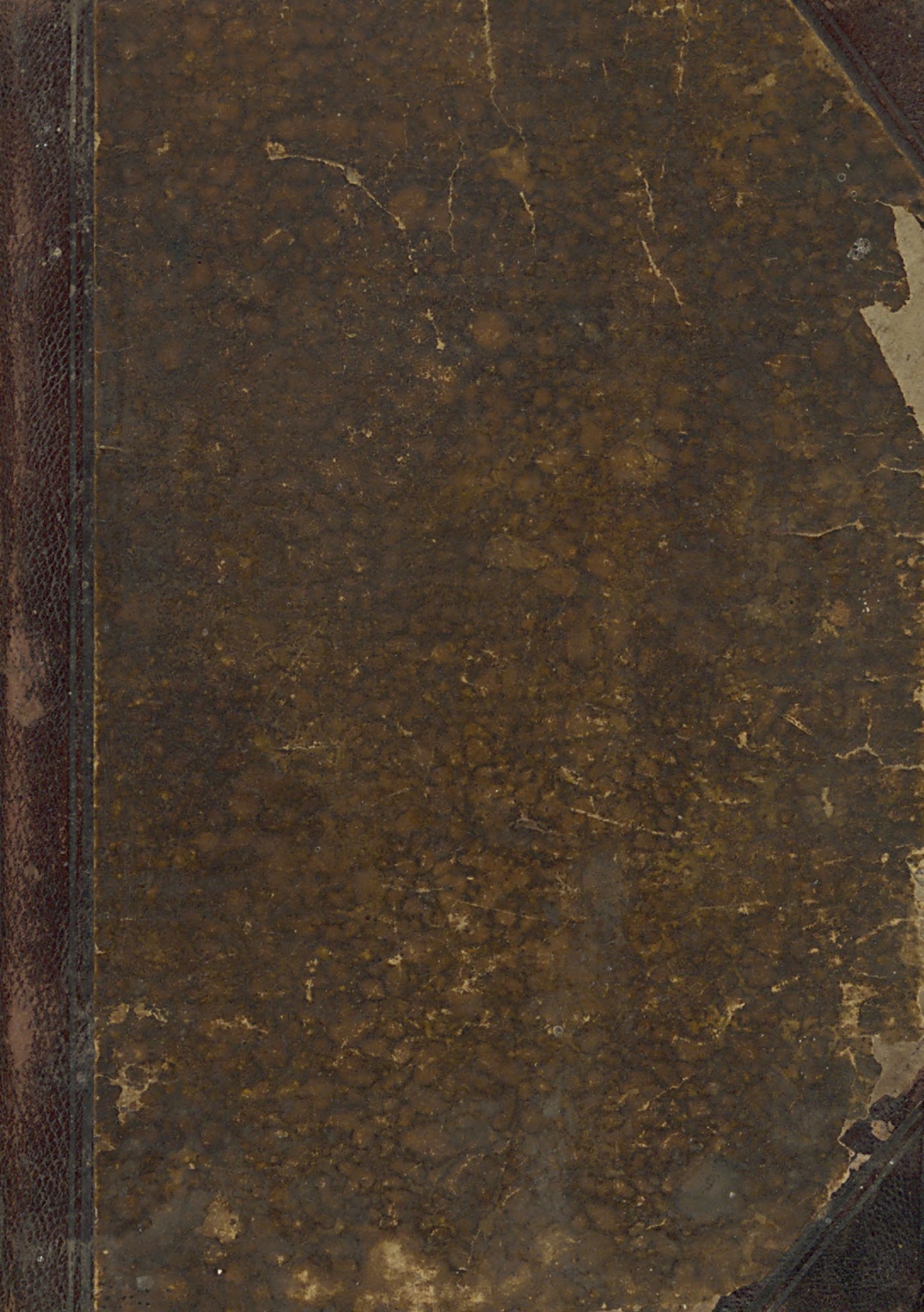


BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów“).
1888.

J. J. KRASZEWSKI.

WYBÓR PISM.

ODDZIAŁ V.

POWIEŚCI Z CZASÓW SASKICH

poprzedzone wstępem krytycznym

PRZEZ

Piotra Chmielowskiego.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat Nr. 41 (nowy).
1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава 30 Марта 1888 г.

WSTĘP.

(Powieści Kraszewskiego z czasów saskich).

Czasami saskiemi zajął się Kraszewski dopiéro wówczas, gdy go losy zmusiły osiąść w stolicy Saksonii, w Dreźnie.

Poprzednio ubocznie tylko i przygodnie dotykał stosunków naszych za Augusta III.

I tak we „Wspomnieniu o Franciszce Krasińskiéj" (r. 1856 w *Gazecie Codziennéj*) podawał dla zobrazowania życia téj pani dosyć dużo dokumentów, listów Franciszki, Stanisława Krasińskiego, Lubomirskiéj (wojewodziny lubelskiéj), prymasa Łubieńskiego, a najwięcéj biskupa krakowskiego Sołtyka, który zupełnie był dworowi saskiemu oddany i kroku nie postąpił bez wskazówek zgóry „czekając rezolucyi *quid me vultis facere*" (co chcecie, żebym zrobił). Prócz tego wzmiankował o sławnym doktorze Morellim, którego za wyrocznię poczytywano, o doktorze żydzie, o przejeździe posła hiszpańskiego Arandy, o śmierci Brühlowéj, hetmana Branickiego, Stanisława Krasińskiego. Uwag własnych udzielał bardzo mało, posługiwał się niemi tylko do spojenia ze sobą różnorodnych materyałów.

Potém w „Starościnie bełskiéj" (r. 1857 również w *Gazecie Codziennéj*), przedstawiając szereg dokumentów rozjaśniających głośną sprawę Gertrudy Komorowskiéj, pierwszéj żony Szczęsnego Potockiego, poprzedził go Kraszewski zarysem dziejów rodziny Potockich, nakreślił wizerunek dumnego królika Rusi Franciszka Salezego Potockiego, jego żony kapryśnéj i popędliwéj, jego syna słabego, lekkomyślnego, mało ukształconego, jego córki Maryi, wydanéj przymusowo za Aloizego Brühla, starostę warszawskiego, pijara Wolfa wychowawcy Szczęsnego, Sierakowskiego, Terleckiéj i wogóle całego dworu pańskiego; — a obok tego szkicowo wspo-

mniał o Komorowskich, przywodząc intercyzę przedślubną przyszłych rodziców Gertrudy. I tu również niewiele autor wypowiedział sam od siebie, poprzestając na roli komentatora dokumentów.

Osiedlenie się w Dreźnie, poznanie samego miasta, tyle pamiątek zawierającego i tyle nawoływującego do duszy wspomnień o wspólnych niegdyś losach Saksonii i Polski, rozejrzenie się w pięknych widokach Saskiej Szwajcaryi, wczytanie się w dzieła traktujące o Auguście II i III, oraz w dokumenty archiwalne, między innemi w listy wszechwładnego ministra Henryka Brühla, które zebrał i nawet do druku przygotował Kraszewski, podziałało silnie na wrażliwy wielce umysł naszego powieściopisarza i pobudziło go do podjęcia pracy około powieściowego odtworzenia przeszłości z okresu panowania Sasów. Z jednéj strony otoczenie, z drugiéj materyały historyczne skłaniały go do zwrócenia swego talentu w tym kierunku.

Nie odrazu jednakże zabrał się do téj roboty. Osiadł w Dreźnie r. 1863, a pierwsza jego powieść na tle czasów saskich rozwinięta, pojawiła się dopiéro w 1871; osiem lat zatém ubiegło, zanim nowa dziedzina pomysłów stała się dla twórcy o tyle ponętną, że ją w całym szeregu powieści eksploatować na rzecz artyzmu zaczął. Te osiem lat zbyt dużo nastręczały mu sposobności do zajmowania się sprawami bieżącemi, wypadkami najnowszemi, usposobieniem i stanem narodu po strasznéj katastrofie, ażeby mógł swobodnie myślą w czasy ubiegłe, a mniéj mu znane niż np. Stanisławowskie uciekać. Dopiéro, gdy publicystyczna działalność nieco znużyła niestrudzonego pracownika; gdy zajmowanie się „Rachunkami“ z życia współczesnego wywoływało namiętne ze strony obozu zachowawczego napaści i gdy wydawnictwo czasopisma „Tydzień“ nie szło mu tak, jak się spodziewał, a więc nie mogło oddziaływać według życzenia redaktora na ogół czytający w roztrząsaniu ważnych spraw politycznych i religijnych:—wycofał się Kraszewski z pola rozpraw codziennych, zaprzestał kreślenia „obrazków współczesnych rysowanych z natury“, w których najświeższe objawy życia politycznego odtwarzał, i zajął się malowidłami z czasów saskich, nie mogącemi budzić namiętności politycznych.

Miał już o nich sąd wyrobiony, nie różniący się zresztą od poglądów powszechnie w historyografii naszéj panujących; poczytywał je za okres najsmutniejszy w dziejach naszych zarówno pod względem politycznym jak i moralnym; co do sposobu przedstawiania jednak szczegółów i w kompozycyi całości nie posiadał ustalonéj od początku metody; owszem w przeciągu lat kilkunastu, w których pisał owe powieści saskie, zmieniał go trzykrotnie.

I.

(Bratanki.—Herod-baba).

Pierwszą powieścią Kraszewskiego z czasów saskich są „Bratanki“ [1]).

W czasie, kiedy ją pisał (około r. 1870), nadzwyczaj się interesowano zarówno w Europie jak i u nas powieściami kryminalnemi. Gaboriau stał u szczytu swego rozgłosu. Tajemnicze morderstwa, wykradzenia, nadzwyczajne nagromadzenie przygód wstrząsających wyobraźnię, ukryte lochy, przebierania się ludzi, ucieczki i pogonie, śledztwa i ich mylenie, ukaranie zbrodniarza w sposób efektowny, uczucia nadmiernie wytężone i gwałtowne były najulubieńszemi tematami u tych, którzy chcieli poczytność pozyskać.

Kraszewski, nigdy dawniéj nie próbujący nawet przeprowadzenia w powieściach jakiéjś zawiłéj intrygi, lecz owszem starający się zawsze odtwarzać najwierniéj zwykły, dość jednostajny bieg wypadków naszego życia powszedniego, uległ wpływowi tego dość silnego, choć krótkotrwałego zwrotu w piśmiennictwie ogólném, zwłaszcza że zwrot ten i u nas, jak powiedziałem, miał wielu zwolenników, co się uwydatniało w obfitém tłómaczeniu powieści Gaboriau, Ponson du Terrail'a i innych pisarzy podobnego kierunku. Jakkolwiek wyobraźnia Kraszewskiego wcale w téj mierze nie była ani uzdolnioną, ani wyćwiczoną, posłuszna jednak zamiarowi autora, który miał sobie za obowiązek odzwierciadlać zamiłowania i chwilowe nawet upodobania społeczeństwa swego, musiała się nagiąć do tworzenia i kombinowania przygód nadzwyczajnych z pominięciem nawet tych właściwości, jakie do owéj pory stałemi były cechami jéj utworów, tj. starannego rysunku postaci zewnętrznéj i charakterów osób, wyprowadzanych na widownię powieściową. Już tu nie chodziło o wierne i szczegółowe odmalowanie stosunków rzeczywistych pospolicie wśród społeczeństwa panujących, ale o postawienie bohatera i bohaterki w sytuacyach i kollizyach, pełnych zawikłania lub grozy. Naturalnie,

---

[1]) Wyszła w „Kłosach“ z r. 1871 i 1872. W formie książkowej wydała ją księgarnia Gebethnera i Wolffa dopiero w 1880 (Warszawa, 2 tomy, str. 228 i 211).

że przyrodzony talent powieściopisarza, pomimo zgóry nawet postawionego programu, przebić się musiał w utworach—i to co było lekko traktowane, stanowiło pospolicie największą ich zaletę, gdy przeciwnie to, o co się autor głównie ubiegał, tj. zaciekawienie czytelnika i rozbujanie jego wyobraźni przez szereg przygód bywało dość ułomnie przeprowadzone. Umiejętności wikłania intrygi z zachowaniem prawdopodobieństwa, oraz zdolności do wynajdowania coraz to nowych i oryginalnych kombinacyj Kraszewski zdobyć sobie nie potrafił; to też „awanturniczym" rodzajem powieści zajmował się niedługo i porzucił go jako nieodpowiedni swemu naturalnemu usposobieniu.

„Bratanki" należą właśnie do tego szeregu powieści wysnutych z przygód i opowiadaniu ich poświęconych. Dzieje nienawiści w rodzinie, posuwającej się aż do zbrodni, są jéj motywem zasadniczym, tak jak dawniejszych z r. 1865 i 1867 „Żeligi" i „Ongi", oraz późniejszéj z r. 1876 „Sekretu pana Czuryły".

Występuje tu rodzina Zagłobów, któréj nazwisko miało być następnie tak szeroko rozsławione przez Sienkiewicza. Piekielna przepaść niezgody dzieli dwu bratanków: Wita i Piotra. Pierwszy, sierota przyjęty do domu rodziców Piotra z całą serdecznością i miłością, wychowywany narówni ze swym bratem stryjecznym, kochany przez wszystkich, siłą wrodzonego temperamentu odpychał od siebie wszelkie dobre pierwiastki, żywiąc w duszy myśli przewrotne. Żywy i porywczy jak Piotr, do którego zbliżało go nadzwyczajne podobieństwo rysów, złośliwy był, zazdrośny, milczący często, nieufny, podejrzliwy i nieprzezwyciężony żadnem wznioślejszém uczuciem samolub. Piotr miał w charakterze coś rycerskiego, „szlachetnego, a dziwnie ku wszelkiemu dobru skłonnego"; kochał Wita bardzo, obraniał, zasłaniał, poświęcał się nieraz dla niego, ojca przebłagać się starał, a winy bratanka zakrywać. „Żyli z sobą w najściślejszéj przyjaźni związku, a Piotr rachując go za brata, wszystkiém się z Witem dzielił i nic miéć sam nie chciał, czegoby tamtemu téż dać nie mógł. Im bardziéj dorastali, tém różnica ich charakterów nawet już w wyrazie twarzy widoczniejszą się stawała. Były to rysy jedne, ale najmniéj już do siebie podobne. Na czole Piotra wiekuista panowała pogoda, na obliczu Wita ponura jakaś troska. Śmiały się usta pierwszego, drugiego krzywiły szydersko. Piotr był jak anioł dobry, uczynny i serdeczny; Wit nie miał większéj przyjemności nad znęcanie się, szyderstwo i dopiekanie drugim. Ambicya przytém duszę mu przejadała; o niczém nie mówił, nie myślał, tylko o tém, że musi posiąść bogactwa, honory i wznieść się o własnéj sile, a złamać losy, które go dotknęły. Tymczasem nie czynił nic, aby do tego celu najprostszą dojść drogą pracy. Gdy przychodziło coś przedsiębrać, co wymagało czasu i ofiar, zwłóczył, rozbierał, roztrząsał i odrzucał jedno, by wyczekiwać na drugie niepewne—a choćby tamto przyszło, wołał czekać na inne szczęście, nadewszystko łatwe i prędkie. Duch był rozleniwiały i zazdrosny; patrząc na to, że Piotr wszystko miał z pracy ojca, prawie niewinnemu rodzicowi swemu złorzeczył, iż go tak nagiego odumarł". W czasie walki o koronę pomiędzy Leszczyńskim a Augustem obaj służyli z początku Piastowi, ale niebawem Wit przeszedł do Sasów, porobił stosunki, zjednał sobie łaski u króla i miał obietnice wielkiéj krescytywy. Po uspokojeniu się kraju, Piotr wypuścił bratankowi folwark, aby sobie na nim gospodarzył. Miłość obopólna ku jednéj kobiecie, Maryi, kasztelance wiskiéj, stała się dla Wita pobudką do szeregu zbrodni. Marya była przez układy familijne przeznaczona za żonę dalekiemu krewnemu tegoż samego imienia, ledwie czytać i pisać umiejącemu, bez żadnéj ogłady. Wit zaprzyjaźnił się z nim i raz wracając z hulanki w miasteczku pokłócił się o guzik u ferezyi; przyszło do pojedynku. Wit inaczéj bić się nie chciał, tylko konno na pistolety, będąc siebie pewny, bo był trzeźwy i doskonale strzelał; jakoż w pierwszém spotkaniu, ugodziwszy w samo czoło, trupem położył narzeczonego Maryi. Rodzina zabitego, choć uboga, poszukiwała swéj krzywdy; Wit więcéj niż rok na Węgrzech bawić musiał, dopóki pieniędzmi Piotra nie zagodził sprawy. W ciągu tego czasu Marya, która kochała Piotra, będąc teraz wolną, oddała mu rękę. Wit wróciwszy, był wściekły, ale się hamował i serdeczność wielką dla bratanka udawać zaczął; a w duszy przemyśliwał tylko nad tém, jakby go zgubić i nad żoną jego a majątkiem zapanować. Polowanie na „dzikich polach", ułożone przezeń umiejętnie, dało mu sposobność potemu: Piotra zabił — tak mu się przynajmniéj zdawało — i cel pragnień swoich osiągnął. Nie zaznał atoli szczęścia, bo Marya, smutna, zbiedzona, która tylko dla ochronienia życia dziecka zrobiła z siebie poświęcenie wychodząc za Wita, nie miała dla niego uśmiechu miłości, tylko spojrzenie pogardy.

Po latach kilku strasznego pożycia, w którém jedna strona była zrezygnowaną ofiarą, a druga — nienasyconym i wyszukanym w okrucieństwie tyranem, zjawił się Piotr, uratowany szczególnym trafem, doznawszy wielu bolesnych przygód.

Postępowanie jego z Witem nie zostało przez autora należycie umotywowaném. Zdawałoby się rzeczą najprostszą, iż winien był jawnie wystąpić z żądaniem zwrotu żony i majątku; ale Piotr nie robi tego, gdyż nie chce zniesławiać imienia, które ma z bratankiem spólne. Mógł to zrobić pocichu, bez wywoływania zgorszenia,

ale... w takim razie nie byłoby szeregu tajemniczych przygód, które autor obmyślił. Piotr przesiaduje ukryty u pasiecznika Panasa, przychodzi niewiadomo poco do karczmy, podkrada się pod okna dawnéj swéj żony, budzi tym sposobem podejrzliwość Wita, który Panasa kazał zamknąć w lochu swemu totumfackiemu Welderowi; Panas jednak zamknął Weldera a sam uciekł, ażeby już w powieści nie odegrać żadnéj ważniejszéj roli... Wit w obawie poszukiwań wywozi żonę, w drodze spotyka się z Piotrem, następuje bójka, w któréj Wit pokonany już się spowiada na śmierć, skazany doraźnie przez porywczego Piotra, ale gdy księdzu przyrzekł i przysiągł, że złego życia zaprzestanie, został przezeń wypuszczony na wolność. Naturalnie o dotrzymaniu przysięgi ani myśli, drwi potém z poczciwego księdza, wymusza od niego konie, na brata nasadza szajkę rozbójników pod dowództwem Neligi; sam zaś uwozi żonę wraz z dzieckiem do Drezna.

Piotr zdołał uchronić się od zasadzki i pogonił za Witem do Saksonii; ale tu bardzo długo najrozmaitszych musiał używać sposobów, ażeby się dowiedzieć, gdzie żona jego wraz z dzieckiem została ukryta. Gdy był już na tropie, zabiegi Wita sprawiły, że i on i jego przyjaciel a pomocnik Feliks Wereszczaka, chociaż był w łaskach u córki królewskiéj hrabiny Anny Orzelskiéj, znaleźli się w twierdzy Königsteinu. Usilne dopiéro staranie kasztelana Niemiry, hr. Orzelskiéj i kamerlokaja Brühla sprowadziły pomyślne rozwiązanie.

Na jedném z polowań królewskich, na które kasztelan Niemira umyślnie i nagląco był zaproszony, ujrzał on Wita, jak z koniem swym sztuki wyprawiał i zdumieniem najlepszych kawalkatorów napełniał. Zżymał się w duszy, że na takie zaproszono go widowisko, gdy wtém drogą od Moritzburga ukazało się kilku jeźdźców, jakby opóźnionych. Kasztelan zdala po strojach poznał ziomków, a po rzędach konie królewskie. W miarę jak się zbliżać zaczęli... w oczach mu się zamgliło... Przodem jechał ogorzały, słusznego wzrostu mężczyzna, ubrany bardzo skromnie, czarno, przypominający twarzą Wita Zagłobę; obok niego ktoś podobniuteńki do Wereszczaki... W chwili gdy przybywający zsiadali z koni, Wit postrzegł ich także. Oczy mu prawie z powiek zrazu wyskoczyć chciały, przerażenie odmalowało się straszliwe na twarzy zmienionéj; drgnął, potém chciał się jakby rzucić w bok, aby tego widoku uniknąć, czy od widma uciekać; lecz na pierwsze jego drgnięcie, stojący tuż hajducy, którym znak dano, pochwycili go z obu stron za ręce i choć się wyrywać usiłował jak oszalały, złamanego utrzymali. Działo się to w obecności króla Augusta II, hr. Orzelskiéj i całéj świty dworskiéj. W pierwszéj chwili kilka

osób z otoczenia Augusta otoczyło, jakby chcąc stanąć w obronie, Wita, lecz poszeptawszy z sobą, popatrzywszy na króla, dali pokój. Rozpoczęło się polowanie, poszło nader szczęśliwie i pomnożyło szacowny zbiór mnóstwa rogów olbrzymich, który zdobi pałac moritzburski. Gdy król wracał, Piotr Zagłoba, Wereszczaka i Niemira stanęli szeregiem. August zbliżył się do pierwszego z nich, stanął, wyciągnął do niego rękę i rzekł po francusku:

— Szczęśliwy to dzień, gdy się panującemu uda dopełnić sprawiedliwości, dzień Tytusowy; zawdzięczam go panu.

A po chwili dodał:

— Wierz mi pan, iż niełatwy jest wymiar tego, co każdemu słusznie należy, lecz gdy prawda dojdzie uszu naszych, posłuszni jesteśmy posłannictwu, zleconemu od Boga, z rozkoszą. Sprawiedliwość wymierzoną została i nic na świecie powstrzymać jéj nie jest w stanie [1]).

O tyle było w tych królewskich słowach prawdy, że Wit już broić nie mógł: zamknięty został w więzieniu. Powiadano, że dostawszy trucizny, uniknął hańby publicznéj. Okazało się jednak później, że potrafił wydostać się z więzienia, lecz uczuwszy nareszcie zgryzoty sumienia, powrócił na Polesie, wstąpił do kartuzów i przykładnie resztę życia spędził. Autor tę nagłą przemianę zapamiętałego zbrodniarza wyjaśnia właściwością natur namiętnych i gwałtownych, „że i ku złemu łacno a ślepo się rzucają i ku lepszemu potém niespodzianie powracać umieją“ [2]).

Wraz z ujęciem Wita, nie skończyły się jednak przygody Piotra. Od bratanka w więzieniu nie mógł się dowiedzieć, co się z żoną i dzieckiem stało, gdyż Wit stanowczo nie chciał mu tego wyjawić. Że w Dreźnie ich nie było, nie ulegało wątpliwości. Po wielu poszukiwaniach trafiono na ślad ich pobytu w Schandau nad Elbą, w Saskiéj Szwajcaryi. Gdy się atoli tam zgłoszono, okazało się, że Marya wraz z dzieckiem znikła; przyniesiono części ubrania, co dawało do myślenia, że się z rozpaczy utopiła. Przypuszczenie to, które mocno pognębiło Piotra, nie było wszelako zgodne z prawdą. Nieszczęśliwa kobieta, przy pomocy poczciwéj Niemki, spieniężywszy resztki klejnotów, zdołała zbiedz z domu, w którym przez Wita jako obłąkana była osadzona, i wróciła do kraju. Piotr już miał pokusę samobójstwa, potrafił go jednak powstrzymać poczciwy Wereszczaka. Zeszli się wreszcie z żoną i oczywiście byli bardzo szczęśliwi...

Postaci polskie téj powieści bardzo mało posiadają cech, któ-

---

1) „Bratanki“, t. II, str. 136—139.

2) Tamże, II, 210.

reby je nowemi lub w wyższym stopniu interesującemi nazwać dozwalały w zakresie powieściopisarskiéj działalności samegoż autora. Wit ma wiele znamion zarówno w charakterze jak w sposobie postępowania z Malepartą; Piotr należy do tego szeregu dodatnich bohaterów Kraszewskiego, którzy, przy swéj poczciwości, nie umieją się zdobyć ani na jasny i konsekwentny plan działania, ani na umiejętną walkę z przeszkodami; dawszy raz dowód porywczości, gdy Wita powalił i na śmierć skazał, późniéj jest całkiem biernym widzem starań i poszukiwań, jakie zań ruchawy Wereszczaka i poważny Niemira przedsiębiorą. Te dwie podrzędne niby postaci są w gruncie lepsze artystycznie od głównych, bo i Maryę poznajemy tylko w oddali jako męczennicę, mającą czasami chwile energii, która jednak ani jest trwałą, ani skuteczną.

Postaci saskie, jako świeży pierwiastek wprowadzony przez Kraszewskiego do stworzonego przez się świata, traktowane są wprawdzie równie ogólnikowo, ale pod pewnemi względami mają wyższość nad niemi.

Król August II ukazuje się tu tylko epizodycznie, i to w wieku, kiedy już o miłostkach nie tyle myślał co dawniéj, łowami i spełnianiem pucharów się zadawalniając. W scenie, którą przytoczyłem, widzimy go ze strony reprezentacyjnéj jako wzorowego monarchę, ubolewającego nad trudnością wymiaru sprawiedliwości i poczytującego sobie za szczęście, gdy wymierzyć ją ma sposobność.

Jeżeli jednak w królu nie ukazuje autor w ciągu akcyi dowodów skażenia moralnego, czyli, jak sam nazywa, „błyszczących grzechów“ [1]), to w żywych osobach świadczących o dawniejszych miłostkach, w synu Rutowskim i córce Orzelskiéj, daje czytelnikom próbkę, jakim był poprzednio; a w charakterystyce dworu zawarł prawie to wszystko, co późniéj szczegółowo w dalszych powieściach miał odmalować. Charakterystyka ta nie ma zalet malowidła, lecz jest dobitną.

„Żaden dwór może — powiada Kraszewski — nie był tak zjedzonym pokątnemi brudnemi robotami, które okrywały pozory najwycywilizowańszéj, najwykwintniejszéj ludzkości i szlachetności, jak ówczesny saski. Patrząc na dworaków, można było ich wziąć za ideały cnoty i bezinteresowności; w prywatném życiu rządziło niecne kuglarstwo, zawiść i podstępne knowania. Szpiegowano się wzajem, uśmiechając i ściskając, usiłowano obalić całując, przyjaźniono się i kochano, aby tém pewniéj wywrócić i zdeptać. Dla przypodobania się panu, nie było ofiary, któréjby nie przynoszono chętnie; moralność wszelka ustępowała adulacyi i względności dla Herkulesa; ministrowie oddawali małżonki, panowie ofiarowali córki, dowódcy armii przybierali obowiązki pośredników, poważne panie nosiły listy: gorszono się niezmiernie, gdy niewczesna cnota śmiała się odezwać z pedancką surowością. A ponieważ trafiało się, że pastorowie z kazalnicy zbyt bezwzględnie karcili zepsucie, król sam wydał rozkaz, ażeby granicy przyzwoitości przekraczać nie śmieli. Wszystko, co otaczało dwór, musiało się poddać jego obyczajowi i przyjętym formom, które z człowieka czyniły posłuszną zabawkę. Lecz dodać potrzeba, że tym, którzy się poświęcili na usługi pana, sowicie się one wypłacały. Cały kraj żył, pracował, cierpiał dlatego, aby rozrywkom dostarczyć grosza; marnotrawstwo dochodziło rozmiarów bajecznych, rozrzutność nie znała miary, fortuny ulubieńców wzrastały kolosalnie. Nigdzie i nigdy może nie przelało się tyle złota dla tak wietrznych i płochych celów, kosztem najuboższych klas ludności. Ocalenia od łupiestwa i ssania trzeba było szukać na dworze tylko i przy tych rynnach, którémi płynęły miliony, wczoraj z trudem wydobyte, dziś po pijanemu rozsypane. Ale żadna téż ze stolic niemieckich w tym czasie tak błyszcząco, pięknie, wspaniale i pańsko nie wyglądała, jak Drezno; a pałace Flemmingów, Hoymów, Vitzthumów, rywalizowały z królewskiemi rezydencyami; nigdzie nie było tyle złota, a obok może takiéj nędzy. Wszystko aż do mieszczaństwa stolicy wyglądać musiało paradnie, a obyczaje sług naśladowały pańskie. Obok szlachty saskiéj, wielki natłok cudzoziemców i znaczna liczba Polaków roiła się około dworu: Duńczyk Löwendhal, Meklemburczyk Wackerbart, Pomorzanin Manteufel, Piemontczyk Lagnasco, Francuz Fleury, Lotaryńczyk Lutzelburg zajmowali tu pierwsze naówczas najwyższe stanowiska. Pani Denhoff i jéj rodzina, mimo wspomnienia panny Osterhausen, pozostała ostatnią króla miłością, uwolniwszy go od uprzykrzonéj tyranii pani Cosel“ [1]).

Nie zapomina Kraszewski i o tych wspaniałych uroczystościach, któremi dwór saski z wiedeńskim rywalizował. „Niepodobieństwo — powiada [2]) — nie istniało naówczas w słowniku ministrów i faworytów. Każda z takich uroczystości musiała się czémś nadzwyczajném odznaczyć. Wczasie wesela następcy, raz dzień cały dwór przedstawiał najdokładniéj w tureckich strojach, namiotach, usłudze, sprzętach, jakby obraz z nad brzegów Bosforu wykrojony.

[1]) „Bratanki“ II, 20.

[1]) „Bratanki“, t. .I, str. 20—22.
[2]) Tamże, str. 116, 117.

Innym razem ubiory musiały być hiszpańskie, maurytańskie, średniowieczne. Na maskaradach przedstawiano się w najbogatszych, a razem najdziwniejszych przebraniach. Przyszła księżna Cieszyńska z siostrą chodziły raz cały wieczór w postaci strasznych nietoperzów. Cały urok takich zabaw zależał na tajemnicy, na niespodziance. Sam tylko August wiedział, co miało wywołać okrzyk podziwu; goście szli nie domyślając się, co ich czekało. Wszystko co żyło, posługiwało naówczas do uświetnienia wieczora; mnoga rodzina królewska, jego ulubieńcy, wojsko, służba, stawała na zawołanie. Przepych istotnie był zdumiewający; brylanty i koronki przedstawiały summy bajeczne; stroje były sprowadzane z Paryża, a gdy czego zabrakło w Saksonii, leciał pocztą królewski dworzanin i przywoził znad Sekwany na oznaczoną godzinę".

Wesoło tu było powierzchownie, ale gorzko wistocie, bo ta rozrzutność groziła ruiną, „jak grozi każdy ludzki zbytek i pycha". Coś szeptało o upadku przyszłym, który „miał zmiękłych w rozkoszach ludzi wziąć bezbronnych". Bezmyślna zabawa w dni i w nocy, „patrzała już z pewnym instynktowym strachem na surowe skąpstwo berlińskie i militarną potęgę Prus". „Jeszcze wielka przeszłość saskiego rodu, jakby urokiem czasu osłaniała to gniazdo, a już się uszczuplało dokoła, na czém ono rozłożoném było [1]).

Nie pomija autor i tego charakterystycznego szczegółu, że na dworze Augusta II częstokroć wpływy i stosunki najmniejszych ludzi najwięcéj mogły. „Tam—mówi Kraszewski—gdzie się ministrowie rozbijali o skały, kamerdyner Brühla, faworyt Sułkowskiego przechodził cało i zwycięsko. Wszystko robiło się pokątnie po garderobach, w korytarzach, przez małych ludzi, przez ciemne drogi, środkami, do których przyznać się było trudno. Łaska królewskiego kamerdynera, który miał przystęp do majestatu, o jaki się miesiącami starać musieli napróżno ministrowie zagraniczni, a w ostatku otrzymywali audyencyę przy świadkach, na któréj nic powiedzieć nie było podobna, łaska takiego nieznacznego człowieka, często skuteczniejszą była, niż wpływy najwyżéj stojących, a rywalizujących z sobą dygnitarzów" [2]).

Zpomiędzy tych dygnitarzów, jednego tylko trochę szczegółowiéj, lubo przelotnie, odmalował Kraszewski, zowiąc go „najgrzeczniejszym i najuczynniejszym a razem najzręczniejszym z dworaków". Mówię o Henryku hrabi Brühlu. Nakreślił tu nasz autor przeważnie raczéj otoczenie, powierzchowność, aniżeli osobistość. Wystawił go jako rozpoczynającego zawód „robienia fortuny", lubiącego wystawę i pańskość, zamiłowanego w obrazach. Powierzchowność dał poznać w krótkich wyrazach: byłto człowiek młody, nader wytwornie ubrany, cały od aksamitów, atłasów i koronek jaśniejący, z kapelusikiem pod pachą, w pończochach jedwabnych, świeży, rozkwitnięty, słodki, kłaniający się, uprzejmy, a tak miły, jak gdyby świeżo poznanych ludzi na dnie serca nosił. W zachowaniu się zaakcentował grzeczność nadzwyczajną, a tak niby szczerą, że nowicyuszów mogła w błąd wprowadzić, obok niéj zaś skłonność do brania podarków i korzystania z cudzych błędów, aby się wynieść. Wiedział o tém dobrze stary kasztelan Niemira i uniesionego serdecznem przyjęciem Wereszczakę chłodził następnemi uwagami: „Jezu najsłodszy! to ty, poczciwcze, bierzesz to za dobrą monetę? Ale, mój łaskawczo, on codzień tą samą potrawką karmi pięćdziesięciu; on mnie mało co lepiéj zna niż ciebie, nazwiska może nie pamięta, ale kuglarz taki, żebyś go rozkochanym w nas sądził. Toć to i bieda, że na ich te obietnice, łamane sztuki, ukłony i uściski nic rachować nie można. Postawiłem ci mu na stoliku *tabakierkę złotą ze trzystu dukatami*, którą widział i uśmiechnął się do niéj trafnie, i na jéj rekomendacyę więcéj rachuję, niż na jego serce. Jezu najsłodszy! nie bierz tego na prawdę, zobaczysz, jak cię oni tu wodzić będą, aż cię wątroba zaboli" [3]). Doświadczył Wereszczaka słuszności tych spostrzeżeń, gdy się niebawem znalazł na Königsteinie, lubo się to stało za pośrednictwem Sułkowskiego, nie Brühla.

Pułkownika Rutowskiego poznajemy tylko z powierzchowności kształtnéj i dorodnéj, oraz z jego miłości dla siostry przyrodniéj hrabiny Orzelskiéj, która zjawia się przed nami albo jak amazonka w kilkakrotnych przebraniach, albo jak cudnéj piękności chłopiec. O duszy jéj dowiadujemy się tyle, że pamięć o ludziach, co jéj kiedykolwiek przychylni byli, zachowywała dobrą i wywdzięczać się a zobowiązywać serdecznością umiała.

Oryginalną postacią, pod wpływem stosunków saskich wyrosłą, jest w „Bratankach" szlachcic polski, przerobiony prawie całkiem na Niemca, pan Szwalbiński. Od dzieciństwa dostawszy się na dwór saski, z Augustem II podróżował niegdyś jako Ritter von Schwalbe do Hiszpanii i do Włoch, włóczył się potém po wszystkich dworach kurfirstów niemieckich, odprawiając turnieje, do pierścienia goniąc, bijąc się, pojedynkując, rąbiąc, wojując, pijąc i ko-

[1]) „Bratanki" t. II, str. 173.
[2]) Tamże, II, 107.

[3]) „Bratanki" II, str. 40—44.

chając „w dosyć łatwych do kochania owego czasu pięknościach“. Najwyższą czcią przejęty był dla króla-Herkulesa i dla świetnych zabaw jego dworu. Ilekroć mówił o tém, wzdychał i łzy ronił, iż nie mógł postarzawszy towarzyszyć daléj Augustowi II w jego przygodach. Podagra, nogi opuchłe, ręce nabrzękłe, bezwładność złamały go i zmusiły osiąść w kraju ojczystym na Polesiu, gdzie się popsutym wielce językiem ledwie mógł rozmówić. Dwór w Borszczówce zastał stary i niewygodny, a jeszcze bardziéj niepozorny; musiał go przerabiać i to naturalnie na wzór zameczków myśliwskich z okolic Drezna. Grosza stawało na to, fantazyi téż nie brakło. Sprowadził więc rzemieślników z Niemiec i na wysepce, śród stawu, zbudował pałacyk, który nazwał Schwalbburgiem. Powoli napłynęło mu tu inwalidów z Saksonii i stary się niemi z przyjemnością otoczył. Życie jego było naśladowaniem na małą skalę owego, którego niegdyś po dworach niemieckich się napatrzył. Niemcami téż samemi się posługiwał, rozdawszy między nich urzędy: marszałka dworu, podczaszych, koniuszych i t. p. Ogromny niegdyś, barczysty i olbrzymio zbudowany chłop, co mu łaski Augusta II zjednało i pomogło do krescytywy, Szwalbiński na starość poczwarnie wyglądał. Niepomierne użycie trunków i jadła rozsadziło go, zrobiło otyłym, zbrzękłym, napuchłym. Twarz rozlała się, przedłużyła, tracąc rysy i zmieniając się w nieforemną jakąś maskę czerwoną guzami nasadzoną. Trzy podbródki spadały na pierś szeroką, nad oczyma zwieszały się brwi na mięsistych napuchlinach jakichś rozkrzaczone. Wśród policzków ginęły oczy małe; nos zato wyrosły, opryszczony i wargi sine, obwisłe, zajmowały wielką część twarzy. Wszystko w nim stosowało się do rozmiarów ogólnych budowy i „nikt może tak ogromnych, sterczących uszu, siwemi włosami pokrytych, nie widział nigdy, jak u niego“. Nosił się po niemiecku, „chociaż byłby mógł się już nie ubierać, bo go z łóżka do krzesła prowadzono, z krzesłem taczano po pokojach“, a gdy o lasce przejść się zażądał, dwu hajduków trzymać go musiało pod ramiona. Ten stan obezwładnienia nie przeszkadzał mu jednak wzdychać do pięknych Saksonek, niegdyś znanych i kochanych, spijać się codzień, odznaczać się galanteryą nadzwyczajną dla dam i chcieć uchodzić za rycerza. Istotnie były w nim pewne popędy szlachetne, ale niedołęstwo nie dozwalało mu ich urzeczywistniać — oddawało do rozporządzenia gospodyni [1]).

[1]) „Bratanki,“ t. I, str. 145—148 i wogóle cały rozdział X: *Na Schwalbburgu.*

Taką jest pierwsza powieść Kraszewskiego z czasów saskich. Obfity w niéj rozwinął autor materyał do obrazu obyczajowego, z całkowitém pominięciem dziejów politycznych, ale nie zapanował jeszcze nad nim i prawdziwie artystycznie go nie zużytkował. Starając się zająć czytelników przygodami, nie bardzo w tym względzie zadowolnił wyobraźnię, a zaniedbał tę stronę, która stanowiła jego siłę, to jest *plastyczną* charakterystykę osób i stosunków.

Na tym samym materyale głównym co „Bratanków“, osnuł téż Kraszewski drugą z kolei powieść: „Herod-Baba“ [1]). Przygody i tu przeważają nad charakterystyką, ale są one w mniejszéj ilości, więcéj umotywowane i nie tak ponure mają znamiona. Jestto historya wichrowatego rodu Piętków, a mianowicie Zygmunta, który ożeniwszy się z rezolutną i śmiałą Elżunią Pieńkowską, ochłódł późniéj dla niéj, a szalał za baletnicą królewską Duparc, tak, że gdy ta odjechała z Warszawy, pogonił za nią do Drezna. W też tropy popędziła i Elżusia, za nią po drodze zebrał się cały dwór z rozmaitego rodzaju zalotników, chcących szukać szczęścia u pięknéj mężatki; nie brakło między niemi nawet wojewody; Elżusia jednak rezolutnością swoją umiała wszystkich trzymać zdala, bo szczerze swego męża-szałaputa kochała. I Piętka kochał ją w głębi duszy, tylko dawał się oszołamiać nowym wrażeniom i wesołéj kompanii aktorek. Gdy goniąc ostatkiem grosza, ujrzał Elżusię w teatrze drezdeńskim i gdy zaczęto mówić mu, że to nowa kochanka Augusta, uczucie w nim się odezwało; przekupiwszy lektykarzy, postanowił ją uprowadzić, ażeby nie dopuścić hańby; nie udało mu się, bo Elżusia przez wiele oczu była strzeżona. Przyszło do pojedynku; ranny niebezpiecznie Zygmunt pielęgnowany był podczas choroby przez żonę, po wyzdrowieniu—odepchnięty. Dopiéro w trzy lata potém, gdy Piętka ostatecznie wyszumiał i poprawił się, Elżunia mu przebaczyła — nastąpiła zgoda i szczęście.

Opowiadanie całe prowadzone jest nadzwyczaj żywo z niemałą dozą jowialności; powieściopisarz występuje tu jako zupełny niemal pan przedmiotu; zrazu zachowuje koloryt stylu staropolskiego, jakby rzecz przedstawiał „dziadek“; późniéj przechodzi do zwykłego tonu autorskiego. Z postaci najwydatniejszą, mianowicie w początkach, jest dzielna Elżusia; nie utrzymana jednakże w tym charakterze do końca — pospolicieje. Zygmunt należy do znacznéj u Kraszewskiego grupy mężczyzn, którzy pomimo dobrego

[1]) Drukował ją naprzód „Wieniec“ r. 1872 w NN. 1—36. W formacie książkowym wyszła dopiéro w r. 1880, nakładem Gebethnera i Wolffa, str. 264.

gruntu, nie posiadają dosyć energii, dają się nadzwyczaj łatwo pociągać wdziękom niewieścim, wpadają w nałóg próżniactwa, pijaństwa i karciarstwa; w końcu jednak, przy pomocy ukochanéj kobiety, wydostają się z kałuży i są wzorowemi mężami.

Rzecz cała wogólności daje się czytać z zajęciem, ale jest błaha i zadługa. W przedstawieniu życia polskiego na prowincyi, w Krakowskiém, niepodobna zaznaczyć nic takiego, czegobyśmy z innych powieści naszego autora nie wiedzieli; w obrazie życia drezdeńskiego najwydatniéj występują zabawy i zbytki, opisane malowniczo i z pewném zamiłowaniem; między innemi do znakomitych policzyć należy ucztę u aktorek.

Takie były dwie pierwsze Kraszewskiego próby odtworzenia czasów saskich w powieści. Nowy materyał nie odrazu się ułożył w jego umyśle tak, ażeby mógł dostarczyć wyobraźni wątku do snucia z artystycznym spokojem i rozmysłem szeregu postaci i stosunków, ale albo pochłaniał ją niemal całkowicie i zmuszał do kronikarskiego jedynie przedstawiania ciemnych stron życia, albo też wydzielał jéj drobną, małoznaczącą cząstkę do swobodnego traktowania.

Niedługo wszelako trwał taki stan w umyśle znakomitego powieściopisarza. W r. 1872, oswobodziwszy się całkowicie od rozdrażniających go prac publicystycznych, które zabierały dużo czasu a nie dawały pożądanego rezultatu, owszem, narażały autora na przykre starcia, mógł całkowicie oddać się twórczości czysto artystycznéj, mógł pomyśléć o zadosyćuczynieniu wymaganiom sztuki, mógł spokojniéj i rozległéj rozwijać plany swoich powieści i to, o czém poprzednio wspominał tylko ogólnikowo lub napomykał, zamieniać w rzeczywiste obrazy poetyckie.

Utwory, wśród tych warunków powstałe, należą do najznakomitszych w zakresie nie tylko powieści z czasów saskich, ale wogóle w spuściźnie powieściowéj Kraszewskiego, i stanowią drugą fazę.

II.

(Hrabina Cosel. — Brühl. — Z siedmioletniéj wojny).

Faza ta trwała krótko; powstały w niéj trzy powieści pewien ciąg stanowiące: „Hrabina Cosel", „Brühl", „Z siedmioletniéj wojny" [1]).

[1]) Wszystkie te trzy powieści były pierwotnie drukowane w „Bibliotece Warszawskiéj" z r. 1874, 1875, 1876; wychodziły następnie w odbitkach i doczekały się kilku wydań.

Autor zapanował w nich zupełnie nad materyałem i posługiwał się nim z całkowitą artystyczną swobodą. Opowiadanie kronikarskie czy historyczne znika tu, a jego miejsce zajmuje prawdziwe malowidło. Wypadków do zobrazowania wybiera powieściopisarz niewiele, lecz je rozwija szczegółowo a zawsze w sposób plastyczny, żywo stawiający nam przed oczy ludzi i stosunki. Charaktery osób kreśli starannie i po większéj części wybornie z konsekwencyą myślową i psychologiczną, nietyle w określeniach, ile w działaniu. Przymioty i właściwości, któremi dane osoby obdarzył, ujawniają się i stwierdzają zazwyczaj w ich słowach i postępowaniu. Niéma tu prawie nigdzie przykréj sprzeczności pomiędzy rekomendacyą osób, przez autora dokonaną, a ich ruchami na widowni powieściowéj. Wszystko tu niemal w spójną całość się łączy, dopomagając sobie wzajemnie do wywołania wrażenia estetycznego.

Sposób też wykonania pomysłów inny tu jest, niż w utworach poprzednich. Nie w scenach bowiem krótkich i urywanych, ale w szerokich zarysach ukazują się nam ludzie i zdarzenia, a mimo to nie razi powtarzanie i zbyteczne gadulstwo, bo autor umiał wprowadzać coraz to nowe rysy obyczajów lub charakterów i budzić niemi ciekawość lub zastanowienie. Nie w gorączkowém tętnie powieści przygodami zapełnionych, ale w spokojnym i rozważnym pochodzie, wysnuwającym się w sposób prawdopodobny, zgodny z naturą rzeczy i gruntem charakterów, przedstawiają się tu nam poważne lub krotochwilne, namiętne lub chłodne, rozpaczliwe lub pogodne obrazy, które nie tracą bynajmniéj na tém, gdy się im ktoś dłużéj przypatruje.

Dla przykładu weźmy jednę z tych wspaniałych scen, w jakie owe trzy powieści obfitują; odmaluje nam ona pewną stronę usposobienia Brühla.

Dawszy poznać dotykalnie jego przebiegłość i zręczność, odmalowawszy go nam jako skończonego dworaka, dołącza autor jeszcze rys jeden, może najcharakterystyczniejszy — obłudę religijną. Brühl był autorem książki do nabożeństwa i umiał pobożność swoję na pokaz wystawiać, umiał zamydlić nią oczy nawet tym, którzy cokolwiek bystrzéj od tłumu patrzyli. Kopał on dołki pod współzawodnikiem swoim w łaskach Augusta III, Sułkowskim, i było mu wielce na rękę wywieść przeciwnika w pole. Raz gdy mu znać dano potajemnie, że Sułkowski idzie do niego, Brühl czémprędzéj odprawił swego zaufańca Hennickego, i nim Sułkowski, zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów, doszedł do gabinetu, już autor modlitewnika padł na kolana przed krucyfiksem, ręce złożył, i zatopił się w ekstazie.

„Sułkowski, nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośne westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapałem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić, Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedyą, wszedł bowiem nieoznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczoru lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał. Ta scena niema trwała długą chwilę; Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce; słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niéj dostrzedz przywiązany różaniec. Nakoniec zlekka odkaszlnął. Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrzawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

„— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim; choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie.

„— To ja was przepraszam — odparł powoli wchodząc Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą. Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

„— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl", który miał „minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nieostygłego po ekstazie".

I osiągnął cel zamierzony. Sułkowski, którego przestrzegano o knowaniach Brühla, uspokoił się i pomyślał sobie: „Człowiek, który się *tak* modli, złym być i zepsutym nie może; to niepodobieństwo!" [1]).

W takiéj jednéj scenie doskonale maluje się nastrój człowieka; a obraz jéj z powodu plastyczności swojéj nazawsze utkwić musi w pamięci.

Podobnemi scenami malowniczemi wywołuje zazwyczaj Kraszewski wrażenie w trzech tych powieściach; niepodobna tu nietylko zastanawiać się, ale nawet wskazywać poszczególe wszystkiego, co godném jest uwagi. Ograniczę się na kilku jedynie wzmiankach. W „Hrabinie Cosel" zaraz pierwsza scena przedstawiająca Augusta zabawiającego się w gronie poufałém pijatyką i wywołującego zakład o piękność żony Hoyma, późniejszéj hrabiny Cosel, należy do arcydzieł malowniczéj, pełnéj życia charakterystyki [1]). W innym rodzaju, ale nie mniéj świetna jest scena, w któréj kaznodzieja Schramm staje wobec Hoymowéj i w jaskrawych barwach maluje zepsucie swego czasu, smutki same i klęski przepowiadając tak dla ogółu jak dla Anny [2]). Pierwsze widzenie się Augusta II z Hoymową, odwiedziny zamku Stolpeńskiego i rozmowa z Łużyczanką Mlawą; upadek hrabiny wskutek zobojętnienia króla i intryg dworskich i tym podobne sytuacye wypełniają tę powieść tak, że trzebaby cytować jednę po drugiéj.

W „Brühlu" analogiczną sceną do wystąpienia Schramma z poprzedniéj powieści jest spotkanie się przyszłego ministra z marzycielem religijnym, hr. Zinzendorfem [3]). Doskonałém odtworzeniem przebiegłości i zręczności Brühla jest spojenie Paulego, ażeby wpaść w oczy królowi, okazać swoję zdolność i zrobić karyerę [4]). Wybornie maluje walkę między zamiłowaniem sztuki u Augusta III, a obawą obrażenia zasad moralności, zwłaszcza zaś żony ta scena, gdy Sułkowski, „zbyt mitologiczny" obraz mu podsuwa, a ojciec Guarini jezuita stara się sofistycznie jego moralność uzasadnić [5]). Prócz tego sceny teatralne, kłótnie artystek, figle błaznów, są w wysokim stopniu znamienne i znakomicie zaznajamiają nas z życiem ówczesnego dworu saskiego. W powieści „Z siedmioletniéj wojny" do świetnie i głęboko pomyślanych sytuacyj zaliczyć należy przedewszystkiém tę, kiedy dla zdecydowania treści obrazu, co do któréj zaszła wątpliwość, August III zawezwał malarzy i profesorów, i kiedy żaden z nich nie ośmielił się wystąpić ze zdaniem, dopóki nie był pewnym, w jakim duchu król życzy sobie mieć rozwiązaną wątpliwość [6]). Następnie nie małéj wartości artystycznéj są obrazy dworu Fryderyka II i najścia Drezna, a zwłaszcza zburzenia i zanieczyszczenia pałacu Brühla, dobijania się do archiwum tajnego, obraz Beguelina ajenta pruskiego, sprzedającego sery i t. d.

Taki szeroki sposób traktowania scen powieściowych był już dawniéj właściwością kreacyj Kraszewskiego, mianowicie w dziełach utworzonych między rokiem 1851 a 1861. Teraz pisząc wspomniane trzy powieści z czasów saskich, przypomniał go sobie po dziesięcioletniéj przerwie, ale zarazem wprowadził do niego pewną mody-

[1]) „Brühl" w wydaniu niniejszém str. 480 i 481.

[1]) Zob. w wydaniu niniejszém, str. 3—13.
[2]) Tamże, str. 22—26.
[3]) Tamże, str. 306—310.
[4]) Tamże, str. 310—421.
[5]) Tamże, str. 448—452.
[6]) Tamże, str. 655—658.

fikacyą. Dawniéj bardzo wiele uwag pomieszczał od siebie, teraz prawie całkiem ich zaniechał; dawniéj zabarwiał silnie swe opowiadanie i obrazy pierwiastkiem uczuciowym, rzewnym, tęsknym; teraz niemal zupełną zachował przedmiotowość; nie mają więc te utwory takiego lirycznego polotu jak dawniejsze; są nieco chłodne, ale zyskują na wyrazistości i jasności. Czytać je mogą ludzie z najrozmaitszemi usposobieniami i nic znajdą nic, coby ich razić mogło; każdy będzie mógł swobodnie na podstawie obrazów przez powieściopisarza nakreślonych wypowiadać o nich własne zdanie, objawiać sympatye lub antypatye, nie zmuszany przez autora do takiego lub innego, ale ściśle sformułowanego sądu. Kraszewski nie jest tu publicystą czy moralizatorem, ale sztukmistrzem tylko; daje malowidło obyczajów i ludzi; ocenę ich pozostawia widzowi.

Nie znaczy to wcale, żeby powieściopisarz nie miał własnego o tych stosunkach i osobach zdania: on przecież musiał je wprzód ocenić, zanim je w formy artystyczne zaklął; nie chce tylko zbyt natarczywie i zbyt widomie sądu tego narzucać. Wybrawszy sytuacye, które według niego najlepiéj pomysł uwydatniały, zazwyczaj na ich odmalowaniu poprzestawał.

Szczególnych upodobań swoich nie zdradza ani słowami wprost jako uwagi osobiste wypowiedzianemi, ani wprowadzaniem osobistości, któreby myśl jego lub uczucie tłomaczyły. Dawniéj ulubieńcami jego byli ludzie szlachetni, ale miękkiego nader serca i słabéj woli; teraz takich osób wcale prawie nie wprowadza, a wytrwanie, hart, energię, śmiałość, umiejętność dawania sobie rady w życiu ceni wysoko.

Taka zmiana w pojmowaniu ideału człowieka musiała wpłynąć na oddanie charakterów powieściowych. Są one kreślone ręką pewną i wprawną; energia męska występuje w nich na pierwszy plan; są-to ludzie liczący się z rzeczywistością i umiejący ją do swych potrzeb naginać; a jeżeli nie posiadają tych zalet, to są utrzymani we właściwym charakterze słabości bez chęci zyskania dla nich sztucznéj sympatyi czytelnika.

Zauważyć też trzeba, że w trzech powieściach, o których tu mówimy, postaci moralnie ujemne, ale potężne lub zręczne przeważają stanowczo nad dodatniemi, których liczba jest bardzo szczupła. Szlachetny a dowcipny Watzdorf, który idzie do Königsteinu, ażeby nie zawadzać ministrowi; Rajmund Zaklika, który przywiązawszy się do hrabiny Cosel, wszystkich sił, bardzo wielkich, i całéj, szczupłéj co prawda, przebiegłości używa, ażeby jéj dopomódz i ginie w jéj obronie; Ksawery Masłowski, wesoły a poczciwy drwiarz, co się zakochał w Niemce baronównie Nostitz i wytrwał w swém uczuciu pomimo przeszkód rozlicznych; ta baronówna śmiała, energiczna, wytężająca swój rozum, by dworowi saskiemu pozyskać zwolenników: oto garstka ludzi zacnych wobec legionu przewrotnych, podstępnych lub głupich i lekkomyślnych. Tym zacnym niewiele się udaje; powodzenie towarzyszy zazwyczaj złym a silnym.

Naczelne postaci są to dobrze z dziejów znane osoby: August II, August III, Brühl, Sułkowski, hrabina Cosel, Brühlowa, wszystkie w całości lub w części dobitnie i konsekwentnie odtworzone.

August II ukazuje się nam w całym blasku świetności swojéj, jako potentat olśniewający przepychem, wdrażający strach i poważanie siłą ręki i siłą woli, jako wysoce ugrzeczniony galant względem pięknych pań, na które łaskawém i pożądliwém rzuca okiem, jako rycerz nie lubiący zwalczać przeciwnika zdradą, jako przebiegły dyplomata podbudzający ambicye swojego dworskiego otoczenia, ażeby prawdę zpośród fałszów wydobyć, jako namiętny myśliwy i miłośnik świetnych zabaw rycerskich, turniejów, karuzelów i t. p. Pod koniec życia (w powieści „Brühl“) widzimy go schylonego pod lat brzemieniem. „Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę; nie bawił się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużéj nieco stać musiał, szukał oczyma taboretu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego ocalając życie panu, Weis, lejbchirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiając w zakład głowę za palec: głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na téj nodze król nie mógł. Złotych to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnéj Lubomirskiéj. Miłości królewskie wszystkie jedna po drugiéj złotemi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, też księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny“ [1]).

August III wybornie odmalowany został przez Kraszewskiego w swojéj obojętności na wszystko, co się nie tyczyło malarstwa i teatru. Polityka nudziła go w najwyższym stopniu, zdawał ją całkowicie na zaufanych ministrów, na Sułkowskiego i Brühla; najcięższą dla niego męką była rozmowa o sprawach publicznych i podpisywanie aktów urzędowych, które spełniał całkiem mechanicznie. Gdy mu doniesiono o zajęciu Drezna przez Fryderyka II, pierwsza jego troska była zwrócona ku galeryi obrazów, ku losom opery. Lenistwo, gnuśność, łatwe zabawy, ciche miłostki w ciągłéj obawie, ażeby się żona o nich nie dowiedziała, są ideałem tego

[1]) Zob. w niniejszém wydaniu, str. 331.

zmarniałego umysłu. Nie występuje on nigdy czynnie a ta bierność jego właśnie najlepiéj go charakteryzuje. Nieśmiała rada za pośrednictwem błazna dana Sułkowskiemu, żeby uciekał, to najenergiczniejszy czyn, na jaki król mógł się zdobyć.

Brühl i Sułkowski mogą być przedstawicielami całéj grupy dworaków i ministrów, wszystkich Flemmingów, Fürstenbergów, Vitzthumów, gdyż właściwości ich charakterów zawierają najważniejsze rysy tego tłumu.

Brühl nie ma żadnych skrupułów: wszystkiém się posłużyć gotów, aby tylko cel zamierzony osiągnąć; zręczność i grzeczność nazewnątrz, podstęp, obłuda, przewrotność wewnątrz są zwykłemi jego środkami, któremi olśniewa i podbija, któremi niszczy przeszkody i zyskuje coraz większe u króla poważanie. Byle zadowolnić Augusta III, byle utrzymać się na stanowisku, obdziera mieszkańców, grabi kraj, naraża jego położenie polityczne i przywodzi go nad brzeg przepaści. Żeni się z kobietą, która kochała Watzdorfa wsadzonego przezeń do więzienia, z pogodną twarzą znosi swój względem niéj wielce upokarzający stosunek, miłostki jéj toleruje i sam je uprawia. Powierzchownie piękny, gładki, uśmiechnięty, nie ma właściwie innych namiętności nad żądzę panowania.

Sułkowski ma trochę szlachetniejszą naturę. I on wprawdzie, jak każdy dworak, zabiega usilnie o zachowanie łaski królewskiéj wszelkiemi możliwemi środkami, czy to sprowadzaniem obrazów choćby o treści zbyt mitologicznéj, czy stręczeniem jakiéjś piękności; ale nie używa przynajmniéj zdrady; usposobienie jego jest prostsze, umysł mniéj przebiegły, duma większa. Gdy wskutek intryg Brühla pozbawiony był swego wpływowego stanowiska, starał się je odzyskać, odwołując się wprost do uczucia króla,—przekonawszy się wreszcie, że nie potrafi przełamać potęgi nowego ulubieńca, usuwa się i zachowuje swą godność jako szlachcic polski bardzo wyniośle wobec Brühla, tak dalece, że nawet wśród burzy w jednéj z nim izbie długo przebywać nie raczy.

Doskonałém dopełnieniem tych dworskich stosunków jest jezuita, ojciec Guarini, jedna z najszczęśliwiéj pomyślanych i wykonanych postaci. Nadzwyczaj delikatnie i subtelnie dał w nim poznać Kraszewski pierwiastek religijny w usługach polityki. Nigdzie nie robi on i nie mówi nic jaskrawo sprzecznego z charakterem swoim kapłańskim, ale we wszystkich jego postępkach i we wszystkich jego słowach widać przebiegłość i sofistyczną przewrotność; w radach i objaśnieniach, dawanych ludziom, którym idzie o sankcyę religijną, postępuje jak zręczny dyplomata wyzyskujący słabości i namiętności ludzi na korzyść swéj sprawy.

Uśmiech i łagodny nastrój nigdy go nie opuszcza; na chwilę nawet nie traci przytomności umysłu i z każdéj sytuacyi wybrnąć potrafi bez szwanku. Kazuistyka jego jest pełna wyrozumiałości dla osób wysoko położonych; potrzebuje jéj używać w całéj rozciągłości, ażeby, w kraju protestanckim, świeżo nawróconą rodzinę królewską i pewną część dworu przy katolicyzmie utrzymać.

Hrabina Anna Cosel w idealniejszém u Kraszewskiego niż w rzeczywistości ukazuje się świetle. Przez męża własnego, który podpiwszy sobie, o jéj piękności się wygadał, podsunięta na myśl lubieżnemu królowi, posiadała zbyt dużo ambicyi i poczucia godności własnéj, ażeby się wprost oddać Augustowi II. Umiejętném, oporném zachowaniem się doprowadziła tego Herkulesa do zapewnienia jéj na piśmie, że się z nią ożeni, gdy mu żona umrze, i wtedy dopiéro została kochanką, gdy chociaż pozornie mogła uchodzić za następczynię królowéj. Śmiała, energiczna, bystrym obdarzona poglądem długo umiała utrzymywać w więzach lubiącego rozmaitość Augusta, długo wpływała na jego politykę i sposób postępowania, aż wreszcie król znudzony jednostajnością, gdy mu Marynię Denhoffową nastręczono, nietylko ją opuścił, ale nie dał spokojnie żyć w Prusiech, domagając się wydania, nakoniec uwięził. Hrabina znajdowała przyjaciół, którzy uwolnić ją pragnęli, szczególniéj zaś Polaka Zaklikę, ale usiłowania wszelkie w tym względzie podejmowane nie odnosiły skutku. Cosel pogrążyła się w mistycznych rozmyślaniach, dowodząc nawet tém zboczeniem umysłu, że dusza jéj była niepowszednia.

Hrabina Brühlowa, w dzieciństwie i młodości Frania Kolowratówna, wychowana w atmosferze fałszu i kłamstwa, budzącéj pragnienie wrażeń, roztargnień, zabawy, rozkoszy, miała chwilę serdeczniejszego uczucia dla Watzdorfa, ale ją poświęciła dla widoków wyniesienia i błyszczenia na dworze. Wydana za Brühla, ażeby być kochanką królewską, nie cierpiała męża i wręcz mu to oświadczyła, odrazu go na stanowisku tylko formalném utrzymując a sobie zakreślając jaknajswobodniejsze pole działania. Ulubieńcy przesuwali się u niéj szybko; natura namiętna, zwichnięta w samym początku, z jakąś gorączką mieniała kochanków, lubo istotnego zadowolenia nigdy nie znajdowała. Stroiła się wspaniale, szalała, kokietowała; ale szczęśliwą się nie czuła. Przy śmierci (któréj opis artystyczny dał Kraszewski dopiéro w „Staroście warszawskim“) widziała marność całego życia, skarżyła się, że została ofiarą. „Wielkość opłaca się drogo — mówiła. — Smokowi temu rzucają na pastwę dziewice, dzieci, krwawe serca, aby mu jedną paszczą więcéj urosło... A skarżyć się nie trzeba, bo na skargi odpowiadają szyderstwem, — cierpieć i śmiać się... Po co

żyć? Wszystko znane powtarza się dokoła; ludzie nudzą, świat męczy; ciało dolega; pragnienia ustają... wyczerpane wszystko do dna. Gdyby mi dawano życie napowrót z warunkiem, bym je tak samo znowu jak wprzódy przeżyła, a! nie chciałabym go za nic". A do męża, który jak zawsze grzeczny i uśmiechnięty, przyszedł ją odwiedzić, miała jednę tylko prośbę, ażeby zaprzestał żądać ofiar od wszystkich dla nasycenia swéj ambicyi. Przypomniała się jéj wówczas zapewne pierwsza miłość. Brühl tłómaczył się losem i okolicznościami. „Ofiary?—mówił—cóż bez ofiar! Nie poszły one darmo przecie... My podnieśliśmy się najwyżéj... aż do tronu... twe dzieci postawiłem na szczeblach, z których sięgnąć mogą, gdzie zechcą. Otoczyłem was dostatkiem, poszanowaniem, blaskiem". Dawniéj to wszystko wystarczało Brühlowéj, ale teraz przy zgonie wydało się nędzném. „Wszystko to — odpowiedziała mężowi — ciążyło jak kajdany... były to spróchniałe owoce znad Martwego morza, popiół w nich. Zaklinam cię, daj dzieciom szukać szczęścia, gdzie zechcą... Słyszysz! mnie dochodzą jęki, szlochania, które wycisnąłeś ty. Saksonia płacze i przeklina, ten kraj się burzy..." Z przekonaniem, że los nieszczęsny dokonać się musi, zamknęła powieki nazawsze [1]).

Obok tych głównych postaci kobiecych przesuwa się mnóstwo innych, jak Lubomirska (ks. Cieszyńska), Marya Denhoffowa, hr. Reuss, Hülchen, Vitzthumowa, Moszyńska, które wogólności przedstawiają świat intryg i miłostek, krzyżujących się z sobą i przynoszących chwilową radość lub długą boleść.

A wszystko żywe, pełne prawdy, naturalności i plastyki; autor ani na chwilę prawie nie zapomina o obowiązku malowania ludzi, nie zaś opowiadania o nich; wszystkich téż widzimy oczyma wyobraźni, bez wielkiego wysiłku.

Jak się ma ten świat, odtworzony przez poetę, do rzeczywistości dziejowéj? Najlepszy sędzia w téj sprawie, bo doskonały znawca czasów saskich, Kazimierz Jarochowski takie w téj mierze wypowiedział zdanie [2]): „Trzy te powieści, przetłómaczone na język niemiecki, mogłyby z zaszczytem figurować jako prawdziwie piękne płody narodowéj powieści dziejowéj niemieckiéj, robiąc niebezpieczną konkurencyę Gustawowi Freytagowi, który podjął również, jak Kraszewski u nas, dzieło spowieściowania historyi niemieckiéj". W szczegółowym zaś rozbiorze przyznaje wierność w odtworzeniu i tła politycznego i strony obyczajowéj, oraz trafność w charakterystyce osób pojedyńczych. Z okoliczności opowiadania „Z siedmioletniéj wojny" mówi: „Światłocień między cyniczną i sceptyczną, ale matematycznie środki swe obliczającą i praktycznie do celu sterującą osobistością Fryderyka a owym optymizmem Augustowo-Brühlowym, który niebezpieczeństwa do ostatniéj chwili widzieć nie chce i nieprzyjaciela lekceważy, jest mistrzowsko uchwycony; występujące na tle jego osobistości z uderzającą scharakteryzowane są prawdą. Równie prawdziwym, by zejść jeden szczebel niżéj, jest obraz ówczesnéj społeczności saskiéj, jéj stosunku i postawy do wojennéj burzy, która ją tak nagle, tak niespodzianie zachwyciła, by wywołać zbiorowe przekleństwo przeciw rządom Brühla, by krajowi i jego stolicy pozostawić straszliwą ruinę, wyludnienie i materyalne zniszczenie".

[1]) Zob. „Starosta warszawski", Warsz. 1877, t. II, str. 51—59.

[2]) W „Książce jubileuszowéj dla J. I. Kraszewskiego", 1880, str. 207—214.

Pod względem przedstawienia wypadków ściśle politycznych, najwięcéj je uwzględnia Kraszewski w powieści „Z siedmioletniéj wojny", do któréj przygotowania kreśli szeroko i pierwsze kroki maluje wybornie; w „Hrabinie Cosel" i w „Brühlu" bardzo ważne fakta dziejowe, jak wojna z Karolem XII, a następnie wojna z powodu powtórnego obioru Leszczyńskiego, traktowane są albo przelotnie, albo wzmiankowane tylko. Autor wziął sobie za zadanie skreślenie stosunków obyczajowych na dworach królewskich i zadanie to spełnił znakomicie. Sprawy polskie zostawił tu na uboczu; przeszedł do nich dopiéro w trzeciéj fazie malowania epoki saskiéj.

III.

(Skrypt Fleminga. — Pułkownikówna. — Sąsiedzi. — Wilczek i Wilczkowa. — Na bialskim zamku. — Starosta warszawski. — Grzechy hetmańskie. — Pan na czterech chłopach).

Trzecia ta faza obejmuje najliczniejszy szereg powieści, ale już nie posiada zalet drugiéj. Kraszewski rozpoczął był wtedy od r. 1876 ogromny cykl opowiadań historycznych z całego obszaru dziejów Polski, a chcąc go wykończyć i mając prócz tego wiele innych prac na widoku, pisał pośpiesznie, gorączkowo, szkicował, nie obrabiał. Stąd téż aczkolwiek nie potrzebował pokonywać trudności, jakie nastręczał materyal, gdyż tło czasów saskich znał już doskonale, zaniechał przecież owych szerokich rysów, które znamiennie wyróżniają trzy rozpatrzone powyżéj powieści od innych, a wrócił natomiast do łatwiejszego dla siebie działania za pomocą scen drobnych, słabo wiążących się w artystyczną całość. Nie utracił tu oczywiście zalet właściwych swemu talentowi: barwnéj chara-

kterystyki zwłaszcza zewnętrznéj, plastyczności w przedstawianiu ludzi i rzeczy, żywości opowiadania, doprowadzonéj niekiedy do werwy niemal młodzieńczéj;—ale wskutek braku skupienia należytego środków artystycznych nie potrafił już utworzyć ani jednego takiego utworu, któryby mógł z owemi trzema stanąć na równi.

Treścią tych późniejszych powieści bardzo rzadko były stosunki polityczne; najzwykléj zaś prywatne; po większéj części przedstawia się w nich ciemna strona życia publicznego i prywatnego; osobistości dodatnie ukazują się zaledwie tu i owdzie i podrzędną pospolicie grają rolę;—jeden tylko utwór prawie z samych łagodnych świateł się składa. Charaktery sympatyczne mężczyzn, jak poprzednio, odznaczają się pospolicie hartem i wytrwałością.

W chronologicznym porządku pojawiania się idą te powieści, jak następuje: „Starosta warszawski" (1877), „Pan na czterech chłopach", „Wilczek i Wilczkowa", „Sąsiedzi", „Skrypt Fleminga", „Grzechy hetmańskie", „Pułkownikówna", „Na bialskim zamku" (1883) [1].

Ponieważ jednak nie mam do zaznaczenia w tych utworach żadnych cech, czy pod względem przekonań, czy pod względem artyzmu, któreby domagały się objaśnienia chronologicznego, w rozpatrzeniu ich przeto grupować je będę według czasów, które malują, ażeby nastręczające się przytém uwagi odrazu zrobione być mogły, bez potrzeby powracania do nich.

Do epoki Augusta II wrócił w tym czasie autor raz tylko, pisząc „Skrypt Fleminga" [2]. Rzecz się dzieje po traktacie warszawskim z r. 1717, kiedy w kraju zapanował gnuśny i sromotny spokój. Wątek opowiadania stanowi sprawa hetmanów, którzy pod naciskiem woli królewskiéj zrzekli się władzy zwierzchniéj nad wojskiem Rzeczypospolitéj obcego autoramentu na rzecz Jakóba Henryka Flemminga, ulubieńca Augusta. Szlachta nienawidząca Flemminga zawrzała oburzeniem, i udaremniła zamiary króla. Kraszewski stronę polityczną faktu tego pominął, a zajął się tylko obyczajową, lubo samę sprawę przedstawił.

Kazimierz Jarochowski zaznaczając ten fakt, ubolewał, że autor nie położył nacisku na to, iż w tym jednym razie August II miał słuszność, a szlachta jéj nie miała. „August — powiada Jarochowski—chciał się naówczas w interesie własnéj ambicyi wyemancypować z pod ciężącéj mu coraz bardziéj przewagi sąsiednich

[1] Oprócz wymienionych Kraszewski napisał dwie jeszcze powieści pod ogólnym napisem „Za Sasów", ale te jeszcze dotychczas z druku nie wyszły.

[2] Naprzód w „Tygodniku ilustrowanym",—osobno w Warsz. r. 1879 w 2 tomach, str. 165, 190.

mocarstw; nie czego innego naturalnie wymagał interes polityczny Rzeczypospolitéj. Przypadkiem tedy zszedł się interes Polski ze spekulacyą Augusta. August zamierzył czynnikiem owéj emancypacyi nawewnątrz uczynić wojsko Rzeczypospolitéj obcego autoramentu i usunął je w tym celu, by je mieć pod bezpośrednią swoją dyspozycyą, z pod komendy hetmanów. Nazewnątrz miał być owéj emancypacyi środkiem alians między Polską, Saksonią, Anglią, Hanowerem i Austryą. Reprezentanci sąsiednich Polsce mocarstw zwąchnęli podobną kombinacyą i podobny zamiar królewski, rozwinęli intrygę, użyli pieniędzy; podniósł się na sejmach z roku 1718 i 1719 krzyk szlachecki przeciw komendzie Flemminga; plan Augusta spełzł na niczém" [1].

Nie przecząc słuszności temu spostrzeżeniu, musimy wszelako zaakcentować prawo powieściopisarza obierania takiego punktu widzenia, jaki uważa za najdogodniejszy; idzie tylko o to, czy z tego punktu widzenia ogarnia autor wszystkie stosunki, i czy je dobrze maluje.

Otóż Kraszewski, nie roztrząsając wartości planu króla, zamierzył jedynie rozwinąć obraz niezadowolenia szlachty i dać zarazem malowidło obyczajowe. Pod tym względem „Skrypt Fleminga" w części tylko zadowolnić może wymagania artystyczne; są w nim sceny bardzo piękne i bardzo plastyczne; ale dobrze zbudowanéj całości niéma. Przeładował ją autor, może aż do obrzydzenia, scenami pijatyk, zarówno w Saksonii jak w Polsce; przedstawienie zabaw rycerskich, karuzeli, obozów jest już tu powtórzeniem podobnych uroczystości z „Hrabiny Cosel" (obóz pod Laubegast); ani jednéj postaci wydatniejszéj nie odmalował, prócz chyba Serwacego Przebendowskiego, który również częściowo przypomina Ksawerego Masłowskiego. Pod koniec powieści daje nam znowu poznać Annę Orzelską, którą poznaliśmy w „Bratankach", a która i w „Hrabinie Cosel" epizodycznie występowała.

Z tego przekonywamy się, że Kraszewski z swojego punktu widzenia nie zdołał dojrzéć nowych postaci i stosunków, a ponieważ i artystycznie się zaniedbał, „Skrypt Fleminga" nie mógł już zrobić takiego wrażenia jak „Hrabina Cosel".

Z samego początku panowania Augusta III wzięta jest „historya prawdziwa z czasów saskich" p. t. „Pułkownikówna" [2]. Nie wchodzi jednak do téj powieści ani król, ani dwór; rzecz dzieje

[1] „Książka jubileuszowa dla Kraszewskiego", str. 213.

[2] Skończona we wrześniu 1880 w Dreźnie. Drukowana naprzód w „Wieku" r. 1881; w formie książkowéj wyszła z datą 1882 w dwu tomach, str. 165 i 165.

się wyłącznie w Nowogrodzkiém. Zrazu uwydatnia w niéj autor zabawy i pijatyki huczne, potém demoralizujący wpływ możnych rodów, a mianowicie Barbary z Zawiszów Radziwiłłowéj, kobiety energicznéj, czynnéj, dumnéj, zazdrosnéj jurystki, na trybunał nowogrodzki, a to za pośrednictwem nęcących obietnic i kolacyjek z fraucymerem. Pułkownikówna, Tekla Borkowska, nadzwyczaj piękna, zręczna, zalotna, z początku miała kilku zalecających się paniczów: Sapichę, Ogińskiego i innych, chociaż dużo młodzieży szlacheckiéj kochało się w niéj, a mianowicie suchotnik Filipowicz, który zmarł téż niebawem po rekuzie. Podjąwszy walkę z Radziwiłłową, traciła paniczów, przegrywała sprawy w trybunale i doświadczała dziwnych losów. Zaręczyła się z Janem Iwanowskim, który zrobił jéj zapis z całego majątku; ten zaziębiwszy się umarł; Tekla wtedy oddała rękę brzydkiemu, ospowatemu Leńkiewiczowi, który ją kochał pocichu nie mając nadziei, a w jéj procesie z bratem Jana główną był, po śmierci matki, pomocą... Całość tego opowiadania, rozpoczętego z ironią jowialną a prowadzonego dość jałowo, to anegdota kilku pięknemi scenami ozdobiona. Osoby w niéj występujące to sylwetki zaledwie; jeden Leńkiewicz, wytrwały, cichy, pokorny, zacny, jest dobrym charakterem. Rozwój postaci bywa często przypadkowy, jedynie dla pewnéj sytuacyi; za przykład pod tym względem wybitny może służyć horodniczy Iwanowski, z początku tylko szyderca i pasibrzuch, potém skąpiec, gwałtownik, intrygant, nikczemnik. Autor występuje niekiedy osobiście, utyskując na brak wymiaru sprawiedliwości.

Ten sam temat przemocy możnych, zepsucia obyczajowego i wielce skrzywionych szal Temidy obrobił Kraszewski w „Sąsiadach“ [1]. I tu również stosunki polityczne usunięte całkowicie na bok; ledwie są ślady, że się rzecz dzieje za czasów Augusta III. Powieść przedstawia spór o dyferencyą majątkową na Litwie między oszczędnym i milczącym Hojskim a Czemeryńskim, rozrzutnym, pnącym się na wyżyny, oratorem, ubarwiającym każdy swój postępek i zachowanie się. Dokuczali sobie wzajemnie. Hojski zaczął skupować długi Czemeryńskiego, ażeby go wyzuć z posiadłości, Czemeryński kazał wyciąć las rosnący na zakwestyonowanym kawałku ziemi. Tymczasem dzieci tych kłócących się ojców; Leonilla Czemeryńska, z początku wystawiona jako próżna lalka, potém jako stała sentymentalna kochanka, oraz Erazm Hojski, dzielny, obrotny młodzian, polubiły się wzajemnie i żyć bez siebie nie mogły. Ich stosunkom sprzyjały dwie krewne Balbisia i Kasztelanowa. Następuje pojednanie i zgoda, wśród odmiennych okoliczności, ale w podobnym duchu jak w „Janie Dęborogu“ Syrokomli.

Również czysto-prywatne stosunki maluje żywo opowiadanie p. n. „Wilczek i Wilczkowa“ [1]. Rzecz tu główna w wystawieniu charakteru popędliwego, gwałtownego Michała Wilczka, rodem z Żytomierskiego. Ożenił go ojciec z córką energicznéj, gospodarnéj, hartownéj pani Wojskiéj z Łomżyńskiego, Jagnieszką, która kochała ubogiego dependenta Otwinowskiego i oświadczyła to Michałowi przed oddaniem mu ręki, przyrzekając tylko dochować wiary małżeńskiéj, ale bez udziału serca. Michał zgodził się, sądząc, że przywiązanie przyjdzie po ślubie; ale gdy się tak nie stało, zaczął hulać, żonę tyranizować; dostawszy zaś od śmiałéj świekry w gębę, znienawidził i ją i żonę. Gdy w pojedynku z Otwinowskim uciętą miał rękę, wzięła go do majątku swego świekra i trzymała na surowéj dyecie. Michał nie mogąc wytrzymać w zamknięciu, wykradł się i chciał użyć swobody. Istotnie przyjechała do niego dawna kochanica Różieczka, ale tuż za nią i żona; Różieczka musiała umknąć; żona znosiła kaprysy męża z poddaniem się i pogodą ducha. Interesa majątkowe małżonków stały bardzo źle; kauzyperda Pętlakowski, zaprezentowany przez autora jako mała głowa i tchórz, przerobiony późniéj na pobożnisia i łotra, zaplątał je bardziéj jeszcze, tak że nawet wdanie się obrotnéj Wojskiéj nie potrafiło ich rozgmatwać. Wilczek, wyzdrowiawszy, sam jechał dopilnować spraw swoich w Żytomierzu, ale w drodze buta jego i porywczość połamały dobre zamiary. Bawiąc w jakiéjś karczmie, gdy nadciągnęło inne towarzystwo, zaparł wrota, obiecał dać w łeb pierwszemu, kto się w nich pokaże i dotrzymał: zabił Otwinowskiego, który dążył na swe wesele z Różieczką. Wilczek, podobnie jak Wit Zagłoba, przetworzył się moralnie po tém morderstwie. Sam się przed sądem oskarżył; osadzony w więzieniu, napierany przez wierzycieli, spokorniał, spobożniał pod wpływem ojca Bonifacego bernardyna; wyratowany przez Wojską, pogodził się z żo-

[1]) Powieść ta drukowana była naprzód w „Bluszczu“ z r. 1878 (NN. 1—28) i tegoż roku osobno w 2 tomach. Przy tytule fałszywe jest objaśnienie, że to rzecz z podań szlacheckich „z końca XVIII wieku“.

[1]) Powieść ta, skończona 1 stycznia 1878 i drukowana tegoż roku w „Biesiadzie literackiéj“, w formie książkowéj wyszła dopiéro r. 1884 (Warsz. Gebethner i Wolff, str. 215). Na tytule fałszywie napisano: „opowiadanie z końca w. XVIII“; rzecz bowiem dzieje się za Augusta III, jak widać ze str. 101, gdzie przytoczono r. 1753 na chorągiewce ratuszowéj w Przepłotach, świeżo w czasie opowiadania założonych, oraz ze str. 42, gdzie powiedziano, że działo się to za panowania saskiego, gdy poczynały się mnożyć rozwody, o które bardzo było łatwo.

ną; — znalazł się nawet afekt wzajemny, gdy Jagnieszka poznała lekkomyślność Otwinowskiego. W téj Jagnieszce chciał widocznie Kraszewski wystawić zacną matronę staropolską, spełniającą gorliwie, choć bez miłości, swe obowiązki; ale postać ta się nie udała; o wiele prawdziwsza i artystycznie lepsza jest jéj matka, pani Wojska.

Znikczemnienie rodu magnackiego jest przedmiotem powieści „Na bialskim zamku“ [1]). Mamy tu jaskrawo oświetlony obraz dworu chorążego Radziwiłła, który odznaczał się okrucieństwem i przy pomocy zausznika, przechrzty Wolskiego w lochach zamku w Białéj trzymał mnóstwo uwięzionych ludzi. Pomimo opuchłych nóg i ogólnego zniedołężnienia był lubieżnym i, zaniedbując żonę, miał na zamku piękne, hoże dziewczę Faustysię, którą matka własna do tego upokarzającego życia namawiała i ciągnęła; książę mógł wprawdzie całować tylko ręce ubóstwianéj Faustysi, ale był niezmiernie zazdrosny. Faustynę zaś kochał Damazy Butrym. Cała powieść osnuta jest na usiłowaniach przezeń podejmowanych celem wydobycia ukochanej z rąk obrzydliwego lubieżnika i jego służalca, Wolskiego. Wszystkie atoli przebiegi Butryma, z początku interesujące, potém mdłe w przedstawieniu, nie osiągają skutku, tylko prowadzą go w końcu do więzienia, z którego wypuszcza go, po śmierci chorążego, młody Karol Radziwiłł Panie Kochanku, na prośbę w dobrą chwilę zaniesioną przez Marcyana Butryma, brata Damazego. Powieść kończy się ślubem Faustyny z Damazym. Pierwszy jéj tom czyta się z zajęciem, drugi jest bardzo słaby: sceny bywają do siebie podobne, wyrażenia powtarzają się. Stosunek matki do Faustyny i zaloty księcia są poprostu wstrętne; strasznym natomiast jest obraz wypuszczonych z więzienia, z których jeden pada zaraz po przestąpieniu jego progu. Niewątpliwie Kraszewskiemu, malującemu to, przypomniały się wrażenia z czasów szkolnych w Białéj, które spisał w „Obrazach z życia i podróży“. Nasłuchał się on wówczas wielu szczegółów okropnych, gdyż Radziwiłłowie pamiętani byli jeszcze w podaniach ludu. Mówiono, że w lochach będących wewnątrz wałów, otaczających zamek, znajdowano kości okutych w kajdany ludzi, w wielkiéj liczbie, jako dowody uciemiężenia, przemocy i ucisku. Jeden z Radziwiłłów (według miejscowéj tradycyi) „więził za coś szlachcica trzydzieści lat w lochach, aż szlachcicowi długa broda porosła i posiwiała nędzą i niewolą, wybielała od łez, które na nią spadały, bo wspominał zagrodę swoję i żonę i dzieci,

[1]) Drukowana naprzód w „Bluszczu“ r. 1882, w formie książkowéj r. 1883 w 2 tomach str. 214 i 232.

a wyrwać się nie mógł, a umrzéć nie potrafił“ [1]). Gdy spisywał te wspomnienia, nie bardzo im dowierzał, ale w życiu dalszém, przy baczniejszém wpatrzeniu się w dzieje rodzin magnackich, uznał ich prawdziwość i odmalował je w powieści.

Do tego utworu są wprowadzone osobistości i stosunki historyczne. Mamy tu oprócz chorążego, jeszcze sylwetkę erudyta Udalryka Radziwiłła, oraz hetmana Rybeńko; poznajemy króla, jesteśmy na przedstawieniu sztuki włoskiéj w Warszawie; przyglądamy się inwestyturze królewicza na księstwo kurlandzkie, oraz łowom w Ujazdowie, urządzonym przez chorążego.

Stosunki polityczne zajmują téż dość dużo miejsca w „Staroście warszawskim“ i „Grzechach hetmańskich“.

„Starosta warszawski“, powieść pod względem chronologicznym najbliższa powstaniem owych trzech najwybitniejszych utworów [2]), ma téż jeszcze kilka scen wykonanych szeroko i z wielkim rozmysłem artystycznym, ale jako całość jest tylko rozwlekłą kroniką wypadków z rozlicznemi przerwami wielu lat. Rzecz jéj rozpoczyna się prologiem z r. 1750, kiedy młodziutki dwunastoletni syn Brühla, zrobiony za pomocą przekupstwa szlachcicem polskim, zostaje starostą warszawskim, a kończy się dobrze po r. 1772. Zaszłe w tym długim przeciągu czasu niektóre wielkie wypadki dziejowe nie są tu nawet wspomniane, jak np. konfederacya barska; a pewne tylko ustępy (mianowicie sejm z r. 1762) są istotnie malowane. Kraszewski zamierzył sobie napisać powieść biograficzną, przedstawiającą wydatniejsze chwile z życia Aloizego Brühla; rozpoczął ją znakomicie, ale nie miał dość cierpliwości, ażeby ją w jednakowym nastroju doprowadzić do końca. Bohater, bardzo sympatycznie i bardzo żywo odmalowany, w miarę rozwoju akcyi traci wiele ze swoich zalet z powodu całkowitéj bierności.

Kraszewski w Aloizym Brühlu uwydatnił na początku bujną, artystyczną fantazyą, wielkie zdolności, świetne wykształcenie, wesołość, dowcip, skromność pewną, sceptycyzm łagodny, wyrozumiałość, dobroć serca, hart woli i umiejętność panowania nad sobą; ale w rozwoju działania przedstawia się nam on jako „widz bierny“ nietylko dramatu historycznego, lecz nawet własnych losów swoich; sam przez się nie czyni zgoła nic, kocha się w dziełach sztuki, pisuje komedyjki, jest cichym wielbicielem pięknéj kobiety, nigdy jednak nie przekracza granic „pełnéj poszanowania rozmowy“. Dla widoków ojca żeni się z Maryanną Potocką, córką „królika Rusi“, Franciszka Salezego, która kocha dworzanina Ta-

[1]) Zob. „Obrazy z życia i podróży“, 1842, t. I, 21, 22.
[2]) Wydany w Warszawie r. 1877 w 3 tomach, str. 241, 241 i 245.

deusza Godziembę, choć z nim słowa nawet nie zamieniła; wiedząc, że ona kochać go nie może, nie wymaga od niéj uczucia, lecz z całą uprzejmością i serdecznością dobrego człowieka, stara się ciężki jéj los osłodzić. Dla widoków ojca również występuje jako poseł, choć najmniejszego w prowadzeniu spraw publicznych nie ma zamiłowania; naraża się na bolesną scenę zaprzeczenia sobie szlachectwa w sejmie, gdy „Familia“ uznała za potrzebne wystąpić przeciwko ministrowi. Ale i tam, gdzie nie jest popychany przez ojca, gdzie mógłby samoistnie wystąpić, jak w stosunku do Sołłohubowéj, zachowuje się także biernie i sam przez się nic nie przedsiębierze.

Cała zresztą strona czysto romansowa jest w „Staroście warszawskim“ bardzo słaba. Autor chciał przedstawić miłość cnotliwą i milczącą i nie znalazł na to lepszego środka, nad ciągłe powtarzanie podobnych do siebie sytuacyj. Szczególniéj mdły jest rysunek Maryi Brühlowej, pobożnéj, niepewnéj siebie, i Godziemby, wielce nieśmiałego wobec niéj, lubo w innych stosunkach przedstawia się jako młodziec dzielny i butny nawet. Sołłohubowa z początku trochę względem Brühla napastliwa, późniéj dziwi się troszkę śmielszym słowom jego, a po śmierci Maryi kryje się aż do Wenecyi, ażeby nie ściągnąć na siebie podejrzenia, że pragnie wyjść za Aloizego. O wiele lepszą jest charakterystyka osób, w akcyi powieściowéj poboczną odgrywających rolę, z któremi Aloizy Brühl wchodzi w stosunki, jako to: Potocki, Branicki, Radziwiłł, Poniatowski.

W obrazie krystynopolskiego dworu „królika Rusi“ mamy też same rysy, jakiemi przed laty nakreślił go Kraszewski w „Starościnie bełskiéj“, ale rozwinięte w sposób artystyczny. Opis pałacu, charakterystyka państwa i jego dworu, konkurów Brühla i wesela zajmowały w „Starościnie bełskiéj“ stron 23; w „Staroście warszawskim“ zaś większą część pierwszego tomu (str. 92—241); z tego liczebnego stosunku można już zrobić sobie pojęcie o różnicy w sposobie traktowania tego samego materyału. Źródeł innych do odtworzenia ludzi i wypadków nad te, które przywiódł autor w „Starościnie“, nie miał zdaje się teraz i tylko odmiennie dla celów artystycznych dawniéj znane zużytkował.

We Franciszku Salezym Potockim uwydatnił dumę ogromną, przyzwyczajenia despotyczne, a zarazem uleganie woli żony, kapryśnéj dziwaczki, chęć popisania się a zarazem rachowanie się z każdym groszem, targowanie się o tynfa. „Umiał być wielkim panem, ale stare szlacheckie tradycye brały nad nim górę co chwila... Szczególniéj na dzień powszedni, powierzchowność jego odpowiadała zupełnie temu charakterowi, w którym niepomierna duma, marzeniami wzbijająca się do tronu, mieszała się z zabiegliwością i skrzętnością chciwego zarobku szlachetki. Zbytek a marnotrawstwo były mu w ohydzie i wzgardzie, lecz tam, gdzie szło o podniesienie powagi domu, okazanie potęgi jego i możności, sił, jakiemi rozporządzał, — tam miliona rzucić nie żałował... Surowy dla siebie i dla wszystkich, życie domowe wiódł wedle najściślejszych prawideł, jakie prastare tradycye przyniosły... Więc najprzód wszystko, co z wiarą i religią stało w związku, poszanowane było i uświęcone. Nikt tam w piątek, wigilie i suchedni na stole nietylko mięsa, ale nawet nabiału nie zobaczył. Dzień się rozpoczynał od modlitwy, mszy świętéj, pieśni pobożnych i na modlitwie kończył... Zatém szło ślepe posłuszeństwo rozkazom pańskim, które spełniał każdy, nie wchodząc ani w ich następstwa, ani w trudności, jakie miały go w tém spotkać. Rygor był niesłychany. W szaréj kapocie, z głową podgoloną i podstrzyżoną, wojewoda z twarzą swą zwiędłą, zżółkłą, rzadko kiedy uśmiechem w życiu wyjaśnioną, nie obudzał sympatyi, ale umiał wrażać uszanowanie i trwogę... Kto był choćby gubernatorem w majątku wojewody, szlachcic często możny i niezależny, jak skoro w służbę wstąpił, już w niczém sobą bez wiedzy pańskiéj nie rozporządał... Wojewoda nie mawiał wiele, zwłaszcza do niższych, rzadko się w dłuższą wdawał rozmowę, objawiał rozkazy, zadawał pytania, nie dopuszczał dyskusyi. Nie cierpiał téż szczebiotania; musiano mu odpowiadać krótko a węzłowato — inaczéj brwi chmurzył, a gdy nogą tupnął, ten kto go do tego zmuszał, tracił łaski na długo, jeśli nie nazawsze“. Żona jego Anna, Potocka z domu, która wniosła ogromny spadek po matce ostatniéj z Łaszczów, nie mniéj surowa, a może surowsza od męża, podejrzliwsza, uległością jego popsuta, chimeryczna, łatwowierna, lubiąca plotki, rzędziocha, tak ostro trzymała swój fraucymer, iż rzadki dzień się w nim obszedł bez rózeg, a pomniejsze kary spotykały dziewczęta co chwila; klęczenie na grochu było chlebem powszednim“. Zblizka się wpatrując w życie na dworze krystynopolskim, „dostrzegł łatwo każdy, iż tu, jak w większéj części polskich stadeł, nie ten był wistocie panem wszechwładnym, kto się nim wydawał“. Wojewodzina rządziła mężem i wszystkiém, bez jéj porady nie stało się nic, woli jéj nikt ani mógł, ani się myślał sprzeciwiać. Mąż „kochał ją i był dla niéj słabym“. Anna nie występowała nigdy zbyt jawnie ze swą przewagą; „owszem gotowa była z uszanowaniem uledz mężowi; lecz pan wojewoda myśli zgadywał, płaszczył się i słuchał, aby uniknąć chimer, spazmów i historyj, które domem całym wstrząsały“ [1]).

[1]) „Starosta warszawski“, t. I, str. 92—101.

Był Potocki głową stronnictwa przeciwnego Czartoryskim, ale głową słabą, nie umiejącą ani osnuć, ani dobrze przeprowadzić planu. Nie udaje się też mu nic; on naturalnie wini o niepowodzenie innych, nie siebie. Według niego stary hetman Jan Klemens Branicki to „niedołęga, sybaryta“, który dla „wygódek białostockich“ poświęca wszystko, Mokronowski to tchórz, choć junaka udaje; prymas — ciemięga zdał się na mnicha, nie na księcia kościoła; inni wszyscy dobrzy na języki, ale do roboty nie zdatni [1]. Jednego tylko Radziwiłła Panie Kochanku widzi zdolnym, ale o ile z postępowania tegoż wnosić należy, powinien się i on do kategoryi języcznych tylko i paradujących zaliczyć. Jest to magnat facecyonista, rubaszny, z dobrą fantazyą, skory do bójki, niezmiernéj odwagi a impetu, gadający doskonale o polowaniu i burdach, bawiący się mustrowaniem pocztu amazonek, wysztyftowanego przez matkę, ale politykiem nie był wcale i do działania się nie zdał.

Partya przeciwna Potockim, reprezentowana przez Czartoryskich, daje się poznać w „Staroście warszawskim“ ze strony bardzo niepochlebnéj, bo, dla okazania swéj prywatnéj niechęci względem Brühla, zarzuca nieszlacheckie pochodzenie jego synowi, którego poprzednio sama uszlachcić dopomogła. Funkcyi téj podejmuje się młody, ugrzeczniony, motylkowaty, wykwintny w ubiorze, ruchach i słowach Stanisław Poniatowski i doprowadza sejm do zerwania. Tegoż Poniatowskiego widzimy w „Staroście warszawskim“ i jako króla: wówczas uprzejmością nadzwyczajną chce sobie zjednać wszystkich. Ze swojego motylowego usposobienia tłómaczy się głębokiém poczuciem estetyczném. „Ja-m nic nie winien — powiada do Sołłohubowéj, którą napróżno chciał sobą zająć.—Jestem czcicielem piękności... Widzę u jednéj oczy, które mówią do mnie językiem jakimś boskim... mogęż się im oprzéć? W drugiéj zachwycają mnie usta, których uśmiech drażni, porywa, nęci. Jedna ma rękę pełną tajemniczych, czarodziejskich uroków, palec do całowania przez wieki, inna nóżkę anioła... W każdéj z nich wielbię objaw piękności“ [2].

Pod względem żywości i barwności opowiadania lepszym od „Starosty warszawskiego“ utworem są „Grzechy hetmańskie“ [3]. Poznajemy tu znaczną część osób z poprzedniéj powieści, zmodyfikowanych cokolwiek pod względem charakterystyki. Bardzo liczne ustępy poświęcił autor zobrazowaniu stanu kraju podczas bezkrólewia po Auguście III, ale nie rozwinął ich tak, ażeby dać poznać dokładnie motywa działania ścierających się stronnictw,

[1] „Starosta warszawski", t. III, str. 108.
[2] Tamże, t. III, str. 90.
[3] Powieść ta drukowana była naprzód w „Kłosach“, następnie w książce oddzielnéj z ilustracyami Kossaka (Warsz. 1879, str. 216 w 4-ce).

lubo dobitniéj one tu są określone aniżeli w „Staroście“. Czartoryscy zyskali na tém, bo ich stronnictwo ma wszelkie cechy dobréj i rozumnéj organizacyi; gdy partya Potockich, z któréj czynnym widzimy tu hetmana Branickiego i Radziwiłła Panie Kochanku, znajduje się w stanie rozstroju. Gdy partya ta hałasowała tylko, odgrażała się, prawie pewna zwycięstwa, skupiała wojska, ściągała szlachtę, śpieszyła do stolicy; „familia“ tajemniczo przygotowywała się do zadania jéj śmiertelnego ciosu; „książę kanclerz (Michał Czartoryski), znający doskonale naturę kraju, z którym miał do czynienia, wiedział, że w próżnych poruszeniach, manifestacyach i okrzykach straci siłę do czynnego działania; on swoję oszczędzał i skupiał w cichości“ [1]. Wizerunek tego kanclerza, porywczego, despotycznego, ale rozumnego, należy do najlepszych części w powieści. Sposób jego postępowania ze szlachtą wybornie został scharakteryzowany. „Maleńkie skazówki — powiada Kraszewski [2])—starczyły kanclerzowi do przypomnienia sobie, jak stała rodzina, z któréj członkiem rozmawiał. Jeżeli się naprzód nie mógł poinformować o szlachcicu, książę, choć go nie pamiętał, przyjmował jak doskonale znajomego ogólnikami, któremi dobywał z niego to, co potrzebował wiedzieć dla poprowadzenia dalszéj rozmowy. Przyciskał serdecznie braci szlachtę do guzów swéj sukni, rozczulał się nad niemi, a że gadatliwi domatorowie skłonni byli do wywnętrzania się, kanclerz zawsze z nich wyciągnął to, co zręcznie potém użyte w podziwienie ich wprawiało nad osobliwszą pamięcią wielkiego pana. Miał i ten talent, że nielitościwie szydził sobie z tych poczciwców, tak że się oni bynajmniéj ironii nie domyślali. Dopóki chciał dobrym być, był ujmującym z temi, których sobie zjednać potrzebował; gdy mu się kto opierał, umiał być strasznym, nieubłaganym, a nawet brutalsko niegrzecznym. Słowem, z kanclerzem niełatwo sobie radę dać było, bo, ciągle zaprzątnięty wielkiemi planami, na małych ludzi patrzał, jak na narzędzia, których pogruchotanie mało go obchodziło“.

Z przeciwnego obozu najobszerniéj traktowany jest hetman Branicki, a potém Karol Radziwiłł i prymas Łubieński.

Branickiego maluje powieściopisarz jako zestarzałego i zużytego, który dość obojętnie zajmuje się sprawami kraju, pochłonięty zabawami w Białymstoku, „polskim Wersalu“, dawanemi, oraz zgryzotami, jakiemi napełniało jego duszę uwiedzenie w młodych latach szlachcianki dumnéj i ambitnéj, hartem woli i bystrością umysłu obdarzonéj Kieżgajłłówny, która znalazłszy opiekę i nazwisko dla syna w poczciwym Paklewskim, uczyła tegoż syna nienawiści i wzgardy

[1] „Grzechy hetmańskie“ str. 116.
[2] Tamże, str. 84.

względem hetmana-ojca. Kraszewski miał widocznie sympatyę dla Branickiego, a nie mogąc mu przyznać ani dzielności rozumu, ani odwagi rzucania się na radykalne zmiany w Rzeczypospolitéj, zaznacza w nim zalety serca pod grubą powłoką zmysłowości i nałogów pańskich. „Wspaniała—powiada—piękna, ujmująca postać Branickiego miała w sobie coś z tych bohaterów, którzy heroicznie giną są przeznaczeni, ale nie zdolają zwyciężyć. Był to marzyciel, lubiący żyć, świetnieć, poruszać się wśród oklasków, używać gotowego żywota, ale nowego stworzyć niezdolny. Dwie czy trzy odrębne w nim były natury, charaktery różne, z kolei występujące, gdy coś niewidzialnego dotknęło tajnych sprężyn, co je w ruch wprawić mogły. Był w nim magnat polski i szlachcic razem i francuski dworak a rycerz... W dni uroczyste stawał jako potomek rodu starego, hetman, pan krakowski, kawaler złotego runa, magnat, przed którym wszystko winno było bić czołem; w małém kółku przyjaciół dobrych stawał się serdecznym szlachetką; a gdy najechało Francuzów i zasiedział się z niemi, przysiądz było można, iż się rodził nad Sekwaną. Jako polityk, hetman hołdował ideom niejasnym, ale zdala świetnie się i olbrzymio przedstawiającym; wierzył łatwo temu, co mu miłém było; dawał się prowadzić w różne strony ponętnemi słowy. Na ostatek, któż wie? był może raczéj zmuszonym do roli politycznéj, niż jéj promotorem. Do téj potęgi hetmańskiéj kupiło się i cisnęło wszystko, co Czartoryskich nienawidziło lub się ich obawiało. Hetman, naciskany, party, drażniony i wyzywany, rad nie rad pochlebiającą mu przyjąć musiał rolę, która przechodziła siły jego“ [1]).

Dla Radziwiłła Panie Kochanku nie ma już Kraszewski w „Grzechach hetmańskich“ nawet tego małego stopnia sympatyi, z jaką go w „Staroście warszawskim“ przedstawiał; nazywa go wprost nieudolnym a płochym i wybornie określniki te ilustruje opisem oblężenia, jakiém opasał karczmę, w któréj żywa starościna i poczciwa trzpiotka Lola chwilowo w podróży zamieszkały.

Prymas Łubieński to cichy człowiek pracy, pobożny, prostego ducha, prawy, ale dający sobą powodować w rzeczach świata, które za mniejszéj wagi poczytywał. Gdzie zachodziły intrygi polityczne, „spiski owe otwarte, jakie za Sasów pod oczyma królów się knuły i plątały“, rad ustępował drugim miejsca; kunktator, rozważny, nierychło się na krok stanowczy decydując, był niejako biernym tylko widzem wypadków. Rządził nim właściwie ambitny, nie przebierający w środkach ksiądz Młodziejowski, który nosił swą suknię „z rubasznością i swobodą świeckiego człowieka; twarz, oczy, wydatne usta rumiane śmiały się do życia; nic znać na nich było umartwienia, ani powściągliwości; odrobina sarkastycznego uśmieszku, jak pajęczyna kwiatek, osnuwała usta; wzrok pojętny, przenikający, badał, a badać się nie dawał; było w nim „i dumy trochę i wiary w siebie i pogardy dla świata, nie chrześcijańskiéj i pobożnéj, ale téj która ze słabości gotuje się korzystać“. Ksiądz ten, wyglądający dworaczo, cudzoziemsko i trochę za swobodnie, „więcéj miał może temperamentu gorącego, niż przebiegłości i rozumu“.

[1]) „Grzechy hetmańskie“, str. 20, 21.

Całkiem odmienna jest postać innego księdza, o. Elizeusza, którego przeor usuwa od kazalnicy i konfesyonału, dlatego że wszystkim mówił prawdę gorzką bez względu na ich stanowisko światowe. Podniosła ta postać i dobrze narysowana, odpowiada pod względem moralnym Schrammowi i Zinzendorfowi z poprzednich powieści; wyrzekłszy się majątku, wstąpił do klasztoru, zalecał i praktykował pobożność w czynach, nie w modlitwie tylko, przewidywał i przepowiadał nieszczęścia, z płochego życia na kraj spłynąć mające.

Nadzwyczaj silnie odskakuje od wszystkich dotychczas wymienionych powieści z czasów saskich, „historya szlachecka“, jak ją Kraszewski nazywa, albo raczéj anegdota p. n. „Pan na czterech chłopach“ [1]). Tam przypatrywaliśmy się obrazom zepsucia, rozprzęgnięcia węzłów rodzinnych, wyuzdanych namiętności, cnotę zaś, uczciwość, zacność zaledwie gdzieś w kątku się spotykało; tu przeciwnie mamy prawie samych ludzi zacnych, skromne obyczaje, dużo pobożności, sceny wszystkie tchną przyzwoitością. Oprócz chęci zaznaczenia, że i za czasów saskich nie wszystkie warstwy narodu i nie wszystkie osobistości zarażone były atmosferą dworską, wiele wpłynęło na takie zobrazowanie obyczajów i ta okoliczność, że powieść przeznaczona była dla „Kroniki Rodzinnéj“, która w wielu domach bywa dawana do czytania młodzieży dorastającéj, mieścić więc w sobie nie może scen gorszących; Kraszewski w ostatnich kilkunastu latach zwykł był z wyborem tematów stosować się do charakteru pisma, które zażądało od niego powieści. Treść sama „Pana na czterech chłopach“ bardzo jest szczupła i daje się ująć w kilku słowach. Zubożały, poczciwy, ale buńczuczny Felicyan Sobek herbu Brochwicz podobał się ze swéj przytomności umysłu i śmiałości podskarbiemu Flemingowi, pasyonatowi, szydzącemu ze szlachty drobnéj, ale mającemu poczucie sprawiedliwości i lubiącemu wynagradzać krzywdy, przez popędliwość wyrządzone. Wskutek obmowy traci jego łaskę, śmiałemi odpowiedziami i zachowaniem się odzyskuje ją znowuż a z nią razem rękę wychowanki Czartoryskich, Anusi Sieniawskiéj, którą kochał wytrwałym sentymentem. Opisy dworów w Terespolu

[1]) Drukowana naprzód w „Kronice Rodzinnéj“, następnie w książce 1879, str. 195.

i w Wołczynie, obrazek burzliwego sejmiku w Brześciu, na którym Sobek ocalił Fleminga od szabel szlachty na Niemców zażartéj, opowiadanie o ślubie podskarbianki z Czartoryskim, o gospodarce Sobkowéj, o jego poczciwym i w granicach przyzwoitości trzymanym afekcie wypełniają tę historyę szlachecką, okraszoną dość często żartem jowialnym. Do najlepszych ustępów należy opis wjazdu olbrzymiéj landary Fleminga do szczupłéj zagrody Sobkowéj, w któréj płot trzeba było rozgradzać, ażeby przejść mogła [1]).

Taka jest treść i artyzm powieści Kraszewskiego z czasów saskich.

Poruszył w nich nadzwyczaj wiele stron życia politycznego i obyczajowego, odrysował mnóstwo postaci tak historycznych jak i prywatnych, ujął wiernie, zgodnie z prawdą dziejową fizyognomią epoki, ukazując pokolei różnorodne jéj rysy; rozwijał przeważnie obrazy o ciemnych barwach pod względem moralnym i umysłowym, gdyż tak było w rzeczywistości; nie zapomniał jednak, że obok cieni zawsze i wszędzie są światła i światełka; dlatego zarówno ze względów etycznych jak i artystycznych na ponurém tle rzucał tu i owdzie smugi jaśniejsze, a jednę powiastkę prawie całkowicie wypełnił ludźmi dobremi.

Jednę tylko można zrobić uwagę ogólną co do tła dziejowego. Kraszewski w żadnéj z nich nie postarał się odtworzyć tych usiłowań, jakie od czasów Konarskiego w kraju dążyły do szerzenia światła w narodzie, do podniesienia wychowania i wykształcenia, do przeciwdziałania przesądom i uprzedzeniom, do poprawy Rzeczypospolitéj wogóle;— a przecież były to sprawy ważne i doniosłe. Wystawiając Czartoryskich, nie skreślił wyraźnie ich programu, ograniczył się tylko na ogólnikach, a uwydatnił więcéj ambicyę ich i chęć przewodzenia niż dbałość o dobro kraju. Nazwisko Konarskiego zaledwie wzmiankowane, a o Załuskich, Jabłonowskim, Drużbackiéj, Bohomolcu, ani słowa.

Nie możemy więc powiedzieć, żeby powieściopisarz nasz skreślił w 13 roztrząsanych tu powieściach obraz zupełny i dokładny czasów saskich; satyryczny jego nastrój więcéj zawsze był skłonny do przedstawiania stron ujemnych życia, a skłonność ta wyraziła się dobitnie i tutaj;—lecz pewne części takiego obrazu wykonał w sposób świetny artystycznie i pouczający dziejowo.

Piotr Chmielowski.

---

[1]) „Pan na czterech chłopach", str. 16—22.

HRABINA COSEL.

I.

Na królewskim zamku w stolicy saskiéj, jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieniegdzie liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, dni bywają weselsze jeszcze, a nocy jasne i ciepłe...

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianém tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, zgasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się straże milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba w całéj Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa wrócił na kurfirstowskie gniazdo, opłakiwać swe straty... wysypane próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć, by tak szlachetnego i miłego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniéj to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niéj, o królu Szwecyi i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezno po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku: dlaczego? nikt nie wiedział. Król

przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że na przekór Szwedowi, August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowiéść, że swéj chwilowéj przegranéj nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuwający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże minąwszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie...

Straże tu nie wpuszczały nikogo...

Na pierwszém piętrze, mimo wichru, okna były szeroko poodmykane, z za obsłon, któremi napół tylko były okryte, rzęsiste światło jarzące migało, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury... powoli słabém obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle, jakby po przebrzmiałéj mowie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim szyderczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła, pod oknami stawała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię...

Strasznego coś było w téj uczcie nocnéj, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącéj stolicy...

Tam król się weselił...

Od powrotu z Polski, takie uczty wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufałych ludzi — nazwijmy ich przyjaciołmi — bywały częstsze niż dawniéj; August Mocny, zwyciężony przez dziwacznego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach: zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgrzyna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzeseł pospodali, a króla, Hoffman pod rękę, śmiejącego się, do łoża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa madiarskiego, niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach, dla tych, których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał Herkulesową...

gniew olimpijski a władzę nieograniczoną... W dnie powszednie, zrana, gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły i wargi zadrżały, odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozpromienił; ale po kielichu... niejeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać...

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłém życiu nie było łagodniejszego pana, ani słodszego, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniéj znosił, tém dlań uśmiech miał milszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ściskał ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się, toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryźli... Ten rodzaj rozrywki najmilszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinneć to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem; nawet co zamyślał który z dworaków, jeśli nie wiedział, to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tém, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzał zgóry na komedyę życia, nie gardząc w niéj olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.-

Tego wieczora właśnie król się czuł tak smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconéj sali, któréj jednę ścianę zajmował srebrem i puharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą; długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niezrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozśmieszyć choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan...

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną, oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim... Kilka flasz próżnych świadczyły, że biesiadować nie teraz dopiéro poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozrzucił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić: nic to nie pomagało; August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu stołu siedział niepozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzdychał.

Był tak smutny, że się wydawał śmiesznym...

— Słuchaj — szepnął Fürstemberg, trącając łokciem Wackerbartha (oba już byli dobrze podchmieleni) — widzisz ty najjaśniejszego pana? Źle jest, nie może go dziś nic rozweselić... jedenasta godzina... do téj pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Ja-m tu gość — odparł Wackerbarth ruszając ramionami— to nie moja rzecz: wyście znając go lepiéj, środki skuteczniejsze obmyśléć powinni.

— Znudził się Lubomirską... oczywista rzecz... — dodał z boku Taparel.

— Nie, bo, przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno — szepnął pocichuteńku Wackerbarth. — Ja mu się nie dziwię.

— E! e! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem; pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjdziem tylko zbierać owoce... — począł trącając w kielich Fürstemberg — nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskiéj ma dosyć... trzeba mu inną znaléźć.

— Czyż o to trudno? — szepnął, ramionami ruszając Wackerbarth...

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterlę wyszukać... — rozśmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słychać nie było, bo król zdawał się przebudzać, jakby ze snu, i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem.

Niepotrzeba było więcéj, ażeby cała sala za nim powtórzyła

śmiech echem, choć połowa ze współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego najjaśniejszy pan rozśmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan! — krzyknął król—co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjaciel wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgasł od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan! co ci jest? — zapytał król.

— Najjaśniejszy panie — odparł baron — osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

— Cóż się stało? mów! — począł król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! — odparł poważnie Kyan — tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożém obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałém, z męstwem niezłomném, stworzony, aby świat ci u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda — rzekł August chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśnieje, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem radbyś odetchnąć w wesołém kółku, przynoszą ci wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaż mnie, co cię kocham, rozpacz porywać!

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybiegły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj Tramm — zawołał August — każ podać gąsior ambrozyi! Kyana robię podczaszym. Wino, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozyą zwał się węgrzyn królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał; było to wino nad wina, niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzyma.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny murzyn we wschodniéj odzieży, na srebrnéj tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

— Kyan, gospodaruj — zawołał.

Kyan wstał... karły niosły na drugiéj tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małemi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwilce zjawili się z nowém szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, która zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jął się ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości, królewski; dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministeryalne kielichy, po-za niemi drobniejszych rozmiarów jak na żart, niby naparstki w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki... śmieszne. Wszyscy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Nie wiele one napozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Koléj szła na ministeryalne. Wśród powszechnego milczenia, podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał spełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski, wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

— A! dobry z waćpana podczaszy! — rozśmiał się król — dla ciebie ja jestem ostatni. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru — jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią co dzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoję kieszeń nalewa, potém starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar, tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.

— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozyą. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; z ukosa spoglądano na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czém inném — zawołał.

Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — godzina nadchodzi, w któréj o niczém innéin mówić się nie godzi, tylko o tém, co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale — poparł król — każdy niech swoję kochankę opisze... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się, wymówił król te słowa; po twarzy Fürstemberga przebiegł grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo — odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec — dowodzi tylko, że przed okiem argusowém naszego najmiłościwszego pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy panie! — dodał ręce składając Fürstemberg — proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Nie! nie! — poczęto dokoła. — Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstemberg!

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziesto-letniéj wdowy po jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że z pod różu i bielidła twarzy jéj widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, naglić tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i wskazując na Fürstemberga, powtórzył:

— Niéma litości, maluj tę malowaną kochankę, któréj palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi, młody roztrzepaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie — zawołał — możeż mi kto zaprzeczyć, znaż kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jéj jednéj nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jéj dojrzała, jaką jest, pozostanie nazawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jéj kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy niemiłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyżółkły... w téj chwili dopiéro po ambrozyi nieco rumieńca nabierał. Hoym słynął z donżuaństwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, iż się ustatkował. Chodziły wieści, że się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jéj nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmę-

czony, przez dni kilka dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napiły. Poznać to było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysileniach z jakiemi dźwigał ręce ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całéj postawie zdradzającéj, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towarzyszów, ministra od akcyzy schwytać w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

— Koléj na Hoyma! — rzekł król. — Hoym — dodał — znasz mnie, niéma wymówki. Wiemy wszyscy, żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz; po-za te ściany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

— Hę! hę! — zaśmiał się.

Zcicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już napiłym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— Hę! hę! — począł bełkocząc — chcecie wiedzieć, jak wygląda moja kochanka... ale ja, mili panowie, nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginią!

Rozśmieli się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

— Śmiejcie się — mówił Hoym — kto jéj nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i Wenus obok niéj wydałaby się praczką z przedmieścia. Mogęż ja ją opisać? W jedném jéj oku czarném jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzéć mu się nie potrafi. Postać jéj, Praksytelesa dłutoby zawstydziła... na jéj uśmiech niéma wyrazu, ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita co dzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

— Opisz-że ją lepiéj: to są westchnienia, nie obrazy.

— Któż opisze doskonałość — dodał Hoym z podniesionemi w sufit oczyma... Wszystkie piękności ma, a żadnéj wady.

— Gotówem uwierzyć, że piękna — zawołał Lagnasco — jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niéj kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest! — przerwał Fürstemberg. — Jakto? piękniejsza od księżnéj Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwém okiem mierząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niéma innych względów nad prawdę... piękniejsza od Lubomirskiéj?

— Najjaśniejszy Panie! — krzyknął unosząc się Hoym — księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest boginią. Na całym dworze, w całém mieście, w całéj Saksonii, w Europie drugiéj takiéj niéma.

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek!...

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod wpływem ambrozyi, zapomniał się, gdzie był i przed kim to mówił.

— Śmiejcie się — zawołał — znacie mnie przecie wszyscy; sami mnie Don-Żuanem nazywacie: oddajecie mi tę sprawiedliwość, że na piękności niewieściéj nikt się lepiéj nie zna nade mnie. Dlaczegóżbym miał kłamać?... To bóstwo nie kobieta; dość jednego jéj oka, aby w najzimniejszém łonie pożar zapaliło; jéj uśmiech...

To mówiąc, spojrzał mimowoli na króla. Wyraz twarzy Augusta chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był się cofnął... lecz nie mógł sobie zadać kłamu, i jak stężały zamilkł pobladłszy...

Próżno śmiechami i wywoływaniami starano się go zmusić, by szedł daléj. Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozyi, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! — zawołał Fürstemberg — teraz zdrowie Najjaśniejszego Apolina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał chwiejąc się i musiał oprzéć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Po-za krzesłem królewskiém stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieszczotę nazywał i w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apolo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen — rzekł cicho — akcyza nie kłamie, od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał... Użyj takich środków, jakich chcesz, niech kosztuje najdrożéj, ale ją trzeba widzieć.

Fürstchen się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu i innym na rękę.

Panująca dotąd królewska kochanka *en titre*, księżna Teschen *), miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnajskiéj ulicy odziedziczyła... a Fürstemberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiéj przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiéj nie zbyt świetna, nieco przekwitająca, jéj pańskie obejście się i ton, zaczynały nudzić króla, który wolał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednéj chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha...

— Kochana akcyzo — zawołał głośno — wstyd mi za ciebie, kłamałeś bezwstydnie i to wobec króla jegomości; żartowałeś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra jak ty i kobieciarza, nie może być koczkodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnéj Teschen ją porównać, to były żarty!

— Com mówił — rzekł z gniewem — to była prawda! *Tausend donner wetter! Potz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufałéj król wszystko przebaczał; po pijanemu prości śmiertelnicy chwytali go za szyję i całowali, nie lękając się, by ich Goliat zdusił w objęciach...

— Stawię tysiąc dukatów w zakład, o! — krzyknął Fürstemberg — że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpaczy...

— Trzymam zakład! — zgrzytnął zębami blady i pijany — trzymam...

— Sędzią... ja będę sędzią! A sądu zwlekać się nie godzi — wyciągając rękę dodał August. — Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowéj ją przedstawi...

— Hoym! pisz! Kuryer królewski powiezie list do Laubegast...

— Pisz list... natychmiast! — zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron...

W jednéj chwili podsunięto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiéj, sam nie wiedział, jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktoś po wschodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

*) Cieszyńska.

— Fürstemberg — szepnął August — ja widzę po Hoymie, że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła: trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam — dodał książę.

— A ja nie — spokojnie rzekł król — czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takibyśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmieszek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano ambrozyą różnemi z flaszek podstawionych kryjomo dobywanemi płynami, i w pół godziny... Hoym blady jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartemi, spał, leżąc na stole... Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczéj niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali, po wyniesieniu tego trupa, rozpoczęła się dopiéro bachanalia przy zamkniętych drzwiach, w ciaśniejszém kółku, któréj świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy, aż do najdrobniejszego, są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko, aby ochłodzić głowę, i zamyślił się głęboko... mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się téż wdawała w politykę... mogła opanować króla... Na co mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jéj powołanie...

Zobaczymy Hoymową...

II.

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka dom-

ków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzać wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod nieobecność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie owego czasu, z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanemi ozdoby i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy mularze okrasili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała krata żelazna w słupach murowanych, na których stały piękne wazony kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu z galeryą kamienną, przybraną w wazony i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych sług, ani ruchawego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to wistocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytem zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiéj piękności. Młodziuchna kobieta, wysokiéj i szlachetnéj postawy, biała jak marmur, z czarnemi, jasnemi, bystremi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swéj młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutną przy téj powadze, jak żałobny posąg zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jéj oko ni usta, nigdy nie spojrzała weseléj w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani się poiła ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzoną. Wiedziano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo, oprócz siostry Hoyma Vitzthumowéj, któréj brat téż rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostania w nich dłużéj, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niéj usuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jéj jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jéj zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w niém nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niéj. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie, i chciał ten skarb mieć zatajony przed oczyma ludzkiemi. Tylko, gdy króla i dworu nie było w Dreznie, pani Hoym miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, żółcią, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwacznym. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękną i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech, i ci co ją zdala widzieli, nie daliby jéj z twarzy, dziecinnéj niemal, ani ośmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszém życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowéj gniewała. Gniewały ją inne jeszcze w niéj przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swéj potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby jéj nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jéj wzajemnie, wstręt do niéj czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samę panią Vitzthum, pocichu szepczącą nieraz tajemne skandaliki, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był jéj wiernym. Mogła go łatwo jednėm czulszém wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jéj pewną: nie chciała. Wydał się jéj już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną gdy przyszło do otwartéj kłótni, czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dni w Laubegast... Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodziny. Lecz rodzina nie była jéj bardzo przychylną, ojca i matki nie miała oddawna, a księżna Brunświcka z domu Holstein Plön, czyby ją była znowu przyjęła? Głośne tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniéj jeszcze Anny, którą książę Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jéj

piękności cudnéj, chciał pocałować i — dostał publicznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziać biédna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którém trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat przechadzając się ponad brzegami Elby, nad któremi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tém swém ustroniu, że ją żadne niemal nie spostrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczéj wisiał niż trzymał się na dworze Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótł w ręku puhary, łamał talary i kruszył podkowy; przy obiedzie w Piekarach po odbytéj ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiéj, źle jakoś wróżyć się zdającéj przyszłości Rzeczypospolitéj, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiéro początki jego w Polsce — rzekł tylko, iż ciekawy był widziéć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę, pochodzącego bodaj z wielkiéj a niegdyś bardzo zamożnéj rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa, po koronacyi przedstawić. Ale rzecz, przy tylu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup-by jéj nie wznawiał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralelą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jakotako u jezuitów dokończył, wałęsał się sam nie wiedząc co począć z sobą. Do wojskaby był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczéj staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieści , udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelaryi. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani prrzyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nie rad musiał kazać oporządzić od stóp do głów i dopiéro sam obej-

rzawszy, że mu wstydu nie zrobi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściéj z tą siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobréj myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „a gdzież wasz siłacz, mój ojcze?“ Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębczak, smukły, rumiany, hoży, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim Herkulesem. August spojrzawszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcic, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiéj. Rozmówić się z nim inaczéj jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puhary srebrne jednakowiusieńkie przed królem; wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiął i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

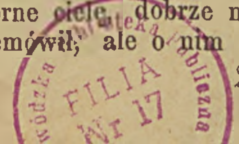
Szydersko się uśmiechając, podsunął sam drugi Zaklice i rzekł:
— Probuj, jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą; chwilkę się niby ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiéj odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowie przytomni jęli dowodzić, że puhar z cieńszéj był blachy, albo nadkruszony...

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował we dwóch rękach i złamał tuż. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się téż i rozpalił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darował; a potém namyśliwszy się powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędzik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz, aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów niebożątko Zaklika; dano mu kilkaset talarów pensyi, barwę co się zowie wspaniałą, żadnéj roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne ciele, dobrze mu było. Król wprawdzie słowa doń nie przemówił; ale o nim pamię-



tał, pytał i nakazywał, by mu na niczém nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuszczyzny słuchać, jął się obojga języków uczyć bystro i we dwa lata już niemi dobrze w gębie obracał. Ano z tego próżnowania i że żyć z szołdrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy... *abyssus vocat.* Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednéjto z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... właśnie o téj godzinie wyszła Anna hrabina Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, odrazu zamarł z admiracyi; tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tarł, myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy patrząc, a patrząc... i napatrzyć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie do syta, a im dłużéj patrzył, tém więcéj widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy szał, dosyć, że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu téż komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo; w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłupiało. Kobiety służące u dworu u pani Hoymowéj, które wyszpiegowały go a domyśliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tém i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jéj go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła, że się niepotrzebnie włóczył, a zakazała, aby więcéj nogą około dworu nie postał.

Że przy téj rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego znać ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał, iż choćby go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się tupiąc nóżką pani Hoymowa, grożąc, iż go mężowi przeskarży, a nic go to nie nastraszało. Potém się kilka tygodni z téj strony, z któréj ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła od Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnéj rzeki, stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyła, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, ano nie prawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną téj piękności pasł i pasł. Już czy jéjmość o tém wiedziała czy nie, nie było słychu, a nie mówiono więcéj o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król byłby może nawet rad, żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król dużemu koniowi z wielkiego gniewu w jaki wpadł, głowę jednėm cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaże. Przyprowadzono szkapę starą z pod dragona, twardokościstą. Dawano pocichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby, jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było już wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł — jak to mówiono — nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla, panów i wielkiéj ciżby osób, popróbowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwalił jak brzytwą... Mówił, że go potém tydzień ręka bolała w ramieniu — ale nic — król słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzyą. Na Zaklikę nikt i nie spojrzał już, a dworscy słudzy, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małém czém spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zląkł... Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować, wiele wina strzyma; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklankę piwa, wina kieliszeczek—daléj nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puhar węgrzyna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potém do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszéj jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wyglądanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna, hrabina Hoymowa, która o wszystkiém mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspominała, zdając się go już nie widzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i drągi, jak było we zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, słudzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużéj przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tém nie wiedział...

Téj nocy właśnie gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych

polach jesienny wiater bujał, w Laubegast tak go słychać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśléć.

Piękna Anna rozebrawszy się, czytała w biblii, bo to jéj było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy świętego Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jéj pokoju, gdy tętent dał się słyszéć za domem, a potém jakby kto bramą żelazną targał, i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieulęknionego ducha pani poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy późniéj zbiegali i po górach się kryli tułając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyją późniéj płacić im przyszło, gdy na nich obławy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dźwięczéć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiéro zobaczyli, że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służką. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał...

Gdy go jéj przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu, iż coś złego stać się musiało: pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną, na liście uspokoiła się. Przyszedł jéj tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednéj nocy do Koenigsteinu i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz pocichu spowiadał się jéj z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedzioną to było rzeczą, iż król gdy najczulszym się okazywał, najwięcéj się go obawiać było potrzeba, uśpić bowiem pragnął, nim ofiarę swą strącił ze szczytu i lubował się patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jéj męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie postrzegłszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła... posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość téż wiodła... Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast nazawsze się za nią zamknęły...

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czuła się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jéj na łzy zbierało. Nie wiedziała, co jéj groziło i czy jéj co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu, po kilkoletniéj niebytności, wiedziano wszędzie. Z niemi razem powracały do Drezna intrygi, podstępy, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnemi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy napozór lekkie i wesołe, a wistocie tragiczne...

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych, co zwyciężyli... Nieraz zdala patrzała Anna na siną górę Koenigsteinu, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedzały pochodnie dworskie i konie pędziły... ani opatrzono się, jak stanęła kareta na bruku u domu przy Pirnajskiéj ulicy. To téż choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokojów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarye i całe izby papierów... Gabinet ministra przytykał do ogromnéj sali, ozdobnéj wprawdzie, ale ciemnéj, ponuréj i smutnéj. Nie zastawszy męża w domu, tém więcéj się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją upewnili, iż to była *noc królewska*, i że przy téj zabawie zwykle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużéj, niekiedy dni i nocy parę. Zmuszona szukać przytułku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaléźć sobie jakiś kątek. Obrała gabinet z drugiéj strony kancelaryi ministra położony, oddzielony od innych pokojów i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy, zaryglowawszy się ze sługą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem...

Dzień już był biały, gdy usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stąpanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża i w cichości co najprędzéj poczęła się z pomocą sługi ubierać...

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jéj wdzięku dodawał. Znużenie podróżą, niepokój, gorączka, podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającéj. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otwarła je, i stanęła w progu.

Naprzeciw niéj, zamiast męża, stał człowiek zupełnie jéj nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niéj uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnéj, długiéj sukni protestanckiego duchownego, nie młody, z głową wypełzłą i błyszczącą, około któréj nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Zżółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak, iż żyły rysowały się wszędzie wypukło... Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytém, nadawały téj twarzy ani pięknéj zresztą, ani znaczącéj, coś tak wybitnego i zajmującego oczy zdumione, iż mimowoli oderwać ich od niéj nie było można.

Patrzała na niego Anna, ale i on jakby zjawiskiem téj kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionemi w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom...

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły zdumieniem napół, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty, zupełnie sobie nieznane, badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się szukając oczyma męża... Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

— Kto ty jesteś?

III.

— Jabym to prędzéj was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym? — powtórzył zdumiony duchowny—jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrzał na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszéj litości, patrzał długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonemi powieki: złożył ręce jakby z rozpaczy i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się ożywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakiémś wielkiém wyrastać, stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niéj onieśmieloną, małą, zdziecinniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakiémś natchnieniem wewnętrzném. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód...

— Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swéj, jako pięknéj cnoty naczynie, ty pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząśniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawołał jakby nagle rozogniony miłosierdziem. — Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym, co tak piękne dziecię boże cisnął w ten świat plugawy?! Czemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niestrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała słuchając, lecz głos starego takie na niéj czynił wrażenie, iż uczuła się może pierwszy raz w życiu podbitą i onieśmieloną. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił daléj:

— A wiesz-że ty, gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia, na któréj stoisz, chwieje się pod stopami twemi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż za przestraszające obrazy kreślisz, mój ojcze — odezwała się wreszcie Hoymowa — i dlaczego mnie niemi chcesz zatrwożyć?

— Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę, żeś bezpieczna, niewinnna i nieświadoma tego, co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się odpowiedziała Hoymowa...

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość twoję, bobyś tak nie wyglądała — uśmiechnął się boleśnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi... ledwiem zdała widziała Drezno...

— A nic chyba nie słyszała o niém... — dodał stary i wstrząsł się. — Wszystko, co mi mówisz, przeczytałem na czole twém, w wejrzeniu — rzekł smutnie. — Bóg mi czasem daje zajrzéć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałem zdjęty widząc cię, piękna pani; zdało mi się, że patrzę na lilię białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Bogu...

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu... w jéj oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojcze mój — rzekła — ty któż jesteś?

Stary zdawał się nie słyszéć, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem? — rzekł — kto ja jestem? nędzna istota grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy, lub się z niéj

wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy... jam ten, który przepowiadam upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem?—naczynie w ręku bożym, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią błotem, ten którego proroctw nikt nie słucha... nędzarz wśród bogaczów... ale praw i czysty przed Panem... ale spokojny wśród szałów, z modlitwą na ustach wśród rozpusty.

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym... Spuścił głowę.

— Dziwne zrządzenie — odezwała się Anna nie odstępując od niego — po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrogę i oznajmienie... Nie jestże to palec boży?

Wstrzęsła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! — powtórzyła.

— Opatrzne... — rzekł stary — a biada tym, co litościwéj bożéj nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? nikt! ubogi od kościoła kaznodzieja, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowię się Schramm... Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwolił?

— Własny mąż! — rzekła Anna...

— Proś go, niech cię uwolni — szepnął, oglądając się trwożliwie duchowny. — Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki... tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitemi pajęczynami, uśpią, upoją... zawrócą głowę melodyą pieśni, ukołyszą serce bajaniem... złudzą oczy bezwstydem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spojona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

— Nie — zawołała — nie jestem tak słabą, jak sądzicie, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań z góry... niżéj on ode mnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała — odparł Schramm — nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła... Królewskie w niém posągi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami... Idź stąd... idź, idź; szkoda ciebie i białéj niewinnéj duszy twojéj...

To mówiąc ręce wyciągał, jakby ją chciał wygnać i przyśpieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pełen uśmiech błąkał się po jéj ustach.

— A gdzież ucieknę? — zawołała — Los mój połączony jest z losem tego człowieka... oderwać go odeń nie w mocy mojéj... Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się, co mi wyznaczono... tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzał, stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca...

W téj chwili otwarły się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajszego niekorzystnie się już wydawał; dziś po białym dniu, po nocnéj gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzéj jeszcze... Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachetnego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznemi zmianami, konwulsyjnie po niéj przebiegających wyrazów z sobą najsprzeczniejszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały, ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniły... I w téj chwili, ujrzawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzeczniejszych jakichś uczuć. Uśmiechnął się jéj i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, nasrożył się... ale się zwyciężył i zawahawszy, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz...

— Szaleńcze, fanatyku, komedyancie przebrzydły — zawołał nie witając się nawet z żoną — znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? wiem wszystko, pójdziesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynię, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić! — dodał zapalając się— podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzie do kąta, bo tuby cię daléj co gorszego spotkać jeszcze mogło... Ha! myślicie! — ciągnął daléj, zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz — myślicie, że tu, na dworze wolno wszystko, i że to, co wy nazywacie słowem bożém, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodyczy nawykłym? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apo-

stołów nawracających pogan?... Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocalę... gubisz się sam...

Duchowny niezachwiany bynajmniéj, spokojny stał, patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem bożym — rzekł — ja-m poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niéj... niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiał się Hoym — toby było zawiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i oplwawszy wyświecą.

— Więc pójdę — odezwał się Schramm—ale dopókim tu jest, ust nie zamknę...

— I kazać będziesz głuchym!... — szydersko dodał minister, ruszając ramiony. — No, dosyć tego, rób, co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie... Ja-m ci to przepowiadał, Schramm... milczéć trzeba umiéć, umiéć pochlebiać lub ginąć podeptanym... Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzał na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącém zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzał, oderwał wzrok ku niemu...

— Żal mi cię — burknął krótko — idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w biblii i trzymaj język za zębami: ostatni raz ci to radzę...

Schramm prawie nie słuchając wyszedł... małżonkowie zostali z sobą sam-na-sam...

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddawna źle z sobą byli; widocznie nie wiedział od czego począć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwycił rękoma dwa końce peruki swéj i targał...

— Pocóżeś hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle? — zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Poco? — podnosząc oczy zawołał Hoym, poczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany — poco? bom był szalony! bo mnie ci niegodziwcy spoili, bo nie wiedziałem, com robił! bom głupi, bom waryat! Tak! waryat! — powtórzył.

— Więc mogę nazad powrócić?... — spytała Anna.

— Z piekła się nie powraca! — zaśmiał się Hoym — a waćpani z łaski mojéj w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło...

— A! tak! istotnie oszaléć przyjdzie — mruknął — lecz z królem niéma wojny...

— Jakto? król?

— Król! Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wié, własna może siostra... spiknięci na mnie... Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żem ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

— Któż im o mnie powiedział? — zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta; zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzesełka... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dosyć tego — rzekł cicho zniżając głos — mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć; król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmią sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskiemi stopy depcze skarby cudze i rzuca je w śmiecisko... na to niéma ratunku, jak na śmierć...

Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się kto nie odezwie.

I począł znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założyłem się z księciem Fürstembergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesyi pięknych role grają. Nieprawdaż, żem był głupi? Pozwalam, byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzgardą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio — krzyknęła w gniewie. — Jakto? wy! wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie mnie teraz jak komedyantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? To najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów, co chcesz — rzekł Hoym z boleścią — wart jestem, zasłużyłem... Wszystkiego zamało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Załamał ręce: Anna zamilkła i patrzała.

— Ja jadę do domu — rzekła — ja tu nie pozostanę, wstydziłabym się sama siebie... Koni! powóz!

Rzuciła się ku drzwiom: Hoym stał uśmiechając się gorzko...

— Koni! powozu! — powtórzył — ale waćpani nie wiesz chyba, gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie ręczę, żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójdą złapać cię i odprowa-

dzić... nikt nie odważy się wieźć... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz, gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzał na nią z jakiémś uczuciem niewysłowionéj zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

— Nie — rzekł dotykając zlekka jéj ręki — posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówię, jak przeczuwam; mówmy z flegmą i rozsądnie... Giną tu ci, co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... przybrać postawę odrażającą...

Tu zniżył głos...

— Znasz pani historyą naszego najmiłościwszego pana a króla Augusta? — zapytał się z dziwnym uśmiechem. — Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska... Niéma drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy... niéma, którýby potrzebował bawić się drożéj, nieustanniéj i dziwaczniéj. Łamie podkowy i kobiety, i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ściskał wczoraj, zamyka na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniéj godziny, aby rusztowanie osłodził... Serce ma najlitościwsze, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba...

Mówił coraz ciszéj, a trwożliwemi oczyma biegał dokoła...

— Znasz pani historyę jego! a! ciekawa bardzo — szeptał daléj — lubi kobiety coraz świeże... coraz świeże, jak smok ów w bajce, żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą... a on je pożera... Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atłasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewéj ręki, jabym ich naliczył dwadzieścia... Königsmarck jest jeszcze piękną, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogoby pożarł! Dobry pan! łaskawy pan! — dodał śmiejąc się — wszakże zabawić się musi, wszak dlatego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko; piękny jak Apolo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz? — wybuchnęła oburzona Anna — maszże mnie za tak nizko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znasz! to obelga!

Hoym patrzał z politowaniem na nią.

— Znam moję Annę — rzekł z uśmiechem — lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojnym...

— Alem przysięgała wam, to dosyć — odezwała się z dumą kobieta — nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Słowo jest czémś więcéj niż serce, bo serca ja nie jestem panią, a słowu memu ja-m królową. Takie kobiety, jak ja, nie łamią przysięgi...

— Łamały i takie dla blasku korony — rzekł Hoym—księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką — zawołała — sromu na czole nósić nie umiem.

— Srom! — rzekł Hoym — a! to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy — przerwała kobieta z gniewem. — Sprowadzasz mnie tutaj sam... i karmisz takiemi groźbami...

Wzruszenie nie dozwoliło jéj mówić dłużéj. Hoym się zbliżył z pokorą:

— Daruj mi — odezwał się — głowę straciłem, nie wiem, co czynię i co mówię... to dzikie domysły i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowéj. Mnie się zdaje — zcicha począł spuszczając oczy — waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękną... Ja chętnie zakład przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancya, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze... Drezno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwém postępując ku oknu.

— Każesz mi więc grać komedyą dla ocalenia swojego honoru, postawiwszy go na kartę, o tysiąc dukatów!—zawołała z uśmiechem ironicznym — ale ja nie cierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancya Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na łaskę pańską biorą i dają spodlić dla garści brylantów. Nic masz się czego obawiać... bądź spokojnym... Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamilkł i pobladł.

— Pani na balu tym być musisz—rzekł głosem stłumionym — tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moję... Król kazał...

— A ja nie chcę! — odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemu? — spytał Hoym.

— Dlaczegóż nie? panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Cóż mi uczyni?

— A! wam nic — rzekł niespokojnie minister — nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci: nędza, śmierć.

Zakrył sobie oczy rękoma.

— Wy go nie znacie — szeptał cicho — on się uśmiecha i jaśnieje jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoym — odparła Anna — iż ta groźba waszéj zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna...

Hoym posunął się za nią blady.

— Na miłość bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może... zaklinam was.

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnąwszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy po-za nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabinéj, a po-za nią żywo szpiegujące go oczy siostry.

Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechném. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczéj ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nad wyraz, dał znak słudze, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabinéj, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nic miała w sobie nic przerażającego; przecież na widok jéj blada już twarz Hoyma, zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w niéj groźbę zobaczył...

Siostra jego, pani Vitzthum towarzysząca hrabinie Reuss, mogła to łatwo dostrzedz w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko w zamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie — ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss — jakże to być może! Żona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchen dopiéro dowiaduję się o tém.

— Jakto? — krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia — i Hülchen już wié o tém?

— A! — zawołała wchodząc pani Reuss — i ona i cały świat i wszyscy o tém tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednéj kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niéj, jak znawca pięknych koni patrzałby na zwierzę na targ wyprowadzone.

— Jak się masz, droga hrabino? — rzekła wyciągając ku niéj obie ręce. — Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowéj... pustelnico moja śliczna... przybywasz dziś, nie znasz Drezna... każże mi sobie pomódz. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszyno...

W czasie tego przemówienia, ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale niezatrwożona, jakby tu panowała oddawna.

— Dziękuję wam pięknie — odezwała się spokojnie — właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością, czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka!

— Nie życzyłabym ci tego pretekstu używać — odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu podawszy jéj rękę przeprowadzał właśnie do ponuréj sali audyencyonalnéj — nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzywszy na ciebie, co wyglądasz jak Juno pełna blasku zdrowia i siły; nikt nie da wiary przestrachowi, boś nieulękniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

— Kochana Anno! nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdziesz z téj niewoli, którą dla ciebie opłakiwałam. Zobaczysz dwór, króla... świetność naszę, któréj równéj niéma w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonaną, że los najszczęśliwszy cię czeka...

— Ja-m tak do mojego więzienia i ciszy nawykła — cicho rzekła Anna — iż mi już nad nie nic więcéj nie było potrzeba.

— Hoym mój — dodała Vitzthumowa — spali się z zazdrości! I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały wśród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła pochylając się ku pięknéj gospodyni.

— Droga moja — szepnęła — bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynającą życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechcący podstawił ci pod nogi podnóżek, po którym wynijść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilkę.

— Sądząc, żem ambitną, mylisz się, kochana hrabino — odezwała się zimno — płoche lata przeżyłam, wielem myśléć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojéj. Wzdycham tylko, aby do niéj i do méj biblii powrócić.

Reuss się rozśmiała.

— Wszystko to się zmieni — rzekła wdzięcząc się do gospodyni. — Nateraz myślmy o jutrzejszém ubraniu. Vitzthum, patrz i złóżmy walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze — odezwała się Vitzthumowa — zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze niéma żadnéj, coby nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jéj jak najlepiéj do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidło i fioki... jéj dość, choćby dziewiczéj sukienki...

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mieszała się do niéj, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnéj obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy...

Hrabina Reuss z niezmierną bacznością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jéj z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcéj usłyszéć nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jéj wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami iskrzącemi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewiczą zachował potęgę.

— Cudowna Anna nasza! zachwycająca! niezrównana! — wołała. — Jutro wieczorem cały dwór u kolan jéj leżéć będzie. Hoym wcześnie powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona co tak jest skłonną do mdłości odkrywających jéj wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się... Reuss opowiadała z tego powodu młodéj pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne... bo August klęczał u nóg jéj, gdy po raz pierwszy otwarła oczy...

— Niestety! — dodała Reuss — dziś gdyby nawet napadły ją mdłości, królby się może raczéj przestraszył, niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zapały. Na jarmarku lipskim najjaśniejszy pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuskiemi aktorkami. Co gorzéj, mówią, że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau... od któréj tylko doznał nielitościwéj oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotówby jakiéj piękności uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się — rzekła obrażona nieco Anna — iż mnie, kochana hrabino, nie posądzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuskiemi aktorkami, choćby po drugiéj stronie księżne się znalazły... Serce królewskie wcale nie wesołym jest darem, a moje coś więcéj warto niż resztki po księżnie Teschen...

Reuss zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko jakieś — odezwała się oglądając — któż ci mówi o tém. Paplemy o wszystkiém... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną. Vitzthum i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki... Jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich braknie, Meyer pożyczy w największym sekrecie, jakich tylko zapragniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny...

To mówiąc wstały obie i poczęły ściskać Annę, która je, milcząc, do drzwi salonu przeprowadziła... Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U wschodów na dole stała kareta hrabiny Reuss, do któréj wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślone. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie.

— Co ty wróżysz? — spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne: Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumną jest..., będzie się szczęściu opierać długo, ale nic króla więcéj nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwaczną; wszystko to przymioty, które nietylko ciągną

ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiéj, nim pochwyci w ręce wodze; potém byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u téj nudnéj, sentymentalnéj księżnéj nigdym nic zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne; królowała nam zadługo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstemberg, ja i ty trafimy w to nareszcie, że ją obalim. Dość mamy wszyscy téj cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumną.

— Biedny Hoym — zaśmiała się Vitzthumowa — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tém: nie kochał jéj oddawna rozpustnik—przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posądzam Fürstemberga!

Hrabina Reuss zmierzyła ją bystrém, przelotném wejrzeniem i w oczach jéj błysnęło na chwilę coś, jakby iskierka szyderstwa: ruszyła ramionami.

— A, są osoby predestynowane — rzekła z ironią.

Nagle, po kobiecemu jakoś zaśmiała się głośno.

— Wiész — dokończyła — powinna włożyć suknią pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecinnéj świeżości, będzie jéj cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach!

— I jaka duma! niestety! — dodała Vitzthumowa.

— Niech-no króla zobaczy! — zakończyła pierwsza — niech August zapragnie się jéj podobać, ręczę ci: i głowę i dumę straci.

IV.

Przy Pirnajskiéj ulicy, naówczas jednéj z najparadniejszych, małego, murami obwiedzionego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś więźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska, z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe; w nagrodę zapewne, iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwytali dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniałą swą umieściła rezydencyę. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jéj także dobrach Hoyerswerda i innych majętnościach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnajskiéj ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącéj miłości i rycerskiéj zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiéj Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu; owe lata szczęśliwe przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach drezdeńskich i lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia-Karolina, karcąc zalotność Augusta II, który do znajdującéj się w jéj orszaku księżnéj Anhalt-Dessau zwrócił swe zapały, sprowadza razem pod oczy bałamutnego Don-Żuana trzy jego dymisyonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Haugwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić; od tego balu, co się najczulszemi późniéj ukończył zapewnieniami stałego przywiązania, księżna Teschen, jakby po straszném *memento mori,* nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestałego a znudzonego Augustynka... (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości i „*mein lieber Augustin*“ piosenka popularna, do niego się stosowała...). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamuctw bez liku, zawsze okazywał księżnie Teschen wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych; ale czuła w duszy, że król lada chwila miał się od niéj oderwać nazawsze...

Zwierciadło pokazywało jéj jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielęgnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknéj księżnéj, jéj zręczność w zabiegach dworskich, jéj polityka pokryta gazą płochości kobiecéj, jéj perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niéj jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałaby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko napowrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekły się jéj śliczne łzawe oczy niebieskie, pełne melancholii i łudzące charakterem łagodnym, gdy wistocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach... Z każdym dniem większa

opanowywała ją trwoga, azali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wiekuistego z królem rozdziału.

Nic się napozór nie zmieniało, nic jéj nie brakło; szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała blizki swój upadek: łapała szyderskie ich półśmiechy i ukradkowe złośliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco; ale naówczas sądziła, że dla niéj ustatkuje się płochy, że kiedyś może być królową: złudzenia te dziś się rozwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność, gdy królowi podobać się chciała; późniéj zamknięta w domu, płakała pocichu kryjomo i zemstą zawczasu już pierś się jéj podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy do prymasa Radziejowskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia sobie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitéj i wysilał się na przekonanie jéj o swém stałém przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżnę pilnie... Król nim zasłużył na pomstę, już się jéj lękał. .

Miłość ze strony Augusta II zmieniła się w czczą galanteryę: czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowéj u dworu, ale w sercu, na równi z królową, była mu już obojętną.

Marzenia o Koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki, duma tylko po nich obrażona została.

Gdy stolnikówna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie: tron rozsypał się w próchna... pozostawał wstyd chybionéj rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu... Zapłaconéj za chwilę szału bogatemi podarki tytułów, ziemi i złota... chwila trymfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał strącić z wyżyny, na któréj się chwiała, myślała o sobie... Nudziła się téż... a chłopię, które jéj kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pić gorące łzy, z któremi się matka taiła... Księżna Teschen nie miała prawa nazwać się nieszczęśliwą, ale już się nią czuła... Dziecię jéj miało zapewnioną przyszłość, ona żadnéj. .

Pałac przy Pirnajskiéj ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał codzień tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nietylko nie wzbraniać, ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad, aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciążące przywiązaniem zbyt łzawém...

Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam, gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna, jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerych czy nie, przyjaciół i donosicieli; wiedziała codziennie o każdym króla kroku, uśmiechu i słowie... szpiegowała go zazdrośnie. Z owéj uczty nocnéj gdy wyciągnięto z Hoyma przyznanie się do pięknéj żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosłowne... Niespokojna, w gorączce chodziła myśląc, czy ma się na balu u królowéj znajdować, stanąć do pojedynku tego, lub pogardliwie, rzuconą rękawicę niepodniesioną zostawić.

Rano około jedenastéj doniesiono o przybyciu pani Hoymowéj. Nikt jéj nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną; wiedziano, że urodzona w roku 1680 była rówieśnicą Lubomirskiéj, ale rodzaju i niebezpieczeństwa téj piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan nielitościwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie, czy piękna, byle do ostatniéj nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnéj był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po mieście nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono, że król, jak zwykle gdy mu szło o świetność zabawy, sam jak najstaranniéj balowy program oznaczył... i niecierpliwił się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono, że panna Hulchen i hrabina Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymową w swe sieci uwikłać i łaski jéj sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jéj bratowa zagasi wszystkie urodą...

Księżna słała w miasto, odbierała raporta swych wiernych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się godzina stanowcza... Łamała ręce: nagle myśl dziwaczna jéj przyszła... spojrzała na zegar... Dom Hoyma nie bardzo był daleko od jéj pałacu... Szepnęła coś służącéj... zarzuciła gęstą czarną zasłonę na oczy od łez czerwone, i cicho zbiegła po schodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drążnicy... rzuciła się w jednę z nich... Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą, poszli tyłem ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wązką

i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującéj z lektyki księżnéj, która obejrzawszy się wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu... W sieniach czekał już na nią młody człowiek, który jéj wschody wskazał...

Przez ciemny korytarz zakwefiona i niemogąca dać się poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała...

Nierychło je otwarto. Zdaje się, że sługa, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć, kto przyszedł i nie byłaby wpuściła nadbiegającéj, ale księżna Teschen jedną rączką wpuściła w jéj dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła zlekka, obejrzała się, w które drzwi iść daléj, i pobiegła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niéj urządzać miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu... Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami cofnęła się marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiła ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta patrzała... wargi jéj ścinały się i drżały, bladość okrywała lica... Obejrzała się lękliwie dokoła i szukając podpory, na blizką kanapkę zemdlona upadła...

Anna pobiegła ku niéj, przybyła i służąca... obie podniosły omdlałą...

Osłabienie jéj trwało tylko chwilę, porwała się jak obłąkana, oczy znów wlepiła w rywalkę i milcząc wskazała na sługę, aby odeszła...

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych scenach następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niéj gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku niéj bladą, zimną rączkę drżącą.

— Daruj mi — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzedz. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała, ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie — dodała — rozpoczynasz dziś to życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, szczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł książęcy, męża i lepiéj niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce... Poszłam za nim... spójrz na mnie... Ja dziś nie mam nic: imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie niéma dla mnie nikogo... krewni się nie przyznają do mnie, ci, co się czołgali u nóg mych, jutro znać nie będą. On! on!... odepchnie jak obcą...

Anna słuchając zarumieniła się.

— Pani! — zawołała głosem przerywanym — dlaczegóż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto—odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnéj korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali — zawołała Anna — dlaczegoż spotykać mnie mają te groźby?

— Przestrogi — przerwała Lubomirska — daruj mi, twéj skroni przystała korona, ludzie zawcześnie ci ją dają; jam chciała odsłonić złoty jéj wieniec i wewnątrz pokazać cierniony...

— Mylisz się pani—rzekła spokojnie Hoymowa—nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumną. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jéj nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jéj obudziło litość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem...

— Wszystko, co mnie tu od rana spotyka, jest niezrozumiałém — odezwała się zcicha — chciałabym się wyrwać stąd jak najrychléj. Któż pani jesteś?

— Teschen — odparła przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się, dlaczego cię tu ściągnięto... Świeżéj twarzy potrzeba znudzonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem:

— Podli! frymarczą więc nami jak niewolnicami... a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą — przerwała Hoymowa — uspokój się pani; jam tak dumna, że nędzę raczéj zniosę niż upokorzenie...

Teschen spojrzała na nią, popatrzała długo i westchnęła.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja wybiła... lecz choć ty, choć jedna, jeśli masz siłę, pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzgardą w oczy. To woła o pomstę do Boga...

Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.

— Jesteś ostrzeżoną, broń się...

Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa stała jeszcze, słowa wyrzec nie mogąc... Zjawisko znikło.

Na wschodach czekał na nią ten, co ją wprowadził. Szybko

posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając zasłonę, w oknie jéj ujrzała bladą twarz młodego wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się wpatrywał.

Twarz młodego oficera była piękną i arystokratyczną, pełną wyrazu, męstwa i energii; lecz w téj chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom swoim nie wierzyć. Mimo dwóch tragarzów, którzy już lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do okna.

— Księżna Urszulo — zawołał wzruszony — mamże oczom mym wierzyć, jestże to podobna? Was-że to widzę ukradkiem wyrywającą się na jakąś schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam; całą prawdę mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koń i więcéj nie wrócił. Księżno! pani! ja szaleję z miłości dla was... a wy...— zakrył oczy...

— Wy szalejecie, to prawda! — popędliwie przerwała — szalejecie tak, żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoyma, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę...

— Chodź przy mnie, chodź ze mną, nie puszczę cię, aż się wytłómaczę: nie chcę, abyś i książę mnie w téj chwili opuścił i obwinił... tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, załzawione oczy księżnéj zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu, u wschodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jéj, aby usiadł przy niéj.

— Widzisz mnie książę w gniewie i oburzeniu! wracam od téj... od téj, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby mnie wygnać, aby mój wpływ obalić. Słyszałeś już o Hoymowéj?

— Nie słyszałem — odparł młody książę (którym był Ludwik Wirtemberski) — nic słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

— Tak, umiano obudzić ciekawość w Auguście, osnuto intrygę — poczęła księżna ożywiając się coraz bardziéj.—Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową...

— A! tém lepiéj! tém lepiéj! — porywając się z siedzenia zawołał książę Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczém, młody chłopak zarumienił się; nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił z zapałem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym... wpadła klaszcząc w ręce osóbka mała, nie piękna, nieco do księżnéj podobna, chociaż o wiele od niéj brzydsza...

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać; mogła zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć więcéj. Znać z niéj było, że nigdy świeżą nie była i mogła się téż dopóźna nie zestarzéć. Nosiła jednę z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby młodemi w starości. Szare jéj oczki, złe, szpiegujące, ostre, kręciły się i biegały; usta miała pełne szyderstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą, gorączkową kwoczkę i nieznośną intrygantkę. Strój, nadzwyczaj staranny i pstry, obmyślany był tak, aby jedyną piękność jéj podnosił: figurkę zgrabną i w pasie przeciętą, nóżkę maleńką i kibić zręczną. Żwawo okręciła się na trzewiczku ku księżnie, klaskając w dłonie, w chwili, gdy zawstydzony książę Wirtemberski usta od ręki odrywał.

— Bravi! bravissimi! ale niechże ja nie przeszkadzam — krzyknęła ostrym głosem baronowa Glasenapp — *nous sommes en famille*, niéma się co mnie wstydzić. Siostrunia bardzo słusznie rejteradę sobie zabezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno zbliżamy się do chwili, w któréj przyjdzie rejterować z serca króla i dworu! Dobry wódz zawsze sobie zapewnia drogę do odwrotu...

Mała ta, zwinna pani, niecierpiana od całego dworu, który roznoszonemi plotkami starała się kłócić i różnić, była stolnikówna litewska, panna Bokunówna, rodzona siostra Lubomirskiéj, żona (natenczas) barona Glasenappa, ale tylko z imienia, gdyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schulemburgiem. Na dworze tym zawsze się trzeba było pytać nie o nazwisko męża, ale o imię ulubieńca.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno nie widziały — rzekła papląc pośpiesznie — ale w chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze: tak i teraz... Słyszałaś Teschen — dodała śmiejąc się złośliwie — sprowadzili Hoymową... Ja ją widziałam raz... wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreznie, i przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojańska komuś będzie nieszczęścia przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsze... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno...

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście — poczęła, nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Wirtemberskiego...

Młody chłopak stał zarumieniony i gniewny. Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz, ja ci jego imię na ucho powiem — przerwała zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jéj w ucho: — Książę Aleksander Sobieski, nieprawdaż? ale ten się nie ożeni! a Ludwiczek gotów; staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegała już po pokoju... oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchaną przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięsko. Hoymowa prostaczka zrazi króla... spodoba mu się z twarzy, ale dumą go odepchnie; po niéj Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazyom króla trzeba umiéć przebaczać. Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle nie przestając — że cię tak wszyscy już wzięli na zęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary; że Fürstemberg a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprawić... Biedny Hoym! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego, aby mu osłodzić wdowieństwo... Ale rozpustnik stary, ani mnie, ani żadnéj nie zechce...

W tém miejscu nieutamowanéj gadaniny baronowéj Glasenapp, książę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki, jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów bacznych Glasenappowéj, która mu dygnęła zdaleka.

Dwie siostry zostały sam-na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się znudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichlingu, wyposażenie dla syna... masz twą piękność, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się, że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam! — płacząc znowu przerwała Teschen.

— A! to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochaliście się wzajemnie, ja sądzę najmniéj pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził pocichu, a ty jego! wiele? ja nie wiem! ale żeś zdradzała! o! ręczę!

— Siostro! — zawołała z oburzeniem Teschen.

— No, ani razu! A jednak, patrzże, wśród téj miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Wirtemberga i dziś, gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną: jabym tego nie potrafiła... Ja, dopiéro gdym się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam sobie Schulemburga. Mnie bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie nie cierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj Lubomirska — ozwała się po chwili — królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych dyamentów... ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznêm złożyła miejscu...

Spojrzała na siostrę, która się jéj zdawała nie słuchać.

— Będziesz dziś na balu?... — dodała.

Wyraz bal wstrząsnął Lubomirską, która powstała nagle.

— Na balu!... tak! — poczęła zamyślona — potrzeba być na balu... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubéj sukni... toby było... uderzające... lecz, powiedz, Tereniu... będzież mi żałoba do twarzy?

Glasenapp rozśmiała się.

— Niezawodnie... żałoba jest wszystkim do twarzy; lecz jeśli myślisz, że tém rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, mylisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragiedyi nie lubią... Pójdziesz w żałobie! — powiedzą, żeś dojrzała do trumny; pochowają lekkiém sercem...

— Bądź-co bądź! w żałobie! pójdę w żałobie! — powtórzyła Teschen — ale pójdę... stanę przed nim jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo niepostrzeżona... Wierz mi... przeszłości powrócić niepodobna...

Spojrzała na zegar.

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim... ale na drugim planie, jako widz, który aktorom przyklaśnie... Bądź zdrowa!

V.

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnéj świetności strojów nie było się można domyśléć klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy

dyamentowe, szpadę z wysadzaną niemi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśniącemi dyamentów rosą... Majestatyczna jego postać jakby odmłodzona, promieniejąca, więcéjby przystała zwycięscy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym...

Na sukniach pań błyszczały także mnogie klejnoty... a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowały. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanteryą i poszanowaniem na spotkanie jéj pośpieszył: muzyka zabrzmiała fanfarą... Głównych aktorek dotąd nie było...

Już pan zaczynał brew olimpijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla, dał się słyszéć szmer tłumiony... Ludzie rozstępywać się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstemberg szepnął:

— Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, zżółkłą twarz hrabiego Hoyma, który wiódł pod rękę żonę..

Nigdy może na tym dworze nawykłym do oglądania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hrabina Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowéj na czole, nieulękniona, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wnijścia wlepione oczy... ale się z jéj wzrokiem nie spotkał... Mając być przedstawioną królowéj, dała się wieść ku niéj, nie zdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu, ani apolińską pięknością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłéj przedstawił. Zniecierpliwienie drgnięciem odmalowało się na pańskiej twarzy...

Hoym, jak skazany na śmierć winowajca, wiódł żonę... Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się męczarnią wcale nietajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanéj co chwila inaczéj. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jéj wdzięcznie, ale z litością, jakby nad losem téj piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jéj piersi...

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął.

Księżnéj Teschen nie było jeszcze... Z innych pań nie brakło żadnéj i chora nawet panna Hülchen, owa Egerya Augusta przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykłego zapowiadał: rozstąpili się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała, jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnéj... August ujrzawszy ją, zniecierpliwiony nieco pośpieszył na spotkanie.

— Kogóż to księżna straciłaś? — zapytał szydersko — że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niestosownych?

— Ciebie, najjaśniejszy panie — cicho odpowiedziała Urszula— i to nie od dziś dnia...

Oczy ciekawych, zrazu zwrócone na księżnę, wprędce ku Hoymowéj znowu się skierowały... Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowéj piękności swéj... Czarne jéj oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźno przyświecały sali balowéj; lecz obok nich ginęły wszystkie inne... jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznéj niewiasty... W chwili gdy hrabina Vitzthum oderwala ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi, aby podszedł ku nim.

— Kochany hrabio — rzekł — sprawa wasza z księciem rozsądzona... wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien... Winszuję więc wygranéj i żony, jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na naszym dworze... *Vox populi* mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma przyjmującego, z głową spuszczoną, w pokorze, to powinszowanie, trudno się było domyśléć, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczéj obraz upokorzonego, zgnębionego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie... Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla...

— Widzę, najjaśniejszy panie — szepnął niedosłyszanym głosem — że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę...

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarż się, Fürstemberg, płać tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastręczył widzenie takiego arcydzieła natury... — rzekł król.

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegli ją już wszyscy; postrzegł to August i wedle zwyczaju, by osłodził każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nieobeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzeli najjaśniejszego pana idącego w tę stronę. Wprawniejsze oko

hrabiny Reuss i panny Hülchen, dojrzawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadła! — rzekła hrabina cicho do towarzyszki — król poszedł ku niéj...

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichlinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także, co ta czułość dla księżnéj Teschen znaczyć miała. August okazywał jéj więcéj niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku...

— Wiesz pani — rzekł przyglądając się jéj czarnym sukniom i kwefom — jesteś dziś tak piękną mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniéj warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogi o mnie...

— Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą ode mnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia: nieprawdaż? — ozwała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce i najpiękniejszą — odparł August — są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi, w których czułe biją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie widowiska... wróć do domu, włóż suknię niebieską, w któréj ci tak do twarzy, i czekaj na mnie z wieczerzą...

Na lice blade księżnéj Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

— Królu mój! panie mój! — zawołała, zapominając się — miałażby to być prawda? August moimby pozostał...

— Proszę cię... nie wątp o mnie — dodał poważniéj król — nacóżbym miał kłamać?

Wistocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napełniła jakąś trwogą. Charakter energiczny téj kobiety malował się w każdym jéj ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niéj część swéj potęgi u nóg Omfali złożyćby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię panie i mrę z żałości... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał do syta... Dlatego pośpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jéj tracić i poddać się przeczuwanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przybranie głowy, krój sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jéj piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnemi usty, oczyma wielkiemi, czarnemi i niezmiernie wyrazistemi, z rysami delikatnemi, z bujnemi czarnemi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić, odpowiadały twarzy, po któréj bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka...

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób Anna Hoym, wcale niemi nie była zmieszaną; w pierwszéj chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem tym i blaskiem, który się jéj wydał rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same...

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla, tryumfująca niemal znowu, i rzuciwszy okiem omdlałém ku niemu, wysunęła się z sali. Po małéj chwilce August stał u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna spostrzegłszy go, powstała. Żądał, aby usiadła... usłuchała go nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco ustępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni, i tym razem odeszli wszyscy, a hrabia Hoym także pociągnięty zlekka przez Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czémś ważném się rozprawić, odejść musiał.

— Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze — ozwał się król grzecznie pochylając ku niéj — lecz jéj ukazanie się prawdziwym dla niéj jest tryumfem. Cieszę się tą nową gwiazdą na mojém niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy panie! wśród ciemnéj nocy lada ognik czasem wyda się gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umiem ocenić łaskę waszéj królewskiéj mości, lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

— Powtarzam tylko, co dokoła słyszę! — odparł August.

— A! najjaśniejszy panie — śmiejąc się dodała Anna — ludzie zwykle widząc po raz pierwszy, źle widzą. Nowość bawi... to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak, jak pierwszego dnia, wydaje.

Królowi zdało się, iż piękna pani przymawiała mu, przypominając grzeczność okazaną księżnie Teschen; zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną — rzekł.

— O! nie, najjaśniejszy panie — żywo przerwała Anna — do piękności nie przywiązuję wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jéj nie odstępował.

— Po długiéj samotności, którą Hoym ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb — mówił po chwili August — dwór się jéj dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniéj — zawołała Anna — młodość moję spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; wszystkie one, najjaśniejszy panie, są jedném.

— Czém? — spyta król.

— Doskonale graną komedyą — odpowiedziała Hoymowa.

— A ja jakąż w niéj gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

— Być może dyrektorą trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

— Znajdujesz pani, że tu jest wszystko udaniem?

— Jakżeby mogło być inaczéj? — westchnęła Anna — królowie prawdy nie słyszą...

— Być może — mówił August — i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć kroplę tego nektaru dać mogły.

— A znajdują — dokończyła Anna — tylko może usta, co zręczniéj nad inne umieją sączyć truciznę.

— To mi dowodzi — odezwał się król grzecznie — iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich... i smuci mnie bardzo, bom sobie wiele obiecywał zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów, trochę posępne dni naszych niebo wyjaśniła.

— Najjaśniejszy panie — odparła żywo Anna — byłabym tu fałszywą nutą: nie umiem tak śpiewać jak drudzy; głos mój zawsze jeden, a tu co chwila ton inny.

Dla przerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającemi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiéj daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

— Widzisz pani — dodał kończąc — że ta komedya dworska dla mnie nie ma pono tajemic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje, że mnie oszukują, że mną kierują, że mnie oślepić mogą.

— Tak bogowie patrzą na ziemię — zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowolniony. Pierwszy raz gdy to mówiła, wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapał. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po téj rozmowie król odszedł zwolna. Badano go zdaleka, Fürstemberg pierwszy się znalazł na drodze.

— Najjaśniejszy panie, jeśli śmiem spytać teraz, czy najpiękniejsza jest także...

— Najdowcipniejszą — dokończył król. — Hoymowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabierać. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie z czasem.

Hoym spoglądał zdaleka... Jemu najtrudniéj było odgadnąć myśli Anny, do któréj teraz z pośpiechem nadbiegły hrabina Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

— Już się kłaniają wschodzącemu słońcu — szepnął do Fürstemberga — lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki.

Fürstchen spojrzał zdziwiony.

— I ty się mylisz i one się mylą — rzekł August spokojnie nachylając się mu do ucha. — Hoymowa śliczną jest, od stóp do głów ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby panować chciała. Kilka dni miłego z nią stosunku to dosyć... nie dobijam się o nic więcéj. Piękność mnie nęci, charakter przeraża.

Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł daléj.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach ponad ściśniętym tłumem. Oczy jéj niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niéj, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie, co ją otaczał. Dopiéro po odejściu króla odetchnąwszy nieco swobodniéj, zadumana przyglądając się ludziom co ją otaczali... przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jéj zatrzymał się na twarzy bladéj długo, pobladła sama zmieszana nieco. Niepewna sama, czy się nie myli, spojrzała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jéj wielbiciel z Laubegast przywlókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwogę.

Ta głowa nieznajomego niepokoiła ją sobą... co chwila biegła oczyma szukać jéj, pragnąc, ażeby znikła, i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biedne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcéj ją zajęło niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jéj dworacze, na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła, że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Był-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała; lecz mówił jéj głos jakiś wewnętrzny niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią, snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiła nad nią ta blada głowa, w któréj oczy łyskały i gasły; stawała się coraz straszniejszą, coraz bardziéj przerażającą, ilekroć wzrok jéj utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niéj przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jéj jękiem.

W takiém usposobieniu zastał ją kwaśny i zżółkły Hoym, który rękę podawał do wyjścia. Lecz chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, po nad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed niemi. W chwili gdy przechodzili próg, spojrzała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznajomego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą i poglądając na niego, chłopak spotkawszy jéj oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano; czuła, jak chwycił kraj sukni jéj i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę, już go nie było.

Przed nią stała hrabina Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie, tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małém kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egerya Hülchen, dojrzałych lat panna, któréj król słuchać lubił i rad jéj zasięgał; tu się gromadzili ci, co pragnęli władzy lub chcieli się przy niéj utrzymać. Król August śmiał się z téj kliki, ale niewidzianemi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss z domu Friesen należała do głównych postaci działających u dworu Augusta II. W jéj domu odbywały się najważniejsze narady tyczące się obalenia jednych a podniesienia drugich faworytów pana: tu przepowiadano nieochybnie łaski, jakie miały spotkać piękne panie i przeczuwano najtrafniéj chwilę, gdy niestały król afekta swe w inną stronę miał obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hrabina Reuss przeczuwając nową faworytę, zawsze zabiegała naprzód, by jéj względy i zaufanie pozyskać; raziło go więc nadskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyślać, iż w Annie widziała następczynię księżnéj Teschen: okazać jednak gniewu i to że grę zrozumiał, ani mógł, ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym, iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego i poszedł na wieczór do Reussowéj.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiéro, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jéj przyjaciółka, Fürstemberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałgankach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechném czułość króla dla Teschen zwiastowała pewne z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jéj stosunki z Sobieskiemi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy, jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniéj potrzebował.

W gabinecie Reuss spytała przyjaciela Fürstemberga o rozmowę z królem, o wrażenie, jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam nobrze mego pana — odezwał się Fürstemberg — a szczególniéj jego usposobienia dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczyło chwilowo, ale piękność jéj przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze nad nim biorą prędzéj czy późniéj przewagę; lęka się jéj i tém goręcéj pragnąć będzie... a czego chce, to miéć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odegrania roli łatwéj kochanki; wypotrzebuje swą siłę, gdy ją zdobędzie: niéma wątpliwości, iż król się podda.

— Sądzisz więc, że jéj panowanie nadchodzi?...

— O ile go znam, myślałbym, iż się ono zbliża; król w téj chwili pragnąłby fantazyę zaspokoić, ale w związki trwałe nie wchodzić: od niéj zależéć będzie, jak swą sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się książę jéj charakteru?

— Tylko przeczuwać go można — rzekł Fürstemberg — sądzę, że ani mąż, ani najbliżsi jéj nie znają, a może nawet ona sama siebie taką, jaką będzie, gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? — spytała Reuss.

Książę się zamyślił

— Wiem tylko — rzekł — że z rozumnemi wolę miéć do czynienia, niż z temi, co nie wiedzą, co czynią. Drogę jednych można przewidziéć, drudzy lecą bezdrożami i — szukać ich a gonić — trudno!

Stali jakiś czas milczący, Reuss dała mu znak, aby wyszedł; zadumana przeszła się kilka razy po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

— Kochana hrabino Anno! — rzekła poważnie kładąc jéj rękę

na kolanach — jeśli masz cierpliwość i pobłażanie dla staréj przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mi mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór i czasy i siebie, ażebyś się domyśliła, że nie darmo chciano twego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać: to jest jego naturą... bądźmy pobłażający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza; źle czy dobrze, ale tak jest i inaczéj być nie może. Nam, co króla otaczamy, pozostało jedno: ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć najświetniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się śpieszyć i wiedzieć co czynić.

— Kochana hrabino — rzekła Anna — ambicyi nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Niebym przeciwko temu do zarzucenia nie miała — uśmiechając się mówiła Reuss — ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla któréjbyś męczennicą zostać miała. Hoym jest niemiły, zużyty rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobieństwo; prędzéj czy później odezwie się serce.

— Stłumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przyjdą lata tęsknoty i znużenia... rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpaczy i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolej nasza; król jest miły i piękny: życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiéj miłości chwilowéj, kaprysu nie pojmuję; brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo, kochana Hoym — rzekła Reussowa — związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Napróżnobyś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niéj go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękojmią trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Męża i kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biedna to miłość, którą na paskach i wędzidłach trzymać trzeba — zawołała — takiéj nie chcę. Szczerość za szczerość, kochana hrabino — rzekła cichszym głosem — mnie nic nie potrafi ująć, tylko serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... W chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy

umiłowanym; a ten, co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

— Ależ król! król!

— Choćby i królem był! — zawołała Hoymowa.

— Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

— Musiałby jéj się wyprzysiądz, a mnie przysięgać — dokończyła Anna. — A! taką jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoję się rolą.

Wstała mówiąc to i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju; Reussowa zamilkła: nie było już co mówić więcéj.

— Uczynisz, jak ci się zda i zechcesz — rzekła — ja, jako dobra przyjaciółka, miałam za obowiązek cię przestrzedz i dać dobrą radę; zostańmy więc dobremi przyjaciółkami i nie mówmy o tém: dodam tylko słowo. Stanowisko, którém wzgardzasz i o którém mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nikczemném i podrzędném, jak sądzisz. Królowie kłaniać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu złemu zapobiedz, ludzi ratować i czynić szczęśliwych... to przecież coś warto.

— Honor mi droższy nawet nad to wszystko — odezwała się Hoymowa — nie mówmy o tém.

Reussowa w milczeniu rękę jéj uścisnęła i wistocie nic mówiąc już więcéj, wyszły razem z gabinetu. Kobiety znajdujące się w salce spojrzały na nie, chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurową, a Reussowa jak pergamin bladą; obie jednak uśmiechały się łagodnie, jak gdyby burza przeszła i zostawiła po sobie pogodę żadną chmurką niezaćmioną.

Pod oknami mignął blask pochodni towarzyszących wieczorami powozom króla, Fürstemberg się wychylił; król to wistocie jechał znudzony do Teschen i wydawał się w blasku tych świateł smutny, jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy w oknie a raczéj domyśliwszy się przyjaciela, August dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na zakręcie ulicy.

VI.

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministra skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu, ni w kraju. Nienawidzono go szczególniéj za wprowadzenie, po tylu innych uciążliwych, najuciążliwszego podatku akcyzy. Sasi bronili się, o ile mogli i umieli, opierali się królowi, a król, któremu nigdy nie starczyło na nieobrachowane jego wydatki, ukry-

wał źle gniew, jaki wzbudzał w nim ten opór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć się obcemi, którzyby żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady téj w części już usłuchał August II i większa część jego ministrów i ulubieńców wziętą była z obcych krajów... Włosi, Francuzi, Niemcy z innych prowincyj grali tu główne role. Hoym człowiek zimny, niezbłagany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, na wojsko, to na uczty i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności téj w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dowierzał, bo przykład Beichlinga i kilka innych czynił go ostrożnym... wypatrywał tylko chwili, gdy będzie mógł naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał zblizka, wiedziano, że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiązły i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale, ani gorąco do nikogo. Najlepiéj ze wszystkich znała go może siostra hrabina Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego, co jéj było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców. Nienawidził go marszałek Pflug, nie cierpieli inni, Fürstemberg był z nim źle także.

Gdy po zakładzie kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden: śmiano się raczéj i przedrwiwano.

Nazajutrz, po balu, Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincyi. Szczególniéj na Łużycach coś się tam szlachta głośno przeciwko niéj opowiadała... Król żadnego oporu nie znosił. Po raporcie Hoyma... namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych, co stoją na czele i w mojém imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast, bez żadnéj wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać, iż mógłby się kimś wysłużyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Niéma ważniejszego nic nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdało, że ja z niemi w układy wchodzić mogę... Jedź waćpan natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki... Powiedz im, by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy rady wkrótce szlacheckiéj bucie...

Hoym jeszcze chciał się tłómaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast! Wreszcie, popatrzał na zegar: za dwie godziny powinieneś waćpan być na drodze do Budyszyna... chcę tego i tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko po pijanemu, naówczas kto się nie lękał, aby go udusił, ściskał go, całował, a inni i popychali; August śmiał się, na trzeźwo miał jednę wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce, nazajutrz po balu, nadzwyczaj była podejrzaną; znając króla, dwór i to, co się tu działo, był pewnym, że wypędzano go umyślnie, aby do jakiéjś intrygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Powierzyć siostrze dozór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł, że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była samą. Ciekawém okiem zmierzył pokoje, ją, najdrobniejsze otaczające przedmioty. Złość malowała się na bladéj jego twarzy... Anna patrzała na niego spokojnie, będąc nawykłą do scen podobnych.

— Ciesz-że się, pani... — zawołał — byłem tak głupi, żem ją tu sprowadził, teraz robią zemną, co chcą... Zawadzam im do intryg, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę, Zostaniesz pani samą...

— I cóż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa — czy straży waćpana potrzebuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwalstwa ich i bezwstydu — krzyknął Hoym stukając o stół pięścią. — Nie wyprawiliby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tém wszystkiém czuję palce kochanego Fürstemberga, który mi dziś śmiejąc się szydersko tysiąc dukatów zapłacił, a wiem, że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl sprowadzenia tu méj jéjmości.

— Hoym! — krzyknęła podnosząc się Anna, któréj oczy zaiskrzyły się — dosyć tych obelg, idź... jedź... rób, co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Sama się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci: dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypomniał mu nadchodzącą odjazdu godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać — zawołał — wiesz, co ją tu czekać może, dodam tylko, że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym pobłażać, ja nie mam ich dobroduszności.

— Ani jam tak nizko upadła, panie Hoym — przerwała Anna— jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła: jeśli życie jeszcze mi nieznośniejszém uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcéj. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu...

Z zamku śledzono chwilę, gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał... posłano za nim, aby pokryjomu nie ważył się wracać... Wedle ułożonego planu hrabina Reuss miała zaprosić do siebie Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, *incognito*... Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia téj misyi, ale Anna odmówiła stanowczo. Napróżno zapewniano ją, że nikt w świecie o jéj bytności wiedzićć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiéj.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna — rozśmiała się Vitzthum — ażebym kłamać chciała przed tobą; byćby mogło, iż król ciekawy poznać cię bliżéj, a wiedzący o każdym ruchu i kroku... zjawiłby się u Reussowéj. A jeżeli dla nakarmienia téj ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwoiciéjże to będzie i piękniéj, gdy sam na sam z tobą spędzi kilka godzin?.. Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

— Ale król nie może być tak... — zabrakło jéj wyrazu — tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moję! To być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam, że może być wszystko... że król jest znudzony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowéj nie będziesz..

— Wiesz-że ty o tém? — spytała Anna — skąd?

— Ja nie wiem nic, ale znam mego pana — śmiejąc się dziwnie, szepnęła Vitzthum — pamiętam pewien wieczór... własnego życia...

To mówiąc westchnęła.

Anna załamała ręce.

— A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być trzeba?... Znajdę sztylet i pistolety... ani żelaza, ani prochu nie lękam się...

Rozdrażnioną wielce Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie strachy obrócić.

— Powinnaś wiedzićć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamił. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zbyt jest pięknym i miłym, by się do takich środków miał uciekać...

Po długiéj rozmowie Vitzthumowa zdołała ją nakoniec nakłonić, aby razem wieczorem do Reussowéj jechały. Z tą tryumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział, że na chwilę pojedzie do księżnéj Teschen, a powracając ekwipaże do zamku odeśle z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, *incognito* zanieść się każe do hrabiny Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg téj wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwéj historyi, musimy skreślić czytelnikowi, równie wierny wizerunek bohaterki naszéj, Anny hrabiny Hoymowéj.

Była sierotą samą na świecie, wyszła za mąż zmuszona a przynajmniéj niechętna... pożycie z mężem wprędce stało się nieznośném, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jéj miejscu radaby była skorzystać z nastręczającéj się swobody, świetnego losu choćby nietrwałego, który potém zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłęd chwilowy; ale Anna wychowaną była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczéj jak skutkiem *miłości* króla i dla króla i... *wiekuistego z nim ślubu*...

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko... Chcićć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego jak August, zdawało się czystém niepodobieństwem. Anna widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała, że to jest możliwém.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jéj podobać bardzo; blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też, że Anna miała dla niego sympatyą, że jéj serce uderzyło. Pomimo, iż czuła, że z nimby być mogła szczęśliwą, nie

przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczéj jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło...

W tych kilkunastu godzinach, jakie od balu upłynęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg, mających na celu zbliżenie jéj do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową.

Opór jéj Vitzthumowéj był raczéj już obrachowanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą mając niezmienne postanowienie raczéj zerwać wszystko, niż stać się igraszką intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, źwierciadło pokazywało jéj urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie, jakie na nim uczyniła, postanowiła korzystać z tego...

— Nie spodlę się nigdy! — wołała sama do siebie — raczéj zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką: będę jego żoną lub mu obcą...

W tém wszystkiém było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać, że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roiła... a marzenia są niebezpiecznemi towarzyszami w samotności.

Niekiedy rumieniąc się sama przed sobą, przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny...

Duma i chęć panowania budziły się w niéj zwolna i duszę, skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina, w któréj miała się ukazać na wieczorze u Reussowéj, Anna ubrała się jak najstaranniéj, z niewymuszoną ale smakowną elegancyą. Moda wieku dozwalała jéj cudnych kształtów ręce obnażone do ramion i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić popiersie... Cera nie potrzebowała bielidła ani różu, była świeżości wiosennéj, a krew to ją oblewała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne krucze sploty włosów utrefione wdzięcznie, podnosiły jeszcze blask płci przejrzystéj i jak atłasy delikatnéj. Lecz wszystko to było niczém przy oczach pełnych ognia i uroku czarodziejskiego... Oczy te, gdy się wpiły w człowieka, mogły go doprowadzić do szału, mówiły więcéj niż ona sama kiedykolwiek usty wymówić mogła. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemniczości, niezbadany, nęcący, niepokojący, który ciągnie jak wejrzenie bajecznego bazyliszka, co jednym zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w źwierciedle Anna, znalazła się sama tak

piękną, iż się swéj postaci uśmiechnęła... Ubrana była czarno, a ponsowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa, która zajechała po nią, ujrzawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jéj korony nie byłoby jéj zdziwiło...

— I ty mówisz—zakrzyknęła ręce łamiąc — że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem... a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Jużciż — odparła zimno Anna — żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Aleś ty mistrzyni wielka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radośne przywitały ją u pani Reuss. Piękność jéj, która na balu była już zwycięską, tu wydawała się promieniejącą. Wszystkie te panie, co się nie wyrzekły były pretensyi do wdzięku, poczuły się teraz staremi i zwiędłemi. Anna, o któréj wiedziano, iż ma lat dwadzieścia cztery, wyglądała na ośmnaście. Była to Dyana starożytna z całą swą dumą dziewiczą i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczów tłumu schowało...

Nikt się tak nie cieszył jak hrabina Reuss, bo jéj widokom odpowiadało to najlepiéj. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królowę i starając się jéj łaski pozyskać. Fürstemberg poprzedzający króla na chwilę, zobaczywszy Hoymową, osłupiał.

— Znam króla — rzekł — ta kobieta zrobi z nim, co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jéj uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał téj, którą chciał widzieć; ujrzawszy ją zarumienił się, pobladł, zmieszał i zapomniawszy o gospodyni, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiéj, milionowych strat, zdrad i zawodów.

Anna przywitała go zdala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Chciała się podobać, to było oczywistém i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia, król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów należnych płci pięknéj. Chociaż nie cierpiał hrabiny Reuss, usiadł przy niéj na chwilę, rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen... potém uśmiechnął się do Vitzthumowéj, naokół obdarzył wejrzeniami i galanteryą wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego ob-

chodu, pani Vitzthum miała czas ująć bratowę pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiéjś pilnéj ciekawéj rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête à tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu i zagaił kilku słowy rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona portyera dozwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać zdala oblicze Najjaśniejszego Pana, ale nikt nie mógł stąd posłyszéć, co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszéj obawy zapomniał, widocznie był rozpłomieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką... — zawołał nie hamując się wcale.

Hoymowa się skłoniła.

— Najjaśniejszy Pan tak znanym jesteś ze swéj pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć — odezwała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi! na wszystkie bóstwa Olimpu przysiądz jestem gotowy... Tak pięknéj kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojéj obrzydliwej akcyzy.

Anna mimowoli się rozśmiała, pierwszy raz z pod warg różowych wyszedł rzęd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całéj jéj fizyognomii, stała się jeszcze bardziéj uroczą... Dwa maleńkie dołki, jakby wycałowane ukazały się na rumianych policzkach i znikły... Twarz oblana chwilę karminem... bladła zwolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzany...

Król spojrzał na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie... W głowie mu zawracać się poczynało...

— Gdybym był tyranem — zawołał — Hoymowi-bym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrosny o tego Wulkana...

— Wulkan jest też zazdrosny — odparła Anna...

— A Wenus przecież go kochać nie może?

Milczenie było odpowiedzią: długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany, co wiążą może silniéj nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi? w miłości?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie — rzekł August — a za takie uważam, gdy się piękność łączy z taką nieznośną szpetotą...

Bogowie naówczas złamanie przysiąg rozgrzeszą.

— Ale duma ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcéj niż się może zdaje Waszéj Królewskiéj Mości.

— Przerażasz mię, hrabino!...

— Was, Najjaśniejszy Panie?—uśmiechając się poczęła Anna... — nie sądziłam, abyś Wasza Królewska Mość miał się tém choć cokolwiek czuć dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

— Więcéj niż się pani zdaje — podchwycił król własne jéj powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumiéć nie mogę — szepnęła pocichu Anna.

— Jakto? więc pani nie chcesz widziéć tego, że ja od wczoraj pierwszém jéj wejrzeniem zostałem podbity?

— Moja zdobycz — odpowiedziała Anna — zapewne nie potrwa do jutrzenki... Wasza Królewska Mość dzielisz tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz...

— Nie — zawołał król czule — potwarze to są... Cóżem winien, że nigdy nie trafiłem na serce, na umysł, na piękność, coby mnie stale przywiązać mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają. Codzień spada z tych bogiń jedna zasłona... codzień gaśnie urok jeden... cud staje się powszedniém zjawiskiem, anioł traci skrzydła... a w sercu zamiast miłości znajduję zalotność i chłody... Cóżem winien?... Wierz mi, pani — dodał unosząc się coraz — ja szukam, do kogobym całe życie mógł należéć, komubym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jéj cały.

— Trudno temu uwierzyć — szepnęła Anna — a trudniéj jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość, coby Waszéj Królewskiéj Mości godną była.

— Wierz mi pani — przerwał August — że ją w téj chwili w was widzę...

— Po dniu białym, niestety, inaczéjbym się wydała, a po kilku dniach białych... zgasłby urok nowości... ani mi łaska Waszéj Królewskiéj Mości zawrócić może biedną głowę, bo się jéj czuję niegodną.

— Pani jesteś zachwycającą! — zawołał August sięgając po jéj rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król pochwyciwszy białą rękę pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie, z całém poszanowaniem dla Jego Królewskiéj Mości, Anna

w płomieniach stojąc, by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała zlekka ją wyrwać...

August wstał cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać — rzekł — będę zapewne musiał w pomoc niedołężnym zapałom, które, jak widzę, żadnego na niéj nie czynią wrażenia, wezwać moję władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jéj może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać...

Rozmowa byłaby się przeciągnęła nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiadomo z jakiego powodu przyśpieszywszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowéj. Był to raczéj podwieczorek tylko na sposób włoski, złożony ze słodyczy, owoców i wina... Król najpierwszy wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczną na Najjaśniejszego Pana zwracał uwagę...

— Teschen przepadła! — rzekł na ucho Vitzthumowéj.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozum miała...

— Byle go nie miała nadto... — dodał Fürstemberg... — Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jéj pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym...

Po téj *collazione*, od któréj wstawał każdy gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zręcznie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymową... Została nie wyrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzieli dobrze, iż była zupełnie panią siebie i że świetny tryumf, jaki odniosła, wcale jéj upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak skoro jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niéj korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód téj kobiety zaczynały go gniewać... ale zarazem rozżarzały powziętą miłość.

W pierwszéj chwili zamyślał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasłoną tajemnicy nawet księżnéj Teschen nie wyrugował z serca; postrzegał teraz, że z tą piękną panią daleko trudniéj przyjdzie... niż zrazu rachował...

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlić, lecz sama stawiła mu się prawie coraz zimniejszą, śmielszą i nieprzystępniejszą. Zamiast

postępować jak zwykle z Jowiszowém szczęściem przyśpieszonemi kroki do celu, król August widział się coraz daléj od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywszym i nie osłaniając swego zapału, dopraszał się kącika w sercu... pięknéj pani, zupełnie już z nim oswojona Anna odpowiedziała dobitnie:

— Najjaśniejszy Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do niemiłego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli Wasza Królewska Mość sądzisz, iż olśniona urokiem, którego potęgę uznaję, zapomnę, com sobie winna, że mną chwilowy szał owładnie i dla uroków jego przyszłość zniknie z oczów, mylisz się, Najjaśniejszy Panie: Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską kochanką chwilową.. Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy...

To mówiąc wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potém król z Fürstembergiem wymknął się z mieszkania hrabiny Reuss, która dostrzegłszy go, wybiegła za nim na wschody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wyrazu twarzy, jak się rozeszli z Hoymową, udała niezmierne ubolewanie nad tém; lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę, stosunek jéj z królem trudniéj zawarty, stalszym być obiecywał. Miłostki krotkie, któreby księżny Teschen nie obaliły wcale, nie odpowiadały jéj myśli; przez Annę spodziewała się i ona pewniejszy wpływ pozyskać.

— Kochana hrabino — szepnął król odchodząc — staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak Wenus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł schodzić ze wschodów. Rozmowa z poufnym przyjacielem jak Fürstemberg w innym już była tonie.

— Kobieta jest zachwycająca — rzekł król — ale przerażająca razem: jak lód zimna...

— Najjaśniejszy Panie! trzeba czasu... Kobiety są różnych umysłów i temperamentów, cóż dziwnego, że się broni...

— Broni! ale ona wyraźnie mówi, że wiekuistych chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli, że powinna być wiekuistą, i każdéj się przyrzeka... że nią będzie.

— Z tą nie przyjdzie łatwo — dodał August. — Teschen była daleko powolniejszą.

— Najjaśniejszy Panie, ale między niemi porównania niéma...

— Niestety! to prawda..- Teschen jéj nie dorównywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz, aby mi się wracać nie ważył..

— Ale cóż on tam robić będzie? — rozśmiał się książę.

— Niech robi, co chce, niech ze szlachtą się kłóci, niech im bałamuci żony — przerwał król — nadewszystko niech zbiera jak najwięcéj pieniędzy, bo mam przeczucie, że moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawnym...

— Jakto? Najjaśniejszy Panie, już miłość?

— Wściekła!! Fürstchen, rób, co chcesz... Anna być musi moją...

— A Urszula...

— Żeń się z nią.

— Dziękuję...

— Ożeń z nią, kogo chcesz... zrób, co ci się podoba... to rzecz skończona...

— Już, Najjaśniejszy panie?—zapytał książę ze źle utajoną radością.

— Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ją...

— Ale skąd tyle złota weźmiemy!

— Na to Hoyma rozum — odparł król — piszcie mu, niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.

— Aż gdy już nie będzie miał po co! — szepnął książę — to się rozumie.

Król westchnął... weszli do pałacu, August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII.

W ten sposób rozpoczęło się na dworze Augusta II jedno z panowań kobiecych, które dłużéj nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojném zajęciem przebieg sprawy, któréj koniec łatwym był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanemi po niego kuryerami wstrzymywano coraz dłużéj, nie dozwalajge mu powracać.

Codzień hrabina Reuss, pani Vitzthum, książę, wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknéj Anny; codzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hrabiny Reuss nie postąpił ani na krok, nie usłyszał nic innego nad to, co mu naówczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, chłód jéj, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano się, aby

się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym, ilekroć ją badano, odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczystego zapewnienia, iż król ją poślubi, jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwyczajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniéj płochych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani słowa.

— Przyznam ci się — rzekł do niego w kilka godzin potém—żem znudzony temi przedłużonemi konkurami: raz przecie skończyć to potrzeba...

— Zerwać? — spytał książę.

— Zobaczymy — lakonicznie odezwał się król.

Więcéj nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedziéć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko.. Fürstemberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy... W przeddzień August widział się z Hoymową w bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią chodząc długo, był niezmiernie czuły; lecz pani oblewała go chłodem i gdy odjeżdżał, Vitzthumowa zapewniała, że na twarzy jego wprawdzie skrywanego, lecz straszniejszego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widoczném było dla wszystkich, iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codzień do księżnéj Teschen, która tonęła we łzach, gdy jéj donoszono o Hoymowéj, i osuszała je zobaczywszy Augusta. W téj niepewności przeszło kilka tygodni, czas, który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli, komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono, ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniéj zasilał.

Właśnie tego dnia, gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owemi stu tysiącami talarów w karecie, kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma...

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamyślona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych

odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno usłyszawszy męskie głosy na wschodach, a bardziéj jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tém zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni jéj pobytu w Dreźnie pistolet nabity: był to jéj nieodstępny towarzysz. Śmiano się z niéj, bo go tam wszyscy u niéj widzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżonym, oka królewskiego nie uszedł.

— Nie potrzebujesz pani żadnéj obrony — zawołał — a ta, którąś sobie wybrała, na niby przydatną nie była...

Anna wlepiła w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie pani — kończył August rzucając wór złota na ziemię z taką siłą, iż pękł i dukaty rozsypały się brzęcząc po posadzce — mogę cię obsypać złotem, dostojeństwy i tytułami...

W téj chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę — dodał — to co mi się opiera, złamać, jak kruszę to żelazo. Masz pani do wyboru: złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę.

Anna stała, obojętnie patrząc na kupę złota i połamane żelastwo.

— Najjaśniejszy panie! — odezwała się po chwili — ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść jak te podkowy: woli mojéj nie złamiesz. Złoto jéj nie roztopi. Dlaczegóż nie przynosisz mi jednéj rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? — twego serca?

August podbiegł ku niéj.

— Masz je oddawna! — krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję — poczęła powoli Hoymowa — serce się objawia czynem: serce, co kocha, nie może pragnąć zbezcześcić to, co ukochało. Nie będę taić ci, królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzéć téj miłości, ale jéj nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niéj i ukląkł; Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie, królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoym inaczéj twoją nie będzie, jak gdy się godną twéj miłości uczuje...

— Więc warunki? mów! jakie są warunki?

— Przyrzeczenie ożenienia na piśmie.

August słysząc to zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

— Anno — rzekł — to dla ciebie saméj niebezpieczny warunek: wierzaj mi.

— Nie odstąpię od niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i nadziei będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok...

— Dobrze więc — rzekł — chcesz tego, miéć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczém przy tém — odezwała się głosem, w którym brzmiało szczęście.— Muszę miéć rozwód z Hoymem.

—Jutro każę go w konsystorzu podpisać — pośpiesznie dodał król. — Cóż więcéj?

— Z méj strony więcéj nie mam nic — przyklękając przed królem, złamanym głosem odezwała się Anna — dla mnie tego dosyć...

— Ale nie dość dla króla, dla mnie — podchwycił August porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię Anna się zwolniła.

— Najjaśniejszy panie — krzyknęła — wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy, co mnie wiążą: rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie twe podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgłam mu wierność i dochowam jéj.

August milcząc w rękę ją pocałował.

— Czyń, co ci się podoba, co cię uspokoi... jam twój niewolnik, tyś pani moja!! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla ciebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z niemi, ja...

Anna widząc go klęczącego, zlekka pocałowała go w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść? — spytał August.

— Do jutra!

Podała mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom wzdychając. Na posadzce sali kupa złota rozrzucona została.

Téjże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu, iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonéj nad wolę swą i potrzebę podróży, hrabia coraz mocniéj niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jéj widomym kroku i ruchu; lecz ze wzmianek o odwiedzi-

nach i przejażdżkach, w których zawsze prawie i siostra jego pani Vitzthum udział brała, nic bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł pomimo to, iż intryga zawiązana rosła i plątała się coraz silniéj, grożąc jego pożyciu małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać, aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiéj znał nad innych. Jego pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał ciągle na oczach. Największą rękojmią dlań był charakter żony, jéj duma i miłość dobréj sławy.

Przybywając do Drezna, nie wiedział o niczém więcéj nad to, co mu usłużni jego szpiegowie donosili; w samém mieście od ludzi dworu niewiele się spodziewał dowiedzieć.

Godzina spóźniona, a choć na zamku król biesiadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kusił; pojechał więc do domu i drzwi żony znalazłszy zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano, oblegli go urzędnicy od akcyzy; król przysłał, aby się stawił do zamku, tak, że nie widząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uścisnąwszy (był to znak jak najgorszy). Wymawiał mu nawet, że się tak długo w podróży zabawił, chociaż sam starał się o to, aby była przedłużoną: udał, że wcale o tém nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrzał królowi w oczy.

Nie mówiły nic.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista — szepnął August uderzając go po ramieniu — chciano cię od mojego boku oddalić; ale nie lękaj się, masz téż we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa, gdy z téj audyencyi, która mu wiele dała do myślenia, do domu powrócił. Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwarły i Anna ubrana czarno, jaśniejąca pięknością, spokojna i poważna, weszła drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niéj żywo: przyjęła go chłodno i zdaleka trzymając.

— Czekałam was, panie hrabio — rzekła głosem swobodnym — przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała, i zapewnić, że wspomnienie o tém zachowam na

zawsze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo nasze, na wzajemnéj sympatyi nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się: kilka lat cięższéj próby nie dozwalają lepiéj wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio. Znasz mnie pan, iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. Jego królewska mość uczynił mi ten zaszczyt, iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie: godzien jest, bym jéj nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną. Zdradzać jednak waszmość pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczéj. Jeśli rozwód z dobréj woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojéj przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkiém; jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojéj wdzięczności dla niego, pamiętać tylko, że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i chłodnego przemówienia żony swéj wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał, ażeby rzeczy już w téj chwili zaszły tak daleko.

Blada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; krew go dusiła, chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokończyła. Hoyma oburzała i treść jéj słów, a nadewszystko chłód, obojętność, z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swéj sukni, koronką rękawa, chusteczką, którą mięła w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowiony, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani — krzyknął z namiętnością podnosząc pięść do góry — wywdzięczasz mi się łaskawie za to, żem cię z zapleśniałego kąta wyciągnął... Odegrzałem żmiję... Rzucasz waćpani męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekkomyślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić daléj.

— Dosyć, panie hrabio, wiem odrazu, co mówić będziesz, ale wiem téż, co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór: chceszli z dobréj woli przystać na rozwód czy nie? mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiązłość zwała się galanteryą; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla niéj ostygła; w téj chwili

jednak gdy pomyślał, że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew, opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie rozbijając krzesła i bijąc o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie patrząc bezmyślnie w ulicę; to znowu przypadał groźny do hrabinéj, która nań nieulękniona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wié, co czyni.

Stosy papierów rzucał pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta pasya, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na niéj nie wywarła wrażenia. Anna niemal szyderczo patrząc nań, cofała się milcząca i czekała. Nie mogąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę, że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę; daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną; masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle rwąc na sobie odzież, siadał, wstawał, rozpaczał i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szałów.

— Co ci jest, Hoym? — zawołał — co ci się stało?

— Co się stało? a! wy to lepiéj z pewnością wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuca! królowi jeszcze i téj potrzeba było. Pocóż szła za mnie? dlaczego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj, Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję, że ci pięknéj Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jéj serca, a bałamuciłeś się tak, iż wątpię, żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnéj. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż najjaśniejszy pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda, abyś dozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka — dodał Vitzthum. — W przeciwnym razie, mój kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Najmniejsza przykrość wyrządzona hrabinie uważaną będzie za obrazę majestatu.

— Ale pocóż chcecie mojego zezwolenia? — wybuchnął Hoym — wszakże król i bez niego uczynić może, co mu się podoba. Konsystorz jemu, nie mnie będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę... Zabiera mi, com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda, abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla, że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widziéć w tém powinieneś chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny! — mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namyśl się — rzekł — gdy wyjdę stąd, będzie po czasie.

Hoym znowu biegał i co spotkał, wywracał, w końcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem, pełnym goryczy, i padł w krzesło...

— Hoym, król czeka na odpowiedź? — zapytał Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą — odparł minister — szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jéj, grożąc mu pałką nad głową. A więc naturalnie, kochany szwagrze, zaniesiesz odpowiedź najjaśniejszemu panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczen, iż raczył mię od ciężaru téj kobiety uwolnić; że zgadzam się na wszystko, żem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować najjaśniejszemu panu od ust nadgryziony owoc... cha! cha!

— Gdybyś wypił szklankę zimnéj wody — szepnął Vitzthum biorąc za kapelusz — hę?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi — rzekł cicho — ty jeszcze lepiéj na tém z łaski żony wychodzisz niż inni. Powiem królowi, że się zgadzasz .. ochłoniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomniéć sobie zapewne musiał, mówiąc to, własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyciła się łaską najjaśniejszego pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony w końcu, kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokojów Anny... Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono, iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca, August poznał zaraz, iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do posła.

— Byłeś hrabia szczęśliwszym niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może — odparł kłaniając się Vitzthum — ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko się zgodził.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przynosisz mi pan swobodę i szczęście — zawołała — nie umiem ci odwdzięczyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była miniatura Anny, przed kilku laty zrobiona.

— A! — zawołał król — przepraszam, to zanadto dla ciebie, Vitzthum; prawem królewskiém konfiskuję, w zamian daję ci 20,000 talarów: tego wizerunku nikt prócz mnie mićć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.

Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina, podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyśpieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niéj domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galeryą krytą.

Wieść o tym wypadku piorunem pierwszéj chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majętności swéj rodziny w Holsztynie, kazała się zwać panią Cosel. August poprzysiągł jéj, że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy oddawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niéj, stał się niewidzialnym... zapomniał o całym świecie.

W pierwszéj chwili zaraz księżna Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zręcznością do ostatniéj chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkiém. Rozwód Hoymowéj, jéj przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszéj wątpliwości o tém, iż panowanie księżnéj było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz księżna Teschen pozostała swobodną, panią swéj woli i niełaska nie dotknęła jéj więcéj w niczém, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać, choćby dla kardynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym... Pomimo szpiegów, jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dokoła pałacu księżnéj, o zamiarach jéj nic się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową, nienawidzącą siostrę, dobyć z niéj tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale księżna Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział, czy pozostanie w Dreznie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniéj świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci co pozostali wiernemi księżnie, posądzani byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden książę Ludwik Wirtemberski teraz częściéj i dłużéj tam przebywał.

Intrygi dworskie na chwilę skierowane na obalenie panowania księżnéj Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięstwie jéj inny wzięły kierunek.

Fürstemberg, którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odegrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjazne zaczęły się coraz jawniéj zarysowywać wśród napozór sfornego dworu Augusta II-go. Staraniem było dobrego króla najtroskliwszém, nie dopuścić, aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i, o ile mógł, przykładał do poróżnienia ich z sobą. Jątrzył ich naprzemiany okazywanemi jednym łaskami szczególnemi, to dając się drugim dorozumiewać, iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo zukosa na się spoglądających twarzy cieszył go i ubezpieczał. Jedni w ten sposób skarżyli na drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożebnianiu zgody.

Vitzthum, o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był, jak-eśmy mówili, szwagrem Hoyma. Rodzina ta pochodząca z Turyngii była już oddawna w służbie saskiéj. Wielki sokolniczy, hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pazia, i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbywał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód ciekawych doznali, a po upadku wielkiego kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczowstwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dlatego, że się go wcale nie obawiał; nie był to wcale gieniusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniéj w rycerskich ćwiczeniach, ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł dosko-

nale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym ale miłym dowcipem i wesołością. Mówiliśmy już, jak szlachta saska ostrożnie, ale uparcie starała się królowi z uszanowaniem opierać, gdzie szło o jéj przywileje. Vitzthum był téj szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość, jakiéj mu król dozwalał, szczególniéj przy ucztach i winie, dawała mu zręczność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a wistocie było bolesną i gorzką prawdą.

Wyjąwszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mieszał, od intryg stronił, ambicyi nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i po-za Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniéj, jeśli nie więcéj niż mężczyźni rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną... słusznego wzrostu, jak większa część Saksonek arystokratycznych rodzin; oko miała szafirowe, płeć świeżą, nosek odrobinę zadarty i wesołość często zbyteczną, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dziecinnym piskliwym śmieszkiem. Pani Vitzthum jak grą bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niéj częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambicyę, bo jemu na niéj zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa; stali oni na stronie i napozór niżéj od Fleminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniéj jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciołom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel stanęli też z nią w stosunkach, które obiecywały, że będą podzielać jéj wstręty i przyjaźni i natchnąć ją potrafią jednemi i drugiemi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczuł, że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą jak księżna Teschen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jéj wielbicielem. W pięknéj główce kobiety, którą traf zbliżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym z dawno pamiętnych karnawałów.

VIII.

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedyném powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do najjaśniejszego pana.

Codzień z rana, z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowém nazywa, przejeżdżał na koniu w najpocieszniejszém ubraniu, znany od uliczników do ministrów, wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym jego królewskiéj mości artystą figlarzem. August w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig.* Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugich śmieszył i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać, gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Błazeńskim (Narrenhaus), udawał się na służbę, zdolną była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały, okrągły, rumiany, nosił się w rodzaju fraczka hanswurstowskiego, a takich fraków miał, z łaski króla, różnego koloru dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś nakształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncyj. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnéj uczty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesołością swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kammerkuryera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało konceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Saumagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzyma Cojanusa, dwanaście par karłów ze sławnym Hante na czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będziemy od poznania nawet téj ma-

luczkiéj części dworu, która ku poufałéj pańskiéj zabawie służyła.

Sławny Kyan dowcipniś nie inną téż tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszéj uczcie, jak król go szacował. Fröhlich był przy swéj wesołości człowiekiem roztropnym i wcale niezłym. Powoli sobie grosza ciułał, żył oszczędnie, śmiał się może pocichu z tych, co się z niego głośno śmieli i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojéj jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błazeńskiéj kamienicy rzadko kiedy kto zapukał, bo i gospodarz w niéj był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałéj jejmościance na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi.

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził, że przez jaki osobliwszy kaprys król do rana się zahulawszy, przysyłał po niego. Lota wyjrzawszy przez szybę we drzwiach, nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma, Lota spytała, czegoby chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przybyły.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lota nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznajomego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznajomemu i natychmiast wchodząc w swą rolę, w wielkich krygach i przesadnych ukłonach powitał go jako ekscelencyę. Nic mniéj do ekscelencyi nad tego biedaka podobném być nie mogło: blady, zbiedzony młody człowiek stał w progu, dusząc kapelusz w rękach.

— Czém mogę służyć waszéj ekscelencyi? — zapytał wpółzgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich—odezwał się cichym głosem przybyły — nie żartujcie sobie z biedaka... dla mnie wy prędzéj będziecie ekscelencyą niż ja dla was.

— Hę? hę? — spytał Fröhlich — ja dla was; czy król was przysyła? nie!

— Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam-na sam!

— O audyencyę? hę? — podchwycił pusząc się Fröhlich — *donnerwetter!* czy przez sen, sam o tém nie wiedząc nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie się tak gryzą, iż ich w końcu nie stanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojeństw. Ja sobie zawczasu ministeryum skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego, mimo wesołego wyzwania, ani promyk jaśniejszy nie błysnął; stał chmurny i milczący.

— Chwila rozmowy sam-na-sam? ze mną?... akorduję... W całym domu niéma nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie, i hausknechta, który konia drapie.

Siadł w krześle, rozparł się i począł udawać dygnitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nierozśmieszony wcale.

— Panie Fröhlich — rzekł — zdziwisz się mocno, gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnéj.

— A toś się o drzwi omylił!

— Nie — rzekł nieznajomy — wcale nie... widuję waćpana codzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem, żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć — przerwał Fröhlich, trzepiąc rękoma — ale cię uprzedzam, że z tego nic nie będzie. Wszystkiém szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czém chcesz; ale pieniędzmi! No, nie mam. Król goły, jakże chcesz, żebym ja pieniądze miał?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— A! — oddychając, rzekł Fröhlich — to czegoż u licha możesz ode mnie żądać? Żebym cię sztuki jakiéj nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka sto pięćdziesiąt łokci wstążki wyciąga?...

— I to nie — odparł przybyły.

— Szukasz mojéj protekcyi? — spytał Fröhlich.

— Byćby to mogło — smutnie rzekł nieznajomy — gdy kto innéj nie ma.

— To się choć do błazna udaje! — rozśmiał się stary. — Ale dalipan, Schmiedel, jako baron i kamerkuryer lepiéjby ci przystał; widzę z barwy, że należysz do dworu, ale akcent masz obcy. W tém niéma nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim dworze z latarką szukać przyjdzie. Któżeś ty?

— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

— Polak, więc szlachcic, to się rozumie — rzekł Fröhlich — siadajże, szanuję szlachectwo... a żem ja mieszczanin, będę stał.

— Nie żartuj, panie Fröhlich.

— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów, szanowny Polaku, co ci jest? choryś? ja-m nie doktor.

Jakąś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, tak humor Fröhlicha widocznie go nękał.

— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedziéć.

— Kilka? dobrze.

— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... słyszałeś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nieszczęście łamać podkowy, giąć puhary i ścinać koniom łby na wzór najjaśniejszego pana... kazano mi zato wisiéć przy dworze.

— Już wiem, wiem; przypominam — rozśmiał się Fröhlich — nie zazdroszczę ci, kochany panie; jakże?

— Zaklika...

— Kochany panie „Unglücku“ — kończył Fröhlich. — Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo... domyśl się... by sobie tak smutną obrać rolę.

— Od czasu jak wiszę u dworu... życie mi obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz, że za opiekuna i za przyjaciela mnie chciéć wybrać, to równie szczęśliwa myśl, jak łamać podkowy! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym słomy ze strachu, abym nie obudził zazdrości: pięknie się wykierowałeś...

— Stało się — rzekł Zaklika — nie mam tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twéj skórze...

— Właśnie, że mi w niéj niewygodnie, myślałem, że choć Fröhlich się nade mną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach... potém przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać... jakby był doktorem...

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byćby to mogło! — uśmiechając się odezwał Zaklika...

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu...

— O cóż ci idzie? — spytał.

— O to, aby mnie ze służby dworskiéj najjaśniejszy pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiéj — rzekł Frölich pocichu — zrób głupstwo jakie, postawią rusztowanie na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny...

— Na to jeszcze czas — odparł Zaklika.

— Cóż myślisz robić, gdy cię uwolnią? powleczesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu.

— Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko?

Zaklika mocno się zarumienił...

— Nie — rzekł — mogę dawać lekcye fechtów i konnéj jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaciągnąć...

— Czy mrzesz głodem na dworze?

— Nie, mamy wszystkiego do syta...

— Czy ci nie płacą?

— Owszem...

— Dlaczegóż ci źle?...

Zaklika się zmieszał.

— Nie mam tu co robić, jestem niepotrzebny...

— Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój a szukasz biedy...

— Może — odparł krótko Zaklika — ale się wszystko znudzi...

— Szczególniéj, gdy komu dobrze i niéma nic do roboty — dokończył Fröhlich. — Jednakże ja w tém wszystkiém nie widzę, jakbym ci mógł być pomocnym?

— Najłatwiéj... stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem; lada konceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę, król miewa różne fantazye.

— A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić?—spytał trefniś.

— Waćpanbyś mnie obronił...

Fröhlich przeszedł się po pokoju, włożywszy śpiczasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

— *Donnerwetter!* — zawołał — zaczynam się dorozumiewać po raz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają po moję protekcyę. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samę wdzięczność cośbym rad uczynić dla niego... Któż wie... mówią, że Kyan zostanie komendantem Koenigsteinu, ja mogę być przynajmniéj kaznodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu! Zaczynam nabierać ambicyi...

I upadłszy w krzesło Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę..

— Świat przewrócony! *donnerwetter!* szlachcic polski oddaje się w protekcyę trefnisia... a Szwedzi, którzy żyją śledziami, biją Sasów, którzy się karmią świniną!

Plasnął w ręce... Na to hasło wpadła Lota, stając w progu z polewką winną na talerzu...

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice, aby zamilkł i skłonił mu się jak minister, który audyencyę zamyka... Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika smutny spuścił się ze schodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snuło mu się po głowie, że swobodny mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowéj, która nagle zmieniła się w panią Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta... Śnił niezrażony niczém, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... téj, w któréj czarne oczy patrzéć było dlań największém szczęściem...

Tak dziwaczne miłości, jak ta, która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzéć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadném większém szczęściu nad to... Chciał być jéj stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą... domyślał się, że musiała miéć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jéj zaufanie i całego siebie, choćby życie oddać na jéj usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu: powolny napozór, ale upartéj a niezłomnéj woli. Śmiał się sam ze swéj miłości dla téj, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jéj myśli, teraz mu rajem się wydawały. W Dreznie twarz pięknej królowéj rzadko miał szczęście dojrzéć na chwilę... Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało. Roił, że się tam kiedyś musi dostać do jéj domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne ostatnie pragnienie... Dla dostąpienia go byłby nietylko trefnisiowi się pokłonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie...

Miłość biednego chłopca dla téj idealnéj piękności nic zresztą niéma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszém mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała zdaleka, Cosel z całą swą dumą, ze świeżą miłością dla pięknego Augusta, w szczęściu, które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało? Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jéj strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrozyą życia, jest bardzo niezwyczajném uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jéj niełatwo się litością poruszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę, aby na nią popatrzeć, przypominał się jéj mimowolnie. Pochlebiało to jéj piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którém nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się, ktoby sądził, że rozmiłowany August II dla pięknéj Cosel wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjacioły. Z wielu rachub i względów były one dlań potrzebą i nałogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgodę, która była panowania narzędziem; a zręczne badanie dobywało z rozweselonych wyznania, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych nie jeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulanka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tém, jak swe bóstwo otoczyć Olimpem wspaniałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym, który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, któremi dobry król otarł łzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich ze zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano, co nigdy dawniéj nie płaciło, ściągano grosz cudownemi wymysły, król nagradzał hojnie tych, co go mu dostarczali.

Lecz najgienialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc trzeba było do środków gwałtownych i hazardowych. Upadek wielkiego kanclerza, do którego i polityczne przyczyniły się wypadki, w znacznéj części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję milionowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu darowanym księżnie Teschen, na kilku wioskach i na pół milionie talarów, które był królowi niegdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtoramilionowéj fortuny kanclerza rozdzielili między siebie jego nieprzyjaciele, Fürstemberg, Pflug, może Flemming. Król, co się wiele spodziewał, nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi sum bajecznych, jakich jego fantazye wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August, jak inni panujący, na alchemię chorował. Nie powątpiewano bynajmniéj,

że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył, jak wszyscy marzyciele, w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Auguście II myśl tę, że znajdą człowieka, co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak niecodbicie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczém, prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do któréj król sam przychodził, mieli je i inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędrcach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadali.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi, że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie *robił*, i zrobi go daleko więcéj, niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrcem, na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historya dość jest ciemną, ale późniejsza najlepiéj dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed temi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, Sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptece w Berlinie fabrykacyą tynktury, czyli, jak inni chcą, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą klasztoru greckiego w Mitylenie... Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saksonii, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy: schwycono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkiém dziełem, a król najmocniéj wierzył, iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą téj nadziei tynktury Beichlinga... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuryusz i różne ingredyencye dla zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, siadał nad tyglem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies stłukł merkuryusz przysłany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany, jak w więzieniu u Fürstemberga na zamku, potém w fortecy na Koenigsteinie, gdzie mało nie oszalał, i znowu potém na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historya nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku... Ten więziony adept, tynktura, tygle, w których ma się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi" z Fürstembergiem nad tynkturą... a potém odpoczywający u księżnéj Teschen — są to nieoszacowane rysy obrazu wieku...

Böttiger korespondował z królem, i król oświadczał się dla niego z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla 40,000 talarów!

Gdy Cosel na tron po księżnie Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie na tarasie, otoczonéj ogródkiem... zajętego ostateczném wykończeniem formuły złotodajnéj. Oczekiwanie było wielkie, nikt nie wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje... Szczególna rzecz, zastrzegał on sobie, ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku: „aby pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny, i tego rodzaju dzieła nieprawości"... Powiadał, że posiadającemu *arcanum*, „nie godziło się służyć panu, któryby był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub niepotrzebnie krew rozlewał"...

Zdaje się, że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia uniewinnił...

W dniu tym, w którym Zaklika oddał się pod opiekę Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczonym był „nadworny kuglarz" do zabawiania towarzystwa... Leżało mu na sercu, by młodzieńcowi usłużyć, który w nim nadzieję pokładał... łamał nad tém głowę, ale nie był w swéj roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł, że mu w tém zręczności brakło... Król przyjmował u pani Cosel Fürstemberga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszów wieczornych. Pani Reuss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowéj pani.

Po wieczerzy Fröhlich musiał pokazywać sztuki... Śmiano się do rozpuku... Między innemi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się nie rozśmiał i owszem pochmurna stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać pocichu. Nie rad się król przyznawał do téj tajemniczéj słabości, chociaż naówczas podzielali ją z nim najuczeńsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi — szepnął król — wolno się śmiać nawet ze mnie... a więc i z rzeczy tak poważnéj, jak tajemnica robienia

złota. Ten, który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jéj nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go stamtąd wydobyć potrafili... Przekona się w końcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— Najjaśniejszy panie — rzekł Fröhlich — dopóki przy nim niéma tak silnego człowieka, któryby każdego czasu mógł go pochwycić i któregoby się obawiać musiał, niéma téż pewności, że nie zbiegnie. Najjaśniejszy pan sambyś był dlań najlepszym stróżem lub człowiek, coby miał równą siłę Herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niéma...

— Mylisz się Fröhlich — rzekł August — był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny...

— Nigdym o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z téj zręczności, by króla prosić o uwolnienie od służby... August potrząsł głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny — zawołał — mam skarb, który chcę twéj sile i poczciwości powierzyć; pójdziesz na dwór pani Cosel... będziesz czuwał nad jéj bezpieczeństwem... jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jéj nie spadł.

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcéj. Los usłużył mu lepiéj niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła, zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu... Zrazu oburzyło ją to, ale dowiedziawszy się, że był przysłanym przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wytłómaczył, dlaczego przysłał jéj Zaklikę... Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegaście, ale nie powiedziała jéj królowi... i Zaklika pozostał na swém miejscu.

Fröhlich zobaczywszy go w kilka dni potém, tłómaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby...

— Na miłość Boga! panie Fröhlich — zawołał Zaklika — ja już zostaję, gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

IX.

Któżby się wpośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odegrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabinéj (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czém utrzymać.

Wśród szałów i hulanek walił się ów gmach dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonia wycieńczała się na utrzymanie Polski, któréj zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszém...

Pomiędzy dwiema bitwami, wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szałach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowéj dawano instrukcye tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa nie objawiała się najgłówniéj w kręconych sztabach i łamanych podkowach; największą siłę okazywał pewnie, mogąc podołać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłostkom i zamętowi, jaki go otaczał... Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, ucztowano nocą. Aby długie lata życiu takiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakiemi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednéj na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknéj Cosel, które miało trwać krótko, zaniosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jéj stosowało się do tego... Na jednę chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo jéj nie odstraszało...

Wprędce umiała poznać charakter Augusta i dojrzéć sieci snujących się intryg dokoła; ze spokojem umysłu i wesołością niezachwianą niczém, bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawném wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśléć przeciw niéj działać. Jeśli płochy król na

chwilę zapomnieć o niéj potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyśpieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jéj szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróżno oczy zazdrosnych kobiet śledziły w niéj zmiany, znużenia, przekwitu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabinéj. Było to cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabiów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem pocichu zwała. Płochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniéj zakochany... Czarem płonęły jéj oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niéj.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jéj trwożyć się mieli prawo... Chwila działania przeciw téj, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnéj i łagodnéj księżnéj Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niéj tryumfem... Napróżno duchowieństwo zgorszone tém jawném króla przywiązaniem, poczęło, z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnic przeciwko pięknéj Betsabe... Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jéj imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście, tylko o Cosel Betsabe... Wieczorem doniesiono królewskiéj ulubienicy o napaści kaznodziei. August przychodząc do niéj wesół, zastał ją we łzach...

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo? — zawołał chwytając ją za ręce.

— Sprawiedliwości, królu! — zaczęła, łkając i zanosząc się od płaczu — mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, broniłbyś nieszczęśliwéj... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się stało? — począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! trzeba przykładu przeciwko zuchwalstwu, które nic, nawet korony poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie, jako Betsabę...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! ja-m prawdziwą żoną twoją, panie mój! — wołała Anna obejmując go — ukarz go, uczyń przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

— Kapłan ma jednę w tygodniu godzinę — rzekł — w któréj mu wszystko, co chce, mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zszedłszy z ambony, szepnął jedno słowo, byłby ukarany niechybnie... Tam, miejsce go broni...

Gerber pozostał nieposkromionym, jednakże więcéj historyi o Betsabie nie powtarzał...

Wśród największych klęsk, jakiemi były odznaczone te lata, rozwijała się owa miłość królewska... Dziki Karol XII z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce, mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich, słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętemi usty myślał tylko, jakby kość swą całą z niebezpiecznéj gry wycofać... Dawna kochanka pana, hrabina Königsmarck, wysłana w potajemném poselstwie, nic dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał...

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom...

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać...

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko, Cosel się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze...

Wieczorem cztery części świata tańcowały kadryle w pałacu czterech pór roku... August z Cosel Azyę przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknéj pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanemi się jéj stały, potém nienawistnemi. Hrabina Reuss, Hülchen, nawet zręczna

Vitzthum... dostały odprawę... Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich...

Strach ogarniał dwór cały...

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani; Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegły niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna, któréj zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwyciężał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu... August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Pocichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranéj pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierzchłych zbiegów, które chwytano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia pierwszego września Szwedzi pokazali się w Saksonii... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Szląsk, do Czech, ale już było zapóźno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia... Bronić się nie było podobna, musiano karmić... Szwedzi rozleli się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż pod Würzburg. Drezno gdzie dowodził Sinzendorf, twierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski Stanisław Leszczyński przybył do Saksonii... Z Drezna pouchodziło, co żyło... królowa do rodziny w Beyreuth, matka jéj z wnukiem do Magdeburga, a późniéj do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam ich transport beczki złota kosztował. Dopiéro zapewnienie Karola XII dozwoliło jarmark Święto-Michalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucyę wycisnąć. Szlachta chcąc się od niéj uwolnić, przedstawiła królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę, innych ciężarów nie była obowiązaną ponosić.

— A gdzieżeście byli z waszemi rycerskiemi końmi, kiedy ja wchodziłem? — spytał Karol XII. — Gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby tu nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucyi; możecie ją sobie wziąć, skąd chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się zupełném korony polskiéj na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altranstadzki 1706 roku, a tymczasem w Polsce się jeszcze bito... i August nie przyznawał się do tego, co podpisał... Udawał, że wysłani dla zawarcia układów, Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo i ratując honor swój, zasadził ich do więzienia...

August, który wistocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzéć musiał, zapierał się go potém zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono; upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł, że dźwignąć się będzie bardzo trudno i głuszył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku...

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj...

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranéj pod Kaliszem ożywiony nadzieją, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszony był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii.

Pani Cosel, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jéj dozwolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jednę ocalić i widziéć bezpieczną.

Zaklice, który na krok nie odstępował swéj pani, powierzył król odprowadzenie jéj do Drezna... Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapałem zakochanego spełniał więcéj własne swe natchnienia niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy chwyciła władzę w białe rączki i silna królewską miłością, rządzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstembergom, namiestnikom i wszystkim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomnożyło to liczbę jéj nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jéj, August nie przestał być sobą; miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwa, ale zdobywał serca...

Panowanie hrabiny Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odegrywanemi. Namiętność do niéj żyła jeszcze

w sercu króla, lecz ile razy się od niéj oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więcéj niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niéj oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią Fürstemberg, hrabina Reuss i cała klika nieprzyjaciół, szukała już środków, jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jéj o tém, odpowiadała niedowierzającym uśmiechem... Węzeł, który ją łączył z królem, wzmocniło przyjście na świat dwóch córek... Dumna pani mówiła sobie, iż drugiéj jéj podobnéj August znaleźć nie może: ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonéj jazdy, ani obozowań pod gołém niebem...

A jednak, już w czasie pobytu w Warszawie, serce jéj mówiło nienadaremnie, że została zdradzoną. Król wykradając się przed nią zawiązał był stosunek z córką francuskiéj kupcowéj, do któréj sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła, dowiedziawszy się o tém, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jéj rączki i przebłagać potrafił. Wistocie mimo tych zalotów kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była mu najmilsza; ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Cosel pocieszała się tém jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jéj nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstembergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniéj życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewsku hrabinę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstemberg jeździł otoczony gwardyą, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonię... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga.

Wśród szczęku oręża, podpisawszy traktat, hańbę swą August II... powrócił do stolicy; a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałacu hrabiny Cosel.

U drzwi jéj apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który oparty na poręczy krzesła, w głębokiéj zadumie był zatopiony... Ujrzawszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

— Najjaśniejszy panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjścia na świat...

Zlekka odepchnąwszy go król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia August.

Cosel biała jak marmur, wysilona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecię, które staruszka trzymała na ręku. Król wziął je i pocałował, zowiąc swojém... Potém przystąpił do łoża i usiadł, czoło kryjąc w rękach...

— Anno — rzekł — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Auguście — z płaczem odezwała się Anna, ręce łamiąc — biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniéj jeszcze kochać będę...

— A! potrzebuję téj pociechy... — dodał król ponuro — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięscy nikczemnie kłania się świat cały... on tu panuje nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreznie, chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy... W korytarzu wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych klęskami, które na Saksonią spadały... Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak boleści i znękania: król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia, jakiego doznawał... Egoizm w nim głuszył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic... nie rumienił się niczém...

Dnia 15 grudnia 1706 roku przybył August do Drezna... nazajutrz zniknął... Samotrzeć z Pflugiem i jednym sługą był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien, że jasnością oblicza i wielkością swą na niezbłaganym Szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się, iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu... Dwaj królowie rozminęli się w drodze... August przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hrabia Piper, dowiedział się, że w Altrandstadt (o pół godziny drogi) króla szwedzkiego nie było.

Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz surowego, postrzyżonego Karola XII ufryzowanemu Augustowi...

Spotkali się dwaj monarchowie na wschodach. Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne, wyraziściéj się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina; Sas na dworaka Ludwika XIV. Zajadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wnijść przodem; kłaniali się oba długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk, a potém rozmowa w oknie, która trwała godzinę, któréj nikt nie słyszał, z któréj August II wyszedł blady i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężył na życiu króla; nie wspominał o nim nigdy... Nazajutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII etykietalnie krótką oddał mu wizytę... W traktacie jednak nic pono się nie zmieniło...

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla, dusiła go ta Szwedów przytomność na saskiéj ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą... Pomiędzy Altrandstadem, Moritzburgiem, Lipskiem, starając się o ratyfikacyą traktatu, spędzał August dni upokorzenia.

Król saski w złocistéj sukni à la française, w *allonge*-peruce utrefionéj starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową, w sukiennym mundurze granatowym ze stalowemi guzami, w butach za kolana i łosiowych spodniach... spotykali się wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów... Te obrabiał Piper i Cedernhiölm... Karol XII między innemi zapewniał króla saskiego, że od lat sześciu prawie długich butów swych nie zrzucał; nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy. August, choć mu spartańska polewka Szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu Szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę...

Po podpisaniu traktatu, parę miesięcy królowie się wcale nie widywali z sobą. Karol XII jednak wychodzić z Saksonii nie myślał... Znudzony w końcu August II, mówią, że spotykając nawet Szweda w Lipsku, udawał, iż go nie widzi...

Miał biedny król wistocie wiele na głowie, nie licząc téj nieprzyjacielskiéj załogi... Musiał polować i kochać i plątać intrygi dworaków, aby o swéj biedzie zapomnićć...

Dwór był zawsze równie świetny... Karol XII nieustannie odbywał mustry swoich żołnierzy: August II wydawał bale... Truł mu tylko spokój i rozkoszne sny nieznośny Fürstemberg, ówczesny przypadkowy namiestnik w Dreznie...

O tym nieprzyjacielu teraźniejszym Anny Cosel, kilka słów powiedzićć musimy... Wśród dworu Augusta złożonego z cudzoziemców i Niemców z różnych krajów, dlatego, by wpływ saskiéj szlachty usunąć, Fürstemberg wistocie zrazu obco się wydawał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem, ani nadzwyczajnemi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar wmawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty, a zajmował się najpilniéj walką skrytą z nieprzyjaciołmi i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny hrabia Reuss był narzędziem... Dom jego i towarzystwo służyło Fürstembergowi... Ani się spostrzegł zrazu przeznaczony na odpieranie szlachty saskiéj książę, jak sam się jéj dał związać. Schwycili go Friesenowie przez hrabinę Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swém wyniesieniu wprędce uwolniła się z więzów Vitzthumowéj, pani Reuss i jéj kółka; zdawało jéj się, że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narzędzie im służyć... Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnéj wojny.

W czasie niebytności króla, szpiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jéj słowo, tłómaczono każdą czynność, aby się tém późniéj posłużyć przeciw niéj u króla... Pora działania jeszcze nie była przyszła... Fürstemberg czekał i wstrzymywał innych... Powrót króla był tryumfem Cosel...

W czasie, gdy jeszcze z łóżka nie wstawała, a chciała miéć ciągle Augusta przy sobie... jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne depesze przyszły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła, aby ministra Bose wpuszczono z niemi do jéj sypialni. Nic w tém nie było nadzwyczajnego: despotycznéj woli jéj, wyrażającéj się gwałtownie, król ulegał... Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wysokich urzędników, wchodzący z ceremonialnemi nader i niezmiernie nizkiemi ukłonami, Bose był najstarszym, a jak mówiono, najmądrzejszym...

Zaczął od uczczenia majestatu, zgiąwszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzićć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czcią powitał piękną chorą, która cała w puchach i koronkach zagrzebana, wyglądała jak blada na śniegu różyczka...

Pod pachą niósł Bose papiery.

Cichuteńko szepnął królowi:

— Pilne, z Warszawy...

Oba z nim ustąpili ku jedynemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapony. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz z Warszawy i badała zdala twarz króla, aby z niéj wyczytać, co znalazł w tych papierach. Bose z uszanowaniem w dwu chudych, kościstych palcach, wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał Najjaśniejszemu kopertę po kopercie... Zrazu szła jedna po drugiéj poważne z wielkiemi pieczęciami... Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce.

Wtém Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niezgrabny, podejrzany. Król rozerwał kopertę, rzucił nań okiem, uśmiechnął się i zarumienił: mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel.

Anna usiadła niespokojna.

— Co to za list? — spytała.

— List, w sprawach kraju; cóż chcesz? — rzekł król.

— Proszę mi go pokazać! — krzyknęła chora.

— Niepotrzeba! — rzekł zimno król czytając daléj.

Twarz Cosel zapłonęła; zapominając o przytomności szanownego staruszka, który się cofnął jak piorunem rażony zakrywając oczy, Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta... Król się zmieszał, spojrzał na radcę, ten stał w pokornéj postawie człowieka, który nie wié co począć z sobą.

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jéj: list był od Henryety Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, a donosił Augustowi o narodzeniu córki, która późniéj być miała sławną ową hrabiną Orzelską... Biedna matka kończyła pytając króla, co każe uczynić z dziecięciem.

— Niech je wrzuci do wody! niech je utopi! — krzyknęła Cosel — tak jakbym ja ją utopiła, gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowemi pokłony, widząc że nie w porę przyszedł, cofał się ku drzwiom.

— Cosel, na Boga! uspokój się! — rzekł król przystępując do łóżka.

— Jakto? ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żoną, która ciebie jednego kocham... śmiesz mnie zwodzić, zdradzać...

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdém króla bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jéj o przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach naprożno.

— Cóż chcesz, żebym uczynił? — zawołał.

— Jeśli słowem jedném odpowiesz téj niegodziwéj, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią—krzyknęła Cosel ze wzrastającą popędliwością — biorę pocztę, jadę do Warszawy, zabiję matkę i córkę, przysięgam.

Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie, iż się nie odezwie, że zapomni, i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiary...

Tak naostatek skończyła się ta scena, o któréj Bose nikomu nie wspomniał, bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocnéj pani. Jego polityka zależała na tém, by chodzić cicho i takiemi drogami, na którychby go nikt dośledzić i dostrzedz nie mógł. Ludzi wielu miało go za prostodusznego staruszka: mówił mało i udawał, że nic nie wié.

X.

O przygodzie tego poranku niktby pewnie nic nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczony zebrał w małéj jadalni zwykłe kółko zaufanych, aby się z niemi rozerwać... Zapijano pamięć Szweda. Po drugim czy trzecim puharze, bo tam kielichów nie używano, król się śmiać zaczął, patrząc na Fürstemberga.

— Wielka szkoda — rzekł — żeś ty w miejscu starego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł: byłbyś się może z Cosel pogodził, zobaczywszy ją w tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu.

— Cóż to było? — zapytał książę — wszak hrabina z łóżka nie wstaje?...

— To téż w koszuli z niego się porwała, aby mi z powodu listu téj biednéj Henryety zrobić najokropniejszą scenę... Zazdrosną jest jak żadna, i nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie téj pasyi dotrzymała mi dawno danego słowa i strzeliła... Pistolet jéj nigdy nie opuszcza.

Fürstemberg się obejrzał ostrożnie, aby się przekonać może, czy niéma zdrajcy między niemi: byli tylko swoi, o których wiedział dobrze, iż Cosel nienawidzą.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się z uśmiechem dwuznacznym — hrabina Cosel, będąc tak zazdrosną o serce Waszéj Królewskiéj Mości, co nikogo nie zadziwi, powinnaby przynajmniéj sama powodu do podejrzeń i zazdrości nie dawać...

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, wydął usta i spytał zimno:

— Mój Fürstembergu, kto coś podobnego mówi, powinienby dobrze rozważyć swe słowa i rozrachować następstwa... Na tém,

coś powiedział, zatrzymać się nie można; powinieneś się wytłómaczyć.

Książę spojrzał po towarzyszach.

— Ponieważ słowo mi się wyrwało, naturalnie usprawiedliwić go muszę. Przecież nie ja jeden, ale my tu wszycy patrzaliśmy na postępowanie hrabiny w czasie niebytności Najjaśniejszego Pana... Proszę spytać, jak się hrabina bawiła tutaj, boć pałac był pełen zawsze... gości pełno, wielbicieli mnóstwo, a starszy hrabia Lecherenne w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Codzień na obiedzie, codzień na wieczerzy...

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiéj, wielce wykształconym i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy mało mu ustępujący, kawaler maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukać na dwór drezdeński. Widząc skąd płyną łaski, przywiązali się szczególniéj do hrabiny Cosel, a za jéj protekcyą, król ich szambelanami mianował. Spodziewali się znać dalszych łask i pozostali w stolicy saskiéj. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał... Dlatego Fürstemberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko.

Król August wysłuchał Fürstemberga z pozorną obojętnością, lecz i on i wszyscy przytomni, co znali, jak umiał w sobie tłumić wrażenia, i z każdego drgnięcia nauczyli się odgadywać, postrzegli, że strzała uwięzła.

— Co mi ty prawisz, Fürstemberg?— odparł August.—Zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałżeś, aby zamknięta wśród czterech ścian nudziła się? Potrzebowała rozrywki, Lecherenne jest dosyć zabawny...

— Najjaśniejszy Panie! — odparł namiestnik z udaną prostotą —wszakże to, com powiedział, wymknęło mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale donosić o tém Najjaśniejszemu Panu; mając łaskę Waszéj Królewskiéj Mości, fawory hrabiny mniéj cenię. Lecz przykroby mi było, jako przywiązanemu słudze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką, widzieć opłaconą niewdzięcznością...

Sposępniał August... Puhary stały nalane... rozmowa się przerwała, król wstał.

Po wrażeniu, jakie to uczyniło na królu, Fürstemberg zmiarkował, że sprawę przegra. Ile razy August chciał się pozbyć któréj z ulubienic swych, rad był, gdy mu się nastręczała zręczność;

nasyłał nawet dworzan, aby mieć pozór do gniewu i rozstania: gniew jego dowodził, iż Cosel nie była mu wcale obojętną.

Tego dnia hrabina wstała po raz pierwszy. Nie chcąc przedłużać wieczornéj uczty, August skinieniem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu.

Fürstemberg i dworacy pozostali zafrasowani, książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał, że się uśmiecha, i choć trwoga ogarnęła go o następstwa... nie chciał się do niéj przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu, niewidzialny świadek mimowolnie ją podsłuchał. Zaklika, o którego wierności i przywiązaniu do siebie Anna najmocniéj była przekonaną, używany był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było potrzeba. Znużona samotnością, właśnie napisawszy do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do puharów. Przerywać zabawy królowi nie wolno było. Służbie jednak raz nazawsze wydano rozkazy, aby Zaklikę wpuszczano. Niewidziany wszedł właśnie i stał za ogromnym kredensem wyczekując chwili, gdy się do króla będzie mógł zbliżyć, w czasie kiedy Fürstemberg opowiadał o Lecherennie.

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie, dało mu odwagę wycofania się. Nie oddając biletu królowi, pobiegł Zaklika nazad do pałacu i zapukał do sypialni.

Cosel znała go dobrze, był to jedyny sługa, któremu ufała, płacąc mu niekiedy uśmiechem. Gdy wszedł, z bladéj twarzy jego wyczytała, że coś złego stać się musiało.

— Mów! — zawołała, podbiegając — król! nie stało się co królowi?

— Nie — odparł Zaklika — możem winien, że tu powracam; lecz oto czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, powinienem był pani...

To mówiąc pośpiesznie drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstemberga. Cosel wysłuchała go zarumieniona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową i dała mu znak, aby odszedł... Serce jéj biło gwałtownie... Sama nie wiedząc dlaczego, wysunęła się z sypialni... Za gabinetem, który go od sali przedzielał, usiadła w pustce ogromnéj, którą tego wieczora, jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II: jeden z nich przedstawiał obchód królewskiéj koronacyi.

Łzawemi oczyma machinalnie się wpatrzyła weń Cosel... gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta.... Szedł szybko, szukając jéj wszędzie, blady był, zmieszany, gniewny...

Cosel powstała i jakby nie widząc go, zbliżyła się do obrazu.

— A! — odezwał się August, w którego głosie przebijał się gniew źle hamowany — cóż to, raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? To chyba omyłka? Nie mogę przypuścić, abym na ten honor zasługiwał jeszcze...

— Najjaśniejszy Panie — odparła Cosel dosyć spokojnie — byłoby śmiesznością, abyś Wasza Królewska Mość znając, co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał, że ktoś inny moje oczy po nim zwrócić na siebie może!... Najpłochsza z kobiet nie popełniłaby nic podobnego. Jak możesz Wasza Królewska Mość mieć podobne podejrzenia?

— Tak — przerwał król głosem drżącym — dotąd pochlebiałem sobie... sądziłem... myślałem... ale pozory mylą, a dziwactwa kobiet są najczęściéj niezrozumiałe...

Mowa króla, tłumiony gniew, uradowały Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązania, udała jednak obrażoną.

— Nie rozumiem was, Najjaśniejszy Panie — odezwała się — co znaczą te tajemnicze wyrazy? Nie sądzę, bym do nich powód dać mogła. Racz mówić jaśniéj, niech przynajmniéj wiem, z czego się mam usprawiedliwiać i uniewinniać...

— Usprawiedliwiać, uniewinniać — przerwał król gwałtownie tak, że Cosel się ulękła — ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałaś pani ukryć je przede mną... tymczasem, mam dowody...

— Dowody! przeciwko mnie! — Cosel załamała ręce — Auguście! — zawołała — to sen, to marzenie, to męczarnia! Mów, ja cię nie rozumiem... Jam niewinna...

Rzuciła się na szyję królowi, który zrazu odepchnąć ją chciał; pochwyciła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

— Zlituj się nade mną! mów! Niech przynajmniéj wiem, za co mam cierpieć... jaki niegodziwy oszczerca śmiał mnie zbójecką potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Cosel ukołysać potrafiła; łzy go wreszcie zmiękczyły; posadziła go przy sobie.

— Królu mój, panie, wytłómacz mi, co twój gniew wzbudziło — poczęła błagającym głosem — widzisz, co się dzieje ze mną... Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru, byś się mnie pozbył... A! dawniéj, dawniéj miłość twoja była taką, że nawet błądby mi przebaczyła; dziś... serce twe gdzieindziéj.

August już był ochłonął.

— Dobrze — zawołał — chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstembergiem rozmawiali.

— A! z nim, nic mnie już nie dziwi! to mój wróg — przerwała Cosel.

— Książę mi powiada, że całe miasto było zgorszone postępowaniem twém z Lecherennem...

— Lecherennem! — śmiejąc się powtórzyła ruszając ramionami Cosel....

— Lecherenne — mówił król — nie zadawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was! przyjmowaliście zakochanego w méj niebytności, codziennie siadywał wieczory całe, widywano go.

Cosel przybrała minę poważną, chłodną kobiety obrażonéj.

— Tak jest — rzekła — wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swemi, słuchałam ich, żartując sobie z niego! Nie sądzę, bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tém, bom nic do ukrywania nie miała... Myślisz więc, królu, że dosyć jest kochać się we mnie aby być kochanym?... A to okropne — dodała, ręce łamiąc. — Więc lada taki Fürstemberg słowem złośliwém przeważy ufność twą dla mnie! wiarę w serce Cosel!..

Padła na sofę płacząc. Król już był złamany, przykląkł przed nią i ręce jéj zaczął całować...

— Cosel! przebacz mi — zawołał — nie byłbym zazdrosnym, gdybym cię nie kochał... Znam Fürstemberga... prawda, jest to najjadowitsza żmija, jaką wyhodowałem na dworze... Daruj mi! Nie chcę, aby moję Annę podejrzewać nawet śmiano, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

— Królu—mówiła łkając — jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twéj świętéj dla nas osoby, bo dla nich niéma nic świętego...

— Bądź spokojna, bądź spokojna — odparł król — przyrzekam, daję słowo, nie dopuszczę, aby mi kto śmiał co rzec na ciebie.

Tak się ta scena skończyła czułościami, zapewnieniami najuroczystszemi z obu stron. Cosel musiała dać słowo, iż Fürstembergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki, Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie król wrócił na zamek, a nazajutrz słowa nie przemówił do Fürstemberga, omijając go widocznie. Przez W. Mistrza dworu kazał August Lecherennowi dać znać, by tego samego dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten padł tak niespodzianie na młodego hrabiego, iż

zrazu nie wiedział, czy mu ma wierzyć. Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając dwadzieścia cztery godziny czasu.

Lecherenne strwożony pobiegł nie wiedząc, co zaszło, do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim oznajmić swéj pani. Zarumieniła się z trwogi i niepokoju.

— Powiedz mu waćpan — rzekła cicho — iż nie mogę przyjmować tych, którym król zakazał się pokazywać przed sobą... Powiedz mu — zniżyła głos — że mi żal szczery, iż odjeżdża...

To mówiąc, zdjęła pierścień z palca, który król niedawno jéj był darował.

— Daj mu ten pierścień ode mnie — rzekła zniżonym głosem, odwracając się od swego powiernika.

Zaklika zbladł.

— Pani hrabino — ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem — racz mi przebaczyć, to pierścień od króla.

Cosel, która nie cierpiała, by się jéj kto śmiał sprzeciwić, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczonemi, tupnęła nogą:

— Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz: masz go spełnić!

Zaklika zmieszany wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kilku laty za dowód nadzwyczajnéj siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścień, z podobnym kamieniem. Jakieś przeczucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia potém król, w czasie gdy Cosel ubierała się, wszedł do jéj gabinetu. Anna zwykle pierścień ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknienie.

— Gdzie jest mój pierścień ze szmaragdem? — zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz kraśniejszym rumieńcem.

— Gdzież się podział? — powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącéj.

— Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę—szepnęła sługa.

August policzył, iż od wyjazdu Lecherenna, o którego bytności u drzwi Cosel wiedział dobrze, właśnie cztery dni upływało.

— Nie szukajcie go nadaremnie — odezwał się szyderczo — mógłbym może powiedziéć, gdzie się podział.

Cosel mimowolnie się zmieszała. Król wybuchnął gniewem. Nie chciał słuchać tłómaczeń nawet. Służące wybiegły, aby nie

być świadkami téj sceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga ogarnęła wszystkich.

Cosel miała zemdléć już i łzy dobywały się jéj z oczów, gdy do drzwi zapukano: nim miała czas się zwrócić ku nim Anna, spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

— Pani hrabina raczy mi darować, że wchodzę — rzekł — służące mi mówiły, że szukały napróżno pierścienia, ale ja przed godziną go około gotowalni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać.

Król rzucił okiem i zamilkł.

Cosel ani spojrzała na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta; włożyła powoli pierścień na rękę i rzuciwszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcéj nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach obrażonéj pani, która niełatwo przebłagać się dała.

Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogła więc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wytłómaczył. Chciał wynagrodzić swą popędliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym i winnym. Cosel przyjmowała zimno tłomaczenia, płakała trochę i nie odpowiadała na czułości tylko rezygnacyą i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpaczy przyprowadzały. Nad wieczór dopiéro piękna pani jakoś się przebłagać dała i pokój został przywrócony.

Wypadek ten wzmocnił w Auguście wiarę w nią i zwiększył jéj potęgę: nieprzyjaciele zmilknąć musieli.

Po północy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującemi nań ministrami. Karol XII ciężał nad niemi brzemieniem nieznośném; lekceważenie jego dla Augusta, wstręt dla tego pięknego bohatera, dolegały wszystkim zarówno. Czuli się w nim dotknięci. Dziki młodzik, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Atyli, świętokradzko burzącym wspaniałość tego żywota, blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jéj jaśniejący szmaragd przypomniał jéj Zaklikę.

Zadzwoniła królowa. Karzeł, który wszedł, bo i ona, jak prawdziwa królowa, karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając w jakiéjś odartéj księdze. Zobaczywszy karła, domyślił się, że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział, że mu to za grzech będzie poczytane i zadrżał. Czuł się szczęśliwym, że ją uratował i czuł winnym.

Drżący i onieśmielony stanął w progu; Cosel w sukni rozpuszczonéj, z rozwitemi na ramionach włosy czarnemi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani przechadzała się po sali. Na widok Zakliki, zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

— Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? popełniać tajemnie nieposłuszeństwo? mieć za mnie przebiegłość, o którą cię nie proszą? Co to jest za zuchwalstwo?

Zaklika stał długo niemy ze spuszczonemi oczyma, zwolna podniósł je na hrabinę.

— Przyznaję się do winy — odezwał się głosem spokojnym — tak, zgrzeszyłem... Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność z jaką zdaleka wpatrywałem się w twe oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i niedorzeczne, dochowane do dziś dnia, tłómaczy. Chciałem cię ocalić, pani!

— Ja nie potrzebuję pomocy niczyjéj, aby być ocaloną — zawołała surowo Cosel — w słudze żądam posłuszeństwa i nic więcéj: rozumu nie chcę... a uczuciem służalców gardzę. To obraza dla mnie.

Zaklika spuścił głowę.

— Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteinie, lub powieszony na rynku. Któż ci powiedział, że mnie nie więcéj boli to, iż Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to, żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

— Lecherenne pierścień otrzymał — rzekł Zaklika, po którym te bezlitośne wyrzuty ośliznęły się jak wody po skale.

— Jaki pierścień? — spytała Cosel.

— Zupełnie do tego podobny; miałem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata Sternberga w przeszłym roku: przeczuwając, iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Cosel stanęła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

— A! należy ci się nagroda! — szepnęła zmieszana.

— Nie, tylko przebaczenie — odparł Zaklika — nagrody żadnéj nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Cosel. Jakaż zmiana zaszła w jéj uczuciach! Zrodziła się litość, ale duma ją w pierś nazad wtłoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zakliki podając mu pierścień przeznaczony dla Lecherenna: Rajmund obudził się jak ze snu zobaczywszy go przed sobą w białéj ręce drżącéj.

— Pani — rzekł — ja przyjąć go nie mogę... nie! przypominałby mi tylko, żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W téj chwili pierścień znikł ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ją z zapałem przyklęknąwszy ucałował; potém jak szalony wypadł z pokoju Cosel, która została sama zadumana ze łzą w oku.

— Tak kochają biedni ludzie — rzekła w duszy — królowie inaczéj...

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonii przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczém się złamać nie dawał. Dla króla był bezlitośnym i szyderskim, dla szlachty ostrym, dla kraju ciężkim, bo lud żołnierze jego wyłapywali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór, a sam jechał nowozaciężnych mustrować? Na żadnym balu, koncercie, maskaradzie być nie chciał. Pokój był podpisany, Patkul wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiéj ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwość aż do rozpaczy. Zuchwalstwo Szweda, który we dwadzieścia lub trzydzieści koni jeździł po zawojowanym kraju, żadnemi się nie otaczając ostrożnościami... budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranku hrabia Schulenburg zameldował się do króla, w chwili, gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstemberg i inni ustąpili po chwili: zostali sam na sam.

— Cóż mi powiesz gienerale? — zapytał August — może szczęśliwą przynosisz nowinę, że Szwedzi wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — chwilę pomyślawszy odezwał się Schulenburg — byłby może jednak środek pozbycia się ich.

— Przyznam ci się, że go nie widzę, chybaby Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Archaniołem na czele pod twoję komendę.

— Królu — przerwał Schulenburg — zdaje mi się, że z trochą rozpaczliwéj odwagi, obeszlibyśmy się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całéj Saksonii jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to tylko, którą jeden śmiałek straszną czyni. Tego śmiałka pochwycić, a reszta nie będzie dla nas straszną.

— Co ty mówisz? pochwycić? wśród pokoju? nieobawiającego się, ufającego nam!

— To właśnie czyni słuszną naszę zemstę możliwą — odezwał się Schulenburg. — Z oficerami naszéj jazdy schronionemi przy

granicy Turyngii rekognoskowałem jego kwaterę. Słabo jest obwarowaną. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Zawiozę do Königsteinu... niech go oblegają: nie dam się tam. Zresztą głowa króla ręczyć mi będzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naówczas taki traktat, jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

— A jeśli ci się nie powiedzie? — zapytał.

— Nie powiedzie się naówczas mnie, a nie wam, Najjaśniejszy Panie — rzekł gienerał. — Ja kraj chcę ocalić i Europę od młodego drapiescy, który ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

— Gienerale — mruknął król — zdaje mi się, że ci się śni; w żadnym razie, ja rycerski obyczaj szanując najwyżéj, na nieprzyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny, napaśćbym nie dozwolił: nie mogę — dodał, zapalając się. — Nienawidzę go, zadławiłbym go, gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwytać wśród nocy, ale go napadać, gdy mi ufa: nie! Gienerale, to nie Augusta Mocnego rzecz.

Schulenburg ponuro nań spojrzał.

— Zawszeż się z tobą, królu, po rycersku obchodzono? — zapytał.

— Wolno jest gburom jak ten młodzik czynić, co chcą, to są nieokrzesani barbarzyńcy; ale August, którego lud zowie Mocnym, a monarchowie Wspaniałym, nie dopuści się tak nizkiego czynu.

Stary wojak wąsa pokręcił kłaniając się.

— A gdyby się go nieposłuszny żołdak dopuścił? — zapytał.

— Musiałbym nieprzyjaciela bronić i sam go uwolnić! — zawołał August — to nie ulega wątpliwości.

— Jest to nadzwyczaj rycersko i pięknie — rzekł Schulenburg niemal ironicznie — ale...

Nie dokończył i skłonił się nizko.

Odchodzącego król ujął za rękę.

— Kochany gienerale, proszę cię, rzuć tę myśl i nie mów o niéj nikomu. Nie, nie chcę tym kosztem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy, jak gdyby pytał niemi, czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Imhoffa i Pfingstena, szlachetniejszemi były czynami nad krok, którego się August wzdrygał.

Król zrozumiał może ten wyrzut niemy; domyślił się, co znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową przebiegła.

Schulenburg stał smutny.

— Czémś rozpaczliwém ratować się musimy — mruknął pod wąsem — pospolitemi środkami zapóźno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic... Stracona korona jedna, która kosztowała miliony; złamana druga, a po niéj szczątki tylko: cóż daléj będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

— Wiesz co będzie daléj? — spytał — oto uzuchwalony młodzik pójdzie daléj. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrzną odwagę... rozbije się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo sił rachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się plamić, by przyśpieszyć tylko to, co nieochybne? co nieodzowne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby późniéj korzystać tylko z tego, co kto inny dokona? Karol XII wzbity jest w pychę; kłania mu się Europa przelękła... trzeba ją w nim karmić i dać jéj się rozbujać, aż się sama o mury roztrzaska.

— A tymczasem Saksonia... Najjaśniejszy Panie!

— A! lud ucierpi! zapewne — zawołał August — ale gienerale, lud jest jak trawa, którą, gdy bydło stratuje, na przyszły rok zieleńszą jeszcze odrasta.

— Toć ludzie! — rzekł Schulenburg.

— Gmin — odparł król — w jakiż rachunek kto bierze masy i tłumy?

Zmilkli tedy, a gienerał króla pożegnał. Już w progu, wstrzymał go jednak.

— Mówiłeś z kim o tém? — zapytał.

— Oficerowie moi pierwsi mi tę myśl poddali — szepnął Schulenburg — wiem, że ją podziela gorąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zdradzieckiemu najezdcy wszystkie środki są dozwolone.

— Wiedzą więc wszyscy? — niespokojnie powtórzył król.

— Ode mnie nikt — poważnie rzekł gienerał — od drugich może.

— Każcie milczéć!! na bogi! niech mi nikt z tém nie wychodzi.

Gienerał skłonił się znowu... król siadł w krześle zadumany.

Po wydaniu Patkula to rycerskie uczucie było przynajmniéj rzeczą szczególną...

XI.

Zuchwałe kręcenie się Karola XII po Saksonii nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwycenia go i pomszczenia się klęsk kraju. Oprócz Flemminga, hrabina Cosel nieulękniona, śmiała, mściwa, myśl tę karmiła w cichości i spiskowała potajemnie. Cały jéj dwór, związany przysięgą, pracował

nad tém. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwaterę Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi... Nie wspominała o tém królowi, wiedząc zgóry, iż on śmiałego tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta daléj niż inni spiskowi, żądając, ażeby Karola XII pochwyconego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowywała ją, roznamiętniała, nie dawała jéj spoczynku.

Lecz ilekroć zdala nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tém nie dawał. Trzeba więc było po-za nim prowadzić sprawę. Nieprzyjaznego Cosel ale śmiałego Flemminga zyskano dla téj myśli; gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała, że gdy rzecz będzie dokonaną, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem.

Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wreszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla.

Po wyjściu jego z gabinetu, choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznaćby było łatwo, że projekt został odrzucony. Wieść się o tém rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tém nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko królowi i walczyć z nim o to.

August tajemnic dla niéj nie miał; tegoż wieczora wydał jéj rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

— Jakto! nie przyjąłeś, królu?... nie chcesz spróbować przynajmniéj odebrać swe straty na tym zbójcy?

— Znajdzie się, kto mnie pomści — rzekł król — mam to najmocniejsze przekonanie: nie mówmy o tém.

Ze zmarszczonego czoła zmiarkowała Cosel, iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawiać inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę.

Oddawna domagała się od króla, aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnéj w zamku, z któréj był widok na Elbę i dalekie lasem okryte jéj brzegi. Kilkanaście lat już więziony biedak, wśród téj niewoli utrzymywany był ze wszelkiemi względami należnemi temu, od kogo się wiele złota spodziewa.

Fürstemberg co chwila łudził króla, że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więźniem, to we własnéj pałacowéj swéj chemicznéj kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamorskich, stół na srebrze, u którego mnogich gości przyjmował, a dla rozrywki pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach długiéj galeryi, która zamek i twierdzę otaczała i służyła królowi także do tajnych jego wycieczek. Oswoiwszy się ze swym losem, widząc, że z pod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger bawił się już raczéj i łudził Fürstemberga, niż naseryo myślał o złocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszystkie książki, wypróbował wszelkie recepty: napróżno!

Widząc jak Cosel jest wszechmocną, więzień skarbiąc jéj łaski zdaleka, co dzień jéj z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widzieć; król zwłóczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywą, tak czułą zarazem, tak piękną, iż August wstał, podał jéj rękę i rzekł:

— Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką, coby mu oznajmił te odwiedziny. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w śpiczastym kapeluszu opędzającego się dworakom, którzy go napastowali: śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

— W sam raz poseł do oznajmienia o takich odwiedzinach — zawołał — wyślę go przodem, ażeby mój alchemista miał czas przywdziać suknię, lub żebyśmy go w zbyt nieprzyzwoitém nie zastali towarzystwie.

Böttiger, o którego dobry humor dbano, przyjmował nawet i płeć piękną.

W progu ukazał się Fröhlich.

— Na dziś, ale tylko do wieczora mianuję cię szambelanem— roześmiał się król — ażebyś nie powiedział, że darmo dźwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi, że bogini Dyana odwiedzi go wraz ze mną.

— Z Marsem, Apolinem i Herkulesem... — dodała Cosel uradowana.

— Cały więc Olympus — rzekł Fröhlich z ukłonem—a gdzież się on tam pomieści!

Fröhlich z wielką powagą wyszedł, laską torując sobie drogę, czarnym gankiem ku baszcie narożnéj.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dowcipy krążyły. Książę Fürstemberg, wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemii Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nehmitz, znajdowali się wśród gości. Grubemi mury otoczony pokój krągły w baszcie, który całe jéj piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządzony był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materya perska w kwiaty, złotemi laseczkami ujęta, oży-

wiały je zwierciadła, zapełniały sprzęty lakierowane i złocone. Stoły i szafki zdobiły bronzy w smaku epoki. Maleńkie schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownią na dole, a drugie z sypialnią w wyższém piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawą, wesołą twarzą, z któréj tryskało szybkie pojęcie i dowcip swobodny i wesoły. Ubrany starannie wydawał się raczéj majętnym szlachcicem w odwiedzinach, niż owym sławnym więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego, co przebył, ani wytężenia sił na odsłonienie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowialniejszym z biesiadników, w towarzystwie najwymowniejszym żartownisiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jéj odpowiadać, gdy poseł królewski w śpiczastym kapeluszu i ponsowym tego dnia fraku, zjawił się w progu.

— A! Fröblich! Fröhlich! — zawołali biesiadnicy — cóż ty tu?

— Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podobało się jego królewskiéj mości kreować mnie na godzin dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu téj funkcyi, wysłać z oznajmieniem, że bogini Dyana wraz z Herkulesem zaszczyci Böttigera zjawieniem się swojém. *Dixi.*

Stuknął laską o podłogę; wszyscy zerwali się od stołu. Böttiger z Nehmitzem i zawołanym chłopakiem poczęli co najprędzéj stół oczyszczać. Otwarto okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausen, który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratoryum, aby ukryć się przed królem. Inni rozpierzchli się bocznemi gankami, wiedząc, że czarnym gankiem król iść będzie: pozostali tylko Böttiger, Nehmitz i książę.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęty w porządku, posypano posadzkę kwiatami, bukiet z pomarańczowych kwitnących gałązek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hrabiny Cosel w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u któréj wnijścia więzień przyklęknął.

— Bóstwa się na klęczkach przyjmuje — rzekł — a ofiarą im tylko kadzidła i kwiaty!

Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjąwszy z rąk gospodarza bukiet, Cosel podziękowała mu uprzejmie, rozglądając się ciekawie i dziwiąc, że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła“.

Król, który wszedł za hrabiną, wytłómaczył jéj to pocichu.

— Ale ja właśniebym tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach, dokonywa wielka tajemnica.

— Pani — odezwał się Böttiger—jestto jaskinia tak straszna, wyziewy jéj tak są niezdrowe, pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

— Ale ciekawość kobieca! — westchnęła Cosel i spojrzała na Augusta.

Król oddał to wejrzenie Fürstembergowi: książę ruszył ramionami.

— Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych schodkach — dodał.

Nie zważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera:

— Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzedzaj.

To mówiąc zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwnéj ścianie pocisnąwszy bronzowy guz w niéj utkwiony, otworzył skryte wnijście i z kandelabrem w ręku stanął w niém.

Nie sprzeciwiał się August milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych wschodkach, zamkniętych żelaznemi drzwiami od pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkiemi sklepieniami, zczerniałemi od dymu, okryta izba obszerna, jakby z starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jéj było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle; rozmaity sprzęt dziwacznych kształtów, mnóstwo flasz i słojów okrywały mury; na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pergaminowe zwoje, zapisane arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzia.

Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, posępnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabinie, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewném poszanowaniem rozglądał się w téj pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciało obróciły.

Gdy tak toczą wzrokiem po izbie i król posunął się kroków kilka ku stołowi, oko jego zatrzymało się z uwagą na przedmiocie, który wśród papierów się znajdował.

Było to kilka jaspisowéj barwy filiżaneczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, najjaśniejszemu panu, co mieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

— Böttiger! — zawołał — co to jest! porcelana japońska, a kształty nie jéj: skądżeś ty to wziął? To przecie osobliwość rzadka!

— Najjaśniejszy panie — kłaniając się nizko, odparł gospo-

darz — to zabawka moja... Próbowałem sobie z przywiezionéj mi glinki zrobić coś nakształt porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczyńko pięknego koloru i w milczeniu oglądał je, ważył, przeciw światłu w nie patrzéć począł niedowierzająco.

— Jakto? utrzymujesz, żeś ty to zrobił? ty?

Böttiger schylił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka skorupek podobnych, potém z za papierów dobył kilka miseczek i podał je Cosel i królowi.

— Ale to najśliczniejsza w świecie porcelana! — zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

— Tyś wynalazcą, tyś odgadnął ich tajemnicę! — kończył August — nim zrobisz złoto... na Boga, rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z memi herbami zapłaciłem pięćdziesiąt tysięcy talarów!... Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanią najpiękniejszych ludzi za wazy olbrzymie... a ty możesz robić porcelanę i milczysz!

— Najjaśniejszy panie, to była próba!

— Która ci się najszczęśliwiéj udała... Dla Dyany pierwszy serwis zrobi Böttiger i złoży u jéj stóp.

Widząc jak król zachwycał się wyrobem Böttigera, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go; lecz oprócz Cosel i Augusta nie unosił się nikt. Fürstemberg myślał w duchu, że robiąc porcelanowe łupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król, który się bawił gorąco wszystkiém, ucieszył się bardzo swą porcelaną. Nie wiadomo, czyby go więcéj uradowała wieść o wyjściu z Saksonii Szwedów. Zabrał z sobą pierwszy kubek, dając go Cosel do schowania i, wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi, zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić najjaśniejszego pana i Cosel od niewygodnych schodków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka i król poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym gankom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historyi Saksonii, która wistocie kopalnię złota zyskała w wynalazku przypadkowym Böttigera, długo pod karą śmierci zachowywanym w jak największéj tajemnicy.

W kilka dni potém, daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Drezno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochwycenia Karola XII, wskutek pierwszéj swéj z królem rozmowy, śmielsza daleko Cosel i ze swéj strony Flemming wcale jéj nie rzucali. Nieopatrzność Karola XII codzień prawie nastręczała

zręczność wykonania śmiałéj téj myśli: brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jak gdyby wiedział o tych pokuszeniach, jak gdyby z nich się urągał, najswobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim.

Nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić w samém Dreznie. Krok taki mógł w zbolałym narodzie wywołać rozpacz, gdyby naród ten nie był zbytkiem i rozwiązłością przegniły i zepsuty.

Dnia pierwszego września, w ten sam dzień, gdy ratyfikacyą traktatu z cesarzem o swobody dla protestantów szląskich podpisał, Karol XII wyjechał z Altrandstadt. Szedł on w ślad wojsk swoich, które już od piętnastego sierpnia poczęły były pod dowództwem Rhenskyöld'a, na Szlązk ciągnąć, ku Polsce i daléj ku północy. Znaczniejsza część sił jego już była nareszcie opuściła Saksonię, kilka pułków tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia szóstego września stał główną kwaterą. Pięknego dnia jesieni, konno wyruszył na przejażdżkę: jadący z nim ze wzgórza, ukazali mu w mgle wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamyślony, patrzał, milczał, na ostatku odezwał się do szczupłéj garstki, która mu towarzyszyła:

— A no, tak blizko już jesteśmy; trzebaby tam dojechać.

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u bram Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wrota twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi, jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach; przechodzący właśnie Flemming, przerażony go poznał.

Myśl, którą oddawna nosił w sobie, zdawała się domagać sama spełnienia. Karol XII był bezbronny, kilku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flemming w pierwszéj chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskromić, i na zapytanie o króla, ofiarował się towarzyszyć do niego.

W téj godzinie August II zwykł się był często zabawiać w zbrojowni, dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym razem był tu także z hrabiną Cosel, która go na krok nie odstępowała, i trzaskał żelastwo w silnych rękach, które siły téj tylko na zabawkę użyć umiały.

Śmiech wesoły rozlegał się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zawołał:

— Wnijść!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał ujrzawszy Karola XII. Flemming, który szedł za nim,

królowi i Cosel rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe; żądał tylko skinienia, aby zwołać ludzi i nieopatrznego gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nieprzytomny, gdy Karol XII pośpieszył go uściskać, z wesołém:

— Dobry dzień, bracie!

Cosel wytrzymać nie mogła, twarz jéj zapłonęła cała: chwyciła króla za suknię.

— Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli stąd wyjdzie cało... tyś winien.

Karol XII zdaje się, że słów tych dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

— Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

— Odejdź!

Cosel ustąpiła gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny, rozpatrując się po zbrojowni. W rozpaczy przechodząc chwyciła Flemminga, któremu też pałały oczy. Flemming wzruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojgu milczenie. Z wielką spokojnością król przyjął gościa tego.

— Wieleśmy słyszeli o sile waszéj — odezwał się szydersko nieco Karol XII — radbym widziéć jeden z tych cudów, które tak łatwo czynicie.

Na ziemi leżał pręt żelazny, August go podniósł.

— Dajcie mi rękę waszę — rzekł z uśmiechem — nie lękając się, bym ją obraził.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu: August począł skręcać pręt i opasał nim rękę króla. Spojrzeli sobie w oczy. Żelazo, jak posłuszny sznurek obwinęło się około ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pęto i rzucił je na ziemię. W milczeniu przypatrzywszy się téj sztuce zręczności i siły, Karol poszedł za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było podostatkiem.

— Macie żelaza dość — rzekł lakonicznie Szwed—co za szkoda, że ludzi wam do niego brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nieopodal od bastyonu Böttigera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powróconą Drezno rodzinę swego nieprzyjaciela odwiedzić; okazywał on dla niéj i wprzódy tém większy szacunek, im wybitniéj odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przybyciu Karola XII do Drezna, w towarzystwie zaledwie kilku jezdnych.

Imię jego obudzało nadzwyczajne zajęcie... protestanci szczególniéj słysząc, co uczynił dla ich współwyznawców na Szlązku, cisnęli się, aby go zobaczyć. Ten młodzik dwudziestokilkoletni był naówczas podziwieniem Europy... Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązane było do losów Augusta II, wzburzone było zuchwalstwem bohatera, który urągał się zwyciężonemu, z urokiem tryumfatora wciskając się bezbronny do jego gniazda... Flemming rozpłomieniony, Cosel rozgorączkowana... odgrażali się... Pierwszy z nich potajemnie kazał zwołać ludzi załogi, aby, chociażby mimo woli Augusta, nieprzyjaciela pochwycić; Anna porwała pistolet i odgrażała się wybiedz w ulicę, aby mu w łeb wypalić...

Poruszenie było ogromne, powszechne... widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przebywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz jasną i pogodną, którą zdawał się nakazywać wszystkim spokój... Zdala spostrzegał on przygotowania, które i oka Karola XII ujść nie mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi...

Nie usiłował wcale skrócić swoich odwiedzin, nie śpieszył się z powrotem, a że August rad był zatrzymać go także, może dla wypróbowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny te przeciągnęły się bardzo długo. Karol poszedł pokłonić się królowéj, prosił, aby mu pozwolono uściskać młodego kurfirsta... podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie któréj Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawiać ich i na wypadek, gdyby król w Dreznie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysłał na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen miał go opasać i pochwycić.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowéj, Flemming potrafił króla wywołać.

— Najjaśniejszy panie — rzekł gwałtownie — jestto jedyna chwila, w któréj wszystkich swych krzywd pomścić możesz... Karol XII w twoich rękach...

— Ufny w mój honor — odparł August — i dlatego włos mu z głowy nie spadnie.

— Najjaśniejszy panie — dorzucił Flemming — toby była śmieszność unosić się wspaniałomyślnością względem człowieka, który takie zadał ci klęski... Ja mimo twéj woli go pochwycę, choćbym miał za to stracić głowę.

— O głowę twoję mi nie idzie — rzekł spokojnie August —

ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waż nic przedsiębrać!

— Na własną rękę? — podchwycił Flemming.

— Nie masz własnéj ręki, gdzie jest moja — rzekł August marszcząc się.

— Nie pozostaje mi tylko skruszyć szpadę, którą służyć wam nie mogę.

To mówiąc gienerał chciał dobyć ją z pochew, gdy August go powstrzymał.

— Flemming, nie zapominaj, że ja tu jestem, że o moję sprawę idzie, i że nikt tu rozkazywać nie ma prawa... oprócz mnie.

Odwrócił się groźny, gienerał zamilkł, spojrzeli na siebie, Flemming kipiał.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — stracisz i drugą koronę tak postępując...

To mówiąc wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy któréj zostawił gościa. Karol XII ani spojrzał na wracającego, chociaż mógł się domyślać, iż za drzwiami radzono o nim...

W czasie, gdy się to działo na zamku, Cosel chciała koniecznie wybiedz w ulicę, i znaléźć miejsce, aby strzelić do Karola XII. Zaklika, który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkiemi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególniéj tą uwagą, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie. Takie było usposobienie większéj części pospólstwa, które wylało się na ulicę, a pojmując je August II, musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu lękając wzburzenia ciżby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napełnione ludem, okna pełne głów ciekawych... nadawały miastu niezwyczajny pozór. Głuche, dziwne milczenie towarzyszyło przejeżdżającym; zdaje się, że tłumy oddech przytrzymywały, aby usłyszeć choć słowo z rozmowy... ale rozmowy nie było... Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nie okazując po sobie najmniejszéj oznaki jakiegokolwiek uczucia; obok niego August posępny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można... zwrócili się do bramy ku Meissen wiodącéj. Król posłał rozkazując, aby na cześć Szweda trzykrotnie z dział na wałach uderzono... Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza, z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę... Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Flemminga i swoich, by się nie domyślił, iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści a razem honoru własnego, było przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło...

Przeprowadził więc król gościa w milczeniu, obok niego jadąc pół mili aż do Neudorf. Tu rozstali się, podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę, August pozostał chwilę zamyślony, spoglądając przed siebie i ważąc: źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wytrzebionych lasach zostały, gdy Flemming nadbiegł konno gniewny, z zapalonemi oczyma.

— Najjaśniejszy panie — zawołał — jeżeli sądzisz, że Europa podziwiać będzie wspaniałomyślność twoję, i myślisz, że zapłacisz jéj wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, mylisz się... Rozśmieją się ludzie z tego bohaterstwa... Tego krwi chciwego młodzika trzeba było we własnéj skąpać posoce...

— Milczéć Flemming! — zawołał król groźno, i sam jeden pobiegł do miasta.

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadł z konia... tu go czekała Cosel gniewniejsza od Flemminga, zalana łzami, zrozpaczona.

— Nie przystępuj do mnie... — zawołała — popełniłeś błąd, odrzuciłeś moję radę; nie chcę cię widziéć. Dwadzieścia kilka milionów ze skarbu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi... śmierć twych oficerów, wstyd swój, wszystko mogłeś pomścić i nie chciałeś, nie umiałeś; lękałeś się... Słaba kobieta byłabym szlachetnéj pomsty się chwyciła na twém miejscu...

Król padł na kanapę i dał się hrabinie wygniewać, nie odpowiadał słowa: dopiéro gdy znużona padła, płacząc, na siedzenie, rzekł zimno:

— Plamić rąk zemstą nie chciałem: pomści się za mnie kto inny.

Nazajutrz jednak sam on widząc, jak wszyscy mu wyrzucali jego zbytnią powolność, kazał zwołać radę wojenną. Rada z Flemmingiem razem objawiła zdanie, iż człowieka, co tylekroć wymaganiami swemi pogwałcił prawa narodów, godziło się mając w ręku, uwięzić i wymusić na nim inne pokoju warunki tak, jak on je na znękanym Auguście wymógł bezlitośnie.

Król zmilczał.

Mówią, że o téj radzie później posłyszawszy w Wiedniu poseł szwedzki, rzekł z pogardą: „Jestem pewny, że uradzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało...“

XII.

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi saskiéj, gdy August pocieszając się po wypadkach, które tak smutne nadługo ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczął zabawy, na które wprawdzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkiemi sposoby musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swéj wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jéj rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla niéj. Cosel towarzyszyła mu ciągle; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla, spocząć mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzonéj piękności, uwielbiania przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich, co ją widzieli w téj epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odjeździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów, błędnych rycerzy z całego świata, August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotéj zbroi, wszędzie na białym koniu swym ukazywała się amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycała, nauczyła się celować. Przytomny król Peterborough nie umiał wyrazów znaléźć dla odmalowania swego zachwytu. Ukazanie się jéj na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jéj pierwszym dworzaninem, najświetniejszy krąg panów, magnatów, dostojników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała niemi; jakże nie miała upewnić się, że władza jéj nigdy ustać nie mogła.

Gdy poczciwy i szczerze jéj przyjazny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklika, któremu mówić nie było wolno, wspomnieli czasem zalecając baczność na przyszłość i przypominając płochość króla, Cosel marszczyła się i żżymała.

— Jestem jego żoną — odpowiadała — mógł porzucić kochankę, ale nie będzie śmiał małżonki. Zresztą wié, co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzelaniu tém poseł angielski M. Robinson, który z rąk pięknéj Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką ucztą to zwycięstwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zabawami bez ustanku następującemi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hrabiny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił August II, zrzucał naówczas królewską pychę z siebie, mieszał się z tłumem, ocierał o lud, szukał rozrywek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w towarzystwie, które wcale dostojności królewskiéj nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfel'a czyli, jak wówczas mówiono, w gospodzie pod jabłkiem, bo dom kupca miał za godło jabłko złote. Szalano tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki przybyłe z wędrującemi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana, aby zbyt daleko się nie posunął w téj hulance zapamiętałéj, ale powstrzymać go od niéj nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonii, a jarmark opłaciwszy się stu tysiącami talarów, zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięsopust szalony... Król rozrywki nawykł był szukać wszędzie, gdzie tylko mógł ją znaléźć.

Dnia dwunastego maja w Dreznie obchodzono dzień imienin króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik wirtemberski i Hohenzolern; pito więc śmiertelnie i na zabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach łużyckich w Niżycy, leży odwieczna osada u stóp góry, którą „stołpami" niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne olbrzymie kryształy. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pożyć może, przed wieki wzniósł się gród panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osadę. Z wierzchołka góry, z któréj wnętrzności wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokoła; na południe widać wyniosłości lasami okryte gór saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień miedzianych gór Saksonii; bliżéj jak olbrzymie ucięte piramidy widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Dittersbach... Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu: w linii daléj majaczeją osady czeskie.

Stary zamek stołpeński, który biskupi mejsseńscy posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepiać, stał jeszcze wspaniale acz smutno, przedstawiając się oku ze swemi śpiczastemi wieżycami,

często nawiedzanemi od piorunów, ogromnemi mury okolnemi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyniec... w poblizkich lasach nie brakło zwierza. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar dopiekać zaczął, już konie do przejażdżki stały gotowe pod zamkiem. Dniem wprzódy, jeden ze współbiesiadników opowiadał królowi o dziwnéj górze z słupów jakby żelaznych zbitéj, na któréj stał stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał: chciał go widziéć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce zwolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rżały już u ganków, a służba liczna zwijała się czyniąc przygotowania do drogi. August miał siadać na koń, gdy od Cosel posłany przybiegł Zaklika z zapytaniem, gdzie najjaśniejszy pan udać się miał zamiar.

— Powiedz twéj pani, że jadę widziéć Stołpy — rzekł król — a jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwaru nie mogę i nie doczekałbym się, nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łóżka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już, iż jéj znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklika przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siadającego na koń, ubodło ją to mocno, iż czekać nie chciał. Kazała siodłać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodzieży: wszystko w pół godziny miało być gotowém. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż się długo stroić nie potrzebuje, aby być piękną. Chciała go dopędzić, nim u Stołpów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z końmi, biały arab Cosel z długą grzywą, z siodłem ponsowym aksamitem obitém i kutém złotém, rżał z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicieli. Strój jéj był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białém i lazurowém, na sobie żiustokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biała szeroka suknia z tyftyku, bramowana złotem, dopełniała stroju. Skoczyła na konia, który przysiadł dla niéj i wstał zaraz cały drżący, rwąc się do biegu. Wdzięcznym uśmiechem piękna królowa powitała swych towarzyszów.

— Panowie! — zawołała wznosząc do góry rączkę strojną w biczyk, którego rękojeść połyskiwała drogiemi kamieniami. — Król jegomość wyzwał mię do wyścigu. Jest pół godziny, jak ruszył; choćby konie popadały, a ja-m miała szyję skręcić, lecim, co konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc, zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę.

Troskliwi o nią, Zaklika z jednéj, koniuszy jéj z drugiéj strony, stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa sunęła za nią. Biały arab pomknął odrazu chyżo; zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli stare miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stołpów. Szczęściem gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca... konie wypoczęte i silne. W milczeniu sunął w tumanie pyłu błyszczący orszak hrabiny, jak gdyby wicher go pędził. Arab wyścigał inne konie, Cosel z czarném okiem, w którém ogień jakiś pałał, z zarumienioną twarzą, z usty półotwartemi, zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche puste pola gdzieniegdzie nad drogą wydarte; kraj w téj stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podsieniach i wysokich dachach migały w sadach wiśniowych. Po drodze gdzieniegdzie spotkany wieśniak zdejmował czapkę przed zjawiskiem cudownném... a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzićć, jeźdźcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał, by się zatrzymać. Cosel słuchać nie chciała, w ostatku zwolniła nieco biegu i u wrót staréj chaty sama zatrzymała białego. Stanęli wszyscy... konie dyszały i parskały. We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta płachtą, podparta na kiju. Popatrzała na jeźdźców z jakąś obojętnością, jakby innego świata istota i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jéj spotkał oczy Cosel, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrząsła głową.

— Alboż wiem, co król i co królewskie? — zapytała. — My królów nie mamy... nasi pomarli.

Mówiła to zwolna, obojętnie, mową łamaną i akcentem obcym. W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewku z wielkiemi guzami mężczyzna lat średnich, z włosami długiemi, w krótkich spodniach i pończochach; zdjął kapelusz pokornie i gości pozdrowił czystą saską niemczyzną.

Zawiadomił on, że król przed trzema kwadransami może wistocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż go pewnie dogonić nie było podobna, chybaby gdzie spoczywał, a do Stołpów nie potrzebował król wydychać.

Cosel straciła nadzieję wyścignienia go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą; ale żadnéj nie było, gdyż w pra-

wo doliny były przerznięte trzęsawiskami i gęstemi zaroślami, którychby konie przebyć nie mogły.

Cosel skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody: Niemiec ofiarował się z piwem... Na ten raz i wiejski ów napój przykwaśniały wydał się wyśmienitym...

— Cóż to za kobieta? — spytała Cosel gospodarza, wskazując żebraczkę stojącą ciągle o kiju w bramie i wcale nawet nieokazującą ciekawości dla pięknéj pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

— To jest... Słowianka... Wendka! Nie mogę się jéj stąd pozbyć... Mówi, że ten dwór niegdyś do jéj ojca należał... Mieszka tu gdzieś nieopodal w ziemlance wykopanéj, a raczéj rękoma wydartéj pod górą; nie wiem, czém żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruczy: któż wié, pewnie szatańskie jakie zaklęcia! bo to niezawodnie czarownica... Chciałem jéj zapłacić, by sobie poszła gdzie daléj, ale się ruszyć stąd nie chce, mówiąc, że to ojców jéj ziemia i że na niéj umrzéć i kości złożyć musi. Nieraz nocą, gdy burza ryczy, ona śpiewa, a nam dreszcz chodzi po skórze, słysząc ten głos... I nie bardzo ją wypędzać można — dodał coraz ciszéj — umie ona wiele, zaklęcia ma na szatanów, że jéj służą, i czary straszne.

Po chwili z westchnieniem dodał:

— I prorokuje przez szatana... a doprawdy nie myli się nigdy...

Cosel zaciekawiona, zwróciła ku niéj oczy i podbiegła... Ona jedna była tak śmiałą, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunęła się i rozpierzchła, ustawiając nieco opodal.

— Jak jéj imię? — spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho, że go ledwie usłyszéć było można, szepnął:

— Mlawa.

Choć Cosel z trudnością rozeznała głos jego stłumiony, stara ruszyła się, jakby posłyszała swe imię; podniosła głowę wychudłą dumnie, strzepnęła długiemi włosy, które ją wkoło obwieszały i zdawała się obrażona szukać oczyma czarnemi winowajcy, co śmiał wymówić jéj imię.

Cosel nie zważając na podziw tych, co ją otaczali, zwolna zbliżyła się do staréj. Przez chwilę śmiało patrzały sobie w oczy.

— Kto ty jesteś, stara? — spytała w końcu Cosel — żal mi twych siwych włosów sponiewieranych w pyle i nędzy twéj; powiedz, dlaczego jesteś tak biedna? jak?...

Mlawa potrzęsła głową.

— Ja nie jestem biedna — odezwała się dumnym głosem — ja w sobie noszę jasnych lat pamiątkę, ja tu jeszcze jestem, czém był mój ród dawniéj: królową...

— Ty? Królową?... — rozśmiała się Cosel.

— Tak! mogłam być nią, bo krew królów téj ziemi starych płynie we mnie, tak jak ty... choć dziś królową jesteś, możesz być jutro nędznicą mnie podobną... Na świecie wszystko możliwe...

— Jakich królów, jakiéj ziemi?— poczęła zadumana Cosel—ty?

Stara podniosła rękę i wskazała kraj dokoła.

— Wszystko to było nasze... wszystko, pókiście wy nie przyszli i ziemi nie skuli, a nas nie wybili jak dzikiego zwierza. Bo myśmy byli dobrzy i szliśmy z chlebem, solą i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żagwią i śmiechem... I siedliście i rozmnożyło się plemię Niemców i wyparło nas z ojcowizny... To ziemia moja!— powtórzyła zadumana — i choć tu żyć nie mogę, ja umrzéć tu muszę... Stąd dusza do swoich znajdzie drogę...

— Umiesz wróżyć? — spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjęta.

— Jak komu... jak kiedy... — obojętnie rzekła Mlawa.

— A mnie?

Stara popatrzała na nią długo i z politowaniem.

— Po co ci wróżba? — spytała — kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może: nie pytaj...

Cosel pobladła, ale uśmiechem chciała okazać męstwo, choć się jéj wargi trzęsły a łzy nabiegały do oczów...

— Cóż mi powiesz? ja się niczego nie boję — rzekła. — Umiem szczęściu patrzéć w oczy, jak w słońce, potrafię spojrzéć w ciemności...

— A gdyby noc była długą... długą?...

— Nie będzie wieczną — odparła Cosel.

— Któż wié? kto wié? — szeptała Mlawa i wyciągnęła dłoń.— Pokaż mi rękę...

Hrabina nieco się cofnęła, lękając, by jéj dotknąć nie chciała: naówczas wierzono w czary.

— Nie bój się, moja piękna — spokojnie odparła Mlawa—nie zbruczę ci białych paluszków... oczyma tylko jéj dotknę...

Posłuszna Cosel zdjęła rękawiczkę, i śliczna, biała, jak z kości słoniowéj utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionéj kobiety... Chciwie zmierzyła ją wzrokiem...

— Śliczna rączka! warta, by królowie ssali z niéj słodycze; ale, dziecko moje... straszne na niéj znaki... Ta dłoń niejeden raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spojrzała? nie prawdaż?

Cosel zarumieniła się, Mlawa głową wahając zamyślona stała.

— Cóż mi powiesz? — szepnęła niespokojnie hrabina.

— Jedziesz do przeznaczeń twoich? Któż uniknął kiedy losu? kto kiedy przepaść zobaczył? Po długiém szczęściu czeka cię dłuższa, o! dłuższa pokuta... czeka cię niewola... dni nieprzeżyte, nocy nieprzespane, łzy niepoliczone... będziesz z dziećmi bezdzietną, będziesz z mężem wdową, będziesz królową a niewolnicą, będziesz wolną i odtrącisz swobodę... będziesz... o! nie pytaj...

Cosel blada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jéj krzywiły.

— Com ci przewiniła — rzekła — że chcesz mnie przerazić?

— Ja się lituję nad tobą — odezwała się Mlawa. — Po co było chcieć wglądać w duszę moję... tam piołuny tylko rosną, ze słów gorycz płynie. Żal mi cię.

Spuściła głowę stara.

— Ty jedna! Co ty jedna, to tysiące na téj ziemi przebolało, przejęczało i pomarło bez mogiły i proch ich wiatry rozwiały... Jak ty, jęczały tysiące długą a długą niewolą: ojcowie moi, dziadowie moi, praszczury nasze, królowie; jam już ostatnia. Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic, Cosel dobyła złoty pieniądz i chciała go położyć na ręce staréj, ale ta się cofnęła.

— Nie wezmę — rzekła — jałmużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedyś inaczéj, liczą go tam!

Podniosła palec do góry i zerwawszy się otulona płachtą powlokła się poza płoty na łąkę.

W czasie téj rozmowy towarzysze Cosel stali w oddaleniu podziwiając jéj odwagę; Niemiec także gospodarz wpatrywał się w tę scenę, od któréj tylko ciche dochodziło go mruczenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel, dlaczego była tak bladą, dlaczego zamyślona chwyciła konia za grzywę i siadłszy rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwałem, nie pogonią: konie parskały. Zdala ukazały się śpiczaste piętrzące się wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

— Stolpen.

Po godzinnéj prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Naprzeciw palisady z bazaltów czarnych, stała tu cała kalwakata króla, oczekując zdala już dojrzanéj hrabiny.

August wyszedł naprzeciw niéj śmiejąc się.

— Godzinę najmniéj czekałem! — rzekł.

— A jam z pół godziny zmarnowała z jakąś żebraczką, któréj sobie wróżyć kazałam! — odpowiedziała Cosel.

Król zdziwiony spojrzał na nią.

— I wywróżyła? — zapytał.

Anna popatrzała nań i łzy jéj z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmieszał i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jéj wesołość zwykłą przywrócić.

— Co za wspaniałe stare biskupów dawnych mejsseńskich zamczysko! — rzekł wskazując na mury.

— Szkaradne! okropne! straszne! — odezwała się Cosel wstrząsając. — Dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katowstw i wojny królują.

— Bo, pani moja—przerwał August—oczy twe śliczne i najposępniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolicę: z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jéj rękę, na któréj Cosel zamyślona sparła się i zwiesiła. Poszli tak razem wokół starego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza; któż wié? myślał może, gdy mu na Sonnen-i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić i dlatego zamek okrążywszy dokoła, zapragnął wnijść do środka. Cosel go zatrzymała.

Stanęła w progu poglądając na czarne wieże i mury. Król poszedł daléj. Oglądał wieżę Donata, zajrzał do izb, gdzie niegdyś były katownie; przypatrzył się Janowéj wieżycy, zbudowanéj przez biskupa Jana VI i klucznik idący przodem, pokazał mu znowu katownie drugie, podziemie, zwane „Dół Mniszy" (Mönchsloch), w którym karano zakonników, więzienia „Richtergehorsam" Janowe i loch „Burgverliess", do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni; naostatek rzuciwszy okiem na mury forteczne, wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam, gdzie ją zostawił, w niezwykłém pogrążoną zadumaniu i z przestrachem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

— Cel dzisiejszéj przejażdżki wcale nie wesoły — ozwała się głosem zmienionym — nie można jéj nazwać rozrywką. Chociaż nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi, co tu cierpieli.

August się uśmiechnął.

— Nie, stało się to niewinnie — rzekł obojętnie — trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale skądże ci, piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazałem tam pod namiotem rozstawić stoły... napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaskiwali jak zwykle twéj zręczności.

Jak król rozkazał, stało się: u wnijścia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniosło i dopiekało silnie, powietrze ciężkiém się stało do oddychania i skwar czuć było nawet w usposobieniach wesołego zwykle towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad kielichem, nie próbował błysnąć dowcipem zawsze gotowym. August nie lubił w swojém otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia; prędko więc obniesiono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowczowie przynieśli strzelby, za któremi wszyscy weszli w głąb' zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonemi brwiami: przypisywano to przepowiedni obłąkanéj kobiety, na którą nastręczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jéj wistocie brzmiały wyrazy biednéj Mlawy prorokujące straszną przyszłość, a choć w téj chwili nic w świecie domyślać się jéj nie dozwalało, Cosel posępną była i smutną. August za nią okazywał niezwyczajną wesołość i, jakby na przekór, unosił się nad pięknością Stołpów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór już, po zabiciu kilku starn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadciągnęła chmura czarna, przed którą znowu do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc, choć od wieków zamek kurfirstów nie przyjmował, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłéj w Janowéj wieży otworzyć. Służba pomieściła się chroniąc od ulewy i deszczu pod bramą Donatową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do staréj komnaty sklepionéj.

Kilka stołków drewnianych, ławy i stół dębowy, składały cały sprzęt tego smutnego więziennego mieszkania. Cosel wszedłszy doń, obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

— Panie mój — rzekła — jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć te pustki!

— Gdybym był przeczuł, że się tu schronić będziemy musieli, byłbym choć jednę izbę przybrać kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i więźniów a ich dozorców, nie mieszkał. Nie jest to miejsce rozkoszy: mury, choć nieme, czuć przeszłością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia téj chwili na umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu strwożoną się czuła, nadeszła ulewa z gradem tłukąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby kamieniami po dachach i błyskawice następujące bez przestanku po sobie, zdawały się wciskać do izb wnętrza. Z ogromnym hukiem i przerażającą jasnością na wieżę Donatową uderzył piorun, objął ją płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła z trwogi, król stał nieporuszony... ognia wszakże nie wzniecił grom z góry i po nim puścił się tylko deszcz rzęsisty.

Pół godziny wrzał tak wicher z ulewą ponad zamkiem, kilka jeszcze piorunów padło w blizkości, aż na zachodzie żółtym pasem oświecone pokazało się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się cały przewalił.

Deszcz skończył się jakby rosą cichą, słońce znowu z za poszarpanych chmur końców jasnemi promieniami strzeliło.

Cosel odetchnęła.

— A! jedźmy, panie mój — zawołała — jedźmy, jedźmy: ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach i orzeźwieni powietrzem burzą ochłodłém, zdążali nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u któréj stała Mlawa zrana, przejeżdżać, Cosel szukała jéj oczyma, ale tam jéj już nie było. Opodal nieco czatowała, zdaje się, aby króla zobaczyć. Milcząc, rzuciła okiem na Cosel i z politowaniem uśmiechnęła się do niéj jak dawna znajoma: August konia spiął odwracając się ze wstrętem.

Tak codzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie, odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść do Karola XII, narzekał na przeciwne losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przypisywał nieszczęścia swoje i ci, co tajemnie mu sprzyjając przybywali się pokłonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczali od niego gniewów, jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz, co o sławę bohatera wojownika był zazdrosny, który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć, że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rządził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwerężoną jakimś czynem i wysługując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandryi. Zachowując jak najściślejsze incognito, wmieszał się w dwór księcia Eugieniusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobiście do tego stopnia, iż go książę Eugieniusz i książę Marlborough musieli odwodzić, by próżno nie święcił tak drogiego życia.

— Na wojnie — rzekł król — trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szeptali z tego powodu, że król, mimo świeżo przyjętego katolicyzmu, podobno w nic nie wierzył. „Powiadają,

że August wiarę zmienił — pisze Loeu — mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał". To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu, ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu co stłukł szacowną flaszkę z merkuryuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Niedługo wytrzymawszy na wojnie, która dlań była rozrywką, przewidując, że oblężenie Lisle zadługo się pociągnąć może, zatęsknił król do Saksonii — i Cosel.

Jednakże w ścisłém incognito, pod imieniem hrabiego Torgau wstąpił do Brukselli, gdzie jak najpilniéj mu było zaprosić sobie na wieczerzę tancerkę Duparc, do sławnego naówczas restauratora Vernus, pod znakiem obfitości. Cztery panny z opery, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana; a August pannę Duparc do Drezna zaprosił. Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwigania!

XIII.

W czasie niebytności króla, namiestnik Fürstemberg i hrabia Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby się starać z pod panowania Cosel wyzwolić. Rozkazywała im jak królowa, obchodziła się z niemi z dumą kobiety, która ufna w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecię, które nie zna ich wartości. Przewaga, jaką miała nad królem, przerażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym dniem powiększał się. Żadna z ulubienic królewskich nie miała takiéj potęgi, wiary w siebie, i nie umiała tak długo niestałego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazyą pańską, ale dać się ugruntować władzy, która wzmagała się codzień, stawało się niebezpieczeństwem dla wszystkich. Gorączkowo pragnął dwór cały kimkolwiek zastąpić Cosel, a obalić ją koniecznie. Hrabina raczéj domyślała się tego, niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła niemi. Gdy jéj donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał, co po dworze krążyło, Cosel śmiała się pogardliwie.

Powoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, któreby oznajmiły znużenie i wskazały, że walka da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednéj strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych i przebiegłych, w intrydze dworskiéj od młodości wyćwiczonych, przez zepsute i chytre kobiety posiłkowanych; z drugiéj Cosel dumna, zarozumiała, szlachetna, ufna w swe siły i wdzięki, w swe urojone

żony nazwisko, w węzeł, który stanowiły przyznane jéj dzieci... kilku przyjaciół niemających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego, aby się doń przyłączyć. Zanosiło się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiała się wreszcie sprzykrzyć ze swemi fantazyami, nienasyconą żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szalę na stronę drugą przeważyć.

Można powiedzieć, iż wszystko, co było na dworze znaczniejszego i więcéj znaczącego, stało w obozie przeciwnym. Książę Fürstemberg, hrabia Flemming, hrabia Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa liczyły się teraz do zajadłych przeciwniczek. Nieznośna Glasenappowa wkręciła się do domu hrabiny tylko aby ją szpiegować i plotki od niéj wynosić.

Korzystając z niebytności króla w czasie jego pobytu we Flandryi, namiestnik ze swéj strony, Flemming, oddzielnie zmówili się na to, aby króla doniesieniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny, powoli do niéj zniechęcać.

Odmalowali wymagania jéj w tak przesadnych barwach, że August znudzony polecił pewną położyć jéj tamę. Chwycił się tego Fürstemberg, oparłszy kilka razy rozkazom wszechwładnéj pani, która, gdyby nie stan jéj niedozwalający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter pani Cosel mogli uwierzyć, iż spełniłaby to, co obiecywała. Nieostrożne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby.

Pochlebiali sobie jednak oba, wiedząc z listów Bauditza o zaproszeniu panny Duparc do Drezna, że panowanie faworyty mogło przeminąć i że pora przyszła stanowczo przeciwko niéj wystąpić.

Tymczasem król od obozu przybywszy do Drezna, nie spojrzawszy na Fürstemberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel znowu ledwie wstającą z łóżka po chorobie, piękniejszą niż kiedy, czułą a spłakaną.

— A! panie — zawołała rzucając mu się na szyję — zawsze pragnę i pragnęłam powrotu twojego, choćby godzinę tylko trwało oddalenie; ale nigdy może nie tęskniłam tak jak teraz. Wybaw mnie od prześladowania. Jestemże jeszcze panią twego serca, czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nade mną!

— Kto? — zapytał król.

— Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świętoszek Fürstemberg, uczynili mnie

pośmiewiskiem... spikali się na to, by mnie chorą, życia zmartwieniem pozbawić. Panie! ratuj mnie, lub powiedz, czyś już wyrok wydał na mnie.

Po długiém niewidzeniu, Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym, jaki posiadała, dawną swą władzę nad królem: August począł ją uspokajać.

— Fürstembergowi i Flemmingowi uszu natrę... sądzę, że i chora zbyt wzięła do serca to, co może bez złéj woli...

— Bez złéj woli!.. ale to są śmiertelni wrogowie moi, tak jak tu wszyscy... niemi tylko jestem otoczona. Zazdrośni, radziby mnie wyrwać z twojego serca.

Cosel płakała, król łez nie lubił i starał się ją ukoić.

Gdy po kilkogodzinnym pobycie wyszedł do zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz oskarżenia, z którém Fürstemberg wystąpił, odpowiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę przeprosić; książę zamilkł.

— I ty i Flemming winniście; ale nie cierpię kłótni i swarów u mnie; jutro musicie być u niéj: pogodzę was.

Flemming, który sobie czasem pozwalał królowi się sprzeciwiać, odparł:

— Najjaśniejszy Panie, toby było dla mnie zbyt upokarzającém!

— A jednak przez to przejść musisz — odpowiedział król — inaczéj musiałbyś chyba ze dworu ustąpić: nie obeszłoby się bez kłótni przy pierwszém spotkaniu. Cosel nie przebacza łatwo, a ja awantur nie lubię.

Naprożno generał się oburzał i parskał, spojrzeli po sobie z Fürstembergiem... chwila nie była nadeszła jeszcze, trzeba było się poddać króla rozkazom.

Nie daléj jak nazajutrz król obu powołać kazał do pałacu czterech pór roku: musieli stawić się oba. Cosel była zarumieniona od gniewu i dumna jak królowa. August sam wprowadził winowajców.

— Sądzę — rzekł — że tylko nieporozumienie mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała na niewzględne z nią obejście. Radbym zatrzeć wspomnienie to... hrabina zapomni, panowie jako grzeczni i szanujący płeć piękną, nie weźmiecie jéj za złe, jeśli tam słówko jakie w żalu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił, z obu stron zmierzono się oczyma. Coseli wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia, Fürstemberga nienawiści, Flemminga chytrego szyderstwa. Skłonili się jednak oba

grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wziąć za komplement.

Z obu stron nie łudzono się wcale szczerością zgody, wiedziano, że to był rozejm do czasu, i że walka rozpocznie się przy pierwszéj do niéj zręczności. Po tém urzędowém przejednaniu, którego i sam król pewnie czuł pozorność, książę i generał przemówiszy kilka słów obojętnych i chłodnych, odeszli. Król pozostał u Coseli. Pięć już lat trwała miłość jego stała, przynajmniéj powierzchownie, dla pięknéj hrabiny; oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: naprożno. Hrabina Reuss i Vitzthum, kandydatki do tronu, naprożno upatrywały zaćmienia blasku jéj piękności; była to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których lica marmurowego żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokątne miłostki króla nietrwałe, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachetny i umysł wykształcony, i wszystko coby ją wśród tysiąca innych odznaczyć mogło. Z hrabiną Cosel August pełen próżności mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą; wszystkich innych musiał się wstydzić. Żadna z tych, co poprzedziły Annę, nie dorównywała jéj ani pięknością, ani umysłem, ani charakterem. Naprożno chciano coś znaleźć przeciwko niéj, coby choć do zręcznéj potwarzy dostarczyło oręża; złość czuła się bezsilną, bo życie pani Cosel jawne całe, nie miało żadnych tajemnic; niezmierna pycha tylko i powtarzane jéj napomnienia, że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po téj scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna dało im w ręce oręż. Wiedzieli, jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niéj znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappową. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się wcale, kim był, poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy, biegała naprożno szukając tego nazwiska... Miała ona tu ciotkę w teatrze...

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkiém uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie, gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnemi względami, ofiarował zaraz wszelkie jéj żądania spełnić i wyraził życzenie, aby wystąpiła w balecie księżnéj Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna za-

częły się już króla domyślać. Domyślano się go więcéj jeszcze po bezimiennych darach, jakie jéj przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc ujrzawszy króla w teatrze i poznawszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości; że król aktorowi Beltour kazał ją ratować, i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

— Zdaje mi się, Najjaśniejszy Panie — odezwała się hrabina urażona — że to jest zbytek łaski, opiekować się tak nieznaną jakąś istotą, wcale zapewne niezasługującą na te względy.

August się obraził i odparł sucho:

— Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jéj nadużywały; sądzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w loży się odbywała. Cosel nie poskramiając ani ruchów, ani głosu, rzuciła się w głąb' na siedzeniu, wołając:

— Wasza Królewska Mość masz szczególny gust do ulicznic.

Lękając się, aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do loży królowéj, z którą był brat jéj margrabia Brandeburg-Bareuth.

Chwilę wystawiona na oczy całego dworu i szyderskie uśmiechy, hrabina przesiedziała ze spuszczoną głową, zawołała, że jéj się robi słabo, kazała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazyach swych zawadzać nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do niéj, ani się kazał dowiedzićć.

We łzach, w rozpaczy, w gniewie, Cosel spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarła się prawie przemocą baronowa Glasenappowa.

Nieprzyjaciołom hrabiny zdawało się, że już rozjątrzoną, podbudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdołają przyśpieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną, ani się jéj kiedy śniło, by dostąpiła tego szczęścia; lecz szło tylko o to, aby obalić panią Cosel lub przynajmniéj zachwiać jéj potęgę. Glasenappowéj powierzono rolę bardzo dla niéj właściwą. Wbiegła udając nadzwyczajną litość i współczucie, a zastawszy Annę we łzach leżącą na kanapie, przypadła do niéj szczebiocząc:

— Nie możesz uwierzyć — zawołała — jak mi się serce ściska nad losem twoim. Wiem wszystko, widziałam! oburzam się... boleję... ale to nie koniec. Nie wiesz nic. Król brawuje cię... zaraz po wyjściu twém zapowiedział panu Murdachs, żeby kazał do niego zanieść wieczerzę i ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł: po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła... przy wieczerzy król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiwszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchała plotki, zlekka odtrącając natarczywą Glasenappową.

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiedziała — nie sądź, bym była zazdrosną, przeżyłam już wiele: odnowioną miłość dla księżnéj Teschen i Henryetty Duval i innych wiele, ale płaczę nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc wstała Cosel z kanapy, ocierając łzy; przybycie improwizowanéj téj przyjaciółki, pośpiech jéj, dały uczuć hrabinie podstępną intrygę i skutek sprawiły przeciwny, pozornie ją uspokoiły.

Glasenappowa napróżno usiłowała gniew w niéj rozbudzić: wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta... Cosel potrafiła się pokonać.

— Kochana baronowo — rzekła w końcu — zbyt stoję wysoko, ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć; nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim... my kobiety powinniśmy być do nich przywykłe. Wstydzę się za króla, ale nie sądzę, ażeby mi to serce jego wydrzéć miało.

Nazajutrz król ochłonął z tych zapałów, zrana nie przyszedł wcale wprawdzie do Cosel, lękał się jéj porywczości, posłał na zwiady Vitzthuma.

Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żyli z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzićć się o jéj zdrowie. Znalazł ją całe niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa; on także zapytawszy, jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

— Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz — ze smutnym uśmiechem odezwała się Cosel — czy znać co po mnie? powiedz mi.

— Pani jesteś zawsze piękną.

— Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum widząc, że ona pierwsza nie pocznie pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić, iż Cosel znalazł nadspodziewanie spokojną.

Zdaleka cała partya przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała, czy król zbliży się do Cosel, wczoraj okazawszy jéj gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł.

Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tymczasem i ona i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozwagi, aby do zerwania przyjść mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jéj towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niéj dawno już była wygorzała w sercu niestałém, nałóg w niém pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Cosel sądziła się żoną, była matką i postanowiła naśladując królowę, znieść bałamuctwa męża.

— Zrobiłaś mi wczoraj niemiłą scenę w teatrze — odezwał się król — nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i wam nie przystały.

— Najjaśniejszy Panie, moja miłość dla was...

— Niechże będzie rozsądną — przerwał król.

— Miłości cechą, że rozsądną być nie może — dodała Cosel.— Ja również niepodobnéj rzeczy wymagam od miłości pana mojego, to jest, żeby była stałą.

— Ja zaś od was, byście śmiesznéj pozbyli się zazdrości.

— Nie dawaj do niéj powodu, Najjaśniejszy Panie — szepnęła Cosel.

Król ramionami ruszył.

— Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedziała, że jéj nic nie grozi.

Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały się tylko mniéj serdecznemi: galanterya ceremonialna nieco zastąpiła dawną miłość.

Glasenappowa przyszła drugiego dnia oznajmić, iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo hrabiego Reuss i Fürstemberg, którzy się spodziewali innego przebiegu téj sprawy, zrozumiało, iż Cosel z ofiarą uczuć swych, przemagając charakter, zadając gwałt uniesieniom, postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzyjaciół. Cosel, jaką znali, nie tyle zdawała się niebezpieczną: ta znowu, pamiętająca o sobie, trudniejszą stawała do obalenia.

Scena dramatyczna z Duparc, omdlenie jéj za kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Murdachsa, cała ta historya karnawałowa, z któréj usiłowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zupełnie przeciwny; król, który się w pierwszéj chwili niecierpliwił zazdrością Cosel, późniéj znalazł w niéj dowód namiętnego przywiązania. Pochlebiało mu to... kłócili się niemal codzień o pannę Duparc, ale spory czułością się kończyły... August nie przyznawał się do winy.

— Moja droga hrabino—mówił uśmiechając się — tworzysz sobie fantazye jakieś, aby się dręczyć niemi. Dlaczegoż sądzisz, że mam kochać inną? Jakież dowody? Czy mniéj jestem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzéć na kobietę, przemówić do niéj, żebym zaraz o zakochanie się posądzonym nie był? Nie kryję się z tém wcale, mówię otwarcie: gdybym cię nad wyraz wszelki nie kochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości...

Cosel odpowiedziała wpół żartem:

— Wiem, że cię męczę wymówkami, ale muszę miéć ciągłe i baczne oko na miłostki mego pana... Pomimo to, nie zda się na nic moja podejrzliwość i obawy, będę oszukaną i ja i tysiąc równie jak ja zazdrosnych.

Król się uśmiechnął, ta rola jakiegoś Jupitera pochlebiała mu... tłómaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym... Duparc téż nie umiała go długo zająć, bo to była istota, która tylko tak zepsutemu i zdziczałemu panu jak król chwilowo chyba podobać się mogła.

Gminne obejście się jéj i towarzyszek teatralnych, obudzało w najjaśniejszym panu tém większe pragnienie przyzwoitszego towarzystwa... W krótkim przeciągu czasu, Cosel nietylko odzyskała władzę dawną, ale z przerażeniem tych, co na jéj zgubę czyhali, zdawała się ona rosnąć i ustalać.

Najlepszym dowodem, że hrabina nic straciła nic w sercu króla kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego Fryderyka IV, powracającego z Włoch, i po drodze chcącego widziéć królowę Eberhardynę, swą ciotkę. August, który chwytał każdą taką zręczność nastręczającą się do tracenia pieniędzy na uroczystości i zabawy, zdumiewając niemi Europę, postanowił z przepychem jak największym przyjmować swego dostojnego siostrzeńca.

Sam on obmyślił plan świetnych zabaw, jakiemi go chciał zachwycić, a dawna poddanka króla duńskiego (rodem z Holsztynu) hrabina Cosel, wyznaczoną została do grania w nich pierwszéj roli. Prawda, że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jéj nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku, jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach, gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowéj, Cosel postawą, majestatem, urokiem, przewyższała, co ją otaczało.

Król zdawał się niejako uniewinniony, że składał hołdy tak wyjątkowéj istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreznie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Pierwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego kurfirsta, książęcia Fürstemberg, namiestnika, hrabiego Flemminga, Pfluga z całym orszakiem szambelanów, paziów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hrabina Cosel musiała pozostać w domu, aby królowéj w oczach siostrzeńca nie wyrządzić bolesnéj przykrości. Król w świetnym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Drezna, wśród bicia z dział, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów, czarodziejskiego. Gwardye od złota lśniące ustawione były przy zamku... U wielkich wschodów królowa z synem czekała nań i wziąwszy między siebie króla, prowadzili go na górę: za niemi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawiała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko; król duński, po rozmowie z ciotką i z rodziną, dał się wziąć Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę... i przejściem krytém, łączącém zamek z pałacem hrabiny Cosel, udali się do niéj dla spędzenia wieczoru... Uroczysta wieczerza, z całym ceremoniałem dworu Augusta, który, na wzór Ludwika XIV, kochał się w obrzędach połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiéj sali. Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczaszowie, podkomorzowie, pazie w galowych ubiorach, pełnili swe obowiązki u stołu...

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów... Na galeryach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami, bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zrównał.

Dokoła stołu, którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwém dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Cosel, cała okryta dyamentami! Pas jéj, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety, świeciły temi kroplami rosy, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński, na którym jéj piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził, że się tém przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść, ażeby stała, i prosił, by jéj usiąść dozwolono... Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobyt króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na napełnienie ich coraz odmiennemi zabawami, ułożonemi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwą. Nikt lepiéj nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwacznemi i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je późniéj długo, ale nikt w tém Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska drezdeńskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta, gromadziły dworaków i szlachtę przymuszoną jak najkosztowniéj o własnym groszu występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były téż najrozmaitsze: ściganie jeleni po lasach psami konno, szczwanie dzików w źwierzyńcach pod Dreznem, polowanie na zające, bażanty i kuropatwy w Wielkim ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiéj rezydencyi. Najulubieńszemi łowy Augusta II były dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonych strzelnicach na Zwingrze, w rynku i t. p. zmieniały i urozmaicały myśliwstwo. Cel urządzano w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerek i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem szyderskie, jak naprzykład lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwaczniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą, która dotrwała późniéj na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebierały się za oberżystki, wiwandierki, kupcowe i częstowały gości. Przebierano się za chłopów, za cyganów. Jarmarki te odbywały się najczęściéj w nocy, przy świetnych illuminacyach, a w budach niektórych ustawiano teatry maryonetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział a śnieg tająć zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gościniec zwoziło śniegi.

Maskarady i reduty w olbrzymiéj sali zamkowéj, w Zwingrze, na rynku odznaczały się téż niezwyczajną świetnością. Salę olbrzymią oświecało siedm olbrzymich także kryształowych żyrandolów, w których do pięciu tysięcy woskowych świec zapalano; obok niéj w sali audyencyonalnéj zastawiano ośmnaście ogromnych stołów dla zaproszonych gości, okrytych wykwintnemi potrawy i na-

pojami. Na maskarady wpuszczano, ktokolwiek odziany był przyzwoicie i imię swe podał u wnijścia.

Niekiedy przy dobrym humorze maski ruszały na miasto, wpadały do spokojnych domów i przestraszały mieszkańców, a swoboda karnawałowa nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem. Że wszyscy aż do woźnicy i sług maski mieli na twarzy, któż mógł odgadnąć, czy się król między maskami nie znajduje?

Francuski teatr, włoska opera, balety, koncerty, które ogromne sumy kosztowały, przyczyniały się do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, muzycy, brali sumy znaczne, a widowiska te rocznie przeszło 80,000 talarów kosztowały skarb królewski.

Wojskowe zabawy, przeglądy, manewra, udawane wojny, służyły też jako środki uprzyjemnienia czasu. Zakładano obozy w okolicy, i zamiast szaléć w stolicy, szalano pod gołém niebem. Każdy dzień odznaczał się inną uroczystością, wymagał nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważał wcale; komu była naznaczona rola na igrzysku, musiał się do niéj stosownie wyekwipować na owe Jowiszowe gody, Marsowe igrzyska, święto Dyany, Merkurego targowice i t. p. Lecz któż to zliczyć i opisać potrafi!

Czas pobytu króla duńskiego cały ten szereg uroczystości wywołał. Król August chciał mu dać pojęcie swéj wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Cosel była to jedna z najświetniejszych chwil tryumfu. Jéj barwy kładli królowie, cyfry jéj świeciły w fajerwerkach, wieszały się wśród zielonych wieńców; ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna celowała, i niejeden strzał szczęśliwy zjednał jéj naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochlubić, wnikała w jego myśli, poddawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwaczniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości, najwspanialszy był pochód bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniéj jeszcze, kosztowniéj i z niezrównanym przepychem.

Król duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Cosel przedstawiała Dyanę otoczoną najpiękniejszych nimf orszakiem. Za nią postępował złocisty wóz tryumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającego jéj miejsca w świątyni Westy, jako kapłanka téj bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawiać Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne... tak ledwie przeżyte losy po posągowém jego obliczu, nic zostawiając śladów, spłynęły.

Wszyscy znużeni, ledwie mieli dość sił, by téj zabawie podołać. Cosel była niezmordowaną, król w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poiła się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa biednéj kobiecie.

Dla niéj jednéj sprawiono kobiecy wyścig do pierścieni, który był tryumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jéj godła, kolory i cyfry: król duński ją prowadził, August szedł po prawéj stronie, podkomorzy dworu po lewéj.

Z loży patrzała królowa...

XIV.

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel okazała nadzwyczajną zręczność i nieźmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jéj niewłaściwych, zdawał się w królu Auguście, który z nią razem tryumfował, rozżarzać jeszcze uczucia.

Tłumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjaśniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W łożach i na galeryach otaczających podwórzec, w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy, głów ciekawych i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozpłomienioném, zręczną, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście.

Królewscy widzowie przyklaskiwali, obaj królowie bogate dla niéj przygotowali nagrody... nikt nie zważał na twarze reszty dworu posępne, na zżółkłe oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który taił uczucia swoje.

W kącie wpośród dworu króla i urzędników, którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych, co przywiązaniem niezłomném płacili jéj za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Cosel nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczéj własnemu sercu, niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł nawet smagany widokiem jéj fantazyi, dumy, pogardy, wyrwać z serca téj namiętności szalonéj: zżył się już z nią, stała się w nim chorobą, co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tę miłość bez przyszłości.

I on dumny był swoją Anną Cosel, chociaż te ponawiane tryumfy jéj niepokoiły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia, wiedząc, jak na serce Augusta, na litość jego, na

wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu skupieni byli starzy dworzanie Augusta. Z téj kupki ani jeden okrzyk nie dał się słyszéć, ani jeden oklask: nic, coby zdradzało uwielbienie dla pięknéj, a dnia tego najpiękniejszéj królowéj turnieju.

Przy Zaklice osłoniętym występem kolumny, znalazło się kilku nieznanych mu osobiście ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogolony bardzo starannie, siwym już był i starym; drugi zdawał się być cudzoziemcem; kilku innych stanowiło z niemi gromadkę. Mówili pocichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwytało.

— Pięknaż bo jest, piękna ta kochanka króla waszego — odezwał się cudzoziemiec — prawdziwy królewski kąsek... i zdaje się, że już dla téj musi się najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho.

— Gdy na to patrzę — rzekł — przypominam sobie dawne czasy, i myślę, co téż to ja jeszcze zobaczę, bo na tém się nie skończy, panie szambelanie. Boję się, by te tryumfy ostatniemi nie były; przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurorę... pomnę wdzięczną Esterle... zdaje mi się, że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżnę Teschen. Z nich wszystkich ta się wprawdzie jakimś ekwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużéj, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

— Mówiono mi wszakże, iż król jéj przyrzekł ożenienie... — szepnął cudzoziemiec.

— Sądzę, że się niém i księżna Teschen łudziła, że się go i piękna Aurora spodziewała; lecz naszéj zacnéj, dobréj królowéj Bóg życia przedłuży, a śliczna rycerka pójdzie za innemi.

— Chyba nieprędko! — zaśmiał się cudzoziemiec.

— A któż to odgadnie? — szydersko szeptał stary. — Spójrz waćpan na rząd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na których licach zazdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dni królowania... a tam w kąciku u dołu, widzisz tę kupkę francuskich linoskoków i tancerek; tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nic nie ma za sobą, chyba, że stokroć od niéj brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy, że jutro z ciżby nie wybierze sobie nasz najjaśniejszy coś jeszcze... dziwaczniejszego...

Za Zakliką stali także dworacy: tu nie ukrywano niechęci.

— I owszem—mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstemberga — niech sięga jak najwyżéj, tém bliższy upadek... Wzbija się w łaski i wzbija w dumę, królowi staje się obejściem swém coraz nieznośniejszą: możnaby niemal obliczyć chwilę, gdy runie.

— Tak! tak! — dodał drugi — a nie będzie to pewnie ciche rozstanie, jak z tamtemi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierać i bronić.

— My to już jednak prorokujemy od lat trzech i dotąd nie spełniły się proroctwa nasze — rzekł pierwszy wzdychając.

Daléj nieco widać było barona Kyan, zamyślonego bardzo. Dowcipny stary dworak słuchał i słyszéć nie chciał: zaczepił go ktoś o zdanie.

— Nie jestem astronomem, kochany panie — rzekł — bym mógł rozrachować, kiedy gwiazdy wschodzą i zachodzą, a wiem tylko, że są i gwiazdy stałe...

W jednéj z lóż hrabina Reuss i Vizthumowa, panna Hülchen, a z tyłu Glasenappowa, siedziały ponure i milczące... Reuss westchnęła.

— Sameśmy winne — odezwała się do Vitzthumowéj. — Król nie widzi od kilku lat, tylko stare znane twarze; nie umiałyśmy się o nic postarać.

— Nie cierpię téj kobiety — przerwała Vitzthum — ale zmuszoną jestem przyznać, że po niéj znaléźć coś trudno.

Stara Reuss rozśmiała się szydersko.

— Nie znasz ani ludzkiéj natury, ani charakteru króla—rzekła spokojnie. — Po blondynce Teschen musiała się podobać wasza bratowa; po jéj kruczych warkoczach, znowu złocistych będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiéj Duparc, która paple mu jak przekupka.

— A! już zresztą naszemu królowi się nie dziwię, że pęt swych nie umié rozplątać; ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niéj wznosi.

— Jak dumnym z góry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada.

— Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałabym się z téj oszalałéj awanturnicy — szepnęła Hülchen.

— Miliony kosztuje ta perła Saksonię.

Te i podobne rozmowy słychać było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana, a choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszém być nie mogło nad widok téj tłumionéj zazdrości: był to także rodzaj hecy, wielce mu upodobanéj.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnéj wieczerzy, która już była pożegnalną, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do

Berlina, a August mu towarzyszył, zagasły światła i hrabina Cosel w stroju, jaki miała na igrzyskach, powróciła do pałacu...

Twarz jéj pałała jeszcze ogniem tryumfu, zapału, ale zarazem gorączki i znużenia; uczuła się słabą i zrzuciwszy z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywać.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stąpanie dawało się słyszéć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposabiała. Czuła się równie na duszy, jak na ciele zmęczoną... Niczém nieusprawiedliwiony w téj chwili smutek ją owładnął.

Wśród tryumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga, i ten ją przejął do głębi; była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumiéć mogła. Wyraz jego oczów odbił się jéj na sercu; gniew i trwoga w nim gościły. Nie miała powodu do obojga, a pozbyć się ich było dla niéj niepodobieństwem.

Naprożno przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci, jakich tego dnia doznała, usiłowała ponure rozbić myśli; obłok, co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy zachodziły łzami... Tak nieraz w chwili największego szczęścia zjawia się przyszłości przeczucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionemi w ścianę, na któréj wisiał portret królewski, siedziała tak długo... Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta, nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go czekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu, którego schody łączyły się z galeryą do zamku wiodącą, dały się słyszéć kroki: nie mógł to być kto inny prócz Augusta... Cosel zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła, aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jéj włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnéj, i gdy król ukazał się na progu, Cosel trzymała je w białéj dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niéj suknię.

Z pierwszego wejrzenia Cosel poznała, że August przychodził do niéj w tym stanie, w jakim go rzadko widywała, a jak najmniéj widziéć lubiła.

Uroczyste żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkiém uszanowaniem na łóżko zaniosło, odbyło się ogromnemi puharami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z téj walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi doprowadził, starannie pilnując, aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Cosel oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się niewyraźną.

— Anno — rzekł — chciałem cię pożegnać... Ha! miałaś dziś dzień tryumfu, jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniéj.

Rozśmiał się król.

Cosel zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

— A! panie mój — rzekła — czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować... Lecz gdybyś był widział te zawistnych oczy, które na mnie patrzały, te zazdrośnie ścięte usta... pojąłbyś, że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał.

— Tragi komedya życia — rzekł obojętnie. — Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga! Każdy ma coś, co go boli, a życie... to życie... Bądź mi wesoła!

— Nie mogę... — odezwała się Cosel.

— Dla mnie! — odparł August.

Cosel wpatrzyła się w niego i powoli, raczéj przymus i rozwaga, niż uczucie wywołały różowy uśmieszek na małe usta...

— Gdybym na ciebie tylko, panie mój, wciąż patrzéć mogła; gdybym cię miała zawsze u mojego boku — odezwała się siadając przy nim powoli — byłabym samym śmiechem i jedném weselem: radabym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam, polecisz w świat, a któż wié, jakim powrócisz?...

— Byle nie tak pijanym, jak dziś jestem... — ze śmiechem zimnym odparł August — wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę...

— A kiedyż pan mój powróci? — spytała Cosel.

— Spytaj... astrologów: ja nie wiem. Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy, że Brandeburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo. Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami i wygłodzi przy stole. Berlin po Dreznie! cha! cha!—zawołał król — to mnie niezmiernie cieszy: jadę umyślnie, żeby się napawać zwycięstwem... Zgóry jestem go pewny.

— A wróć mi tylko wasza królewska mość wiernym i stałym — dodała, jedną zawsze myślą zaprzątnięta Cosel.

— Z Berlina? — śmiał się August — tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ani tobie... najcnotliwszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

— A Dessau? — szepnęła Cosel.

Król pokiwał głową.

— To prawda, że była bardzo ładną; lecz gdyby była katoliczką, powinnaby zostać mniszką... Nie rozumiała wcale galanteryi, obrażała się pół-słowem... Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nieostrożnie, iż zsunął utrefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiła: począł całować ją w ręce.

— Moja Cosel — dodał — jadę, a mam jednę prośbę do ciebie; pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny: przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

— Najjaśniejszy panie, racz to zapowiedzieć Flemmingowi, nie mnie. Uchybia mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hrabina Cosel, żona Augusta...

Król słysząc to, dziwnie się uśmiechnął, oczy jego błysnęły dziko.

— Hrabina Cosel — dokończyła dumnie Anna — nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi, ani się go lękać, ani mu ustąpić.

— Ale ja tych wojen nie cierpię...

— Każ mu być mi uległym, poleć mu, by mnie, matkę twych dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju...

Po tych słowach, na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zwiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało... Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieliło ode drzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurném czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć, co wówczas działo się w tajemniczych głębinach pańskiej duszy, czy istotnie pragnął zgody na dworze, czy chciał, by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga: szyderski był i podrażniony.

— Cosel mi się skarży na ciebie, stary — rzekł żartobliwie — powinieneś jéj uledz, wiele rzeczy nie słyszéć, a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiem znosić od niéj...

— Najjaśniejszy panie! — odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym bywał. — Najjaśniejszy panie! to wcale co innego: miłość pani Cosel płaci najjaśniejszemu panu za te utrapienia.

— Więc mojéj nie liczysz? — spytał król.

Flemming się skłonił nizko.

— Wasza królewska mość wiesz — odezwał się — żem ja w rachunkach nie mocny: lepiéj się do liczby nie pociągać.

— Ale bądźże dobrze z Cosel! — powtórzył August.

— Najjaśniejszy panie! to trudno: dworakiem jéj być nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiem, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiet stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział.

— To prawda — dodał — że cię ona nie lubi; powiada, żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabełkotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, zręczniéjby nie mógł postąpić.

Tu miejsce może nieco bliżéj dać poznać człowieka, który na losy przyszłe bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakób Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużéj umieli utrzymać w łaskach króla Augusta i wedle świadectwa współczesnych, najsilniéj w nich stali.

Mówiono powszechnie, iż Flemmingowi zawdzięczał polską koronę. Jedna z jego kuzynek blizkich, córka feldmarszałka Flemminga, od roku 1684 wyszła była zamąż do Polski za podskarbiego, kasztelana chełmskiego Przebendowskiego: przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więcéj jeszcze dyplomatą niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegłym był i chytrym, jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiawela: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się zręcznie pousuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu naówczas Hoym, nad którego ruiną pracował pocichu; lękał się wpływu Cosel i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić: niebezpiecznym zdawał się Schulenburg, i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, któremi tamtych postanowił zastąpić, kreatury swoje, mające mu zawdzięczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych: Watzdorf, Manteuffel, Wackerbarth, czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był mawiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobiłem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia, tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiéro w roku 1711), choć w żadném nigdy nie zasiadałem kolegium. Rządzę, mogę powiedzieć, Polską

i Saksonią, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków tych wywiązuję się z honorem".

Zarozumiałość ta i zuchwalstwo były podobno głównym przymiotem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministeryalnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rzeźwy, wesół, hulaka, coś żołnierskiego mający w obejściu; rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufałym, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnéj zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonéj poufałości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po książęcemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego były pełne zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców, jak u króla. Łatwo mówiąc po francusku, po polsku, po łacinie, umiejąc pracować i nie opuszczając dlatego hulanek, mogąc nie spać, umiejąc pić i nie upijać się, zdrzemnąć na kwadrans w krześle i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawić tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości, pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wyglądał wcale nie pięknie: nizkiego będąc wzrostu, przysadzisty, otyły, z twarzą naperzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapominał; nie wahał się nawet przy większych interesach wymawiać sobie tak znaczne porękawiczne, iż raz się król o tém dowiedziawszy, że wziął pięćdziesiąt tysięcy talarów, powiedział mu:

— Słuchaj, Flemming, wiem, coś wziął; to już dla ciebie zawiele: musisz mi połowę oddać.

I tak się stało. Jak to dobrze pana i sługę maluje!

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą, dla kobiety tak namiętnéj a powodzeniem długiém wzbitéj w pychę, była rzeczywistém niebezpieczeństwem. Wreszcie poza Flemmingiem stał cały zastęp nieprzyjaciół hrabiny Cosel, a co gorzéj zjadliwych jéj nieprzyjaciółek: pani Przebendowska, siostra cioteczna gienerała-ministra, cała klika hrabiny Reuss, utrapiona Glasenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Cosel, choć niczego tak nie pragnęły, jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jątrzyło to, że przeciwko niéj znaléźć nie mogli, coby ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki zawiązywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jéj otoczonéj zawsze gronem wielbicieli nic zarzucić nie mógł, szpiegi najpilniejsze nic nie potrafiły wyśledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Cosel mogła być dumną, bo istotnie przewyższała otaczające ją towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak, jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie; tak potém nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzaną. Ciągłe powtarzanie, iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpaczy przyprowadzało te panie.

A im dłużéj pracowały napróżno, tém rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrzono więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstemberg, i ten którego Cosel uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet. Ostatni był przez żonę, któréj ulegał, popchniętym, i więcéj przez lekkomyślność niż przez niechęć, zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Cosel.

Plan był ułożony. Należało tylko znaléźć piękną twarzyczkę, którąby niezrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla, że zalotności ulegnie, ale ociężałemu nieco trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać pięknéj pani, którąby pierwsza wyzwała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

XV.

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka, który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju, rzucił się na nieznaną sobie potęgę i z męstwem lwiém a nieopatrznością młodzieńczą stanął na polach pod Połtawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie, ciesząc się, że nie został zwyciężonym przez dwór, który się wcale o przepych nie ubiegał, gdy z Polski od księżnéj Teschen wysłany kuryer przywiózł mu pierwszy wieść szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszéj chwili król zdawał się osłupiały, zrzekł się uroczyście polskiéj korony, a słowo swoje wyrzeczone w obli-

czu Europy chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

— Najjaśniejszy panie — zawołał — wymuszone orężem układy nic nie znaczą; potrzeba wrócić do Polski. Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich. Trzeba się zjawić tylko, by zwyciężyć...

Tylu ofiarami okupiona korona była ponętną dla kurfirsta. Wiązały się z odzyskaniem jéj plany monarchii dziedzicznéj, okupionéj ofiarą prowincyj, któremiby usta zamknął zadrośnym sąsiadom. Choćby z rzeczypospolitéj część tylko miała pozostać zlana z Saksonią, stanowiła jeszcze wielkie państwo; odzyskać więc koronę należało bądź-co-bądź, aby ją z elekcyjnéj na dziedziczną przerobić.

August przyznał z Flemmingiem, że pokój i układy i zrzeczenie się korony nic nie były warte, należało zebrać tylko ludzi i iść do Polski. Flemming i jego przyjaciele, dawni zwolennicy Sasa, mieli mu dopomódz; niewątpiono bynajmniéj o szczęśliwém wyprawy powodzeniu... Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff, marszałek konfederacyi sandomierskiéj, i Szaniawski, biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym Fryderykiem August miał czas w Dreznie umówić się już przeciwko Szwedowi; brandeburski Fryderyk nie był téż przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czém do niego król umyślnie jeździł, i tak stanęła liga, którą późniéj trzema spojonemi rękoma trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłostki, gdy szło o odzyskanie korony. Zaledwie przybywszy do Drezna, otrzymał wiadomość o bitwie pod Połtawą, którą pierwszy drukiem ogłosić kazał, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego, aby z nim pomówić o warunkach. W czasie krótkiego pobytu w Dreznie, Cosel zaledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzéj niż kiedy. Flemming czuł się silnym wypadkami. Hrabina posyłała do niego kilkakroć z żądaniami różnemi w czasie niebytności króla; odpowiedzieć kazał, że nie myśli ich spełniać, i że ma co ważniejszego do czynienia. List ostry od Cosel zdarł w oczach posłańca i podeptał, rozkazując powiedzieć téj, co go pisała, że się jéj skarg i gróźb nie lęka. Były to bolesne wyzywania, których Anna ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia potém, gdy Flemming konno jadąc, spotkał ją przy zamkowéj ulicy, a konia wstrzymać był zmuszony, Cosel wychyliła się z powozu i rada ze zręczności, pięścią mu grożąc, zawołała:

— Powinieneś pan pamiętać, gienerale, kim ty jesteś, a kim ja! Waćpan jesteś sługą króla, który spełniasz rozkazy; ja-m tu panią: chcesz waćpan wojny ze mną, przyrzekam, że ją mieć będziesz.

Flemming rozśmiał się z pozorną grzecznością, rękę do kapelusza przykładając.

— Nie toczę wojen z kobietami — zawołał — a czynię to, co mi dobro mojego pana nakazuje; ani się myślę kłaniać, ani kobiecym ulegać kaprysom.

Z okna karety posypały się wyrazy niepohamowanego gniewu. Flemming nie zważając na nie, konia spiął i ani patrząc na hrabinę, pojechał daléj. Przyczém wojskowi będący przy Flemmingu, zniewążyli ludzi hrabiny. Zaklika się już brał do szabli i byłoby przyszło może do krwi rozlewu, gdyby rozumniejszy ktoś ze dworu króla nie wpadł między nich i Flemminga służby nie rozpędził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre, Cosel płacząc z gniewu czekała na króla.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze snać już wiedział, co zaszło, bo gdy Flemming przyszedł do niego z raportami, rzekł mu:

— Że téż wy, stary żołnierz i dyplomata, z jedną kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

— Przepraszam najjaśniejszy panie — zawołał gienerał — żyję z wielu w najlepszéj, ale z temi, co się za boginie i królowe mają, nie umiem w istocie. Ta kobieta rujnuje kraj! ma fantazye dziwaczne... i żadnéj zasługi uszanować nie umie.

— Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla niéj poszanowania.

— Nikt jéj nie uchybiał, dopóki sama nie rozpoczęła obelżywie ze wszystkiemi się obchodzić.

Król zmilczał, Flemming rzekł w poufalszym tonie:

— Zje Saksonię i Polskę i jeszcze głodną będzie: dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli wasza królewska mość słabym dla niéj jesteś, my co tron otaczamy, mamy obowiązek wyzwolić z tych więzów.

August zagadał o czém inném. Po krótkiéj naradzie poszedł do Cosel; ta go oczekiwała, ale z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August nie lubił.

W progu już z płaczem rzuciła się ku niemu.

— Królu mój, panie! ratuj! Flemming się obchodzi ze mną, jakbym była najostatniejszą z kobiet. Lży mnie publicznie, listy, które piszę, drze i rzuca pod nogi; oświadcza się, że mnie stąd wygna; wystawia na pośmiewisko. Wybieraj królu: albo ja lub on ustąpić musimy.

August ze śmiechem ją uścisnął.

— Uspokój się, hrabino, za żywo rzeczy bierzesz; Flemming mi w téj chwili potrzebny: muszę go oszczędzać.

— A ja? — zapytała Cosel.

— A! wiesz przecie, że bez ciebie niéma dla mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi powinnaś poświęcić.

— Wszystko oprócz czci méj — zawołała Cosel.

— Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

— Nigdy!

— On cię przeprosi.

— Ja nie żądam tego, chcę być wolną od widzenia tego człowieka.

August wziął ją za rękę.

— Moja kochana Cosel — odezwał się zimno — dziś chcesz być wolną od Flemminga, jutro toż samo będzie z Fürstembergiem, a gdy ich wypędzę, z Pflugiem i z Vitzthumem: z nikim żyć nie umiesz.

— Bo nikt prócz ciebie, najjaśniejszy panie, nie sprzyja mi na dworze; wszyscy są nieprzyjaciołmi mojemi.

Zaczęła płakać, król zadzwonił i mimo protestów gospodyni, rozkazał zawołać gienerała Flemminga.

Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach, Cosel chodziła gniewna po sali, nim gienerał nadszedł. Wchodząc wcale się nie skłonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Cosel tyłem do niego stojąc, cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

— Mój Flemming, jak mnie kochasz — odezwał się August— wiesz, jak ja w mojém gospodarstwie nie cierpię waśni: przebłagaj piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

— Nigdy w świecie! — przerwała Cosel — nie podam ręki nikczemnemu dworakowi, który się ważył uchybić bezbronnéj kobiecie.

— Nie lękaj się pani — zawołał Flemming — ja téż żołnierskiéj dłoni nie myślę jéj narzucać: kłamać nie umiem, a przepraszać nie będę.

Król wstał gniewny.

— Gienerale, uczynisz to dla mnie.

— Ani nawet dla was, najjaśniejszy panie. Jeśli ci się podoba, rzucam służbę.

— Waćpan jesteś podły, jesteś nikczemny — zakrzyczała, zapominając się Cosel—łaski najjaśniejszego pana uzuchwaliły cię... lecz z Drezna niedaleko, chwała Bogu, do Königsteinu.

— Cosel, na miłość Boga! — przerwał August.

— Najjaśniejszy panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem... powiem mu w oczy, co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mu ją wypowiadam.

— Z panią hrabiną wojować nie myślę — rzekł Flemming — mam coś lepszego do czynienia. Miłość dla króla zmusza mnie wistocie do wypowiedzenia jéj wojny, bo pani kraj niszczysz i byłoby z czego wojsko wystawić, koronę odzyskać, gdyby waćpani zbytki ukrócić.

— Flemming, zapominasz się! — zawołał August, który całéj téj wyrazów szermierki słuchał bez wstrętu, pomimo że ją niby zahamować usiłował.

— Idź waćpan precz z mojego domu! — krzyknęła Cosel tupiąc nogą.

— Dom to nie jest wasz i niéma tu ani jednéj rzeczy, któraby do niéj należała; jestto pałac króla pana mego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę — odparł Flemming.

Cosel zaczęła płakać, szarpiąc suknię na sobie.

— Widzisz, królu, słyszysz, na to ja zeszłam, że mnie w oczach twych, lada służalec, najemnik bezcześci, a ty stoisz niemy, obojętny, nie umiejąc ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Załamała ręce. Król łagodnie i spokojnie podstąpił do Flemminga.

— Panie gienerale — rzekł — ja cię proszę o zgodę: to nieznośne. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Mamże ja cierpiéć za wasze popędliwość?

— Wasza królewska mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani patrzéć na to; zostawić możesz sprawę naszę nam samym: los ją rozstrzygnie wkrótce.

Wyczerpawszy wszystko, co tylko mogła powiedziéć, Cosel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król nie widząc środka ani uspokojenia rozgniewanego także i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rozjątrzenia hrabinéj, podał rękę gienerałowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Flemming, okiem pełném zemsty i groźb rzucił na hrabinę, któréj wejrzenie odpowiedziało mu takiemiż obietnicami. August zaczął się przechadzać po sali zamyślony, znać było jednak, że zajęty może sprawami ważniejszemi, całéj téj kłótni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którém wyrzuty gorzały.

— A!. królu — rzekła — na tom ja zeszła, na to, aby mnie twoja służba w oczach twych obrzucała takiemi wyrazy! To mój los. Flemming poszedł szydzić z téj, którą wybrałeś, którą, mówisz, że kochasz... i ja słabszą jestem od niego.

— Kochana hrabino — odpowiedział król spokojnie — wszystko

co mówisz, dowodzi tylko, że mojego nie znasz położenia. Flemming w téj chwili jest, jak prawa ręka, potrzebny w Polsce; zrazić jego dla siebie jest wyrzec się korony. Tego po mnie wymagać nie możesz i tego ja, jako król, nie uczynię. Przekonałaś się, że nie odmawiam ci ani najwyższéj czci, ani miłości, ani ofiar... ale wszystko ma granice. Wprzódy nim kochankiem zostałem Cosel, byłem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła, Cosel rzuciła się do Augusta.

— Kochankiem! Mam przecie na piśmie przyrzeczenie twe: ja nie jestem kochanką, ja drugą żoną twą jestem.

Skrzywił się August.

— Tém więcéj interesów moich, korony méj i czci strzedz pani powinnaś.

Gniew się we łzach znowu rozpłynął. August klika razy spojrzał na zegarek.

— Nie jestem panem czasu mego — rzekł — tysiące spraw na mojéj głowie. Muszę wkrótce jechać do Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest porywczy, ale mnie kocha i zrobi to, co mu każę...

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała, chmurna, w milczeniu podała dłoń królowi. August wyszedł.

Wkrótce po téj scenie mowa już była o wyjeździe do Polski. Hrabina, która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości udać się z nim w tę podróż nie mogła.

Wiedziała dobrze, jakie jéj tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaléźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniéj powrotu do dawnych stosunków lękać się było można, bo w życiu Augusta taka zgoda była bezprzykładną, i to ją drażniło. Więcéj trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjaciele jéj mogli królowi stręczyć, aby go od niéj odciągnąć.

Król, jakby dla oszczędzenia walk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie, czyby nie wolała miéć go tu w Dreznie prześladowcą, niż przy boku króla nieustannym podszczuwaczem i wrogiem: nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Król dosyć czułym był do ostatniéj chwili rozstania, a zapewniał, że najsurowsze wyda rozkazy Fürstembergowi, aby się dla niéj jak najwzględniéj zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypomniał jéj z uśmiechem, że przecież mogła się uważać za zwycięską, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga, chcącego narzucić mu Wackerbarth'a, na jéj prośbę baronowi Löwendahl, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkowstwo dworu po Pflugu. To właśnie obudzało postrach i gniew Flemminga.

Cała klika nieprzyjazna hrabinie Cosel, na wieść, iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przyklasnęła z radością, czując, że się rzeczy zmienić muszą, że wpływ Flemminga i jego intryga, starania Przebendowskiéj, muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jéj był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swe kuzynce, wcale nie obiecywał jéj zawdzięczyć za to. Szło mu o utrzymanie się na dworze i w łaskach; czuł, że Cosel traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężoną, gdy ona jeszcze ani się jéj domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczystszych przyrzeczeniach, po tylu latach pożycia, mógł ją tak zdradzić jak inne.

Gdy przyjazny jéj baron Haxthausen, jedyny człowiek, który jéj dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawił jéj przykłady Aurory Königsmarck i księżnéj Teschen, których dzieci zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Cosel kazała mu milczéć.

— Teschen i Königsmarck były kochankami króla; ja mam od niego przyrzeczenie ożenienia: ja jestem żoną jego.

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy, hrabina dostrzedz mogła, jak liczny niegdyś dwór jéj, przyjaciele, goście, opuszczali pałac czterech pór roku. Pustki w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać: usuwali się wszyscy.

Jedna zjadliwa Glasenapp, która stąd wynosiła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w niém nie było, gościła tu najczęściéj. Znając jéj charakter, ostrzegano hrabinę.

— Znam ją — odpowiadała — wiem jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? co wyszpieguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy... nie taję się z niczém, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszym, milszym, czulszym nie był August, jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem, Cosel już wyjeżdżać nie mogła, ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ją smutną, gniewy i porywczość ustąpiły; była więcéj kobietą słabą, pragnącą wspomnieniami serce do litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Urokiem dlań były: żywość, wesołość, śmiałość, śmiech, zazdrość, zuchwalstwo: wszystko co na zmysły działało; uczucie dlań było rzeczą nieznaną; odgrywał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z paniami rozmowach, których Vitzthum nieraz bywał świadkiem, za drzwiami śmiał się z nim ze swych frazesów i galanteryi w najcyniczniejszy sposób.

Rozczulić go chciéć było najpewniejszym sposobem odstręczenia i znudzenia. Cosel czuła w sercu nieopisaną trwogę: chwytała za ręce króla, całowała je, oblewała łzami, prosząc, aby się nie od-

dalał, aby o niéj nie zapominał: August odpowiadał wyszukanemi wyrazy, ale z tych wonnych oświadczeń wiał chłód trupi.

Był to koniec długiego kilkoletniego szału, z którego ostygli oboje. Lecz w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czułość: w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jéj smutkowi, rad był uciec od niego; łzy go niecierpliwiły, nudziła boleść, wymówki męczyły.

Cosel nie umiała już być wesołą i trzpiotowatą, jak niegdyś, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się, dobijając kordelasem dzikiego zwierza, lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jéj nie zmienił się wcale, lecz w oczach króla spowszedniał. Cosel miała ten rodzaj najrzadszéj piękności, która się nawet czasowi opiera, któréj ból nie może zetrzéć, wiek nie odejmuje blasku, łzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziejskie oczów wejrzenie, ani uśmiech, co do stóp jéj ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te straciły moc swoję, uśmiech, ponętę: kochanka stała się pospolitą kobietą, bo urok nowości i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt téż zajmowały Augusta układy polityczne, odzyskanie korony, jednanie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców, ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśléć w chwilach spoczynku o czém inném, jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstembergowi rozkazach; zaprzysięgał wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabina nie uczuła tak mocno samotności, jaka ją otoczyła, nigdy się téż ona nie objawiła tak zastraszającą, tak znaczenia pełną jak teraz. Po wyjeździe króla, pałac, około którego stały tłumy, przedpokoje, w których o miejsce było trudno; wieczory, na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętemi, wszystko to stało pustką: Cosel nie miała nikogo.

W dzień przylatywała roztrzepana, złośliwa i gadatliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wśród dnia u progu zjawiało się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potędze hrabiny, a nie wiedzieli o jéj zachwianiu.

Nic nie brakło napozór, przecież już tu czuć było ruinę. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy je wiózł do niego. Ani się domyślała Cosel, że nim wyszły, rozpieczętowywano je w kancelaryi księcia Fürstemberga i wysyłano pod kopertą Flemminga, aby w nich wybór mógł uczynić: król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywał.

Z ciżby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten

nosił suknię i imię sługi. Był nim Rajmund Zaklika, który ze swą panią przeżył i przebolał wszystkie jéj losy... któremu nieraz ręka drżała chcąc chwycić za gardło zuchwalca, co śmiał hrabinę obrażać; trzeba było tylko skinienia jéj, by z rąk tych olbrzyma wyszedł nieżywym ten, kogoby one ujęły...

Kilka razy spojrzawszy nań w chwilach stanowczych, Cosel znajdowała go tak strasznym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zaklika nie miał prawa ani się nawet odezwać z tém, co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze, iż nań rachować mogła. Gdyby mu kazała zabić Flemminga, byłby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknięcia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świetną gwiazdą, którą raz pierwszy zobaczył błyszczącą z pomiędzy gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem stawała się dlań piękniejszą coraz, i całém szczęściem jego było, że na nią kilka razy na dzień mógł popatrzéć.

Tak smutno i milcząco było w Dreznie, gdy król pędził wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbina Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tém wcale, iż w Warszawie miano dla króla wyszukać nowéj pani. Nie wymagano od niéj wiele: ani tak niebezpiecznego wdzięku, jaki miała Cosel, bo ten groził zbyt długiém i stałém przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości, trzpiotowstwa, coby go zabawić mogło; ani serca, bo król tylko przedwstępne sceny odegrywał z tego tonu. Dosyć było trochę młodości, śmiałości wiele, zalotności, któraby się narzuciła, imienia i wychowania, aby one przynajmniéj z Cosel ważyć się mogły...

Z temi instrukcyami wyjechała pani podskarbina do Polski, a w Warszawie nie brakło jéj w czém wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flemminga z marszałkową Bielińską, któréj dwie córki: wielka podkomorzyna litewska Marya Denhoffowa i hetmanowa Pociejowa, miały dosyć wdzięku i dosyć lekkości, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Pierwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbina do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czułością wielką. Znano jéj wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinéj służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnéj nie mogła użyć nikogo, coby ją lepiéj zrozumiał i chciał jéj usłużyć, nad wielką marszałkową.

— Serce moje! — rzekła — przybyłam z wielu kłopotami na głowie, sądzę, że mi w nich będziesz pomocą.

— Podzielę je z tobą chętnie — odpowiedziała marszałkowa.

— Z królem mamy biédę — szepnęła Przebendowska — zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

— Komuż to mówisz? znam tę Cosel! — przerwała Bielińska.— A czemuż się król Teschen nie trzymał?

— Dlatego, że on żadnéj długo nie może być wiernym. Cosel musimy się pozbyć, a w jéj miejsce dać mu inną. Król jest znudzony.

Marszałkowa zamyśliła się mocno.

— Znaléźć łatwo — odpowiedziała — lecz jakże ostrożnemi być należy, aby w nowe nie wpadł więzy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowéj nań przybyły, obiedwie były młode i ładne. Pociejowa maleńka, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jéj ogień tryskał, z ust dobywały się wybuchy śmiechu. Denhoffowa niewielkiego wzrostu, zręczna, udawała melancholiczną, chociaż podszyta była trzpiotem i ta powaga przybrana, źle pokrywała charakter płochy, żądzę życia i używania niezmierną.

O obu tych paniach już naówczas szeptano sobie na ucho historye, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów, jakie miano przed oczyma, prawdopodobnemi się stawały. Z oczów Denhoffowéj patrzał dowcip i złośliwość, ale przysłonione skromnością tak przesadzoną, iż się podejrzaną stawała.

Pani Przebendowska mówiła o rzeczach obojętnych, nie spuszczając z oka obu pięknych sąsiadek. Ciekawie dopytywano o króla... Pani Pociejowa przypominała sobie jakiegoś hrabię Friesena... Mówiono coś i o Cosel, ale pocichu. Po obiedzie młode panie wyrwały się z młodzieżą na konną przejażdkę, gdyż obiedwie namiętnie lubiły hasać i dokazywać na koniach: panie starsze zostały same.

Przebendowskiéj nie tajnym był zły stan interesów marszałkowéj... To téż zaraz nad nim utyskiwać zaczęła... Wzdychały obie.

Marszałkowa zbliżyła się poufnie, biorąc za rękę przyjaciółkę.

— Proszę cię, widziałaś córki moje? Marynia wcale jest świeża i ładna, serce ma dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

— Bardzo wdzięczny ma buziaczek — rzekła Przebendowska.

— Hetmanowa jéj nie ustąpi, ale to żywe srebro... jak ją widzisz drobną, słabiuchną napozór... to kozak prawdziwy...

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa zniżając głos, dodała:

— Przecieżeśmy przyjaciółkami od dzieciństwa, moja najdroższa — rzekła z wynurzeniem. — Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy, że króla mieć będzie kochankiem, czemużby mu choć nie pokazać Marysi?

— Nie sądziłam, ażebyś tego sobie życzyła...

— Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i niemłody, jest z nim najnieszczęśliwszą... Jeśli króla rywalem mieć nie zechce... Marynia się rozwiedzie...

— Ale czy ona zechce?

— Ja ją skłonię! ja ją zmuszę! — odezwała się troskliwa matka. — Dla nas byłoby to prawdziwém szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie. Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko...

Pani Przebendowska ani obiecywała, ani odmawiała.

— Obaczymy — dodała — obaczymy... Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy, czy się królowi podoba. Cosel była porywczą i zazdrosną, po niéj potrzeba mu istoty łagodnéj, wesołéj, potulnéj.

— Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moję Marysię, ręczę ci!

Po długich szeptach i naradach, dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszéj zgodzie, a marszałkowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potém, król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowéj.

Trochę skrzywił się gienerał, bo zasłyszał był coś o różnych dawniejszych trzpiotowstwach, a było ich sporo i głośnych: ale czyż to być mogło zawadą?

— Królowi — rzekł — dosyć pokazać się umiejętnie, dość trochę wyzwać go zalotnie; znudzony jest: weźmie go, która zechce. Żeby więc inna nie wzięła... trzeba mu tę nastręczyć.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swéj protegowanéj.

— Ale daż się ona skłonić? — spytał Flemming.

— Gdyby to mogło być wątpliwém, mam matkę jako sprzymierzeńca — cicho odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz gienerał chciał poznać sam panią Denhoff, nimby się coś postanowiło. Wieczorem zawiozła go siostra do marszałkowéj. Bawiono do późna. Pociejowa i Denhoffowa śpiewały; ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne, potrzebującéj pocieszenia nieszczęśliwéj istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo i król w tém się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań, wrócić musiano do Denhoffowéj, znajdując ją mniéj niebezpieczną,

niż inne. Nauczony doświadczeniem, Flemming lękał się najwięcéj ambicyi i chęci panowania. Denhoffowa płochą była, zalotną; lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy: lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzódy rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosel, chociaż już staraniem żony znacznie był dla niéj ochłódł. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przodował: król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufali: bez pomocy jego obejść się nie było można.

Gienerał przystąpił wprost do rzeczy.

— Cosel nam wszystkim dokuczyła, król nawet jest nią znużony: trzeba mu dać inną.

— Jak się wam podoba — odezwał się Vitzthum z ukłonem— wiecie, że ja się do tego nie mieszam, ani narzucam jego ulubienic, ani go od nich odstręczam. Nie lubię palca kłaść między drzwi; dajcie mi pokój!

— A! to być nie może, wy musicie być z nami — zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie też nalegać zaczęła na Vitzthuma.

Nic nie pomogło.

— To nie moja rola — odparł stanowczo — nie przeszkadzam, ale pomagać nie będę: mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mieszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

— Jesteś przyjacielem Cosel — dodała Przebendowska.

— Ani przyjacielem jéj ani wrogiem — śmiejąc się rzekł Vitzthum — jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, pochlebiał, ośmielał: Vitzthum pozostał niewzruszonym i wyszedł niepokonanym.

Podskarbina znajdowała, że się i bez niego obejść potrafi. Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił. Miała twarz wesołą i figlarną.

— Najjaśniejszy panie, koléj podobno na Polskę?

— Jakto? kochana podskarbino?

— Po Lubomirskiéj Cosel... po Cosel trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

— Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

— W Dreznie — odpowiedziała podskarbina — ale w Warszawie i gdy jéj niéma!

Potrzęsła głową.

Król się uśmiechnął.

— Czyś się téż wasza królewska mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom? — spytała.

— Nie dobrze...

— Więc ja się na jednę ośmielę zwrónić uwagę waszéj królewskiéj mości: ładniejszéj, milszéj, lepszéj nad nią doprawdy tu niéma... i śliczny buziaczek i młodziuchne to... i rączki ma bardzo ładne.

— Któż to taki? — zapytał król.

— Denhoffowa, z domu Bielińska — szepnęła podskarbina — siostra hetmanowéj Pociejowéj.

— Nie przypominam sobie, bym ją widział — rzekł August — lecz jako wielbiciel wdzięków niewieścich, przyrzekam pani, iż na pierwszych asamblach postaram się o poznanie tak zachwycającéj, jak mi pani malujesz, istoty.

— Zasługuje na to... przekonasz się wasza królewska mość — dodała odchodząc pani podskarbina i wracając prędko. Gdybyś wasza królewska mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnéj wieczerzy, możebym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrzał, a zdaje się, że podskarbina nie dostrzegła wzroku, jakim ją zmierzył; byłaby się może zarumieniła, tak widocznie szyderskie było to wejrzenie, powiadające jéj, że wié już wszystko i że daleko otwarciéj mówićby z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę, zamknęła się z nią i z podskarbiną na godzin kilka. Gdy się rozchodziły, Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać, aby starała się być panią siebie. Maleńka osóbka nawykła do poufalszego towarzystwa, w którém królowała, zawsze pewną będąc, iż co uczyni, podobać się musi, lękała się tych wielkich przyborów do nowego szczęścia, które się jéj zdawało niepewném. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tém było zachodu! a trzpiot ów tak nie lubił wielkich zachodów!!...

Przebendowska i Flemming, jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. Gienerał w Polsce niemal wspanialéj jeszcze występował niż w Dreznie, miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugościć króla, wiedział, że dlań wystąpić świetnie było koniecznėm.

Skromna wieczerza stała się balem bardzo wytwornym. Król wchodząc, znalazł już piękne grono kobiet, wśród którego wystrojona i wylękła, zmieszana, onieśmielona, a nawet mniéj pięknie,

niż zwykle wyglądająca siedziała pani Denhoffowa. Podskarbina tak ułożyła wszystko, że król zbliżywszy się do niéj, rozpoczął rozmowę wesołą, która poszła dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał, żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zagrała muzyka, zaczęto tańcować; król wziął ciągle jeszcze niemogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańcowała niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tém wydała się niekorzystnie.

Słowem, wrażenie, jakie zrobiła, wcale nie odpowiadało temu, co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

— Widziałeś — rzekł do niego — chcą mnie tu zbałamucić; ale dopóki takie jak Denhoffowa będą tego próbować, hrabina Cosel nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobym humorze.

— A! najjaśniejszy panie — odezwał się — nie idzie tu pewnie o zastąpienie hrabiny Cosel, która może zostać w Dreznie, a pani Denhoff w Warszawie. Wasza królewska mość ma dwa domy i dwa państwa: jedno w Dreznie, drugie tu; należałoby i wypada dla kompletu, mieć i dwie panie. Polacy, jak słyszę, skarżą się, iż im się krzywda dzieje przez Cosel, chcieliby, abyś wasza królewska mość kogoś téż tu sobie upatrzył. Gdyby Polka wyłącznie miała zawładnąć sercem, skarżyliby się Sasi: trzeba więc serce rozdzielić na dwoje, i pół roku kochać w Saksonii, pół w Polsce, aby dwa kraje zadowolić.

Król się śmiał.

— Żartuj sobie — rzekł — dobrze ci będąc spokojnym, a ja przez każdego posłańca odbieram list z wyrzutami; tu z drugiéj strony kuszą mnie... i nie wiem co z sobą zrobić.

— Niech sobie krzyczą — odparł Vitzthum — król powinien tylko to robić, co mu się podoba.

Na to nie trzeba było namawiać Augusta. Ze strony marszałkowéj, gdy raz odkryła się możność ściągnienia króla, nic nie zostało zaniedbaném. Nazajutrz proszono na wieczerzę króla z małém towarzystwem poufałych. Pani Denhoff z siostrą zabawiały go śpiewem przy klawicymbale, i dość szczęśliwie powiodła się scena z Atysa i Sangardy.

Denhoffowa ośmieloną była i szła za radą podskarbinéj, która zaleciła jéj, żeby sama króla wyzwała nieco; śpiewając swą aryę oczów nie spuszczała z niego, tak, że czułe wyrazy pieśni zdawały się ku niemu kierowane. Król lubił być wyzywanym, rozczulać się począł, przystąpił i nie skąpił słówek miłych, na które Denhoffowa tylko spojrzeniami omdlewającemi odpowiadała. Usłużna

matka, śmielsza siostra, mówiły za nią i tłómaczyły, tak, że król otoczony niemi, zdawał się ze wszystkiemi trzema romans rozpoczynać. Wzięto się doń natarczywie. Nie było ceremonii, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zacząwszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń nie stroniły, i zakochał się tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już dokonawszy tego wielkiego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągle listy od Cosel, któréj umyślnie donoszono o wszystkiém; listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, późniéj coraz rzadziéj grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać, że na serce króla rachować było złudzeniem; liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo... I ta rachuba zawieść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniecierpliwienie, przebijała się w nim chęć uwolnienia się z więzów hrabiny Cosel, któréj się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wzdychać, roześmiał się.

— Miałbym ochotę — odezwał się — przypomnieć najjaśniejszemu panu stare dzieje; służą one czasem na pożytek nowym.

— Naprzykład? — spytał August.

— Onego czasu—począł Flemming—elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspaniałą Rechenberg. Dokuczyła mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jéj było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła.

— Chciałbyś tego samego środka użyć z hrabiną Cosel? — spytał król — wątpię, żeby się powiódł.

— Dlaczegożby choć nie sprobować?...

— Kogoż chcesz nią uszczęśliwić? — dodał August.

— Wybór zostawiłbym przenikliwości waszéj królewskiéj mości — rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju milczał król i uśmiechał się szydersko.

— Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, coby się nawet zbliżyć do niéj ośmielili. Trzeba użyć barona Löwendahl'a, który jako krewny i protegowany, ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jéj zdradę zarzucić, miałbym wyborny pozór do zerwania.

— Sprobuję użyć Löwendahla — szepnął gienerał. — Wprawdzie zawdzięcza jéj wiele, lecz więcéj jeszcze winien królowi, a idzie mu

o to, żeby upadek Cosel, jego nie pociągnął za sobą. Zrobi, co mu się poleci...

Wskutek tego pięknego planu, poszedł list do Drezna polecający Löwendahl'owi, aby usiłował hrabinę Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi odwdzięczyć. Takich to środków zacni ludzie owéj epoki nie wahali się używać, gdy im szło o dogodzenie fantazyom, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemstę.

XVI.

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiéj składał hołdy Denhoffowéj, odgrywającéj komedyą pod dyktowaniem daleko od niéj zręczniejszéj matki; Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytéj, słuchała codzień doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkiém zawiadomioną... A że król obawiał się zazdrości jéj i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli...

August rad się był jéj pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknéj Cosel; ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutéj oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim, co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtemi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, téj żadnéj; ale Cosel groziła odebraniem życia królowi, potém sobie: pogróżka jéj nie była czczém słowem. Można się jéj było obawiać. Nakazano więc w Dreznie miéć oko na Cosel i wszelkie jéj kroki; lękano się, ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z niéj korzystał, dysgracyonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jéj piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendahlowi szepnięto, by szczęścia próbował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jéj zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen, przyjaciel hrabiny, zastał ją we łzach i płomieniach; podbiegła ku niemu łamiąc ręce oburzona.

— Uwierzyłżebyś pan?... — zawołała — ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendhal, w téj chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć. Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu, że do króla napiszę, i ma szczęście, że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić; drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jéj z oczów toczyły.

— A! przed kilku miesiącami — rzekła — nie śmiałby był uczynić mi téj obelgi.

Krok ten Löwendhala był jakby znakiem dla hrabiny, że jéj godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowéj, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy — odezwała się do Haxthausena — znacznie zmienione. Słyszałeś pan co o Denhoffowéj?

— Mówią o tém — rzekł Haxthausen.

— W jakież błoto go wciągnięto! — zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming, który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna król mu polecił pozbyć się zwolna hrabiny, ale postępować z jak największą względem niéj delikatnością.

Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się, iż przyjechał w usposobieniu wcale odmienném i unikał wszelkiego powodu do zajść nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku król chciał miéć wolnym; szło o to, ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tém łagodnego Haxthausena, który smutne i ciężkie swe poselstwo sprawił z jak największém poszanowaniem i względami dla hrabiny. Z wielkiém podziwieniem jego, Cosel odezwała się:

— Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w niém mogła: wyniosę się chętnie.

W téj chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabiny z tego raju napełniła nieprzyjaciółki jéj radością. Był to znak niechybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufałemi powtarzała, że jest żoną, i że król opuścić jéj nie może.

Jeszcze w roku 1705, August w chwili, gdy był rozkochanym w niéj, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała.

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród któréj gęstemi krzewami zarosła wyspa, jak kłąb zielony, jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz i pusto było dokoła.

Król coraz bardziéj wymagający napisał do Flemminga, iż chce swéj Denhoffowéj Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel, by się z nią spotkała, ani dla niéj, by na porywczość hrabiny narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

— Zmiłuj się pan — rzekł grzecznie — pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić, dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle, że życia nie będzie pewna, póki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widziéć gdzieindziéj: jak wiecie, nie lubi on spotykać się z temi, których dotknął lub obraził. Wiem, że Cosel ma mnie za wroga: nie byłem nim nigdy — dodał Flemming — rozgniewała mnie chwilowo: dziś to zapomniane. W położeniu, w jakiém się ona znajduje, uchybićbym jéj nie chciał, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym nie potrzebował słać do niéj rozkazu, coby jéj większą uczyniło przykrość.

Haxthausen wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze, Haxthausen zaczął od żarcików:

— Wiesz pani — rzekł — iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego, co o niéj wiemy, zdaje się, iż ta fantazya prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciewa się spleśniałego razowego, ale po kilku kąskach, do pierwszego się powraca. Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się, że przychodził z jakiémś poleceniem.

— Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwiniętą w tę bawełnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak, że tak było wistocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga — rzekł — pokazał mi rozkaz króla, który chce, byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę, że to i dla pani saméj będzie przyjemniejszém, niż patrzéć..

Łzy stanęły jéj w oczach; spuściła oczy.

— A! tak mi trudno! tak trudno! — zawołała cicho.— Wiem, żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niéma zdrady, a tu jéj się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiesz pan, ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali, zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcém okiem osłonić, potém otarła je żywo.

— Widziałżeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyślili go oni?...

— Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znają mnie — zawołała — drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnéj, szalonéj zemsty obudzą. Wiedząż oni, do czego ja dojść mogę, gdy raz gniew mną owładnie? Myśląż, że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka, który sądzi, że mu korona daje prawo urągać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

— I to wszystko — dodała — spotyka mnie dla jednéj Denhoffowéj, któréj ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z niemi!... Prawdziważ godna ulubienica dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezcześcić, dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie!...

I znowu płakać zaczęła.

— Mogłażem się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu — mówiła łkając — przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi, co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat szczęścia... spokoju, ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie... Ja-m go kochała, on mi nie wyrzucić nie może; byłam mu wierną: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego... Życie, obyczaj, wszystkom zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go

stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! A! ten człowiek nie ma serca. Serca? — poczęła śmiejąc się — nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tém co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem. Ale któż kiedy pochwali się, że znał tego człowieka — dodała — jak anioł dobry, umie być jak szatan zimnym i bezlitośnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu osłania zemstę: słowa mu z ust płyną słodyczy pełne, aby uśpiły ofiarę. Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzéć nogi i usnąć wygodniéj, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych, by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jéj mówiąc gorzały, Haxthausen słuchał, nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

— Pani! — odezwał się poseł — któżby się mógł dziwić twemu gniewowi? jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić, iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić; lecz jestże środek zaradzenia temu? W téj chwili niéma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiéj zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśléć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu — odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól pani być szczerym — rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani, jeśli nie zmienionym, to przynajmniéj lepiéj, łagodniéj, względniéj usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tém usposobieniu utrzymać. Któż wié? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczen i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgróżkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele pani mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażnioną, nie zbliży się do niéj nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną. Masz pani przykład na hrabinie Königsmarck — dodał — potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z księżną Teschen, pozwolono jéj zostać w Dreznie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz — zawołała gniewnie — stawić takie przykłady! Esterle! Königsmarck! to były metresy króla: ja jestem żoną jego!... nie równaj mnie pan z niemi...

Haxthausen zamilkł.

— Zresztą masz pan słuszność, nie chcę go gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną: pojadę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

— Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu; ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

— Nie pojadę; zostanę: niech gwałtu użyją, jeśli się ośmielą.

— Namyśl się pani, na Boga; proszę panią... cóż powiem Flemmingowi?

— Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do gienerała z tą smutną nowiną i z opisem całéj swéj rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niéj.

Baron miał siostrę niezamężną Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła buntując się, szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już mając jéj słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdém odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niéj lepszém być może.

Flemming dowiedziawszy się o tém, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jéj jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niéj.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnéj sukni z zapłakanemi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jéj z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszém w świecie położe-

niu — rzekł spokojnie — im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tém mocniéj usiłowałem jéj oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go w jakikolwiekbądź sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreznie.

Stojąca przy oknie Cosel, zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jéj mieszkanie nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jéj oczy czarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast! — rzekła z lekkim ukłonem — możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, ukłonił się i wyszedł, trabanci pojechali za nim.

W godzinę potém, hrabina Cosel, płacząc ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzódy, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hrabiną Cosel, nie okazawszy jéj pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jéj strony znaléźć winy.

Gdy Löwendhalowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układów jakichś Watzdorfa i usłużnego ale niezgrabnego van Tinen, którego król używał ale niecierpiał.

Watzdorf, niemniéj wstrętliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubianin i niezgrabny.

Watzdorf na dworze niewiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia, gdy się go najmniéj spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz.

Jedyną jego wymówką, że się znaléźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, któréj się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Drezna wcale go nie wytrzeźwiła; polecono mu układy z hrabiną Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jéj w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wnijściu do pokoju bez oznajmienia, poznała hrabina chłopa z Mansfeldu.

— Kochana pani — zawołał śmiejąc się od progu — jestem posłany przez króla jegomości, powinnaś mi pani być rada. Przywożę jéj doskonałe nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z obopólném zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

— Słyszę, panie hrabio, ale nie rozumiem — dumnie rzekła Cosel.

— A jaka zawsze śliczna! — dodał Watzdorf, zbliżając się i ująwszy najprzód rękę; namyślił się, nagle podniósł głowę, znajdując, iż lepiéjby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała Cosel, pokazując mu na drzwi — król powinien był wiedziéć, że takiego gbura za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie — rzekł — ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknéj rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potém na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jéj serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendhala, odradzono jéj to: Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy; walka z nim była trudną.

Nasłano późniéj van Tinen'a, o którym na dworze rozpowiadano, że się w niéj szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla niéj, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwił go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnemi rękoma, a raczéj nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinen'a na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził.

— Król nie lubi cię: nie właź mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobréj rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen, ośmielony, począł rozprawiać: król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiéj strony, wlazł pod samą rękę olbrzyma, który milcząc patrzał nań z góry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzedz nieopatrznego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał

szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rozżarty król, zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżéj, drugi cofając coraz bojaźliwiéj do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup blady o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbitego na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli, i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacił.

Na żadnym z tych ludzi nie mogąc zdobyć król nic, coby Cosel obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lecherenne'a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernił, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby miéć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napełnić i do rozpaczy przyprowadzić; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreznie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tém oznajmić marszałkowéj. Natychmiast zwołaną została rada familijna: trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedyę zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczéj oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie, o któréj król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowéj, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siadła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektowną.

Gdy król wszedł, udała, że go, w rozpaczy swéj zagłębiona, nie postrzega.

— Cóż ci to jest piękna pani? — zapytał król troskliwie.

Denhoffowa udała, że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

— Najjaśniejszy panie — odrzekła patetycznie Denhoffowa — zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzéć byłoby niczém, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzéć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty, królu, przybywasz tylko, aby mi oznajmić, żem powinna ustąpić szczęśliwéj rywalce...

— Ale cóż pani śnisz? — przerwał król zdziwiony — skąd to wszystko, mógłżebym ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozerwane węzły łączą nas: twój charakter pełen słodyczy, twa dobroć dla mnie są rękojmią, że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

— A! panie mój — ciągnęła daléj Marynia — bogdajby to, co mówisz, prawdą było, bogdajbyś mi odpłacał miłością tak szczerą, jaką ja mam dla ciebie. A! umrzéć dla mnie jest niczém, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędzéjbym mogła, niż tego szczęścia, które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcéj.

— Ale moja droga hrabino — odparł król — byłoby z méj strony niegodziwością takie wyznanie, tak słodkie wyrazy z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dzięki ci, panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widziéć, pochwyci znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

— Czegóż się pani dręczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie — jakimże ją sposobem uspokoić mogę? Owszem, pozwól niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

— Nie, nie! — zawołała Denhoffowa — jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie téj rozmowy stała pode drzwiami, gotowa wnijść, gdy znak usłyszy; Marynia kaszlnęła... drzwi się otwarły i weszła udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie, że król się tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy, że panią widzę — zawołał król wstając — chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami niesłusznemi.

— Ale o cóż idzie, najjaśniejszy panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania — dodała żywo. — Nie powinno to waszéj królewskiéj mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę, to na niego; minę miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi wasza królewska mość — rzekła po chwili — ja się córce mojéj nie dziwię wcale. Wiadome są całemu światu pogróżki hrabiny Cosel, znany jest gwałtowny jéj charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet, najjaśniejszy panie!

— A więc — przerwał August — o co idzie? dla waszéj spokojności wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

— Szczęśliwą możesz się nazwać, Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmielam się jeszcze uczynić uwagę, że pani Cosel, łaskami waszéj królewskiéj mości uzuchwalona, niełatwo kogo posłucha; należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

— Wybierzcie panie, kogo chcecie! — zawołał król trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed najjaśniejszym panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do téj wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z księdzem Polignac do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana jego królewskiéj mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w półgodziny gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

— A jeśliby rozkazu waszéj królewskiéj mości usłuchać nie chciała? — spytał Francuz — w takim razie co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to, do czego został zmuszony.

— Dam waćpanu w pomoc La Haye, podpułkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów; zdaje mi się, że to już wystarczyć powinno.

Nie tracąc czasu, posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i téjże nocy oddział, wysłany przeciwko jednéj kobiecie bezbronnéj, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem, który wiódł z Warszawy do Drezna.

A jak czułe były podziękowania, i jak wielka potém radość z odniesionego tryumfu!!!

XVII.

Hrabina raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swéj stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę, chcąc pośpieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nieopuszczający jéj nigdy wierny Zaklika towarzyszył w téj podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swéj pani, ale w naturze jego było milczéć tém uparciéj, im więcéj bolał... Blady, wachudły, zczerniały, jechał przy powozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna, Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili — odezwała się — nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań; Zaklika stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy! — rzekł krótko.

— Zdaje mi się, że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze — odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry, jakby przysięgał.

— Chcę wam to, co mam najdroższego powierzyć — odezwała się, zniżając głos Cosel, — powiedzcie mi, zaręczcie, że chyba z życiem stracicie to, co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzéć siłą, że mi będziecie strzedz mego skarbu, honoru mego, jak...

— Jak relikwij — rzekł Zaklika, znowu rękę podnosząc—niech pani będzie spokojną...

— I nie trzeba, by żywa dusza wiedziała o tém, co złożę w waszych rękach.

— Każe mi pani przysiądz?

— Wierzę słowu. Trzeba jednak, abyś wiedział, co masz strzedz. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie, że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczéj, nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzéć to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania, gdziem to pismo złożyła. Zamurować je? mogą mnie wygnać; zakopać? mogą mnie oddalić; na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc, Cosel otwarła szkatułkę hebanową, sadzoną sre-

brem i kością słoniową, ze szkatułki dobyła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz? — odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i łzy mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę; pochwycił oglądając się woreczek, który złożył prędko na piersiach, i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

— Jedziemy w drogę — dodała — nie wiem, co się w niéj przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniéj spodziewane i najgorsze: trzeba, byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku — rzekł Zaklika.

W kilka godzin potém Cosel z nabitemi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małéj mieściny na pograniczu Szlązka, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku; hrabina znużona, kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jéj końcu stało dziesiątek koni jakiegoś oddziału trabantów, który, jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i La Haye zjawili się przed nim, prosząc, aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jéj złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jéj nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jéj Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego, iż wszyscy od niéj stronili. Na myśl jéj nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaléźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku, nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnéj a nawet wesołéj. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, a że pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dosyć swobodnie, ku końcowi Montargon, który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tém, o owém i zwrócił się do hrabiny:

— Zdaje mi się — rzekł — że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiéj znać króla nade mnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje — wybąknął.

— Nie daruję panu tego — krzyknęła Cosel — bo to jest niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Ode mnie pani hrabina wistocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla jegomości?

— Od króla? — zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa — rzekła hrabina. — Opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to, czego był nie powinien uczynić i czego w téj chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo uledz, a pewna jestem, iż sam będzie rad, że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon, człowiek gładki, ale obrażony tonem, jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a wistocie boleśnie obrażającym:

— Wdzięczenbym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego środka — siły.

— Jakto? — porywając się krzyknęła Cosel — waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zawrócić panią do Drezna — rzekł Montargon — i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie, że był synem wioskowego pisarza, i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz!—porwała za pistolet— bo ci łeb roztrzaskam.

W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział, z kim miał do czynienia i był pewnym, że hrabina słowa mu dotrzyma, wysunął się co prędzéj, nie otwierając już ust, a La Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób, w jaki towarzysz jego dostał odprawę, był dla niego nauką; La Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino — rzekł — posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy nie winni, że nam tak niemiłe dano polecenie. Byłbym w rozpaczy, gdybym się mógł najmniejszą przy-

krością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust najjaśniejszego pana dla wojskowego: niéma ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla? — spytała spokojnie Cosel.

— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

— Niech się pani uspokoi: niéma, jak mi się zdaje, nic dla niéj groźnego w tém wszystkiém.

— Jakto? a Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające — zawołał La Haye — coś nakształt romansu króla z Duvalową, o któréj dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem, czy sobie jéj imię przypomina. Pani Denhoffowa jest zamężną, mąż jéj na wsi, o niczém nie wié, niéma najmniejszego podobieństwa, ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniéj zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać. La Haye umiał jéj historyą w takiém świetle przedstawić, aby jéj znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy, hrabina grzecznemi prośby dała się wreszcie pokonać. La Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jéj na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuryera do pani marszałkowéj. Obawiając się zaś, ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i La Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni, noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niéj, aż pod Budyszyn, skąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blizko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażaćby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszém występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie, poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy, w których jéj nie oszczędzano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobréj sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tém więcéj, iż wspólniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczéj chlubiono tém, niż tajono z poniżeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne

intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swém przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczże nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całéj rodziny dla twoich fantazyj poświęcać nie myślimy; mamy króla w ręku, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz, żebym przez śmieszną pruderyą odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła?...

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj waćpan — dorzuciła pani marszałkowa — masz do wyboru: albo milczéć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, coby ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncyusz Grimani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani — odezwał się Denhoff — dzielić się sercem żony z najjaśniejszym panem nie mam najmniejszéj ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jéjmościnéj konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczen będę, byle prędzéj.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncyusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno, i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długi ogromne, majątki obciążone: interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowéj, która gorliwie się wzięła do kassy jego królewskiéj mości. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzała Warszawa; potém dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czułe serce Augusta II. Posypały się dary dla całéj rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacye, gdyby nie rozum, doświadczenie i zabiegliwość matki, niewypuszczającéj ją z opieki i czuwającéj nad dobrem całéj familii. Pani marszałkowa prosiła o coś

ciągle, prosiła nader zręcznie, bardzo słodko i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca najjaśniejszego pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą oddalając się od nich, tak, że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa, zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytworne przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całéj téj armii posługaczów, którzy go otaczali w Saksonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siląc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to, co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swéj pani, na co go stało, zdumiéć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoffowa obawiająca pistoletów Cosel, upewniła, że jéj tam na drodze swéj nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całéj rodziny, która szła za wozem tryumfatorki, zbierając co z niego spadało, nie prędzéj nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jéj nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, któréj w istocie więcéj się lękała dla króla, niż dla siebie, udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzedz od jakiéjś wymarzonéj napaści.

Być bardzo może, iż nieprzyjaciele hrabiny, chcący zapobiedz, by wróciwszy do dawnych łask u króla, nie mściła się doznanéj zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania. Dosyć, że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jéj pozbyć w ten sposób, aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, iż obudzi żal w Auguście. Jątrzono więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tém, iż w Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoffowa strąconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jéj rodzina.

Tak z jednéj strony, nasadzając panią Denhoffową na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiéj Flemming sam przypomniał mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina Cosel, że należało bądźcobądź, papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słuszném: raz rozpocząwszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść daléj i odebrać nieszczęśliwéj wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jéj w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niéj wstrętliwym, Cosel, nawykła teraz z pozorną przynajmniéj cierpliwością znosić wszystko, musiała go przyjąć, wiedząc, że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

— Życzę pani dobrze — odezwał się przy powitaniu — najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiéj zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniéj wypadło to dla pani... ale...

— Ale co? — zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani trzebaby téż trochę powolności — rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie pan — odezwała się Cosel — byłam królową, panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla. Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i łaskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi zrzec się miłości... milczę... wypędzają mię z darowanego pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pillnitz; chcę widziéć króla, zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojéj wściekłości, mówią, żem gotowa z rozpaczy godzić na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda — rozśmiał się Watzdorf — ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami — zawołała — ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

— A! kochana hrabino — rzekł z poufałością obrażającą... — to są stare dzieje. Pani wiész, co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wié, co czyni. August II, pan nasz najmiłościwszy, podpisał przecież zmuszony pokój altransztadzki... a ogłasza go nieważnym; podpisał téż pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje téż wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

— A! królowi wolno — zawołała — do słów, przysiąg i przyrzeczeń naujuroczystszych żadnéj nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wié, co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju. Po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego, z czém przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie — odezwał się — jakie są jéj żądania? Król ma dla niéj wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych, ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten papierek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

— Z tém pan przybyłeś? — zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad — odparła Cosel rozpłomieniona — bo pókim żywa, nie oddam go nikomu. Jestto obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie, że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski, podać mu rękę, gdybym téj obietnicy ślubu nie otrzymała?

— Ależ to była śmieszność — rzekł Watzdorf. — Sama pani uznasz: królowa żyła i żyje. Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością? Takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nic nie waży.

— A pocóż mi je odbierać chcecie? — zapytała Cosel — bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał. Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak, jak godzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę — rzekł Watzdorf.

— To wracaj, skąd przybyłeś — zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju.

Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

— Zastanów się pani, do czego to doprowadzi! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnéj. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

— Więc niech próbuje — odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna — kończył Watzdorf — téj właśnie wszyscy, co jéj życzą dobrze, radziby uniknęli; téj ja pani chcę oszczędzić. Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

— Chcesz, bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski nie ma tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę, żeby świat wiedział, jak niegodnie byłam oszukana, jaką niepoczciwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jéj z oczów.

— Nie! — zawołała nagle — waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie króla, chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetném. Król nie może tego żądać.

Posłany milczał, zwolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie; w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwém.

— Jeśli to, co mnie podpisał i poprzysiągł, nie ma wagi — odparła ręką papier usuwając — jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino — odezwał się cicho — jéj postępowanie budzi we mnie litość; wierz jéj lub nie, ja więcéj nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani, na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiéj, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niéma środków, jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni sobie los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiéj od was — wrzuciła Cosel.

— Król nasz umié być dobrym, ale potrafi być strasznym — rzekł Watzdorf.

— Wiem o tém — powtórzyła hrabina.

— Zaklinam panią!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna — zaczęła Cosel spokojnie — groźbą mniéj na mnie możesz podziałać niż namową; wstydziłabym się jéj uledz.

Watzdorf napróżno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie, wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwéj znowu próby...

XVIII.

Są istoty, które na ból patrzéć lubią, a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu urągać. Płochość czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniéj szlachetnych charakterów.

Nieszczęście, jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jéj nieprzyjaciołach. Prawda, że dumę swą nieraz im czuć dała, że niewiele osób zasłużyło na jéj przyjaźń; lecz w owym dworze, intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów, co się odpędzić nie dawali, należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszona dom jéj wypowiedzieć, przekonawszy się, co z niego wynosiła udając przyjaźń, z któréj za drzwiami sama się wyśmiewała. Długo téż nie pokazywała się potém, a jak najmniéj spodziewać się jéj było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabiny, gdy nazajutrz oznajmiono jéj odwiedziny Glasenappowéj. Zrazu wahała się z przyjęciem, nie chcąc wystawiać się na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa niezrażona długiém oczekiwaniem, pobiegła naokół domu, którego dół zajmowała Cosel, od okna do okna przechodząc i zaglądając, gwałtem się starała ją znaléźć i do niéj docisnąć.

W ten sosób wistocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu, i przewiesiwszy się w otwartém oknie, zmusiła, by jéj drzwi odemknięto.

— A! moja droga hrabino, nie kryjże się — zawołała — wiem, że ty w moję dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każże mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta; nic nie chcę, tylko cię uścisnąć.

Cosel znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w źwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie — odezwała się — odmawiają mi wszystkiego. Niéma potwarzy, któréjby na mnie zie wymyślili; wierz mi Cosel, że ja ci zazdroszczę twéj samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodniéj, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcaleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę, żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i stąd wygnać.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreznie — poczęła papląc żywo — a z wielkiego strachu, abyś jéj z pistoletu nie postrzeliła, podpułkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jéj nie odstępują. Myślę, że za tę gwardyę nie gniewałaby się, nawet nie mając obawy. Oprócz tego, postawili ją u Fürstemberga, dopóki jéj pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie jéj skończy się.

— Mają przecież pałac po mnie — mruknęła Cosel.

— O! ten już przeznaczony dla kurfirsta — dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkiém. — Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę, że i garderobianą u Denhoffowéj... Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią, że na jednym z nich, dobrze podpiwszy, pogłaskał Denhoffowę pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem, na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu téż tego za złe... zresztą słyszę tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną jak ty moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

— Król się nam zmienia — szepnęła — znaliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

— Takim względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczéj nie kończy — mówiła daléj Glasenapp — ale słyszałaś o Jabłonowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę — odezwała się Cosel.

— Wiesz przecie, ile król winien był hetmanowi, ile woje-

wodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którém ojca namówił na stronę naszę, i w rocznicę dnia, gdy wyjeżdżali kurfirsta witać na granicy.

— Byćże to może! — zawołała Cosel.

— Tak i jabym spytała może niedawno, czyż to być może — mówiła daléj przybyła — a dziś powiadam, że wszystko możliwe.

— Cóż zawinił wojewoda?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie, gdy król brał Denhoffową, wystąpił jawnie przeciwko niemu za to, że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje, że to zbrodnia stanu! Zbrodnia stanu! — śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa. — A! nieoszacowany Jabłonowski! Mówią, że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniéj żony całe zostawi. Królowi najgorzéj to dopiekało, że mu Denhoffową chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy poprzejmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfesaty, jakieś papiery poznajdywano w domu, i król bez ceremonii, bez sądu, Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże, moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? Co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba?

Opowiadanie Glasenappowéj, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na niéj wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonii, wistocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy — rzekła — król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowéj nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za nietoperza razem z siostrą: mamy téż najwięcéj maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedziéć z nią zamknięty. Przy jednéj wieczerzy Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencyą najjaśniejszego pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiéj wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz — dodała opowiadająca — ktoś pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się, słyszę, śmiał, lecz tego, co się to ważył uczynić, szukać kazano, a wątpię, by go znaleźli.

Plotła tak nieznużona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widziéć ogród i aleje lipowe. Tu gdy się sam na sam znalazły, Glasenappowa zbliżyła się do ucha hrabiny.

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figla. O! nie przeczę, że lubię dokuczyć tym, którzy mi téż dojedli niemało; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a téj doznałam niegdyś od was, hrabino. Żal mi was... Na dworze naradzają się i odgrażają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papieru? jakiego?—napozór obojętnie spytała Cosel.

— A! przecież wiecie, o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobréj woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestrogę — odezwała się Cosel — ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowaną. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nie mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i téj w końcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpieczném.

Glasenapp długo patrzała na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać, czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną, gdy chciała... Osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jéj było poznać i domyśléć się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją aby się czegoś dowiedziéć; że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniéj obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestróg, dała jéj z niczém powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz, który ją tu przywiózł, oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącém domu i ogrodu.

Zaklika myśli jéj odgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani — odezwała się — prawda?
— Dokoła, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę — odpowiedział wierny sługa.
— Możnaż ich oszukać? — spytała.
— Gottlieb tu na czele — począł Zaklika — zdaje mi się, że on do miasta jeżdżąc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nie mądry jest i spoić go łatwo, a zwieść jeszcze łatwiéj...
— Gottlieb? — zawołała hrabina.
— Tak, właśnie ten, który się najwięcéj z miłością swą dla pani uprzykrza... radby, ażeby się go nie obawiano.
— W mieście wszyscy cię znają? — zapytała cicho Cosel.
— E! wielu zapomniało już o mnie — podchwycił Zaklika — a dla innych toć i trochę zamaskować łatwo.
— A maszże od kogo zasięgnąć języka?
— Gdy muszę, znajdę... — rzekł wezwany.
Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.
— Niéma tu już bezpieczeństwa dla mnie — rzekła — muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?
Zamyślił się Zaklika i milczał.
— Trudno — mruknął — ale gdy musimy...
— To nie dosyć — kończyła Cosel — ja muszę zabrać z sobą, co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to, co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiorą wszystko.
Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął wąsa, spuścił w dół oczy.
— Mów pani — rzekł, widząc, że Cosel czeka.
— Czy mi zaręczysz, że dobiegnę przed pogonią za granicę?
— Co w ludzkiéj mocy, zrobimy.
Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było, że niepokój go dręczył, że się lękał, a nie chciał wydać z bojaźnią.
— Dawno to uczynić trzeba było wprzód — rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać — ale co się nie zrobiło, o tém mówić już niéma co: trzeba czynić, co teraz mamy przed sobą.
Złamał palce gniotąc je biedny człowiek, aż kości trzeszczące w nich słychać było; chmurne czoło namarszczył; stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością, cały w sobie, energiczny, silny, małomówny, po wypieszczonych ludziach, do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czuła w nim człowieka.
Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasępiwszy brwi...

— Nocą pojadę do miasta — rzekł — ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie każ mnie pani wołać, aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili, żem się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszczę się Elbą... Napowrót więcéj czasu potrzeba podwodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywiedzieć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyślić i resztę: wyjazd to niemała rzecz...
Mówiąc tak urywanemi słowy, wzdychał. Cosel zobaczyła w téj chwili krążącego zdala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższéj rozmowy, i zaraz skinęła na niego.
Niemiec skwapliwie się przysunął.
— Ja sądzę, nieprawdaż Gottlieb, że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się stąd nierychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastręczcie, bo Polak, któremu to chciałam polecić, wymawia się, że nikogo nie zna.
Gottlieb spojrzał na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć, czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczéć szybko, zaklinając, że dla swéj najdroższéj pani zrobi wszystko.
Na tém się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, probowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niém widać było ogromnego chłopa wyciągniętego, w ubraniu, w jakiém chodził, i twarzą obróconego do ściany. Uspokoili się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać do syta. Nie było téż co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka, u którego była przymocowaną, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Drezdnu unosił. O téj porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błądził niczém nie zajęty po okolicach, Zaklika pływał wiele i żeglugą się bawił, tak, że po za Pillnitz ku Pirnie i daléj znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światełka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potém jakby jasną łunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i illuminacya.
W Dreznie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi, serce go ciągnęło raczéj ku stojącym

w cieniu i na boku, niż do tych, co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął, myślał teraz ciągle, do kogoby się udał.

Na dworze, który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym paniom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze sumy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmanna, w Dreznie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch Izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty, a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w roku 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreznie. Pierwsza to była wekslarnia i bank w tém mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Pocztą, a naówczas Judenhauzem. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszém piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francusku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny, miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego, Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju: pochodził on z Polski i zachował cechy Izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, nie pragnął się mieszać do świata, w którym widział, jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niéj przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jéj i był dla niéj z wielkiém uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskiém i on tam młode lata przepędził, a Zaklika téż ten kąt kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann żartując język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusiem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżéj i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział, że Lehmann już po upadku Cosel dał jéj dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkiemi i chwalił, co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsuciem dworu; Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochość i rozwiązłość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tém ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych nieraz był nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosił, iż na Lehmanna śmiało się spuścić może, a przynajmniéj rady szukać u niego.

Gdy czółno poniżéj mostu w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkało, bezpiecznie umieścił Zaklika, odziawszy się po oczy płaszczem i kapelusz nacisnąwszy, posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdala już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było illuminacyą. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowéj. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony leli, a między niemi i niejednę maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie, znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanemi uliczkami Zaklika szukając mroku, po pod domami, z których niewiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnajską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O téj godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

Wistocie co żyło poszło patrzéć na bal do Zwingru, pod gołém niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych, kręcący się i szumiący z południowych krajów szałem i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmanna, który wyszedłszy do sieni, ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejednany, znający jego warunki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzały chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnienia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się, o co mu chodzi, i szepnął uderzając po ręku:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tegobym sobie życzył — rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak, i powrócił prędko. Przysunął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle — odparł Zaklika — iż gorzéj, gorzéj już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drezna, a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzéj... Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi: trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest—odparł Lehmann, poprawiając czarnéj czapeczki, którą starym obyczajem nosił na głowie—ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić! — odezwał się Zaklika.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi — dodał Zaklika.

— Dokąd? — spytał żyd z uśmiechem — chyba za morze; tu sobie panowie, wzajemnie czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

— Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann pokiwał głową.

— Hrabina — mówił daléj wierny sługa — musi z sobą zabrać, co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie uciekając zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

— Jużto, wierzcie mi — rzekł — radbym hrabinie z duszy dopomódz; znam jéj historyą, znam charakter: była to jedna perła w tém błocie. Winienem ja jéj wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szacować umiem; posłuchajcie mnie! panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla niéj gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownie najsroższe wzięto, nie wydam was, ani hrabina, ani więcéj nikt. Chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał.

— Zgoda — rzekł — trzeba, żeby was tu u mnie nikt nie widział, ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkiemi szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to — dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę, gdzie będzie trzeba — dodał Izraelita — rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam — odezwał się Zaklika — nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czémże dowiedzieć się chcecie? — spytał chmurno Lehmann zniżając głos. — U nas tu zawsze gospodarstwo jedno: kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, — w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königsteinu, lub gdziekolwiekbądź, byle nam nie zawadzało. Litości tu ani serca nie pytać, bo niéma nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkiemi, obsypuje łaskami, gdy potrzebni, i gardzi niemi... Wszystko jedno: jest to, co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany? — spytał Zaklika.

— On? zakochany? — odparł Lehmann — a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoję religię na waszę zmieniał, iż nie wierzy, aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał: tak samo z tą miłością, któréj nigdy nie było.

— A Denhoffowa?

— A! a! — zawołał Lehmann — co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśli zawczasu, za kogo ją wyda, gdy mu się uprzykrzy. Siostrę jéj hetmanową Friesenowi swatają, a ją? no weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż tu się chcesz nowego dowiedzieć? tu się ludzie zmieniają, nie rzeczy.

Chwilę potém jeszcze pocichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowéj, wypuścił go i klucz mu zostawił. Pożegnali się mrucząc. Zaklika obwinięty płaszczem poszedł daléj... Nie sądził, aby niebezpiecznem było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć, jak to tam teraz wyglądało; zdawało mu się, że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowéj ulicy pełnéj przesuwających się masek, *nobles venitiens* i domin, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara.

jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali? — zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was nie ma nikt — szepnął Fröhlich — ale cóż wy tu robicie? Słyszałem, żeście byli u dworu téj... téj, która upadła?... a teraz?

Zaklika dla utajenia się odparł żywo:

— Nie było tam co robić! opuściłem go!

— To rozumnie — rzekł Fröhlich — wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcéj szanować... Cha! cha! niech każdy ratuje się, jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowéj służycie?

— Jeszcze nie — odparł Zaklika — a jakże się ona wam wydaje?

— Mnie? — zapytał Fröhlich — ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kąsają, które się zdaje łatwo zgnieść, a trudno złapać.

Począł się sam śmiać i zatknął sobie usta.

— Pierwszy nietoperz, którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce, stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnéj maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać: „co tu robisz? co robisz?"

Nie miał już Zaklika lepszéj odpowiedzi do dania nad tę, którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby — rzekł.

— To ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednéj z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jéj sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakiéjżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiéj służby wymagać mam prawo, takiéj, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cosel? gdzie Cosel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem.

— Chodź za mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?...

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł, iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku, co woleli siedziéć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju, w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę, aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu. Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek, pochylony nad niemi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za niemi.

— Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? — zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządzała się w Pillnitz...

— I siedziéć myśli? — zapytał Flemming.

— Ja sądzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrzęśli głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał?...

Zaklika zmiarkował, że obudzając zaufanie, o czémś potrzebném będzie się mógł dowiedziéć.

— Zostałem wypędzony — rzekł — bo tam teraz mało sług potrzeba.

— A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

— Doskonale.

— I przyjąłbyś służbę inną?

— Czemu nie?

— Choćby, choćby — dodał Flemming — wymagała, żebyś przeciw dawnéj swéj pani wystąpił?

— Ja nie mam pani, ani pana, oprócz króla jegomości — odparł Zaklika — bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu, śmiejąc się do rozpuku.

— Za dwa dni przyjdź tu do mnie! rozumiesz?... — rzekł cicho.

— Rozumiem — szepnął Zaklika.

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem. I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tém pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Stąd wyszedłszy, lepiéj się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilku poufałemi, na przedmieściu zapukał do jakiéjś chaty i tak zmarudziwszy do późnéj nocy, siadł na czólno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę robiąc z całych sił niemi, puścił się nazad do Pillnitz.

XIX.

Między innemi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć, była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczerzy i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa, hetmanowa Pociejowa i matka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arye włoskie... opera najczęściéj je do pół-wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako primadonna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli, ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracye, Bach dyrygował muzyką.

Z równém staraniem urządzony był balet, a potém komedya francuska.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król, wśród tych maskarad i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastręczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pociejowa także... Król rozesłał rozkazy, aby mu się kto żyw stawił i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi poblizkich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czólno na swém miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uśpionym i niepostrzeżony wkradł się do swéj izby, oczekując w niéj, iżby się pani obudziła...

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwarły, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać; rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina zobaczywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jéj szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierwéj ze swéj rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniéj obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabiny zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześnie nazad powrócić. Ciężkie kuferki i szkatuły, w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o zmroku. W domu urządzić chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużéj odjazdu hrabiny nie domyślano. Przeprzęgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczce wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiéj, gdzie jéj, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słysząc to oniemiał Zaklika i pobladł.

— To być nie może — zawołał — to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznaną... a wówczas...

Cosel potrząsła głową.

— Chcę — rzekła — i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem uparta, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę jego widziéć, muszę ją widziéć; to nie fantazya, to potrzeba, to lekarstwo. Chcę spojrzéć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem, na co się narażam...— przerwała Cosel.— Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie; resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał ręce; lecz znając Cosel, nie odezwał się więcéj.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tém, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast.

przez Gottlieba nakazać zaprządz do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i niewiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywszy je bielizną i sukniami, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się, nim dojechali do miasta, tak, że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazaćby był nie mógł. U furtki ogrodowéj Lehmanna, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzenosił je niepostrzeżony do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu... Ścisnąwszy dłoń uczciwego Izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasając do Pillnitz.

Tymczasem Cosel żegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszystko dopełnić tak, aby żadna ze sług nie zobaczyła nic nadzwyczajnego, i przedwcześnie wydać jéj nie mogła. O zwykłéj godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna, hrabia Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia, co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, usiłując nic wydać się z tém, co nosiła na duszy. Owszem udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to, co się w stolicy dziać mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hrabia Friesen miał interes, prosił o pożyczenie dość znacznéj summy. Cosel go lubiła, gdyż dał jéj nieraz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio — rzekła — jestem uboższą, niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera, co raz dał; każdéj chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć; daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoffowéj, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jéj opuszczenia i pożegnali w końcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać; hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy, ze zmęczenia rozmową pochodzący, i oświadczyła, że tego dnia wcześniéj się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze. Zaklika sam obszedł wszystkie kąty, zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześniéj niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika, który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę, zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wysunęła się czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zakliki, zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czółno czekało i cicho odbiło od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łozy zakrywały je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo, coby je mógł dostrzedz. O kwadrans może drogi stąd niedaleko od brzegu, na który w pustém zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz niepozorny, ze czterema końmi i woźnicą. W owych czasach przygód dworskich i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszéj nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i późniéj znaleźć mieli powóz inny i konie do pośpieszniejszéj nocą dalszéj podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić, ażeby się wyrzekła niebezpiecznéj wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jedném słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jéj towarzyszyć nie oddalając się na krok.

Powóz porzuciwszy u mostu, szli daléj piechotą.

Dnia tego osób było więcéj jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się, lud drezdeński, który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowéj ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami tak, że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na niéj uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach, przycisnęła się do muru nie mogąc iść daléj, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie, gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galeryi ratuszowéj muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roiło się maskami najosobliwszemi.

Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kilku z tych bud pokaźniejszych, największym ściskiem otoczonych, rozlegały się śmiechy. Illuminacya rzęsista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum masek i domin.

Wśród nich arlekiny i poliszynele na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą ciżbą bijąc w dłonie i śmiechem jednym, wielkim napełniając chwilami rynek, głusząc muzykę.

Śpiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznać prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci okrytych łachmanami i świecidłami w najkrzykliwszą zlanemi pstrociznę.

Czasami na tle jaskrawém wybitniéj wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczwarne i wnet zasłaniały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jednę nierozplątaną masę.

Z okien kamienic wyglądały to strojne popiersia kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzéć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowéj stanęła, jakby jéj serca zabrakło znowu iść daléj. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z téj chwili i szepnął raz jeszcze prośbę:

— Pani, wróćmy się.

Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem Cosel posunęła się żywiéj ku rynkowi, oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitiens*, w kapeluszu z piórem czarném, w aksamitnéj sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnéj maseczce. Stał wziąwszy się w bok, w postawie tak malowniczéj, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roiły się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało nieco się cofnąwszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn

nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędce nabrawszy męstwa podstąpiła ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel téż mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król spojrzawszy na nią, zadrżał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obojętna. August posunął się ku niéj. Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrzała nań, jakby go wyzywała; August podszedł.

Dwór cały mówił po francusku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła swój głos, który drżał mimowolnie: August nie zadawał sobie téj pracy.

Co się działo w biedném sercu kobiety, któż wyrazić potrafi.

Zblizka przypatrywać się jéj król zaczął.

— Na honor! — zawołał — piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam was tu wszystkie... a jednak...

— Mnie, nie...

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któż taki?

Zadrżał głos, potém nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Kat!

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie — rzekł — a śmiecie rzucić mi tém słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak, nie: to nie może być.

— Nie znacie mnie — śmiejąc się powtórzyła Cosel.

— Wistocie i ja tak sądzę. Nie możecie być tą, któréj się domyślam, bo ta nie miałaby ani odwagi przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobieta — zapytała maska — kobieta nie miałaby odwagi? kobieta pytałaby o pozwolenie?

I rozśmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jéj rękę: wyrwała mu ją z pośpiechem.

— Intrygujesz mnie, piękna maseczko — odezwał się — a mówisz, że nie znasz.

— Nie znam... — odpowiedziała Cosel — nie. Niegdyś zna-

łam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król jak zwykł był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwienił się mocno i natychmiast pobladł.

— Maseczko — zawołał — to przechodzi coś granicę swobody karnawałowéj...

— Swoboda jest nieograniczona...

— Więc dokończ — rzekł król — a ja?

— A wy...

Znowu Cosel głosu zabrakło.

— Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w ręku oprawców.

— Cosel! — zawołał nagle August — chwytając ją za rękę.

— Nie, nie! — wyrywając ją krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska. — Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie; widziałam ją niegdyś: znam kobietę, któréj wyrzekłeś imię. Między mną a nią niéma nic wspólnego. Tamtę źli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleściał w powietrzu, i nim August się opamiętał, znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmieszała się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką, wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak, że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niéj już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika napróżno ją wstrzymać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaléźć się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały: pani Pociejowa, przy któréj służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niéj hrabia Friesen; pani marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecyankę, przy któréj stał na straży Montargon, i pani Denhoffowa w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to maleńka kobiecinka, młodziuchna, z twarzą wielce zmęczoną, na któréj miejsce rumieńca zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarność i pustotę. Budkę jéj otaczała młodzież, a najbliżéj kręcił się Besenval, francuski poseł, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak z boku, że się jéj dobrze mogła przypatrzéć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniewne razem

oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrzęsła się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklankę limoniady, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gosposiu — rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — zlitujże się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem, że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała jéj w palcach sztukę złota.

Denhoffowa jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką, rozlewającą się podała szklankę.

— Słówko jeszcze — rzekła Cosel, przysuwając się jéj do ucha — spojrzyj na mnie!

To mówiąc, odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowéj mogły być na chwilę widoczne rysy jéj twarzy.

— Spojrzyj na mnie, wraź sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, któréj przekleństwo ścigać cię będzie płochą zalotnicę aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, któréj się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj, że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna; ty wyjdziesz stąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widziéć i powiedziéć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić i rzucam ci w twarz niém: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa przelękniona pochyliła się i zaczęła mdléć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał: Cosel wyśliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu, i krzyki i nawoływania żołnierzy... Zaklika ściskał w ręku pistolet, który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed nim żywo. Coraz mniéj wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo; znając jednak najmniejszy zakąt miasta, Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niéj dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku, ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnéj nie wypuszczać kobiety... Na drodze już usłyszeli o tém rozmawiające panie, które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika zasłyszawszy to, pobiegł do nich i spytał, czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— A! nie — zawołała jakaś rezolutna pani, śmiejąc się—kró-

lowi tancerek pewnie zabrakło, więc nas tu chcą gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel zmieniwszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwać; daléj jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet nie puszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jéj domyślić.

Zaklika, któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmanna. Zabawa w zamku ręczyła za to, iż tam teraz pusto było; wistocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzéj jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszéj mody. Z mimowolnym pełnym boleści uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehman blady wypuścił ich tylnemi drzwiami... U wrót, które zdala już widać było parą latarni oświecone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na koniach; oficerowie pozsiadawszy z nich przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził. Cosel miała spuszczoną głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzéć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta?

— Cha! cha... Szukają owszem Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

— Cosel! ale téj już na świecie niéma!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jéj jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niéj nie myślał; ta jeszcze panią, bo drżą usłyszawszy jéj imię.

Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fosie, Cosel lżéj westchnęła: była już napół wolną.

W godzinę potém ciemną nocą toczył się szybko jéj powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika, z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreznie i Pillnitz.

XX.

Berlin w pierwszéj ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem téj stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w téj porze i był niemal nowym, a miał już charakter właściwy miasta koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie szło, jak samo chciało, ale jak zgóry rozporządzono: wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniéj nie mogło po Dreznie wyglądać nad owę nad-Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcéj żołnierzy niż ludu, bębny i piszczałki głośniéj się słyszéć dawały niż dzwony, i koszar więcéj było niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stanęły, nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdzieniegdzie wśród domków i domów, pałace familii królewskiéj odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się skądinąd zapożyczony. Na Spandawskiém przedmieściu świecił tak Monbijou królowéj na Stralauskiém belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w téj pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molcke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwano go mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem: trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego, co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galerye, bibliotekę, muzea, zakładano śpiesznie, napełniano jak było można: jednakże tu, jak w Dreznie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin wistocie miał najciekawszego, a w czém spoczywała przyszłość jego monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy batalion grenadyerów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych,

mogący być wzorem tego, co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiéj doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadyerów, tych olbrzymów, płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiéro wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim późniéj słynął.

Berlin po Dreznie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapylony i zbłocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice téj stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje, na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jéj serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki; tu chciała czekać, aż się może w losie jéj coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa, najął jéj przy jednéj z większych ulic mieszkanie, które po pałacach, jakie niedawno zajmowała, wydało się jéj nędzném i biedném, choć było tylko zimném, niezamieszkaném i pustém.

Ale dla niéj była to tylko gospoda... Zaklika siadł drugiego dnia na straży: urządzono, co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojéj marzyć mogła i nowe gospodarstwo się rozpoczęło: smutne dni długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże incognito nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedziny marszałka Warteslében, gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer, dowódca żandarmów, często przejeżdżając się ulicą, domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość, że tam przybycie hrabiny, a nadewszystko przekaz na znaczne summy do Liebmanna bankiera, widziano okiem bardzo przyjazném. Z Drezna pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiéro wśród téj samotności milczącéj, wpośród tego miasta głuchego, które zasypiało o zmroku, wśród téj ciszy złowrogiéj, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma téj, która nań była skazaną.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dnie siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa, z oczyma czarnemi wlepionemi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jéj zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć: czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jéj poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, niedawne jeszcze tryumfy swoje, a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku: mężczyzna cały, jak go Bóg stworzył, zdawał się jéj dzikiém szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jéj kłamu. Świat wydawał jéj się czémś niezrozumiałém. Pytała własnego życia i szukała w niém winy, czując karę: nie mogła znaléźć tak wielkiego grzechu, jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść biblię.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, który przychodził zwykle tylko, gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stanął w progu ze spuszczonemi rękoma: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz, Zakliko? coś niedobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć, abyś się pani ich strzegła. Nie mylę się, prędzéj czy późniéj zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jéj rzucić obelgą w oczy, będę miéć męstwo powtórzenia to każdemu, co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak, że rozmowa ma być skończoną — pani, nacóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonych potoczyły się dwie łzy gorzkie; Zaklika wyszedł.

We trzy dni potém młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabiny.

Był to van Tinen.

Hrabina znała go z tego, iż raz już był do niéj wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnemi oświadczeniami gorącéj miłości. Te obelżywe oświadczenia musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napełniały.

Przyjęto van Tinena.

Oświadczył najprzód, iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc

w Berlinie, dowiedział się o pobycie jéj tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzódy.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieżeś pan był, gdym opuszczała Saksonię?

— Ja? — rzekł van Tinen — byłem w Dreznie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o mdłości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się, dokąd się pani udać podobało.

— Tak, więc się bardzo cieszę — odpowiedziała Cosel — iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcéj teraz nad to nie życzę.

— Ja sądzę — odparł van Tinen — że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniałaś także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Ja-m nie ciekawa — smutnie rozśmiała się Cosel — myślisz pan, że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić może? Wierzyłam dawniéj w tych szałów szczerość, myśląc, że z serca się rodzą: dziś wiem, że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł jakby nie rozumiejąc van Tinen. — Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen śmiejąc się po dobréj woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwsza — szepnęła Cosel — a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast, prawie naprzeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowéj.

— A! a! — zawołała Cosel.

— Sześć naprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły — cała królewska lejb-gwardya konna użytą była. Na wyżynach rozstawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwéj wojny. Jakoż udało się wszystko przepysznie. Rozdzielone pułki postępowały dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiądz zdala, że bitwa była najzaciętsza i przelew krwi okrutny. Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednéj strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiéj hetmanową Pociejową, obie konno, jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzała nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy — rzekła — widoczny postęp, a w odwodzie ta aryer-garda w powozach. O! rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— Wistocie te dwie — dodał — nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrośne. Ale wracam do mojego opisu — począł znowu: — nieopodal rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffową, Pociejową, Bielińską, i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś? — spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, ja-m był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat biły działa i tak na przemian grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosel — i koniec?

— Nie, to dopiéro początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturmu... Żołnierze stojący w bojowym porządku posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci, co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie się dusili, kupy żołnierstwa wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórku z damami... Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódméj wieczorem. Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi jego królewskiéj mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklankę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wywrócił. Nigdym Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król zabierał się wychodzić — kończył van Tinen — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając, że tyle oczów na nich patrzało, i ozwał się głośno, tak, żeśmy to wszyscy usłyszéć mogli: „Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszéj, jeżeli mnie opuścisz“ *). Pani Denhoffowa, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością; Flemming był tak szczęśliwie pijany, iż nic już nie widział przed sobą, oprócz ludzi równie jak on napiłych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedział jéj to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w téjże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać. Pomimo tych zaklęć, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem, że zręczny laufer ścigał króla krok za krokiem, inaczéj już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Racknitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć“. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawaler-gardy, dwór i co żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie podchwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jéj byli pozwolić kark skręcić — odezwała się Cosel.

— Zajzabawniejszy był Flemming — dodał van Tinen — bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z niemi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał téj pięknéj zabawy. I Flemmingowi nic nie było.

— Przecież — odezwała się hrabina — nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale wasza królewska mość tego mu za złe nie weźmiesz“. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodała — lecz któż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu; gdy

*) Bruder, ich sage dir die Freunschaft auf, wenn du weggehst.
Pam. von Loen'a.

mu się jego przyjaciele, tak jak on przysłużą. Król łagodnym jest jak baranek — rzekła śmiejąc się szydersko — nieprawdaż, panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego, że gniewając się, popsułby sobie zabawę. Potém gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcéj nie widział: na tém komedya skończona!!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilkł przestraszony wyrzeczonemi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się téj goryczy, jaka płynie z ust pani — rzekł — jednakże...

— Tak, masz słuszność — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jéj zapłatę, mogłabym mówić inaczéj. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien, ale okoliczności: pierwsza zmarszczka na méj twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne!! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Duparc przyjechała i niewiele więcéj wartą Denhoffową wziąć za przyjaciółkę! Nieprawdaż, kochany szambelanie? Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod ręce na lipskim jarmarku!! w takiéj zgodzie serdecznéj!!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknéj kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj — rzekła zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczam — kończyła — wam wszystkim idzie o to więcéj, abyście zrobili karyerę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im coś słyszał ode mnie; niech znają głąb' mojéj duszy: między niemi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyszał ode mnie, z żywych

ust hrabiny Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz gdy spotkam Augusta, w łeb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci. Powiedz im i to, panie van Tinen.

Van Tinen pobladł śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawołał — jestto wistocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie pani niesłusznie, ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysiągłem mu na wierność. Tego, co słyszę z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tém, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę. To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronię? — zapytała Cosel — ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową; August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciołom, na których pani nie zbywa, do nowego spiknięcia się na jéj zgubę: to da im oręż w ręce.

— Alboż im na orężach zbywa? — przerwała — Jeden mniéj, jeden więcéj, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż gdybym nawet była pokorną, uszłabym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i bezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom: van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz — dodała — taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną: nic więcéj.

W czasie jéj rozmowy, oczy jéj piękne to szkliły się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzał w końcu, zapomniawszy swéj roli, jakby na niezrównaną artystkę, ze starożytnéj tragiedyi greckiéj. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen, nieraz wychodzili poruszeni jéj wymową i pięknością promieniejącą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać z wlepionemi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie pani boleśniéj upokorzyć niczém nad to wyznanie — rzekł — wystawiłaś mnie na próbę. Na cóż mam to kryć przed nią? jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina, spytanym będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiéj wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mém będę cierpiał, żem się do jéj nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w téj chwili był szczerym.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwała się Cosel. — Myślisz, że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? Nie! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce napowrót... zrzekę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi: bohater stał się poliszynelem, bóstwo zmazało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne!

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiały!! niéma was... niéma!

— Racz się pani uspokoić — przerwał coraz mocniéj wzruszony i pomieszany posłaniec — nie uwierzysz pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jéj; że moje przybycie...

— Niceś nie winien — odparła Cosel — pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź téj niepoczciwéj Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużéj, litość wzięła nad nim górę.

— Zaklinam panią — odezwał się — uchodź stąd... więcéj powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mnie jeszcze co zagraża? Czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnią, jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zacięte usta świadczyły, że więcéj powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? — szepnęła sama do siebie — ziemi braknie... ja daleko żyćbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną, co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan chcąc zakończyć tę scenę, któréj nie przewidywał, pochwycił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze — rzekł — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach, nikt w świecie ani uratować, ani na los jéj wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabiny...

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a policzże mi ich, kochany panie van Tinen — odezwała się żartobliwie.

— Masz ich pani więcéj, niż sądzisz—rzekł gość—ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda — dodała—takich, jak pan, wielubym naliczyć mogła. Przynajmniéj trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić owe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! takich!! — rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmieszany, iż nie umiejąc nic odpowiedzieć już, ukłonił się zlekka i ścigany czarnemi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

XXI.

W Dreznie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materyału i żywiołów.

Król starzał, a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zabawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet, co smutnémby być powinno, późniéj rozrywka staje się posępną, wszystko czczém i pustém. To w czém dawniéj człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August téż był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amorach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się tylko zmysły,—czcza galanterya francuska ze swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się, gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzéć, jak biedny jeleń miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkich uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącéj ucho włoskiéj muzyki. Aby się napawać melodyą, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niéj wspomnienia, dawał do zrozumienia, że niechętnie o niéj słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściéj w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiedziano, że znaczne z sobą sumy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendhal, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, nie pytając króla nawet, słali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednemi zemsta, drugiemi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jéj byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jéj zawdzięczał kanclerz Beichling, że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendhal przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku, nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwéj; jeden Friesen nie wziął jéj za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju, ażby ją zgubiła.

Jątrzono więc króla codzień, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Cosel zrazu walczył z sobą. Żal mu jéj było. Nie pokazał się na dworze, ale go Löwendhal wyszpiegował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów — zawołał — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niéj dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna... Nam daleko z Denhoffową i Pociejową jest lepiéj. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda, że ogromnie króla kosztują, i on sam mówi, że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tém lepiéj. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się, że strzeli?...

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobieta.

— Nieszczęśliwa! sama sobie winna! Trafiały się jéj najlepsze partye, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tém przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową... czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczém mi się nie widzi zmienioną — rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz, coś widział — nalegał Löwendhal.

— Przyznaję się wam, iż to, com widział i słyszał, serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy; ale w nieszczęściu swém wzbudza uszanowanie; jest doprawdy cudowną, jest wielką.

— Więc tém niebezpieczniejszą — dodał śmiejąc się Löwendhal — ale zbrzydnąć musiała?

— Zbrzydnąć? — pochwycił pierwszy — piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była: ani śladu łez, ani bólu na téj marmurowéj twarzy. Od lat ośmiu najmniejszéj zmiany w świeżości, najlżejszego zmarszczka: promienieje młodością.

— Tém gorzéj — powtórzył Löwendhal — tém gorzéj; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłéj zawczasu twarzyczce Denhoffowéj, znowuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówiłeś z nią?

— Tak jest, a raczéj ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść zwiększając Denhoffowéj. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biedną, któréj największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jéj się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkiemi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendhal tegoż dnia stawił się u pani Denhoffowéj, wybrał godzinę, gdy sama była z siostrą, i począł od pochlebstw, które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel, i zakończył tém, że miano o niéj wiadomość.

Denhoffowa zapytała:

— A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego, i używa danéj sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko, co się tu działo i dzieje, w najszkaradniejszych malować kolorach. Jest to niewdzięczność czarna, aleśmy do niéj nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendhal — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszém spotkaniu królowi w łeb strzeli!

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki, na któréj siedziała, zakrywając oczy... Pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał — zawołała — to są brawady bezsilne.

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabiny nie znali — przerwał Löwendhal — szczególniéj ja, który mam nawet zaszczyt być jéj krewnym. Jestto kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

— Szczęściem niéma żadnego podobieństwa, ażeby się kiedykolwiek z królem spotkać mogła — dodała Pociejowa.

— Jakto? czyż pani sądzi, że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jéj? Wszak tak samo jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuważny, tę kobietę należy... ja nie wiem! cóż z nią zrobić?

Löwendhal ruszył ramionami.

— Kto woli swéj używać nie umié, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumié pani.

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło późniéj być Maryni udziałem. Marszałek Löwendhal zdał się tego domyślać i dodał:

— Najjaśniejszy pan nigdy dla osób, które chociaż krótko kochał, nie był surowym; świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najzręczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensyą, przeglądająca się we wszystkich źwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce okryte pierścieniami wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Löwendhala z uprzejmością poufałą, z uśmiechem, i popatrzywszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowéj nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całém jéj mieniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szaleństwa.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale, bo téż szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonéj kobiety! Król jest nadto dobry! Wyzywa go, urąga się,

sama winna będzie, jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec położyć należy.

Marynia miała króla przestrzedz... złożono to na nią: lecz po namyśle marszałkowa znalazła, iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc, aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Löwendhal w tak dobre ręce powierzywszy sprawę swéj zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingru, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończonego: była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzony był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzane bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mitologicznych figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze, niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowano siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galeryj, otaczających dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodye ich rozchodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot jaśniejący cały illuminacyą, stanowił salę improwizowaną, w któréj po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybrany był cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie snać młodsze jeszcze pierwszych swych podróży po Europie przypomnieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni blado-niebieskiéj i w bieli, a było jéj wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości powitała króla, którego każdy bawić musiał, pod karą niełaski, i zaczęła od pustych żarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pociejowa dobrze pomagać umiała.

Pani hetmanowa i siostra jéj były w jak najlepszéj przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosną, nigdy tego uczucia oznaki najmniejszéj nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa mała, delikatna, jeszcze napozór wątlejsza od siostry, daleko była wytrzymalszą od niéj. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owéj sławnéj komedyi podróży jéj z Friesenem z Warszawy do Gdańska i napowrót, odbytéj z takim pośpiechem, iżby pocztyliona znużyła. Pociejowa ani dnia po niéj nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowéj w ciężkich razach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzaniu jéj na co była potrzeba i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawniéj za czasów hrabiny bawił się łatwiéj i z większą ochotą, że może tamtéj żałować.

Pełen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam nic żałować i o niczém pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyciła tę zręczność, by ująwszy go pod rękę zacząć coś prawić o Cosel; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nieszczęśliwie, gdy w pomoc jéj czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabiny.

Królowi się to widocznie nie podobało; spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w któréj obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chciéj być o mnie spokojną; czuwa nademną wielu proszonych i nieproszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nierad mówię o tém: chodźmy i wmieszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturmu do Augusta spełzł tedy na niczém. Flemming i Löwendhal powtórzyli po wieczerzy przy kielichach, to co te panie zaczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Słuchaj Löwendhal — rzekł szydersko — dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojéj osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i któréj winieneś to, czém cię zrobiłem; powinienbym ci być wdzięczen, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym. Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Löwendahl umilkł, podstawił tegoż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki, skończyła się na niczém.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jéj piękność, jéj sława, zbyt ciekawą osoba, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto ubiegać się o jéj znajomość.

Większa część osób otaczających dwór Fryderyka, znaną jéj była z pobytu kilkakrotnego w Dreznie. Nudzono się tak bardzo jednostajnemi paradami wojskowemi, które król codziennie odbywał i wieczorami u najjaśniejszego pana lub królowéj, iż każdy spragnionym był jakiéjś rozrywki.

Król sam częściéj bywał w Potsdamie lub Wusterhausen, niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątéj godzinie,

dawał potém posłuchanie ministrom, lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potém zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach, aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy; grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytoń; tak schodził czas w dosyć poufałém ale téż i nudném kółku do jedenastéj: o téj godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędownie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódméj u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u którego z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się téż tu śmiano pocichu, a nadewszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał naseryo. Wojsko saskie przyodziane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskiém, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytém, mało strojném, w którém czerwony mundur huzarski i trochę galonu stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi, powiewała tu wszędzie jedna biała, z dumném nad leżącym orłem godłem: *Nec soli cedit!* Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniéj do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo do wstrętu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannevitz wypłaciła królowi... policzkiem, nie spojrzał pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karbach i życie wiódł tak oszczędne, iż od jego stołu wstawało się zwykle nietylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku, posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło jak z góry przykazano. Szlachta próbowała wprawdzie nieco się opodatkowaniu opierać, ale Fryderyk zapowiedział jéj zgóry, że jego władza, jak skała z bronzu, nie da się pożyć niczém.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazye, lecz wcale innego, niż August rodzaju. Po odejściu królowéj od stołu, po chudéj wieczerzy, zbierali się poufali do „tabacznego kolegium", to jest do izby, w któréj król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Pośrodku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, gienerałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić czy nie i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytoniem było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokracyą, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mieszały do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapaśnicy kuflami bić się zaczęli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabaczném kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiéj aksamitnéj sukni z czerwonemi obszlegami, haftowanéj w zające, w czerwonéj kamizelce, w perucе omal niespadającéj do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawił i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreznie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitwę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi", zdało mu się przyzwoitszém obróconemu do króla, przeczytać: „Niech was Bóg błogosławi". Nie podobało się to królowi: „Huncwocie, czytaj, jak napisano — zawołał — przed obliczem bożém ja taki jestem huncwot jak i ty".

Po zabawkach w tabaczném kolegium, po chudych dworskich obiadkach, których własna córka króla opis nam zostawiła, niejeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszéj. Znajomi hrabiny Cosel zaczęli czasem do niéj przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garstki téj gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tém był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkiém, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabiny. Zwykle przychodzili przed wieczerzą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszéj siadywała, ga-

wędzono dobrze za północ. Drzwi potém otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posądzać króla, pod którego schroniła się opiekę, o wielką miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice; nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreznie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które stamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swojéj dla płochego Augusta. Niejedna wiadomość ciekawa dostała się stąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał się dziwić, że Cosel była tak śmiałą, bo napozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykli młodsi goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywlókł się i stary gienerał, należący do tabacznego kolegium. Ostudziło to w młodszych zapał do swobodnéj rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla.

Stary gienerał głową potrząsał i słuchał. dziwić się zdawał i nie dowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużéj, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco: zdziwiło to trochę Cosel.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niéj, żegnając ją z wielkiém uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jednę małą uwagę — rzekł ochrypłym głosem — bardzo się u niéj przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo stąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zaniesie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego bokiem takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca: królowiby to było markotno.

Cosel się się zmarszczyła.

— Jakto? — spytała — więc u was w domu własnym, między czterema ścianami nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł gienerał — ale powiedziawszy można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jakto! i ja?

— Kochana hrabino — rzekł wzdychając stary gienerał — nawet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkiém... kraj to taki i porządek... Jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna, a za to niéma biédy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

— Myślicie, że ja to mówię jako stary gdera, któremu się coś

przywiduje. A! nie, wierzcie mi, że może mi kto szepnął, abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc wyszedł gienerał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebrało się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do téj surowości, któréj się spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu gienerał gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił wąsa, a potém zapytał: — czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencyą i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja, w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wié pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie: nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała co ma odpowiedzićć zrazu; słuchała tych pochwał, coraz bardziéj zdziwioną niemi się okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna — odpowiedział Wartesleben — najjaśniejszemu panu ktoś o tém oznajmił i król wydał rozkazy, ażeby tam pani wszelka opieka była daną. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiéj już pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzała milcząca; łzy popłynęły z oczów; załamała dłonie...

— To więc jest rozkaz — odezwała się w końcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi, że tam pani będzie lepiéj. Hrabina wié, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko; tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda.

To mówiąc powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano —dodał. — Czas jest piękny, a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi niezawsze bezpieczne, król jegomość ofiaruje jéj kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanterya bezprzykładna... Za to powinna mu być pani wdzięczną.

Gienerał Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie raz i drugi, i wyszedł zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz, który ją tu dosiągł, nie mylila się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi,

do ulegania niedoli; oburzał w niéj duch nieugięty, a każdy pocisk taki, nową w niéj energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wzdychając, pracował znowu, nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jéj dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnemi; ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się, że spojrzeli na ofiarę wiezioną na rusztowanie.

XXII.

W ciasnéj uliczce miasta Halli, w niepokaźnym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu, w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale, w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dnie siedziała w tém oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jéj, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek, co się na niéj malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał téj kobiety, od niedawna zjawiała się tak w tém oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całéj historyi nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna: wzrok jéj nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość, czy przyszłość. Czasem tylko, gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jéj nikt; sługa przynosiła jéj z sąsiedniéj garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijście: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknéj nieznajoméj, ale on nań nie wyglądał.

Nie było wówczas w Halli mowy o czém inném, prócz o tém cudném zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jéj oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niéj pani; pańskością tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jéj zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb' pokoju i długo potém nie widać było nic, oprócz białéj firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, sługi nawet, na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczeli ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora, obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak, przechadzał się czasami ulicą, to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał, jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i niepostrzeżenie w ciasnéj uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą o któréj najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona!..

Ostatnia podróż złamała męstwo kobiety, duszę jéj napełniła trwogą, odjęła nadzieję. Smutną była do szału, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biedną. Zemsta, co ją ścigała, była tak długą, nieubłaganą, nienasyconą, że po niéj już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką: w Halli była już niewolnicą. Zaklika, który jéj aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć się nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała, jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział, co powié.

— Mów pan, z czém przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem, że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się pani — rzekł van Tinen — jedno i drugie. Wolałem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniéj miał na jéj nieszczęście względów.

— Nie miéj pan względów—odpowiedziała Cosel—mów otwar-

cie; cierpię wiele, ale męstwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacyi i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegóż chcesz ode mnie?

Van Tinen westchnął.

— Ja-m posłaniec, z czém mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma, które jéj dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi, że mu je oddam, abym z żony spadła na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz, że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru.

— Pani, na miłość Boga — począł przysłany — nie zarzekaj się! Możesz uporem swym sprowadzić największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — a! nie! nie; nie wierzę w nie: niéma go tam w téj piersi brylantami obsypanéj, złotem opasanéj, jak brylanty i złoto ostygłéj. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to, co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na téj próbie, siedział parę godzin, nie mogąc nic z niéj dobyć więcéj, ale litując się pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiny; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem:

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto, cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena, hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blady, obciągnięty skórą sfałdowaną, straszny a niemy. Gdy spojrzał na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść, co szuka tylko pozoru, aby się stała wścieklizną.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niéj zmowy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czémś wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:

— Nieprawda, wszak już jestem uwięzioną?

— Strzegą nas dokoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym.

Zaklika stanął i drżéć począł cały.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegóż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzéć.

— Nie — odparła Cosel — to nie koniec mojéj niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba, żebyś ty był wolnym, dlatego ażebyś mógł mnie uwolnić.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będziesz wiedział, gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... Kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafił; dam kartkę do niego, potrzeba, ażebyś je miał.

— Ale ja... — oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: skłonił głowę posłuszny.

— Najprzód idź, sprobuj, pytaj, czy cię puszczą; zdradź mnie: mów, że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób, co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie, Zakliko?

Podała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni.

— Ja? — oburzył się Zaklika, i oczy mu tak dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. — Ja? — powtórzył i wstrząsł się. — Umrzéć mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba, żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł: nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadząc z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali pode drzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla téj pani, któréj życie był oddał, uczyła go tego, co najmniéj umiał: chytrości. Poszedł do urzędu wzywając rady i po-

mocy, mówił, że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać nie ma prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział, ile szlachty polskiéj pochwytanéj na granicach chodziło pod karabinami pruskiemi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztownem. Tu się i z tém rachowano.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiwano, wiedząc, że się kłóci ze swoją panią, i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała Cosel — głoś wszędzie, żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miéj w pogotowiu. Usłyszysz, co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną, przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier, który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszcz go póty, póki iskierkę będziesz miał nadziei, że siebie i skarb mój ocalić możesz. W ostatniéj godzinie — dodała, brwi marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie, jak ja ginę; ale niech oni nie wiedzą o tém, niech jak groźba i postrach wisi nad niemi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jéj zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika przyklęknąwszy, całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od łez jego mokrą wyrwała Cosel, załamała ręce i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca..

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcéj zrezygnowaną.

Zdawało mu się, że namyśliwszy się, może zwróci to przyrzeczenie, że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł, że się mylił tłómacząc tak jéj uspokojenie. Cosel powiedziała mu, gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal: nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię poczciwy mój kuzyn Löwendhal, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nieprawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak, mój kochany panie van Tinen — dodała, pierścień z palca zdejmując — żal mi cię niefortunny bogów posłańcze; chciałabym, żebyś choć méj dobréj woli miał pamiątkę: przyjm ten

pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom: nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mnie jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić, Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędźże sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa, co mi powiedzieć możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, niech się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjezdném przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagląc, ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żal mi pani — rzekł — tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć, jaki los ją spotka; lecz...

— Wiem, że zawsze być musi smutnym dla mnie — odezwała się Cosel — ale to bynajmniéj mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiéj ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendhal może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać ode mnie nie może. To nie jego wola.

Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wiózł z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość téj kobiety, męstwo, wytrwanie, charakter jéj, robiły na nim wrażenie coraz większe, tak, że zachwiał się, zawstydził roli, którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał gniewając się więcéj na tych, co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takiém niezachwianém męstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen miał czas spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu: nie wezwano go więc, aby się stawił, bo wszyscy czém inném byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie śpieszył. Rad był, że w ten sposób przedłuży przynajmniéj niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze, niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu, wydawał się ten zameczek ze swemi wieżycz-

kami. Całe ówczesne towarzystwo, przy królu bawiące, zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek księżna Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowéj i Pociejowéj, seraj cały.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety połączone z sobą galeryami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecyi i czółnach holenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbite nad stawem, dwa rzędy baraków wystawionych naprędce, nie starczyły na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołém niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmieszał się w tłum, błądził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dziką mu się wydała. Król, który tu sam gospodarzył, niezwyczajnością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisyonowanych swych amorów nie był bardziéj uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości, gdy mówił z księżną Teschen, Königsmarck pogardliwém okiem rzucała na Denhoffową, gdy król jéj czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swém dziełem, illuminacyą, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął, aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobremi przyjacioły do puharów i toastów.

Tu językom puszczono wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intrygi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiéj wiedział od innych.

Löwendhal siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się, żem tego gładysza van Tinena dziś tu widział — rzekł król z przekąsem.

— Wrócił z Halli — odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niéj wszyscy — zamruczał Löwendhal — nikomu jéj nie żal tyle co mnie, lecz z uporem tym niéma ratunku.

— Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jéj swobodę i, coby chciała!

— Powiąda, że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to potrzeba — dodał Löwendhal.

— Tak, jutro list wystosować do króla jegomości pruskiego, prosząc o wydanie hrabiny — dokończył król — co daléj ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jéj najjaśniejszy pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć téj zuchwale wypowiedzianéj mi wojny. Dosyć już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa: wiecznie o tém słyszę. Dać mi z tém pokój raz przecie!

Te słowa królewskie wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanéj zabawami wyobraźni, podchwycone, i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabiny, położono za powód nietylko jéj śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróżki publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuryera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwili się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się waćpan do Halli — odezwał się król do niego — znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy saskiéj... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi, młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowéj, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanąwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności nie śpieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jéj oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tém się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała, i kazał się jéj oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jéj bladością. Ducharmoi skłoniwszy się, oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jéj do granicy, gdzie zostanie oddaną władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jéj z oczów.

Od téj chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jéj rękę: zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb' powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiéj towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do saméj granicy nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W téj chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zegarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to na pamiątkę ode mnie.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź — podała — niech to się nie stanie łupem tych obrzydłych Sasów.

Wypróżniała woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potém znowu rzuciła się w głąb' powozu, zapuściła firanki i nie spytała nawet, ani dokąd ją wiéźć, ani co z nią uczynić miano.

XXIII.

Z dawnéj służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilném spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwém, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaléźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść

pieniędzy i kilka pierścieni w oczy. Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydnego zaboru tego, co się zwało jéj własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnéj, namiętnéj, czującéj się niewinną, a prześladowanéj z zimném i obrachowaném okrucieństwem? Naprzemian łzy i gniewy, to omdlenie i do szału podobne obłąkanie, śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jéj spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karetę... jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognioném po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jéj zupełnie było nieznane. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszkany. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po schodach wązkich, które wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jéj przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wązkiemi, z ogromnemi kominy, z grubemi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko w framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jéj nic w życiu widzianego przypomnićć. Przed jéj oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród niéj gdzieniegdzie sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małéj osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatemi wierzbami. Na gościńcu nikogo... tylko z głowy spuszczonemi porykując, szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał.

Okolica była nieznana.

Z sypialni, w któréj noc spędziła, cichemi kroki weszła Cosel do drugiéj obszerniejszéj komnaty.

W środku jéj stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kil-

ka stołków, na murze dwa stare zapylone dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwsza, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy z oknem, na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórza i osady, i znowu inny kraj nieznany, wśród którego na górach jeszcze, parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłéj baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednéj jéj półce, rzucona niegdyś, niepodjęta przez nikogo, walała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jéj się wyśliznęła i kartami luźnemi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zameczyska, w którém głosu życia ludzkiego słychać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoiwszy trochą ciepłego napoju, który połknęła, sama nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwalała usiąść i patrzéć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potém tuman kurzu leciał po niéj wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły niepoliczone. W południe zastawiono jadło. Jedna z kobiet namawiała do stołu: Cosel poszła i patrząc na swój obiad więzienny, rozpłakała się.

Inne były owe biesiady, gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jéj czarnemi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do téj nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła, że Zaklika szukać jéj będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna: dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i wychyliwszy się, zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał,

nierychło się zebrał na odpowiedź; nieśmiało przebąknął: „Nossen!...“ i umknął przerażony.

Imię nawet niedobrze było jéj znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obiło się o jéj uszy. Wiedziała teraz, że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszéj niż oni niewoli.

A z niewoli téj nie było w świecie człowieka, coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przeszedł jéj znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się, że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniała wiernego sługę: zadrżała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnéj i ocierając nią niby opylone czoło, dał téż znak, iż spostrzegł ją. Był to wistocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć w dali, poznać go mogła. Serce jéj silniéj uderzyło. Ten przynajmniéj człowiek jeden o niéj pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął oglądając na zamczysko i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się stąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namyśliwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmanna.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady; drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony, iż z nikim w Dreznie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiéro odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się, iż szmeru własnéj mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jéj nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, lodowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zaweźmie się, nieubłaganym jest. Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król

komu złe wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia, jakie jéj dał. Ona go nie zwróci, on jéj nie przebaczy. Rozkazano zabrać jéj wszystko. Löwendhalowi poruczono szukać wszelkiego jéj mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także. Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jéj dzieci i wyrwać jéj z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Ode mnie téż odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna: książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! juścić nie tę zatajoną summę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc, dobył zaszytą w rękawie kartkę: bankier wziął ją rękoma drżącemi.

— A wiesz ty — spytał — coby było nam dwom, gdyby tę kartkę i tę summę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami, Flemming, Löwendhal i inni chwyciliby radzi zręczność zajrzenia do mojéj skrzyni żelaznéj.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę summę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zaklika, łamiąc ręce.

Lehmann patrzał nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł — przysiąż mi najprzód na to, co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzéć chciano, nie zdradzisz...

Z szuflady biurka Lehmann wydobył zastawiony u niego przez księżnę Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł:

— Przysięgam. — Złożył potém krzyż do szuflady i dodał: — ode mnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzał nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdą pieniądze, gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne miéć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potém i hrabina mi je téż dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niéj, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niéj kiedy.

— Ja-m nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu, żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u Niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potém siadł zadumany w końcu stołu, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiéro, co ten człowiek milczący przecierpiéć musiał, gdy w téj chwili pierwszéj uspokojenia zdjąć go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła izraelita i usiadł, czekając niecierpliwie, aż się obudzi. Pragnął on bardzo, aby to jak najprędzéj nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużéj miéć w swoim domu.

Zaklika, który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było, że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, pocichu zgarnął je do trzosa, w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy — rzekł — żal mi was szczerze, ale jak od poczciwego czynu hamować? Widziałeś, żem się lękał, nie miéj mnie za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednéj rzeczy, ale posłuchaj wprzódy. Miałem hrabiny summy znaczne i długo, w naszych rękach pieniądz się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takiém nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczéj: weź jeszcze to dla siebie czy dla niéj i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek, który trzymał ukryty pod suknią, milcząc prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niéj — rzekł Zaklika ściskając go za rękę.

— Wyjdź ogrodem, a prędzéj — dodał Izraelita.

Bał się, nadto będąc znajomym, pokazać w mieście Rajmund,

ażby nie obmyślił, co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniéj po całém byli Droznie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnéj podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z niemi znajomość. Rybak, z którym się najpierwéj poznajomił, zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między niemi drużba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli tu oni spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jéj zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jéj brzeg, ale mało z téj piaszczystéj ziemi było pożytku. Hawlik téż rolnikiem nie był, wolał stawiać więcierze, iść z niewodem lub z wędką. Czasem się téż poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne; lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniéj do nich często, siadał pod chatą z niemi wieczorami i tak rozmawiali długo o swéj biedzie. Wend lepsze czasy pamiętał:

— Wszystko to wokół było nasze, mówił — ale różnemi sposoby wyżegli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać, czém nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczą do niczego; dość, by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzim jak giniemy, a niéma na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie ważyli się jéj nucić, chyba po nocy i pocichu i dzieci się jéj uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika, ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście, dla konia był chlew, choć niepokaźny, dla niego posłanie na górce, i misa kaszy na wieczerzę i szklanka piwa, ale serca poczciwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy téż o nic nie pytali, ani co robił, ani poco przybył; tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli, że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział, czy mu bezpiecznie się tu pokazać, aby języka dostać,

i czy go albo nie uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrożnie się zakapturzywszy poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy najbezpieczniéj się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swéj godzinie szedł lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątéj spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na wschodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie naznaczonéj stary trefniś ze swym śpiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trącać nie poznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Unglücku? — zawołał — wyglądasz jakbyś się ożenił! Hę?

— Powracam z podróży.

— Katolik! prawda? to chyba z czysca?

— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika — cóż się tu u was dzieje?

— Co? chcesz, żebym ja ci historyografem był tego, co na wołowéj skórze nie spisać? — roześmiał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobryś! Spytaj, co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie, co się z moją dawną panią stało?... — zapytał Zaklika.

— Ani nawet kto była twoja dawna pani.

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Boga! któż to imię wspomina? przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się niéma z czego, a ty wiesz, że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu [1]).

— Ale powiedzże mi choć, co się z nią stało?

— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieżeś był?

— Daleko...

— Myślę, że i daleko o tém mówić muszą. Ta, w któréj niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego... i potrwa dłużéj jéj niewola niż panowanie trwało.

— A gdzież jest? — zapytał Zaklika.

— Mówią, że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla niéj

[1]) Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. *Dr. Vehse.*

pewnie co paradniejszego zbudują — rozśmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. — Nie! nie! nie chciałbym być kobietą. Prawdę rzekłszy i mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy, co są nijakiego rodzaju, mówią, że im téż na świecie niekoniecznie wyśmienicie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa oślego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy arye śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj, że apetyt niewymyślny i starą miotłą żywić się umie. Możeż być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklika zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o ośle a ty o Nossen! co ci po tém Nossen! nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrów!

Fröhlich włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta, poszedł. Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia nie pokazując się nikomu, ruszył ponad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel; domyślił się jéj po białéj chustce, a czuł, że jéj z sobą pociechę przyniesie.

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał. Tak się rozgościł pod „Złotą podkową“, a niby za towarem chodząc miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytniéj nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło, aby niemi uciekać można; to téż i straży żadnéj u okien nie spostrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiny.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzéć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiéj nocy stękać zaczął Zaklika, że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wyliże.

Gospodarz z pod Złotéj Podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem znajdował, iż ostrożność radziła dobrze się wyleżéć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się téż rozgadać było można z panem

Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się téż Rajmund, ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór téj pani, któréj wprzódy złocista ciżba skinienia patrzała.

Prawiono dziwy o uwięzionéj.

Zaklika został niepodejrzywany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowane skóry, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednéj strony, kędy były lasy i pusty gościniec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z téj jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcyę niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się myśląc, jakby mu zamydlić oczy, a pobyt w gospodzie przeciągnąć.

XXIV.

Rano, gdy przy piwie grzaném siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowéj na piwo téż, z wielkim hałasem, bo dawniéj żołnierstwo nie chodziło inaczéj.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniéj widywanych na strażach u dworu, i jeden téż z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł sparłszy się oburącz na stole — my bo gdzieś się znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was téż na straży u króla pana miłościwego widział.

— A! toś ten, co łamiesz podkowy! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wziąwszy w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem czybym téj sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił, uśmiechając i podparł na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyjaźń się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kogo? spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić! Żeby choć byli dodali hrabinie z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czter-

dzieści. Nawet na téj pustyni niéma ochoty z niemi pobaraszkować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo niéma co robić, tylko o mur plecami i chrap...

— W kartyby można grać — rzekł Zaklika.

— Z kim, o co? małoco przy nas grosza i ochota odpadła...

Ziewnął pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika zagadawszy się niby odprowadzać ich zaczął, coraz daléj, coraz daléj aż do bramy, aż w dziedziniec i tak nie postrzegłszy się, aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy biwakująca na słomie, nie zdziwiła się przybyszowi; owszem radzi mu byli: siadł z niemi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znalazły się karty, przegrał im parę talarów... Dopiéroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcéj nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika chorując ciągle, targując skóry, marudząc, starał się wkraść do zamku: nie posądzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku, w któréj osadzono hrabinę, przytykała do drugiéj prawie pustéj; mieścił się w niéj oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżéj. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedział się powoli, w którą stronę okna mieszkania hrabiny wychodziły i że drzwi żelazne od baszty, od których miał klucze murgrabia, otwierały się na wielką salę, w któréj z dawna niepotrzebne urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zmilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinéj, a Polak usiłował ku niéj zajęcie i litość obudzić w murgrabim. Popatrzyli na siebie...

— Hrabinie — rzekł Zaklika — pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie, co zapewniają, że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się, panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił.

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mrucząc.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklika.

— Byłaby to dyabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym dyabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim panom to się może upiec, gdy co podobnego zrobią, ale chudych pachołków wiodą na rynek i pod stryczek.

— A! nie takaż to wielka winowajczyni hrabina, ani takby to wielka była wina dać jéj pomówić dwa słowa z przyjacielem... Takto się gada — dodał Zaklika — aby się gadało; a no gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkiemi oczyma, usta jak do świstania ściągnął i brodę pogładził. Minę miał śmieszną, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asindziéj wiesz o takim przyjacielu hrabiny, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu ode mnie powiedz, niech przyjdzie: pogadamy.

Obejrzawszy się wkoło Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z niemi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w téj godzinie, gdy kobiet niéma przy hrabinie, gdy ona sama; zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy niéj są — mruknął Herzog — wszystkoby było łatwém. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczém wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa...

Narady te trwały długo. Herzog, człek już bywały, do takich robót wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiałe, potém coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącém sercem pobiegła do nich i ze swéj strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczynić się tylko da, zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Cosel — umrę zaduszona tém powietrzem. Staraj się, płać, czyń, co chcesz!

— To dotąd jest prawie niepodobném, a przynajmniéj wymaga czasu — żywo rzekł Zaklika — spuśćcie się na mnie, iż uczynię, co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuśćcie sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki. Oznajmię, co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął:

Jednę sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „Złota podkowa"...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biedny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził ją przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie złakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niéj, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabiny, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwém, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronną, a ze starych murów, podcieniów, przejść, pozostały ganki, któremi i na zamek się dostać i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jéj dawne drzwi zawalone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść; należało obmyśléć środki ucieczki szybkiéj do granicy i miejsce schronienia, któregoby August nie mógł dosiądz tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim, nie na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Szlązk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych i powinowatych, a wiedział, że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko, co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwém się zdało w Saksonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż idzie się starać a przygotowywać do uwolnienia hrabiny. Z Herzogiem zaś na wyjezdném w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszéj sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzieś nad Ren, wysławszy wprzódy familią i żylibyście w własnéj chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząsł.

Z żołnierzami na wyjezdnem, napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem że tu znów za skórami przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko po Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wyczekując nowych wieści. Codzień biegała do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiéjś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jéj się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoję; tymczasem przedsięwzięła zyskać jednę ze sług, którą jéj narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjazne; młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczéj się obchodzić nawet z osobami obcemi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła *ty* i zapewniała o swéj łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnéj wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczéj też odzywała się i do Magdaleny, młodszéj sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zeszła tonu. Nie potrafiła ją jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jéj towarzyszkę i obudzając między niemi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne podziałały lepiéj jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jéj życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreznie zachody to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnéj przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budyszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło

już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czém powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu, i jesień przyszła i zima, a w téj porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cosel rozmówić dłużéj i umówić dokładniéj, tak że ucieczka na pierwsze dni wiosny odłożona została. Nie było wątpliwości, iż Herzog, skuszony zapłatą, ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmysłu i strachu zbytni dają pomocnikom. Herzog, nieco podpiły, wybąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swéj niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jéj więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tém lepszém się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnéj małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel uspokojono nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego-Narodzenia; hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swojemi między Budyszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała; chciała, by jéj towarzyszyła, gdyby z wiosną co się w losach jéj miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia: strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną, wyprosiła się na dni kilka do Drezna. Siostra jéj była przy dworze Denhoffowéj: pojechała do niéj. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowéj Bielińskiéj, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendhala. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie obu kobiet.

Tegoż samego dnia jeszcze, nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwojono straże, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono po Drezna. W nocy, pod oknami, zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznajomego, który wraz z urzędnikiem poleconém miał przetrząśnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań, gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile?.. Nie śmiała pytać o nic, a lękała się, żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczéj, a z opisu twarzy trudno było go ścigać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczoną w obecności tych, co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonéj ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącéj. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć stało się nieznośniejszém. Przysłano sługi nowe, wylękłe i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasępionéj twarzy, litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabiny ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biednego chłopca, którego nieraz na straży przy królu towarzyszącego w lepszych czasach najjaśniejszemu panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek; tylko dlatego się nie wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. A! nie pogorszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawołała — powiedz mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer — rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendhala. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więcéj?

— Zdaje mi się, że oprócz sług nikt — rzekł oficer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czém potrafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika, który w Dreznie dowiedział się z odgłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto... przyczaił się, czekając, azali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze, iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem, iż oznajmić należało hrabinie, że jest wolnym, że zatém na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc, przebrany za żebraka, przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich zarośli dopatrzył, że w oknie sznurka nie

było i żołnierz pod niém przechadzał się na straży. Trudném się stało oznajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę napróżno, jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykle na podarki wilii Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką, przekupień do gospody wsi i miasteczka; schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie, mości Treue, zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niéj dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niéj dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję — zawołał podając rękę — za dobrą radę: na myślby mi to nie przyszło.

— Biedna to teraz kobieta — dodał Zaklika — ale jéj resztki więcéj warte, niż nasze bogactwa... A słuchajcie, panie Treue, jak się tam wprosicie do niéj, to jéj pocichu starego sługę przypomnijcie, bom ja niegdy u niéj sługiwał.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jéj, że wierny jéj sługa, co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie. A z Nossen dokąd pociągniecie?— zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta za pasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba! — rzekł w głowę się skrobiąc Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zającami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiéj, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiéj się było porozumiéć, ale posłał wprzódy zapytać hrabiny, czyby co kupić chciała. Dla saméj rozrywki i widzenia nowéj twarzy, Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biednego Treue i nie dla tak pańskich

przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Roztargnioną ręką rozrzucała pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrzywszy chwili, w któréj nikogo nie było, zbliżył się do niéj i rzekł pocichu:

— Kazano mi powiedziéć pani, że jéj wierny sługa, co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabiny jakby blask nowego życia, promień radości, który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myśliwstwie.

Po tych słowach, hrabina szybko zakupiła, co jéj pod rękę wpadło, i Treue zdziwił się niepomału, jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniéj mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastręczył mu się znowu Zaklika. Stanął wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A cóż? — zapytał Polak — powiedzieliście téż o mnie?

— Aha? a jakże! — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem wistocie dobry interes na zamku i w miasteczku: Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedziéć, że téż dobry uczynek spełnił, ale z tém się powstrzymał.

W Dreznie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu, żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki pierwsze i drugie i męczyć, pókiby się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczono jednak obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia niewynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August sam teraz obawiając się hrabiny, pilno czuwał nad jéj losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na pierwszą wiadomość o pogłosce, iż ucieczka zamierzoną została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w któréj niegdyś biskupi meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek, na którego drodze spotkała starą Mlawę i wróżby pierwsze przyszłego losu...

W téjże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę świętego Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł téj kobiety urągał się z jego władzy i potęgi, jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwalstwo niedarowane, nieprzebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt, ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie, straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewiezioną została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wejść do hrabiny z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może, los jéj jeszcze zwiastował.

Cosel, na pierwszy szmer niezwyczajny w zamku, zerwała się z siedzenia, na którém zatopiona w kartkach poszarpanych staréj biblii siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochała go nieszczęśliwa) spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jéj się, że na święta nadchodzące przyśle jéj w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryzipiórka było dla niéj zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w ręce, a okulary w drugiéj: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawołała Cosel.

— Rozkaz najjaśniejszego pana, który natychmiast spełnionym być musi — rzekł ochrypłym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jéj najłaskawiéj do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szału podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanéj, potém ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsyach, bólu, płaczu i osłupiałém milczeniu naprzemiany wieziona, dnia 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy załzawione podniósłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę święto-Jańską, przeznaczoną jéj na więzienie.

XXV.

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się stare budowy i podtrzymywane, opustoszałe, ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; dowódca zamku, Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę: dla uwięzionéj, nieszczęśliwéj ulubienicy Augusta przeznaczono jednę wieżę, Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, któréj piętra, każde z jednéj obszernéj izby sklepionéj składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawném przeznaczeniu.

Dawnéj pani pałacu czterech pór roku starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro, Burgverlies już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalném. Dwa wyższe Johannis-gefängniss i Richtergehorsam... przygotowano dla hrabiny. Jedno z nich przeznaczoném było na kuchnią i dla ludzi, drugie dla niéj.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnéj sześciokątnéj izby, na przestrzał oknami wązkiemi oświeconéj, ubogiéj, nędznéj, smutnéj; gdy obejrzała się dokoła: rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby głowę zbolałą roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szał i wściekłość opanowywały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Swiadomi jéj losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jéj piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodani jéj stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szału, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jéj zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szał a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, któréj niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpaczy. Żołnierze pod murami chodzący na wartach stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się,

jakby dawne izby tortur odbrzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potém omdlenie milczące trzymało ją na łożu wpół umarłą znękaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia, Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendhalowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiał otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków, nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jéj chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczy przeszły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszéj bytności swéj na zamku, przypomniała sobie te mury, które ją wówczas przeraziły posępnemi ściany swemi. Z okien ich widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszém przewinieniem tego jéj naznaczonego dworu, grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a, który nie rozumiał najmniejszego pobłażania wobec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co pisali instrukcye, nakazywali wprawdzie grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenia nawet ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury dokoła, wieża świętego Jana wznosiła się ponad niemi wysoko, oknami poprzerzynana tak, że straż, niemal co chwila mogła, podniósłszy oczy, widziéć niewolnicę. Dwa podwórce, bramami warownemi zamknięte, przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straże, przy murach byli żołnierze; sam zamek na wysokiéj górze panującéj okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiéj garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabiny stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jéj więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześnie.

Twierdza wprawdzie, jako miesce obronne, mogła miéć pewne znaczenie. Leżała blizko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale stąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo téż pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabiny. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęla dopiéro czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabiny, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą—osłupiał, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar boży nadał jéj wiekuistą młodość; śladu przebytych cierpień widać na niéj nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jéj oczów, białość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującéj. Rozkazywała... a w słowach jéj przebijała się tém większa duma, im nieszczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nieprzeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapełnienie ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wracającą nadzieję. Przeklinała okrucieństwo Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla niéj tym niemym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niéj potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzucała je w otchłań bezdenną, a jednak, jednak ulgę czuła, gdy myśl jéj wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem, że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu.

Gdy z Nossen chwytano naprędce, co należało do uwięzionéj,

ktoś rozproszone kartki biblii zagarnął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnéj księdze, w któréj tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty, których część wiatr poroznosił, wzbudziła żądanie całéj księgi. Posłała do Wehlena rozkaz, aby jéj biblię kupiono. Komendant odniósł się do Drezna, kazano spełnić żądanie... biblia odtąd nie zeszła z jéj stołu. Na jéj kartach znajdowała jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyła się z niéj, czém od lat tysiąców było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna... wiosna... w któréj się wszystko budzi wesołe i młode do życia, a która dla niéj śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić nanowo; drzewa zaczęły zielenieć i roztwierać się listkami ku słońcu. Ponad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły pługi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, ona jedna była sama i przykuta. Stanąwszy w oknie i goniąc oczyma zdala ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jéj byt: Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała, jak czasem żołnierz stojący na straży, tak samo oślepiony jéj pięknością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając, co tak piękna istota tak strasznego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzał ku górze i czuł, że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniéj kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wązkie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepień powietrze, którego słońce ogrzać nie mogło... i wiecznie listy, co szły na stos, lub biblia i łzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży świętego Jana był mały klinek ziemi opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się źdźbła trawy i posiane przez wiatry nienazwane kwiatki ubogie... Wehlen pomyślał sobie: gdyby choć ten ogródek!... Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanéj kobiecie, dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc, że choć popatrzéć na kwiatki miło będzie téj, co sama jak kwiat pański zwiędła na łodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła, że go kopano; przyszedł jéj na myśl grób: odwróciła się... Dopiéro gdy wiosna co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty, Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swych ogrodach i w Hesperyd ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych miéć nie mogła.

Zdawało jéj się, że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niéj, odżyłaby znowu. Myślała, że kwiaty byłyby dla niéj powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o to nie mogła królowa, cierpiéć wolała. Witała z rana ogródek i żegnała go, gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jéj powiedziéć słudze, że ten ogródek jest dla niéj, że go sobie objąć może. Wistocie uciec stąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze schodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jéj się upajającém, słońce nieznośném, światło oślepiającém; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przyszła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jéj całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękoma własnemi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i oczyma go wychowywać.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnéj zmiany, bez żadnéj nawet jéj nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jéj zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jéj około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedziéć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodejrzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzódy musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wnieśli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen, hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słychu o nim nie było; aż jesienią późną żyd, który przyniósł jéj coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrzawszy się wokoło bojaźliwie, szepnął, że ten, co podkowy łamał, żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcéj nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabiny z Nossen, musiał wszystko rozpocząć nanowo. Nie tajono bynajmniéj, iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała

się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała na niego, i że dotknięta obłąkaniem, mieniła się być królową. Pocichu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swéj i lekkomyślności, z jaką w jéj ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony, obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia wistocie, pomimo ciągle ponawianych żądań, odebrać jéj nikt nie mógł, ani go nawet przez najściślejsze poszukiwania wynaléźć.

Pierwszy to raz z takiém okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził niém nawet Denhoffową, chociaż ta ani tak wielkiém przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającemi nadziejami pochlubić się nie mogła.

Dwór nowéj pani wprawdzie był dosyć świetny, ale bliższe jéj otoczenie żadnego politycznego znaczenia nie miało; ona téż oprócz zabaw i rozrywek, nie panowała nad niczém.

Ci nawet, co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznéj Cosel: Flemming, Manteufel, Friesen, Lagnasco, Vitzthum, zdala się od niéj trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło, że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niéj i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po 10,000 talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet niewiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niéj przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów ostrzegało, aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzywszy się na los Beichlinga, na to, co spotkało Imhoffa po altrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę; nie miał pokoju, dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonii, powywoził pieniądze, i wystąpiwszy ze służby saskiéj, cofnął się na Szlązk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku, gdy hrabina uwięziona została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg, któremi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znaném, pojechał je obejrzéć zblizka. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiéj na podróżnych baczności; tu się téż dowiedział, jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając okrążył zamek i zwierzyniec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabiny czujność była wielka, a do środka, nie będąc osobiście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał sobie głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakąby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codzień przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył, iż powinien wrócić do służby wojskowéj, a raz wdziawszy mundur, starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącéj. Droga była długa i trudna, lecz ten, co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, staréj rodziny, było już pewném zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli, że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał; co się z nim stało po jéj upadku. Zaklika oświadczył śmiało, że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sieniawskiego, biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarży kapitańskiéj w wojsku saskiém. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwém okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego, iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarży, które mu zaraz nastręczono. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał obficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtém. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi, co roztargnienia lubili, przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfede-

ratami, więcéj służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku [1]) oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych na zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności, jakie dokazywali przed zdumionemi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz odarty z pierwszych potrzeb życia, pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki, które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągały, a rekrutowanie ich starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyzny rujnowała skarb, a szła na korzyść komisoryatu i oficerów. Co było w kraju najmniéj zdolnego, znajdowało się w wojsku: awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a processa między oficerami były nieustanne. Gienerałowie żyli z żołnierzy, a ci do rozpaczy przyprowadzeni, musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc, jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński, pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 roku na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu, gdy pośpieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historya pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w roku 1704 stawi także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za niepoczciwe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych, co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprzężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo, w które wszedł, nad hulankę i wesołe życie, prędki zarobek i roztrwonienie ochocze nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych; patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmy przy puharze do półmisków królewskich, nie brali powołania swego naseryo. Gdzieniegdzie wśród téj zbieranéj drużyny, w większéj części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonéj, trafił się rzadki człowiek, co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszém nie było dla Zakliki jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszami, przygotować sobie drogi dla dostania

[1]) Wolframsdorf.

się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał...

Stary Wehlen, o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w arcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego izraelitę, które jéj zwiastowało przybycie tego, co łamał podkowy.

XXVI.

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; zdala w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze schodków tuż schodziło się do maleńkiego wydzielonego jéj kątka ziemi, a i ten dla niéj był łaską człowieka, który się jéj ulitował.

Niejeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla niéj maleńką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego nizki przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani, aby się jéj upadłéj wielkości przypatrywano, lecz znękana potém witała twarz ludzką, zapominając, że była królową. I niejeden żołnierz mimowolnie stanął wpatrując się w nią z politowaniem, a młodsi oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych jéj oczów.

Jednym z tych, co się najdłużéj zawsze przechadzali, szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzéć pięknéj Dyanie, bo ją tak zwano od czasu, gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen, synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, po części dlatego, żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w arcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karyerą.

Henryk von Wehlen wcale w niéj zamiłowania nie miał, ale matka owdowiała, spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majętnego, bo był dosyć skąpy, zmusiła syna, by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się stąd nie mógł.

Jakiémże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością

chłopaka było przybycie tego nieszczęśliwego, a tak pięknego więźnia, do pustego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę, Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną, rzucił się Wehlen ku pięknéj pani, aby jéj służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyśléć. On był najprozaiczniejszym z ludzi, i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniéj do wszystkich: teraz do żadnéj.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość, która stworzyła ogródek u stóp wieży, a późniéj inne drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze, iż na niego rachowaćby mogła. Wolała wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jéj i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzu razem stojących i w dobréj zgodzie rozmawiających z sobą ludzi, Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna. Zaklika opowiadał, że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobremi przyjaciołmi.

— A! kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan von Zaklika — nie wesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział, że tu na skale takie pustkowie, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— A! mój panie — kto chce się bawić, temu się do Stolpen niéma co wybierać, ale spokojnie patrzéć na piękną naturę i żyć sobie cicho.. bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła, aby nie dać poznać, że ją rozmowa obchodzi, ale serce jéj uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli to nie jest grzechem, tobyście mnie, jako nowego przybysza, powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądany.

Oba razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się

znacznie wyżéj niż podwórze, na którém stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

— Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkiém skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniejące jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało zmiędzy lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ni słowa zrazu.

— Jesteście tu gościem? — spytała po długiéj chwili milczenia, zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się, że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a nie łatwo się znajdzie, ktoby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł — zawołała hrabina. — W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szeroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną, mur nieprzebity!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżeście wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł.

— Los chciał — rzekł – jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weseléj.

Skłonili się i odeszli.

Wehlen porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi téż postarał się blizko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawołał — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu reichshrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co strącona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiaździsta twarz!!!

Mówił to z takim zapałem, czerwieniejąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko — nie dziwuję się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapału, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał...

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze — zawołał — i uczciwi ludzie: na co się

mam zapierać; straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie niéma.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smętnie. — Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wysuszyło w niéj serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— A! na wieki! — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi? Ona jeszcze tak mi się wydaje, że jest młodą!!

Zaklika się uśmiechnął.

— A i wy mnie wydajecie się młodzi! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydził się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:

— Wistocie, macie słuszność! ja nim jestem! Młodym, dziecinnym! to prawda; lecz oprzéć się urokowi tego wejrzenia nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią zdaleka tak, jakby się grzał na słońcu, i wzdycha odchodząc do swéj izdebki, dopóki przy arcabach nie zapomni o bogini. Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim jak ja wartogłowie?

Wehlen ze swojém uwielbieniem dla Cosel był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzéć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmiowierzchniéj wieży, w podziemnych galeryach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzchach do kapitulnéj, a z kapitulnéj do kaplicy, od któréj zapomniany korytarzyk wiódł niewygodną ciasną szyją nazewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po męsku mogła znijść że wschodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwijały mu się po głowie, Wehlen milczenie jego brał w innéin wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą — wam się to wydaje strasznem, zamurowaném, nieprzebytém. Wszedłszy w te lochy zimno się robi nietylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali jak krety w téj górze, aby w niéj ukryć występek lub zdradę,

a jednak wierz mi, kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas, i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiéj stąd wyjść i wnijść, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potém znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabiny Cosel, nie obudzając podejrzenia. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo — rzekła chmurno — kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika. — Kto ostatek waży, jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałeś słuszność — odpowiedziała — ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować naostatek! Synowiec komendanta najprzód może być użyty.

— Jakto? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Cosel. — Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiéj... jest tu panem. Nie mieszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim sprobuję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczynią ż mi co więcéj nad to, co robią? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszność, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle począł Zaklika, z ostrożnością oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie miéć odwagi począć cokolwiek sam, i nie sądzę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Cosel — ja tém pokieruję, dobrze, iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę...

Szmer na wschodach mówić im daléj nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i zszedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mrucząc, postanowił zastosować się do jéj woli.

Wehlen od pierwszych dni wziął go sobie za powiernika, nie

zwierzył mu się jednak nic więcéj nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie i że dla oswobodzenia jéj dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawołał, rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzył się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnemi pozorami coraz częściéj chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłéj gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępować u stolika z arcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historyi familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklicc. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonéj jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzéć, domyślać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

Niewtajemniczonemu, nie wypadło mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby i drudzy jak ja nie dojrzeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań: nie wiem i nie chcę się domyślać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wziąwszy pod rękę, wprowadził go w kąt ciemny.

— Jakto? — spytał — cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę—rzekł Zaklika—iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale.*

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwyczajnego? co obudza te podejrzenia? Całą moją winą, żem zakochany, żem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie, żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tém, że ją ludzie dojrzéć mogą i po niéj dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i...

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała naglić o przyśpieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmienném niż zwykle.

— Zaklika — rzekła — nie mieszaj się do niczego: bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużéj. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał Zaklika — cóż mam czynić?

— Natychmiast tam się stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcéj wydobyć nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutném przeczuciem jakiémś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen, którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant, niedomyślający się niczego, skinął na Zaklikę, aby z nim szedł napić się piwa i siąść do gry w arcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz, który zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardzo prostéj, a wistocie pochłaniającéj człowieka, który się do niéj przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszéć na zamku, że komendant wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci jest dziś, kapitanie? — pytał.

— Głowa mnie boli.

Po kilku partyach, zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalono świece: Henryka, który zwykle w téj porze przychodził, nie było.

— Pewnie mi się wyrwał na miasteczko — odezwał się komendant — bo mu tu nudno, i wolałbym to z lichem — dodał zniżając głos — niż że mi się pod wieżą modli do téj dumnéj pani, któréj wistocie zdaje się, że jest królową, że ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina, o któréj wachmistrz odnosił klucze, zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczéj na rozbójnika, najemnik, który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie, nim się oparł w saskiéj, zjawił się blady i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progu. Wyraz jéj uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant, choć go używał, nie lubił: ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie — odezwał się Wurm — mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Coż? pali się? — porywając się z krzesła krzyknął Wehlen.

— Nie, ale pański synowiec ucieka w téj chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony ku drzwiom.

— I! niéma się czego obawiać — rozśmiał się dziko Wurm — ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem, że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne! — zawołał komendant — jak śmiesz...

— Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w téj chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk, co mnie po pyskach trzepał, gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnéj zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał chwytając to za broń, to za klucze i nie wiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szalu go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko! — zawołał — ratuj mnie, ratuj jego!

— Niéma tu co ratować — odparł wachmistrz — jutro całe miasto się dowié i król i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O! ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom ja i na to gotów.

Mówili jeszcze, gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszéć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę, która szła przodem niema i blada, i Henryka związanego, bo pistoletem jednę był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła nie oglądając się na wieżę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który szydersko się prześmiewając tryumfował.

Stary był zmuszony w téj chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i łzy ciekły mu z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwy, ledwie wyjąkane słowa usłyszéć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiąc jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę; obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę téż przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie zamiast zapobiedz nieszczęściu, czekał na nie, by z niego korzystać.

Podwojono straże przy wieży: noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza téż oddał pod areszt. Z papierami wysłano kuryera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stolpeński zamek smutniejszym niż kiedyś, niemym. Cosel leżała konwulsyami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłany z rozkazami króla gienerał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen nic mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przeczucie mówiło jéj, że człowiek, co ją kochał, płacił w téj chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał blady jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę, list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

XXVII.

To była pierwsza próba hrabiny Cosel uwolnienia się z narzuconych jéj więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedziéć, gdzie pochowano Henryka i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniéj zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiéj, niż zasłużył. Świeży wypadek zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży krokiem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łoże, Zaklika nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu?—zawołała z oburzeniem.

— Ja nie z własnéj woli stąd idę — odezwał się Zaklika ci-

cho. — Kazano mi wracać do pułku, muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiéj mógł służyć.

— A ja mam tu wieki czekać! — płacząc, wołała Cosel — umierać powoli!

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie — zrobię, co każesz; nic mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu, Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiéj; mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie, wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek; nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którém sama zagrzebała wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszéj szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży miéć na potrzeby hrabiny, jeśliby się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na schodach zmusił go do śpiesznéj ucieczki.

Przez lat kilka potém wierny sługa nic mógł nic więcéj uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmywał o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tymrazem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczoném miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jéj wiele swobody, a téj użyła na zjednanie sobie porucznika Helma, który, tak samo jak Wehlen, rozkochał się do szału w pięknéj zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcéj wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze próbować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jéj, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętéj Starego Zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jéj, strój, ruchy, spojrzenie zdradzały stan umysłu niezwyczajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w sobie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącém nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniéj mówiącą o swém nieszczęściu, na łagodném w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jéj wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrzawszy ją tak wielką: nadzwyczajną znalazł w niéj zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na któréj cierpienie wyryło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu słudze łzy zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani — przerwał nieśmiało Zaklika — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi, co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan; drżał w duchu, lękał się o swoję panią, przewidywał, że to może los jéj pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wziąwszy urlop, gdyż służby wojskowéj nie rzucił, znajdując w niéj pewne zabezpieczenie, z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia, Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą, Zaklika stanął na straży; w ciszy niczém nieprzerwanéj upłynęła noc: nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna,

i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy jadący od Stolpen, w gospodzie rozpowiedzieli, że zamknięta w twierdzy hrabina, już po wyśliźnięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jéj ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzićć o niéj i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość miéć o wypadku i skazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całém miasteczku nie mówiono o czém inném. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wązkiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet straże nie chodziły. Tu choć urwisko stromém było, znijść z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonemi kamieniami. Podpojone straże, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą, hrabina po męsku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona; Helm czekał na nią w trzeciém podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie pocichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkakrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż bazaltowych słupów do podnóża. Na gościńcu nieopodal czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się: komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... Puściła się pogoń w téj chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z niemi co rychléj do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jéj puścili się polami ku blizkim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie; lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnéj naówczas gwiazdy, do hrabiny Orzelskiéj, o opiekę i łaskę: nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieziony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucye odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy Rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało ciżby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimo to ciekawych było wiele, gdyż historya młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który, jak opowiadano, w więzieniu kokardę jéj całował, raźno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wyprowadzono Helma... Oczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazyi idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufryzowanych. Kilka powozów z liberyą wspaniałą, ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzićć było można.

Helma, który prosił, aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze; odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer, który miał dać znak do strzału, stanął... ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalby ludzi, ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczém i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozpłynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nie tknięto jednak hrabiny, ani ścieśniono téj małéj cząstki swobody, jaka jéj była daną.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swém sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział, jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niéj nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on, że teraz koléj przyszła na niego i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzalszy od tych, co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale, iż Wehlen życiem a Helm przypłacił całą przyszłością swą—szlachetną chęć ratowania uciśnionéj, niemal oszalałéj niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiéj niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tém, czy zręczniéj mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiny.

Po głośnym wypadku z Helmem, jakiś czas wypadało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać, iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszów wojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Między innemi był tam i przyjaciel jego niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka niepomierny, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niéj kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy, i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czémże się miała wszcząć rozmowa, jeśli nie o niewolnicy, z któréj przyczyny ciągle czuwać musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić, co drudzy robią, a zwłaszcza król jegomość, pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem téj srogości nad kobietą i téj obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jéj zmienić nie mogło, ani więzienie, ani łzy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jéj chwały, jak ja, gdym przy dworze był — rzekł Zaklika — dopiérobyście poznali niebezpieczeństwo. Myślicież, że król się lęka jéj pistoletów? a! nie, obawia się oczów jéj i władzy, jaką miała nad nim, bo wié, że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jéj leżałby prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym téż ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz, taką kobietę widziéć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jéj nie wykradniesz — rzekł Kaschau — idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymawszy to pozwolenie, Zaklika poszedł na wieżę świętego Jana.

Na drugiém piętrze był pokój Anny Cosel; gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok, którego w życiu swém nigdy zapomniéć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumała. Ubrana była tak niezwyczajnym smakiem, iż Zaklika uląkł się, czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długiemi, pas, na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskiemi.

Piękną była wistocie, lecz niepodobną do owéj Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jéj rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogęż jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych koléj na mnie — odezwał się — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— O! nie — odpowiedziała — wszystko w życiu ludzkiém jest zgóry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrzęsła głową.

— Dlatego, ze ja w inny sposób będę wolną — rzekła. — Dawniéj ciemną byłam, teraz widzę jasno we własném przeznaczeniu, czytam je w téj księdze. Łaski niéma na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jéj poddać, ją badać i uczyć się jéj: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy zamknął usta Zaklice: nie wiedział co mówić daléj.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem, mam-li zostać? powiedz pani! jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczni poradzić — rzekła — czekaj: nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę; potém rozwarła biblią nagle, spojrzała na prawą stronę jéj: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: Nie lękajcie się, ani się trwóżcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnemi: tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciołom waszym, przeciwko którym walczycie...“

Zamyśliła się.

— Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocną będę z tobą, ale nic poczynać nie trzeba, a czekać głosu bożego. Ale jakże ty tu możesz pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyrocznia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba—rzekł—w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy rzucić?

— Zrzucić tę liberyą ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów— przerwała żywo Cosel. — Niewierni są: poganie, bałwochwalcy, gwiazdokłońce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszéj po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać, co mam, i przybyć do Stolpen. Kaschau, który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblią i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem, żem z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niém szalonéj będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie, Bóg w nagrodę lub za karę splótł z mojém, musisz cierpiéć razem, a w chwili tryumfu pójdziesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Cosel jakby przejęta czytaniem biblii, zapominała o tém, co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy, że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cóżeś z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem — szepnął Zaklika — zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy, czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiéj trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczéj rozrywki. To i lepiéj... A jakżeście ją znaleźli? zmieniona?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tém wydać, że ją późniéj widywał — jakże nie ma nią być? Cosel, królowa, musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli chodząc po wałach i dokoła murów, a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie, w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego, nadskakiwał mu wielce i chciał bawić opowiadaniami, lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz, gdy otwarto bramy, wrócił do Kachaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jéj był zwyczajny i mowa nawet odmienną: weselszy promień igrał na czole.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jéj własność! W godzinach długich niewoli myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się ode mnie odwróciły z przerażeniem... Prosiłam, by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci to króla nie moje! Powiedziano mi, że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to? rozumiesz... jak się serce pękać musi?.. Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a niemi... Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą, żem nie żywa, lub gorzéj niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się łzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów, zamilkła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb: powrócić powinieneś i dotrwać tu.

Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowéj pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużéj. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i, pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze, już nie zobaczył Cosel przy kwiatach, stała w górném oknie, ubrana jak wczoraj z książką w ręku, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając, jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał, co miał, i jednego dnia smutnéj jesieni zajechał na gospodę do Stolpen oświadczając gospodarzowi, iż tu na ustroniu myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tanio, i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w któréj za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarował.

XXVIII.

W roku 1727, we trzy lata po nieszczęśliwéj z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tém, co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegietowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tém ani się starając o to. Do jéj smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jéj znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

Wpośród tych ruin, jeden tylko August Mocny stał, zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaléźć jéj nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszém sądziła pójść za mąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweseléj zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwałe nad więzy, coby dłużéj krępować go mogły. Tak cudnéj piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieskau, córka tajnego radcy Dieskau z Czeplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując, że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potém zakochał się August w Henryecie Osterhausen, któréj bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnała ją do klasztoru, skąd późniéj Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski...

Po tych wszystkich przemijających zapałach, nastąpiło panowanie Anny Orzelskiéj, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niéj odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojéj, starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstemberg, który swym zakładem z Hoymem sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a późniéj stał się jéj najzajadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna, z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego, ministrowie pierwsi, przeczuwając, co go czekało, wyparli ze swéj rady, odejmując mu wszelki czynny udział w państwa sprawach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu

jak z alchemią, bigoteryą i myśliwstwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiéj.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich zgóry wiódł i przez panią Reuss całemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnéj nicości. Po śmierci żony, marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho, iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzéj niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którém Hülchen, Reuss, pani Reichenbach, jéj siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały... znikł zupełnie. Rozpierzchło się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzódy oddalony od króla, przebył w Szwecyi; za niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jéj strąceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela, jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jéj ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecéj intrygi przeciw pani Przebendowskiéj, którą Sasi dla ułatwienia sobie, zwali panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecyi, Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko, co miała, zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtém będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nieprzyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, poważnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przymawiać: od słowa do słowa przyszło do łajań i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszność, zgromił Włocha i skazał go za obejście się grubijańskie na trzymiesięczne w lipskiéj twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles odsiedziawszy trzymiesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i dostawszy się do Nadarzyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł on go nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiéj milczenie, aby się król nie dowiedział, i nazajutrz dnia 13 kwietnia 1726 roku przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (księżny Lubomirskiéj) był na kolacyi, bawił się jak najweseléj i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potém jechał potajemnie do Nadarzyna, wziąwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hrabiego Montmorency.

Z rana, między piątą a szóstą, stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkiém męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał markiz strzelił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem się z konia zwalił. W téjże saméj chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. St. Gilles nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze teatynów. Król rozżalony, nakazał, nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi, St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtorasta żołnierza, w téj saméj chwili St. Gilles za laika przebrany, umknął na Berlin i Lipsk do Włoch...

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familijnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta.

Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników... Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk gienialnemu synowi Maurycemu Saskiemu, marzył Flemming o księstwie Kurlandzkiém dla siebie, a o ożenieniu pięćdziesiątośmioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną) a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się był na to małżeństwo, przyszłoby było do skutku.

Nieczny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na sławie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznéj już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu“, przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc

z Flemmingiem, nie rzucał klamki dworskiéj, choć król na niego patrzéć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam panował szał zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzelskiéj pobudziło do nowych wystąpień, tak jak przed kilku laty ożenienie syna, odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

Wpośród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazya sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku król wiosny pięknéj w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak — rzekł Wackerbarth — znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbarth spojrzał na króla, zdawał się zafrasowany tém, że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen, na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

— Stolpen! — zawołał August i twarz mu się okryła chmurą— a, w Stolpen!

Była chwila milczenia, król się przechadzał niespokojnie, znać było, iż go jakaś fantazya dręczyła, któréj zadość czynić nie chciał, czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Możnaby kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrzał trwożliwie na króla, który, jakby ubodnięty tém wejrzeniem, zawołał:

— Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i nie dowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przypisywać, okazać.

— Poślij waćpan do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować bateryę naprzeciw tych słupów: będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, z rana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne.

Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze, mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch niezwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnemi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę, nie mogąc pojąć, co się stało, i sądząc, że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swém *Herr Jeses!* powtarzaném nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera, kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać — co się stało? i skąd pośpiech był tak wielki?

— Król! Najjaśniejszy pan! — krzyknął oficer pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi, ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać bateryę do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową! — śmiejąc się powtórzył oficer — czyż mnie nie rozumiecie?

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił się co najprędzéj odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! Król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabiny! Włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwytać odzież, ubierać bezprzytomnie, machinalnie. Chciał biedz, oznajmić jéj o tém, przygotować ją, nakłonić do przeżycia téj próby, na którą miała być wystawiona.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się, że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ściskał mu serce, łzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniéj chwili zawstydzi się, zaboleje, nie przyjedzie. To nie może być. Co się z nią stanie?

Szarzało na dworze, gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały, pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone; wiadomość, że król przybywa, jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich, żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania bateryi naprędce. Płacz,

krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła; konni krzyżowali się na drogach: wszyscy potracili głowy.

Jednę bateryą już sypać zaczynano w zwierzyńcu przy tak zwanéj Röhrpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns-Gärtchen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł narozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zamiatano, znoszono gruzy; komendant chrypł od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży świętego Jana cała służba żeńska i męska hrabiny Cosel stała w najdziwniéj ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała, sądząc, że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc, co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartém oknie blada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po schodach półżywy, załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętemi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! a! rozumiem! Król do mnie przybywa...

— Pani — przerwał Zaklika — król przybywa kul swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel się rozśmiała.

— Prosty, naiwny człowieku! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błądził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru... Chce mnie widziéć. On wié, że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić, jak dał słowo. Niech mnie ubiorą jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomniéć tę Annę, przed którą klękał... Król — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

— Wołaj sługi moje — dodała — niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jéj na białą szyję spadały, ująwszy w dłonie, biegała po ciasnéj izdebce.

— Wołaj mi sługi coprędzéj! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową! Mój król! mój pan... August.

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na wschodach i niemy, zbolały, półmartwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Działo. Liczono minuty, liczono sekundy; nielitościwe bicze smagały dla pośpiechu pracujących: baterye rosły w oczach ale i dzień rosnął straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropione, dyszały wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku jak w poruszoném osiém gnieździe syczało, ruszało się, roiło.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, starszyzna dobywała najświeższych rynsztunków; komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przeciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież najjaśniejszego pana przyjąć czémś należało. Co tu znaléźć, coby ust pańskich było godném? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego? Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskiemi, godzien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczyli obrusa, gospoda dostarczyła wiele: bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych bateryach. Było już po czwartéj, czas upływał z szybkością przerażającą.. lada chwila można się było spodziewać najjaśniejszego pana, który zapowiedział, że z Pillnitz do dnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów“ wyrostka, aby mu dał znać, gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześnie celowali półkartauny tak, aby kule na pewno w słupy bazaltowe biły. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazyi musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakiémś bajeczném oblężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczupłe swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W téj saméj chwili burmistrz, ławnicy, mieszczanie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od śpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec; na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku, ażeby powitać pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku co żyło świątecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu, widny zdaleka, zbliżał się żywo, nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym kłusem dorodnego, pięknego, wspaniałéj postaci mężczyznę. Za nim gonili adjutanci, szczupły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak jakby doganiając pierwszy pośpieszał.

Milczenie głuche zaległo szeregi... oczekiwano. Coraz widoczniéj

rozeznać było można niebieski żustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schylonym do saméj ziemi, biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomieszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku bateryi na Röhrpforte w zwierzyńcu i popatrzał chwilę nic mówiąc nic; potém ruszył pod twierdzę na Hannewalde. Przed tą bateryą najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby związanych w pęk ogromny się wznosiła. Widać stąd było wieże, mury i okna Święto Jańskiéj wieży, w których postać biała migała. Ale król nie śmiał podnieść oczów. Po krótkiéj chwili zawrócił do zwierzyńca.

W téj chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Drezna i towarzyszył królowi roztargnionemu, zasępionemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszéć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyciło krzyk dziwny, jakby rozpaczy i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszéć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwrócona była na półkartaunę i bastyon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał, skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryzgnęła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją najjaśniejszemu panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy rosnące z ziemi u stóp bastyonu; kula została strzaskaną i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, znać dawniéj nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyżéj sterczące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tém miejscu, gdzie go trafiły... słupy wytrzymywały. Za każdym strzałem, pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia przy Röhrpforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim téż strzałem, kawał rozbitéj kuli, około sześciu funtów ważący, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na słodownią, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie najjaśniejszemu panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z bateryi na Hannewalde: król miał téj próby dosyć.

Od pierwszéj chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomną; najprzód serce jéj chwyciła nadzieja, że August stęskniony dla niéj tu przybywał. Ubrała się z gorączkowym pośpiechem, z największém staraniem, patrzała długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczéj — szeptała — jestem pewna, przybywa do mnie. Mógłżeby strzelać do tych murów, w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki?... A! nie! to koniec mojéj niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niéj Nider-Thor. Postrzegła tumany pyłu, serce jéj biło, płakała. Wtém dały się słyszéć dzwony, bębny; król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jéj się, że go usłyszy na schodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potém milczenie złowrogie... i strzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się jak wściekła, rozjuszona, z rozrzuconemi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygocząe ze wzruszenia odmawiały jéj prawie posługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyła pistolet, który ją nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak obłąkana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się wprawo i wlewo. Z téj strony słychać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jéj pałały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekała.

Za każdym strzałem chwytała się za głowę i serce, jakby nie wierząc uszom, nie ufając oczom. Śmiech dziki błąkał się po ustach, a łzy napełniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawéj ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tém oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze pod oknem tętent konia dał się słyszéć. Cosel wysunęła się do pół... patrzała.

To był on! on! August! Jechał sam pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał rwąc konia, który mu się wyrywał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna, jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać, okrutniku nikczemny! ty co słowa łamiesz i karzesz za nie tych, co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czém serce ludzkie dla ciebie? Cosel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię. Giń nikczemny!

W téj chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech: Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli, która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw, że potém nie przyjąwszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał *).

XXIX.

Gdy Zaklika przerażony strzałem i hałasem wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niéj wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się stąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nierychło poruszona tym wypadkiem hrabina wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona, iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jéj był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw téż, że wśród téj długiéj, jednostajnéj niewoli, w umyśle jéj chwilami czuć było jakby obłęd jakiś, jakby zwichnięcie i szały.

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i po tym roku 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potém, mając przez Zaklikę znaczną summę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać się, przekupując otaczających. Jednego dnia późnéj jesieni, spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do

*) Bei dieser Gelegenheit, hatte Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).

wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sowicie, niezręcznie posiłkowali jéj do téj ucieczki. Już była na drugiéj stronie muru, który po lekkiéj drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją odprowadzając nazad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę późniéj we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku nie obudzając szczęściem podejrzenia, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę, wiadomości o obchodzonym świetnie, świetniéj może niż kiedykolwiek, karnawale w Dreznie, z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał stąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencya jest tak wielka, iż sądzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiéro od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem“.

Magnificencye te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i stąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającéj się u feldmarszałka przyszli powitać przybywającego. Następne dnie spływały na nużących zabawach, komedyach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potém gonienie do pierścienia, ciskanie dzirytów i t. p. Nie przeszkodziło zabawom, że wybuchły pożar w cchauzie zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanéj sukni złotéj z białemi i niebieskiemi piórami. Myśliwstwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniéj jéj dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka Wielkiego, który był nią mocno zajęty, a król zazdrosny wypłacał się figlami. Dlatego to późniéj o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary: oszukaństwo jest dlań

jedynêm prawem... własny interes a różnienie drugich ciągłém staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcéj nie zdoła".

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczuléj się ściskano, a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w któréj występowali chłopi francuscy (żona księcia następcy), włoscy komedyanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i pani Manteufel z domu Błudowska), w ostatku chłopi norwescy (feldmarszałek Flemming i żona jego z domu księżna Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk Wielki za *norweskiego chłopa!*

Król szczególniéj odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiędzy niemi jaśniał nabyty przed piętnastu dniami, blizko dwóchsetkaratowy brylant najczystszéj wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreznie, skaczę i tańcuję, a zmęczony daleko więcéj, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytemi tu przyjemnościami. Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, żem w tém żadnéj przyjemności nie czuł, i powracam tak czysty, jak przybyłem".

Zabawom tym królewskim nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühlberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale też i wyśmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jazdy polskiéj i saskiéj stało obozem; wszystko nanowo wyekwipowane i na francuski sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy grands mousquetaires konni, grenadyerowie konni, gwardya konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i batalion lejbgwardyi grenadyerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotéj, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeitheyn, w drewnianym, naprędce wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterenami, okrytym zewnątrz płótnem malowaném. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch.

Na chorągwi powiewało godło: *Otia Martis*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francyi przybył nawet Maréchal de Saxe.

Więcéj się tu bawiono, muzyki słuchano, tańcowano i spalono ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednéj z uczt tutejszych, podano sławny ów olbrzymi pasztet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szefli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły, płodny w nie August sam wynajdywał i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował późniéj ku podziwowi potomnych, historyą mühlberskich cudów; opiewał je König poeta nadworny, a Fryderyk Wielki z nich szydził nielitościwie.

O wszystkiém tém donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i sługy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia, powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niéj.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swéj niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dnie szału i niepokoju, a potém znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedziéć Zaklice: „na ciebie koléj". On téż spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko, sam jeden był, mógł umrzéć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen, miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdéj nieudanéj wyprawie, jakby przyszłéj zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jéj hamburską gazetkę, w któréj było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innemi karuzelu, niegdyś dla niéj po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się; oczy jéj, jak zwykle, gdy bywała poruszoną, zaiskrzyły się: odczytała dziwnym stylem napuszonym, opowiadanie... zmięła i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamyślona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? — zapytała pocichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.
— Masz jaki sposób ratowania mnie?
— Będę go szukał.
— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś — rzekła — ale nie żałuję siebie; gotowam zginąć sama. Muszę się stąd wyrwać... muszę.
Rajmund stał zamyślony.
— Potrzebujesz wiele czasu?
— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklika — trzeba raz tak począć, aby dokonać, co się zamierzało.
Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepszemi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.
Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o próbie dowiedziano, należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonie.
Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.
Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniéj spodziewać się jéj mogli na zamku. Powiedział więc sobie: we dnie.
W bramach zamku ścisłéj kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabiny, do komendanta i mężczyzni nie zwracali żadnéj uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jéj nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić za zwierzyniec do koni wierzchowych, które tu dosiąść mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyńcem królewskim, konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.
Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nic lepszego znaléźć nie mógł.
Przyszedł więc do hrabiny, poddając jéj myśl swoję.
Chwyciła się jéj gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.
— Pierwszy dzień dżdżysty, niéma czego zwlekać — zawołała — trzeba próbować. Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wziąć im gołą ręką: trzeba się więc uzbroić.
— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebném.
Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzień, czyniono przygotowania; przewidując, że tu już nie powróci, sprzedał za bezcen swój dworek i spieniężył, co tylko było można.
Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się, że na dni kilka stała się słota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy, iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiéj. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.
Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszéj bramie świętego Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiéj żołnierz popatrzył i przepuścił nic nie mówiąc.
W kilka minut potém, prawie podobnie okryty Zaklika śpiesznie szedł przez bramę pierwszą, w któréj nie spotkał nikogo: w drugiéj żołnierz zaczął mruczéć:
— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?
Zaklika odsłonił mu twarz.
— Dyabeł cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem, że jeden wszedł, a dwóch wychodzi.
— Jakich dwóch?
— Juściżem nie ślepy.
Zaklika nie zważając posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.
— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł śmiejęc się — czegoż chcecie?
— Idź się tłómacz do komendanta, a nie, to cię nie puszczę.
Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Poskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczono go.
W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnież mruczał.
— Cóżeś do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.
— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł, a dwóch ich wyszło. I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był. A nuż Cosel? — dodał, śmiejąc się.
— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz.
Stanął, pomyślał i poszedł ku wieży świętego Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzeciém téż nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznem było, wachmistrz głowę tracił i pobiegl do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie ulegało już wątpliwości, iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znaném jéj miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła... Zaklika dobiegł do nich, gdy jéj jeszcze nie było. W rozpaczy puścił się szukać nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słychać było.

Straciwszy czasu niemało, spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel odzyskawszy przytomność umysłu, rzuciła się na siodło, Zaklika chwytał konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronnie dać wziąć Zaklika i wołając na nią, aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i poczciwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc powalił się na ziemię... W téjże chwili żołnierz chwytał konia hrabiny, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci, poddać się było koniecznością.

Komendant nadbiegł, gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionéj, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawołał — licz pani, ile życia ludzkiego jéj wycieczki daremne kosztują!

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Blademi usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi; gdzie był złożony i powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją za zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nie prędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniéj na jéj los patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel, w chwili, gdy to się działo, miała już lat czterdzieści dziewięć. Piękność jéj, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od téj pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła

się książkami, czytała biblią, studyowała kabałę; kazała sobie księgi hebrajskie tłomaczyć; zabijała czas nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził naśladując pilnie pierwowzór swój, Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazyi budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno, drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski, musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński, wprzódy holenderskim zwany; zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny Zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem Zwinger, mają bajeczną historyą swoję. W tym roku 1731 król naukową ekspedycyę wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okręt czterysta ściętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić: większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz i t. p.

W roku 1731 przedstawiono z wielkiém powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w któréj występowała po siedmkroć piękna Faustyna, słynna śpiewaczka, a po siódmém przedstawieniu, mąż jéj uznał właściwém udać się do Włoch, dla dalszego muzykalnego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw, o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierziły; wszakże sejm saski dla saméj reprezentacyi zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu; a Lubomirski, Sapieha, Czartoryski i podkanclerzy Lipski byli świadkami, jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią, król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu, i zamieszkał w Wilanowie. Tu obchodzono świętego Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreznie. Król ruszył do Polski, skąd dwanaście par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. Najjaśniejszy pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z panem majorem d'Argelles, który paszkwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potém na całe życie posłano go do gdańskiéj fortecy.

W Dreznie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryskiego i wiele innych budowli. Wilanów też dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz, na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król też cierpieć jéj nie mógł. Pocieszając się jechał August z Friesenem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: piramidgmach, japoński pałac, koszary, kościół, twierdzę. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego udawać. Jeszcze w roku 1697, gdy padł był popisując się przed księżną Lubomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czém wcale nie myślał. W roku 1727 musiano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss chirurg, który się podjął operacyi, głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to, z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i rozmawiając z damami, na taborecie przysiadał.

W ostatnim roku, w Lipsku jeszcze, obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyprowadzone konie; potém karnawał uroczyście w Dreznie otworzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na dniu 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu, sprowadziły gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takiém życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziliśmy wyżéj wiele zdań o Auguście, mniéj więcéj zgodnych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie, hrabia Schulenburg, wezwany przez Voltaire'a, napisał o Auguście II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwykształceńszych, jakich sobie wyobrazić można (vollendetsten); posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania największy, nadzwyczajną zręczność i energią, był bardzo pracowity i tak pilny (?) jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić: kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć, do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacye znał dobrze, napaści i obrony twiedz; — wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcye, naostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jéj z powołania oddają".

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie między wyznaniem protestanckiém a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać, na lat kilka oddalony był z Saksonii i w téj podróży przez jezuitę Salerno ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiéro 1717 roku ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austryacką Maryą Józefą. Po siedmioletniéj niebytności, młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniéj: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególniéj polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczéj, że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się późniéj stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszczano ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potém załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się płacząc na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy, nie mogły jéj niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jéj ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni, z Drezna przybył niejaki Hennicke, który późniéj tak świetną zrobił karyerę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do waszéj ekscelencyi — odezwał się — od najmiłościwszego pana, aby jéj dobrą nowinę zwiastować, żeś pani wolną, i możesz, gdzie się jéj podoba, zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. — A na cóż mi dziś wolność?... Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna! Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hrabinę Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie! nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę; nie mam gdzie się podziać: proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych

murów, wszystkie łzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzieindziéj; zostawcie mi ten kąt, proszę: nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko, że najjaśniejszemu panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyśléć, że dozwolono jéj tu pozostać. Hrabina w roku 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach, nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży świętego Jana i przytykającym do niéj ogródku. Główném jéj zajęciem i ulubioném czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabała. Otaczała się téż ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensya jéj, wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jéj i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małéj ilości. Po śmierci Cosel, kilkadziesiąt sztuk tych monet znaleziono w jéj fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowéj. Miejscowych urzędników, duchownego i innych zwała: „ty“. Osobom, które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę“. Po siedmnastu latach niewoli za życia Augusta II, przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie szląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godna uwagi, że pierwszy strzał, który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski gienerał Warnery wypalił pierwszy do fortecy, zajętéj przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzeć.

Fryderyk Wielki w czasie wojny wypłacał regularnie hrabinie Cosel jéj pensyą, ale w téj lichéj monecie, którą zwano efraimitami. Z gniewu hrabina ćwieczkami do ścian poprzybijała wszystkie te talary.

XXX.

W czasie wojny siedmioletniéj w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austryaków, książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszém widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzódy była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła téż księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła była wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jéj nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła, ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która, jak wszystkie inne jéj książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nie przyozdabiało. „Szukała tego skarbu — pisze książę de Ligne—tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższemi dyamentami obdarzy“.

Książę de Ligne widział ją ośmdziesiąt dwa lat mającą. Wkrótce potém otrzymał od niéj list ledwie dający się wyczytać, a trudniéj jeszcze zrozumiéć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu oryentaliście, superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłómaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Późniéj żądano od niego tłómaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz zaciekawiony chciał wiedziéć, dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego adresowane do Drezna, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcéj się dowiadywać nie życzono. W końcu ów nieznany korespondent zaprosił pana Bodenschatza do Drezna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go wistocie w Dreznie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się późniéj częściéj, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hrabina Cosel, Bodenschatza miała się starać przez ojca swéj synowéj, hrabiego Holzendorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Baireuth zażądał.

Bodenschatz zraził się téż tém, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiéj. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku ośmdziesiątym piątym życia, dnia drugiego kwietnia 1765 roku zmarła na zamku w Stolpen... a współcześni

zostawili świadectwo, iż zwłoki jéj zachowały jeszcze ślady téj nadzwyczajnéj piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia piątego kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnéj, w miejscu, o którém nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel urodzonego w roku 1712, gienerała jazdy, szefa gwardyi i pana na Zaborze nad Odrą w Szlązku... (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w roku 1770, zostawiając jednego syna, który zszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza, Augusta Konstancya, wydana za hrabiego Friesena, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka urodzona w roku 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystyana Moszyńskiego. Mąż jéj zmarł w 1737 roku, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla, ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy téj kobiety, którą najsurowiéj sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakiemi obcowała, niepodobna jéj odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swéj dostojności wyrzekła, Cosel wolała niewolą, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało jéj się honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek, nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niéj powiedzieć.

Miłość jéj dla Augusta, który nigdy żadnéj kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednéj kobiety czuć umysł czynny, niemogący wyżyć bez zajęcia, i sięgający najwznioślejszych zagadnień, któreby niezrozumiałe jéj życie wytłómaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historya hrabiny Cosel we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic do tak bogatego materyału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w niéj pięknéj roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów, pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziałały na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie: widzimy tu rodziny niegdyś najzacniejsze, ubiegające się o piętno sromotne łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pociejów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie, z Augustem przychodzą do Polski, ale z saską dynastyą nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczepi się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancya jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; niewidziane dawniéj w rodzinach polskich zgorszenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok témbardziéj, że tak napozór wesołą i świetną ma fizyognomią.

Nie mniejszemi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszałość zdumiewającą. Naśladowca Ludwika XIV zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niéj toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienie.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzódy jeszcze nim Brühl począł wysysać Saksonią, Hoymy, Beichlingi, Fürstembergi, wyciągnęli z niéj dawną jéj zamożność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdroszczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazyi Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychléj obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła — nam na to dłuższego, dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi wspinając się wieżami swemi do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieżę świętego Jana, pokoje hrabiny Cosel,

jéj ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizyognomią nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nich-to strzelał August II niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, któréj zatruł życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wié

1873.

BRÜHL.

I.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych, odzywały się w lesie, z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem, przerzynającym puszczę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotemi galonami i kapeluszach z piórami czarnemi; środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołém usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas mniéj więcéj szczęśliwie Saksonii i Polsce, Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku, wyglądał jeszcze wspaniale i rzeżko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratém się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdążał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córa, niedawno młodemu Frydrykowi poślubiona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju, i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili, gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myśliwstwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok

padać zaczynał: pod namiotami gwarno już było i wesoło, odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniéj. Po znużeniu całodziennem chwytano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami, oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach, ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynały znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Daléj jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu téż dozorcy mieli do czynienia, aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze jego królewskiéj mości słowo. Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztućca kulą w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, aby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już broczące krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięstwie tak zimnym i spokojnym, jak był przedtém. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechne roślina zwana *tabacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniéj przy męskich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla, czy kto chciał, czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu, fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owo *tabacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknienia do tego trunku, który z kartami i winem razem uchodził za niebezpiecznego uwodziciela. Pod namiotami téż fajek nie było.

Znużeni jeźdźcy pozsiadali z koni, gdzie który mógł, popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rzęsiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodal od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącéj do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla jegomości.

Zręczna bardzo, piękněj budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niéj przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niéj wyglądała twarzyczka, niby z mejseńskiéj porcelany, biała, różowa, niemal dziecinnéj i dziewiczéj piękności, z uśmieszkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającemi na pana rozkazach. Mogły one w każdéj chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozpłomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, nie wyjmując króla, a mimo to, nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczém nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to, wezwany do jakiéjkolwiek roboty, wywiązywał się z niéj ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku; nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiéj trzymał klamki, księżnéj wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającéj najczęściéj w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce, lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich, młody paź ze swoją miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi jegomości ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak, co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzał, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apolina padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz wkrótce przejednał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętném do usługi sercem. Nie obawiano się wcale, aby takie niebożątko pokorne mogło zajść wysoko. Ubogie téż to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niéj spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoję wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był téż ładny... Kobiety, starsze zwłaszcza, patrzały nań wdzięczącemi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiéj uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całéj służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliwa matka-natura.

I w téj chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak nazywano) przechadzał się samotnie po ścieżce do zamku od namiotów wiodącéj, rzekłbyś, że to czynił, aby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług wpogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwnie służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całe różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim, że siebie pewny już niewiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiéj, galonowanéj przepysznie. Peruka, jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcéj stworzony był na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz królewicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn niemajętnego téż polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył, co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo chociaż August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzéj lub późniéj bóstwo to musiało skończyć, jak najprostszy śmiertelnik. Z nowém słońcem wschodzącém i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jéj swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie, i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne uszanowania powitanie, z powagą, ale z łaskawością razem. Zdala ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz, Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczém nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomódz?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa, jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka.

— Cóż? polowanie udało się; ja, jak wiesz, nie mogłem być na niém; łowczego wysłałem z ekwipażem; w zamku tyle było przygotowań.

— Tak! polowanie się wybornie udało. Najjaśniejszy pan był w humorze, w jakim go od dawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił:

— Któż tam teraz w alkowie panuje? hę?

— Doprawdy, nie wiem; mamy pono bezkrólewie...

— A! a! to nie może być?! — zaśmiał się Sułkowski—Dieskau? nie...

— A! nie; to są dawne pogrzebione rzeczy... ja nie wiem.

— Jakżebyś ty, paź królewski, nie wiedział?

Brühl spojrzał nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, paziowie wiedzieć nie powinni. Myśmy jak turecey *muets* głusi i niemi.

— A! rozumiem — odparł Sułkowski — ale, między nami...

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

— *Intermezzo!* — rzekł Sułkowski. — Zdaje mi się, że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego

pana kosztował boleści pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty, do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia — odezwał się — miło mi jéj użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nic a nic! — odparł Brühl — a wierz mi, hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili, gdym miał szczęście zbliżyć się do was, uczułem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzićć, najwyższą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie, żem się po téj dróżynie wybrał przechadzać z jakiémś przeczuciem, z nadzieją, że was choć zdala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrzał na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wierzcie mi — odezwał się — iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wziąwszy się za ręce we dwóch, daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu w łaskach.

— O! o! — odparł Brühl — nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! słyszałem to z ust własnych najjaśniejszego pana, chwalił waszę usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię — powtórzył Sułkowski — ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tém, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę, że nie obszedłby się beze mnie.

— Wy, to co innego — przerwał Brühl żywo — mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem. Winienem łasce książęcéj, że mnie przy boku jego królewskiéj mości umieściła: staram się wdzięczność moję okazać, ale na ślizkiéj posadzce dworu jakże tu utrzymać się trudno. Im więcéj gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tém na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełném. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drżéć.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda — rzekł cicho — lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważam na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze jest dosyć ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiéj pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych! — wykrzyknął Brühl — co za szczęście miéć takiego przewodnika!

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniéj przekonany.

— Nie lękaj się, Brühl — dodał — idź śmiało a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdały się w najwyższe zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błysła radością, spojrzał na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyonalną dobrocią uścisnął go.

W téj chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi, że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę, co począć z sobą. Król go od służby wieczornéj uwolnił i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innemi się zabawić, potém zdala popatrzywszy, w bok się skierował i zadumany ścieżyną w głąb' lasu idącą poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślania posądzić go nie dozwalały. Prędzéjby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzywać się godziło; ale na spokojnéj wielce twarzy nic widać było troski sercowéj, która się maluje na niéj łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzał chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędzéj rachował coś i kombinował, niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pominął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych do łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polewki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nie śmiejąc nawet głośniéj się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniéj, tém oni

starali się ciszéj sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niéj jednéj na zamku nie pamiętano. Dla psów w kotle gotowano strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko téż skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł daléj. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiędłéj zieleni, wyziewy jedlin unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem, w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia; gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek; można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniéj odetchnął, twarz, któréj układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy: lekki, sardoniczny uśmiech przebiegł po niéj i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie, niemal przestrach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postaci jakieś, nieznane, dziwne, podejrzane. Mimowoli cofnął krok i począł pilniéj się przypatrywać. Wistocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu wyglądało dziwnie, podejrzanie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torebki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznać twarzy ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczéj niż zobaczył, skromnie po podróżnemu przybranych, dwóch młodych, jak on sam ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniéj, dostrzegł twarzy nieco, które zdawały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrownéj, rzemieślniczéj czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Pocichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszéć jéj nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność nie dozwalały mu odejść. Zamyślił się, czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcéj potém instynktem niż rachubą wiedziony, przyśpieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał śpiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chciéć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy — odezwał się siedzący na ziemi. — Czy zakazany jest tu spoczynek podróżnym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór najjaśniejszego pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać? — dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie — odparł Brühl żywo.—Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühlowi jako pięknéj i szlachetnéj postawy młodzian, z długiemi włosami na ramiona spadającemi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka, jaką nosili *studiosi*, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmość tu robicie? — powtórzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrówkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy — począł powoli młodzieniec. — Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób, w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan — dodał spokojnie student — iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moję. Jestem Mikołaj Ludwik, hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w téj chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniéj. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniały piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli, jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paź do osoby jego królewskiéj mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal! — westchnął.

— Jakto żal? dlaczego? — zapytał zdumiony paź.

— Dlatego, że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, miléj mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichéj modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił, jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem — dodał Zinzendorf spokojnie — iż się to wydać musi wam, co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakołatać do serca chrześcijanina uśpionego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w téj uroczystéj chwili?..

Osłupiały paź słuchał i nie zdawał się rozumiéć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka — dodał Zinzendorf — lecz czyż światowych dziwaków mało spotkasz i przebaczasz im, a nie miałżebyś pobłażać z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

— Prawdziwie — szepnął Brühl — ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszę na dnie serca, lękając się, by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jéj życiem i krwią moją. Bracie w Chrystusie — rzekł zbliżając się doń Zinzendorf — jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczéj sobie nie tłómaczę wieczornéj waszéj przechadzki samotnéj, siądź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu tego, który dla nas robaków dał krew swoję. Bracie!

Brühl, jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam — rzekł — a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od któréj gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

— Żal mi was — zawołał. — Gdybyśmy tu pod tém drzewem zanucili pieśń wieczorną: „Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...“

— Naówczas — dorzucił paź — posłyszałby wielki łowczy, lub który z podkomorzych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jéj niéma, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc, ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? — zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertsburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie wnijść w drogę najjaśniejszemu panu? — zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio, — lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę, służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiéj go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Widać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygły zupełnie, przeprosił nawet za to, że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan — rzekł zimno — nazywamy się wszyscy chrześcijanami i synami bożemi, a wistocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce i słowach, gdy jéj niéma w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich niéma, ale im składamy ofiary. Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

W téj chwili, gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrzał.

— Nie sąż to bachanalia? tylko co nie słyszę evoe! — zawołał — idźmy prędzéj; przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl, przodem idący, nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby co prędzéj chciał się uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radcę wojennnego Pauli.

Radca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity około niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, snać faworyt pański, siedząc nad nim, lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie po raz pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiało mu się często w miękkiém łożu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacyach, ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się, dopomogli; z niemałym wysiłkiem udało się pana radcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili, gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powlókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości... Ty jesteś wcale dobry chłopiec; dziękuję ci, Brühl.

To mówiąc, powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot to służba!! i usnął.

II.

Na zamku królewskim, paziowie przyboczni Augusta II mieli wyznaczone pokoje, w których oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli najjaśniejszemu panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajał się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu Brühl? — zapytał z uśmiechem.

— Na rozkazy waszéj królewskiéj mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a król jegomość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudném ani niepodobném nie było; w skok biegł i sprawiał, co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Hubertsburgu widzieliśmy, przespał się potém, obmył i wstał, nie czując nic więcéj, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do picia wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był oddawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi, nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem; zaraz mu się lepiéj i raźniéj zrobiło, a wkrótce potém przeszła choroba owa i zostało po niéj tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radca, że Brühl go ratował w owéj dobie nieszczęśliwéj i złożył na posłaniu; zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła między starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony — przytém niepomiernie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, pod-

bródek zawiesisty. Ręce, nogi i on wszystek, wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał swą urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, ba, z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jej nie potrzebował król jegomość. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnéj nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! oto jestem! w ten moment!“ Ale nie wstał, aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Flemming, ba, i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jak-eśmy mówili, czekano, radca Pauli siedział w marszałkowskiéj sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spiął, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce dawno mu były znane; nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radca taki poważny, zasłużony zmuszony ziewać naczczo.

Zegar ukazywał zrazu dziesiątą, potém jedenastą, a radca siedział, poziewał i strząsał się; po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w téj chwili najnieszczęśliwszym z ludzi.

W téj saméj sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radcy.

O jedenastéj wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancyą włożonym. Twarz mu się, jak zwykle, śmiała dobrodusznością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszéj stopy, piękniejszéj nogi, świeższych koronek

przy mankietach, lepiéj leżącego fraka i wytworniéj ufryzowanéj peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zobaczywszy go radca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy! — zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz, Brühl! Wystaw sobie, jestem naczczo! Kiedy przyjdą kresy?

Paź spojrzał na zegar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?* — odparł tym językiem, który obok francuskiego był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreznie.

— Jedenasta! a ja naczczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać! — To mówiąc radca ziewnął, wstrząsnął się cały — brr! — i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznéj drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na korytarz wiodący do kuchen i kredensów, tamby wyśmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały poczciwemu radcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękoma musiał się zeprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój — zawołał — ratujże mnie nieszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jedném oknie. Tu, o cudo! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła stół już wcześnie przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg obrusie, zastawione porcelanowe, białe z sinem nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocącego się wina.

Radca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychléj zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiéro, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

— A wy?

Paź głową potrząsł.

— To dla was, kochany panie radco!

— Niech ci płacą bogowie! — zawołał w uniesieniu Pauli — niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewczyn drezdeńskich; niech ci Hygieja da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspakajania go węgrzynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pogrążył się w niém cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznéj, przypatrując się radcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłysły, a wypiwszy i opadłszy na poręcze, w błogiém uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

— Boski napój! Cudotwórco mój, skądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozya, nektar!

— Niechże radca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacyą — zawołał radca, nalewając drugi kielich, równający się dobréj szklanicy. Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczen do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby stąd wynieśli na Friedrichstadt. Czułem, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę — rzekł Brühl — że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę przysłużyć się panu radcy, ale proszęż pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek coraz lepiéj smakuje. Jest ono jak dobry przyjaciel, którego im bliżéj poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcéj przywiązujemy do niego. Ale Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli najjaśniejszy pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncypować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radco, taki jeden gąsiorek dla pana? cóż to jest? to tylko *ekshilaracya* niewinna, to *stimulans*, to... nic.

— Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały.—Zaśmiał się radca.—Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austryackie wino z francuskiém: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek

pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, niéma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzał, a gdy kielich się wypróżniał, wziął się na podczaszostwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruczał.

— A depesze?

— Lecz czyż pan się możesz lękać?

— Masz słuszność, gdybym się lękał, byłbym tchórzem, a niéma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj! za twe zdrowie! Dojdziesz wysoko! W głowie mi się jaśniéj robi! Zdaje się, że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiéro weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał! e! e! tobym dopiéro przyprawił.

Brühl ciągle nalewał.

Radca patrzał na gąsiorek, który u dołu był szerszy... i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

— Nie mam się czego lękać — przemówił Pauli, jakby dla uspokojenia samego siebie — nie wiem, czy wy to pamiętacie: raz pomnę dzień był upalny, najjaśniejszy pan posłał mnie do téj nieszczęśliwéj bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszedłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się, że lecę, że mam skrzydła: posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przede mną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem, com pisał. Dosyć, że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się a lało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba — odezwał się cicho — ale wino, jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziéj.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radca — co czynisz! Natura wy-

dzieliła te części nie dlatego, aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, samę treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest? — krzyknął. — Co ja widzę?

— Nic, nic — rzekł paź pocichu — jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzyą jego i kwintesencyę. Nieszczęściem — mówił paź wesoło — starając się o dzieło kompletne dla pana radcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takiéj literatury nie lubił! — westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne — kończył chłopak — nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi — rzekł podnosząc zwolna flaszkę omszoną — jest starszéj pierwotnéj edycyi: *editio princeps*.

— Ach! — podsuwając kielich, zawołał Pauli — tego gotyku szacownego naléj mi jednę stronicę: nadużywać szanownéj starożytności nie trzeba.

— Ale co po niém, gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! stokroć prawda! ale depesze! depesze! — zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A gdyby się tam mosty połamały! — westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów — szepnął Brühl.

— *Panaceum universale!* Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o! — przerwał młodzieniec.

— Dla waści — mówił radca — to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino—to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego. Gdyby nie te depesze!

— A cóż depesze?! czyż jeszcze?...

— Prawda! kat je bierz!

Radca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacye widocznie go rozmarzać poczynały. Ociężał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz maleńka drzemka! i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba! — nalegał paź.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? — rzekł radca. — Co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radco, a fajka?

— Aniele mój! — zawołał Pauli otwierając oczy — i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzéj jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwi — przerwał paź podając fajkę.

— Jak się tu oprzéć pokusie! daj! daj! Co się ma stać, niech się stanie. Może pocztylion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął?

Poczęli się śmiać.

Radca chciwie dym ciągnął.

— Dyable mocne *tobacco*.

— Królewskie — rzekł paź.

— Ale bo król mocniejszy ode mnie, hę?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł wlewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez pół-otwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemiły.

Brühl popatrzył, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w kurytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiém także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał wchodzącego.

Był to Antoni hrabia Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery, odznaczały go między innemi paziami do osoby króla przywiązanemi. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl? — zapytał — gdzieś ty był?

Paź się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiéj sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem — dodał śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając Moszyński — że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

— Panie hrabio — rzekł łagodnie — wam faworytom pana wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu się i biednemu byłoby to niedarowaném.—Skłonił się bardzo nizko.— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć, że cię nikt zastąpić nie jest w stanie— podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziż się tak ze mnie biednego prostaczka żartować? ja się tego uczę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami — rzekł — wojować na słówka niebezpiecznie, wołałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

— W niczém sobie żadnéj nie przyznaję wyższości — dodał cicho.

— No, szczęśliwéj służby — zawołał Moszyński — ot wasza godzina; do widzenia.

To mówiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stanął w niém i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórce wyłożone kamiennemi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, niezliczona czeladź pańska zwijała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u schodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; daléj powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w pąsach, kozacy; wszystko to cicho dosyć sprawując się, mieszało w jednę pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

— Niéma kresów? — spytał Brühla.

— Dotąd nie przyszły.

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiéj.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się z lekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu rozpędzała ludzi.

Brühl wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziajanym koniu pocztyliona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po schodach, i nim służba zdążyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiery, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

— A! — zawołał August — żywo, niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radcę Pauli — powtórzył król niecierpliwie.

Paź skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli! — zawołał August widząc go wchodzącego.

— Najjaśniejszy panie! — wyjąknął Brühl — radca Pauli... radca Pauli.

— Jest tu?

— Jest, najjaśniejszy panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radca Pauli — spuszczając oczy dodał paź — jest nieco niedysponowany.

— Gdyby był konającym, to mi go tu przyprowadź — krzyknął król — niech obowiązek spełnia, potém skona, kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pałały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli! — zawołał król, tupiąc nogą.

— Radca Pauli jest w tym stanie...

— Pijany? — podchwycił August. — A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia! Zlejcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potém niech bydlę zdycha.

Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą,

wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potrącił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w ręku czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył! Depesze! Kto mi depesze?... słyszysz?...

— Najjaśniejszy panie — schylając się wpół z rękoma złożonemi na piersiach, odezwał się Brühl — najjaśniejszy panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaska wość królewska przebaczyć: wiem, że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla waszéj królewskiéj mości... Jedno słowo, najjaśniejszy panie, skazówka... ja sprobuję ułożyć depeszę.

— Ty, młokosie?

Brühl się zczerwienił.

— Najjaśniejszy panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź — rzekł idąc ku oknu — oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmowną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć, a nie odsłoń jéj wyraźnie. Rozumiesz?

Brühl skłonił się i chciał z listem wybiedz.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd? — zawołał król. — Tu — wskazał ręką—tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materyą w kwiaty wybitéj kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biedz po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na łagodnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę, jakby bilet do kochanki.

Myliłby się, ktoby sądził, że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniał o swéj postawie.

Siadł niby od niechcenia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabnie nóżki, nadał rękom wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozwaga towarzyszyła mu w téj sprawie na pozór z gorączkowym dokonywanéj pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo, pisał jakby pod dyktowaniem gotowéj myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się, gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.

— Czytaj! — rzekł.

Brühl odkaszlnął, głos mu się trząsł nieco i był cichy. Któż odgadnie, czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzanie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczu.

— Jeszcze raz od początku — odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniéj jeszcze, śmieléj czytał i dobitniéj.

Królewska twarz rozjaśniła się; uderzył w dłonie.

— Przewybornie — zawołał — Pauli nie potrafiłby lepiéj! ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z nizkim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziśdnia moim sekretarzem do depesz. Pauli żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwą; niech się zapije i zdechnie.

Zadzwonił król; wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio — rzekł, zwracając się do niego — niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie ma pokazywać na oczy! Sekretarzem do depesz od dziśdnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiéj, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan zdala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu — mówił August. — Znam Paulego, będzie do jutra leżał jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopią spisać — dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę — rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz! — zawołał August. — Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania król podał rękę do pocałowania; był to znak łaski niemały.

W chwilę potém nagotowany już kuryer, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez szambelana Friesena rozpowiedziana historya depeszy i niespodziewanéj łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnéj zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską najmniejszéj dumy; okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słyszę? — zawołał — Brühl *amanuensem* najjaśniejszego pana? Kiedyż? co? jak?

— A! dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestrachu — cicho odezwał się Brühl — Jak się to stało, nie wiem. Opatrzność czuwała nade mną, *un pauvre cadet de famille.* Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzał nań Moszyński.

— Jeśli tak pójdziesz daléj, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twéj trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwszym i nie szydź sobie z biedaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższém krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań — odezwał się Moszyński — że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historyą szczęśliwego młodzieńca. Wieczorom obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaléźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz, Brühl — szepnął Sułkowski, poglądając nań zgóry — ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela, rzekł:

— Ja tobie biję brawo!

Z pokorą wielką paź się skłonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swojém. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli, pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że oddawna wyszedł na miasto.

Wistocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niéj na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka cezarów, Józefina.

Ktoby go tu spotkał popod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II tak były zalotne. Widocznem było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyśpieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającéj doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzódy na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych snać schodach i stanąwszy u drzwi, zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszéć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka, z nizko postrzyżonym włosem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiale coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których zlekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko:

— *Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paź, oświecony był dwiema pod umbrelką na stoliku palącemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami, między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela, na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnemi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów.

W ustach wązkich, bladych, kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz wogóle żartobliwą raczéj wyglądała, niż zagadkową. Było w niéj coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapeczkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać; na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkiemi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczéj się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!* — szepnął siedzący na kanapie — myślisz, że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki — odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku któréj serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz. — Podniósł rękę w górę. — Pójdziesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Ja-m ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyma błyszczącemi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? jak śpiewała Celesta? patrzył na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre Guarini, tak się zwał ten, którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowéj, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniéj tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie czy za kulisy paź nie chodził.

— Ja? — z pewnem zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego, nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego, żeby zobaczyć, jak te anioły wydają się, gdy prostemi ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka, jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niéma obawy, aby się w niéj król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

— A któż nad królem króluje? — zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: — Pono jak w Polsce elekcya dopiéro ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

— Powiedzże mi choć co nowego, oprócz tego, żeś sekretarzem został.

— Chyba, że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę: bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym teraźniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiéj gorliwości. Dobrze, iż takim choć jest, jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu znijść z drogi prawéj. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci, gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano, va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy lontano! lontano! westchnął.

— Na pamiątkę tego dnia — dodał — chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzywszy, dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

— Ojciec święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawiać potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paź tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunąwszy talara, osłoniony znowu płaszczem, spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi, wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niéj nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiéro zatrzymał się, zdając namyślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby nie wiedząc, co pocznie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki, schował śpiesznie do bocznéj kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła świętéj Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do któréj dążył, stały otworem. Na poręczy schodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernéj sieni o go-

tyckich łukach cicho było i pusto. Na nizkie pierwsze piętro wszedłszy Brühl, zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu? — zapytał.

— Jest i ma gości, z któremi się rozmową zabawia.

— Goście? — wahając się podchwycił Brühl, jakby go to od wnijścia zniechęciło. — Któż taki?

— Młodzież z Lipska łakoma słowa bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi poblizkich.

— Nie chcę być natrętnym — rzekł paź kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś — odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. — Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześcijanie do katakumb wchodzili. Chwała tym, co mają próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszernéj izby skromnie przybranéj, ale z kwiatami na oknach. Szpinecik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł, gdzie i kiedy go widział. Pięknéj postawy młodzian patrzał téż z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę — rzekł — drugi to raz spotykamy się w życiu. Winienem panu, żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholków jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie — odparł młodzieniec — a chociażbyście byli katolikiem, aryaninem, wiklefistą czy kimkolwiekbądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecieć powinny, choć na jednéj wyrosły łodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słychać? — spytał gospodarz — myślę, że nic innego, jak z rana litanią, a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądźcie, mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna, któremi zajrzéć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały się przed nim; zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

— Prawdaż to, że kościół katolicki budować myślą? — zapytał gospodarz.

— Nie słyszałem o tém, tylko jak o projekcie dalekim — odpowiedział Brühl — a wątpię bardzo, ażeby król, pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomyśléć.

— Zgrozaby była! — wyjęknął pastor.

— Dlaczego? czcigodny panie! — przerwał mu Zinzendorf. — Zarzucamy im nietolerancyę, a mielibyśmy się nią sami posługiwać? Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwała Zbawiciela, czy ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten, jakby nagle powściągniony, dwuznacznym się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio — odezwał się pastor, obracając ku niemu — to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu niemożliwe. Na dwu ramionach płaszcza nosić nie można, ani dwom Bogom służyć, ani dwu wiar kochać; boby się żadnéj nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżéj położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy, do kogo pił. Brühl udał, że nie słyszy, żałował nawet może, iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie! — zawołał — a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z inowiercami? Chrystus nie stronił od faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor—hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyj twych przejść do czynu...

— A! za tém gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzyasta, podnosząc ręce do góry — gdybym siebie tylko miłował, poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślaniu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dlatego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie pożréć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwytał słowa.

— Myślę, że ta gorącość wasza, miły panie — odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze? — zapytał Brühl cicho — na dworze, hrabio, będziemy mieli szczęście powitać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie — odstępując krok zawołał Zinzendorf — Ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam napędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszę strupieszałą. Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takiemi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych, w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozpłomienić; na dworze byłbym wyśmiany: tam spełnię, do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio — dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech — prędko dokończył Zinzendorf— temu winienem posłuszeństwo.

Brühl po krótkiéj chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużéj; Zinzendorf ze swą mową dziwną napełniał go strachem. Odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cicho poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością i zniknął. Czy u ojca jezuity, czy u pastora był szczerszym przyjacielem i gościem, o tém wyrokować nie umiemy i to pewna, że obu odwiedzał gorliwie i o łaski ich się starał, nadskakując więcéj Guariniemu, niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec jezuita jego, ani on Włocha, nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i naprawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna dozwalały sprobować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowéj, hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowéj Józefie, a łaskawém spoglądająca okiem na młodego pazia, który jéj wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wnijście o wszelkiéj dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak, aby ludzie ani go widzieli zbytnio, ani nadto nie mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju, w wielkiéj liberyi dworu, stał w peruce kamerdyner W. ochmistrzyni, który kłaniając się i nic mówiąc nic, drzwi mu otworzył: Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie

ciemny, kilka świec woskowych z długiemi knotami paliły się same sobie na stoliku i w mdłém świetle ich wiszące na ścianach, poczerniałe obrazy, dziwaczną mieszaniną świateł i cieni, jak widma jakie majaczyły. Cicho było i w dalszych pokojach.

Wprawo tylko, przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i stamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia, gdy na posadzce skrzypienie trzewików Brühla słyszéć się dało, z za drzwi pokazała się nizko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku — ozwał się głosik dziecięcy i świeży — a to wy: czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potém podwoje się otwarły szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać, albo raczéj ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atłasowéj sukience z koronkami, w jedwabnych *à jour* pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca panienka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmieszkiem witając Brühla, dygnęła mu tak, jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *maitre des ballets*, sam pan Favier wyuczył; tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowienie surową, jak owe figurynki porcelanowe aniołków we frakach, które w Meissen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi. Brühl oddał jéj ukłon, jakby staruszce. Wielkiemi oczyma czarnemi spojrzała nań dziecina, jakby szukając należnéj czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w téj chwili powaga jéj nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedya była skończona.

— A, to wy! panie Henryku?

— A jéj ekscelencya?

— Mamina ekscelencya na pacierzach u królewiczowéj. Padre Guarini czyta litanią i rozmyślanie, a ja, ja się nudzę! tylko piesek Filidorek, pani Braun została i ja sierotka. Słuchaj Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną [we dwór zabawić: ja będę grała królową, a ty wielkiego ochmistrza, a Filidorek kogo?

— Panno Franciszko, bawiłbym się z wami, w cobyście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś niegrzeczny dla dam! — odpowiedziała hrabianka z minką staréj jéjmości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszną — ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewnie! i to bardzo prędko — zawołał Brühl śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas, jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna — dodała Frania.

To mówiąc, zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk, główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrzała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniéj dziewczynki odbijał się już niestety cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atłasowéj sukni nie dał się słyszéć i śmiech.

— Francesca! Brühl! córkę mi bałamucisz...

Osoba, która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznéj postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath-Krakowska, wielka ochmistrzyni dworu królewiczowéj. Zobaczywszy matkę niezmieszana Frania, odnowiła ceremonialne dygnięcie według pana Favier, i dopiéro przybiegła do jéj ręki. Brühl napół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzał z zachwytem w czarne oczy hrabiny.

Pierwsza, może nawet druga jéj młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nietknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasił rumieniec. Białość tę płci podnosił kruczy włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się mimo pełnych form kształtną zarazem i silną. Zmrużonemi nieco oczyma popatrzyła na pazia.

— Franiu! — rzekła — idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzało dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. Wielka ochmistrzyni poruszając żywo wachlarzem, zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi, rozmawiać z nim poufale.

Brühl z rękoma w tył założonemi szedł za nią raczéj, niż obok niéj, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blizko. Téj rozmowy tajemnéj nawet obrazy wiszące na ścianach słyszéć nie mogły. W półgodziny po niéj, paź siedział w przedpokoju króla na krześle i drzemać się zdawał.

III.

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych długiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym

świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzéć się nie mogli; ale Brühl daleko zaszedł od pazia, od sekretarza depesz jego królewskiéj mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Północy, którego pochlebcy często równali z królem-słońcem, tamtemu Apollina cześć, temu Herkulesową oddając, zmieniały się postacie, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owém pogrzebaniu radcy Pauli, którego miejsce tak szczęśliwie zająć się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkrem.

Po śmierci starego Flemminga odziedziczył tajną kancelaryą jego królewskiéj mości. Pokorny i niezrównanie grzeczny, a ustępujący wszystkim Brühl, jakimś cudownym sposobem (szeptano sobie na dworze) potrafił obalić dwóch ministrów nieprzyjaznych sobie: Fleurego i Manteufla; ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potém dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatułki jego królewskiéj mości miał już dawniéj; naostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojeństwo nowe, *grand maître de la garderobe.* Do garderoby téj należały galerye, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezrównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się bezeń téż obejść wiele innych osób... a on, jakby téż wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernym u bramy zamkowéj.

Król August Mocny, od owych czasów, gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie bawił się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojny, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy dworując przy damach dłużéj nieco stać musiał, szukał oczyma taboretu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego ocalając życie panu, Weiss lejbchirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiając w zakład głowę za palec. Głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na téj nodze król nie mógł. Złotych to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnéj Lubomirskiéj. Miłości królewskie wszystkie jedna po drugiéj złotemi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, téż księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszłéj głowie rodziny książęcéj.

Królby się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona,

dla odśpiewania głównéj roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, przepiękna Faustina Bordoni ze słowiczym głosem nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano Włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrakcyi nie czynił, wyprawiono go do Włoch, aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król jegomość ścierpiéć nie mógł; ten Brühl, który wszystko tak dzielnie sprawiać umiał, uznanym został jako jedyny człowiek, mogący najjaśniejszemu panu spokojność zapewnić. W karnawale więc i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi, oddał uroczyście dyrektorstwo główne akcyzy i podatków.

Napróżno skromny a obarczony ciężkiemi nader obowiązkami młodzieniec wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał się go niegodnym: król August II nie znosił przeciwieństwa, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kasy. Brühl odtąd miał pilnować, aby Paktol płynął złotem bez przerwy, choćby pot i łzy razem z nim sączyć się miały.

Nie był to już ów paź cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedziéć, marszczył się groźno. W nim jednym znajdował to, czego dawniéj w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał, jak się grosz wyciąga stamtąd, gdzie go niéma, jak się może być głuchym, gdy trzeba, ślepym, gdy z tém lepiéj, posłusznym zawsze.

Brühl miał naówczas z łaski pańskiéj kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niéj pieścidełko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku, który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiéro mianowany we własnym domu (pałacem tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój, w którym przysiadał na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszéj z kobiet popsutych zbytkiem dworu. W kwiecistych ramkach złoconych świeciły zwierciadła: ściany blado-liliowa pokrywała materya jedwabna; na kominie, gerydonach, stolikach, porcelany było pełno i bronzów, posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl z nogami wyciągnionemi, sparty wygodnie na miękkiéj poręczy krzesła, z rękami złożonemi, które z bogatych mankietów pięknemi kształty się dobywały i świeciły kilku pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy

tylko, gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy się nikt nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar stojący na kominie, bo tylu obarczony obowiązkami pan musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat, mimo pracy i wzruszeń, twarz młoda nie traciła świeżości, ani oczy żywszego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcéj nadziei, niż wspomnień.

W głębi domu jedne po drugich pocichu zaczęły się drzwi odmykać, Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego, co zwykł był przychodzić, ale do którego nie przychodzili drudzy.

— To on — szepnął Brühl i podniósł się w krześle — to on.

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawełnianemi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnéj opony. Brühl cicho odezwał się: — „*Herein*" i drzwi uniosły się na zawiasach, tak, że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą, i choć kolebka ich stała w stajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu, jak dziecię kuglarza; lecz niczém ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka, na téj masce hieroglifami startemi zapisanéj, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego, ani brzydkiego, a jednak niezwyczajnego. W zmarszczkach, które nikły, gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny, co twarzą władały. Spokojny, wygolony, z ustami tak ściętemi, że ich prawie widać nie było, pokorny stał u drzwi przybyły i czekał, aby z niego słowo dobyto.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromna szyta, reszta ubioru czarna, u trzewików klamry szmelcowane, prawie niewidoczne, u boku szpada z rękojeścią stalową, na głowie peruka, która starała się być więcéj urzędową i poważną niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów, na jednéj ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu zapomniał obszyć koronką.

Brühl zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła, i przeszedł się po pokoju.

— Hans — odezwał się — mamy pół-godziny czasu; wezwa-

łem cię dla ważnéj rozmowy. Otwórz, proszę, drzwi, czy w przedpokoju niéma nikogo.

Posłuszny Hans, któremu drugie imię było Chrystyan, a nazwisko Hennicke, drzwi cicho przymknął, rzucił okiem i dał znak ręką, że są sami.

— O tém wiesz — rzekł Brühl — że najjaśniejszy pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i vice-dyrektorem podatków.

— Chciałem mu właśnie powinszować — rzekł Hennicke z ukłonem.

— Nie masz czego — odwracając się nagle z miną dobrze odgrywającą zafrasowanie przerwał Brühl — jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

— Które mu podołają — dodał z nowym ukłonem stojący u drzwi.

— Hans — zawołał Brühl — w dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz przysiądz mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne? chcesz na złamanie karku bodaj iść za mną? mów...

— Ale my we dwóch karku nie możemy skręcić — z cichym i zimnym uśmiechem szepnął Hennicke i potrząsł głową.

— Potężniejsi od nas je kręcili.

— Tak, ale od nas dwu zręczniejszych nie było! Siła i potęga, to jeszcze nic, kto ich użyć nie umie. Ja wam ręczę, potrafimy.

— Bylem rąk nie miał związanych — odparł Hennicke — zgoda.

— Pamiętaj tylko — chłodno rzekł Brühl — to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Hennicke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

— Przysięgam... ale na co? mistrzu i panie!

— W obliczu Boga — odezwał się Brühl schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach — Hennicke, ty wiesz, żem szczerze pobożny i żadnych żartów...

— Ekscelencyo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty, to droga rzecz, niejeden je życiem przypłacił.

— Jeżeli pójdziesz ze mną — dodał Brühl — ja z méj srony przyrzekam ci, że cię wyniosę i zbogacę, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

— Nadewszystko ostatnie — rzekł Hennicke — bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

— Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

— Wiecie dlaczego? — spytał stojący u drzwi.

— Niełaska pana, niełaska Boga.

— E! i lekceważenie pantofla — dodał Hennicke. — Rozumny człowiek, na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

— Przecież same padają: a Cosel? Cosel w Stolpen.

— A kto Cosel wywrócił? — spytał Hennicke — przypatrzcie się, jasny panie, przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowéj i maleńki pantofelek, pod którym wielki król siedział.

Brühl milczał i westchnął.

— Wasza ekscelencya od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustannéj pamięci: kobieta...

— Pamiętam o tém — chmurno odparł Brühl — ale nie czas o tém mówić, Hennicke. Jesteś więc ze mną?

— Na śmierć i życie — odparł Hans. — Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia, i uwierzcie mi, że moja mądrość, czerpana w przedpokojach, nie gorszą jest od téj, którą się na srebrnych blatach w salonach podaje. Przed wami się taić nie potrzebuję, a dla was to nie tajemnica; Hennicke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznéj skorupki, która gdzieś roztłuczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przede mną rozwarły. Na akcyzie, w Lützen, pierwszą moję szermierkę odbyłem.

— Dlatego w sprawie téj akcyzy i podatków, Hennicke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

— Ktoby tam słuchał — odparł zimno Hennicke — oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie piszczéć muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę, żeby sok wydali.

— Ale czém i jak...

— E! e! znajdziemy środki...

— Skarżyć się będą.

— Komu? — rozśmiał się Hennicke — alboż to my dróg szlabanami nie możemy pozamykać, a tych, co za głośno się odezwą, nie mamy prawa dla spokoju pana, wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?

— Tak, to prawda — rzekł Brühl zamyślony — ale to nie da pieniędzy.

— Owszem, to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczono cugle wszystkiemu. Szlachta się zaczęła odzywać, mieszczanie skowyczéć, aż i chłopi sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

— Pieniędzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i teraźniejszy karnawał, myślisz, że darmo przyjdzie?

— Tak jest, i wszystko co dwór puści, spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czém płacić. Pieniędzy — dodał spoglądając na Brühla — potrzebujemy dla pana, a zdałyby się i nam. I waszéj ekscelencyi i jego pokornemu słudze.

Uśmiechnął się zagadnięty.

— To się rozumie; za cóżbyśmy pracowali w pocie czoła?

— I tyle przekleństw brali na dusze.

— No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizernych głosów nie słucha. Król musi miéć, co mu trzeba.

— A my, co nam należy — dorzucił Hennicke — co Bogu to Bogu, co panu to panu, a co poborcy to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkiém milczeniu rzekł cicho:

— Więc oko miéj otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi, co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

— Spuśćcie się na mnie — odezwał się Hennicke — rozumiem to dobrze, że pracując dla was, dla siebie téż pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznéj, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając. Co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał i o królu nie zapominał.

Skłonił się. Brühl po ramieniu go poklepał.

— Hennicke... wyprowadzę cię wysoko.

— Byle nie zbyt, i nie na nowym rynku — szepnął Hans.

— A! o to bądź spokojny. A teraz, tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody, to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecićć, to sztuka.

— Ja mam tylko jednę radę, ekscelencyo — począł były lokaj — wszystko się robi przez kobiety, bez kobiet nic się nie dzieje.

— O, o! — odparł Brühl — są inne drogi.

— Ale ja wiem, że wasza ekscelencya macie za sobą Padre Guariniego i ojca.

— Tst! Hennicke!

— Milczę, a jednak dodam: czas waszéj ekscelencyi o tém pomyśléć, co kobieca potęga znaczy; miéć zapaśną strunę nie zawadzi.

Brühl westchnął.

— Skorzystam z rady, zostaw to mnie.

Milczeli chwilę.

— Jakże wasza ekscelencya jest z hrabią Sułkowskim? — pocichu szepnął Hennicke — Nie trzeba zapominać, że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni i że synowie po ojcach następują, a Sułkowscy po Brühlach.

— O! — uśmiechnął się Brühl — to mój przyjaciel.

— Wolałbym, żeby jego żona była waszą przyjaciółką — wtrącił Hans — na tobym więcéj mógł rachować.

— Sułkowski ma serce szlachetne.

— Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś, w któréj bije, od każdéj innéj.

— A hrabia Moszyński? — wtrącił Hennicke.

Brühl drgnął i zarumienił się, spojrzał na mówiącego bystro, jakby chciał dojrzéć, czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępną.

Hennicke miał twarz niewinną i spokojną.

— Hrabia Moszyński nic nie znaczy — syknął Brühl — nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

— Najjaśniejszy pan oddał mu własną córkę — rzekł Hennicke powoli.

Brühl zamilkł.

— Ludzie mają złe języki — począł odpocząwszy nieco Hennicke — na pannę Cosel mówiono, że wolałaby była kogo innego nad hrabiego Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

— Tak — wykrzyknął z niecierpliwością — tak; wziął mi ją, wyżebrał, wyintrygował.

— I zrobił waszéj ekscelencyi największą łaskę w świecie — rozśmiał się Hennicke — stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednéj sprężyny, obie miéć możecie.

Spojrzeli sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niéj przeciągnęła.

— Dosyć o tém — dodał — a więc, Hennicke, tyś mój, rachuj na mnie. Co dzień o szóstéj, tylnemi drzwiami... miéć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominacyę.

Hennicke się skłonił.

— I pierwszą pensyę do poniesionéj pracy stosowną.

— Tak, jeśli pomyślisz o tém, aby ją było czém zapłacić.

— To moja rzecz.

— Godzina późna; bądź zdrów.

Hennicke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potém powoli, cicho i niecznacznie się wysunął.

Brühl targnął dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

— Na zamku gospodarstwo (Wirthshaft) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?

— Stoi na dole.

— Domino? maska?

— Wszystko gotowe. — To mówiąc, kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój, który ją zawierał, mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w téj chwili wszystkie stały otworem. Pomiędzy dwoma oknami, na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach bronzowych, na nim wielkie zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokoła téj szyby srebrzystéj, kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalie omdlałe, a z zielonych gniazdek wystrzyganych w tysiące form listków, wyglądały śmiejące się nieśmiertelném weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, ptaszkami czy kwiatkami? U góry, w wiązance, siedziało ich dwoje, biednych, nagich, jak ich Pan Bóg stworzył i ściskali się serdecznie, aby o swojéj nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydełka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym to stole, u zwierciadła stał cały przybór do stroju, jakby dla kobiety. W szafach widać było w wielkim porządku strój z całym garniturem, począwszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały, aby się wszystko zmieniło i schodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór, nie tyle strój, ile domino było potrzebném. W osobnéj szafie leżały maskaradowe przybory, wisiały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił, aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner, chodzący za nim z dwoma świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

— Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, którego nie miałem czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy, stojącéj w kącie, zasłoniętéj skrzydłem otwartém drugiéj, która przy niéj stała. Brühla oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady

szmelcowanéj u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany, przejrzał się w zwierciedle i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś, na brodzie ogolonéj świeżo, przylepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą i mogła obałamucić znajomych.

Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy, i szybko chodzić począł.

Porte-chaise, jak naówczas zwano lektykę, stało w sieniach domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzódy po wenecku z czerwonemi wełnianemi czapkami na głowach i płaszczykach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba téż mieli maski na twarzach. Zaledwie z przodu zamknęła się lektyka, któréj zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne straże gwardyj, nie wpuszczano nikogo, oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął ciekawy tłumnie, ale odźwierni nastawiali zębate halabardy i odpychali go od wnijścia.

Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistém światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego; sam król u jednego stołu, u innych, królewicz z żoną.

Z sali królewskiéj do królewiczowskiéj wiodły oświecone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otwarto wnijście i wenecki szlachcic z powagą syna doży wybiegł z téj kryjówki. W chwili, gdy miał wstępować na wschody kamienne, dywanami okryte, niewiedzieć skąd zjawiła się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy. W stroju tym ślicznie mu było, jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół-zbroiczki, po któréj biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W ręku trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długiemi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jéj w dwa esy pogięte, zbiegały się w środku i dwiema prostemi marszczkami przedłużać się zdawały

po czole. Brühl spojrzał tylko na tę maskę niemiłą i szedł daléj ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

— *Signore!* — wołał syczącym głosem — *come sta, va bene?*

Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył z pod maski; zbir palcem wytknął go i stał.

— *A rivedersi, carissimo... a rivedersi!*

I powoli za nim pociągnął. Słychać już było muzykę z sali królewskiéj. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powoluteńku, ręka w bok, nogami długiemi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczów w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku świateł, od krasy strojów bogatych, od lśniących dyamentami kobiet oczy ślepły. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mruczało, piszczało, śmiało się, podskakiwało i uchodziło zaledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych polskich strojach z szablami sadzonemi w drogie kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach tylko dla zachowania rozkazu króla, wązki pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Mazurów, Hiszpanów; kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw mitologicznych niewieścich z odsłonionemi twarzami, mnóstwo Wenecyan, podobnych do Brühla, wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcinellu i na arlekinie nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprawnemi kręciły się, niby grożąc bezsilnemi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbieta, Marya Stuart, Henryk IV... kogóż tam nie było? Król o lasce ze złotą gałką powoli przechadzał się zaczepiając kobiety i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudném, znał je wszystkie dobrze, te przynajmniéj, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną pięknością miejską, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach, piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa chińskie, japońskie, tureckie, i t p. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gosposią dla dostojnych gości.

Poza salami królewskiemi, takież same stoły trzymała królewiczówna Józefa ze swym dworem.

Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath: owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałéj panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesoła, dumnie z góry patrząca dzieweczka, cała brylantami okryta; któréj pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystemi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniéj więcéj przezroczystemi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białéj szyi, albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczowa Józefa mało w téj zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania się teściowi i mężowi. Dumna jéj postawa, twarz surowa i niepiękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy, że nie lubiła płochych zabaw, że wolała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla drugich, poglądała bacznie na tych, co się około niéj obracali. W atmosferze, która ją otaczała, panował chłód i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karcił wzrok pani. Nawet wśród maskarady ostatniego wtorku, Józefa nie zapominała, że była córką cesarza.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał tu téż królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazałéj, ale posągowato chłodny i ceremonialny. Bawiło go to, że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczém. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufałego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było, mimo młodości, pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcéj jeszcze niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, pierwszy faworyt następcy, stał poza nim gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i, otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcéj był panem niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jéj nie czuł. Sułkowski przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą, na wirujące dokoła figury poglądał.

Wdziękiem téż twarzy przechodził króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czerstwości do pospolitego niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorsowane maseczki zaczepiały jego królewską mość, z góry poglądającą okiem rozczarowaném na wdzięki, które już dlań uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało, niepoznany, unikał odzywania się, szukał kogoś oczyma chciwemi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się niepostrzeżony po salach za stołami, aby się przekonać, czy ci, których szukał, nie znajdą się przy gospodarstwach. Nie uważał, że zbir szedł za nim zdala.

Piękna budowa téj herkulesowéj postaci i swoboda, z jaką się posuwała, wcale tego, co spotkała, nie zdając się być ani ciekawą, ani tém onieśmieloną, ściągała oczy kobiet. Parę maseczek zabiegło drogę zbirowi, który z góry na nie obojętnie popatrzywszy, szedł daléj. Jedna czy dwie chciały go intrygować, szepnął im śmiejąc się ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwającego się popatrzał i rzekł do Friesena:

— Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadyerów. Kto to taki?

Nikt jakoś napewno odpowiedziéć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobieta, o kiju, okryta szeroką jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, kolorami, świecidłami. Półmaseczki przedstawiało żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i piszcząc zażądała dłoni do wróżenia.

Brühl nie miał najmniejszéj ochoty dowiadywania się przyszłości; chciał się cofnąć, ale cyganka domagała się ręki koniecznie.

— *Non abiate paura!* — szeptała — ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoń wyciągnął.

— Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki — śmiejąc się zawołała cyganka — zdejm...

U kolumny, za którą stali, palił się w górze sześcioramienny świecznik, cyganka podniosła białą dłoń, obejrzawszy rękę, i zaczęła głową potrząsać.

— Wielkie losy, świetne losy — rzekła — powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

— To zagadka? — przerwał Brühl — jakże powodzenie miéć, a nie miéć szczęścia?...

— A! to tak łatwo jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu!— zawołała zmienionym głosem stara. — A wiesz dlaczego szczęścia ci zabraknie? bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

— Ty nie kochasz nikogo.

Zmilczał potrząsając głową.

— Cóż daléj, maseczko; co daléj?

— Jesteś niewdzięczny — szepnęła mu na ucho — jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

— Cieszy mnie to — piszcząco rzekł Brühl — iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: Brühl. Wyrwał rękę co prędzéj i sam w bok się rzucił, cyganka go zatrzymać chciała: zniknął. Być może, iż miło mu było odetchnąć swobodniéj w tym tłumie, niepoznanym, niezaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jéj strój, niby wschodni, jakąś musiał oznaczać królową... Semiramis czy Kleopatrę, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazya naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznéj. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to, aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa też Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jéj było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z lamy złotéj, na którą przejrzysta od korony na głowie spadała zasłona, z naszyjnikiem ogromnych ametystów na białéj szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym na przemiany ametystami i dyamentami; królowa przytém miała figurę, ruch i chód prawdziwéj władczyni serc i ludów.

Na utoczonéj szyi ciemne pukle włosów lekko złotym pudrem posypanych, wiły się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałéj dającego się domyślać fizyognomii. U maleńkich różowych uszu wisiały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszczała.

Przechodzącéj zwolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła obojętnie spoglądając; Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją rękę przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco; Wenecyanin wyciągnął rękę, podała mu małą piękną dłoń od niechcenia... szybko nakreślił na niéj dwie litery.

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawszy chwilę, szła daléj, Brühl jakby nie mogąc się oprzéć, pociągnął za nią powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i widząc go uparcie idącego za sobą, stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była niezajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Wenecyanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jéj dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł jak H. B. paluszkiem na niéj nakreśliła i rozśmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomarańczowe drzewo.

— Że ja was poznałem — szepnął — hrabino, to nic dziwne-

go, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że wy mogliście mnie poznać...

— W stroju jednego z Rady Dziesięciu — odezwał się głos z pod maski — a komuż on stosowniejszy, jak wam?

— Hrabina jesteś zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

— Lecz piękna jak bóstwo starożytne z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

— Cóż dalej? — zapytała maseczka — mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

— A cóż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę! — zawołał Brühl głosem drżącym—ile razy spojrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniew, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

— Bardzo poetycznie! — szepnęła kobieta. — Cóż dalej?

— Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień i godzinę, w której widziałem was po raz pierwszy — mówił czule Brühl — ale spojrzę i jestem złamany. Macie nade mną władzę.

— Ale czy ją mam? — odwracając się i spoglądając ku niemu, chłodno odezwała się kobieta.

— Potrzebujęż przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgłaś przed ołtarzem.

— Ja nie potrzebuję przysięgi — odparła spokojnie kobieta — ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje.

Patrzyła nań długo.

— Moja miłość...

Kobieta przerwała mu uśmiechem.

— Brühl — rzekła — wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego? miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widujemy co dnia, rozpłomienione o świcie a gasnące wieczorem. Ja takiej nie chcę.

— Moja dała wam dowody trwałości — mówił Brühl żywo — zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jéj odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

— Miłość to, czy ambicya?—spytała kobieta — w tobie Brühl, ambicya wszystkiém włada.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsł głową.

— Nie przeczę, że nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być choć strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, sparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła.

— Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobąbym była szczęśliwą; jedne mamy myśli i charakter, ale tak lepiéj... mąż i żona, to pojedynkujący się na śmierć wrogowie; my możemy być sobie przyjaciołmi wiernemi.

— Przyjaciołmi! — podchwycił Wenecyanin — jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela.

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jéj zaigrały światłami brylanty i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po ręce Brühla, spartéj na poręczy.

— Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem; więc sługą wzgardzonym.

— Mąż kochankiem? — rozśmiała się maska — gdzieżeś to słyszał? Dwa te wyrazy kłócą się z sobą. Mój mąż! mój mąż! ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydzę, ja go nie cierpię!

— A poszłaś za niego?

— Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodną z nim, jestem sobą i cała zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moję.

— A spotkająż się kiedy gwiazdy nasze?

— Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.

— Mówisz to, hrabino, tak zimno, tak obojętnie...

— Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.

— Lecz jakże w nie uwierzyć nie widząc?

— A czémże wiara? — rozśmiała się piękna pani, jak gdyby chciała przypomnieć Brühlowi łacińskie przysłowie: „Kto kocha, ten czuć powinien i przeczuwać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go nie wart“.

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko, i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśliwy razem rozmyślając, gdy poliszynel do niego przyskoczył, osobliwszy zaprawdę, bo mimo stroju pulcinella, guzy u sukni mający z rubinów perłami osadzonych. Zdawał się biedz tu szukać kogoś, a zastawszy tylko Wenecyanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzeć pod maskę, ale Brühl ją ucisnął ręką. Zwijać się począł koło niego z udaną trzpiotowatością.

— *Cavaliere nero!* cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? hę, słówko.

— *Sono un forestiere... Addio* — syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale pulcinello, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał z oka. Wkrótce oba się zeszli pod kolumnami.

Pulcinello spiął się do ucha zbirowi.

— Kto to był?

— Brühl.

— A! a! — wyrwało się z piersi poliszynela — odgadłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... jestżeś pewnym?

— Ja? co go więcéj od was panie hrabio nie cierpię i brzydzę się nim. Jabym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową zdaleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błądził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziéj, a ci, co jak poliszynel szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt przecisnąć się mogli. Piski i śmiechy głuszyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunąwszy się do gospodarstwa królewiczowéj. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.

— Jeżeli chciałeś być niepoznanym—odezwał się po włosku—toś się wcale nieosobliwie zamaskował. Któżby cię nie poznał, panie dyrektorze akcyzy?

I począł się śmiać.

— Po czém? — zapytał Brühl.

— Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku.

Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niéj: znikła.

Byłby przysiągł, że to Padre Guarini, ale cóżby jezuita robił na maskaradzie?

Trochę zmieszany tém, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on odgadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

— Należy się wam powinszowanie... Brühl.

— O! nie ma mi czego powinszować.

— Wiem, sięgacie wyżéj myślą i ambicyą, ale po schodach iść trzeba, inaczéj, *non si va sano.* Dosięgłeś już bardzo wysoko, a jeszcześ się nie sparł na ramieniu kobiety, która czasem jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

— O! wiem do kogo westchnienie, i co się w sercu twém dzieje. Lecz niewdzięcznéj królowéj trzeba zapomniéć i szukać innéj — mówiła wyniosłego wzrostu pani.

— Szukać, aby, znalazłszy, być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

— Wzgardziłaby chyba taka, coby się na tobie nie znała, a téj i żałować nie powinieneś.

Pochyliła się do jego ucha i szepnąwszy mu coś, znikła w tłumie.

Szedł daléj. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jéj zdaleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jéj błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszną. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i nie mieszając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań z góry.

— Nieprawda? — spytał — smakowała ci przedtém królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiéj? Przyznaj się!

Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsł głową.

— To posażna dziewczyna i w fartuszku komuś dużo brylantów przyniesie... dla ciebieby się zdała... wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w przeciwną stronę. Zbir wszakże wiedziéć musiał, że żadne jego słowo nie pójdzie marnie, półgłosem mruczał ciągle:

— Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, któréj puszku nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kąsek ministeryalny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewicz zapobożny... sięgnij ręką a weźmiesz. Co potém nastąpi, nie wiem... patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jéj mówią, aż strach! Takiéj żony trzeba takiemu, jak ty, człowiekowi. Hassego, wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta, jak ty, musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partyę naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes?*

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla poznać było można, iż to szpilkowanie bezlitośne dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go później niecierpliwie prześladowca, ale Wenecyanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana.

Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu, padre Guarini, królewiczowéj, następcy i katolickiemu dworowi ich, głowy posypywał popiołem.

IV.

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, któremi król bawić się próbował; mimo wspaniałości jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozśmiał się; nie życzył sobie sprawiać wesela: czasy były ciężkie, a królewskie gody, takiego pana godne, musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała, był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnie czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewica była dlań powszednim obrazem; w pamięci jego przesuwał się cały szereg tych istot promieniejących chwilkę, a tak rychło uwiędłych. Lubomirska była starą, Cosel zamkniętą, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Słał więc do Afryki uczonych i budował.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowém-Mieście, przerobionóm świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościół, budowano piramidy i pałace.

Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się; kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował, że mu spowszedniał, a Drezno nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, możeby był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je nanowo olbrzymio z ciosu odbudować, ale pomysł był już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Drezno kocha, w Dreznie tęsknił za Warszawą; nigdzie nie było dobrze. Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Huberta, które obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba obozy myśliwskie saski i polski, a było niemało téj dworni, począwszy od paziów łowieckich, aż do łowczego od trufli. Wielkim łowczym dworu był von Leibnitz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska jego królewskiéj mości, które tylko przeciw niedźwiedziom i dzikom służyły.

Ale król znajdował świętego Huberta zużytym i myśliwstwo zbyt jednostajném. Niepokój jakiś go ogarniał. Na Nowy Rok zwabił go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapy szkaradne; aktorki z Belgii przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarcie karnawału wrócił August do Drezna dnia szóstego stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladłe. Sądził, że się zrywaniem sejmu w Warszawie lepiéj zabawi. Karnawał został na opiece królewicza i padre Guarini'ego, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasycał nigdy niedające się napełnić kasy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcemi. Włosi, Fracuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie, powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli.

Brühl znajdował, że najjaśniejszy pan miał słuszność, i że najlepszemi sługami byli ci, których cały los zawisł od króla.

Dnia dziesiątego stycznia dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwość i znużenie zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczówna Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzał w oczy i uśmiechał się wdzięcząc. Wtém wszedł Brühl; były jeszcze papiery do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy bystro spojrzał król i postąpił ku niemu kroków parę.

— Brühl... pieniądze?

— Są, najjaśniejszy panie! — rzekł kłaniając się zagadnięty— rozkaz waszéj królewskiéj mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

— Patrz — zawołał do syna — patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk z posłuszeństwem syna, wpatrzony w twarz ojca, chwytał każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

— Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawnoby już w łeb wzięła ich bałamutna rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saksonii — dodał król. — Ci wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozyusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi. Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów

padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmie mruczéć, gdy rozkazuję... Dość tego.

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało; Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba, czekała już w przedpokoju. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony padre Guarini... Król wdzięcznie żegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzyc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem, i zszedł do gotowych powozów.

Pocztylionowie siedzieli na koniach, dwór śpieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytemi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczanie, na których król spojrzał tylko i kazał im powiedzieć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho było na zamku i w Dreznie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopókiby znów król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nierozbawionego niczém nie rozpoczęła się nanowo.

W chwili, gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardyi z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański, świeżą okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwa razem weszli do dolnéj sali.

Twarz Brühla wyrażała jak najgorętsze współczucie, najżarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie. Sułkowski dosyć był zimny.

— Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę — zawołał odjeżdżający z zapałem. Słodycz głosu dorównywała wyrazom.

— Słuchaj Brühl — przerwał Sułkowski — ja także przypominam ci nasze *pacta conventa!* W złéj i dobréj doli, jesteśmy i pozostaniemy przyjaciołmi.

— Czy wy to mnie przypominać potrzebujecie?—zawołał Brühl— mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność.

— Dajże mi ich dowody.

— Pragnę tylko zręczności, nastręczcie mi ją, do nóg wam padnę! — przerwał Brühl — proszę, błagam; ale hrabio! kochany hrabio! ja-m wasz! wy nie zapominajcie o mnie. Wiecie, co mam na sercu.

— Kolowrathównę! — rzekł śmiejąc się Sułkowski — *grand bien vous fasse*, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

— Ale ona?

— O! nie lękaj się, nikt ci jéj tu nie zbałamuci. Trzeba tak wielkiego męstwa jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

— Jedno i większe od tego mnie minęło — westchnął Brühl.

Sułkowski poklepał go, śmiejąc się, po ramieniu.

— Niegodziwcze — parsknął — albo się co we dworze ukryje! Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

— Ale mój hrabio!

— O! nie mówże mi tego — przerwał mu Sułkowski -- znacie się z Moszyńską i w lepszéj jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl nic nie mówiąc ramionami ruszał.

— Serce moje ma Frania Kolowrathówna.

— A ręka na ciebie czeka i nic nic nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas téż Frani pod czepek, bo jéj się strasznie oczy świecą.

— Jak gwiazdy! — krzyknął Brühl.

— Cóż powie Moszyńska na to?

Wtém Brühl jakby się ocknął, pochwycił znowu Sułkowskiego rękę.

— Hrabio — rzekł — nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się, czym mu dosyć okazał moję cześć i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszéj świętéj i czystéj królewiczowéj, powiedzcie mu...

— Wy o nas nie zapominajcie u króla — dodał Sułkowski — ja o was nie zapomnę u mojego pana. Zresztą, mój Brühlu, nie tak to ty jesteś tam bez opieki jak mówisz. Ojciec Guarini cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam, żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

— A wszystko to niczém, jeśli was miéć nie będę — dodał Brühl — oddam Guariniego i Kolowrathową i jeszcze coś w dodatku, za jednę łaskę waszę.

— Tylko nie Moszyńską — zawołał Sułkowski i śmiać się począł. — A teraz jedź, szczęśliwcze, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatryotom niedźwiedziom.

— A kompatryotkom? — zapytał Brühl.

— Jeśliby tam która o Sułkowskiego spytała... ale wątpię... Niemki wolę.

— I ja — dodał Brühl.

Byli już u drzwi. Sułkowski go przeprowadzał.

— *Eh bien, à la vie à la mort!*

Ścisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Zdala widać

było stojącego w dziedzińcu padre Guariniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym długim surducie, który zakrywszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

V.

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Zrana powrócił Fryderyk z łowów w Hubertsburgu, a z nim nieodstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze, i nieporównana Faustina śpiewać miała. Królewicz jak ojciec był wielbicielem jéj głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych, co się nie mieli szczęścia jéj podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszéj niż w kościele, i ktoby kichnął, mógł być pewien, że w niéj śmiertelnego mieć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofidę*, Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

Godzina była poobiednia: odziany jedwabnym przepysznym szlafrokiem, królewicz w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tak błogiém, jakie daje posłuszny żołądek i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzał na przyjaciela, uśmiechnął się mu i nie mówiąc słowa, znowu dym wonny ciągnął.

Przyjaciel a sługa patrzał z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszczęśliwszym, mówił jak najmniéj, dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się o czém. Czasami spuszczona głowa podnosiła się. Spoglądał w Sułkowskiego, jak w tęczę wlepiając oczy, Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem i odzywał się.

— Hm! Sułkowski?

— Jestem.

Kiwnął głową i na tém się kończyło. Kwadrans upływał, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku pieszcząco. Hrabia odzywał się świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko i to gdy był zmuszonym, nie lubił nic niespodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichém korytem jednostajnie, nieprzerwanie równém.

Poobiednie godziny, gdy nikogo nie przyjmował, lub tylko poufałe i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były. Zrana musiał

przyjmować, słuchać, stać, kłaniać się, podpisywać, czasem się dziwić, a niekiedy trochę pogniewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkosznym był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki marząc błogo, i wieczerzą dzień się kończył.

Nigdy mniéj trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu, byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople wody podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się siesta i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski przez okno coś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Oczy królewicza poszły za nim.

— Sułkowski! — odezwał się cicho.

— Natychmiast wracam — odparł biorąc za klamkę hrabia i wysunął się. W przedpokoju dwaj paziowie i służba czekała.

— Nikogo nie wpuszczać beze mnie — odezwał się Sułkowski. Wszystkie głowy się skłoniły.

Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko schody i we drzwiach stanął zdziwiony.

— Brühl? ty tu?

Okręcony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębły, zmęczony stanął przed nim wistocie ulubieniec Augusta II, blady nieco i pomieszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztylioni zmęczeni pozsiadali z nich i stali jak rozbici ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie, Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko, że co najrychléj chce wnijść i spocząć. Przybycie to tak coś tajemniczego miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski mocno poruszony, coprędzéj ku sali dolnéj pośpieszył. Służba dworska zobaczywszy Brühla, cisnęła się do niego, odprawiał ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucać ubranie. Hrabia stał czekając choć słowa.

— Brühl, na miłość bożą... z czémże przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona, aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochą niecierpliwości.

Duma nie dozwalała mu nalegać... czekał podparłszy się w bok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło, jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

— Król a pan mój najmiłosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało wrażenie do określenia trudne, trwoga i radość zarazem; ruszył się, jak gdyby chciał już biedz, i wstrzymał się.

— Nie przybył przede mną żaden kuryer z Warszawy?

— Nikt.

— Nie wiecie więc nic? Królewicz?

— Nie domyśla się ani przeczuwa — rzekł Sułkowski i powtórnie ruszył się, jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

— Należy natychmiast oznajmić o tém królewiczowi—odezwał się — lecz jakże się to stało! Król był zdrów!...

Brühl wzdychał ciężko.

— Szesnastego przybyliśmy do Warszawy — rzekł cicho. — Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kuryerów, przyjęcie było świetne, mimo szkaradnéj pory, działa grzmiały, regiment wielkich muszkieterów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Kareta zatrzymała się przed gankiem pałacu saskiego. W chwili gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzeliśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce, i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie. Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka, aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym. Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza, skarżąc się, że czuje, jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina. Pomimo to...

— Skracaj — zawołał Sułkowski — królewiczowi donieść kto może o twém przybyciu.

Brühl zbliżył się do niego.

— Hrabio — rzekł — zdaje mi się, że nim cokolwiek przedsięweźmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca, to wrażenie, jakiego dozna... Czyż nie należałoby go przygotować?

— Przygotować? jak?

— Jestem tego zdania — wyszeptał Brühl cicho — iż bez porady ojca Guariniego i królewiczowéj nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrzał nań ze źle pokrytém nieukontentowaniem.

— Ale, zdaje mi się — odparł — że królewicz w tém nie potrzebuje ani pomocy najjaśniejszéj królewiczowéj, ani duchownéj pociechy spowiednika.

— Jabym sądził... — rzekł zmieszany Brühl i spojrzał na drzwi.

Otwierały się one właśnie i ojciec Guarini wchodził. Skąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domyślić. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną mimo zwykłego jéj wyrazu, który mu trudno było pokryć: otwarł ręce szeroko, jakby go chciał uścisnąć. Brühl byłby może jednę z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek niepotrzebny. Postąpił krok tylko i skłaniając głowę, rzekł:

— Król nie żyje!

— *Eviva il Re!* — odpowiedział cicho Guarini, podnosząc oczy do góry — wyroki boskie są niezbadane. Wie już królewicz?

— Nie jeszcze — rzekł sucho Sułkowski, który na księdza rzucił wzrokiem niezbyt przyjaznym, ani nawet tak pokornym jak Brühl i drudzy.

Guarini téż jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

— Życzeniem mojém jest, oszczędzając o ile możności królewicza czułość — dodał Brühl — naradzić się z najjaśniejszą królewiczową.

Guarini skłonił głowę, a Sułkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie wyrażające niezadowolenie.

— Idźmy więc wszyscy do pani — rzekł sucho — bo chwili niéma do stracenia.

Brühl spojrzał na swój ubiór podróżny.

— Nie mogę się tak przedstawić — odparł — idźcie wy, panie hrabio z ojcem Guarinim; ja suknie każe przenieść do zamku i przebrać się muszę.

Sułkowski w milczeniu przyjął ten wniosek, ojciec Guarini potwierdzając go skinieniem, zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło, jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za jezuitą Sułkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się sparł na ręku i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże nie trwały długo, tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdyner stał jakby na rozkazy czekając.

— Proszę was, pazia Berlepsch'a do mnie, a żywo.

Ruszył się posłuszny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany, wbiegł młody chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl stojący u drzwi położył mu rękę na ramieniu.

— Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypapłaj się, że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrzał w oczy mówiącemu, klamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dokoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiéj, po wschodach słychać było żywe kroki; zbliżyły się one do drzwi i mężczyzna młody jeszcze, pięknéj twarzy, na któréj szyderstwo i ironia się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną ekscelencyą, odezwał się:

— Najjaśniejszy królewicz przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszém, żąda, abyście natychmiast przynieśli mu depeszę.

Brühl udawał zmieszanego.

— Nie jestem ubrany.

— Jak stoicie.

— Czy takie są rozkazy?

— Co do słowa.

Spojrzawszy jeszcze na swój strój Brühl, ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia.

W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał.

W téj chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

— Przynoszę waszéj królewskiéj mości najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę jak osłupiały; zakrył sobie oczy.

Chwila milczenia była z obu ston: Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania, i wskazał, aby się podniósł.

— Brühl, kiedy to się stało? jak się to stało?

— Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precyoza i droższe nad nie akta, przywożę sam i składam u nóg waszéj królewskiéj mości.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie ukląkł znowu i udał, że płacze: chustką okrywszy

oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i na prawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewne łzy lać zaczął.

— Mów mi, Brühl, jak się to nieszczęście stało! — zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie, począł opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jéj cały, przytomność króla, stoicyzm i spokój, z jakim umierał. Naostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widocznie cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył.

Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniéj woli. Królewicz spojrzał na Brühła i westchnął.

— Stanie się zadosyć żądaniu i radzie niezapomnianego rodzica! I ręce podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał roztwarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi do komnat królewiczowéj prowadzące otwarły się i czarno ubrana Józefa, Sułkowski, ojciec Guarini procesyonalnie weszli.

Jakież było zdziwienie ich, widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podróżném, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk łkając jeszcze rzucił się w objęcia żony, która płakała, ale wedle prawideł hiszpańsko-austryackiéj etykiety, która i formę żalu i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sułkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął:—Mieliście czekać na nas.

— Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

— Kto?

— Watzdorf.

Sułkowski zdawał się notować sobie to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wydawały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą i jakąś obawą ciężaru, jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który taić się nie myślał. Żal królewiczowéj Józefiny był przybrany więcéj niż rzeczywisty a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało; na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę. Sułkowski był zadumany, ponury, jak ten, który przy-

chodzi do władzy i rachuje, jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet wobec pani, któréj winien był poszanowanie. Ojciec Guarini załamane ręce trzymał pobożnie pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudyowany. Brühl nie zapominając o tém, iż powinien był być pogrążonym w boleści, nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściéj spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczówna kilku słowami pociechę starała się wlać w męża pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski nie wyczekując dłużéj, ośmielił się, zbliżywszy, podać radę, aby zwołać najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły wielkiego Augusta.

Józefa spojrzała na natrętnego doradcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z ojcem Guarinim idącym za nią w téj saméj postawie, w jakiéj go przed chwilą widzieliśmy.

Między pozostałemi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał, królewicz dawać ich nie śmiał; Sułkowski wskazał Brühlowi, by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcéj, niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za klamkę, wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim; jakby przeczuwszy to odjął chustkę od oczów królewicz i obejrzał się po pokoju.

— Gdzie Brühl?

— Wyszedł.

— Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nieśmiało wychylił się za drzwi, szepnął i powrócił.

— Trzeba po królewsku i po męsku znieść, co Bóg zesłał — odezwał się w tonie poufałym. — Królowie nie mają czasu oddawać się smutkom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

— Tajna rada się zbierze natychmiast...

— Więc idź i przewodnicz jéj, ja nie mogę — rzekł królewicz — i niech tu przyjdzie Brühl.

— Ale do czegóż tu Brühl potrzebny? — szepnął z wymówką Sułkowki.

— On? na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go mieć, niech przyjdzie.

— Posłano już po niego — poruszając ramionami odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

— Ale nie gniewajże się, Józku—płaczliwie dodał Fryderyk.

W chwili, gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiéj ozwały się wszystkie jękiem żałobnym. Królewicz padł na kolana i modlić się zaczął. Sułkowski poszedł za jego przykładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zlewały w ponury chór, któremu szmer i wrzawa miasta rozbudzonego żałobną nowiną towarzyszyła.

VI.

Właśnie, gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną Cleofidę. Przepych, z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu; czarowna maszynerya teatru, zwabiały doń przynajmniéj tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną, w całém znaczeniu tego wyrazu, na scenie, za kulisami i daleko daléj, niżeli one sięgały. Signora Bordoni choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owéj epoki, Jana A. Hasse, mogła była o nim zapomnieć. Małżeństwo to nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studya w klasycznéj Włoch ziemi.

Gdy powóz, wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niéj przy scenie i zrzuciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była w pierwszéj młodości, ale mimo swéj włoskiéj krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, nie eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztapiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posągowych kształtach, jakby energiczném dłutem Michała Anioła wykutych z jednéj bryły.

Nieposzlakowana piękność równała się głosu potędze. Wszystko w niéj było z charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bo-

gini, co skinieniem brwi Olimpem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny, bujny, jak grzywa arabskiego konia... W twarzy, mimo klasycznéj piękności rysów, więcéj było grozy i siły, niż niewieściéj słodyczy. Czarne brwi, nieco za wyraziście zarysowane, marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały ząbkami, jak groźbą. W całéj niéj znać było nawykłą do panowania, do hołdów, do rozkazywania istotę, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwintnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atłasem, a koronkową zasłoną obwieszona toaleta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pająk wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo włoszki, które nawet malowniczego swego upięcia włosów nie porzuciły, srebrnemi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar stojący w kąciku... rzuciła się na sofę, na pół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnemi sznurami domowéj swéj sukni szerokiéj, w kwiaty, w któréj przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna się nie poruszyła, spojrzała tylko i pół uśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowéj. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energię włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnemi, długiemi, spadającemi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratich*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo w zachwycie grający na lirze nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół oddając pokłon obojętnéj Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swéj sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

— Angelo!—zawołała Faustyna—biegasz za temi obrzydliwemi Niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe, jak można w Niemce widzieć kobietę. Spojrz-że na ich ręce i nogi.

— Signora! — rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się

Angelo, rzucając wzrok w źwierciadło, bo trochę kochał się w sobie — *Signora, non e vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki — śmiejąc się przerwała Faustyna — że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiém niebem, włoskiemi twarzami i sercem Włoszki... ja tu usycham...

Faustyna spojrzała nań, a ręką dała znać dziewczętom służebnym, ażeby odeszły...

— *Ingrato!* — szepnęła cicho — pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potém oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się nie chcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już Albuzzi? — spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosna, ani o twoję Apolinową piękność: tylko, tylko jéj nie cierpię, i ciebie, Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spojrz na żegar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz; był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscelencyi — zawołał. — Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała, ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety — dodała — ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom. Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnéj sukni, w trzewikach i pończochach, w peruce gładkiéj, twarzy pucołowatéj, małego nosa, czoła nizkiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwyczajnego; Faustyna, która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to

Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imię mu było Jan, jak większéj części Niemców. Faustyna go na Giovanniego przerobiła, i dała mu przezwisko *Piccolo.*

— Piccolo? czyś oszalał! co tobie? — zawołała.

— Król umarł, król August wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło co żyło w teatrze. Większa część artystów mających grać w „Cleofidzie“ już napół była ubrana. Albuzzi wbiegła nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jéj uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w niéj było zdrobniałe, a żywość tylko tém większa.

Za nią z jasnym włosem Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych ledwie, z twarzami przestraszonemi, których połowę róż, a pół jeszcze bladość okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy:—*Il re e morto!*

Nie można było się zrozumiéć, ni usłyszéć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcéj, niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała, wcale się nie zdając tak bardzo rażona tą wiadomością.

Ku niéj, jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie chciała się wydać z tém, co myślała.

Dzwony odzywały się w całém mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów! — zawołała rozkazująco.

Ale jéj nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.

— Wszyscy do domów! — powtórzyła Faustyna — nie mamy tu co robić, a pewno nierychło grać będziemy.

Sama téż zbliżyła się do sofy i zdawała chciéć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynał się rozpływać i wychodzić szemrząc. Albuzzi zamyślona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrzała przez ramię na Faustynę i zwolna wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się nie widziéć podżyłego mężczyzny, który stał na uboczu i poglądał przez okno na ciemność.

Kaszlnięcie dało jéj znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse, z imienia mąż Faustyny.

— Tak — rzekł obojętnie Niemiec, czystą i piękną włoszczyzną.

— O czém myślicie? czy już żałobne *Requiem* piszecie dla nieboszczyka?

— Prawie odgadliście — rzekł poprawiając peruki kompozytor — myślałem czy msza, którą ułożyłem dawno *Sulla morte d'un eroe*, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal, w muzykę się obraca.

— A w co my się teraz obrócimy! — westchnęła Faustyna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli, Hasse chodził ręce włożywszy w kieszenie z głową spuszczoną. Stanął potém przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać — rzekł spokojnie — Hassego niełatwo kto zastąpi, choćby i Porpora. Faustyny nikt.

— Pochlebco — rzekła Włoszka — Hasse stary będzie śpiewać lepiéj, jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zgaśnie.

— Nie tak prędko — odpowiedział zamyślony Niemiec — wy to lepiéj wiecie ode mnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarzównę pan nasz, czy zechce?...

Hasse się rozśmiał.

— *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa?* — szepnęła zadumana. — Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim. — Promień myśli jasnéj przebiegł po jéj czole. — Biedny stary August nie żyje — rzekła zniżając głos — radabym mu piękną powiedziéć mowę pogrzebową, a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył.

— Mów pogrzebowych mu nie zabraknie — rzekł głosem prawie niedosłyszanym — ale przyszłość inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saksonia odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym — zawołała Faustyna — mogłaż być kiedy szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą... blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał cały brylantami okryty; ale kraj łzami te dyamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreznie, a jęki po Saksonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— *Tace,* milcz! — nie dam ci nic mówić na niego: brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie — rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią — całą moję miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jéj głosie i starczyło mi, gdym go słyszał, lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widziéć króla inaczéj i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, i zawołała, aby wszedł.

Z pewném wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał zbira na maskaradzie.

— Myślałem — odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny — że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu — mówiła Włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami...

— Biedny król — westchnęła Faustyna.

— A! — podchwycił złośliwie Watzdorf — żył dużo, miał trzysta co najmniéj kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrzał ukradkiem.

— Cóż teraz będzie? — spytała Włoszka.

— Mieliśmy operę *Il Re Augusto,* wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepsza. Pierwsze w niéj role grać będą: Córka Cezarów, Padre Guarini, Padre Salerno, Padre Togler i Padre Kopper, a w dodatku jaki Frate... nazwiska nie zgadnę. Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse, pisać, jak pisał opery. Gorzéj z nami komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pazie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i szepnął:

— Dosyć! dosyć! a nuż kto pode drzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku? — zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... no nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

— Wiecie, ten d'Argelles, co tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzałam. Żal mi było biedaka, wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pręgierzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki, aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę. Płakałam, patrząc na biednego człowieka. Siedzi w Kaspelhauzie w Gdańsku, z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

— Wistocie to ciekawa historya, signora Faustina — odezwał się szydersko Watzdorf — ale wiecie, kogo ja więcéj żałuję, niż majora d'Argelles?—tego, który się tak okrutnie i nieludzko mścił nad nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrzał na Włoszkę nieulękły wcale.

— Signora Faustina! — rzekł — teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jak-eście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednéj fajki. Gdy mu podają nowa, głową wstrząsa i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc — dodał — jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkiém wiecie, a mnie czas myśléć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niéj chodzić serce, niech się ubierze ciało; nikt głęboko nie zajrzy. Zapomniałem — rzekł nagle zwracając się od drzwi do Faustyny — jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turyngii, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął. Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno? milczę.

Faustyna była zmieszana.

— Signore — rzekła, zbliżając się do niego — jesteście niepoprawni. Tu z nami nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam groźb żadnych — westchnął Watrzdorf —

ambicyi innéj nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Königsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O· bogdajbyś nie był prorokiem! — rzekł Hasse, składając ręce. Myślcie, co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jéj między ludzi nie rzucał... — odpowiedział już we drzwiach Watzdorf. — A zatém dobréj i najlepszéj nocy państwu!

I zniknął.

— Niéma wątpliwości — odezwał się Hasse — że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi niéma wolnéj w Königsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął, a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

VII.

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizyognomią miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żałoba, zaledwieby w niéj dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Około zamku i pałacu na Taschenburgu, krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo.

Widać było ruch niezwykły, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardyi i szwajcarów pozostał niezmieniony. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żałoby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuryera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonił go oczyma i szeptano sobie, dokąd i po co mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Koenigstein był blizko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl ta sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto był mu posłusznym nawet po zgonie, aby się ważył co począć z siebie i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągnąć kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe? tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku; koło niéj było cicho. Wiedziano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precyoza i całą tajną królewską kancelaryą. Co się działo na zamku i w pałacu na Taschenburgu, o tém z ulicy

— A po cóż? — odparł szybko Globig — owszem, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć, to razem.

— A gdy padać, to kułakiem w kark? — spytał Hennicke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha! — podali sobie ręce.

Hennicke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu! — rozśmiał się Hennicke.

Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, kłaniając się.

— No panowie! cóż się dzieje? co? padamy, czy idziemy w górę?

— A, niecierpliwi! — krzyknął gospodarz — czekajcie!

— Gdy idzie o skórę... — odparł przybyły.

— Panie radco Loss, nasze skóry, wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzeniaby nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?...

— Co? to co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz? — syknął Hennicke szydersko — Sułkowski katolik w protestanckiéj Saksonii nie może być prezydentem rady, chybaby się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, królby mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowéj.

— A wiesz, że masz słuszność — przerwał Globig — mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tém — zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu — że najjaśniejszy pan może zmienić prawo.

— Bez zwołania sejmu? — spytał Hennicke.

— Chociażby... jest tu panem — mówił Loss — to przecież nie rzeczpospolita polska, gdzie szlachta robi, co chce, ale król się kłaniać jéj musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszéć u drzwi i w téjże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanąwszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radca Stammer.

— Cóż to, sejm? — zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany — przerwał trochę markotno Hennicke — doprawdy, gotowi pomyśléć, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czém myśli? to się dopiéro

zacznie jutro — rzekł Stammer — dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanąwszy twarzą do zachodu, czémś innóm musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się panowie radcy.

— Stammer, ty co wiesz wszystko — zawołał Globig — co słychać?

— Dzwony, dzwony, dzwony! — rzekł Stammer — gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczéć należy, jednćm okiem płakać, a drugiém się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem... — rzekł po małym przestanku — wychodzisz?

— Muszę — przepraszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz — służba.

— Tak! tak najważniejsza — dodał Stammer. — Każdy służy dziś sobie... niéma więcéj wymagającego pana.

— Wistocie, nie wiecie nowego nic? — zcicha rzekł Globig zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednéj wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstowstwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiéj nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipscy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski na przedzie.

— Sułkowskiego położyliście na ostatku?... — spytał szydersko Loss — ho! ho!

— Dlatego, że on powinien być na początku — rzekł Stammer — a teraz, ponieważ czas gorący, choć na dworze zimno... żegnam panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który snać osobno iść chciał, bo się przypóźnił wydając jakiś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich obejrzawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiéj stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedziéć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka się zatrzymała przed domem, w którym mieszkał ojciec Guarini. Pokój ten, gdzieśmy go widzieli z Brühlem, był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufałych gości, spowiednik królewicza i królewiczowéj, najmniéj widoczna a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe téż piętro zajmował padre, a wedle tego, kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem, w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami, w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz ta była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych, ale blada i zwiędła. Uśmiech nadzwyczajnéj słodyczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzymski, wązkie usta, twarz ogolona starannie, nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy schody, nieznajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale, wszedł w głąb' sieni. Co widząc sługa, podążył coprędzéj otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu, ale salki gościnnéj ojca jezuity.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godeł i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach, dawało się domyślać, że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tym i teraz nie było nikogo, ale ojciec Guarini w téjże chwili wyszedł z gabinetu, usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego; nieco zdumiony z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i oba pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie — rzekł prędko stłumionym głosem gość — ja sam nie wiedziałem, że tu dziś będę. Domyślicie się, co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższéj wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcye — odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę. Każcie zamknąć drzwi wasze. Musimy być sam-na-sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu — odezwał się Guarini — jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie traćmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie, a radźmy zawczasu.

Guarini się zamyślił ważąc, co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potém cicho:

— Najprzewielebniejszy ojcze! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem; królewiczowa, jeśli być może, żarliwszą jeszcze. Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal, co ich otacza, wyznaje świętą wiarę naszę.

— Ale Sułkowski! Słyszę, że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi. Jeśli Sułkowski, możemyż mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrzał w oczy przybyłemu, rękę jednę do ust przyłożył i głową potrząsł.

— Kotolik jest — rzekł po chwili — lecz chłodny, ambicya u niego wyżéj wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

— A jednak, ominąć go, obalić go, o ile wiem, niepodobieństwem — zawołał gość. — Królewiczowa ma-li dosyć siły?

— Z jéj twarzą i z jéj charakterem? — szepnął padre. — Myślicież, że w téj spokojnéj, dobréj, zacnéj naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce załamał.

— Kreślicie mi obraz nadto smutny — zawołał na to — bądź-co-bądź należy szukać rady.

— Wcześnie o tém myślałem — począł Guarini sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. — Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łoże, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie (westchnął) może coś więcéj jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz — przerwał — gdy w wielkiéj sprawie do małych i wstrętliwych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita* — z cicha zacytował padre Guarini. — Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem — rzekł gość — sprawa jest zbyt wielkiéj wagi, abyśmy nie mieli dla niéj narazić się, choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tém dawném ognisku ohydnéj herezyi Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczéj jednę zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój ojcze — rzekł zcicha — to wszystko stokroć powiedziałem sobie, dlatego ja w sukni téj oplwanéj i bez sukni służę, jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako pulcinello u królewicza, jako impressario za kulisami, jako doradca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jéj zdobyć siłą, opanowywa się ją podstępem: *Media sunt licita.*

— My tego, mój ojcze, mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość — odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini — nie gorszcie się nami; nieraz wam tu przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabemi ludźmi jakże iść nie wiodąc ich na pasku ich własnych namiętności... Królewiczowéj jesteśmy pewni, ją osłonić i jéj wpływ umocnić, gdyby to było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza pani jest, przebaczcie mi ojcze, najnieznośniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki i bez niéj nie wyżyje. Jeśli my mu jéj nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył ojciec Guarini, a po chwili mówił daléj:

— Sułkowski nikogo słuchać nie będzie, poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swém: da mu, co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzia wyborne dała nam Opatrzność. Mamy człowieka. Tym jest Brühl.

— Protestant — podchwycił gość.

— W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwolić; wiecie, co powiada Maldonatus nasz: *Quando vobis dissimulantibus religio vera aliquod detrimentum acceptura sit, aut aliqua religio falsa confirmaretur, alias illam dissimulare licet, aliqua causa legitima interveniente* *). Brühl będzie a raczéj jest katolikiem. Damy mu za żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowéj i naszéj; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteśmy tu panami. Nikt nas nie posądzi o udział

*) *Joannis Maldonati Summula.* Coloniae 1605. p. 3.

w téj sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać przeciwko katolikowi.

— Lecz jesteścież go pewni?

Ojciec Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszéj, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę — po chwili namysłu przemówił nieznajomy — ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwém.

— Z dziś na jutro niemożliwémby było — rzekł ojciec Guarini — rok, może dwa, może więcéj, pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce bożéj, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze kurfirsta?

— Tak jest — odpowiedział Guarini — ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecię, któreby wykołysał na rękach.

— Królewiczowa? — spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jéj nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnéj. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! przecież nie dopuścicie, aby po ojcowsku szalał i siał zgorszenie, i puścił się na rozkiełznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet — rzekł Guarini — jego natura powściągnie go od jawnego zgorszenia, ale nie od okiełznania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

— O! biadaż tym, co dla świętéj sprawy w kale pracować muszą! I jak się tu nie zwalać? i jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież, coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy—westchnął, żartobliwą minę przybierając Guarini. — Zazdroszczą mi ludzie...

— Nie ja — odparł kłaniając się gość — a! nie ja...

— Plany więc nasze? — spytał ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady — odparł przybyły — nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się! Królewicz płacząc, to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władcą, ów istotnym, a potém...

— Sądzicie, że go obalić potraficie? — spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który nie ma nawet przeczucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicya Brühla jest dla nas najskuteczniejszém narzędziem.

— A ten człowiek? — spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkiém ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszéj. Przytém słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli, przybyły gość zasunął się w głąb' kanapy i zadumał.

— Mogę wam czém służyć? — zapytał ojciec Guarini.

Pytanie to przeszło niedosłyszane, tak ten, do którego się zwracał, zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem? — zapytał po milczeniu, które ojciec Guarini uszanował.

— Z nawracaniem? tu? w samém gnieździe herezyi? — rzekł ojciec — tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze, które nasze sieci rybacze wyciągają na brzeg, niewiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostolski. Do innych herezyj nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą, niż ze wszystkiemi innemi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezye nie nowa, ale ten, co apostołuje, człek możny, człek dobréj wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością, jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina Braci Morawskich, coś nakształt zakonu, ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? mówcie! — z zajęciem podchwycił gość — nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem téj rzeczypospolitéj Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jedném miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dziewic, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczerze ubłogosławione modlitwą. Możny pan, hrabia Zinzendorf, nadał gminie grunta i sam jest jéj kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska, są prawidłami życia nowéj Braci Morawskiéj, a raczéj Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

— I dopuściliście, aby się to gniazdo herezyi niebezpiecznéj rozsiadło tu, gdzie już ona panuje?

— Starałem się przeszkodzić, dotąd napróżno — rzekł Guarini — zjeżdżały komisye, były badania: Zinzendorf będzie wygnany...

— Ale tam dziać się muszą szkarady? — odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrożnego. Ludzie to różnych nawet wyznań, związani w jednę tę dziwną społeczność, która ma majętność wspólną, w któréj niéma ubogich, w któréj sierot niéma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum! — zawołał — a małżeństwa?...

— Jak najostrzéj zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego, wiecie, jak się one zawiązują? Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stadła są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy! lecz to są zdala pochwycone wieści, to niemożliwe...

— Sam tam byłem — odparł Guarini — sam patrzałem na idące modlić się chóry, na dziewice z pąsowemi wstążkami, na zamężne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął.

— Spodziewam się, że nie ścierpicie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę — szepnął Guarini — Zinzendorf zostanie wygnany, gmina się rozpierzchnie.

— Najlepiéjbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo luterskie.

— Ono w tém nic zdrożnego widziéć nie chce.

— A Zinzendorf? zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcijanach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na któréj świat się chrześcijański obracać powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi począł ręką domagać się, aby ojciec Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania, i rozgospodarował się tu, jak we własnym domu. Tymczasem padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznajomego, szybko już poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W téj samej salce, w któréj go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy ojciec Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko, ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewném oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała tryumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrajał do obowiązkowéj żałoby.

Ojcu Guarini daleko więcéj było wolno; pomimo urzędowego smutku, wiedział, iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na nizkim taburecíku przy królewiczu, patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tém, co jest losem nieuchronnym wszystkich śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a wasza królewska mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Frosch'a (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze, że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figlów mu płatać niewolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie, patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne! — szepnął królewicz — ale mnie tego widziéć nie wypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, nie wypada: żałoba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię — odezwał się królewicz i spojrzał na Sułkowskiego, który się przechadzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął: — Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtém Sułkowski, który wiedział, jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczém rozerwać — rzekł — a tu trosk tyle...

— Ja sądzę — ozwał się jezuita — że przy waszéj chętnéj pomocy, wszystko się ułatwi.

— Tu, w Saksonii zapewne — odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzał i dawał znaki zgody — tu w Saksonii, ale w Polsce...

— Świętéj pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ksiądz biskup Lipski. Cóż mówi Brühl? — zapytał Guarini.

Królewicz spojrzał na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do odpowiadania. Sułkowski na wspomnienie Brühla, chwilkę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcyi pracować będą. Ale któż wie, czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francyi, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po ręku Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny — dodał Fryderyk prędko. — Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Oba przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się, że daléj mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha ojcu Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie, że oni sobie języki pokazywali!

— Albo sobie, albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i zawstydzony zamilkł nagle. Sułkowski stał zamyślony i nieco zgorszony spojrzał na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustynę? — zapytał.

— Nie — rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? powiedzcie jéj, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* głos anielski; żadna jéj nie zrówna. Jak mi będzie tęskno za jéj głosem! Ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś niemiły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłonie.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję—zawołał — bogdaj doczekała tego Saksonia, aby w niéj tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królewicz się obejrzał.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy, jako katolikowi, ministrować, znajdę na to sposób: poczciwy Brühl zrobi, co mu każę...

— Nie ujmuję bynajmniéj Brühlowi — odpowiedział Guarini — ale to zapamiętały heretyk.

Na to królewicz jedném tylko, — ee! — odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął — ee!

Sułkowski niedowierzająco spojrzał na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród téj rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królewskiéj. Cały był ubrany żałobno, smutek téż miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać waszę królewiczowską mość — odezwał się — jadę natychmiast do Warszawy; sprawy elekcyi przyszłéj zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszem — rzekł wzdychając królewicz — chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski, ani Polaków nie zna — żywo odezwał się podskarbi — to nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— A! dobrze, jedziecie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy, które w Wilanowie zostały... Ja je chcę miéć! każcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wiecie...

— Wiem, czarne — rzekł Moszyński.

— Jupiter, Dyana, Merkury, Pijawka — począł liczyć królewicz. — Co się stanie z myśliwstwem! Dojrzyjcie proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sądzę, że trzebaby to tam zostawić — odezwał się podskarbi — gdy królewicz jako król tam powróci...

— Mój drogi i z pałacu saskiego w bawełnę mi ją obwiń, Magdalenę, a przywieź. Nuż jéj się tam co stanie! To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy? — zapytał.

— Kłaniaj się muszkieterom; ojciec mój tak ich lubił. — Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło, królewicz usiadł; Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tém, co lubił, poszedł skinąć na czybukczego kamerdynera, który fajkę nową podał i fidybus zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając, dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

Ojciec Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale napróżno; fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silniéj i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiéj i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcéj wzrokiem niż mową go żegnał...

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Guarinim. Zaledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego ojca.

— To jeszcze nic — szepnął — jak oni sobie pokazują języki, ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie łajać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a! to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmiernéj komiczności opisanéj sceny i sam zrobił minę tak komiczną, tak wesołą, iż biedny, osierocony syn znowu zapomniał trochę o swéj żałobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale późniéj! — rzekł cicho — późniéj, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał; pilno mu znać było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się, że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawróci! to człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

VIII.

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiéj, każda z nich pochlebiała sobie, że choć na chwilę zwróci na siebie oko, lubo wszystkie wiedziały, iż się ono na żadnéj długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszéj, zalotniejszéj, żywszéj i więcéj umiejącéj się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzynią dworu królewiczowéj, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowéj, nadzieje świetnéj przyszłości, imię, które nosiła, czyniły dziewczę dumném i samowolném. Im bardziéj dorastała, tém matce trudniéj ją było prowadzić. Jedynaczka i ulubienica, mimo surowego wejrzenia królewiczowéj, umiała się wyswobadzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryżki. Przyszłość nie zdawała się jéj tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Małżeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jéj wielce ciężyło.

W kilka dni po przyjściu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcéj niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczowéj, były jéj wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swéj pięknéj figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamgloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwoniła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowéj, ona była wolną aż do wieczerzy i niedobrze wiedziała, co zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jéj padło na szkatułeczkę bronzami okutą, wzięła ją z małego stoliczka i przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnemi paluszkami poczęła je przebierać od niechcenia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nie bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwném uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała z uśmiechem, nie czytając, inne, rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze, odczytywała oczyma błyszczącemi i zamyślała się nieco. Tak przetrzęsła szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niéj i zam-

knęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszku jéj błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzała okiem smętném. Była to obrączka czarno szmelcowana, stara, nieładna, ale złotemi głoskami stało na niéj niezgrabnie po hiszpańsku: *A hora y siempre...*

W pokoiku panny Franciszki, oprócz drzwi głównych wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były maleńkie ukryte i nieznaczne w ścianie, które wychodziły do małéj sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili, gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś zajrzał niemi... nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się zwolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj, ta twarz zwykle szyderska, miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, zaledwie na niéj pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi Krystyanie! — zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym — jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć: donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł — odparł zbliżając się Watzdorf. — Franiu, bóstwo moje! siedziałem wypatrując godziny skurczony pod schodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. Wielka ochmistrzyni czyta, lub modli się z naszą panią, niéma nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile! — zawołała Frania — ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie; cierpliwości — rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę — mam nadzieję...

— A ja żadnéj — przerwała hrabianka — mną rozporządzą, czy zechcę, czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, padre Guarini? któż wie, ja-m niewolnica!

— Więc uciekajmy stąd!

— Tak? dokąd? — śmiejąc się, zawołała Frania—do Austryi, gdzie nas złapią cesarscy; do Prus, gdzie pochwycą brandeburczycy. Uciekajmy! to dobrze? z czém? jak? Ty Krystynie nie masz nic, oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic, oprócz łaski cesarza i królewiczowéj.

Watzdorf się zamyślił.

— Ależ serce twéj matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumie.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mogęż ci ją dać, gdy sama jéj nie mam? — odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie.

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie! — rzekła — nikogo kochać nie potrafię i dlatego, że ku tobie mam miłość, chcę z tobą mówić otwarcie.

Watzdorf sparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem — mruknął — zechcesz mi dowieść, iż dlatego, żeś mnie kochała, nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego, że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest; muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne — przerwał Watzdorf — to obrzydliwe: nie chcesz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła — zawołała Frania — jutro w ucieczce pochwyconoby nas i ty poszedłbyś na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazya przeznaczy.

— Ja, zdaje mi się, bądź-co-bądź, na Königstein się dostanę— zawołał Watzdorf — nie mogę wstrzymać ust, patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię, co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj, Krystyanie, zamiast mówić, milczéć powinniśmy — odezwała się Franciszka — zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić niemi i panować im.

— Poddając się ich fantazyom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brudząc siebie — rzekł Watzdorf — to śliczne życie!

— Więc lepiéj wyrzec się wszystkiego? — rozśmiała się Frania. — Ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie, jak ono jest.

— Ja niém gardzę — mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biedny ty zapaleńcze! — westchnęła. — A! jak mi żal

ciebie i siebie: żadnéj przyszłości, żadnéj nadziei... a jeśli nam błyśnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie — szepnęła — to życie — aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem! — dodał Watzdorf, który rękę jéj pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał. — Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więcéj życie nade mnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie — poczęła cicho — ja sama nie znam siebie, mnie wychowano kołysząc fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą, nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić — patrząc w jéj oczy, począł Watzdorf namiętnie — i ja-m był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jéj ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie: ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więcéj niż usta, ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł, nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała, widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jéj wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją spostrzeżono, szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jéj straszny był, usta drżały; Frania podnosząc oczy, zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona niém jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie ręką szukał szpady, jeszcze nie widząc, kto ich naszedł.

Dopiéro zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął blady i milczący jak winowajca na uczynku pochwycony.

Wielka ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwytała powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu i przyłożył ją do ust w chwili, gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się wciąż, drzwi pokazywała. Krystyan spojrzał na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna; twarzyczka jéj tylko bladością się okryła. Hrabinéj z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała — do tegoż więc doszło, że w swojém mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadzki mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham! — odpowiedziała chłodno córka — tak: kocham go!

— I śmiesz mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegóżbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

— I myślisz, że ja na to dozwolę? że dla téj głupiéj miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoję przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Ja-m się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą — odpowiedziała zimno hrabianka — los mój mogłam przewidzieć zgóry.

— Tyś oszalała! — zawrzała matka.

Frania usiadła w krześle naprzeciw niéj, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go podniosła.

Zimna, szyderska rezygnacya biła z jéj twarzy; spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przelękłe.

— Szczęściem, mógł wyjść niewidziany — poczęła jakby sama do siebie — jutro te drzwi zabić każę, a ciebie zamknę jak niewolnicę... Mogłażem się spodziewać dożyć tego!...

Frania wciąż kwiatek gryząc zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jéj podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka gniew jeszcze większy obudzało w hrabinéj. Zerwała się z siedzenia i wielkiemi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzéć na ciebie, biada mu! Padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamkną go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził — odezwała się hrabianka — właśniem mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu, że sobą nie władnę; że mną jak niewolnicą rozporządzą; że pójdę, za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię, co myślę. Ten, co się ze mną ożeni, będzie wiedział, czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzuciła na córkę dziwne wejrzenie groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamanemi rękoma stanęła przed Franią.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czulszym— właśnie w chwili, gdy ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty...

— Ofiary w złotogłów ubranéj — śmiejąc się gorzko odpowiedziała Frania — tego losu ja-m dawno miała przeczucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz, że woli pani twéj opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Który żadnéj woli nie ma — szepnęła hrabianka szydersko.

— Milcz! — przerwała groźno hrabina. — Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tém, o czém wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście, szczęście to wielkie!

— Większe, niżeliś zasłużyła — odpowiedziała matka. — Cóż możesz mieć przeciw temu najmilszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

— Nic a nic, jest mi tak obojętnym, jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten, którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego imienia: ja jego nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go — zimno odparła Frania — nie chcę, by ginął; chcę, by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć, ani mówić do niego: zakazuję...

Frania zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni nawykła do porządku dworu postrzegła z przerażeniem, iż pięć minut upłynęło, jak powinna była być u królewiczowéj, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną — odezwała się rozkazująco do córki — królewiczowa kazała ci przyjść. Wiesz, jak powinnaś się znaléźć.

Była to godzina wieczerzy; wprędce potém, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, któréj królewiczowa Józefina strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austryackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętném. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy, którzy się znajdowali w chwili wieczerzy, odchodzili do osobnego stołu

marszałkowskiego w drugiéj sali. Tego dnia królewicz sam jadł z królewiczową. Ojciec Guarini, który wieczerzy nie jadał, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach mniéj żałobnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie Frosch i Storch. Najczęściéj bili się oni i wygadywali błazeństwa, a królewicz śmiał się, podjużał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żałoba świeża nie dopuszczała teraz, aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła, Guarini dozwolił, aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie sali, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak, aby królewicz zaraz mógł ich zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświecony rzęsisto. Fryderyk wszedł podając rękę żonie, któréj twarz dziwnie pospolita i niepiękna odbijała przy pogodnéj i wspaniałéj, rysów regularnych, ale jakby zastygłéj twarzy męża. Typ habsburski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniéj, młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła warga, chmurne oblicze, coś surowego, a gminnego odstręczało od niéj.

W czasie, gdy o. Guarini odmawiał Benedicite, oboje królewiczostwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy oba zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszemi stali, niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty.

Storch niepomiernie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żałobę, mieli oni na sobie fraki pąsowe i pluszowe spodeńki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pociesznie, jak skórka barania: u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w harbajtel. Frosch stał jak kolos rodyjski rozkraczony, z rękami na plecach założonemi, a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch, wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak grenadyera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo téż był zabawny.

Królewicz zobaczywszy ich, uśmiechnął się, ale im pogroził zdala, aby się zachowali spokojnie. Storch, nic poruszając się, odpowiedział, oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętale i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go téż,

że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinąwszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprawił królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go, iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencyą rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnem. Sułkowski się spodziewał, iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnéj dłoni.

Lecz przyszłość była zakrytą.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zlawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł powrócić do ulubionego jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionéj, równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężyła żałoba. Ale to wszystko przyjść miało wkrótce do porządku. W Polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy, mieli sami postarać się o elekcyę, a Brühl też za nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca, oświadczył Fryderyk, iż wszystko, co ubóstwiony przez niego August wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swéj sile i w niczém zmieniać się nie będzie. Kraj, który się spodziewał odetchnąć, wkrótce też nabrał smutnego przekonania, iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo ściągać zaczęto. Tego wieczora królewicz, zaraz po kolacyi, odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za niemi pociągnął.

W drugiéj sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi, żartobliwie rzucając słówkami, przechadzał się o. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jéj towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś, w środku sali. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jéj znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko — rzekła głosem suchym i niemiłym — czas pomyśléć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwéj, matka pochwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką — dodała królewiczowa — i dlatego cię najprzód zapewnić muszę, że przyszły twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętéj wierze katolickiéj, przyjmie ją. Będziesz więc miała tę pociechę, że jednę duszę zyszczesz Bogu.

Frania słuchała obojętnie, zdało się, że pociecha ta małe na niéj czyniła wrażenie.

Królewiczowa spojrzała i nie mogła wyczytać nic z młodéj téj twarzy zastygłéj.

— Mogę ci powinszować wyboru — dodała — wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy: człowiek przeznaczony dla ciebie jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem, jest to minister Brühl.

Znowu spojrzała Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiéj i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny, Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętém młodemu dziewczęciu.

Na tém skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz zapewne z natchnienia matki i za jéj wiedzą, Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj, wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jéj do twarzy, piękność jéj świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladości, nie miała na sobie żadnéj oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacya nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubéj żałobie, ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać, aż do zbytku niewieścio i pieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pośpiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka zlekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonii do żałoby, jaką nosimy — rzekł Brühl — i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy — przerwała Frania — cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteś o tém uwiadomioną — podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedyi — zawołała Frania — ani pan mnie, ani jabym jego nie oszukała. Każą mi iść za pana, gdy ja kocham innego; każą się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

— Ja! kocham inną?... — niby zdziwiony odparł, cofając się Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętale Moszyńską: o tém wie, zdaje mi się, ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tém?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... — odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje — dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojéj tajemnicy... dosyć, żem szczera i oznajmuję mu o tém.

— To dla mnie smutne bardzo! — zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie — dodała hrabianka.—Nie mógłbyś pan znaléźć sobie innéj, którą-byś uszczęśliwił?

Spojrzała nań — Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowéj.

— Ojca Guariniego i tym podobnie — podchwyciła hrabianka — rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani — rzekł, przysuwając się z krzesłem Brühl — ja mam nadzieję, że zasłużę na jéj względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszéj nadziei — poczęła Frania — lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronném... dobrze, byśmy się zgóry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jéj szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o niém. Ja panu nie bronię kochać Moszyńskiéj, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem, że się to na nic nie przyda. Córka Cosel odziedziczyła po niéj wdzięk jéj i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl, mimo nadzwyczajnéj łatwości rozmowy i przytomności, poczuł, że się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrém, spojrzał na Franię, bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.

— Bądź co-bądź, ja nie odejdę zrozpaczony — dorzucił po krótkiém milczeniu. Znam panią od dzieciństwa, jestem jéj wielbicielem oddawna; co mi pani przypisujesz dla hrabiny Moszyńskiéj, było chwilową fantazyą, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani, spodziewam się, potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniéj obojętny — przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy — rzekł Brühl.

— Wistocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał; twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia — odezwał się westchnieniem... Potrafię jednak stłumić w sobie wrażenie...

— Nie skarż się pan przed królewiczową — zawołała Frania — nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewiczą. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugiemi. Jeśli nie zmieni się nic; jeśli się pan uprzesz; jeśli pani nasza rozkaże; jeśli mam zostać ofiarą: pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz, kogo bierzesz i co cię czeka.

To mówiąc, wstała; Brühl słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizyognomią, zbliżył się chcąc sięgnąć po jéj rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju Twarz jego na chwilę nachmurzona w progu, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie. Zdawało mu się to obojętném, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł puste pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jéj było bardzo przyjemném.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niéj.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak, jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciałabym przyśpieszać wesela.

— Ja przeciwnie, dlatego, że najlepiéj starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki... — rzekł Brühl. — Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka, poznawszy mniéj lepiéj i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabiny.

— Dziś dość — rzekła — *cela viendra*. Frania jest tak piękna, że jéj nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energię bogini, do któréj jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzecznem pożegnaniem. Gdy siadł do swojéj porte-chaise, która nań czekała u ganku, i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposępniała.

— Radbym wiedzieć jednak, kogo kocha! — rzekł do siebie w duchu. Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jéj pochwycić. A! do serca nie mogę mieć pretensyi... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie! królewicz nie wytrwa wiernym swéj pani... a w takim razie...

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

— Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobremi przyjaciołmi. O Moszyńskiéj więc wiedzą wszyscy: miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.

Pogrążony w dumaniach Brühl nie spostrzegł, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego; kamerdynerowie, lokaje, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niéj uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał!

Witał i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennicke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelaryi, do któréj Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszyscy powstali na powitanie jego ekscelencyi, za którą powoli i niedbale ciągnął Hennicke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął:

— Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnemi guziczkami, do niepoznania przebrany, padre Guarini.

IX.

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać; czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreznie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny, jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego stanowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcéj ważyło — jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przebyli najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urośli na ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzał, jak się on wyrabiał na to, czém został w końcu; Brühl więcéj się go domyślał i odgadywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętném, gdyż najmniejszéj nie miał wiary; papież Klemens XI począł starać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski nie był pewnym; w Saksonii protestanckiéj wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka królowa Eberhardyna (z domu Beireuth) i babka Anna Zofia (księżniczka duńska) czuwały nad tém, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nietylko żarliwe, ale nieubłaganie przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchią dziedziczną, choćby część jéj miał poświęcić; w nadziei téj mógł syna wychować na katolika... inaczéj, było mu to obojętném. Na naglące breve papieskie, August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702 roku zapewnił Stany saskie, że syn będzie lutrem. Wistocie nie wiedział jeszcze, co lepiéj, co dogodniéj i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego, z ręki babki, pana Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współcześni, sama przez się niewiele miała sądu; rządziły

nią protestanckie tartufy, a po obiedzie zwykle mniéj jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowéj Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec, niewiele mógł dobrego zrobić swém wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytniéj wagi, za to protestanccy duchowni dworu królowéj matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczono ani jednego do małego wychowańca. — Doniesiono o tém do Rzymu (Fürstenberg), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z téj powrócił wkrótce. Obie królowe niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterskiéj i razem, według obrzędów protestanckich, poleciły go bierzmować (*confirmatio*). — Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tém sam papieżowi, pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnieby ukarał tych śmiałków, co się ważyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Składały się okoliczności tak, iż Rzym Augustowi był potrzebny, musiano mu się zasługiwać, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę inflanckiego Kosa i uczyniono go przy księciu ochmistrzem. Sułkowski już naówczas się przy nim znajdował.

W 1711 roku zabrał z sobą syna August do Polski, skąd zawiózł go do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncyuszem Albanim. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza, dając mu samych katolików. Nie wiedział o tém wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna, w niedzielę najpierwszą poszedł do luterskiego kościoła, na znak wytrwania przybierając sobie imię Constans. Wkrótce potém we Frankfurcie, przy wyborze cesarza, był także jeszcze na nabożeństwie protestanckiém.

Zaraz potém wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistrza barona Miltitz; cały protestancki dwór królewicza z nim razem, wyjąwszy lekarza, kucharza i kasyera, i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć o. Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazywał mu najprzód jechać na karnawał do Wenecyi! Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze podówczas bywały karnawały na placu świętego Marka. W styczniu 1712 roku wyruszono wprost z Frankfurtu w tę podróż, która dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich trwała lat siedm.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i gienerała saskiego Lützelburga, człowieka bystrego umysłu, ale obyczajów niezbyt chwalebnych.

Królewicz zrazu zaniepokojny w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny, królowéj angielskiéj, i Fryderyka IV, króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii; drugi oświadczył, że jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Breve papieskie, tegoż roku, zapewniło Augusta, iż wrazie napaści książąt protestanckich, Ojciec Święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoję. Królewicz tymczasem w towarzystwie Sułkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech incognito, pod imieniem hrabiego Misnii lub hrabiego Luzacyi. Dwór jego składali, oprócz Sułkowskiego, wojewoda Kos, gienerał Lützelburg i ojciec Salerno, ale ubrany po świecku, jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita ojciec Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper, pod nazwiskiem pana Weddernoy i w ubraniu świeckiém. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu oprzéć się było niepodobieństwem. Z Wenecyi udali się do innych miast włoskich, do Bolonii, gdzie władze papieskie uroczyście przyjmowały księcia. Tu ojciec Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największéj tajemnicy królewicz w ręce legata papieskiego, kardynała Cassoni. Późniéj i Albani i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że Stany saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 roku wracał do kraju wraz z ojcem Salerno, który z Werony, pożegnawszy się pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłéj korespondencyi ze swym wychowańcem.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale najprzód do Düsseldorfu, gdzie jakiś czas mieszkał u kurfirsta Pfalzu gorliwego katolika; późniéj udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W téj podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśnioną. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętéj wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów staréj księżnéj orleańskiéj; znajdowano go nawet miłym, chociaż bardzo małomównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się

też wielce. O zmianie religijnéj mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnéj matce do tego się nie przyznawał. Z Francyi, zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lyon i Marsylią do Włoch i do Wenecyi znowu, gdzie signoria i szlachta wysadzała się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty, komedye, bale, następowały jedne po drugich.

Z porady Klemensa papieża, nakoniec postanowiono dla zapewnienia się o księcia, ożenić go z gorliwą katoliczką; rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez ojca Salerno; minister Starhemberg i książe Eugieniusz dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka przyrzeczoną została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królowę matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku, jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątéj rano w jego przedpokoju. Około jedenastéj zaszła przed pałac kareta nuncyusza, monsiniora Spinoli, naprzeciw któremu wybiegła część dworu, dla wprowadzenia go na pokoje. Wkrótce potém wszedł maleńki człowiek ze skrzyneczką zakrytą, a pan Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passiren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą, być lub nie być przytomni. Otwarły się drzwi na rozcież, nuncyusz przy stoliku czytał mszę, któréj książę, będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncyusz, a książę odezwał się do dworaków swych protestantów:

— Teraz panowie już wiecie, czém ja jestem, a zatém wkrótce proszę za mną.

Na co gienerał Kospoth odparł:

— Jeszcze się o tém nie myślało, trudno się tak nagle decydować.

A książę dodał:

— Masz waszmość słuszność, trzeba wprzódy zostać dobrym chrześcijaninem, nim katolikiem...

Tajemnica została odkrytą, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do jezuitów i komunikował. Radość stąd wielka była w Rzymie.

Saksonii dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka poszanowaną zostanie, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczano z Wiednia przez siedmnaście miesięcy. August dostarczał obficie pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Maryą Józefiną w roku 1719.

Sułkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępnym. Z nim razem tegoż roku przy dworze młodéj pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę cezarów. Sułkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myśliwstwa, konne łowy, zamiłowanie w teatrze i sztuce. W podróżach po Niemczech, Włoszech, Francyi, w towarzystwie pana, widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcéj poznał dobrze słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić niemi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się niezwalczonym. Sam na sam królewicz był z nim w największéj poufałości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki zawiązane na dworach austryackim, francuskim, papieskim, ubezpieczały także Sułkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstępu. Przez żonę, niegdy frejlinę królewiczowéj, pannę Stein-Jettingen, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniéj pokorny i śmielszy, „kawaler“, jak naówczas mówiono, najlepszego tonu. Pięknéj postawy, układny, Sułkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambicyę wielką. Mniéj oswojony ze sprawami bieżącemi kraju niż Brühl, który oddawna przy Auguście w kancelaryi jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Sięgał więc po władzę w przekonaniu, że ją utrzyma i że jéj podoła. Życie jego było skromniejszém od Brühla, który pod rozmaitemi pozorami lubił coraz świetniéj występować i kochał się w zbytku. Sułkowskiego dwór nader był szczupły, służba niewytworna, ekwipaże niewykwintne.

Objęcie ministeryum i zarządu państwa właśnie oddaném być mu miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sułkowski posłał po swego powiernika. Siedział z książką francuską w ręku w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radca Ludovici nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki co Hennicke przy Brühlu; był to jego factotum, zastępca, naczelnik kancelaryi, wyręczyciel i poradnik. Sułkowski, sam mało wprawny w interesa, posługiwał się nim we wszystkiém.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało.

Charakterystyczniejszéj twarzy trudno było spotkać, ani łatwiéj umiejącéj się zmieniać i przybierać wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści Ludovici starszym się wydawał, niż był. Twarz cała w fałdach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wązkiemi i szerokiemi być umiały; cała postać wyłamana i kuglarsko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemném i niespokojném. Trzeba się doń było przyzwyczaić, aby go módz znieść. Nieustannie patrzał w oczy, badał, wyrywał z ust niedokończone wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powagą swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów. Wszedłszy skłonił się i sparłszy na poręczy najbliższego krzesła, czekał, co mu pan minister powiedzićć raczy.

— Dokumenta mam z sobą — rzekł nakonicc uderzając się po boku, z którego kieszeni papiery wyglądały — jeżeli wasza ekscelencya pozwoli...

— Nie o tém się z waćpanem radzić chciałem dzisiaj — odezwał się Sułkowski — mamy o czém innném do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

— O czémże? o czém? Wasza ekscelencya raczy...

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze, czy ma się zwierzyć zupełnie; ta chwila wyczekiwania i niepewności, podniosła jeszcze żywą już ciekawość pana radcy. Ścigał go oczyma, nachylał się, jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzéj pochwycić.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potém w bok się biorąc:

— Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz — rzekł — że żyjąc na dworze, nawet tak nieograniczonym, będąc zaszczyconym zaufaniem kurfirsta jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

— Mogę śmiało powiedzićć—kończył Sułkowski—że się tu nie obawiam nikogo, ale téż nikomu wierzyć nie mogę.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — dorzucił Ludovici — wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak, jakby jutro naszemi wrogami być mieli.

— Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie zrobią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — wtórował Ludovici.

— Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznem.

— Słusznem, pięknem i sprawiedliwém — powtórzył radca — tak, tak! musimy miéć ludzi, którzyby oko mieli na wszystkich...

— Tak jest, nawet na osoby wysoko położone — z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrzał i nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział, jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski nie bardzo się chciał jasno tłomaczyć.

— Ja — dodał z pewném zakłopotaniem — we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę.

— Urzędowe czynności — rozśmiał się Ludovici — ale to jest nic, ekscelencyi prywatne ich czynności częstokroć nierównie więcéj znaczą...

— Radbym więc miéć o tém...

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik—wtrącił Ludovici — każdego dnia, regularnie. Tak: pisany, ustny?

Zawahali się oba.

— Ustny mi starczy — rzekł minister — waćpan mi go sam przynosić możesz, zebrawszy materyały właściwe.

— Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam waszę ekscelencyę, że wierniejszego sługi miéć nie może.

Tu skłonił się i w téjże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

— Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag—szepnął Ludovici ciszéj. — Posłowie obcy, rezydujący przy dworze, powinni ścisłemu podlegać nadzorowi, cóż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi: hm? Nie wyjmuję nawet z przeproszeniem hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrzem dworu... A cóż dopiéro mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weisbach, i baronie Zülich.

— A! mój Ludovici, obce państwa nie tyle częstokroć grożą co wewnętrzne intrygi.

— Słusznie, pięknie — podchwycił Ludovici — tak! tak! tak! Nikt nade mnie wyżéj nie szacuje i nie ceni ministra Brühla.

W téj chwili Sułkowski bystro spojrzał na radcę, radca na niego i rozśmiał się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem w ćwieczek.

— Jest to mój dawny przyjaciel — począł Sułkowski — człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

— Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! — z giestykulacyą żywą potakiwał Ludovici — a tak!

— Radca masz wiedzieć, że zmarły król silnie go polecił najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hrabianką Kolowrath, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo to wszystko źlebyś sobie tłómaczył to, co mówię, gdybyś sądził, iż mu nie ufam, że się go lękać mogę...

— Tak, ale ostrożność jest nakazana a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złoty i rzeka srebrna...

Sułkowski nakazał milczenie.

— Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa.

— Młodszego — przerwał Ludovici — tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie; nikomu to nie szkodzi, oprócz jemu, a jak nie ma być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszéć w blizkiéj sieni domu, z któréj drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piskliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoblekła się inaczéj; zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk przerywany śmiechem kobiecym rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wnijścia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radcy, że na ten raz konferencya była skończoną i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwarły, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wzleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wynijść na spotkanie, dama najpocieszniéj przybrana w żałobę wpadła do gabinetu.

Podobne jéj figurki chyba na parawanach i z porcelany lepione się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta woniejąca węgierską wodą (la reine d'Hongrie: larendogrą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiéj fryzurze, na korkach wysokich maleńka kobiecina wpadła, szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonemi, buzią wysznurowaną, w któréj już połowy niegdyś perłowych ząbków nie było.

W chwili, gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici napół zgięty wysunął się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajętą, oczyma za nim powiodła.

— *A ce cher comte!* — zawołała — widzisz, widzisz, niewdzięczny hrabio! nim mogłeś się dowiedzićć, że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojéj najjaśniejszéj wychowanicy, przybiegłam do ciebie: *N'est-ce pas joli de ma part?*

Sułkowski się skłonił i chciał jéj rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

— Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie, ale daj mi gdzie siąść.

Obejrzała się i na pierwszém krześle upadła.

— Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy.

Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

— No cóż? straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

— Szkoda go, ale między nami powiedziawszy, żył dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tém mówić nie mogę: *des horreurs!* Cóż teraz będzie z wami, sierotami biednemi? Królewicz? prawda? nieutulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencyą do niego i mojéj drogiéj najjaśniejszéj wychowanki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

— Cóż słychać? mój hrabio, drogi hrabio? co słychać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszym się z tego wszyscy, bo wiemy, że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku...

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austryackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowéj Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam, gdzie męskie poselstwo byłoby zbytnio oczy zwracało. Panna Kling była jednym z najzręczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

— Pani już o wszystkiém od najjaśniejszéj królewiczowéj wiedzićć musi.

— Ale o niczém w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko— prędko mówiła panna Kling — że wam należy pierwsze dostojeństwo, że macie kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi, hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

— Jest to mój przyjaciel — rzekł w końcu.

— A! teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowrathównę i że ona podobno nie bardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź się namyśléć nie miał czasu.

— Tak — rzekł krótko — Brühl podobno się żeni...

— Ale luter jest?

— Ma przyjąć wiarę katolicką.

— Byle nie tak jak, z przeproszeniem nieboszczyka, jak ten wspaniały wielki August II, który swoim ulubionym wyżłom kładł rożańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

— Cóż więcéj? królewicza nie widziałam jeszcze.., zmienił się? posmutniał? żal mi go! Żałoba... opery tak długo nie posłyszy. A Faustyna? cóż, czy ją kto zastąpi?

— Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie, jak było za rodzica jego ś. p. Augusta... Faustyny niktby zastąpić nie potrafił!

— Ale to stara kobieta i głos ma tylko piękny.

— To téż ten w niéj tylko zachwyca — odezwał się Sułkowski.

Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

— Prawdziwie — rzekła cicho — dla mnie, kobiety, nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedziéć. Mój Sułkowski! czy on dotąd jest wierny żonie? Ja ją tak kocham, moję najjaśniejszą wychowanicę!

Hrabia aż się cofnął.

— To nie ulega najmniejszéj wątpliwości — zawołał żywo. — Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę; jeździ z nim na łowy, do Hubertsburga i Dianenburga nawet.

— Ażeby ją zbrzydził i aby mu się prędzéj naprzykrzyła — szepnęła Kling — to nie dobra rachuba... Ja się zawsze lękam bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrząsał.

— Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem. Okna w pokoju, w którym toczyła się ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny stał się tak silny, że Sułkowski, namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrzéć, jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie pospólstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowaném wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym; wyrokiem jakim sądowym, wykonaniem jego, lub tym podobnie. Wistocie, przez okno, widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno głów we drzwiach i szybach. W pośrodku ciżby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i, rozsunąwszy firanki, starała się widowisku, które jéj badanie przerwało, przypatrzyć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samemi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów, goniła za dziwną figurą w ciemnéj sukni, siedzącą na osiołku, twarzą do ogona. Osła prowadził pachołek czerwono ubrany... Smutno było spojrzéć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka nie młodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwytał się osła, aby nie spaść, to opierał na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zbolałą, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papiery. Z nóg zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznaném upokorzeniu; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to, co się koło niego działo. Pomimo że dokoła osła szli pachołkowie miejscy z halabardami, tłum nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę, ciskał błotem i kamykami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pachołkowie się śmieli, dzieci biegły; schylały się, goniły i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

— Ale cóż to jest? — zawołała panna Kling — co się tu u was dzieje? nie rozumiem!

— A! nic, nic! — obojętnie zawołał Sułkowski — bardzo prosta rzecz. Nie można bezkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryzipiórki jakieś, co papier smarują, śmieli się porywać na sądzenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należnego uszanowania.

— Ale naturalnie — odparła panna Kling — a cóżby to było, gdyby im dozwolono tykać najświętszych rzeczy...

— Wiem, co to za jegomość, to wydawca jakiegoś pisemka, które gazetami, albo nowinami nazywamy, niejaki Erell... Dawnośmy uważali, że sobie za wiele pozwala. Naostatek przeskrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten* i kazano go przeprowadzić po mieście na takim ośle, jakim on sam jest.

— *Et c'est justice!* — zawołała panna Kling — to bardzo dobrze; z temi ludźmi dosyć surowemi być nie można. Wyborny przy-

kład, radabym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się wrzeszcząc tłoczył. Stary ów Erell, znać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pachołkowie uważni chwytali go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawienia pięścią niezdarnego pismaka, który pozwalał sobie, popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie z tłumem, który wiodło za sobą, znikło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któżby się był naówczas domyślił, że ten, którego na pośmiewisko wystawiono tak nielitościwie, przedstawiał sobą jednę z tych potęg nieznanych, do jakiéj miało dorosnąć dziennikarstwo?

Nie popsuło to widowisko humoru, ani szczebiotliwéj pannie Kling, ani Sułkowskiemu. Zniknął z pamięci, zniknąwszy z oczów; poczęły się szepty i dopytywania. Gospodarz jednak dosyć zimno i ostrożnie odpowiadał na rzucane mu do rozwiązania zagadki.

— Mój drogi hrabio — dodała w końcu posłanka — powinieneś rozumiéć to dobrze, iż dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wpływ tylko miał przystęp do umysłu kurfirsta, a nawet mojéj najjaśniejszéj wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekliście się wszelkich roszczeń i przyjęli sankcyą pragmatyczną — lecz... łacnoby ktoś mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci, kochany hrabio — dodała cicho — i możesz nań rachować, bo wdzięcznym być umié.

— Liczę się do najwierniejszych sług jego cesarskiéj mości — rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknią na rogówce, gdyż pomimo twarzy i wieku, dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącém zwierciadle, uśmiechnęła, dygnęła. Sułkowski podał jéj rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującéj na nią dworskiéj porte-chaise, do któréj zaprzężeni dwaj hajducy w kanarkowéj liberyi uniesli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

X.

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowéj, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiéj zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.

Na twarzy jego, zwyczajnie tak rozpromienionéj, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanéj nam garderoby. Czterech lokajów czekało tu na jego ekscelencyę, piątym był Hennicke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania.

Zobaczywszy go w zwierciadle Brühl, odwrócił się niecierpliwy.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Rzecz niezmiernie pilna — ponurym głosem zawołał Hennicke.

— Ale i mnie téż niezmiernie jest pilno... — rzekł niecierpliwie Brühl.

— A mnie pilniéj jeszcze, niż waszéj ekscelencyi — mruknął zausznik.

Widząc, że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu... czekał na to, co mu miał powiedziéć Hennicke. Lecz radca potrząsł głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem napowrót przebiegł do gabinetu... Zamknięto drzwi.

— Mów prędko!

Hennicke zapuścił ręce z palcami długiemi i kościstemi w głąb' kieszeni swéj kamizeli, dobył z niéj powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta, czy medal, wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny... oczy jego pilnie się zatrzymały na medalu, którego jedna strona wyobrażała tron z siedzącą na nim figurą z fajką w szlafroku, a poznać w niéj było łatwo, lub domyśléć się raczéj kurfirsta młodego; trzy figury podpierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiéj liberyi. Odwróciwszy medal, mógł przeczytać na nim dystych szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Hennickego:

Jest nas tu trzech razem:
Dwóch paziów i lokaj.

(Wir sind unserer drei:
Zwei Pagen und ein Lakai).

Popatrzywszy chwilę Brühl, cisnął medalem o ziemię; ten się potoczył, a Hennicke schylił się po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie, Brühl stał zamyślony i gniewny.

— Cóż wasza ekscelencya na to?

— Co? dajcie mi tego, co to zrobił... zobaczycie! — zawołał Brühl.

— Co to zrobił! — podchwycił gniewnie Hennicke... — to odbito w Holandyi, tam, gdzie nasze ręce nie sięgają, ale podyktowane w Saksonii. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a wasze obiedwie ekscelencye paziami? Holendrom to zupełnie wszystko jedno. To wyszło stąd, z Saksonii.

— A zatém trzeba dojść sprawcy — zawołał Brühl — bądź cobądź, nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi.

Hennicke ruszył ramionami.

— Pięknąbyśmy mieli policyę i dobrych szpiegów, gdybyśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie — dodał Brühl — ja go potrzebuję mićć. Skąd go masz?

— Mnie go niewidzialna ręka podrzuciła. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

— Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętéj granic, do Koenigsteinu na życie całe... — krzyknął minister. Niedawno Erella trzeba było przewietrzyć, oprowadzając po ulicach; ale tego jegomości bezpieczniéj zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

— Najprzód, trzeba go znaléźć! — mruknął Hennicke. — Postaramy się o to... Mnie w tak dobrém towarzystwie — rzekł z tajonym gniewem — wcale nie wstyd. Ekscelencyom może być przykro stać obok ekslokaja. — Spojrzał bystro na Brühla. — Ha! ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejśćby się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, niemało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciano...

— Cicho, milcz! Hennicke — przerwał minister — niepotrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów wiele zrobić można. Wyprawić człowieka rozumnego do Holandyi na miejsce.

— Ja sam pojadę — rzekł Hennicke... — nie dziś, to jutro namacam tego jegomości. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tém przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł—Hennicke znikł. Chmurniejszy nieco poszedł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierki, szpady, peruki i kapelusza. Spojrzał na zegarek i kazał zachodzić karecie. Konie stały w gotowości. Zaledwie siadł, uniosły go ku przedmieściu Wilsdurfskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i odprawiwszy go do domu, stał, póki mu z oczów nie zniknął. Obejrzał się potém bacznie, a że wśród przechodzących nikogo oprócz ludzi z gminu nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką sobie znajomą dostał się do furtki, od któréj miał klucz w kieszeni i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wbiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie okryły go strzęsionemi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w bzowych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach; cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony, z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałéj postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spostrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jéj niezrównanéj piękności, dziś zamkniętą na pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i boleści Cosel, byliby w rysach młodéj pani, stojącéj w oknie, znaleźli do niéj choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki, ani tych rysów rzeźbionych, które do późnéj starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jéj wejrzenia.

Stojąca w oknie była hrabina Moszyńska, któréj mąż w Warszawie przygotowywał elekcyę królewicza. Ona wolała pozostać w Dreznie; kilku krokami śpiesznemi Brühl znalazł się w progu domku... ona wyszła naprzeciw niego. Wnętrze chatki daleko ozdobniejsze, niżby się po jéj skromnéj powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym dosyć dużym pokoju stał nakryty do obiadu stoliczek na dwie osoby, świecący od sreber, kryształów i porcelany. Nie było nikogo, oprócz hrabiny i ptaszków, które w bronzowych klatkach świergotały, idąc w zapasy ze swemi braćmi na swobodzie.

— Tak późno?...—szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rękę całował.

— Prawda, późno — odparł minister, dobywając brylantami kameryzowany zegarek — ale mnie wstrzymano interesem niemiłym, a ważnym.

— Niemiłym?.. cóż takiego?

— Dziś nie mówmy o tém, radbym zapomnieć...

— A ja chciałabym wiedzieć...

— Dowiecie się, kochana hrabino, zawsze zawcześnie o rzeczy nieprzyjemnéj — rzekł Brühl, siadając naprzeciw niéj i głowę opierając na dłoni. — Cóż zresztą dziwnego, że człowiek, co jak ja po stopniach iść musiał i doszedł trochę wyżéj, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali i którzy się mszczą bezsilnemi szyderstwy.

Hrabina, która słuchała z uwagą natężoną, poruszyła się żywo i z uśmiechem lekceważenia, piękną rączką uderzyła po stole.

— Szyderstwy! potwarzami! słowy! — zawołała — i wy jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi? że boli? Musiałabym zwątpić o was, kochany Henryku, gdybyście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie odegrać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powinien, ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie niewiele warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: nigdy nie dojdziesz do niczego. Nad to trzeba umiéć być wyższym...

— Nikczemne urąganie — wrzucił Brühl.

— Cóż cię to tak może obchodzić, że pies z za płotu szczeka? — spytała piękna hrabina.

— Drażni mnie.

— Nie spodziewałam się tego... wstydź się.

— Nie wiecie, o co idzie.

To mówiąc Brühl, dobył z kamizelki medal, który wziął z sobą i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zrazu okiem, przypatrzyła się rysunkowi z jednéj strony, powoli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnęła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy Brühl rękę jéj wstrzymał.

— Potrzebny mi — rzekł.

— Na co?

— Nie puszczę tego płazem — odparł minister. — Koncept wyszedł z Saksonii. Jeśli dozwolimy nicować nasze czynności i nie ukarzemy zuchwalca...

— Znajdźcie go najprzód — szepnęła hrabina — a potém dobrze się zastanówcie, czy, mszcząc się, nie podniesiecie dzieciństwa do ważności, któréj ono nie ma.

— Zanadto sobie pozwalają! — zawołał Brühl. — Niedawno Erella trzeba było na ośle wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Koenigsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

— Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu—rzekła—a wogóle, dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co miłe. Spodziewam się wszakże, iż długo téj spółki z nim nie będzie — dodała ciszéj.

— Jak długo ona potrwa, nie wiem — odezwał się Brühl.—Mojém zdaniem należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie i jaką omyłką się zgubił.

— Masz słuszność i to nieochybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co zechce. Należy mu dać plac i pole, na którémby koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les marrons du feu.*

Rozśmiała się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewiczkach na korkach, w czepeczku białym nakształt owéj sławnéj czekoladniczki wiedeńskiéj Liotarda, z podpiętym fartuszkiem, z rączkami do łokcia obnażonemi i dowodzącemi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne, wniosła w téj chwili wazkę srebrną. Uśmieszkiem i wejrzeniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionéj. Moszyńska dopytywała o wszystko: o pannę Kling, o jéj poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którém mówiąc westchnęła i namarszczyła brwi.

— Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze, Henryku — odezwała się cicho — panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcéj dla królewiczowéj, dla staréj Kolowrathowéj, i dla stosunków, niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

— Możecie nią być — rzekł minister — serca drugiego nie mam, a to jakie-m miał, oddałem dawno. Żenię się tak samo, jak dzielę władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

— Królowi, królowi nadskakuj; stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj, choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę, zechce odpoczywać, zapragnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król... nazywam go już tak, bom elekcyi pewna i korony, potrzebuje kogoś zawsze przy sobie, dlatego, aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tém wszystkiém trzeba pamiętać.

— A! droga hrabino! — chwytając ją za rękę — zawołał Brühl — bądźcie moją opiekunką, moją Egeryą, moją opatrznością, a o przyszłość mogę być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy jakieś dały się słyszéć u furtki i wnijścia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

— Co to jest? — zawołała.

— Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem, by był wpuszczonym.

— Tu? tu? ale któż mu mógł powiedziéć, że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo niéma.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku, pokazał się mundur szambelański. Ogrodnik zapierał mu drogę, szambelan nie zważając nań szedł powoli. Brühl schylił się, spojrzał przez okno, poznał Watzdorfa i na znak hrabinéj, cofnął się do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała prędko sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku. Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwilce siadła do stolika, chociaż bardzo niespokojném okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jéj marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka, i stanąwszy w nich naprzeciw hrabinéj, zwrócił się do goniącego ogrodnika.

— A widzisz... Jéj ekscelencya jest, wiedziałem o tém dobrze.

To mówiąc z szyderskim skłonił się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając dokoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw niéj, Moszyńska przybrała bardzo surową fizyognomię.

— Co pan tu robisz? — zawołała groźno.

— Po stokroć panią hrabinę przepraszam, jestem najnieszczęśliwszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jéj pałacu, odprawiono mnie z niczém. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za waszą ekscelencyą, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

— Że waćpan chcesz naśladować wyżły i gończe, to mnie nie dziwi, panie szambelanie — syknęła wstając hrabina — ale ja zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół, stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczy serwetą. Hrabina widziała, jak się uśmiechał przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie zmieszała się wcale, ale gniew jéj tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

— Gdzież ten bilet? — zawołała.

— Ja poczekam, kiedym już raz miał szczęście znaléźć waszę ekscelencyę, będę cierpliwym.

— Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja patrząc nań nic do ust wziąć nie będę mogła — odezwała się Moszyńska.

— Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny, radbym nią tu odetchnąć.

— Wiosna w polu jest jeszcze daleko wonniejszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w mojéj samotności.

Watzdorf się uśmiechał szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

— Wistocie samotność w tym kątku, we dwoje... a! jakby była rozkoszną — mruczał impertynencko.

— Ja i moja *suivanta*, tak, jesteśmy we dwie, a ogrodnik, który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę... trzeci... Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innemi, jakby przypadkiem, natrafił na medal i odezwał się:

— Proszę hrabinéj, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci! Ktoby się to co podobnego spodziewal?

Położył medal na stole, a sam daléj kieszenie przebierał. Hrabina spojrzała, poznała medal, udała, że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i z najzimniejszą krwią odrzuciwszy go rzekła:

— Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

— Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne?

— Jakie? — spytała hrabina.

— Dobrania sobie innych podpór do tronu... — rzekł Watzdorf.

— Kogóż? waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha?

Watzdorf zakąsił wargi.

— Pani hrabina jesteś złośliwą...

— Pan mnie nietylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

— Właśnie jestem w rozpaczy, zdaje mi się, że go straciłem.

— Biegnąc za mną, aby mi przykrość wyrządzić — mruknęła hrabina — aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

— Samą!—powtórzył Watzdorf z szyderskim śmieszkiem i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

— Rozumiem — wybuchnęła Moszyńska — wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu; więc jeszcze posądzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nade mną?

Mówiła jeszcze z gniewem największym i lice jéj zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściała suknia kobieca, i osoba, która już przez kilka chwil wprzódy, wszedłszy pocichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w niéj nie jedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tém zjawisku, że nawet hrabina zadrżała ujrzawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, nie młoda, z dziwnie przejmującém wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na któréj wiek nie śmiał zniszczyć nadzwyczajnéj piękności śladów, była ubraną tak dziwacznie, iż ją prędzéj za obłąkaną niż za zdrową na umyśle wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiéj togi czarnéj, obszytéj galonami, ze szkaplerzem dziwacznie w litery jakieś szytym na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie malowane znaki kabalistyczne i zodyakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach rodzaj zawoju, przepleciony pergaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długiemi końcami spadającemi na ramiona, mało co białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe wyraziste oczy zwróciła na natręta, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

— Czego tu waćpan chcesz? pocoś tu przyszedł? abyś córkę i mnie szpiegował, a potém zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nieodrodny synu „chłopa z Mansfeldu“ i bufona, czy i ty mnie prześladować będziesz?... Idź precz! idź mi zaraz precz... precz stąd! Ani mi się waż! Daj mi być z córką samą...

Ręką wyprężoną wskazała drzwi, Watzdorf pomieszany cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze odwiedziny ze Stolpen w Dreznie, ale tym razem Moszyńska się jéj nie spodziewała nawet, weszła, aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na matki przyjęcie... przyszło jéj na myśl, że Brühl, który się był cofnął do gabinetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa wnijść może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszała się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona zdawała się już prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jéj biegały po pokoju.

— Weszłam tu niespodzianie — szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę — ale pozwoliłaś mi w tym domku przyjmować tych, z któremi ja się widzieć potrzebuję: dałam wiedzieć pastorowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

— Nie lękaj się, on dopiéro nadejdzie wieczorem — dodała Cosel. — Ale któż tu był z tobą? dlaczego się skrył?

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się, matka patrzała na nią, jak w tęczę, z pewném politowaniem.

— Rozumiem — rzekła z pogardliwym uśmiechem — dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym ślizkim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To, czego się obawiała Moszyńska, stało się w téj chwili: Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju i ujrzawszy tę postać, któréj nigdy jeszcze nie widział, ale się jéj znaczenia domyślał łatwo, osłupiał, nie wiedząc, co począć ze sobą.

Moszyńska zwrócona plecami nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się; rumieniec okrył jéj twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stworzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

— A więc to on jest? — rzekła uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle.

Brühl stał w progu.

— Kto on? — zapytała Cosel.

— Minister Brühl — cicho odpowiedziała Moszyńska.

— Wszystko nowe u was! oprócz potomstwa chłopa... Brühl! o nikim podobnym nie przypominam sobie. Postąp waćpan — rzekła po królewsku dając mu znak ręką — nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowéj... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Auguście Mocnym... byłam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jednę...

Mówiła powoli, na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na niéj ta mowa czyniła, ale jéj przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodkawą i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcym przedstawiał. Pochylony nieco, zdawał się słuchać z nadzwyczajném zajęciem.

— Masz waćpan szczęście widziéć królowę przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną, a żyjącą tylko, aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą jedynego Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

Moszyńska oczy spuściwszy, poruszona, to drżała, to ukradkowém wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła...

Czy Cosel to zrozumiała, czy milczenie Brühla widocznie zmieszanego, wstała z krzesła...

— Pójdę spocząć — rzekła — nie będę przerywała wam konferencyi. Córka Coseli powinna Saksonią rządzić. Rozumiem...

To mówiąc, tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła po-za stołem i doszedłszy drzwi, któremi Brühl przed chwilą do pokoju wszedł, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć napróżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w ręku.

— Ja idę — szepnął cicho Brühl, porywając za kapelusz — nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz niepoczciwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwycić, odszedł z niczém: to mnie cieszy.

— Watzdorf miał medal — szepnęła Moszyńska — cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

— Ja? nic! chyba, żem nadto był dla niego grzeczny.

— To zjadliwa żmija, ja go znam — szepnęła Moszyńska.

— To bufon tylko jak ojciec — rzekł pogardliwie Brühl, ruszając ramionami — ale jeśli mi wejdzie w drogę...

— Ten wiersz na medalu, nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków?

Brühl tylko spojrzał na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

— Każę go szpiegować — rzekł krótko — w takim razie niedługo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc, przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszczyk rzucony u drzwi, który w cieniu leżąc, mógł ujść oczów Watzdorfa i wybiegł do ogrodu.

Tąż samą ścieżką, którą wszedł w nadziei długiéj swobodnéj

rozmowy, wracał nazad, myśląc już tylko, jak się stąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka, od któréj miał klucz, zatrzaskiwała się wewnątrz; nie potrzebował jéj otwierać, wyszedł zaniedbawszy wyjrzéć wprzódy i całéj swéj przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie, jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go, z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jak gdyby nie został pochwyconym na uczynku...

— A! to wy, panie szambelanie! — zawołał — jakżem szczęśliwy!

— Ja to się mogę nazwać tym szczęśliwym — począł Watzdorf — bo nigdym się nie spodziewał, przyszedłszy tu napawać się wonią rozkwitłych jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniami waszę ekscelencyę. Jeśli się nie mylę — dodał — to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

— Tak jest — zawołał Brühl śmiejąc się — cha! cha! Ale ja tu nie po owoc, a tém mniéj po zakazany przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowy tyle było prawdopodobieństwa, iż Watzdorf trochę się zmieszał.

— A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tém sielskiém zaciszu? — zapytał minister.

— Szukam szczęścia, którego nigdzie znaléźć nie mogę — mruknął szambelan.

— Pod jabłoniami?

— Trafia się ono i tam — mówił Watzdorf — i chyba prędzéj, jak na dworze...

— Widzę, że panu nie smakuje to życie?

— Nie mam talentu do niego — odparł Watzdorf idąc powoli z Brühlem.

— Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, którém obronny, niczego się możesz nie lękać...

— Tak, doskonałe narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół — dodał Watzdorf.

Chwilkę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

— Nie miałem jeszcze zręczności powinszować waszéj ekscelencyi — odezwał się nagle.

— Czego? — odparł Brühl.

— Powszechnie mówią, że najgienialniejszemu z ministrów przeznaczono najpiękniejszą parę z naszego dworu...

Głos, którym to mówił, zdradzał takie uczucie, iż Brühl spojrzał nagle wpadając na myśl, że Watzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł, a raczéj przeczucie: drgnął. Jeśli tak, rzekł w duchu, twórca medalu i kochanek przyszłéj mojéj żony, powinien się dostać w miejsce bezpieczne.

Lecz ani medal, ani pochwycone serce dowiedzionemi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie uśmiechając się, ale z nienawiścią w oczach. Brühl im więcéj wstrętu miał do kogo, tém dlań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: nie darmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

Wasza ekscelencya zbyt królewicza samym zostawiasz — odezwał się Watzdorf — hrabia Sułkowski ma wiele zajęcia, a Frosch, Storch i ojciec Guarini nie starczą...

Brühl przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech znowu.

— Pan szambelan masz może słuszność, człowiekby chciał dla zasłużenia się tak dobremu panu, iść na wyprzódki choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba téż starać się o pozyskanie serca swéj narzeczonéj, o któréj pan wspomniałeś.

— Zdaje mi się, że to zbyteczna troska — rzekł Watzdorf — po co temu serce, kto będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz wasza ekscelencya doskonały przykład na hrabi Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości mu brakło z tą szczypawką, która go kąsała.

— Panie szambelanie — odezwał się — mówmy seryo: czy zgrzeszyłem czém przeciw wam, że mnie pragniecie żarcikami swemi dojmować; czy to tylko przywyknienie do kąsania, którego nie chcesz się pozbyć?

— I jedno i drugie może — odparł Watzdorf — ale nie spodziewałem się, ażeby takiego olbrzyma, jak wasza ekscelencya, taka pchła jak ja zaboléć mogła.

— Nie boli mnie téż to — przerwał Brühl — ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie bezpieczniéjby było miéć we mnie przyjaciela?

Watzdorf wybuchnął śmiechem.

— Ministrowie nie mają przyjaciół — zawołał — to stoi przecie w elementarnym katechizmie polityków.

— Za to na nieprzyjaciołach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf ukłonił się, jakby do niego pito, zdjął kapelusz i poszedł nie oglądając się w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

— On? mnie? wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż oszalał chyba? Co to jest? Zawsze mi był nieznośnym, skąd nagła taka złość do mnie? To potrzebuje rozjaśnienia.

Szybkim krokiem, zasłoniwszy się płaszczykiem, poszedł wprost ku domowi. Po drodze miał właśnie dom, w którym pracował Hennicke i wsunął się doń. Przy kancelaryi, osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radca zasiadał, był pod kluczem jego. Wszedł więc niepostrzeżony i zastukał do kancelaryi, w któréj żywe głosy słychać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast; Hennicke wszedł z piórem za uchem, zdziwiony nieco.

Brühl siedział w krześle.

— Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa — rzekł — daj mu anioła stróża, niech krok w krok chodzi za nim. Lecz, że Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać człowieka, któryby potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

— Watzdorfa? — powtórzył zausznik w zadumaniu — Watzdorfa?? Czy jest nań jakie podejrzenie?

— Wszystkie, jakie tylko najgorsze być mogą.

— Czy musi paść? — spytał Hennicke.

Brühl zamyślony, nie odpowiedział zrazu.

— Zobaczymy — rzekł — nie chcę sobie robić nieprzyjaciół; rosną oni sami; lecz jeśli rzecz się okaże potrzebną...

— Czy zawadza? — pytał znowu pomocnik.

— Nie lubię go.

— Wina, gdy będzie potrzebną, znajdzie się zawsze.

— Miejcie ją w zapasie — mruknął posępnie Brühl — starałem się i staram być miłym dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba téż pokazać, że strasznym być mogę.

I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl nie oglądając się nań, wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, śpiesznie z początku uszedłszy kilkanaście kroków, zwolnił chodu i wlókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż dogadzając rozdrażnieniu jakiemuś, popełnił kilka niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniew przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby się mógł powstrzymać. Watzdorf wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do tego wszystkiego, co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przezwano „trefnisiem“, wyrósł wśród tych wpływów, co go popsuć mogły jak innych,

na człowieka rażącego swą nieubłaganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko, co go otaczało, działało nań, jak często na pewne wybrane organizacye działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera, wśród której żył, napełniała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowrath, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniła się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsutą wcześnie istotę. Widział on w niéj wszystkie jéj wady, zalotność, płochość, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to, od szału dla niéj powstrzymać się nie mógł, płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jéj przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jego obyczajom, powietrzu, krórém oddychała.

Rodzaj rozpaczy go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane! Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł, pomściłby się był na kimkolwiekbądź; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zlewał całą żółć, jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co robić z sobą, prawie machinalnie nieszczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pierwsza część żałoby już była upłynęła; mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, znając, jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż divy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*, jak go przezwali Włosi, zapamiętały muzyk zajmował osobną kamieniczkę, w której była na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała urządzone apartamenta. Od niéj płynęły rozkazy, do niéj teatralni szli z prośbami klienci.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośnéj rozmowie na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonéj, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną Włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zaperzoną, co jéj nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw ojca Guariniego, który spokojniuteńko wśród salki po cywilnemu ubrany, przechadzał się.

Twarz jego śmiała się z politowaniem: Faustyna ścigała go z pięściami zaciśnionemi.

Guarini zobaczywszy szambelana, wskazał mu Włoszkę obu rękoma.

— Patrz, patrz! co ta kobieta ze mną wyrabia — śmiał się — z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niéj przychodzi. *Furioso diavolo! furioso!* Żeby zamiast krzyczéć śpiewała!...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa.

— Biorę was za sędziego — zakrzyczała — chce mnie uczynić malowaną lalką, chce, abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! musi iść precz, pójdzie precz!

— Za co? za co? — cicho i wysuwając z kołnierza głowę, jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini — dlatego, że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy Francuzki wdzięczniéj świecą, niż twoje?

Faustyna plasnęła w dłonie.

— Słyszysz go, tego *prete* obrzydłego! — krzyknęła, rękoma poczynając mu wywijać przed samą twarzą — alboż to ja potrzebuję hołdów? alboż mi ich mało? albo mi nie miały czasu obrzydnąć?

— O! kobiecie kadzidło! — zaśmiał się Guarini.

— Ale o kogoż idzie? — spytał Watzdorf.

— *Un poverino* — odezwał się jezuita — którego ta nielitościwa chce wypędzić z teatru.

— *Un assassino! un traditore! una spia!* — wołała Faustyna.

Watzdorf, jakkolwiek smutny, tą pocieszną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

— Ja państwa pogodzę! — zawołał — czekajcie!

Zwrócono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądaną.

— Niech winowajca idzie precz — rzekł Watzdorf — a na jego miejsce, jak skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie jednego z ministrów. Niéma lepszych nad nich! a że Faustynie z ministrem nie zechce się kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową. Faustyna umilkła, jakby zrozpaczona, i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

— *Carissimo* — rzekł łagodnie — jeszcze do kanikuły daleko, a wy coś zdajecie się, jakby rażeni od upału.

— Nie, jeszczem się nie wściekł — rzekł Watzdorf — nie zaręczam jednak, żeby do tego nie przyszło.

— E! cóż ci jest? spowiadaj się.

— Chyba kolana Faustyny za konfesyonał będą służyły.

— Poganin jakiś! — zaśmiał się jezuita — co ci jest? pytam.

— Ale nic mi, mój ojcze! świat mi się wydaje głupim i po wszystkiém.

— *Carissimo! perdonna* — rzekł jezuita — głupim to ty mi się wydajesz, plotąc rzeczy niezdrowe. Wiesz, ja ci dam jednę radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie nikogo niéma, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklnij się, wyłaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiesz, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Słuchał Watzdorf obojętnie.

— Żal mi waćpana — dodał ojciec Guarini.

— Żebyś, ojcze, wiedział, jak mnie żal was wszystkich — westchnął Watzdorf — ale któż tu nas rozsądzi, przy kim prawda i czyj żal lepszy?

— Dajmyż sobie pokój — odezwał się jezuita i pochwycił za kapelusz.

Faustyna jeszcze swą włoską furyę wydychiwała na sofie; Guarini podszedł do niéj i skłonił się pokornie:

— Raz jeszcze ośmielam się prosić waszéj ekscelencyi za tym *poverinem;* uczyńcie to dla mnie.

— Wy uczynicie beze mnie, co się wam podoba — odparła Faustyna — ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.

Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.

Była to ta godzina miłego spoczynku, któréj Fryderyk używał z rozkoszą po całodzienném próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sułkowskiego, Brühla i ojca Guariniego, gdyż oprócz nich nikt do niego wówczas przystępu nie miał.

Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było téż mniéj zawadnego, a milszego towarzysza. Król lubił się śmiać, śmieszył go; chciał milczéć, pomagał do zachowania milczenia; zapytywany, odpowiadał wesoło, a nigdy w niczém się nie sprzeciwiał.

W pokoju kurfirsta nie było nikogo, oprócz Brühla.

Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia i coś szeptał. Królewicz słuchał pilnie i głową znacząco potrząsał.

— Słyszycie, mój ojcze, co mówi?—rzekł do wchodzącego jezuity.

Ten zbliżył się.

— Mów daléj — odezwał się Fryderyk.

Brühl posłuszny, począł, mierząc znaczącym wzrokiem ojca Guariniego:

— Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu, z niewiadowych powodów, stał się tak ostrym i nieznośnym...

— O! o! — szepnął królewicz — to źle...

— O kim mowa? — cicho spytał jezuita.

— Ośmieliłem się zwrócić uwagę najjaśniejszego pana na szambelana Watzdorfa.

Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.

— Wistocie — rzekł — i ja go znajduję w usposobieniu szczególném.

— Tém gorszém—dodał Brühl — że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugich...

Królewicz westchnął, widocznie już go to nudziło, nie odpowiedział nic.

— Gdzie ten błazen Frosch? — zawołał nagle — pewnie już śpi gdzie w kącie.

Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli, wyprzedzając się, biedz do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wywrócił, a Frosch siadł mu raraz na grzbiecie. Królewicz począł się śmiać serdecznie, biorąc za boki.

Storch upokorzony natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się, sądząc, że nagłém poruszeniem wywróci go, ale ostrożny malec zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć, z jaką pociechą oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawe końca téj walki. Za krzesłami oba trefnisie kwicząc i piszcząc, poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza, w najsmutniejszych życia godzinach, bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkiém, co dnia tego słyszał... Nie wiem, jakby to długo było trwało, gdyby ojciec Guarini nie szepnął na ucho najjaśniejszemu panu, że godzina wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła i wprost od pajaców swych, nagle spoważniały wielce królewicz udał się wraz z jezuitą do zamkowéj kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

XI.

W mieszkaniu Sułkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia, siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długiém milczeniu, jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli, a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą, przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich słychać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Zdaleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników napozór niewiele się różniące charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla bacznego spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości chłodną przewrotność, któréj głębiny przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie, który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnéj z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnéj tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokiém swém stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewném lekceważeniem, za rodzaj *malum necessarium*, uważał Brühla i zgóry nań spoglądał z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nic zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jéj wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i milsza twarz więcéj chytrości i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział, że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizyognomią, że się zdawał zupełnie niewinném stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jéj wcale jeszcze nie było; owszem najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instynkt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale się sam śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dyssymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tém wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowéj mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi; ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z ojcem Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufałości nie dopuścił. Dla królowéj był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jéj pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadskakiwał jéj otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wyrywało mu się jakie słówko o tém, że za Augusta II dogodniéj

było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewiczową.

Ojciec Guarini, wiedząc, jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Znać wszystko, o czém mówić mieli, wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po długiéj dosyć przechadzce, hrabia zwrócił się do siedzącego i rzekł cicho:

— Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy się zrzekli wszelkich praw do spadku, że sankcyą pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniéj powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Szlązk, gdzieindziéj wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, żem skreślił w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovicemu.

— Radbym mieć go i rozważyć — odezwał się Brühl — plan jest gienialny i godny was, a dla przyszłości Saksonii—najwyższéj wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do spełnienia jego, najszczęśliwszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i sługę. Ale każcie też Ludovicemu ten plan przepisać dla mnie.

— Plan ten podziału Austryi—odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie — nie chcę, aby dwa razy przesuwał się przed oczyma Ludovicego, ale ja go dla was w wolnéj chwili sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmilszym uśmiechem podziękował.

— Uczynisz mi, hrabio, największą łaskę — rzekł — tak olbrzymi pomysł, zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Możnaby zdaleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

— A! — zawołał Sułkowski z uśmiechem — tam, niéma najmniejszéj wątpliwości, z otwartemi przyjmą go rękoma: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

— I ja się tego spodziewam — dodał minister—idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

— Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

— Ale pora przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiéj nam użyć wypadnie.

To mówiąc, Brühl powstał i, wyciągając się od niechcenia, odezwał:

— Mam prawie pewność, że ten niepoczciwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezna, a nawet silne nader podejrzenie mam twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

— Któżby był tym śmiałkiem?

— Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie — mówił Brühl. — Maleńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

— Tak, a dla dostojniejszego pana może czémś gorszém grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

— A! spodziewam się! — rzekł Brühl — po głowachby nam jeździli. Zuchwalstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jak gdyby z pewném politowaniem.

— Wy-bo nie lubicie Watzdorfa — rzekł. — Jak ojciec tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

— Przepraszam — podchwycił Brühl żywo — bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nic poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a w końcu i panu naszemu.

— Na to się nie odważy.

Zacząwszy mówić, hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i, biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

— Wy-bo do niego coś macie? przyznajcie się: zawadza wam?

— Nudzi mnie — zawołał Brühl — przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada...

— Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę—pocichutku odezwał się, śmiejąc Sułkowski — że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

— Toby był dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł — rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności — ale dokucza hrabinie Moszyńskiéj, dla któréj ja mam najwyższy szacunek.

— A! a! — rozśmiał się hrabia.

— Hrabinaby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi — mówił daléj Brühl—ja jéj nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzéj jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

— Jakto? i ze mnie? — spytał Sułkowski.

— Zdaje mi się, że i tobym mu dowiódł.

— O! toby było nadto śmiało! — rzekł Sułkowski sucho.

— Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu... — zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo, parę razy przeszedł się po salonie.

— To prosty domysł, mój Brühlu, to prosty domysł.

— A może i coś więcéj, niż domysł — począł minister—wiem już na pewno, że trzy czy cztery medale rozdał.

— Komu?

— Dworskim osobom. Skądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczę?

— Lecz czyż pewno?

— Hennicke da wam spis osób.

— To już wcale co innego — przerwał Sułkowski — to fakt, i chociaż ja go sobie tłómaczę więcéj jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

— Tak jest — potwierdził Brühl. — Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizyę. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło. Wam — dodał, rozgorączkowując się niby Brühl — obojętną to być może rzeczą, ale dla maleńkiego jak ja człowieczka...

Sułkowski się zmarszczył.

— Watzdorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiéj nikczemności.

— Przekonacie się — kończył minister. — Jeśli dowody będę miał w ręku, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszéj wiedzy prosić; ale zgóry was błagam: tego plazem nie puścimy. Na Koenigstein...

Zamyślił się Sułkowski.

— Szkodaby mi go było — rzekł — lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

— Ja królewicza o to prosić i mówić o tém nie będę, powtarzam; was proszę, wy czyńcie: ja-m wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczém nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

— Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z méj strony służyć wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się téż przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

— Słuchajże, Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf się kochał w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyczéć będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

— Ale, mój hrabio — krzyknął uderzając się w piersi — ja nie jestem nic a nic zazdrosny, ale-m o honor pana, o wasz i o mój, troskliwy... Dziś — dodał — zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiedz, bo nic świętego nie będzie.

— Masz słuszność — zimno odparł Sułkowski—ale winy trzeba dowieść.

— Oczywiście — dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz i począł się żegnać.

— Ale spotkamy się przecie...

— Tak, na strzelaniu — rzekł Brühl. — Królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź-co-bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia, jakoż nadchodziła godzina, w któréj dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku poblizkim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo czyniły to miejsce jedném z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządzony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnéj drzew zieleni. Woń świeżo rozwitych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowo ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzono do strzelania tarcze. Ojciec Guarini nie kontentując się tém, co tam przygotują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszéj tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcic wystawiono szałas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem

on i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz ojca nabrała popołudniu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionéj uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Znać już wszystko gotowém być musiało, bo pater założywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie po wiodącéj do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około pałacu turkot się dał słyszéć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzedzane lauframi, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugiém przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pazie, dwór, cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwintnych myśliwskich strojach szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztućce; paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich, stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych schodkach wiodących z bocznéj uliczki do amfiteatru, ukazał się ojciec Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju) z laską w ręku.

Udawał niezmierne zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

— A! najjaśniejszy panie — zawołał — co ja widzę, strzelanie do tarczy... co za wyśmienita zabawa.

— Hm? prawda? — śmiejąc się rzekł Fryderyk — ale wy strzelacie do dusz tylko...

— Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam — westchnął jezuita. — Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzież nagrody?

— Jakie nagrody? — spytał zdziwiony nieco królewicz.

— Niech mi najjaśniejszy pan daruje — odparł Guarini — po ludzku rzeczy biorąc, tym, co najtrafniéj strzelać będą, należy coś w nagrodę i na pamiątkę.

— O tém nie pomyślałem — zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

— Jeżeli mi wolno będzie — przerwał kłaniając się Guarini— to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana składam mój maluczki dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

— No co? co? — zapytał.

— A! to moja tajemnica! — zawołał padre — tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

— Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo ojciec Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepta niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

— Tom ciekawy — rzekł Fryderyk.

— Wymawiam sobie tylko — dorzucił ojciec Guarini — abyś najjaśniejszy pan nie należał do współubiegających się o te nagrody. Niéma wątpliwości, że tu nikt lepiéj nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody, godnéj jego rąk, nie mam. Więc...

Mrugnienie jego oczów dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. Wistocie od dzieciństwa wprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczém nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli, Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca w sam cel jéj, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskiemi. Kule uderzające w tarczę poza kołem pierwszém, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdaléj padające. czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po razu sadzić kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary gienerał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współubiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród ojca Guariniego, który stał na boku skromnie z rękoma w tył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ocię-żała dobra figura, posłuszna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma ojca Guariniego, który z powagą wielką zawołał dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzoną była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberyi pańskiéj pachołków, w kanarkowych frakach z granatowemi wyłogami, wyniosło wielki kosz okryty oponą białą, w którym się coś trzepotało.

— Panie gienerale — odezwał się Guarini z powagą — nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrządził; nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przyszła na świat. W rękach znakomitego artysty, stała się ona najpocieszniejszém w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornéj materyi suknię, jaką naówczas modne damy nosiły; na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło się kręcić, chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nienawykłe; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek i potoczyła się między widzów.

Królewicz wziąwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczowa.

— Drugi, drugi numer! — wołał Fryderyk.

— Najjaśniejszy panie — rzekł ojciec Guarini — ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa!* *).

— Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi — i w stroju arlekina włoskiego teatru wyskoczyła z niego małpa, nie mniéj od gęsi przestraszona, ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz nie namyślając się, pochwycił coprędzéj sztuciec i strzelił: małpa krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jéj wcale nie pożądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za *Crispino*. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się... i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik ustrojony za *Scaramuzzia*, który téż chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiéj gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpocieszniejszych, i ta równie jak gęś ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk ubrany za *Dottore*

*) Wszystkie te nagrody są historyczne. P. Vehse.

w fraku, peruce, kamizelce i wszystkiém, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocaliła.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłuższy frazes, w którym go zapewnił, że nietylko póki życia téj doskonałéj farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potém jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknéj Frani Kolowrath. Wcześnie to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrzeżonym, usiłowała córkę postawić gdzieindziéj, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jéj wszakże nie udało. Nie chcąc więcéj się dać domyślać patrzącym, niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blizko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

— Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moję po raz ostatni pożegnać mogę.

— Jakto, po raz ostatni? — podchwyciła Kolowrathówna, nie patrząc na niego.

— Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nade mną wisi nieubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowanym na każdym kroku; być może, że i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizyi tajemnéj. Jeśli ją dopełniono, jestem zgubiony.

— Uciekaj! — zawołała hrabianka gwałtownie — zaklinam cię na wszystko, na miłość moję, na twoję... uchodź... Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

— Tak, i Austryacy mnie jutro tu przywiozą.

— Do Prus, do Holandyi, do Francyi — mówiła żywo Frania

— Nie mam ani o czém, ani jak — odparł Watzdorf z zupełną obojętnością. — A co gorzéj, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niéma szczęścia... Franiu— dodał cicho — nie wiem, co się stanie ze mną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będziesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy; Watzdorf spojrzał w jéj oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

— Jeśli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mię dosięgła — rzekł — mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

— Ale skądże podejrzenia? skąd domysły?

— Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najcięższéj obwinić. Bądź zdrowa! — dodał głosem wzruszonym. — Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu; ukoi mój ból twojém wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

— Dziękuję ci — odezwał się — jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! adio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał ojciec Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

— Słowo... — rzekł pierwszy poruszonym głosem—nie omyliły mnie moje domysły.

— Jakie? co? — spytał hrabia dosyć obojętnie.

— Zrobiono rewizyę u Watzdorfa, przetrzęsiono papiery; pełno paszkwilów, mniejsza o to; pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłómaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiéj wykonał. Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słysząc to Sułkowski, pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

— Weźcie to proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę, uczyńcie, co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Koenigsteinu... któż wie, czy tam jeden z nas późniéj nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń, hrabio, co chcesz, ja ręce umywam, osobistéj krzywdybym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc Brühl, szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hrabinę Moszyńską i zwolna zwrócił się do niéj, witając ją z poszanowaniem i cere-

monialną uniżonością, na co piękna Fryderyka dumném i zimném skinieniem głowy odpowiedziała.

Frania Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał téż ani słyszéć, co się dokoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawił się przed oczyma Kolowrathównéj hrabia Brühl z nizkim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się, i zgóry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

— Nieprawdaż — odezwał się słodko — że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

— A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie — odparła Frania — i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafili...

Brühl spojrzał bystro.

— Niewiele w tém mam wprawy — rzekł zimno — ale gdyby w obronie najjaśniejszego pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało. Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale rozmową z szambelanem Watzdorfem — dodał, spoglądajac na nią.

— Wistocie — odezwała się Kolowrathówna — Watzdorf jest niezmiernie dowcipny, strzelał słowami jak panowie kulami.

— Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie — rzekł Brühl — można nieostrożnie zabić się samemu...

Stara ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejrzenie Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jéj nie dozwoliła; nie była téż pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłómaczył fałszywie kradzieży popełnionéj w domu.

Królewiczowa nieco wcześniéj wyjechała z damami, Fryderyk w poufałém gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował się zbliżyć do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo, skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam-na-sam z królewiczem, który był w bardzo wesołém usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużéj ze sprawą Watzdorfa. Ciężyła mu ona, rad się był jéj pozbyć co rychléj, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

— Po takiéj miłéj zabawie — odezwał się Sułkowski — co to

za niemiły obowiązek, być zmuszonym zasmucić waszę królewiczowską mość.

Posłyszawszy to, Fryderyk posępną zrobił minę i spojrzał zukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił daléj:

— Rzecz jest niecierpiąca zwłoki; wystawieni jesteśmy ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tém wprzódy, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandyi wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk przestraszony zżymnął się, stanął: twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

— Nie chciałem wspominać o tém, dopóki nie odkryliśmy sprawcy — kończył Sułkowski. — Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszę, ale obrazy majestatu, jako ministrowie, nie możemy puścić bezkarnie.

— Ale któż? kto? — zapytał Fryderyk.

— Człowiek okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko najjaśniejszego pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

— Kto? kto?... — nalegał królewicz.

— Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dokoła.

— Macie dowód?

— Przy sobie; w ręku trzymam list znaleziony u niego i medale...

— Widziéć nie chcę, nie chcę — odparł królewicz, ręką się zasłaniając — ani ich, ani jego; precz... precz...

— Puścić go bezkarnie? — zapytał Sułkowski — nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na świętéj pamięci ojca waszéj królewiczowskiéj mości...

— Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy? — powtarzał Fryderyk — lecz cóż? lecz jakże?...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

— Königstein — rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... Ze spuszczoną głową szedł zwolna królewicz. Była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

— Gdzie Brühl? — spytał.

— Brühl zostawił to mnie i poruczył — odpowiedział hrabia.

— Watzdorf! Königstein! — powtarzał wzdychając Fryderyk;

potém stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł: — Nie chcę o tém słyszéć więcéj; dość, nie chcę. Róbcie, co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za niemi ojcu Guariniemu, który królewicza najlepiéj umiał rozśmieszać i skinął nań. Padre przybiegł coprędzéj, nie domyślając się więcéj nic, oprócz, że był tu na coś potrzebny.

— Jestem w rozpaczy! — zawołał — gęś moja: *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, żem trzy panie nasze brał z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę jak słuchał, rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury schodziły z pięknego jego czoła marszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwiosnek uśmiechu zarysował dwie ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzał na jezuitę, jakby w jego pogodnéj, naiwnie uśmiechniętéj twarzy, trochę przypominającéj włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychléj zetrzéć ślady niemiłego wrażenia.

Jakoż w miarę, jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanéj przykrości i dobrodusznie mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośnego, szczerego śmiechu, który zwiastował, że najjaśniejszy pan o troskach tego świata zapomniał całkowicie.

Nazajutrz znikł radca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało; była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcéj imienia jego nie wspomniał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chciéć wiedziéć o tém.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl przy zdarzonéj okoliczności, o ile mógł głośno, umył ręce od téj sprawy, zarzekając się, iż wcale o niéj nie wié i do niczego się nie mieszał.

W „Merkuryuszu historycznym“, rodzaju gazety francuskiéj, wychodzącéj naówczas, stały wkrótce potém następujące słowa:

„Ci, którzy znali zblizka swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach, bezpośrednio po

śmierci Augusta Mocnego zaszłych, niejednę miał zręczność, z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano“.

Watzdorf już się nigdy więcéj nie pokazał światu. Po czternastoletniém więzieniu na Königsteinie zmarł dobity tęsknotą i niewolą.

XII.

W rok po tych wypadkach, pałac, w którym Brühl mieszkał, jaśniał rzęsistemi światłami. Nigdzie wspaniaiéj jak w Dreznie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycye po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potém do zetkniętych z niemi; do mających stosunki z wyższém towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówcześni dawali bale dla dworu; mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czémś niespodziewaném przysłużyć.

Ognie sztuczne, iluminacye, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy, występowały, ilekroć najmniejsza nastręczała się zręczność.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkowiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewném przyzwoitém oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należném kamienicy tak możnego pana, błyszczącéj różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnéj tarczy, ponad którą spadały dwie ogromne girlandy różowe z zielnią, białemi gwiazdy wysadzone, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: *F.* i *H.* Trochę niżéj dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznemi zapisane. Dworacy tłómaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Ciżba stała już dosyć długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadjechała kareta. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku, do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała próg jego przestąpić.

Chociaż nad nią niespodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące schody zajęte były po obu stronach

całym szeregiem w pyszną liberyę postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i pazie ministra.

Królewsko już urządzony był dom na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłómaczył się z tėj okazałości tėm, że panu swojemu honor nią czynił; zaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przede drzwiami pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jėj pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udała, że tego ruchu nie widzi i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tėm obliczu pochmurnėm nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu, obojętnėm mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Znać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swojėm, bo i strasznego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, którėj ściany rzęsistemi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszczały całe lustrami, kryształowemi łzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzala się, szukając córki idącėj za nią. Frania szła i stanęła przy niėj milcząca. Z drugiėj strony Brühl w fioletowym ze złotėm fraku aksamitnym ślubnym, w białėj ze złotėm kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą, uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przysunęła usta do jėj czoła i długim pocałunkiem żegnała odchodzące dziecię, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, łzy się zakręciły w oczach.

— Bądźcież szczęśliwi — szepnęła — błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi — i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwycił drugą, okrywając pocałunkami.

— Potrzebujecie być sami — dodała głosem złamanym. — Moim obowiązkiem było odwieźć tu was i pobłogosławić; nie chcę was męczyć; ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

— Polecam ci żonę — rzekła — bądź dla niėj dobrym, bądź

przywiązanym mężem. Frania przywiąże się też do ciebie: bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi kruche i niestałe... słodzić sobie należy dnie życia a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jėj przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jėj wyrazy na ustach; jakby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Zięć podał jėj rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc wielka ochmistrzyni i rzuciła się w głąb' jego, ukrywając od oczów ciekawėj gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda, jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jėj chciał ująć, spojrzała nań niemal zdziwionemi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była, i że się stała żoną jego.

— Na miłość bożą — szepnął minister — tysiące oczów i z ulicy i w domu patrzy na nas; bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksyomat jego), odegrajmyż dobrze naszę rolę.

To mówiąc, podał jėj rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów, ku jėj apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jėj spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym, prócz niėj, wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła, nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnią, w którėj dwie alabastrowe na kolumnach lampy, blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani, zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła; oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotowalnią. Sparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko ciżby z ulicy, podziwiającėj iluminacyą, dochodził.

— Pani — rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim — jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przyklęknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

— Komedyi dosyć mamy dzień cały, z sobą jėj grać nie po-

trzebujemy; uwolń mnie pan od niéj i siebie. Musimy być szczerzy i otwarci; bądźmy niemi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serc, ale kontrakt; starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotowalnią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

— Jeśli pan nie życzysz sobie — dodała — aby naszę rozmowę podsłuchiwano, racz się upewnić, żeśmy sami.

— Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy — zawołał Brühl zimno — a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frania nie mówiła nic; z flaszki stojącéj na gotowalni, wzięła dla orzeźwienia się larendogry i odwilżyła nią skronie.

— Szczęśliwą, jak bywają inne kobiety — mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowalni i rozpinając drobne stroju swego dodatki Frania — szczęśliwą być nie mogę... ten, którego kochałam, — nie kryję się z tém, — leży w więzieniu na słomie wilgotnéj i nie ma promyka słońca, ani niebios widoku... Waćpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzoną; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszéć; wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobremi przyjaciołmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wié, mogę miéć fantazyę jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

— Rozumiesz mnie pan?

Minister zmilczał.

— Nikt mi o niczém w świecie nie mówił — ciągnęła daléj — kobiecym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

— Pani — przerwał Brühl — są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić jest to się skazać...

— Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuści nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

— Spodziewam się, że dając panu władzę... potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazye były poszanowane; a że miéć będę fantazye, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć. Myślisz — poczęła żywiéj — że mi w któréjkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, któremiście go otoczyli; izdebkę ciemną, tarczan twardy, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach, wpatrzone w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch, co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzał w podłogę.

— Tak — rzekł sucho — i szkoda nie wielka; ja po nim płakać nie będę.

— Ja także nie — odparła Frania — ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka, co go strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć méj dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

— Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie — rzekła — chociaż i to ma być tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; kurfirst saski musi miéć protestanta w Saksonii; Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiéj gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

— Pani! — zawołał głosem wzruszonym Brühl — nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniéj. Ja jestem chrześcijaninem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangielia i jéj przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

— To należy do pańskiéj roli: rozumiem — odezwała się Frania — a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

— Lecz cóż powie służba? co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie stąd wypędzisz? To nie może być!

— Ale inaczéj być nie może — zawołała Frania — pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzał na nią niespokojny.

— Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił

tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać, ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

— Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszemi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś nie brzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i, król w dodatku! Wolę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

— Wystawiam sobie jak najjaśniejszy pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

— Pani — łamiąc ręce, przerwał Brühl — ściany mają uszy!

Frania ruszyła ramionami.

— Pani wiesz — szepnął — że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najlżejsze posądzenie, cień tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

— Szczególniéj dla mnie — odparła kobieta — bobym została z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło... Więc, cicho.

Brühl nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświecone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lyońskiego atłasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała, jak śnieg bielizna i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalanéj świeżości.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia świateł, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi jéj, Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconéj zasłony i wianka pani młodéj, jéj rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni były zamknięte.

Nocna lampa paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zegar w mieście bił późną nocy godzinę. Brühl spojrzał naprzód przez okno, w ulicy już było pusto, iluminacya gasła. Ponad czarnemi kamienicami, stojącemi w mrokach, księżyc się wzbił wysoko i pływał w bawełnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słychać było szelestu.

Mąż pięknéj Frani przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Maleńka sofka i przystawione do niéj krzesło, musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na ręku i dumał... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzał na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślania o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiéj, bez serca; potém obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się co prędzéj z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokojów.

Oczy jego szukały najprzód zegara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o któréj zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł téż stojącego już w pośrodku ojca Guariniego, w swym rannym surducie szarym z czarnemi guziczkami, uśmiechającego się dobrodusznie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich, nawzajem się badając, pokilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

— Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie, nie mają prawa wysypiać się długo, szczególniéj tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry.

— Z wami, ojcze, i przy pomocy królowéj, obawiać się ich nie mam potrzeby — odezwał się Brühl.

— Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze — szepnął ojciec Guarini. — Zawsze, choćbyście mieli za sobą królowę nawet, bo królowe niezawsze panują, mój drogi.

— Ale wy, ojcze — jeszcze ciszéj dodał minister — panujecie i panować, spodziewam się, będziecie sumieniu króla a pana naszego zawsze.

— Moje dziecko, ja téż nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję, żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękoma w tył założonemi.

— Księcia Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa — rzekł — ale powoli idzie, oględnie i wogóle z tą całą kampanią naszą śpieszyć nie można. Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkiém... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcéj...

Zamilkł ojciec Guarini.

— *Piano, piano, pianissimo!* — szeptał. — Do naszego pana, trzeba umiéć mówić, umiéć trafić. *Al canto si conosce l'ucello, ed al parlar il cervello.* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się poczciwy padre, a że lubił włoskie ludowe pogadanki, dodał:

— *Duro con duro non fan mai muro.* (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro,* waćpan powinieneś być mięciuchny i giętki. *Ma piano, piano!*

Tu zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potém na zegar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pośpiesznie.

Z drugiéj strony już pukano.

Żółta pokrzywiona twarz Hennickego pokazała się ostrożnie we drzwiach napół odemkniętych i cały radca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów, najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

— Ekscelencyo — rzekł — najprzód powinszowania moje.

— Najprzód interesa... — przerwał minister — pieniędzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Hennicke, pieniędzy!

Zaciął usta eks-lokaj.

— Piszczą łajdaki — odezwał się — szlachta się zżyma, miasteczka burczą, odwołują do przywilejów, do *immunitates,* do uchwał.

— Kto? — zapytał Brühl.

— Prawie wszyscy.

— Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniéj gada?

— Jest ich dosyć.

— Trzech lub czterech... posłać szwajcarów, niech wezmą i do Pleissenburga; tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

— Ale kogo wybrać?... — spytał Hennicke.

— Zwątpiłbym o tobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nizko nie bierz, bo toby się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokaźnych parę...

— A racya? — spytał eks-lokaj.

Brühl się rozśmiał.

— Czyż ja ci potrzebuję racyę dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupiś... Hennicke.

— Rozumiem — rzekł Hennicke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

— Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę: trzeba, żebyś mu powiedział ode mnie, że moich rozkazów nie spełniają. Na ostatniém polowaniu o włos mały nie podano petycyi królowi... Szlachcic się zaczaił w krzaku. Na kilka godzin wprzódy przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem, drogi powinny być oczyszczone, postawione warty; żywéj duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

— Ja, ekscelencyo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... A Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

— Hennicke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały się szept zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Hennicke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilku biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowém, tak, że ranny strój niewiele czasu kosztował. *Porte-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieźć do mieszkania posła austryackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O téj godzinie zwykle Brühl bywał u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, książę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapomniał o tém, że dziś dla całego świata powinien był mieć twarz najszczęśliwszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na niéj widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Książę Lichtenstein, w całém znaczeniu wyrazu pan i dworak jednego z najstarożytniejszych w Europie domów panujących, miał fizyognomię do swéj roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlachetnych, postawy pańskiéj, grzeczny, miły, w oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznéj. Jakkolwiek Brühl

niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister dworu spokrewnionego z austryackim domem, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

— Wracam — rzekł — do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanéj rozmowy.

— Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcyi, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręka w rękę... rozumiecie mnie..

Brühl podał rękę natychmiast.

— Musimy iść ręka w rękę — rzekł — tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczéj wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

— Czyż wątpicie? — zapytał książę — moje słowo waży, jak cesarskie...

— Pierwszego mi starczy — podchwycił Brühl.

— Jestże to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? — spytał książę.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale nic określonego.

— A! — zawołał Brühl — określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze.

— Wyście go widzieli?

Brühl się uśmiechnął tylko.

— Moglibyście go mieć? — dodał nagląco książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylił się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

— Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

— To tak, jakbym głowę moję dał w ręce księciu — odparł cicho Brühl.

— Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć — przerwał Lichtenstein.

— Bezwątpienia — mówił daléj minister — lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas niéma innéj alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie, książę, jak król jest do niego przywiązany.

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

— Ale my mamy królowę, my mamy ojca Guariniego, my mamy was i ojca Voglera i Faustynę — zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

— Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

— Prawda, że ludzie słabi bywają uparci — odezwał się książę — lecz na słabych zawsze powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, robi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci; aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegóż poczciwy ojciec Guarini!

— Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

— Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jéj jednak niepodobną... — odparł Lichtenstein. — Ale ten plan? na Boga? widzieliście go? czytaliście go?

Niecierpliwą tę natarczywość księcia powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

— Pozwolisz, książę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

— Z największą chęcią.

— Ubolewam nad tém, bo cenię Sułkowskiego z innych względów — mówił minister — jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saksonią uczyni potężną — ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicya może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętéj naszéj królowéj ocenić nie umié, Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

— A! mój Brühlu kochany — przerwał Lichtenstein — ja go znam jak wy, a może lepiéj, bo się przede mną nie maskuje; znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

— Sułkowskiego obalić potrzeba — rzekł Brühl stanowczo. — Więcéj nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

— Ale ten plan? ten plan? — powtarzał Lichtenstein — daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcenia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznéj kieszeni; na ten znak książę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili, gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi: kamerdyner oznajmił:

— Hrabia Sułkowski!

W [mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl rozparty zażywał tabakę z małéj emaliowanéj tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski, stojąc w progu, mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem dłoń doń wyciągał.

— Otóż to ranny ptaszek! Od młodéj żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem — mówił Sułkowski — żeście jeszcze u nóg swéj pani.

— Obowiązki przedewszystkiém — odparł — powiedziano mi, że książę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mego uszanowania.

— Książę wyjeżdża do Wiednia? — zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie — nic o tém nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie wiem jeszcze, może... może — wyjąknął po chwili — wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tém dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

— Więc to niepewne jeszcze...

— Nie wiem, ale być może — rzucając znaczące wejrzenie na Brühla — rzekł Lichtenstein. — Czekam na pewne depesze, jeśli je otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojadę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

XIII.

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych, niedostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym, mówili o zamążpójściu Kolowrathównéj.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swojego naczelnika.

— Panie hrabio — rzekł mu — ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austryackim, z ojcem Guarinim, z wielką ochmistrzynią, a potrosze z królową. Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteuflowi, ale wywrócił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoym się z jego łaski obwiesił: ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

— Mój Ludovici — rzekł z dumą — pamiętaj, kto oni byli, a kto ja! Mnie on razem z ojcem Guarinim i Austryakami nie obali... Ojca Guariniego i cały ten pułk jezuitów stąd wypędzę. Królowéj dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczyli; nie lubię ich. Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

— To jest on rękoma waszéj ekscelencyi; *is fecit, cui prodest;* jako adwokat, pamiętam prawniczy ten aksyomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

— Już tylko ty w tych rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu — odezwał się Sułkowski — wiem ja, co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

— Ja o tém nie wątpię — rzech sucho, kłaniając się Ludovici.

Krótka ta rozmowa utkwiła jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swoich powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą, hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącém wydawało mu się, iż na wzór jego nieustannie był przy Fryderyku Auguście, towarzyszył mu wszędzie i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefnisiami i ojcem Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał się o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach...

— Brühla oddalić należy — rzekł w duchu. Znajdziemy pozór łatwo... Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, siąść w krześle i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłém stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojéj włoskiéj podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce i myśliwstwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namiętnością, powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał zbogacić niemi już znaczny za Augusta II zawiązek galeryi drezdeńskiéj.

Chcąc się przypochlebić najjaśniejszemu panu, nie było lepszego sposobu, jak nastręczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak, jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiéj krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery, lub oznajmienie obrazu, rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniéj od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł znać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynieść.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucał fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się hrabia cicho — jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

— Ale cóż? — bąknął król trochę namarszczony.

— Ale — mówił minister — przedmiot jest trochę za mitologiczny i gdyby, uchowaj Boże, jéj królewiczowska mość nadeszła...

Król sposępniał i przestał nalegać; twarz stała się poważną; poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko; oko Augusta poszło za nim.

— A kto malował? — zapytał.

— Mistrz włoski — rzekł Sułkowski — jest to arcydzieło Tycyana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał i szepnął:

— *Gran maëstro! Maëstro!*

Sułkowski jakby już o obrazie nie było mowy, stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań, jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

— *Troppo mitologico!!* hm...

Po chwili, gdy minister mówił już o polowaniu, przerwał:

— Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

— Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

— A! pfui! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo ojciec Guarini... a pfui!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

— Najlepiéj będzie, gdy ja to precz wyniosę — odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzićć, ale się zmarszczył.

— Przecie co? co reprezentuje?...

— Marsa i Wenerę w chwili, gdy ich *in flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

— Pfui, pfui! — zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

— No widzićć dla malowania — odezwał się król — dla sztuki grzech powszedni, to się wyspowiadam ojcu Guarini... trzy *pater* i po wszystkiém...

Rękę wyciągnął. Sułkowski uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ téj *belli* Tycyana, która mu do jego Wenery i Danai służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale wistocie w nader mitologicznéj sytuacyi.

Król chciwie patrzał, a znać było, że się ciekawości swéj i uwielbienia wstydził; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek, a jednak go nie puszczał. Powtarzał: *Un gran maëstro!* i łajał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego i począł szeptać: Wenus bardzo piękna... kształty klasyczne! co za wdzięk! co za śliczna *tavola!*

Nagle coś mu na myśl przyszło; obejrzał się; odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

— Precz z nim! precz z nim! nie chcę gubić duszy... Co mi ty takie pokazujesz rzeczy!...

— Ale malowanie, najjaśniejszy panie.

— Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim!

Sułkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

— Czekaj, lepiéj jest, aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją tam w kącie; potém obaczymy... spalimy...

— Takie arcydzieło?

Król zamyślony umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mruczał: *Diavolo incarnato!* i ruszał ramionami; ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Wenus mogła się przerobić na pokutującą Magdalenę, powiesiłbym ją w pokoju.

— Najjaśniejszy panie, w rzeczach sztuki niéma nic nieprzyzwoitego; ceni się pędzel mistrza.

Król milczał.

— I muszę się spowiadać ojcu Guariniemu.

— Najjaśniejszy panie — rzekł dosłyszawszy Sułkowski — sam padre z przyjemnościąby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o spowiedzi nie myślał.

— *Siete un birbante!* — mruknął król. — *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycyana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniał. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

— Brühl, jak widzę, z łaski waszéj królewskiéj mości mnie ruguje — odezwał się hrabia — boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

— Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady — mówił Sułkowski — obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

— O! o! o! — przebąknął król, głową trzęsąc.

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Mój ojciec go cenił — rzekł krótko August III — to dosyć.

Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

— Nie lękaj się Sułkowski — rzekł — na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiéj i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

— Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło téż Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagaić tę sprawę, obiecując sobie do niéj powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcéj.

Król pykał już fajkę siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma, jak miał zwyczaj, gdy czuł, że mu na świecie wcale dobrze było; wtém puknięto skromnie. Oznaczało to jednę z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze bez oznajmienia i nie mógł to być kto inny, chyba ojciec Guarini albo Brühl. Wszedł powoli padre ze skromnym uśmieszkiem i złożonemi rękoma, król go skinieniem głowy przyjacielskiém powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuity sznurkując po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał padre i, jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia, coby to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król się mocno zarumienił i z wymówką spojrzał na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August wcześnie się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

— Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzyć: mitologia.

— E! — śmiejąc się odparł ojciec — waszéj królewskiéj mości mitologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał:

— A kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrém, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

— *Sentite!* — zawołał Guarini do Sułkowskiego — jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nieciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchylono wieko: ojciec Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w ręce:

— Arcydzieło! — zawołał — *miraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz niemoralny: owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara: Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość bożą. Co się tyczy Wenery! biedaczka, trochę nieubrana, *ma*...

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzał i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

— Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widocznêm zajęciem przypatrywał się król pięknéj Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego stać się, czego najbardziéj obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycyana, gdy drzwi otwarły się jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowéj. Królowa Józefina, jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemiłemi rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko, ojciec Guarini cofnął się ku

oknu; król wyprostowany patrzał w sufit, a Sułkowski z paczką swą uchodził zręcznie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwéj i zazdrosnéj kobiety, możeż ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jéj przyjęcie.

— Mamy dziś operę — rzekł — Faustyna śpiewa.

— Tak — odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego — ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, którójbym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czém się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jéj po formie paczki odgadnąć było, co zawierała. Król znając jéj surowość i nadzwyczajną skromność, dochodzącą do przesady, zmieszał się.

— Dosyć sobie ciekawe malowidełko — rzekł król — trochę swawolne, mitologiczne!..

Józefina zarumieniona i gniewna, spojrzała na Sułkowskiego.

— Ja téż bardzo cenię sztukę — rzekła — ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pędzel nie okupi niepoczciwéj myśli.

Miała królowa przeczucie, że jéj nie wypadało nalegać na pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym, niż był, i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnemi widokami. Wistocie brzydkiéj królowéj zdawało się zawsze, iż ktoś jéj męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne miłostki jak ojca, a za drogę do nich uważała nastręczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

Ojciec Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sułkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te, dziś ledwo uśmierzone, jutro z nową gwałtownością się odradzały.

Królowa Józefina pozostała zamyśloną i posępną, nie umiała ona uczuć swych taić i nie potrzebowała z niemi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surową admonicyę za dawanie zbytnich przywilejów i swobód Sułkowskiemu; westchnął tylko i wyglądał godziny opery, aby zapomnieć w muzykalnym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiechając się fantazyom powolnie grającéj imaginacyi.

Sułkowski i ojciec Guarini wysunęli się zaraz, zostawiając małżeństwo sam na sam ze sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowéj dobrego humoru.

XIV.

Jedną z zabaw najulubieńszych dworu saskiego za panowania obu Augustów była opera i muzyka, nieustępującą najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodząca może najświetniejsze teatra i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycał. Słuchanie jéj uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a dozwalało się pogrążać w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuscy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompanią z dwudziestu głosów; a wśród nich posiłkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götzel, i Włosi. Annibal, alt, zajmował tu pierwsze miejsce. W orkiestrze nadwornéj, pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech Zelenka), koncertmajster, solistów mnóstwo, a polska kapela, oprócz tego, stała osobno. Tą polską, czyli małą kammermuzyką, dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużéj bawił w Warszawie. Naprzemiany grywano opery i komedye francuskie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobiet, a dla urozmaicenia widowisk, francuski balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Faxier. Ale któż to wyliczy?... sumy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbicie potrzebnych. Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do któréj Metastasio pisał libretto, w tryumfalnym pochodzie Cezara, zwycięscy nad barbarzyńcami, występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretoryańskie gwardye, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota ze skarbca królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętném jest, że bijący w bęben z zachwytu wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scenie; operę oświecało 8,000 świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża; był nim Servandoni. Przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100,000 talarów.

Nadzwyczajny urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postacią, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni... Powtarzano jednę operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną powracającą pieśnią, która go do marzeń tak rozkosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach, obok Faustyny, rządzącéj samowładnie Włochami zakulisowemi, zjawiła się tak zwana „Faustyna druga“ Teresa Albuzzi Todeschi, nie młodsza od niéj, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególnie Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiem po który raz *Cleofidę*. Król już w swéj loży siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tém coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególniéj *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekano cierpliwie...

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teresy... Teresa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę.

Ciemném było i tajemniczém dla wszystkich, o co im szło, co ich tak podrażniło. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonemi rękoma, przysłuchując się potokowi najmniéj dobranych i strojnych wyrazów ulicznych i uśmiechała się jako widz na doskonałéj komedyi.

Z za kulis dochodziły wykrzykniki niektóre do sali, i Sułkowski niespokojny wysłał pazia na zwiady.

Paź wrócił, nie mogąc nic więcéj donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fale. Szepnął Sułkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedynego, co umiał zakląć i ukoić, po ojca Guariniego.

Tymczasem Faustyna i Teresa stały naprzeciw siebie jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniew niszczył farby, któremi miały pomalowane twarze, i miął bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu, Indyanie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie się przyglądali temu duetowi przekleństw i słuchali ich jak szumu kaskady.

Jużby było może przyszło do pojedynku, gdyby jak *Deus ex machina* nie wpadł w swym surducie szaraczkowym ojciec Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnemi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrzał na nie i odciągnął na bok najprzód królowę Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnemi słowy.

Cisza oczekiwania nastąpiła po walce. Słychać było orkiestrę strojącą instrumenta. Bordoni wprost od téj spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi

na konfesaty, grożąc jéj palcem na ogromnym swym nosie. Teresie zbierało się na łzy. Szeptano długo, padre rozsunął ręce i zawołał:

— *Pace!* — Jeśli się uprzesz, Tereso miła, możesz *cader dalla papella nelle brage* (z pieca na łeb upaść); dość tego. Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W téj saméj chwili zjawił się i Brühl za sceną, spojrzał na Faustynę najprzód, pozdrawiając ją, potém na Albuzzi, któréj dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki, wszyscy na swych miejscach stanęli.

Ojciec Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanemi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotowalnia i porozrzucane resztki kobiecych strojów, dawały odgadnąć garderobę jednéj z tych pań przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze; jezuita się zaczynał uśmiechać.

— Tu — rzekł—ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy, to schówka téj żmijki Albuzzi, jesteśmy w niéj bezpieczni. Mówmy...

Uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha ojcu.

— Plan jest w rękach Lichtensteina, jedźcie z nim do Wiednia.

— *Va bene* — odparł Guarini — ja przysposobiłem królowę. Wiem z pewnością, iż Sułkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

Jezuita się rozśmiał i ruszył ramionami.

— O tém trochę zapóźno pomyślał!!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

— Z nim, z tą poczciwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć jak postępować— mówił Guarini. — Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściźnie jego namiętności i walczyć musi z niemi. Otóż to, co Pismo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przelał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podoła jéj król pobożny, trzeba przynajmniéj od grzechu odjąć zgorszenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet. Gdybyśmy od niego wymagali zupełnéj wstrzemięźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, którыby nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatta capo ha.* Co się stało, dobrze się stało. Sul-

kowski źle rachował i przerachował się nieborak; miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swéj tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacyi; a ja się cieszę, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tém grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

— Sułkowski—rzekł Brühl—nudzi się nieco, jest gienerałem z łaski najjaśniejszego pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskiemi wsławić. Wspomniał mi, że chętnieby uczynił wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał téj myśli?... Przez ten czas...

Guarini mruknął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko i głową potwierdził dobrą radę.

— Powiem królowi, że ten poczciwy Sułkowski powinienby po tak ciężkiéj pracy miéć prawo wytchnąć nieco: i zrobi się.

Włoch szparko mignął palcami jak kuglarz przed oczyma Brühla i wstał.

— Idź do króla — rzekł — poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. I cicho szepnął na ucho: Nie wstrzymuj Sułkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania najjaśniejszemu panu pewnych wad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się ojciec Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i wysunąwszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich, jak człowiek doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostrożniéj i trudniéj było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w loży królewskiéj.

Sala opery jaśniała światłami rzęsistemi. Dwór, również wspaniały jak za Augusta II, przepełniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie w swych bogatych strojach lamowych, pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali pierwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądał uśmiechem.

W rzędach kobiet widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moszyńską, dumną panią Brühl, cichą Sułkowską, żony posłów, frejliny królowéj i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacznością zwracał się ku scenie, ilekroć na niéj zjawiła się piękna Faustyna, a słuchając jéj głosu w błogiém upojeniu, przymykał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy

przyklaskiwał dwie, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na różnobarwne rzędy piękności, zdawał się przebiegać po nich z trwogą i powracał do Faustyny.

Uwielbienie dla niéj tłómaczył głos, uniewinniała muzyka.

Prawie na przodzie, naprzeciwko króla, siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta od niechcenia na brzeżku swéj loży i zadumana. Piękność jéj wyzywająca, śmiała, imponująca, wszystkich oczy ściągała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jéj nie widziéć, albo nie chciéć zobaczyć, wymijał ją, unikał, i gdyby August III nie był tym dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, możnaby go było posądzić, iż się z czémś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowéj siedziała skromnie ubrana hrabina Sułkowska, frejlina niegdyś królowéj jako panna von Stein-Jettigen. Piękna jéj twarz spokojna nie miała tego uroku drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło, starosta jasielski, i Działyński, spoglądali po kobietach i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

— Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie wrzuceni w piec gorący; nie wie człowiek, gdzie schować oczy. Spojrzę przed się, stoi ta Włoszka, gdyby marmurowy posąg napół obnażony, a wywodzi trele, aż po duszy chodzą; odwrócę się w prawo siedzi jéjmość strojna, któréj oczy jak dwie wędki zaprawne; odchylę się w lewo, patrz starosto, co za cudo!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przylgnęły do tego zjawiska, które się po raz pierwszy ukazywało na dworze.

Około hrabiny Sułkowskiéj i pod jéj opieką, wprost naprzeciwko króla samego, siedziało dziewczę młode. Nikt go tu nie znał na dworze. Z towarzystwa hrabiny, ze stroju jéj i z twarzy, można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności wogóle więcéj pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały, niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonałe amazonki, lubiące łowy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie, nie lękające się spotkać ze źwierzem i człowiekiem. Nieznajoma dziewica, siedząca przy hrabinie Sułkowskiéj, była z rodzaju tych piękności bujnie uposażonych i jak zdrowy silny kwiat wyrosły na krzepkiéj łodydze. Biała, różowa, zbudowana jak Dyana, czarnooka i czarnobrewa, patrzała śmiało a dumnie. W téj odwadze dziewczęcia czuć je-

dnak było raczéj nieświadomą świata niewinność, niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jéj z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszysko, co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnemi wstęgami i trochą złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru podnosiły się wejrzenia ciekawe i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

— Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowéj badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hrabina Moszyńska nie spuszczała z niéj oka. Na zwiady poleciała młodzież do służby hrabiny Sułkowskiéj, ale z niéj nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz, że to była krewna hrabiny, przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sułkowski ujrzawszy, iż Brühl ceremonialnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

— Najjaśniejszy panie — rzekł cicho — dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejrzeniem. Chociaż hrabianka Stein jest mojéj żony daleką krewną, ośmielam się zwrócić uwagę waszéj królewskiéj mości na jéj nadzwyczajną piękność. Żaden Tycyan, ani Paweł Veronese nic podobnego nie utworzył.

Słysząc te słowa, król zwrócił się jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacyi wdzięków i uwielbianiu głosu Faustyny.

Sułkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że walcząc z sobą, odegra tu pewnie tę samę scenę. co z obrazem Tycyana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzieindziéj idąc oczyma, powiódł niemi tak, iż trafiły na twarz pięknéj panny Stein.

Jakby przerażone tém zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska nie śmiejąc już zwrócić się w tamtę stronę, posłała oczy tylko. August III patrzał głową na scenę, ale źrenice z pod powiek przymkniętych pochyliły się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda i szybciéj niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zaczepić o panią Brühl, która zapewne jakimś przypadkiem biały paluszek miała jakby z groźby przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jak gdyby jéj tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła bravo! Ktoby był bacznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyny brwi się marszczyły na króla, jak nań

spoziérała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wejrzenie męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniéj wydatnych, skrytych, po kątkach osobistości nieznanych, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z lóż pańskich.

Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów... i rozlewał się w powietrzu jak fala tęczowa... wszyscy się poruszali: opera się kończyła. W lożach podnosiły się panie i piękna Stein, bohaterka tego wieczora, podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatniemi dźwiękami muzyki.

— Człowiek po tém widowisku — zawołał Działyński do Tarły — prostoby powinien iść do konfesyonału... My, cośmy nie nawykli do téj rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukołysze w głowie i piersi, a przyjdzie do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To mospanie wodzenie na pokuszenie i po wszystkiém.

Tarło się rozśmiał:

— Nie wiem, czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiet razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

— Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nietylko uszy, ale i oczyby sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczerzy, jak powszednich dni, przed północą się rozchodził. Brühl, wziąwszy rozkazy króla, pojechał do domu; Sułkowski został. Ojciec Guarini, choć często wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch wieczorem już spali po kątach. August III znowu się dostał do szlafroka i po wieczerzy u siebie, fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach tytuniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy, co go palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety czując w nim nieprzyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się minister — nie wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę Stein, co to za piękność! co za wdzięk! Gdyby świętéj pamięci pan nasz miłościwy król August Mocny żył jeszcze, pewien jestem, że nie spuściłby z niéj wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i zamilkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się rozśmiał, przyszedł do ręki pańskiéj i pocałował ją.

— Jam stary sługa waszéj królewskiéj mości — rzekł — wydziwić się nie mogę cnocie pańskiéj. Królom się coś więcej przecie, niż prostym śmiertelnikom, należy, a wasza królewska mość żyjesz jak skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów. W czasie dzisiejszego teatru, patrzałem, jak kobiety z uwielbieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie spojrzéć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed moją żoną, że piękniejszego mężczyzny nad waszę królewską mość nie widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odlewał i nie śmiał nań spojrzéć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

— Faustyna śpiewała jak bogini! — rzekł, zwracając rozmowę.

— Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści kilka, a Włoszki prędko starzeją; Stein, to prawdziwy anioł, ale wasza królewska mość nie spojrzałeś nawet na nią.

August, zamiast odpowiedzi, popatrzał na Sułkowskiego i ramionami ruszył.

— Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz wasza królewska mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana, wszak to klasztor nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając potrosze.

— Wasza królewska mość pozwolisz, aby moja żona na dworze hrabinę Stein przedstawiła — mówił nieustraszony milczeniem minister.

— U królowéj, u królowéj — dorzucił August z pewną niecierpliwością.

— Jest-to sierota, która postradała rodziców, familii prawie żadnéj; nasza, to jest żony mojéj, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jéj losem. Przy łaskawéj protekcyi waszéj królewskiéj mości, łatwobyśmy tu jéj męża znaleźli na dworze, a widzę, że jéj się tu wszystko bardzo podobało, że radaby pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło; sądził, iż oszczędzając niememu królowi słowa, powinien był stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko, przystąpiwszy bliżéj, mówić ciszéj trochę:

— Gdyby się Stein waszéj królewskiéj mości podobać mogła, nikt w świecieby się nie domyślił stosunków żadnych. Przecież wasza królewska mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł.

Spojrzał, mówiąc to, na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapadały, ręce mu zaczęły drżéć. Sułkowski przestraszony umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jak gdyby szukał ratunku.

— Sułkowski! — zawołał stłumionym głosem — ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę; ale ty, ty się *zapominasz.*

Wielkiemi krokami, widocznie mocno wzruszony król, przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego bladą zaczynał zwolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swéj przyczyny; uląkł się i kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III, ale mu ją podał w końcu.

— Proszę cię, ani słowa; to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie stąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

— Jutro — odezwał się po krótkiém milczeniu — do Hubertsburga wyprawić przodem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy, jedziecie ze mną... królowa, naturalnie; zawsze trzy dni chcę tam polować. Pierwszego dnia na jelenie, drugiego *par force,* trzeciego na cietrzewie.

Sułkowski się skłonił.

— Natychmiast wydam rozkazy.

— Niech wszystko będzie gotowe... Jedziemy rano...

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowéj. Niespokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiéj. August zdawał się już zapominać o tém, co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie, jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Pierwszego wieczora królowa coś wspomniała, jakby słyszała od padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wzdychał do wycieczki rycerskiéj nad Ren, albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tém skuteczniéj mógł służyć Saksonii. Król wysłuchał żony i głową potrząsnął.

— On i tak dowódcą jest wybornym; ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Drezna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelanie

do celu w dziedzińcu, a bawił się niém do późna i był bardzo wesołym. Zwykli towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl, choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spocząwszy, król się wybrał na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenhayn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Drezna, bo Faustyna śpiewać miała. Na operze nie śmiał prawie podnieść oczów. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August tylko patrzał na Faustynę. Dopiéro późniéj, gdy spostrzegł przy sobie gienerała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po lożach.

Hrabina Sułkowska siedziała w swojéj sama, nikogo przy niéj nie było. Król swobodniéj jakoś odetchnął. Mruknął coś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nizko, a gdy śpiew znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko ponad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby jéj świat cały był obojętnym, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

XV.

Wkrótce potém dnia 7 października obchodzono urodziny królewskie, w ulubionym zamku jego Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiéj etykiety, do któréj nawyknienie królowa téż z sobą przywiozła. W Dreznie zaś cokolwiek za Augusta II zaprowadzoném było, zachowywało się jak najtroskliwiéj. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo... Zrana o godzinie ósméj czekał on w sali na przechodzącego króla, który o téj godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego rubensteińskiego krzyża... Stąd rozpoczęto łowy, i król z zapałem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sułkowski, Brühl, stary gienerał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w najlepszém usposobieniu ducha. Zrana królowa jéjmość uczyniła mu miłą niespodziankę, był to jéj własny portret przez nią malowany i ofiarowny na pamiątkę. Z uczuciem ucałowawszy rękę dostojnéj artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sułkowski sprowadził za pośrednictwem Giustinianiego z Wenecyi bardzo piękny obraz Palmy starego, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandt'a, nabyty w Holandyi. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał najprzód stawiać w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał nic nie mówiąc, i dopiéro, gdy się widzeniem ich nasycił, do nowéj galeryi przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nic mówił więcéj, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry, i całém obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sułkowskiemu szczególniéj para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrażenia po owém nieszczęśliwém jego zapomnieniu się.

Wcześnie bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogaczom, i zawieziono je w tryumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania królowa była jak zwykle nieodstępną, i choć na posępnéj twarzy jéj znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sułkowski nawet, zbliżywszy się do niéj, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie się obiad skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Drezna, gdzie na króla opera i trzy balety w międzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątéj w teatrze oświeconym z przepychem przepełnionym dworem i ciekawemi w galowych ubiorach, podniosła się kurtyna, i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajném przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionemi w lożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niéj nowy król, w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tém, że mu płynęło życie według programu, niezamącone niczém, jak w zegarku. Więcéj nigdy od losu nie żądał nad to ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów; tylko tego spokoju, któryby mu dozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha... wypalić fajkę, popatrzyć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guariniego, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia — co pokrywała tajemnica, tego, oprócz zaufanych, nikt w świecie nie powinien się był ani domyślać. Nikt lepiéj nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden ojciec Guarini, powiernik pański, wiedział, co się tam

działo, i on jeden mógł pomódz do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc Brühl z pomocą wielkiéj ochmistrzyni i żony swéj, owładnął tą twierdzą niezdobytą i był jéj panem, nim się Sułkowski o jéj posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było zapóźno. Miejsce zostało zajętém, nikt więc przystępu doń mieć nie mógł, nawet najzaufańszy z przyjaciół, Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wie i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzyą się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie rachować było można — stał więc mocniéj jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten oślepiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owéj próbie z panną Stein, czuł się jeszcze bezpieczniejszym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może. Gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznéj. Faustyna wysilała się dnia tego, a fiorytury płynęły z jéj piersi, jak perły czystéj wody... Król wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach zachwycał się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzał tylko, chociaż niekiedy baczne oko byłoby dostrzegło strzelające ku Brühlowéj wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowi i jéj starczyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snać być najpiękniejszą Frania i włożyła białą, złotemi przetykaną deseniami suknię, w któréj wyglądała dziewiczo... Prześlicznie do wdzięcznéj twarzy zastosowana fryzura, któréj długie loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniące jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień dyamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białość wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atłasic, na tle śnieżném bukiet kwiatów żywemi barwami młodości śmiejący się, czyniły ją królową tego wieczoru.

Piękną była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niéj, ona nic patrzała na nikogo. Wsparta na ręku, zwrócona była ku scenie, ale jéj oczy wlepione w jakiś kącik, stężały bezmyślnym wzrokiem.

Zazdroszczono Brühlowi, on się uśmiechał. Strojny jak żona na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świeżo, miał raczéj pozór roztargnionego próżniaka, niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuski, wiedziony przez pana Favier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriaville, które w strojach idealnych wieśniaczek wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tradycyonalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły maleńką orgią w ciasném kółku.

Olbrzymią zwana sala na zamku, wcześnie już tysiącami świec była uilluminowaną; w pośrodku przepysznie zastawiono stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowéj, która do swojego stołu mało kogo, nawet z posłów cudzoziemskich, przypuszczała. Wedle etykiety dworu austryackiego, tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była jak zazwyczaj chmurną, niespokojną i smutną. Piękności, co ją otaczały, w których blasku gasł jéj majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dawał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonialnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdém zdrowiem, muzyka na galeryi odzywała się trąbami i bębnami, dając znać światu, jaki toast wnoszono, a działa, na Krakowskiém Przedmieściu stojące, biły salwy na cześć królewskiéj pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątéj wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się śpiesznym krokiem do swych pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną afektacyą patrzył przed siebie, jednak mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią niedostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sułkowski ani się domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar, korzystając z humoru pana, poufale z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko, jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzał na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał ze szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Oba ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyczekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sułkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło; zbliżył się.

Sułkowski żywo sypnął mu słowami do ucha. Widać było,

jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

— Nie ma jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sułkowskiemu, ale je przełknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sułkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

— Brühl wistocie — rzekł po namyśle — jest z wielu względów nieoceniony. I mnie z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłómaczyć co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwném zdało, że Sułkowski pozwalał sobie być zadowolonym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

— Nie mam najmniejszego powodu—mówił daléj—w sprawach powierzonych mi z Brühlem się ścierać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrzał, Sułkowski kończył niezmieszany:

— Niepomiernie rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie *nas* wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie. Król głośno chrząknął, spojrzał w górę i milczał.

— Dobry człek, dobry człek... — szepnął nareszcie, widząc, że hrabia na odpowiedź czeka.

Resztę dopełnił milczący pan uderzeniem ręką po krzesła poręczy, i zapatrzył się na obrazy.

— Gdyby pan mój miłościwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moję — ciągnął Sułkowski...

Głową tylko potwiedził to August. Minister stanął i pochylił się nieco.

— Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale późniéj — dodał z cicha — należałoby go z podarkiem usunąć. Rozrzutności się nie oduczy, małemi urzędnikami obejdziemy się bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabrać ambicyi. Choć ja się w sercu mojego miłościwego pana nie lękam współzawodników, ale na cóż go czynić nieszczęśliwym i wbijać w pychę?... W Czechach Kolowrathom cesarz-by pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby późniéj tam spocząć sobie.

Patrzał Sułkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzony był tak w obrazy, że zdawał się nie chcieć słuchać, czy słyszeć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił: — późniéj, późniéj!—a August popatrzywszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiéj chwilce wstał przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w źwierciadło, pogładził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sułkowskiego odprawa. Niedość zadowolony wieczorną audyencyą, przystąpił do ucałowania ręki pańskiéj i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego porte-chaise dostrzegł ludzi niosących drugą podobną i poznał w niéj lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni pałacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl rzadko się spotykający z żoną, z wielką uprzejmością podał jéj rękę. Zrazu zdziwiła się tém i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim tłumionym uśmiechem, ostrożnie wzięła rękę męża i nic nie mówiąc, zwolna z nim poszła na górę.

Brühl na wschodach nie odezwał się wcale. Na górze, w sali, chociaż pani zdawała się chcieć od jego towarzystwa się uwolnić, niepuścił ręki i przeprowadził ją do jéj pokojów. Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie tak ciekawą rozmową rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od téj chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnemi pozorami nie dawała jéj nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom żony, co spełniał zawsze z jak największą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać się jak najmniéj zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i grzeczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony wlepione w siebie, badające go i uciekające natychmiast, gdy je na tém badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większéj i fantazyj dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać, aby w mgnieniu oka jéj wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nielitościwie, niekiedy zalotną z obcemi, aż do rozbudzenia zazdrości nawet w mężu tak zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał

rolę. Frania stawała się piękniejszą codzień. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiéj, chociaż mu przypisywano czułe stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń urągać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühl odebrała mu swą rękę i poszła do źwierciadła, zrzucać przed nim rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała, że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: pan tu jeszcze? Na twarzy Brühla błądził uśmieszek niezrozumiały, niby odpowiedź: tak pani, czekam.

— Czy mamy co z sobą do pomówienia? — zapytała obojętnie.

— Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jéj piękność popatrzyć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmiała, ruszając białemi ramionami; ale natychmiast wróciła oczyma do źwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

— Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne...

— Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

— Pani uczyniłaś mi nadzieję, że kiedyś... możesz mieć choć fantazyę dla męża.

— A! może! nie przypominam sobie — odpowiedziała obojętnie — to pewna, że jéj nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiéj, lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

— Ja tylko proszę o chwilkę rozmowy.

— Mówmy, ale o czém inném.

— Więc może o królu? — rzekł Brühl.

— Nie wiem, czy mi wolno — śmiejąc się odparła Frania.

— Między nami... przecież jeśli nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

— Dobrze pan mówisz, a więc...

— Jak król jest usposobiony dla Sułkowskiego? — zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Ktoby był zstąpił do duszy téj kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała, jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić, pragnęła mu się podobać, aby mieć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

— A! — odezwała się nagle — chcesz pan, bym była szczerą? Sułkowski, wy, a nawet król, nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicyj i sporów! Ja chcę żyć!! Król jest lalką bez życia.

— Na miłość Boga! — krzyknął Brühl, łamiąc ręce.

— Przecież nas nikt nie słucha — poczęła obojętnie Brühlowa. — Tą lalką kazaliście mi się bawić, albo raczéj daliście mnie jéj na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w niéj kochała. Waćpan wiesz najlepiéj, co jest nasz król... Piękny, dobry, niezdolny do niczego, mężczyzna — namiętny bez uczucia; przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.

— Pani — zawołał Brühl — gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

— Ziewajmyż — odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potém padła na fotel jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękoma opuszczonemi bezwładnie; w téj postawie smętnéj, kapryśnéj była niezrównanie piękną. Brühl spojrzał i westchnął.

— Pytałeś mnie o Sułkowskiego? — zwolna poczęła Frania...

Minister ruchem głowy potwierdził.

— Któż odgadnie, co się w téj lalce dzieje? czy tam jest serce? czy tam może mieszkać miłość? czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sułkowskiego ma nałóg jak do trefnisiów nadwornych; więcéj nie wiem.

— Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią — dodał Brühl — musimy go usunąć.

— Jak Watzdorfa do Königsteinu? — brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

— Daję pani słowo honoru, żem ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sułkowski.

— Słowo honoru ministra? dyplomaty?

— Nie, uczciwego człowieka — podchwycił Brühl, rękę kładąc na piersi. — Przecież nie przez zazdrość się go stąd pozbyto... Ja do niéj *dotąd* prawa nie mam.

— Cóż to znaczy *dotąd?* czy pan spodziewasz się mieć to prawo?

— Tak mi się zdaje — grzecznie rzekł Brühl — nie dziś, to jutro, znudzona, któż wie? raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

— Zdaje mi się, że na to poczekasz pan długo — szepnęła kobieta.

— Będę cierpliwy — odezwał się Brühl.

— *Croyez-y, et buvez de l'eau* — szydersko dorzuciła kobieta.

Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł:

— Pani powinnaś pomódz do obalenia Sułkowskiego.

Brühlowa spojrzała.

— Tak, matka mi mówiła to samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiéj innéj nie wprowadził. — Ruszyła ramionami — Czyż mnie to obchodzi?

— Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? — zapytał Brühl.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Panibyś na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła.

Wyrazy te zdawały się trafiać do jéj przekonania.

— Bardzo dobrze — odezwała się — obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Brühl się zatrzymał.

— Właśnie o tém pomówić należy. Obalić go przecie nie można odrazu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo zapewne wykładać teoryą obalenia, gdy Frania wstała żywo z krzesła, jakby jéj cierpliwości zabrakło.

— To wymaga instrukcyi? nieprawdaż — poczęła śmiejąc się, — A na cóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba, jak być chytrą? jak po kropelce sączyć truciznę? jak podstępne szeptać słowa? kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija? podejrzenie, co podkopuje? A! panie, jam się od dziecka wychowała na dworze, ja patrzałam na was, na mistrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie, prawie rozpaczliwym głosem.

— Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę, i gdy mi się to podoba, was, i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczu i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słychać było klucz okręcający się w zamku: Brühl pozostał sam.

XVI.

W małéj uliczce pod murem starego miasta, która po wolnéj pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono, starając się, by trochę wdzięczniéj od innych kamienic wyglądał. Na ścianach poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien posplatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką masą, którą jeden podmuch fantazyi zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakieś niewidzianéj architektury. Nigdzie linia prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jéj zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzały wszędzie to wytrysłe niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazony, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione, aby je przypominały. Z jednéj strony domu wystawka bluszczem opleciona, przypominała też włoskie *pergole*. Przodem kamieniczka zwrócona była ku Elbie, jakby na miasto patrzéć nie chciała. Zdala przed nią świecił Pałac Japoński. Posadzone drzewa, choć młode, rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy pozostałe z dawnych czasów, z popróchniałemi pniami, szeroko roztaczały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra, jednego wieczoru jesieni na balkonie kamiennym, siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły łzy niewyronione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzała w dal zadumana.

Łatwo w niéj Włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiety i kwiaty pod tamtém słońcem ożywczém; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącéj kwiatem pomarańczowym i morskiemi zapachy. Na różowych ustach wpół otwartych, z pod których perłowe wyglądały ząbki, błąkała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili, jakby od niechcenia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony i umierał milczeniem znowu i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrętwiała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nałogu, łzy płynęły z serca.

Ubrana jak w domu i do domu mogła śnić o włoskiéj ciepłéj jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. To też zaledwie osłoniona, dała białéj sukni spadać z ramion, a czarnym włosom płynąć ku ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pół wychodziły, jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynały się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości a lękają się jéj razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkiem i nie

zdawały się ich pragnąć. Myślą była gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladém Północy.

Niekiedy jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się tak siedząc i naówczas śpiewka głośniéj dobywała się z jéj piersi, łza spłynęła po twarzyczce, oko po niéj czarniejszém i płomienistszém się zdawało.

Nalewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku téj części nieba miała zwrócone oczy. Wtém zaszeleściało coś w ciasnéj uliczce, słychać było jakby pośpieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyślonéj kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, słuchała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerażona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone, wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się słyszéć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otwarła. Mężczyzna, stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzanym, w czapce włóczkowéj zblakłéj, na siwych rozczochranych włosach, wyjrzał rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczykiem otulony młody mężczyzna, pięknéj twarzy, który nie patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary pomruczawszy zamknął za nim i wlókł się do domu.

Po włosku zapytał go obracając się przybyły, czy Teresa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkiemi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień naprzestrzał była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na schodach wszędzie pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi otworzyć usiłował, oparły mu się. Pukaniem długiém rozbudził wreszcie starą kobietę, z siwym włosem, napół wypełzłym, nędznie ubraną, która popatrzywszy nań, ustąpiła mu i wpuściła go do środka. Pokoiki przybrane wdzięcznie mogły być wesołe, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porozrzucanych rzeczy, ubiorów, nut, w największym nieładzie błąkało się po sprzętach nowych a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko nizki stołeczek, na którym Włoszka siedziała przed chwilą. Widok stąd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzéć i zadumał trochę.

Wtém po-za nim zaszeleściała suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobieta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnéj, szerokiéj, którą na siebie narzuciła, i z włosami

związanemi niedbale. Nóżki tylko pozostały bose, na twarzy ten sam wyraz znudzenia.

Gość się odwrócił witając, odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

— Cóż ci to jest? — spytał przybyły.

— Jestem chora, no! umieram z nudy i tęsknoty — odparła Włoszka zniechęconym głosem — tu żyć nie można, nic, nie!

— Skądże te rozpacze?

— Z powietrza! — zawołała kobieta rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niéj blizko. Oparła się na ręce, na któréj białych ale przybrukanych palcach widać było pełno pierścieni.

— Z powietrza! — powtórzyła — tu niéma czém oddychać! niéma czém żyć; tu trzeba umierać!

— Cóż ci to?

— Pytacie? widzicie...

— Więc znowu te tęsknoty wracają?

— Nigdy mnie nie opuszczały.

— Znowu zawiniła pewnie Faustyna — rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyślić łatwo.

— Faustyna? — powtórzyła rzucając nań okiem gniewném. — U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkiém.

— A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny? podobać najjaśniejszemu panu, zwyciężyć ją? Starsza...

— Stara jędza jak świat — przerwała żywo Teresa — obrzydła kuglarka. Ale z tym królem...

— Proszę z respektem o królu!

Teresa usta wykrzywiła.

— Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

— Dam ci jedną dobrą radę — odezwał się Brühl — gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci poklaśnie, będziesz królową.

— A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe! a nie ma oczów ni smaku. Śpiewa mu głosem ochrzypłym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? ona *diva* a my *comparsy*?

Z boleścią domówiła tych słów.

— Słuchaj, Tereso — rzekł Brühl — nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

— Wolałabym przeciwnie! — mruknęła Teresa i zamilkła nagle.

— Dziś niéma czasu mówić o tém — odezwał się Brühl — za chwilę, tylko co nie słychać, ktoś zapuka do bramy, niech go

stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, niepostrzeżony rozmówić się z padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najsłodsze, i zostaw nas samych.

Teresa słuchała obojętnie; potém jakby zmuszona do posłuszeństwa wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, któréj kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię.

Teresa zwróciła się, spojrzała nań i poszła nazad na swe miejsce.

Głuche uderzenie do furtki zaledwie usiadającą poruszyło, wstała gotując się na przyjęcie Guariniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiéro zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszéć na schodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobroduszny uśmiech dał się widziéć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teresę.

— Porzućże — zawołał — ja-m nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uścisnęła, aż mi lżéj, gdym ze współwyznawcami.

Teresa także pocałowała w rękę ojca, co mogła zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

— A cóż? — zapytał — jedzie? nie jedzie?

— Jedzie — rzekł śmiejąc się ojciec — król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy. Rozumiesz mnie?—rozśmiał się. — Nadzwyczaj zręcznie rzecz była osnuta. Nigdybym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dysymulować. Z największém współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił. „Wiem — rzekła — że ci Sułkowskiego brak będzie, że zatęsknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonym“. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się z jéj współczucia dla przyjaciela... „Dziś jeszcze rozkażę Sułkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk na podróż“. Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! niech jedzie! — zawołał ojciec Guarini.

Brühl mu wtórował.

— Niech jedzie!

— Zabawi kilka miesięcy — mówił padre — będziemy mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę, król się odzwyczai od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

— Przez ten czas, ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie — dodał Guarini. — Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, toby było szkodliwém. Zostawcie to królowéj i mnie; Sułkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół; jak skoro ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą nam nieproszeni. Wam należy dotrwać wiernym przyjacielem do końca.

— Tak téż myślałem — odezwał się Brühl — będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może zlekka przeciw niemu protestował, dowodząc, że mi się bez Sułkowskiego obejść będzie trudno.

— Doskonale — zawołał Guarini. — *Al nemico il ponte d'oro che fuge*... gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

— Choćby ostatnie — odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potém jakby sobie przypomniał obowiązek, księdza uścisnął i w rękę pocałował.

— *Lontano degli occhi, lontano dal cuore* — pomrukiwał padre powoli. — Król się oduczy od niego, a wy mu go zastąpicie.

Zaczęli chodzić po pokoju oba... Padre jednak był zamyślony.

— Żonę zostawia, będzie mu donosiła — rzekł cicho.

— Koło niéj trzeba miéć ludzi.

— Dosyćby było jednego — uśmiechnął się Guarini — ale tamto pono trudno... a i kandydata na tę funkcyę znaléźć mi nie łatwo.

Zaczęli coś szeptać pocichu...

— *A goccia à goccia si cava la pietra*... — dodał padre.

Z drugiego pokoju wyszła w téj chwili powoli Teresa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talerz owoców... który z uśmiechem na stoliku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył z za sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka, i wydzieliwszy jeden Teresie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden ręki pocałunek.

Mówili potém z Brühlem długo, cicho, a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcye, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w téj chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmierzchać, gdy ojciec Guarini się wyniósł pocichu, Teresa wbiegła, aby coś powiedziéć czy prosić o coś u Brühla, ale i ten już śpieszył, obiecując jéj przyjść późniéj.

Została więc znowu sama i siadła w pustéj izdebce tak zadu-

mana i smutna, jak wprzódy. Stara matka z założonemi rękoma, milcząca przyszła naprzeciw niéj przysiąść także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czém; wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych z nad Elby, jak włoskie, komary, gdy stukano znowu do bramy. Teresa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawą była, kto przyjdzie; któż jéj tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na schodach słychać było głos i rozmowę włoską z Beppem, po tym głosie poznała Albuzzi kobietę i machinalnie przygładzając włosy, zerwała się z siedzenia, a matka widząc to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiety słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskiego oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniéj w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionemi włoskiemi błyskotkami.

Teresa z podziwieniem poznała w niéj swoję nieprzyjaciółkę i współzawodniczkę Bordoni-Hasse, słynną Faustynę.

Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swéj rywalki i zdawała namyślać co ma powiedzieć.

Teresa stała milcząca naprzeciw niéj.

— Widzisz, przychodzę do ciebie: ja! — zawołała, śmiejąc się Faustyna — czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci pierwsza podać rękę! E! Tereso moja! myśmy przecie obie Włoszki, obie z pod tego pięknego nieba, pod którém pomarańcze i cytryny kwitną i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami!

Teresa zawahała się, na płacz się jéj zebrało i wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

— Ja-m nigdy nie była nieprzyjaciółką tobie! — zawołała — ja-m ci nie odebrała kochanka, nie powiedziała złego słowa.

— A! dosyć! dosyć! niech przepadnie przeszłość — odparła Faustyna — nie wspominajmy jéj, weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

— Przyszłam do ciebie, bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? przyjdzie zapóźno, a co konieczne, tego żadna siła nie przemoże.

Zamilkła chwilę; matka Teresy wyszła powoli, ona sama na nizkim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach jak wprzódy i zadumała.

— Ludzie nam szczęścia zazdroszczą — mówiła Faustyna — a my łzy łykać musimy. To nie nasz świat... a na dworze ich, jak na ich lodzie, ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wiernym. Dobre stworzenie, które jak do żłobu idzie do swéj loży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teresy i pocałowała ją w czoło.

— Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce, Albuzzi...

Zniżyły głos. Teresa się obejrzała bojaźliwie i szepnęła cicho i ostrożnie: ja się własnéj matki boję!

— A ja nikogo — odparła Faustyna — ale znasz że ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił?

Wzdrygnęła się.

— To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy jak gadzina; on ma uśmiechy ale serca nie ma. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrzęsła się Faustyna.

— Przyszłam doprawdy użalić się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwiać mu się odważy: *Poverina!*

Teresa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

— Dla ciebie dobrym on może! lecz gdybyś ty jak ja codzień słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łzy ludzi, o! jakbyś go nienawidziła.

— Moja dobra Faustyno — odezwała się w końcu Teresa — trafiłaś na dzień taki, gdy mi to łzy jeszcze nie oschły od płaczu. O! myśmy tu bardzo biedne. Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adryatyku, zdaje mi się, żem tam znowu na progu domku wieczorem; *lucciole* migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosnka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna i ludzie się śmieją, których szyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękoma Teresa.

— Droga moja — odezwała się Faustyna, całując ją — więc nie dogryzajmy sobie wzajem, pomóżmy na cierniowéj drodze.

I podała jéj rękę, szepcząc w ucho:

— Strzeż się tego, który cię opanował; straszny jest i niech cię Madonna ma w swéj opiece.

Teresa wstała, odprawiając ją do drzwi.

— Adio! — rzekła — niech ci Bóg płaci dobre serce; przyszłaś w smutku... jaśniéj mi teraz, gdy nas dwie razem a nie przeciw siebie.

Tak się rozstały, a zamyślona Faustyna, której *porte-chaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzićć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy której stał nowy domek Albuzzi, czekając aż jéj wspaniały protektor rotundę wzniesie na Frydrychstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy miasta. Wązką uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przeciwko siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty jak w domach, twarze ludzi rozeznać było łatwo. Z przeciwnéj strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczéj domyśliła się w niéj Sułkowskiego, którego blada twarz i czarny wąsik mignęły jéj wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagle jakieś rozbudziło się w niéj męstwo, w chwili, gdy lektyka Sułkowskiego mijała ją, zadzwoniła w okno swojéj i zawołała:

— *Fermate!...*

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzał... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister ze swéj strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

— Niech wasza ekscelencya trochę każe ludziom ustąpić, albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niéj.

— Piękna divo — zawołał — jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król, pan nasz, nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

— Hrabio, tu nie idzie o mnie! ani o łaski, bo temi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla— odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumićć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobył się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

— Jestem na wasze usługi i słucham — rzekł z uśmiechem.

— A gdybyście téż i wierzyć mi chcieli... — westchnęła.

Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemódz usiłował.

— Hrabio — mówiła żywo Faustyna — prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciołom waszym?

Sułkowski począł się śmiać.

— Ja nie mam nieprzyjaciół — rzekł spokojnie — a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczyt-bym poczytał zarobić na nieprzyjaźń, służąc panu), wcalebym się ich nie lękał.

— Czy wy nie dowierzacie? — przerwała Faustyna—i szczerym nie chcecie być z biedną śpiewaczką? Ale z za kulis wiele widać świata, ale za niemi lepiéj się poznaje ludzi niż w salonach; ja wam, hrabio, dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czyści i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

— Ale któż! kto!

— Jakto, wyście tak ślepi! — zawołała zapalając się Faustyna — czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmogącym ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühlu. Długo knuto spisek w cichości, nareszcie doprowadzili go do skutku; was wyprawiają stąd, aby wasze posiąść miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wy nie widzicie tego! wy dobrowolnie zaprzedajecie swoję przyszłość! Ten człowiek pochwyci wszystko, dla was tu miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała ręce. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bladą wystąpił.

— Kochana pani — rzekł — to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi... Uspokójcie się, signora, to są czcze plotki, które około każdego dworu jak komary nad błotami latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie nie łatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

— A! signora Faustina — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczen jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o téj naszéj rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę; zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić, kłaniając się, od lektyki, gdy załamawszy wyciągnięte ku niemu ręce Faustyna, zawołała:

— Hrabio! byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepemi byli? Jestże to podobna? Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije; wszyscy widzą to, czego wy widzićć nie chcecie.

— Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl wi-

nien mi wiele, i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak potężnych sprzymierzeńców, jak najjaśniejsza pani i najczcigodniejszy padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

— A więc, co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi a la morte è destinato, muore santo o disperato* — szepnęła jakby sama do siebie — *Adio, signor conte,* i niech Opatrzność was prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomnicie przestrogę głupiéj Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skłoniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

— Śliczna i dobra Bordoni — rzekł — wierzcie mi, żem wam wdzięczen bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić je umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! nie! króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się! bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna nic nie mówiąc już, rzuciła się w głąb' *porte-chaisy*, a hrabia uśmiechnąwszy się jéj i skłoniwszy głową, siadł do swojéj.

Lecz zmienił w téj chwili postanowienie i ludziom, co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w któréj go mógł zastać jeszcze. Zamyślony, przebiegł niewielką przestrzeń dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim, drzwi się naówczas wszędzie otwierały jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc, co robił, Sułkowski wbiegł na górę, nie uważając, że go poprzedził paź, który drugiemi drzwiami wpadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko, i nim Sułkowski, zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów, doszedł do gabinetu, padł na kolana przed krucyfiksem stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznéj modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jéj, gdy mu było potrzeba, ażeby ktoś niby niespodzianie zastał oddanego modlitwie. Ta postać strojnego dworaka w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanéj, na rozmowie z Panem Bogiem, wydałaby się może śmieszną, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadczą współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski, nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośne westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapałem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedyą, wszedł bowiem nie oznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę; Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niéj dostrzedz przywiązany różaniec. Nakoniec zlekka odkaszlnął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrzawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie *).

— To ja was przepraszam — odparł powoli wchodząc Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą. Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie paliły się już na stole.

— Człowiek, który się tak modli — pomyślał w duchu Sułkowski — złym być i zepsutym nie może; to niepodobieństwo.

Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po ekstazie.

— No — rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie — wiecie, że jadę?

Spojrzał Brühl, nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

— Czynicie, co wam się podobało — odparł powoli — ja, ani

---

*) Historyczne.

pochwalałem tej podróży, anim wam jej radził... Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niéj i jestem. Najprzód, że przy królu nikt was nie zastąpi, to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powinienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi, królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobietą. Wpływ jéj, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększy się przez to, król popadnie w niewolę jéj i ojca Guariniego. Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, żem pobożny; katolikiem zostałem i jestem nim szczerze, ale, ale nie radbym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłuszny, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

— Mój Brühl — rzekł — masz najzupełniejszą słuszność w tém, co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje. Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe, że jadę, ale ja-żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saksonia korzystać musi z położenia Austryi i upomnieć się o prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiéj nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazyi.

— A wolałbym, żebyście nie jechali — dodał Brühl. — Mówicie, że ja zostaję, ale takiego wpływu na króla nie mam.

— Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią? — zapytał Sułkowski.

Brühl zdziwiony podniósł głowę.

— To wistocie ciekawe — opowiadał Sułkowski powoli. — Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z ojcem Guarinim uknuliście spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić!

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzesełka i wybuchnął gwałtownie.

— Dajcie mi tego potwarcę! Na mnie, na mnie to śmieją mówić! Ha! niéma na świecie nic, czegoby obluzgać nie można. Na mnie! Ja i ojciec Guarini! ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie nie cierpi. No, powiedzcież! Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjacielem nazywa. A! toby było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie i podłe!

— A! a! uspokójże się — śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski — powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posądzają. Przecież nie sądźcie, abym wam nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

— Mógłby zapewne człowiek ambitny a miałkiego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodzeby tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewny, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

— Wszystko to prawda — rzekł poruszony Brühl — ale kiedy tak jest, tém mocniéjbym obstawał przy tém, ażebyście się podróży wyrzekli.

— Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił; Brühl ręką machnął.

— A że to niéma sensu! to gdzieś ulica wymyśliła, albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saksonii plotki płodzą... to głupie.

— Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi — wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając Sułkowski — nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pragę strategicznie obejrzéć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszeż cię, pożegnałbym żonę waszę.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

— Pani w domu?

— Tak jest.

— Sama?

— Tak sądzę, ekscelencyo!

— Oznajm hrabiego Sułkowskiego z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

— Pani prosi!

Sułkowski z ciężkością, jakby zmęczony, powstał z kanapki i poszedł ku salonowi; Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, niktby go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli u królowéj, które zwykle trwały od godziny czwartéj do szóstéj po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknością, która więcéj dziwiła, niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jéj oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jéj duszy panował.

Spojrzała na Sułkowskiego.

— Przychodzę się pamięci polecić — z pewną niedbałością

pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchylając Sułkowski — wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęściem spodziewam się, że to nie potrwa długo.

— A! — odezwała się piękna Frania — a! słyszałam właśnie u najjaśniejszéj pani na *cercle*, że hrabia nas osierocasz. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

— Mąż pani o tém nie wspomniał? — spytał Sułkowski.

— Mąż! — minkę strojąc dziwną, zawołała pani Brühlowa — mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widujemy, mieszkając w jednym domu. Ja zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

— Powinnaś go pani skarcić za to!

— A! nie — zaśmiała się szydersko Frania — on swobodny, ja także; czy może być co milszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesycić i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się jak mógł najnaturalniéj.

— A hrabina zostaje? — zapytała Brühlowa.

— Niestety! muszę ją porzucić — odezwał się Sułkowski. — Choćbym najmocniéj pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanią odbywała, niepodobieństwo.

— To pan myślisz wojować? — spytała Frania.

— Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jéj przywieźć.

— Ja od tego uwalniam — odezwała się figlarnie. — Hrabio, przywieź nam tylko swoję całą, a będziemy mieli dosyć. Laurem przepasana, będzie się ładnie wydawać kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jéj na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło źrenice.

— Życzę panu hrabiemu szczęścia! — odezwała się z ukłonem. Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się od niechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli nazad skierowali się ku gabinetowi.

XVII.

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym ojciec Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina, o któréj zwykł był August III udawać się do królowéj, na operę, słuchać muzyki, lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu tak ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucano pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, król jegomość z muru do nich palił. Że zaś psówby w końcu zabrakło, nie zabijano ich na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy, znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowéj na muzykę August nie śpieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie, odprawił ich mrucząc. Był to znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tém ojcu Guariniemu, który do króla pośpieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłonną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia, padre usiadł na taborecie i podparłszy się na ręku, odezwał:

— Czy wolno spytać waszéj królewskiéj mości, co tak zasępiło jego czoło? Wierny sługa się tém martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową, coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

— Lżéjby było waszéj królewskiéj mości — rzekł padre — gdybyś raczył mi się zwierzyć.

— Głupstwo — rzekł król.

— Nie warto się gryźć — odparł ojciec.

— Głupstwo! — powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy król wstał; począł się przechadzać, wzdychając i jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucał, co na drodze znalazł, lub co mu się zdawało leżéć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego jak w tęczę.

— To bo niedobrze jest — rzekł — że wasza królewska mość przy takiéj pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, święty Jan na Patmos miał hodowaną kuropatwę.

— Kuropatwę! — powtórzył król zamyślony — ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyna.

I chodził znowu powzdychiwając...

— Trzebaby albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

— Gdzież Brühl? — spytał ojciec.

— A! Brühl! jeden Brühl!... ale on zajęty, zajęty niebożątko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

— Wyśmienity! — potwierdził Guarini — do niego wasza królewska mość żalu nie masz?

— Ale co znowu! Brühl... złoty Brühl — rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

— Jużciż wasza królewska mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał, że do rany rękę przyłożył.

— Otóżto Sułkowski: widzisz, ojcze — bąknął król. — Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego nie lubić?... hę? powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie.

Król nie lubiący mówić, powtórzył ciszéj:

— Ojcze? jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza; należało przypuścić atak umiejętnie; rozważał właśnie, jak ma to uczynić. Spodziewał się go oddawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się — ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nic mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda... Zdawało mi się też zawsze, że naszę świętą królowę panią nie dosyć czci i szanuje.

— O! o! o! — przerwał król — o! o!

— Przynajmniéj ludzie tak inni sądzili — mówił nie zmieszany Guarini. — Płochy jest to pewna, w pychę niepomierną wzbiła go łaska pańska...

Zamilkł król posępnie słuchając.

— Najjaśniejszy panie—żywo zawołał, zbliżając się Guarini — jesteśmy sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi z ręką na sumieniu odpowiedzieć, jak na spowiedzi, czy nigdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na pokuszenie?

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił się; i nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając, chodzić zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini się począł śmiać cicho.

— A nie jestże to zuchwalstwo? hę? Pojmuję nawet, że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś dla miłości pana wziąć, ale juściby też mógł poczekać, aż mu z góry skiną.

Spuściwszy głowę, król chodził.

— Królowa ma przeczucie — mówił padre — co to się dziwić! ale o tém, *satis*. Alboż to niewiadomo szeroko, że on żywi myśli zdobywcze względem Austryi, względem domu, któremu zawdzięczamy królowę jéjmość i przeciwko najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło jakby znużony i patrzał na mówiącego.

— A najgorsza ze wszystkich ta ambicya i ta ufność, że mu to wolno, co zechce, i że z królem a panem swym uczyni, co mu się podoba. Są ludzie, co to od niego słyszeli. Trochę pokory czy upokorzenia-by mu nie zawadziło. Alboż to dobrze, by ludzie mówili, że on w Saksonii panuje, a nie król nasz miłościwy?

— E! e! e! — rzekł król — kto mówi? kto? To go powiesić!

— Tacy mówią, co słyszą, jak się Sułkowski wychwala...

— Wychwala! to źle — odparł król — uszy mu natrę.

Guarini uznał, że doza lekarstwa zaadministrowana była na jeden raz dostateczną i zamilkł.

Dopiéro po chwili pochylił się do ręki króla.

— Najjaśniejszy panie, przebaczcie, darujcie, zapomnijcie. Duchownym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz musi rzec, co ma w duszy. A komuż szczerzéj jak temu, co ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszéć może?

— *Evero!* — szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz, że rozmowy téj królowi było już nadto, że jéj miał do przesytu. Szukał już, czémby go zabawił, pewien, że rzucone ziarno wnijdzie późniéj sobie.

Niewiadomo, czyby się udało Guariniemu wynaléźć przedmiot rozweselający, lecz wtém właśnie wszedł szambelan oznajmując, że na pokojach królowéj czeka najjaśniejszego pana muzyka.

— Chodźmy! — odezwał się, wzdychając August.

Guarini się ukłonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedzała króla.

Pokoje królowéj wcale różnie wyglądały teraz, gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarskiego domu w niéj znać było.

Obrazy, przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnéj były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecideł.

Cały dwór trzymany w etykiecie surowéj przez wielką ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiet podżyłych i dobranych tak, aby ich piękność nie czyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiéj sali koncertowéj, koncert-majster, Jan Jerzy Pisendel, najsłynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisywać wraz z kilku najprzedniejszemi solistami. Oprócz niego, na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie, w rodzaju *clavicembalo*, miał się produkować sam wynalazca jego Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze: Buffardia niezrównany wirtuoz i rywal jego Quanz, oba doskonali w swéj sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa trochę już kwaśna przechadzała się oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu, usiłując wyczytać coś z twarzy, zrozumiała tylko, iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła śpieszył, gdy Józefina nieco przyzostawszy za nim, skinęła na ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużéj z nim się rozmówić. Włoch szepnął jéj tylko na ucho:

— *Poca roba... Sulkowski.*

Królowa przyśpieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Snać tylko na przybycie najjaśniejszego pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerturą świetną i huczną, któréj król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcéj znać było zajęcia mężem i sprawami jakiemiś ważniejszemi niż koncertem. Pan Pisendel napróżno się popisywał swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszéć. Oprócz innych osób dworu, pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonemi oczyma, skromny, jakby nie był pierwszym i jedynym ministrem.

Padre Guarini przesuwając się około niego, szepnął mu nieznacznie:

— Wojna się rozpoczęła, nieprzyjaciel się broni, wszystkie siły skupić należy; zatém baczność!...

Brühl stał jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardia z Quanzem szli na wyprzódki. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki nie doznając dystrakcyi żadnéj. Ktoby był zobaczył z boku skierowane nań szyderskie wejrzenie Brühlowej, przeląkłby się był pogardy, z jaką nań patrzyć śmiała.

Tuż za jéj krzesłem stał dwór ministra, dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przelęknąć było można. Wzrok Brühlowéj czasem powłóczysto, zwolna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknéj jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl, który w tamtę stronę nie patrzał, ilekroć on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się, że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta; musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potém podano wieczerzę, na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się, że o wszystkiém zapomniał; jednakże po wieczerzy natychmiast zażądał z Brühlem odejść do swych pokojów.

Większa część dworu rozpierzchła się; kobiety pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia, odmawiania modlitw i litanij pod przewodnictwem ojca Guariniego, przy których bliższe 'osoby królowéj panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exercitia* duchowne odbywały się w małéj kaplicy królowéj i dopiéro po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i ojciec Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. Wielka ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwoitém oddaleniu.

— Cóż było, mój ojcze? Król...

— Sam zagaił o Sułkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwne. Zagadnięty, nie mogłem zmilczéć, trzeba było wojnę rozpocząć.

— I cóż? i co? — spytała ciekawie królowa.

— Mówiłem dosyć długo; tyle, ile można, aby króla nie znużyć — kończył Guarini — powiedziałem wszystko, com miał na sercu.

— A król?

— Milczący słuchał.

— Jakże się wam zdaje? zrobi to wrażenie na nim?

— Nieochybnie, ale teraz potrzeba powtarzać ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki, powinien zastać już króla nawróconym; inaczéj przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nic go już z niego wyrugować nie potrafi. Najjaśniejsza pani — dodał Guarini — nie wymagajmy za wiele; nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tém dosyć.

— Dosyć? — spytała Józefina — lecz znacie słabość króla dla niego? nie odezwież się ona późniéj, nie skorzystaż on z niéj?

nie znajdzie dróg? człowiek bezbożny, bo takim jest to pewna, wszystkiego chwycić się może. Widzieliście go kiedy z dobréj woli w kościele? Wiecie, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

— Ja nie ustąpię — dodała — wy także powinniście działać. Brühl nie może.

— Chyba w ostatniéj chwili — szepnął ojciec Guarini — i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy: Bóg pomoże, Bóg pomoże. Kiedy powraca?

— Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Śpieszyć należy — dodała królowa.

Guarini skłonił się nizko i wyszedł.

Nazajutrz rano, wedle obyczaju Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużącą ta służba, ale nudną. Zwykle August milczał; trzeba było stojąc patrzyć nań i na uśmiech lub chrząkanie, odpowiadać ukłonem.

Daleko więcéj zachodu miał Brühl, rozciągając pilną straż około osoby jego królewskiéj mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiedz, ażeby nikt niespodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audyencyach bez wyjątku, Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniéj z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się, że król August, który spokój lubił nadewszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem z pod kurateli nie próbował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które niewiele grzecznych słów wyszafował roztargniony pan, Brühl został z nim sam-na-sam.

Mógł się domyślać, że o czémś mowa będzie, bo król chodził niespokojny, stawał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stawał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

— Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany, Brühl się zaciął i oczy spuścił.

— Najjaśniejszy panie — odparł zręcznie bardzo — ja pewno nie inaczéj o nim trzymam, jak wasza królewska mość.

— A wiesz ty, co ja o nim myślę?

— Nie wiem, ale jestem wiernym sługą pana mego, i mam za przyjaciół tych, których on widzi dobrze; za wrogów tych, co mu są niemili. Wasza królewska mość byłeś łaskaw umieścić przy swéj osobie dwóch moich braci, otóż gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

— Brühl! ja ciebie kocham! — zawołał.

Minister schylił się do ręki pana.

— Brühl, ja ciebie bardzo kocham! — dodał August — i dlatego chcę się ciebie poradzić. Słuchaj, mnie nim straszą...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

— Mów śmiało, mów...

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale łaska pańska, która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija; to pewna, iż może się czasem chwalił, że on robi, co chce, nietylko w sprawach państwa, ale nawet z najjaśniejszym panem: to być może.

— Hm! to być może, powiadasz! to być może, a tak! to być bardzo może — rzekł król. — Prawdę powiedziawszy, na muzyce mizernie się zna, a na obrazach téż niewiele; jemu, aby gołe, aby gołe! Ale tst! — dodał król — żeby Guarini nie słyszał, jaką on tu Wenus przyniósł raz, com ja biedy miał z królową. Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No, i to prawda, że pozwalał sobie czasem...

Nie dokończywszy August, zapatrzył się w okno, zamyślił się i ziewnął.

— Jak ty myślisz — zapytał — czy to prawdziwy Ribera ten, co go wczoraj przysłali z Wenecyi?

Brühl ramionami ruszył.

— Ja, najjaśniejszy panie, jestem w tém zdania waszéj królewskiéj mości.

— To może być Ribera — mruknął król cicho.

— Tak, to mógłby być Ribera — powtórzył Brühl.

— Ale mógłby być *il Erote*...

— O! niezawodnie, że podobny bardzo do *Frate*.

— Ty się znasz, Brühl.

— Uczę się przy waszéj królewskiéj mości.

Począł się przechadzać August bardzo zadowolony, zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

— Królowa chce, abym go odpędził, bo jéj ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwa...

— Ale o to waszéj królewskiéj mości nikt w świecie nie może posądzać — krzyknął Brühl — nikt! wszyscy wiedzą o jego życiu przykładném...

— Ja nigdy nie dopuszczę, żeby mnie posądzano — szepnął król — nigdy, nigdy! wolę... wolę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął:

— Żywa dusza, nikt! nie może posądzać waszéj królewskiéj mości.

I rękę położył na piersi.

— Tak być powinno — szepnął August — i zniżywszy głos jeszcze cichuteńko do ucha mu rzekł: — Myślisz, że on co wie? posądza? hę? hę?

— Z pewnością nie wie nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... któż to przewidzieć potrafi.

Król zatrwożony wyprostował się.

— Kiedy tak, to go trzeba oddalić; tak, tak! lepiéj będzie. Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiéj pośpieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości; łzę miał w oku.

— Brühl, to postanowione, tak królowa chce; Guarini radzi; ty nie masz nic przeciw; ale jak? jak? mów... ale mów...

Minister spuścił oczy w dół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał aż zawyrokuje. Nagle podniósł głowę.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się cicho — powodów do niełaski starczy; dosyć przypomnieć mu, że sobie mógł pozwolić względem króla pana zbytniéj poufałości. Nigdy nie będę waszéj królewskiéj mości radził surowości zbytecznéj, dosyć go oddalić od jego oblicza, aby był najsrożéj ukaranym. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

— Tak jest — przebąknął król — nawet mu małą pensyę zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdzał, co król mówił i kłaniał się.

— Więc wygnanie — dodał August — a jak to zrobić? zostawiam tobie. Ułóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August już rozpromieniony tém, że zbył się kłopotu i rzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

— Brühl — rzekł — oznajmić królowéj, że mam z nią do pomówienia. Królowa, jeżeli się nie modli, to maluje, jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potém, król w towarzystwie szambelana, pośpiesznie dążył do pokojów żony. Wistocie zastał ją przy pastelu. Młody artysta, z założonemi rękawami, kredą w ręku, stał w postawie pełnéj uszanowania za

królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około któréj pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. Niewiele tam wistocie było pracy najjaśniejszéj pani, bo pomocnik przysiadał się w jéj niebytności, przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy: ale nazajutrz królowéj Józefinie zdawało się, że to ona malowała sama i z roboty swéj była wielce zadowolona. Tym sposobem postępował daléj obrazek i w końcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki cezarów.

Gdy król wszedł, nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który od wczoraj mało co popsuty jeszcze, wcale dobrze wyglądał. W końcu król powiedział komplement, a z boku spojrzawszy na artystę, dał mu znak, ażeby się do przyległéj salki oddalił, co biedny malarz spełnił kłaniając się aż do ziemi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

— Więc — rzekł cicho — stanie się, jak każesz, oddalimy Sułkowskiego; tom przyszedł powiedzieć.

Królowa odwróciła się szybko uśmiechając do męża.

— Ale tst! ani słowa! — dodał August — maluj. Brühl to ułoży, ja się nie chcę tém gryźć.

— Nie potrzebujesz — rzekła Józefina — wezwij ojca Guariniego... Brühla, oni to dopełnią.

Nie chciał już o tém dłużéj mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

— Kolorytu mogę powinszować — rzekł — *très fin*, i bardzo świeży. Liotard nie zrobiłby lepiéj, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnéj rady.

— On mi tylko kredę temperuje — rzekła królowa.

— Głowa piękna! powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. I uśmiechnął się z galanteryą.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście wygnanemu do sali, aby królowéj w pomoc pośpieszył.

Na twarzy pańskiéj malowało się teraz zadowolenie ze zbytego ciężaru i wyswobodzenie od troski. Do wczorajszego całkiem był niepodobny; czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodniéj i myśléć mógł o czém inném. Nie szło mu tyle o Sułkowskiego, co o zamącenie drogiego spokoju, o kilka dni życia straconych i zepsutych. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się

był zbyć sprawy jak najrychlej i nic już o tém nie wiedzieć. Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach.

Gdy nazad powrócił do swych pokojów, poznać go nie było można.

Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków, był na zawołanie, nie oddalał się wcale.

Spojrzawszy nań król, rozśmiał się i rzekł:

— Rzecz skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pośpiesznie zbliżył się do oczekującego.

— Niech nikt o nim nie wspomina; rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę...

Podumał chwilę.

— Użyjecie, kogo zechcecie, kładę to na was... bylem już o niczém nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył:

— Słuchaj Brühl, to Ribera...

— Tak jest, najjaśniejszy panie! to Ribera — potwierdził minister.

XVIII.

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saksonii wszystko szło jak najpomyślniéj, szlachtę, która skowyczéć śmiała, wysyłano na rekolekcye do Pleissenburga; w Polsce zapewniały spokój sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyną śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu w lasach hubertsburskich nie zbywało. Ostatni jarmark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie najprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogim-to spokoju zwiastowany powrót Sułkowskiego napełnił trwogą, przyśpieszył szturm królowéj i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościńcach; straże stały w bramach, poprzebierani ludzie zdala otaczali pałacyk Sułkowskich, aby jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże gienerała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześnie. Żona miała ku Pradze wyjeżdżać, przeciwko niemu. Tego właśnie się lękano i bardzo zręcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jéj o woli królowéj, ażeby w gotowości

była przybyć do zamku, gdy jéj znać dadzą, i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina rada nie rada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738) hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna, gdzie koniom tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pośpieszyć. W gospodzie kuryer jadący przodem wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrzywał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrze, rada, w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kuryer zapowiedział przybycie to jego ekscelencyi na godzinę czwartą; lecz że w wigilią dnia tego śniegi zawiały drogi i kopno było na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pragi, gdy od Drezna jeździec płaszczem obwinięty, na koniu zgrzanym nadbiegł i siadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich pod *Koroną*, a właściciel jéj Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremuby innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

W klasycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanéj czapeczce na głowie, Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizyognomią, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznajomemu.

— Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencyi hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu, ani dla konia, ni dla was; ale pod *Palmową gałęzią*, choć zapewne nie to co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chciéć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodzie roztargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczów i marszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

— Właśnie — bąknął stłumionym głosem z pod chustki, nie podnosząc jéj — dlatego, że tu stanie jego ekscelencya i ja zajechać muszę: ja do niego jestem posłany.

Skłonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwycił.

— A! to co innego — zawołał — to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a nie

ma na chłód jak glühwein: to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek, na skinienie, poskoczył i chwycił zmęczonego siwego. Gospodarz, w nadziei może, iż się coś dowie, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się weń, aby odgadnąć, kto to mógł być taki, a ze stroju, ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obejście się bardzo poufałe, znamionowało dworaka; lecz nie znowu tak bardzo znakomitego, na koniu, bez sługi-by nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był bystrém okiem rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z niemi jak komu przystało. Tym razem nie wiedział z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odsłonieniu oblicza, odgadnąć, czy miał z masztalerzem do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to, że wchodząc do domu podróżny, wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie, nie oddał czołobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym; lecz dworscy i wszyscy, co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali!...

Ponieważ dla tak wielkiego jak Sułkowski pana nie jednéj izby potrzeba było, bo jechał dworno i musiało mu być przestronno, została więc tylko izba samego gospodarza, do któréj Hender zaprosił nieznajomego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominie palił się ogień wesoły, rumiana gosposia coś przy nim warzyła; dwoje dziewcząteк zwijało się pomagając jéj, a izba była przystrojona całe pięknie i w sprzęt czysty zamożna. Hender pomógł nieznajomemu rozwinąć się z ogromnego płaszcza i chusty, z pod któréj wyszła chuda, koścista, dziwna, a niemiła postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jéj patrzały jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i fałdowały.

Spojrzawszy nań, Jonasz, który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu:

— To jakiś niebezpieczny człek.

Lecz tém gościnniejszym wypadało być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saksonii za Beotczyków uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie zbywało mu na roztropności. Starł fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się coś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał

ją z uśmiechem; podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

— To musi być ważna figura! — rzekł w duchu Jonasz — nieinaczéj.

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać zdaleka, gdy wtém dała się słyszeć trąbka, klaskanie z batów, szmer w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznajomy gość pozostał nieruchomy, zamyślony, ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w tryumfie wprowadzano ministra do przeznaczonych dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan dziękując, wszystkich do domów odprawiał. Służba znosiła skrzynki z wiktuałami...

Hender, którego też we własnym domu wyproszono za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i niepomału się zdziwił, zobaczywszy nieznajomego, który pił wino zamyślony i w ogień patrząc, miny do niego robił nieprzyjemne. Zdawał się nic nie słyszéć i nie widzieć nawet gospodarza...

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

— Jego ekscelencya przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyślał się widocznie. Wina dopiwszy, na pektoralik dobyty popatrzył, zrobił minę do niego niedobrą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreznie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radcę Ludovici w tym gościu.

Zwolna i jakby ze wstrętem radca przyłożył rękę do klamki i nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnej.

Stół w niéj był nakryty, służba się krzątała, młody adjutant gienerała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętemi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovici'ego, porwał się rozpromieniony.

— To wy! — zawołał — a to przedziwnie! mieliście tę poczciwą myśl wyjechania naprzeciw mnie; cudownie! Niezmiernie wam wdzięczny jestem, przecież się coś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i czcze. Jak się masz, Ludovici, jak się masz..

Twarz radcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici zukosa spojrzał na adjutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się téż na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovici'ego.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w We-

grzech, polecony wszędzie listami, imieniem swém i stanowiskiem, jakie zajmował, jak najlepiéj był przyjęty. Wracał szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy niż kiedy, pewniejszy siebie niż dawniéj.

Zaledwie weszli do drugiéj izby, począł zasypywać pytaniami pana radcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć: przypatrywał się ze smutkiem téj radości, którą miał jedném słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który śmiejąc się, swe powodzenia, honory, jakie mu oddawano, i doświadczenie, jakie zdobył, opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie sławę Maurycego saskiego.

Ludovici patrzał i głową potrząsał tylko.

— Cóżci to, radco, przemarzłeś czy strząsłeś się? co ci jest? usta ci się otworzyć nie chcą.

Ludovici dokoła obejrzał się.

— Nie mam się czego śpieszyć—rzekł ponuro—bom z niczém dobrém nie przybył.

— Żona zdrowa?

— Chwała Bogu!

— Król zdrów?

— Tak, tak, zdrów... ale!...

Radca spojrzał na hrabiego i rzekł smutno:

— Z tém przybyłem: nie znajdziesz go wasza ekscelencya, jakimeś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja téj podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

— Ale cóż się tak złego stało? — zawołał lekceważąco Sułkowski.

— To, co najgorszego stać się mogło — odezwał się Ludovici. — Nieprzyjaciele pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini hrabia, chytry Brühl... Nie mam co goryczy sączyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski który nań patrzył jak na człowieka, coby zmysły postradawszy prawił od rzeczy, ruszył ramionami i rozśmiał się.

— Co ci się śni? co ci się śni?

— Dałbym wiele, ażeby to snem być mogło — mówił daléj radca tonem ponurym. — Nie czas się łudzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem się, ważąc życie, aby was ostrzedz. W bramach straże, w domu szpiegi... jeżeli przyjedziecie do Drezna tak, że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

— Ale to nie może być! — gwałtownie wybuchnął hrabia — to głupia mistyfikacya, ktoś ci to naplótł niedorzeczności, a tyś dobrodusznie mu uwierzył. Niéma na świecie człowieka, coby mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, to bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić?.. Ludovici, tyś zmysły postradał...

Radca ręce złożywszy stał, patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski począł się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

— Skądże ty te głupie plotki pobrałeś? — zapytał.

— Ale z najlepszego w świecie źródła — rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. Dałem słowo, że nie odkryję tego, czy téj, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To, co mówię, jest najświętszą prawdą.

— Na Boga, ale jakże się to stać mogło? — zawołał Sułkowski nieco strwożony — mów!

— Król jest słaby — począł Ludovici — królowa jest kobieta i uparta, ojciec Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umie doskonale nas cudzemi zagrzebywać rękoma. Otóż cała tajemnica. Nie taiłeś wasza ekscelencya swéj niechęci do mnichów, masz ich pracy owoce. Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z maleńką pensyjką, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do tego nie dopuszczą.

Sułkowski się zmarszczył,

— Jesteś tego pewnym? — rzekł krótko.

— Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają straże, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę... jak skoro ukażecie się w mieście.

— I król widzieć mnie nawet nie zechce? — wybuchnął Sułkowski.

— Król jest niewolnikiem — rzekł Ludovici.

Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

— Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta — odezwał się Ludovici — rzecz skończona, wpadniecie w ich ręce. Może jest jaki środek dostać się mimo nich do króla; użyjcie go. Macie wpływ, probujcie działać; ale to walka o śmierć, o życie, z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potém do radcy i poklepał go po ramieniu.

— Jesteś pewnym tego?

— Jak że żyję.

— No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy... Zoba-

czymy. Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść: siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy niepoznani w Dreznie. Ciekawym, kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczymy... Wszak do miasta dostaniemy się niepoznani?

— Musimy! — odparł krótko Ludovici.

— Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc, wprowadził radcę do pierwszéj izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało czego się dotknął. Pił wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski odezwał się do młodego adjutanta:

— Hrabio Alfonsie, i wy i konie pomęczone: nocujecie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radcą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adjutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością: takie *incognito*, w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwaczém. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Niéma w tém nic nadzwyczajnego, czasem i fantazyi młodzieńczéj w starszym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc, wziął na stronę owego hrabiego Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adjutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodłane stały u wrót gospody; radzono ministrowi, aby choć sługę lub masztalerza wziął ze sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrzejszą była jeszcze niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szczęściem dla obu, niebo się wyjaśniło, śnieg przestał pruszyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi, którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się kłusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła i światła gęste zwiastowały Drezno. Gościniec też zaczynał być więcéj ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się nawołując. Na wypogodzoném niebie, czarne wieże kościołów widać było zdala...

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici dopędził.

— Jeżeli w bramach pilnują — odezwał się — trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

— Wasza ekscelencya zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrzą na ekwipaże i dwór, z którym się spodziewają pana.

— Mówiłeś, że i około domu mojego pilnują także?

— Z pewnością — odparł Ludovici.

— Więc albo do domu nie pojadę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wnijść niepostrzeżony.

— I tegobym nie życzył — przerwał radca — w teraźniejszych czasach za sługi ręczyć niepodobna: ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

— To zabawne — zawołał — któżby mi dziś rano był powiedział, że nie będę gdzie miał bezpiecznie przenocować w Dreznie!!

Ruszył ramionami.

— Jeżeli tak jest wistocie ze mną źle — bąknął po chwili z wyrazem dumy — nie chcę narażać nikogo. Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić, będę wiedział.

To powiedziawszy, zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz, Ludovicego puścił przodem, przygarbił się na siodle i z miną pachołka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radcą.

Zbliżali się do bramy. Wistocie, jak zwykle, stały w niéj straże, lecz radca dał im jakieś zmyślone nazwisko na pastwę, nie bardzo się nawet dwukonnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kilkanaście kroków od wrót, gdy żołnierz przypadł do Ludovici'ego.

— Skąd pan? z Pirny może?

— Z Pirny, tak jest — rzekł radca.

— Nie słyszałeś pan o jego ekscelencyi hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie.

— Owszem — zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodle ku pytającemu — gospoda pod *Koroną* zamówiona dla

jego ekscelencyi, ale nadbiegł kuryer z oznajmieniem, że dopiéro za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad, że to ich od pilnéj straży nocnéj uwalniało, a radca i hrabia ruszyli daléj.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około staréj poczty, Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludoviciemu, kilka słów mu szepnąwszy, i zadumany udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to, o czém mu doniósł radca, prawdą było; musiał więc z pewnemi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet, czyby mu raczéj gdzieindziéj nocować nie wypadało; ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wnijść, przez służbę, któréj nie dowierzał, niepostrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu nie bardzo umiał sobie poradzić.

Dziwném uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi, których poznawał, powozów przesuwających się, całego tego wesołego ruchu karnawałowego. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał, a którzy się w osłoniętym pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskiemu bajeczném niemal, cała przygoda marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakiémś. Gniewał się niemal, że temu mógł uwierzyć. Mierzył stanowisko, jakie zajmował, z groźbą upadku i nie pojmował, ażeby coś podobnego ziścić się mogło...

Śmieléj jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na staję już od niego będąc, dostrzegł kilku ludzi przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te kryjące się po kątach potwierdziły, iż straże koło wrot nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem, ludzie ci wyskakiwali z za węgłów i kryjówek i kołując biegli się przejeżdżającym przypatrywać. Sułkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był, co pocznie. W téj chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się, że mógł zaufać. Był nim ojciec Vogler jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się napozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, do niczego się nie mieszając, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niegdyś ulubieniec króla, wyszedł z łask jego, nie umiejąc go zabawiać, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity, zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sułkowski miał go za kapelana i spowiednika w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler napozór żył zdala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet ojciec Guarini zdawał się go lękać i okazywał mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było, iż cały ten dwór i wszystko, co się tam działo, w smak mu nie szło.

Przypomniał sobie teraz Sułkowski, iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbytecznie łaskom nie ufał i tym, co przyjaźń dlań odgrywają, nie wierzył.

Jeżeli kto, to Vogler musiał być najlepiéj o wszystkiém uwiadomiony. Hrabia zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy któréj mieszkał jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniéj i szedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał porte-chaise Brühla, którą jego hajducy kłusem nieśli do zamku; minął ją, uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą pierwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzićć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem prowadzonym na ośle i zdało mu się, że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom, w którym mieszkał Vogler, należał do zamku, a wnijście doń było w małéj uliczce bocznéj, na któréj teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otworem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział, że Vogler zajmował mieszkanie na drugiém piętrze. Zadzwonił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaléźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz, czekał długo, aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

— Pater Vogler?

Chłopak się wpatrywał bojaźliwie w nieznajomego przychodnia i wahał, co ma odpowiedzićć.

— Pater Vogler? — powtórzył hrabia głośniéj — interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiéro po chwili powrócił, ręką pokazując nieznajomemu, aby wszedł. Sułkowski nie zrzucając z siebie płaszcza, wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. W pośrodku stół foliantami zarzucony, przy ścianach proste półki, na których stały i leżały w nieładzie wielkim stosy ksiąg i papierów. Na stole paliła się lampka z umbrelką. Przed nią stało wysiedziane krzesło, skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przy-

garbiony, łysy, z oczyma przymrużonemi. Zdawał się odwiedzinami nocnemi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłoniony cały. Dopiéro gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie z głowy, odkrył twarz i zbliżył się do ojca Voglera, który pochwyciwszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

— Tst! — zawołał Sułkowski.

Vogler go uścisnął milczący i posadził, ale najprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia sparty na stoliku milczał a myślał.

— Widzę — rzekł drżącym głosem, wracając jezuita — że musisz wiedziéć o wszystkiém, choć tu u nas nikt nie wie nic jeszcze. Nikt nie widział was?

— Wprost tu przybywam z podróży — rzekł hrabia. — W Pirna dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

— Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele — rzekł zwolna — do króla was nie dopuszczą.

— Właśnie na tém mi zależy, abym ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich — zawołał Sułkowski. — Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną władzę; a naówczas... Naówczas — zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięść ściśniętą do góry — nie ja pójdę precz, ale ci, co się na mnie targnąć śmieli.

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

— Idzie o to, ażebym miał gdzie przenocować i przeczekać do jutra, aby o przybyciu mojém nie wiedział nikt. Na dworze z pewnością nikomu nie wydano rozkazów, żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu, mam o każdéj godzinie przystęp do najjaśniejszego pana, nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastéj król sam; Brühla niéma.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując, jak sądził plan hrabiego.

— Nie macie nic do stracenia, próbować należy, potrzeba, musicie.

— Odważycie się mi dać nocleg u siebie? — zapytał Sułkowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się ojciec Vogler odpowiedział:

— Proszę; nie będzie wam wygodnie; ale moje mieszkanie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt, albo

rzadko kto przychodzi. Rozgośćcie się, panie hrabio, i niech Bóg pomoże dobréj sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

— Jeśli do króla dostąpię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

— Daj Boże! — szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział, iż Sułkowski za parę dni dopiéro ma przybyć. Posłano agienta tajemnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą; hrabina Sułkowska, którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku, nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborny, a karnawał, obyczajem dawnym, obiecywał się świetnie.

O rannéj godzinie minister stawił się po rozkazy, odebrał je i zostawiwszy ojca Guariniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmuszała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiéj. Był u niéj teraz jak w domu. Hrabia mąż jéj przed kilku miesiącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie jéj serca, jak tego, że ręki nie odda nikomu. Stosunki jego czułéj przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedziano, że nim rządziła. Często bardzo Hennicke, gdy pilno wypadło mu o czémś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabinéj.

I tego dnia Brühl wszedł tu jak do domu, dla wytchnienia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żałobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie poważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego, zdala zawołała doń hrabina:

— Sułkowski? cóż Sułkowski? jest? przybył?

— Niéma go! Z Pirny dali wiedziéć, że dopiéro za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widoczném.

— To nienaturalne — odezwała się — to podejrzane. Żona mi mówiła, że najpóźniej miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

— Niepodobieństwo! nikt nie wie!

Hrabina się roześmiała.

— Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy — rzekła wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować; królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, wy Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jéj nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy

Hennickego... Słyszeliście kiedy, żeby tajemnica ośmiu osobom powierzona, utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsł lekceważąc to sobie.

— Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskim, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęta rozmowa przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże, pomimo pozornego spokoju, trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał zatrzymującą go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i jak widmo blady, nie czekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wnijście szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały obłąkane na wszystkie strony.

— Co ci jest, Hennicke?... opamiętaj się! — krzyknął Brühl.

— Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastéj zjawił się na zamku, nikogo nie pytając wszedł do króla. Ojciec Guarini, który przy nim był, powiada, że król zbladł jak marmur. Hrabia jak gdyby o niczém nie wiedział i nie domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla przyklęknąwszy i oświadczył, że pierwszym jego krokiem było i pragnieniem upaść do nóg pana. Król się rozczulił i uścisnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając. W chwili gdy to mówię, Sułkowski jest u najjaśniejszego pana; na zamku popłoch: królowa płacze, ojciec Guarini blady chodzi... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przelęknionym, ale podrażnionym mocno. Zacisnął usta.

— Słuchaj, Hennicke, Sułkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty; dać mi znać, gdy do domu odejdzie. Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy — dodał minister sucho.

Podszedł do hrabinéj, pocałował ją w rękę szepcząc słów kilka i skinąwszy na Hennickego, oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radcę scena, wistocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sułkowskiego, który nie pytając o pozwolenie wszedł do króla. August osłupiał na chwilę,

bo nic w świecie przykrzejszém dlań być nie mogło, nad wymówki i spory. Ojciec Guarini mimo mocy nad sobą nie mógł ukryć pomieszania. Sułkowski z pozorną wesołością przywitał pana na klęczkach, potém począł opowiadać o sobie, radować się, że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruczał i uśmiechał się.

Zrazu padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; późniéj przyszło mu na myśl, że był obowiązanym donieść o wypadku królowéj, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się, wyjść musiał. Sułkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmniejszém słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać, że wie, co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości, z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się jakby przestraszony i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami dawał się rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiéjś zimnéj.

Dopóki ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swéj podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

— Najjaśniejszy panie — mówił — z niewypowiedzianą tęsknotą śpieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się dzięki Bogu nie sprawdziły i serce waszéj królewskiéj mości ręczy mi za to, że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotówem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu mojém czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzyjaciół, choćbym ich miał, a nie sądzę, ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczyniłem...

Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki, dał mu ją król zmieszany, mrucząc, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadném zrozumiałém słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniéj i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

— Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę jak w Boga! bogdajby tylko intryganci przewrotnemi jakiemi i chytremi podszeptami mi go nie odebrali.

— O! o! — przerwał August — tu intrygantów niéma.

— A na jakiż dwór się oni nie wcisną? jakiéjże oni sukienki

nie wdzieją? — zaśmiał się Sułkowski. — Najjaśniejszy panie, ja-m żołnierz i rąbię po rycersku; w bawełnę nie obwijać nie umiem. Są źli ludzie, a ci, co są najsłodsi, najpokorniejsi, najusłużniejsi, ci właśnie najniebezpieczniejsi. Panie i królu mój! nie chcę innych wymieniać, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba, lub owładnie wszystkiém i odbierze waszéj królewskiéj mości prawdziwych przyjaciół, aby tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to, patrzał na twarz królewską, która się okryła purpurą, a w chwili jednéj zbladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadaje gniew wstrzymany w sobie. Sułkowski znając go wiedział, że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale spróbowawszy ledwie swéj siły, cofał się przed tém, co go użycie jéj kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobném i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

— Najjaśniejszy panie — zawołał doganiając króla, który zwolna wstawszy, ku oknu się cofał.—Wasza królewska mość czcisz słusznie pamięć wielkiego rodzica swojego, niech on wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał, ani królowéj, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. Wasza królewska mość możesz skinąć tylko, chcieć, rozkazać, a zamilknie, co szemrze, poleci precz, co ci ciąży i więzi... Trzeba mieć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał; trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale coraz bardziéj przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i zamiast dać jakąkolwiek odpowiedź, jeszcze się daléj usunął ku oknu.

Sułkowski, który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem, kuł, jak mu się zdawało, żelazo, póki było gorące.

— Czuję tu — rzekł — że się targam na wielkie rzeczy; ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widzieć tak wielkim, jak był rodzic jego, tak szczęśliwym jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz wasza królewska mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobréj myśli, jak skoro skinąć zechcesz i energicznie objawić swą wolę. Tych opiekunów nieproszonych jak pater Guarini i pan Brühl trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my, najjaśniejszy panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo jego cesarska mość Karol VI niedługo pociągnie. W obozie dopiéro odetchniesz, najjaśniejszy panie.

Roześmiał się Sułkowski...

Król patrzał w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w téj chwili, ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową: August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu chciał iść. Sułkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie wielki marszałek dworu i zastał hrabiego żegnającego się z najjaśniejszym panem w tak czuły sposób, iż najmniéj nie powątpiewał o łasce, w jakiéj faworyt zostawał.

Część téj rozmowy, niestety, królowa sama z za drzwi, wraz z ojcem Guarinim wysłuchała, ręce łamiąc.

Sułkowski wyszedł oślepiony, pewien siebie, ufając w to, że potrafi przerobić wszystko, i że nic mu nie grozi więcéj. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i urzędników, których na zamku spotkał, i po krótkiéj rozmowie z niemi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszczęśliwiéj skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę, jaką stoczył z sobą, lecz pewien był, że zwyciężył. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zwołać Ludovicemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pośpiesznie i został odprawiony z tém, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocniéj mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości i t. p. Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziéj obarczających.

Radca odebrawszy te rozkazy, wyruszył natychmiast dopilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sułkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba... mierząc się oczyma zwiastującemi wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch rozkraczony z rękoma w kieszeniach, ani chciał spojrzeć na Storcha, raz nań czy dwa wzgardliwém rzuciwszy okiem; Storch przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki, pokazywał nań palcem i stojąc wyprostowany — nieznacznie, zwolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego sklejone nie porusza-

ły się, ale całém ciałem przyparty do ściany dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blizko Froscha, iż między niego a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na niém podrzucił go w górę. Frosch uderzony krzyknął, król spojrzał i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohaterowie słynęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dnie powszednie królowi.

— Zdrajco — zawołał Frosch stając naprzeciw Storcha — nie masz odwagi, mnie bohatera zaczepić i wyzwać do walki, bo wiesz, że starłbym cię na pył, na proch i jedném dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, nikczemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch udając skruszonego i przestraszonego, przyczém oczy mu się wywracały tak, że w nich tylko białka widać było, nagle padł na kolana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nieporuszony tém Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał, chwyciwszy go za pięty i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękoma Frosch bił w plecy, a w końcu za uszy pochwycił i oba się potoczyli na ziemię.

Król o wszystkiém zapomniawszy począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa, choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała, że się śmieje.

Wkrótce potém przy nizkim stoliczku Frosch i Storch grali w warcaby najpocieszniéj w świecie, zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to, wraz z kilkoma szklankami dobrego wina, poprawiło znacznie humor królowi, tak, że Józefina nie wąpiła, iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które nie cierpiało zwłoki.

Brühl z ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby w razie zjawienia się Sułkowskiego, powiedziano mu, iż najjaśniejszy pan przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się, czém chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która niewiadomo czyjém skończyłaby się zwycięstwem, bo mowa Sułkowskiego pewne na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to, że królowa Józefina słyszała część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom, i już żegnał Józefinę, nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

— Auguście — zawołała — słyszałam, co ci mówił i do czego cię nakłaniał Sułkowski.

— Gdzie? jak?

— Byłam u drzwi! — przerwała Józefina — i dobrze się stało, żem się tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara boska ścigać nas będą. Tyś to ścierpiał...

— A, a cóż? a jakże? — zapytał August — to mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

— Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Niedowierzająca mu jednak królowa, posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl posępny i zmieszany czekał na pana. Zobaczywszy go, nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził i rzucił się na krzesło.

Prawie w téjże chwili wchodził, śmiejąc się, ojciec Guarini.

— A! a! zguba się nam znalazła! najjaśniejszy panie. Sułkowski powrócił, snać pomiarkował, że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muova.* Źle mu tu snać było, jednak wrócił, bo gdzieindziéj jeszcze gorzéj!

August fajkę palić zaczynał, i wskazał nią na Brühla.

— Ten winien? ha? po co wpuścili! Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

— Nie ja-m winien, ale nas ktoś zdradził, najjaśniejszy panie— zawołał Brühl.

— Rób, co chcesz — rzekł król żywo — nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

— Ale niéma się czém trapić! niéma sobie czém psuć humoru i zdrowia. Najjaśniejszy panie — dodał Guarini — Faustyna dziś śpiewa razem z Albuzzi, są w najczulszéj zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał.

— *Amor quel che piace!*

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

Ojciec Guarini dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecyi przepyszny portret Giorgiona. Ujrzawszy go król, porwał się w uniesieniu:

— *A, che bello!*

Zapomniał o wszystkiém.

— Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie! — wołał lubując się arcydziełem i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potém w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła, August ją wzrokiem przeprowadzał tak rozpromienionym, jak gdyby ani ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednéj.

Nie tak było łatwo niepokój królowéj i innych osób, wpływających do spisku, rozpędzić. Znano śmiałość Sułkowskiego, przywiązanie króla do niego, środki, jakich mógł użyć, ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie, około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnijścia na schody wiodące do apartamentów królewskich...

Ojciec Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, hrabina Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkiemi podwładnemi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla, rozsypali się po mieście, zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięstwa i wygotowującego notaty, któremi miał pożyć przeciwnika. Hrabia, swém ranném wystąpieniem dumny, przekonany był, iż niém wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Żona mniéj dowierzająca pojechała wieczorem do królowéj. Nie przyjęto ją zrazu. Zaniepokojona tém, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała.

Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z narady ojca Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadoméj spraw dworu i nie mieszającéj się do niczego.

Hrabina Sułkowska, panną będąc, była frejliną królowéj, miała jéj łaskę i niczém na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, nie wiedząc sama, jak ma rozpocząć rozmowę.

Z przybranym uśmiechem oznajmiła najjaśniejszéj pani, że przyszła się szczęściem swém z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zręcznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

— Moja hrabino — przerwała królowa — mówmy o czém innéni, proszę cię; ja zajęta jestem mojemi dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mieszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała użalić się hrabina, królowa powtórzyła zimno.

— O niczém nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiéj rozmowie zwróconéj zaraz przez królowę na świeżo nawróconego i ochrzczonego izraelitę, którego hrabina była kumą, potém na nabożeństwo postne, jakie się od popielca zaczynać miało, pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę.

Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość wszystkiego, w to usunięcie się zupełne od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dosyć spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzełamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozprzęgło, że go zbywano rozmaitemi nieprawdopodobnemi i śmiesznemi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowym z papierami być nie może.

XIX.

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniéj chwili widzieć i uwierzyć w nie nie chcą. Ani to, co mu od królowéj przyniosła żona, nie kryjąc, iż była zbyt zimno i obojętnie przyjętą, ani to, co mu oznajmił Ludovici, nie odjęło zaufania w siebie i wiary w przyszłość.

Zdawało mu się, że król doń był nadto nawykłym, aby się bez niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silne uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział zresztą może sam, na co rachował, lecz był zupełnie

spokojnym. Żona, kobieta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory, i to, co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnéj była trwodze. Wiedziała dobrze, iż niełaska w Saksonii, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jéj nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostém usunięciu i wygnaniu. Szła za niemi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekuiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski popadłszy w niełaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzyjaciołom, przez stosunki na dworach: francuskim, austryackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnéj trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, któremi mężowi męstwa odejmować nie chciała.

Hrabia przeciwnie był w wybornym humorze, zwierzając się żonie, co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie, że sieci, zastawione przez nieprzyjaciół, potargał; że wszystko powróci do dawnego stanu, i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała.

Nazajutrz rano, dnia piątego lutego, hrabia po męczącéj podróży nie zaspał długo, obudził się o zwyczajnéj godzinie, ubrał i wedle dawnego zwyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcéj miał przebiegłości, a mniéj zaufania w sobie, dostrzegłby był z łatwością, że zobaczywszy go, wszystek dwór spoważniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci, co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małomówni i chłodni. Sułkowski miał dawniéj swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dążył więc prosto do pokojów króla, wiedząc, gdzie go szukać o téj godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnemi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego, nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

— Ale to się do mnie stosować nie może! — zawołał Sułkowski, uśmiechając się.

— Nie wiem — odparł Löwendahl — może się to późniéj wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłómaczyć.

Nie chcąc się poniżać do sporu Sułkowski, pewien, iż się późniéj pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się; ukłonił się zdala, zawrócił i odszedł.

Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastéj, gdy król wszystkich zwykł był przyjmować. Schodząc ze schodów, zdala zobaczył porte-chaise Brühla i to go mocno ubodło.

— Ale cierpliwości — rzekł w duchu — cierpliwości; są to ostatnie wysiłki tych ichmościów; przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...

Pojechał do kancelaryi Ludovicego i znalazł go bladym i pomieszanym.

— Papiery? macie papiery? — zapytał.

— Dotąd ich nie mam, zbieram to, co wprzódy było przygotowane; jest coś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, niedobrego i nic nam nie zwiastującego pomyślnego: chodzą, a raczéj uciekają jak poparzeni.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze — zaśmiał się Sułkowski — jakże chcesz, aby kto widząc swój upadek, nie stracił głowy. Ja się jeszcze do najjaśniejszego pana docisnąć nie mogłem; powiedziano mi, że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada, co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomieszał.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważyło się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny.

— Nieczyste ma sumienie — rzekł w duchu — nie śmie mi się na oczy pokazać, a może węzełki zwija, czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długo.

Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał nie słysząc, co do niego mówiono; przechadzał się, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hrabinę Moszyńską, aby zobaczyć, jak go téż przyjmie i czy bardzo się przestraszy.

Ruszył więc do hrabinéj, ale tu przeproszono go, że godzina była ranna, a hrabina nieubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna...

Sułkowski żartując z jéj przestrachu, powiedział, że natychmiast jedzie napowrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadranse na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszedniemi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszéj ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na ziemię bóle w kolanach, a Frosch posępny wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego

do wesołości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paź króla przybiegł i oznajmił mu, że najjaśniejszy pan był u najjaśniejszéj pani. Do królowéj iść, ani chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzeba się było anonsować, i mógł być nieprzyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokoju i nie wiedząc, co z sobą począć, udał się napowrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział, że widok tak wcześnie powracającego zaniepokoi żonę, wolał więc przebyć tę chwilę gdzieindziéj.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia; wistocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jéj nie wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemódz te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien, że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny... postanowił wstąpić do niéj. Znał on admiracyę króla dla śpiewaczki i jéj usposobienia, miał nadzieję, jeśli się nie dowiedzieć czego od niéj, to przynajmniéj wyrozumieć.

Już z przedpokoju dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo... Wtém drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja i kilku Francuzów krzycząc i kłócąc się jeszcze, poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nizko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu; zdziwiła się na widok hrabiego i zmieszana nieco, z uśmiechem wymuszonym zaprosiła go, aby wszedł.

— Kiedyż wasza ekscelencya wróciliście? — zawołała — my nic nie wiemy o jego powrocie.

— A, bo ja dotąd napół jestem *incognito* — rozśmiał się hrabia — proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania oblicza pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjętym. Ja! — dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie. — Zaczynam sądzić, że kilkomiesięczne oddalenie uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałemi i przychodzę do was prosić o tłómaczenie.

— Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz — odparła Włoszka, spoglądając nań z pewném politowaniem i trwogą — ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a zszedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego, co się w świecie dzieje.

— Jednakże — ciszéj począł Sułkowski — powiedzcie mi, słyszeliście co? czy się tu jaka burza na mnie zebrała staraniem waszego przyjaciela Guariniego naprowadzona?...

— Nic a nic nie wiem—trzęsąc głową, ozwała się Faustyna— mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może, że na was, panie hrabio, spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

— Ani się téż lękam, lecz chciałbym *tirer au clair;* co to jest?

— To jest zazdrość i współzawodnictwo — odezwała się Bordoni — my w teatrach doskonale to znamy; rzecz niezmiernie powszednia.

— A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

— Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć, musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jéj przypomnieć przestróg, jakie mu dawała przed kilku miesiącami; teraz mowa jéj i usposobienie były całkiem zmienione. Faustyna lękała się.

Widząc, że się niewiele dowié, hrabia spytał o nową operę, o muzykę, o Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary, która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać, aby nie okazać niecierpliwości, jakiéj doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl córka wielkiego ochmistrza dworu była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu.

Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego, panna Löwendahl, żywa osóbka, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkiém bywała najlepiéj uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jéj widać było pomieszanie i rozdrażnienie niezwykłe.

— Hrabia mi to najlepiéj objaśnisz — zawołała witając się. — Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć, co to być może.

— Ale skądże panie to wnoszą? — zapytał witając się gospodarz.

— Wiem doskonale — poczęła żywo panna Löwendahl. — Przed godziną król posłał po starego gienerała Baudissina, który leży na pedogrę chory, i kazał mu do siebie przyjechać.

Gienerał, który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłómacząc się chorobą; mimo to posłano po

niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama, że musiał jechać i pojechał na zamek.

— Nie wiem, co to może być — odpowiedział spokojnie Sułkowski — byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniéj w świecie trafiłem tak, że króla widziéć nie mogłem.

Zaczął się śmiać, panna Löwendahl ciągnęła daléj szczebiocąc żywo.

— Od kilku dni już głoszą, że Baudissin, który kilka razy napróżno o dymisyę prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzéj daleko, bo drudzy mówią, że mój ojciec może być także odprawionym.

— Nie sądzę — rzekł Sułkowski — ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreznie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courant.*

Panna Löwendahl spojrzała na niego.

— Domyśléć się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

— Cicho! cicho! — przerwała hrabina — doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

— Popłoch próżny — rzekł — zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

— Jego ekscelencya wielki ochmistrz baron Löwendahl i jego ekscelencya gienerał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna pobladła i cofnęła się ku kanapie.

— Prosić — zawołał idąc ku drzwiom Sułkowski.

W téjże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl zobaczywszy córkę, zdziwiony na nią popatrzał, jakby wymawiał, że ją tu znajduje.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiejąc sobie wytłómaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

— Hrabia pozwolisz, ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiety, które cichéj rozmowy posłyszéć nie mogły, siedziały przestraszone i zaciekawione. Sułkowska blada, drżała, czując, że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciała odjechać i nie miała siły, hrabina przytrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko, z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papier... rozkaz z królewskiéj kancelaryi przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jak gdyby próg innego świata przestąpił, stał blady i widocznie rażony jak piorunem.

Drżącemi rękoma ujął ten papier, oczy nań zwrócił, czytał, a nie rozumiał; stał jak obłąkany.

Löwendahl, któremu i żal się zrobiło i szło o to, aby coprędzéj się stąd wydobyć, widząc, że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumiéć, o co idzie, stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli.

Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredagowane.

„Jego królewska mość zauważywszy, że hrabia Sułkowski, po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim, zapomniał się, a uchybił jego królewskiéj mości; uznał właściwém, urzędy, jakie przy jego królewskiéj mości sprawiał, odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże, ze względu na długoletnią służbę jego, raczył mu pensyą jako gienerałowi pozostawić“.

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski wnosząc z tego, co innych spotkało; rozpatrzywszy się więc w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

— Wola najjaśniejszego pana — rzekł — jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym, skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniosę co mi przeznaczono. Jeżelim się nawet zapomniał wobec jego królewskiéj mości, pewnie to raczéj było skutkiem mojéj miłości dla najjaśniejszego pana, niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski, przed którym niedawno jesze niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek niełaski.

Dawna grzeczność zapomnianą została; Baudissin obchodził się z nim jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się zdala, chłodno, Sułkowski oddał im ukłon i wprowadził do sali. Tu zdaleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychléj. Hrabia niewiele już po sobie okazując wrażenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła, co się stało. Potajemna ta narada, nie była daremną.

Panna Löwendhal dosiadywała, chcąc się o czémś dowiedzieć.

Nie śmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzał na żonę, któréj twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

— Winszuję pani — rzekł głosem, w którym lekkie przebijało się drżenie — jesteśmy wolni. Najjaśniejszemu panu podobało się ze swéj służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak w takim składzie okoliczności, jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę, zasłaniając oczy.

— Moja droga — rzekł hrabia — uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to, żem się wobec króla jegomości zapomniał, co znaczy, żem mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawić raczył pensyę gieneralską, a dał mi nieoszacowaną swobodę — dodał, rękę wyciągając ku żonie — pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzała na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć téj spokojności, z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. Wistocie duma Sułkowskiego nie dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W prędkim czasie, po pierwszém osłupieniu, przyszedł do siebie, i po pańsku przyjął, co los mu wydzielił.

Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl, że była tu zbyteczną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomnością swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciołki i wyśliznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

— Droga moja — zawołał hrabia — zaklinam cię na wszystko, bądź mężną. Nie przystoi nam dać poznać, żeśmy dotknięci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że zamiast mi odebrać majątek, zostawuje mi pensyą. Wygnanie w Uebigau, na które jestem wskazany, niema w sobie nic straszliwego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka poczciwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała... Uspokój się, proszę cię.

Ale nie łatwo było łzy ukoić.

Sułkowski nic nie mówiąc, spojrzał na zegarek, podał rękę żonie i szepcząc pocichu, przeprowadził ją do jéj pokojów.

XX.

Jeżeli co może w człowieku obudzić najwyższą wzgardę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany nagłéj, jaką wywołuje ruina i upadek, przed chwilą bałwochwalczo czczonego ulubieńca losu.

Jest w tém coś tak nikczemnego, tak upadlającego, iż serce wzdryga się na to; ale w takich tylko razach, człowiek poznaje świat i wyprobowuje swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego, co ono budzi w sercu, nie pojmie, jaką goryczą zapływa.

Sułkowski, który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet, ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dolę z dumą chłodną; lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższéj pogardy, jaką w nim już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludovicego. Radca był mu winien wszystko, był mu do ostatniéj chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły, że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowém.

— Wypadnie więc — rzekł zimno hrabia — ażebym ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla, i jeśli niemi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedziano o upadku Sułkowskiego, chociaż jedną chyba dumą mógł zawinić względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym; wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomiernie z jego upadku.

Przechodził około kancelaryi Brühla; zobaczyli go pisarkowie przez okno: cała zgraja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzyć.

Sułkowski widział i słyszał, co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą, że ani się obejrzał, ani dał poznać, iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze, co krok, spotykał kogoś z tych, co wczoraj mu się najuniżeniéj kłaniali, a dziś udawali, że go nie widzą, lub wpa-

trywali się natrętnie, nie zdejmując kapelusza, ażeby okazać, iż sobie drwią z niego.

Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ścigały go oczyma. Na zamku, wnijście nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szepty, cofania się, śmiechy, lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nie śmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie postał tu więcéj, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny, łatwo mu było obrachować, iż król nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowéj. Tu, szczęściem, nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić najjaśniejszemu panu i przestrzedz o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut, ów mocarz, co niedawno trząsł całym dworem i królem, pozostał sam, w kątku, rozmyślając nad tém, jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król nie patrząc i nie widząc go wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski nagle przypadłszy do nóg mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

— Najjaśniejszy panie! —zawołał — nie godzi się, abyś sługę, nie wysłuchawszy, odpędzał. Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie waszéj królewskiéj mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszanie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

— Sułkowski.!! ja nie mogę... ja nie chcę słyszéć nic...

— Na Boga waszę królewską mość zaklinam — podchwycił hrabia — nie domagam się nic, oprócz tego, abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz wasza królewska mość przypomniéć lata, które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się sprzeniewierzył, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu.. Są ludzie, którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne, strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego, żem wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swojemi drżącemi rękoma zasłaniał się i niecierpliwie nogami tupał, powtarzając:

— Nie chcę nic słyszéć...

— Ja chcę się tylko usprawiedliwić.

— Dosyć — zawołał król — mam najmocniejsze postanowienie

rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszéj, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź, idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestrachem, jakby się obawiał, aby kto nie nadszedł na tę scenę, lub, żeby łzy go nie zmiękczyły.

— Najjaśniejszy panie! — krzyknął w rozpaczy hrabia, porywając się z ziemi — nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od waszéj królewskiéj mości łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki i o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, któréj winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na łzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił, okrywając pocałunkami.

— Królu mój! — zawołał — i tażto ręka mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego powtarzam, bom chyba zbytkiem miłości dla waszéj królewskiéj mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

— Dosyć! — krzyknął — ja was słuchać nie mogę, nie chcę i rozkazuję odejść.

Sułkowski milczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiéj do drzwi, ku pokojom królowéj wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili, aby zebrać myśli i siły, sparł się o mur, ręką uścisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnieprzyzwoitszy oznajmił mu, ażeby dłużéj tu nie bawił.

— Najjaśniejszy pan rozkazuje panu przeze mnie natychmiast zamek opuścić i nie pokazywać się więcéj na dworze. Wolą jest najjaśniejszego pana, abyś pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spojrzał dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało nic nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnienia. Chęć jakiéjś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić; wiedział, że onaby raczéj nieprzyjaciołom posłużyła, niż jemu.

Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić, że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samém Dreznem dozwalało się spodziewać i spotkania z królem i może wytłomaczenia. Chciał więc w pierwszéj chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słyszéć i mówić o tém nie dozwoliła.

— Brühl się tém nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znaj-

dzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętéj Saksonii. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!!

Przez cały ten wieczór, około domu Sułkowskich widać było krążących ludzi, kupki stojące ciekawych przypatrujące się oknom, śledzące życia, pragnące widzieć i nasycać się drganiem ofiary. Sułkowski chwilami z za firanek niewidzialny stawał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszczę nikczemną, że wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, w którym jego królewska mość uwalniał hrabiego Sułkowskiego, od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczoru, po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój; znużony był po ciężkiéj walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnéj strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzyć. Z szyderskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

— Powinnam powinszować panu — odezwała się — jesteś jedynym panem sytuacyi, królem Saksonii i Polski; Hennicke namiestnikiem; Los, Stammer i Globig wice-królami! nieprawdaż?

— A pani królową — rzekł, uśmiechając się Brühl — *à double titre!*

— Tak jest — rozśmiała się Brühlowa — i zaczynam się oswajać z mym stanem, znajdując, że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

— Byle to dłużéj trwać mogło, niż królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam — śmiejąc się, szepnęła — że waćpan rozumnie bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiet. Królowa, ja, która jestem drugą, Moszyńska i pani Sternberg, to coś znaczy; nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbową.

— Pani sama jesteś winną, iż muszę obcéj pomocy szukać i serc po za domem.

— A! serc! serc! — przerwała Brühlowa — ani pan, ani ja, o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazye, nie serca, mamy zmysły, nie uczucia, ale.. tak lepiéj.

Odwróciła się od niego.

— Jedno słowo — odezwał się Brühl podchodząc za nią —

jedno ciche słowo; późniéj przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

— To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył:

— Pani się kompromitujesz!

— Naprzykład?

— Ta młodzież z mojéj kancelaryi...

Brühlowa zarumieniła się, minkę nastroiła dumną i gniewną.

— Mam moje fantazye! — rzekła — a nikt mi ich zabronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się nie wdaję w to, co pan minister robi. Bardzo proszę!

— Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzeczkę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, promieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowéj, podając jéj rękę, i zawołała głośno:

— A zatém zwycięstwo *sur toute la ligne!* W mieście całém nie mówią tylko o tém: dziwują się, drżą...

— Cieszą — dodał Brühl.

— No, nie wiem doprawdy — przerwała Moszyńska — ale nam na tém dosyć, że my się cieszymy z upadku tego prokonsula. Jesteśmy przecie raz *en famille* i nie potrzebujemy się kłaniać pysznemu panu.

— Cóż słychać? co myśli? — spytał minister.

— Jeżeli go znasz — zawołała Moszyńska—powinieneś się domyślić. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie siedział potrząsając głową po dawnemu i starać się nie omieszka zabiegać drogę królowi, intrygować, aby do łaski powrócić.

Brühl się rozśmiał.

— Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani... od Uebigau niedaleko do Drezna, ale téż blizko i do Königsteinu... Wątpię... wątpię.

Nadchodząca hrabina Sternberg, żona nowego posła austryackiego, piękna czarnooka Wiedenka, pańskiego oblicza, arystokratycznéj postawy, uchodząca także za Egeryę Brühla, wtrąciła prawie nie witając się:

— Trzymam zakład, że pojadą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę pocichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

— Popełniliście błąd — rzekła. — Nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę, będzie się mścił; należało go zamknąć...

— Król-by na to nie zezwolił w pierwszéj chwili — odezwał się Brühl — zanadto żądając, moglibyśmy go doprowadzić do

otwartego buntu, a naówczas Sułkowski poucinałby nam głowy. To jedno; powtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję, głowa słaba: spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

— Brühl — rozśmiała się Moszyńska — dwa miliony talarów... a ty...

— Ja nie mam grosza — zawołał minister — ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabiny.

— Nie sądź pani, ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk nie dobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa *tempa*. Z Uebigau, w którém żyć musi, i skąd tak rychło nie ucieknie, dostanę go, gdy zechcę. Tymczam zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko!

Rozśmiał się dziwnie, gdy w tém nadchodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiet przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

— Jakże on to przyjął? — zawołał Brühl.

— Z razu osłupieniem, ale po chwili, bardzo mężném sercem i wielką dumą.

— A jednak — syknął Brühl — mówił mi szambelan Friesen, że zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

— To być może — rzekł Löwendahl — ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner ode drzwi dawał mu znaki, musiał więc przeprosiwszy odbiedz gościa i pójść dowiedzieć się, dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze, aby dawny ulubieniec, pisma jakiego nie podrzucił, lub sam, mimo zakazu, nie przekradł się do zamku. Wiedziano o stosunkach jego z ojcem Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabinecie czekał Hennicke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było, że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi, niż Brühl jemu.

— Cóż tak pilnego — z wyrzutem począł minister — ludzie mogą sądzić, że się coś stało?

— A! niech tam sobie sądzą—niecierpliwie odrzucił Hennicke — wasza ekscelencya bawisz się, a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazyom jego.

— Coś ty, oszalał?

— Ja? — zapytał spokojnie Hennicke.

— Zapominasz się! — zawołał Brühl.

Hennicke rozśmiał się.

— No, no, dajmy temu pokój, ekscelencyo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...

Machnął ręką.

— Cobyś wasza ekscelencya znaczył bez Hennickego?

— A ty beze mnie? — zawołał trochę gniewnie Brühl.

— Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego.

Brühl złagodniał.

— No, cóż tam? co? mów!

— Cobyś mi miał wasza ekscelencya dziękować, to burczysz. Hennicke był lokajem to prawda, lecz właśnie dlatego, że nim był, nie lubi przypomnień dawnych.

To mówiąc, rozwijał papiery.

— Ot co przynoszę: Ludovicego upoiłem, zapewniłem, że go zrobimy radcą tajnym w departamencie, i ręczę, że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tém się nie dowié! cha! cha! Mam już wskazówki. Są sumy pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho! ho! znajdzie się tego dużo! A z czegóżby dobra kupował! przecież po królu Leszczyńskim je nabył.

— Trzeba, żeby dowody były — rzekł Brühl.

— Czarno na białém — mówił Hennicke.

— Na kiedy gotowém być może?

— Za dni kilka.

— Zbytecznie się śpieszyć nie mamy potrzeby — mówił Brühl — król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyna zaśpiewa, ojciec Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiéro można będzie do drugiego aktu przystąpić. Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...

Hennicke, który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:

— Trzeba mu niewidzialną wartę postawić i tu i w Uebigau. Wypadnie, aby się kilku lokajów odprawiło; niewielu on ich tam ma, a natomiast nastręczy się mu sług z naszéj ręki, którzy czuwać będą i donosić.

— Bardzo dobrze — rzekł Brühl.

— Spodziewam się, że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam — dodał Hennicke.

— Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski — rzekł zadumany Brühl — byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.

— Ba! i niebezpieczna — począł Hennicke poprawiając perukę — choć to głowa nie tęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się nie godzi.

— Zatém rzecz postanowiona — szepnął Brühl — waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Papiery te, niby przypadkowo podchwycone, zaniesie hrabia Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.

Chciał już odchodzić.

— Słuchaj, Hennicke — rzekł cicho — ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiéj. Jużciż, takiego gościa jak Sułkowski, w lada komórce osadzić niepodobna, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa wypadnie mu tam dłużéj zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedziny do komendanta i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokoi dla hrabiego, żeby znów niezbyt mu źle było. Jest tam teraz próżnych dosyć. Nie mówiąc dla kogo i co, niech oczyszczą, ale tak, żeby się tam nie domyślano.

Hennicke się rozśmiał.

— Wasza ekscelencya nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.

— Gdy go zamkniemy do klatki — rzekł Brühl. — Ale, mój Hennicke, powiadasz, bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje, że ty najlepiéj sam o sobie pamiętasz.

— A wasza ekscelencya! — wyrwał się Hennicke, który papiery składał. — Obaśmy z jednego materyału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl, choć go tak eks-lokaj brutalsko częstował, nie śmiał nic odpowiedzieć, owszem łagodził go; był mu potrzebnym.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

— Siadajże — odezwała się — już o téj godzinie interesa wszystkie spać iść powinny!

XXI.

Zapusty w tym roku były weselsze niż w przeszłych latach, wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty ojca Guariniego chybiały i niesłuchane rozpraszały się w powietrzu. Uproszono Faustynę, aby śpiewając, podchodziła bliżéj loży królewskiéj i dobierała najulubieńszych aryj. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano codzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi czekając na rozkazy i zgadując myśli. August też bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się od okna, i zdawał się nie słyszéć i nie widzieć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nieprzygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem, szyderstwy i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony, Fido; zasadził się nań strzelec około mostu i pod karetą Sułkowskich z pistoletu go ubił.

Działo się to w biały dzień, wśród miasta, a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec tryumfował, patrzący śmieli się, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozpłakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa: zniósł to ze stoicką rezygnacyą, udając, że o niczém nie wié.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzał w dal chłodnemi oczyma, i ani drgnął nawet: nadto się czuł wyższym nad to, aby cierpiéć.

Hennicke i kancelarya Brühla wiedziała o tém dobrze (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko...

W mieście krążyły najosobliwsze powieści. Bądź-co-bądź, nowy minister, który w kilka dni potém wziął na siebie znaczniejszą część dostojeństw, od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się też przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego,

raczéj żal obudzał, niż radość; raczéj przestrach, niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzanie wszystkich miejsc, w których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki wielkiego marszałka dworu, pozmieniano paziów i lokai podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkiém, co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu z tém zupełnie dobrze, bo oprócz dogodzenia nałogom swym, nie potrzebował nic.

W pierwszéj chwili o usunięciu i oddaleniu królowéj, dla zapobieżenia wpływowi jéj, mowy być nie mogło; lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny, jako najbliższa konieczność. W największéj tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; ojciec Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, jego podwładni vice-królik i, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczętą była, ale nie dokonaną. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstembergowskiego pałacu, który od króla dawniéj otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl na nich się opierając, spodziewał się dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekuistém niebezpieczeństwem: Sułkowski w Wiedniu z żoną był wrogiem na przyszłość strasznym.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty niedostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nad-elbiańską okolicę, czyniło go wcale znośnym pobytem. Z okien swych mógł Sułkowski codzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował.

Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nic można się było nie dowiedzieć. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzone szpiegi napróżno wypatrywali gości. Ludzie z pałacu jeździli codzień po żywność do Drezna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo. Nie dawał się pochwycić na niczém winowajca.

Co się działo w pałacu, nikt nie wiedział. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaką drogą one i dokąd szły, tego dośledzić nie było podobna.

Jednego poranku, Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papierów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i nie rzuciwszy nawet okiem na akta, kładł na nich jakby odbity z pomocą jakiéj machiny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia, spostrzegłszy stos papieru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie, nie rozkładając tego, co trzymał w ręku.

Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którém się ociągać zdawał.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł — dziś przybyłem w takiéj przykréj sprawie, że radbym jéj i dla siebie i dla pana mojego najmiłościwszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

— Wolałbym, żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał — westchnął Brühl... — Muszę więc sam to przedstawić najjaśniejszemu panu.

— Hm?? — odezwał się August.

— Wasza królewska mość przyzna mi — mówił daléj minister — że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

— Skończone! dosyć! skończone! — przerwał król trochę niecierpliwie.

— Niezupełnie — kończył Brühl — i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawy; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzały na mówiącego, było w nich niemal coś groźnego.

— Znalazły się w papierach rzeczy, korespondencye ogromnie obwiniające niewdzięcznego sługę waszéj królewskiéj mości; nadużycia, deficyt w kasie.

Król chrząknął mocno.

— Ale ja mam pieniądze jeszcze? Brühl? — zapytał żywo.

— Są, przecież nie tyle, ileby ich być powinno — zniżając głos, mówił minister. — Gorsza daleko, iż listy, stosunki, komunikacye z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie, zasłonięty prawami rzeczypospolitéj, wichrzyć; jeśli po-

jedzie do Wiednia, tam też może być niebezpiecznym. Słowem, gdziekolwiekby się udał...

Mówiąc to Brühl powoli, patrzał na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłómaczyć, co ona oznajmywała. August patrzał i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestawszy mówić, minister czekał. August chrząknął mocno, kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc, nie mogąc inaczéj.

— Wasza królewska mość zna mnie i wié, że jestem przeciwny wszelkim gwałtownym środkom, ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedziéć, dopóki się panu mojemu nie sprzeniewierzył. Dziś jako minister, jako sługa wierny, gwałt sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z ojcem Guarinim obrachowane w ten sposób, iż padre miał nadejść wśród rozmowy, i wistocie zjawił się w tém miejscu. Król chciał zużytkować inaczéj przybycie Guariniego i przywitawszy go zapytał o Faustynę.

— Zdrowiuteńka! — zaśmiał się ojciec. — *Chi ha la sanità, è ricco e se no'l sa.*

Ale Brühl stał z temi nieszczęsnemi papierami.

— Wasza królewska mość pozwolisz, bym tę niemiłą sprawę zakończył — rzekł wtrącając się żywo. — Ojciec Guarini wie o wszystkiém.

— A! wie! to dobrze! I zwrócił się król do ojca. A co mówi?

Padre ramionami ruszył.

— Co pan mówi miłościwy! — odrzucił śmiejąc się — a ja! jam kapłan, ksiądz, mnie się nie godzi.

Nastąpiło milczenie, August oczy spuścił w ziemię; Brühl się uląkł nieco: szło wszystko w odwłokę.

— Za życia najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego — podchwycił — Sułkowski byłby już na Königsteinie.

— Nie, nie! — rzekł August, ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.

Guarini z rękoma złożonemi stał wydając westchnienia głębokie.

— Nigdy nie nastawałem na obchodzenie się surowe z nikim — rzekł Brühl — byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiéj niewdzięczności, takiego zdradziectwa.

Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze...

Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go, byli pewni, iż przemódz i zwyciężyć potrafią, ale szło o to, aby nie nużyć Augusta, bo zmęczony, miał zawsze długo żal do tych, co go nudzili. Brühl spojrzał na Guariniego oczyma, nagląc, aby dobijał poczętego targu. Padre odstrzelił podobném wejrzeniem, zdając to na ministra. August na podłodze nogą miął rozesłany kobierzec i prostował, o czém inném myśląc.

— Co wasza królewska mość rozkaże? — spytał natarczywie Brühl.

— Gdzie? jak? co? — mruknął król.

— Z Sułkowskim...

— A, z tym, tak... tak...

I znowu kobierzec król miął nogą, patrząc na ziemię.

Naostatek jakby z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:

— Papiery te do jutra.

Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papierów. Chociaż pewnym był, że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był nadto ostrożnym, rachował, że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Włoch cicho, — to taka gorzka potrawa, że jéj na dwa dania niewarto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*; co tu myśléć?

Król nic nie odpowiedział, po chwilce odwrócił się do Brühla:

— Strzelanie do tarczy po południu na zamku.

Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.

— Ostatni jeleń długo nas męczył — dodał — ale rogacz był też wart pracy.

Milczał trochę.

— A żubr ostatni zdechł — dodał i westchnął.

Zegar wskazywał godzinę, w któréj król zwykł był iść do królowéj, kazał zawołać szambelana.

Brühl czuł się odprawiony z niczém, a cały zachód był stracony. Nie wiedział czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król śpieszył się z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokojów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

— Nie rozumiem — rzekł:

— *Pazienza! Col tempo e colla paglia maturanno le nespole!* — odparł Guarini — do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoi się z tą myślą, a że nic mu tak nie cięży, jak ponawiane szturmy, postawicie na swojém.

Zamyślił się minister.

— Zawsze to źle! — rzekł — w sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowéj, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swém król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowemi nazywano, przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych, co go mogli zabawić. Brühl jeśli się tam zjawił o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisia. Lecz, że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo nikogo na zamek, oprócz domowych, nie wpuszczano; bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefnisiami swemi, lub wedle fantazyi, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, któryby do dworu nie należał, a Brühlowscy zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób nie spełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego pozostał jak inni, przywiązany do dworu, sławny ów hanswurst najjaśniejszego pana, Józef Fröhlich, który się nosił z kluczem srebrnym szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina.

Lecz dawniej ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiątką. Brühl, który mu nie dowierzał, starał go się usunąć równie jak barona Schmiedel. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (Narrenhaus), miał się już dobrze i nie często się pokazywał u dworu; ale ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego pucołowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksyi od policzka, który mu Storch wymierzył, niby żartem... za co został ukarany aresztem przy kuchni. Nie bardzo się więc zdziwiono, gdy król pazia wysłał, aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszemi się stawały i działały najmocniéj, gdy naprzeciw wesołéj twarzy starego trefnisia, stanął kamer-kuryer, baron Schmiedel z melancholiczném swojém obliczem, paź zapytał, czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsł głową i powtórzył mu:

— Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego hanswursta, gdy mu na zamek iść kazano. Wdział jak mógł najżywiéj jednę ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko czém najjaśniejszego pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jednę z takich właśnie przebywał ów Fröhlich *semper, nunquam traurig* na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał on się z tém, że mu teraźniejsze panowanie wcale w smak nie szło, stare czasy wydawały mu się nieskończenie lepszemi, choć wistocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknienie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy, zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać iskierkę... z którą w oczach i minie stawił się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiéj mu było począć od figla, niż od konceptu.

Ukląknąwszy przed królem i złożywszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz najjaśniejszego pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambelański i ośmielił się prosić, czyby najjaśniejszy pan uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienia napić się wina... Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić i opowiadał jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paź stał z butelką gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z przerażeniem ujrzał w niém coś siedzącego głęboko.

— Któżby się był spodziewał! — zawołał — ptacy sobie w niém gniazdo usłały... Wistocie z klucza wyleciał kanarek. Król się rozśmiał, ale na tém nie było końca. W kluczu coś było jeszcze, Fröhlich z wielkiemi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarwnego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek od nosa, stoczek i garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potém, że nie będąc pewien, czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zaklęta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytéj ceremonii, paź odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeźniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał, bo musiał,

ale tylko oko Fröhlicha postrzegło, że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział, czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajném zdumieniem ujrzał króla idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękoma znaki, aby się zbliżył.

Było w tém coś tak tajemniczego i niezwyczajnego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pośpieszył i znalazł się u okna, przy którém król stał, jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania téj zagadki zdumiony trefniś napróżno szukał w głowie.

— Słuchaj, Fröhlich — rzekł król zaledwie dosłyszalnym głosem — hm! śmiéj się głośno, głośno, ale słuchaj, co powiem, rozumiesz...

Trefniś nie zrozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhuczniejszą zagłuszyć rozmowę...

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

— Fröhlich wierny, poczciwy, nie zdradzi — rzekł. — Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiesz! powiedzieć mu, rozumiesz! niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć, ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na myśl mu jeszcze nie przyszedł Sułkowski. Rękoma i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

— Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlichowi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może nie dobrze zrozumiał.

Twarz jego wyrażała znać tę niepewność, bo król nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pośpiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak w końcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzedz hrabiego, aby do Polski uciekał.

Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potém dobył z kieszeni garść dukatów i wsypał je Fröhlichowi do kamizeli.

— Idź! — rzekł.

Fröhlich przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju pochwaliwszy się dukatami, nie dał się paziom powstrzymać i co prędzéj pobiegł do domu.

Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyślił się, westchnął...

Zadanie było trudne. Mniéj nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyślić łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich.

Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojéj izdebce i nie tracąc czasu, przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to pierwsze dni lutego, Elba stała w pędzie do Czech spocząwszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniéj strzeżonym. Zbyt było późno i niebardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale saneczek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapustnego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugiemi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, w końcu do otwartéj furtki wbiegłszy na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni.

Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył... Schody stały ciemne. Dopiéro wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba kłóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka, zjawiającego się o téj godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania.

Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu i to jak najśpieszniéj. Kamerdyner najprzód go obrewidował i przetrząsł kieszenie, bojąc się czy nie miał broni i nie zamierzał jakiéj napaści, a dopiéro potém pobiegł do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiązaną brodę, nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do któréj dopiéro teraz światło wniesiono. Sułkowski był nieubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jak gdyby ministrem być nie przestał.

Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało po-

dejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam-na-sam, Fröhlich odsłonił twarz.

— Przed dwoma godzinami — rzekł — byłem zawołany do króla: powtórzę wam jego własne wyrazy. — „Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedzieć mu: niech zaraz ucieka do Polski“.

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

— Król ci to mówił?

— Król, i z taką obawą, aby go kto nie podsłuchał, jak gdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

— Jest nim i na wieki zostanie — westchnął Sułkowski.

Zamyślił się hrabia.

— Bóg zapłać — odparł po przestanku krótkim — zażyłeś biedy dla mnie, a raczéj dla króla. Czém ci mogę odwdzięczyć?

— Tém jedném, abyś hrabia spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszéj nocy.

Skłonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca.

Za Fröhlichem zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc, co ma począć.

Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy rannéj, gdy mu ojciec Guarini zaszedł drogę, dopytując o zdrowie. Na to zwykle najjaśniejszy pan odpowiadał czémś takiém, co pośredniczyło między chrząknieniem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniéj nadużywał, służyły mu wybornie.

Ojciec Guarini razem z innemi prowadził najjaśniejszego pana na pokoje.

Król kilka razy spojrzał na niego badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

— Mróz...

— Ja to najlepiéj czuję, bom Włoch — rzekł Guarini — ale choć tak zimno, najjaśniejszy panie — szepnął cicho — są ludzie, co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w niełaskę... wybrał się, słyszę, nocą, nie wiadomo dokąd...

Król jakby nie słyszał, nie odpowiedział nic.

Na pokojach oczekiwał Brühl z papierami, ale zmieszany i kwaśny.

August zbliżył się do niego szybko.

— Brühl! te papiery, co wczoraj, skończyć trzeba.

— Już wszystko skończone — odparł minister z westchnieniem.

— Hm! co? — spytał August, udając zdziwionego.

— Winowajcy już niéma, najjaśniejszy panie, musiał się czuć do grzechu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

— Jestem pewny zdrady — dodał minister, niespokojnie się kręcąc. Znać, że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzéj- późniéj wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi, August stojącą ogromną tabakierkę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem, dotknął końcami palców tabaki.

— Polować się będzie koło Taubenheim — odezwał się król— niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

XXII.

Brühl zwyciężył, nie miał jednak téj pociechy, ażeby nieprzyjaciela się pozbył nazawsze; musiał wszakże przez długie lata lękać się ciągle odwetu, o który Sułkowski się nie pokusił. Objąwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając na Szląsku znaczne majętności, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu książęcia, bawił najwięcéj w Wiedniu i nie próbował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od téj chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saksonią i Polską; potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał wedle słów własnych, jednę z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkodaby było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną zarazem i typem swéj epoki nadzwyczaj wybitnym; w Brühlu maluje się cały August III jak w zwierciedle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod, nie dodając doń nic więcéj, gdyby nam tradycya jednéj ciekawéj nie pozostawiła sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W roku 1756 w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swéj potęgi, zostawując w szponach zwycięscy całe mienie, pałace, galeryę, bibliotekę, zbiory, uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią, dworskie ekwipaże z powodu złéj drogi na Szląsku i niedostatku koni, na kilka taborów rozbite zostały.

Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawidził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najnieszczęśliwiéj składało; padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuły drogi tak, że dwa razy większa nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister rad nie rad musiał ścierpieć co mu było przeznaczoném i uledz losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, milionowe i niczém nienagrodzone poniósłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w któréj absolutne rozporządzanie się nie było możliwém jak w Saksonii. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaléźć lekarstwo, lecz szło trudniéj i mozolnie. Nie dziw téż, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelękły niemal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których nie dobrze rozumiał, co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych szląskich miasteczek pokazało się z za szaréj opony dżdżystéj, z wieżyczką kościoła i oświeconemi domami. Brühl spodziewał się tu znaléźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile daléj nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwéj słoty na nocleg w mieścinie pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżném, do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jednę miało. Dosyć liczna służba towarzysząca już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie *Pod koniem* zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niéj szeroko.

Ministrowi zdawało się, że dosyć będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni po-za izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiém i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscelencyi pobiegł *Pod konia*, gdzie znalazł dosyć szumny dwór i dosyć pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego książęciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczéj, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencyi.

Usłyszawszy nazwisko, książę ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł Niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętéj nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jéj mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl nie zastanawiając się dłużéj nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać *Pod konia.*

Spodziewał się, że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił, nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie, gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocném postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernéj izby, w któréj ogień się palił na kominie i dwie świece na stole, i szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale niezmieszanego tém niespodziewaném spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze, niż kiedykolwiek był — Sułkowskiego.

Książę stał milczący, zgóry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem; obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad, zdawało mu się, że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Przyszedł mu znać na myśl i pater Guarini i jego włoskie przysłowia i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

— *Si rincontrano gli uomini, e non le montagne.*

Brühl stał osłupiały; widocznem było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszéć bajkę — rzekł Sułkowski — o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę, nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się na pół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sułkowski.—Prawdziwie zabawna rzecz, takie spotkanie dla mnie i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu, losu ręka mnie pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniéj.

— Mości hrabio! — odparł Sułkowski — gdyby to od waćpa-

na było zależało, zamiast księstwa miałbym dziś wygodną kwaterę w Königsteinie.

— Mości książę! — wtrącił Brühl — przypisujesz mi większą władzę, niż miałem... Upadek swój winieneś położyć najprzód na karb własnéj nieopatrzności, potém słusznego czy nie gniewu królowéj jéjmości, naostatek woli najjaśniejszego pana, któréj ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sułkowski — należy wcale odwrotnie powiedzićć, tak jak historya kiedyś zapisze, że najjaśniejszy pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książę się mylisz...

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym — dokończył Sułkowski — abym znając lepiéj od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę za świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniéj — odparł Sułkowski — bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszém świadectwem bożém jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszéj polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek! — rzekł — zobaczymy, jak na tém wyjdą najezdnicy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu co Saksonię! — rozśmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonii — kłaniając się, rzekł Brühl — nie potrzebowałem żadnych inowacyj, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczéj układał przyszłość Saksonii — rzekł Sułkowski dumnie — dowodem ten plan, który podchwyciwszy mu, wydałeś pan dworowi austryackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżymnął się.

— Ja? ja o tém nie wiem nic... — przebąknął ponuro zmieszany. — Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

— Słuchaj, Brühl, mówię po staremu i bez tytułu — rzekł zwracając się — nie graj komedyi przynajmniéj ze mną, to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną, nie odegrasz jéj w obliczu historyi, któréj okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erellom i Justim, zakażesz pisać, mówić, myślćć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą... Możesz sobie kupić bezkarnie teraźniejszość, ale nie jest w niczyjéj mocy uczynić cię czystym przed historyą. Staniesz przed nią jak na sąd boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy pręgierza za życia, nie ujdziesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawném! — zawołał Brühl unosząc się — tajemnic nie mam; pragnę tego sądu, mości książę.

— A! gdybyś go nie chciał, czy chciał, mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłaganym i okrutnym.

— Poddaję się mu — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś, mości książę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce weisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się zawołał Sułkowski. — Padre Guarini, czy...

Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

— Na honor, hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi, że jabym to samo, co wy na waszém miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze, nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakicheście dokonali, przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii, znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną, ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jéj dopomagać. To co mam, winienem wspaniałomyślności pana mego, a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książę — przerwał Brühl — tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu, ruszając ramionami.

— Przecież my oba, jak augurowie rzymscy, możemy się z téj komedyi za kulisami śmiać, nie kryjąc przed sobą! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze, kłaniającego się lokajom...

Ministra twarz bladła i czerwieniała naprzemiany, niecierpliwość go porywała, widać było, że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nie rozpaczając jeszcze o tém, że się potrafi zbliżyć i wytłómaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszoność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociężałość, sądził, iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła. Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl w końcu odezwał się, cedząc pocichu wyrazy:

— Wasza książęca mość winienbyś choć dlatego być nieco

względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce, gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce, panie Brühlu, są pewne prawa, które więcéj znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczéj się Brühl mnie, niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlachcica urósł na austryackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z waszą książęcą mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek, coby nie wiedział, jak-eście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli. To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny okłamaniem prawdy.

— Mości książę, jeżeli życzysz sobie, bym opuścił izbę... — rzekł Brühl zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedyi grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą przykuwającą go do téj jedynéj wolnéj izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał. Minister namyślać się zdawał.

— Mości książę — odezwał się — mówmy jak starzy towarzysze.

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód, że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemię tych urzędów, które dźwigam, wistocie dla mnie za ciężkie.

— A tak — przerwał Sułkowski — mógłbyś się niemi podzielić, liczmy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższéj izby podatkowéj, akcyzy gieneralnéj, fundacyi naumburskiéj i mersebursk iéj dyrektor, gieneralny komisarz portów morza Baltyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pułkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacyi meisseńskiéj kapitularz, proboszcz budyszyński, kawaler polskiego orderu Orła białego i rosyjskiego świętego Andrzeja, a nawet pruskiego Orła czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! — śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrośny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potém bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednéj z fortec saskich — przerwał Sułkowski. — Nie; dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i stamtąd gienialne wasze podziwiać czyny!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owéj sławnéj książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym a w innych świętoszkiem czyniła *), i chętnie odegrywał rolę niewinnéj ofiary.

— A! — zawołał — niéma pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nade mnie, przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to, co mogłem kiedy dobrego uczynić, przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nade mną: ci, którym życzę dobrze, ścigają mnie.

— A! kochany hrabio — śmiał się Sułkowski — rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystala wam. Gracie ją źle... bracia morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój; ogrzejcie się przy kominie i nie mówmy więcéj.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno; znalazłszy fotel w kątku, siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwném też położeniu, spoglądając niekiedy na siebie, przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjacielowi i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc, został już zbity z tropu i nie mógł nowéj wynaléźć ścieżki, którąby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny, a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczał i wył jesienny wiatr najdzikszemi głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jéj tonem zgadzało... Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie zatrzaskiwały się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia, jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się, wracały do komina. Najweseléj usposobiony umysł musiałby był uledz wrażeniu téj nocy i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzemać obojętny.

---

*) Die wahre und gründliche Gottseligkeit aller Christen ingemein, nebst einer Abhandlung vom Gebet. 1740. Drugie wydanie z r. 1773.

— Pozwól mi, książę, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie! — szepnął Sułkowski.

— Król nasz dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał — ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u waszéj książęcéj mości, ale ksiądz biskup krakowski, lub...

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić—odezwał się zagadnięty— że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie? Nie łudź się pan tém, byłem i jestem świadomym wszystkiego, co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody, iż królowi narzuciliście gwałtem moję niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję! — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną tam, gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękoma? Nadto doskonałym jesteś artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać...

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! — rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. — Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie; przekonałbyś się, że znam moję sprawę do gruntu.

— Tak — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli wistocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien...

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz, hrabio, że chcesz być ich narzędziem — rzekł Sułkowski — i właśnie, żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjém, zostałem strącony. Do téj roli ja-m stworzony nie był, a waćpan odegrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałeś króla — rzekł minister rzucając się w inną stronę — nie miłożby było zbliżyć się do niego?

— O! pewnie, gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą, nie uczynili z niéj lalki wam posłusznéj, nałogowo do spokoju nawykłéj i nie umiejącéj kochać nikogo, a bawiącéj się wszystkiém — westchnął Sułkowski.—Patrzyć dziś na tę ruinę człowieka nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszéj.

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się, że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zabliźnić do reszty ranę i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z méj strony wszystko, co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi! — rozśmiał się Sułkowski. — Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwném usposobieniu spotkałem waszę ekscelencyę między luteranizmem saskim, a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszły się na granicy i zdublowały, a stąd taka pobożność!

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce — odparł Sułkowski — *ratio status.*

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was poczciwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc, splunął Sułkowski, pochylił się i przylgnął niemal do szyby ciemnéj, chcąc wyjrzeć na podwórze.

Potém słowa nie mówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do pierwszéj lepszéj wsi, gospody, chaty, byle stąd precz — zawołał. — A prędko!

I nie wszedł już do gościnnéj, w któréj Brühla pozostawił; wolał sień zimną, a gdy nareszcie po dość długiém oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwy i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz; wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności, co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył i głowa w oknie znikła.

1874.

Z SIEDMIOLETNIÉJ WOJNY.

I.

Około połowy XVIII wieku Niemcy były krainą marzeń dla Włochów i Szwajcarów, którym się w domu siedzieć nie chciało, a woleli wzorem wielu szczęśliwych, po dworach książęcych i królewskich szukać tego, co u nas zwano „krescytywą". Wistocie przykładów było dosyć takich uzdolnionych, do wszelkich posług gotowych, ciało i duszę zaprzedających chętnie dorobkowiczów, którzy z małym tłómoczkiem napchanym nadziejami wyszedłszy z domu, wracali w splendorach gwiazd i tytułów, albo raczéj nie powracali już nigdy, tylko ściągali ku sobie ubogich krewniaków, aby i oni téż przy ich ogniu pieczeń swoję upiekli.

Na dworach berlińskim i saskim pełno było cudzoziemców i ze względów polityki wewnętrznéj, panujący woleli się daleko otaczać niemi, niż butną szlachtą domorosłą, która pewne sobie rościła prawa. Właśnie chcąc jéj przytrzéć rogów, król August Mocny otoczył się Włochami i przybyszami z różnych krajów, a na dworze berlińskim metoda ta znalazła uznanie i naśladownictwo.

Z cudzoziemcami nie robiono sobie ceremonii, w kraju nie mieli się na kim opierać; przychodzili zdając się odrazu na łaskę i niełaskę; słudzy z nich byli wygodni. W najgorszym razie wysyłano ich, jeżeli się próba nie udała, do Königsteinu lub Spandau i nikt się za nich nie śmiał ujmować.

Rzadziéj się to jednak im trafiało, niż domorosłym sługom pańskim; większa część szła szybko do góry i całe kolonie tych emigrantów dobrowolnych zapełniały rezydencye niemieckie.

Tak téż w roku 1755 przywędrował do Berlina powabny młodzieniec, który już od roku prawie kręcił się po stolicy nadsprejskiéj, dotąd sobie nic jakoś wyszukać nie mogąc. Ani miła bardzo i zalecająca się powierzchowność, ani dworskie i piękne maniery, ani do wysokiego stopnia podniesiony kunszt tańca, ani muzykalne talenta, ani uśmiech i grzeczność nadskakująca, któremi witał

każdego, nie patrząc na położenie jego i stosunki towarzyskie, jakoś nic dotąd nie pomagały.

Maks Henryk de Simonis przybył tu z Bernu, opierając się na pokrewieństwie z Ammonami, a jeden z Ammonów w służbie pruskiéj i dyplomacyi ważne dosyć zajmował stanowisko. Kuzyn ten, mający mu służyć za protektora, przyjął go więcéj niż zimno, ręce pochowawszy w kieszenie a głowę zadarłszy do góry. Pokrewieństwa nie zaprzeczał, ale głosił zasadę, iż młodzież o własnych środkach szukać sobie drogi powinna, bo tylko zostawiona własnemu przemysłowi siły do życia wyrobić jest w stanie.

Osobliwy to był człowiek ten Ammon stary; bo młodzieńca tak przy pierwszém widzeniu się z nim zbił z tropu i sfukał, iż się już przed nim więcéj pokazać nie śmiał.

Pan Maks gotów do największych ustępstw względem obcych, bo na to się wybierając w drogę przygotował, względem kuzyna uczuł w sobie jakąś dumę i urazę; ubodło go wyzwanie; przechodząc próg jego niegościnny, powiedział sobie, iż gdyby miał z głodu umierać, więcéj się do niego nie zgłosi.

Stary Ammon, który może tylko chciał młodzieńca wypróbować, czy jest dostatecznie giętki i sprężysty, stał jeszcze, jakby spodziewając się powrotu jego, gdy Maks już kapelusik nałożywszy na zgrabną peruczkę (bo był elegant nielada), cały zarumieniony zbiegał ze schodów, klnąc się, iż ich więcéj nie przebiegnie i do domu tego nie wróci.

Stary też powoływać go nazad nie myślał i tak kawaler de Simonis znalazł się na berlińskim bruku (o ile go tam naówczas było), sam jeden na bożéj Opatrzności. Ale miał lat dwadzieścia i pięć, które są potęgą wielką; miał jeszcze z domu wziętych, jako stawka ostatnia, półtorasta dukatów; miał zęby białe, twarz jaśniejącą młodością; niebieskie, magnetyczną siłą tryskające oczy, zdrowie żelazne i mocne postanowienie wdrapania się na górę, choćby z pomocą nóg, rąk i wszelkiego narzędzia, jakiém go Bóg obdarzyć raczył.

Rodzice kawalera de Simonis, których był już postradał (jedna tylko siostra pozostała mu z rodziny), byli niegdyś ludzie majętni; mieli pochodzić z jakiéjś szlachty, pono włoskiéj; lecz nieszczęśliwe okoliczności zrujnowały ich do szczętu i zaledwie resztki mienia poświęciwszy wychowaniu syna, niewiele, tak jak nic prawie, zostawić mu mogli.

Odłużony dom w Bernie, w którym Maks siostrę ze staruszką ciotką zostawił, paręset dukatów ostatnich składały całe mienie młodego awanturnika. Ale któż w dwudziestu kilku leciech wątpi, że się pięcią zdrowemi palcami dorobi, czego zapragnie? Maks

pragnął wogólności wszystkiego, co przyjemném być może: sławy, wziętości, bogactw, tytułów, stosunków, wielu miłosnych przygód dla przechowania ich w pamięci i w końcu świetnego ożenienia, choćby z księżniczką. Patrząc w zwierciadło, pewien był, że najpiękniejsza księżniczka zakochać się w nim może: był nadzwyczaj ładny, świeży i miły.

Oprócz tego, dzięki rodzicom, na innych mu zdobywczych nie zbywało przymiotach. Mówił płynnie, a co daleko na owe czasy rzadszém było, pisał ortograficznie kilku językami, francuzkim władał tak jak tylko Szwajcar nauczyć się może, po niemiecku pisał kaligraficznie, czytał biegle, rozmawiał wprawnie, umiał nieźle po łacinie, wcale dobrze po włosku; a w razie potrzeby, miał dosyć determinacyi, aby się nauczyć chociażby po indyjsku, gdyby mu się to na co przydać miało. Na wypadek karyery wojskowéj, do któréj nie miał jednak powołania, bo to peruki nie dawało w należytym utrzymywać porządku, liznął był nieco matematyki, fechtował się i strzelał elegancko i wprawnie, tańcował jak Vestris, śpiewał tenorem wcale nieszpetnie, grał na klawicymbale, nawet to, co wówczas krzyżowemi sztukami nazywano; skrzypce mu nie były obce: czegóż więcéj po takim kandydacie wymagać było można?

Należy i to dodać na jego pochwałę, że oceniając niezmierny wpływ kobiet na przebieg spraw ludzkich, gotowym był zawsze z najwdzięczniejszym uśmiechem, młodym czy starym, pięknym zarówno i szpetnym zalecać się jak najgoręcéj. Pięćdziesięcioletnie matrony nie zraziły go bynajmniéj, siadał przy nich i jeżeli tytuł a pozycya usprawiedliwiały ofiary, gotów był całe wieczory im poświęcać.

Z niezmierną bystrością, albo raczéj z instynktem od natury mu danym, odgadywał dziwnie charaktery osób, a zastosowywał się do nich z nieporównaną zręcznością. Z kraju swojego rodzinnego wyniósłszy najzupełniejszą obojętność religijną, kwestyą wyznania zachowywał do rozstrzygnienia na późniéj. Był przygotowanym, jeźliby mu przy dworze berlińskim zostać wypadało, wyznawać luteranizm lub ateizm, a trzymać się katolicyzmu, gdyby w ostateczności szczęścia szukać przyszło na dworze saskim lub w Wiedniu. Nie było to bezprzykładném, boć i on sławny baron Pöllnitz dla ożenienia nawrócił się był na katolicyzm, a dla powrotu do szambelaństwa przy królu pruskim, ofiarował się przejść nazad do kościoła reformowanego, na co mu Fryderyk odpowiedzieć kazał, jak wiadomo, że go nie weźmie inaczéj, chyba muzułmańską przyjmie wiarę. Maks de Simonis chadzał tymczasowo i do kościoła i do kirchy, ale że w Berlinie naówczas mało na to zważano i nie opłacała się gorliwość, najczęściéj nie bywał nigdzie.

W innych też przekonaniach swych nie był wcale pedantem, tolerował wszelkie opinie, a do poślubienia jednéj z nich, czekał ażby się z posagiém wylegitymowała. Główną dlań rzeczą było dobić się karyery... *Hoc erat in votis.* Tymczasem rok oto upływał już, jak się strojno, czujnie, zabiegliwie uwijał po stolicy, i nic nie mógł dokazać. Przygotowawcze jednak i przedwstępne kroki były bardzo umiejętnie porobione; cóż, gdy na jego lep nic się jakoś brać nie chciało. Maks nie tracił ani ochoty, ani nadziei, ale coraz mu się stawało smutniéj i rozmyślał wielce, czyby nie należało zmienić stanowisko; w takim jednak razie przepadłoby to, co tu osnuł, i nanowo rozpoczynaćby musiał.

Miał już pewne stosunki, na znajomościach mu nie zbywało, byli ludzie, co się na nim znali i lubili go; lecz ile razy tylko przebąknął o zajęciu, o służbie, o karyerze, potrząsano głowami, zbywano go milczeniem. Do wojska mu się nie chciało, bambus Fryderyka II, który wprawdzie i pleców ministeryalnych nie szczędził, nader często stykał się z oficerskiemi, a kawaler de Simonis łaskotliwym był nad miarę. Zdawało mu się zawsze, iż ma wszelkie kwalifikacye do dyplomatycznéj karyery: wielką języka powściągliwość, znakomitą trafność oka, szerokość sumienia, jakiéj tylko zapragnąć po nim mogli, wreszcie wyzucie się z wszelkich przesądów.

Zwierciadło mu mówiło, iż zewnętrzną postacią na dworaka i reprezentanta był jakby umyślnie stworzony. Znajomości téż jego najwięcéj się w kołach blizkich sfer dyplomatycznych obracały. Być może, iż karyera świetna kuzyna Ammona także go na tę myśl naprowadzała.

Do króla Fryderyka II przystęp wogóle łatwym nie był, a zyskawszy go, dłuższe utrzymanie się w łaskawych względach... Niekiedy zgrabny wierszyk francuski, ostro przysolony, nieco cyniczny, wyborną bywał rekomendacyą. Maks de Simonis próbował epigramatów, kilka z nich nawet poszły po rękach, przez pana Maupertuis i Algarottego, ale odbił się bez echa o ściany pałacyku w Sans-Souci.

Wielką nadzieję pokładał młodzieniec w hrabinéj de Camas...

Była to jedna z tych niewielu niewiast, które Fryderyk II szacował, gdy o wszystkich wogóle zwykł się był odzywać, że to są: „gąski z pustemi główkami“ *); o dwadzieścia kilka lat starsza od króla, już nie młoda wcale, hrabina de Camas, owdowiała od roku 1741, zajmowała na zamku w Berlinie mały apartamencik

*) Gänschen mit dem leeren Gehirn.

na czwartém piętrze, który Fryderyk nazywał „Raikiem“ i gdzie starą przyjaciółkę czasem odwiedzał.

Życie na dworze, nawyknienie do nieustannéj czynności, sam temperament żywy, którego lata poskromić nie mogły, siedemdziesiątletniéj pani nadawały pozór młodszy daleko. Zajmowała ona przy królowéj jakieś wysokie stanowisko wielkiéj ochmistrzyni jéj dworu, ale obowiązki te spełniała tylko przy wielkich i rzadkich uroczystościach.

Żyła w tym swoim raiku na czwartém piętrze w gronie starych przyjaciół, odwiedzana przez mnóstwo osób, które się o jéj łaski starały, wygodnie, spokojnie i wesoło.

Szacunek króla, niezachwiany dotąd, zyskiwał jéj poszanowanie wszystkich.

Siedemdziesięcioletnia babina lubiła towarzystwo. Potrzebowała go, bo była bezdzietną, a wesołą młodzież przypuszczała do siebie chętnie, aby się widokiem jéj odświeżyć. Kawaler de Simonis długo niezmiernie starał się o znajomość wielkiéj ochmistrzyni, naostatek skorzystał z jakiéjś nadzwyczajnéj zręczności, na którą długo czatował i sam się staruszce narzucił; odprowadził ją, podając jéj rękę na owo czwarte piętro, został na chwilkę wpuszczony, wyspowiadał się sumaryjnie przed nią z całego życia i dostał pozwolenie przychodzenia czasem wieczorami.

Tak zręcznemu jak Maks młodzieńcowi, więcéj nie było potrzeba, ażeby najśmielsze powziąć nadzieje.

Układnie, powoli starał się w łaski staréj hrabinéj wcisnąć, nie objawiając dalszych zamiarów. Pani de Camas zdawała się obserwować pilnie i trzymać go, jakby na próbie. Hrabina była osobą nadzwyczaj wykształconą, przenikliwą i rozumną. Nawykła do życia w wyższych sferach, do ocierania się o sprawy dyplomacyi, o wszystkie dworów intrygi, zobojętniała była na stronę sentymentalną i etyczną tych robót, których nieuchronność uznawała. Pewna szlachetność charakteru niewieścia niektóre postępki czyniła dla niéj mniéj sympatycznemi, ale godziła się wogóle ze wszystkiém, co wymagania wyższéj polityki nakazywały.

Fryderyk II, który jeszcze przed wstąpieniem na tron napisał i wydał „Antimachiavella“, wistocie inny zupełnie charakter nadał swéj polityce. Machiavelli zaleca obłudę i zręczność, Fryderyk II otwartym zawsze działał cynizmem i uczynków swych żadną maską i zewnętrznym blaskiem nie starał się pokrywać. Całe jego życie było szyderstwem z tego, co się w czémkolwiek przyzwoitością zowie. Nie dbał o nią ani w prywatném, ani w publiczném życiu... Na chwilę zmuszony pozorem jakimś

ukryć swe uczucia, wybuchał potém sarkazmem, kijem i łajaniem.

Maks de Simonis znał już dosyć ducha dworu i pana, aby wiedzieć, że z karmelkową swą, słodziuchną powierzchownością łatwo może u Fryderyka II, gdyby mu się nastręczył w złą godzinę, zasłużyć na zwykły epitet *Canaillenbagage*...

Możeby był, uwzględniając trudności położenia, powędrował już dawno na inne dwory, do Drezna lub Monachium... gdyby nie objawiona mu życzliwość hrabinéj de Camas... Ona mu, choć niewyraźnie, pewne, nieokreślone czyniła nadzieje; a gdy tylko zręczność się podawała, staruszka badała pilnie tego kandydata do wszelakiéj służby.

Zdaje się, że egzamina te musiały wypaść bardzo szczęśliwie, gdyż ostatnią razą wzdychającemu młodzieniaszkowi stara ochmistrzyni wyraźnie powiedziała, że się zrażać i zrywać nie powinien.

Kawaler de Simonis od przyjazdu swojego do Berlina, znalazłszy sobie przy szwajcarskiéj rodzinie jakiéjś, która tu cukiernictwem się trudniła, a była mu z Berna poleconą — izdebkę na drugiém piętrze Pod Lipami, zajmował ją aż do téj pory... Wprawdzie pomieszczenie nader skromne dla kawalera tak wielkich nadziei nie było bardzo stosownèm, lecz nie wiedząc, jak długo potrwa nowicyat, musiał być ostrożnym wielce. U ziomka swego Ceroni miał przytułek niewytworny, ale schludny, stół niewykwintny, lecz obfity i uprzejmą gościnność, za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Trzymał się więc w swéj izdebce, nie myśląc z niéj się wynosić, pókiby jaśniejsze nie weszło słońce...

A słońca tego nie widać i nie widać było!!!

W skwarny dzień lipcowy ku wieczorowi, po przechadzce w lasku za miastem, kawaler de Simonis powracał właśnie w dosyć melancholicznèm usposobieniu do swojego mieszkania, zabierając się rozpaczliwy list pisać do siostry, gdy wchodzącemu na drugie piętro zabiegła na wschodach dwunastoletnia Carlotta, córka cukiernika, która nad wiek swój była dojrzałą i jawnie a oczywiście kochała się już, dla nabrania wprawy, w pięknym Maksie...

— A chodźże pan! a prędzéj!—zawołała z góry, tupiąc nóżkami i biorąc się w boki... a mrużąc oczki i sznurując buzię — mam coś dla pana.

Maks uśmiechnął się smutnie. Zaloty te dwunastoletniego dziewczęcia były wyraźną ironią losu... nie takich, jadąc tu, spodziewał się sukcesów.

— Cóż tam pilnego, czarnooka panno Carlotto?

— Bardzo pilnego! bardzo ważnego! — zaczęła szczebiotać, kręcąc się mała — a tak! a tak! i jeśli jak żółw' się wlokąc spóźnisz się pan, a będzie po czasie... jam temu nie winna...

I ręce rozpostarła teatralnym ruchem. Maks stanął, podszedłszy kilka kroków... dziewczę tupało i biło ręką o poręcz schodów.

— Hrabina de Camas przysyłała tu, abyś pan dziś był u niéj! — pośpieszyła Carlotta, dłużéj nie mogąc utrzymać tajemnicy, i spojrzała tryumfująco. Wistocie mogła przybrać ten wyraz twarzy, gdyż Maks, jak piorunem rażony, skoczył ku niéj, po drodze chwycił ją wpół, pocałował w czoło: dziewczę się oblało rumieńcem, udając, że się wyrywa... ale de Simonis w téjże chwili popędził do swéj izdebki i znikł jéj z oczów.

Zdyszana Carlotta pobiegła na palcach pod drzwi jego pokoju, nastawiła ucha i domyśliła się, że żywo musiał się zacząć ubierać; gdyż słychać było rzucanie, stukanie, szczęk i brzęk sprzętów, które Maks z pośpiechem chwytał, otwierał i przestawiał.

Wistocie nigdy może piękny chłopak tak się nie śpieszył ogniście... Godzina była blizka, na którą stawić się mu kazano, a choć od zamku niewielka go przestrzeń dzieliła — musiał się przecie wystroić...

Szczęściem świeżą peruczkę, jak z drewnianej lalki fryzyerskiéj świeżo zdjętą, miał gotowiuteńką... Trzeba się tylko było umyć i przebrać. Jak na złość wszystko mu z rąk wylatywało, a na frak nie mógł się zdecydować, bo miał dwa bratersko piękne... i w obu mu było bardzo do twarzy. Namyślać się nie miał czasu, los musiał stanowić... Jedna para pończoch jedwabnych w pośpiechu tym padła ofiarą.

W kwadrans jednak, kawaler de Simonis był gotów, kładł już przed źwierciadłem perukę, miał kapelusz w ręku i przejrzawszy się uśmiechnął, kłaniając sobie z zadowoleniem.

Gdy wybiegł z pokoju, zastał znowu Carlottę w korytarzu się zwijającą (bo go przez dziurkę od klucza podpatrywała), ale ją tylko zdaleka pozdrowił, aby peruki i stroju nie kompromitować. Po schodach zbiegł jak baletnik, nucąc piosenkę i znalazłszy się w ulicy, puścił strzałą ku zamkowi. Coś mu mówiło, że to była chwila w życiu stanowcza!...

Serce mu biło mocno...

Nigdy jeszcze podobnego poselstwa nie odebrał od hrabinéj, był więc jéj na coś potrzebny... Zamyślony, rozmarzony, kilku przechodniów potrąciwszy, a raz o mało nie utraciwszy kapelusza od uderzenia w ramię, stanął przed zamkiem i tu zwolnił kroku. Był u celu: zamek wyglądał jak zazwyczaj w czasie lata; przez ten czas Fryderyk II siedział w Sans-Souci, a królowa w Schön-

hausen... Aż do czwartego piętra na wschodach nie spotkał żywéj duszy, oprócz kilku sług znudzonych, zostawionych tu do dozoru.

W przedpokoju hrabinéj nie było téż nikogo, prócz starego jéj kamerdynera, a z sąsiedniego saloniku nie słychać było głosów, któreby gości oznajmywały.

Kawaler de Simonis wszedł nieoznajmiony ostrożnie do salonu i tu także nie znalazł nikogo. Dopiéro skrzypiące nieco trzewiki jego wywołały szelest jedwabnéj sukni, a potém wnijście staréj hrabinéj, która ze zwykłą starannością wystrojoną była, chociaż od śmierci męża nosiła się zawsze czarno. Głową skinęła mu przyjaźnie staruszka...

— Dobrze, żeś przyszedł, kawalerze de Simonis — odezwała się po francusku, bo za Fryderyka II dwór, wojsko, co żyło bliżéj zamku, mówiło tym tylko językiem; ale—dodała, palec kładąc na ustach...— nie wydawaj się z tém późniéj w rozmowie, że ja cię tu ściągnęłam sama... Rozumiesz...

Pojętny nader młodzieniec skłonił się z poszanowaniem, rękę na znak przykładając do piersi.

Staruszka usiadła na kanapie... i spojrzała ku zegarowi na kominie. Było blizko ósméj...

Maks usiadł opodal nieco... Prawie w téj saméj chwili dał się głos słyszéć nieco stłumiony, drzwi się otworzyły i wszedł znany kawalerowi de Simonis z widzenia Fredersdorf...

Maks zerwał się z siedzenia i ujrzawszy go, pohamować nie mógł radości swojéj, tak, iż twarz cała rumieńcem została oblaną. Szczęściem mrok wieczorny pokoju nie dozwolił widziéć téj zmiany, któraby zbytnią wrażliwość zdradziła, nie będącą przymiotem w człowieku, co się na dworze stara pomieścić.

Fredersdorf (ten sam, którego Voltaire zowie Fryderyka factotum) był niezmiernie znaczącą figurą, chociaż na pozór był człowiekiem bardzo skromnym, a miejsce, jakie zajmował na dworze, nie stawiało go wysoko. Ludzie, którzy wiedzieli wszystko, szeptali, że pochodził kędyś z Frankonii i był synem kupczyka ubogiego, któremu się nigdy nie śniło ani o stanie wojskowym, ani o życiu na dworze... Lecz są przeznaczenia — Fredersdorf w czternastym roku życia wyrósł tak okrutnie, że ojciec mu sukna na odzienie nastarczyć nie mógł; rósł potém nieco wolniéj do lat osiemnastu, a nawet do dwudziestu, a gdy się to wyciąganie skończyło, doszedł do grenadyerów pierwszego szeregu. W owych czasach było to prawdziwe nieszczęście dla młodzieńca, nie mówiąc już o ekspensie na sukno; król Fryderyk pruski miał monomanią wielkoludów i marzył nawet o stworzeniu rasy militarnéj nadzwyczajnego wzrostu. Werbownicy jego jeździli po całéj Europie, mamawiając i kupując do służby ogromnych ludzi, po całych Niemczech i po za granicami Niemiec, odznaczających się pięknemi kształty i olbrzymim wzrostem; gdy się nie dawali werbować, zakneblowanych uwożono jak panny i zmuszano, postrzygłszy, zaszywszy w mundur, do służby w szeregach. Wyszukiwano im potém małżonek równie dorodnych i z tak dobranych małżeństw, niestety, wskutek atawizmu, o którego prawach król pruski nie wiedział, rodzili się ludzie mali. Ta namiętność dla wielkoludów wiele kosztowała króla jegomości pruskiego. Król August II za kilkudziesięciu Sasów wyrosłych potężnie dostał naówczas te piękne japońskie porcelanowe naczynia, nad które większych niéma w Europie; kąpać się w nich można.

Grenadyerowie sascy spoczywają od dawna przy przodkach swych, a japońska porcelana stoi dotąd w muzeum w Dreznie.

Fredersdof zaczynał praktykę kupiecką w małém miasteczku w Frankonii i chodził w skórzanym fartuchu, gdy jednego poranku zjawili się werbownicy pruscy. Wpadł w oko kapitanowi. Był to sławny ze swych sztuk Schmels, który żadnego dorodnego parobka, ujrzawszy, z rąk nie puścił; zaklął się, że go miéć będzie. Fredersdorfowi, który był natury spokojnéj i milczącéj, a wcale nie wojowniczéj, ani się o karyerze militarnéj śniło. Zaproszono go na wieczór pod *Złote jabłko*, spojono nieboraka i gdy się ocknął zdala od miejsc rodzinnych, był już odziany w jakiś łachman mundura, a trzech towarzyszów kapitana Schmelsa gotowi byli zeznać pod przysięgą, że zdrów i przytomny na umyśle, do służby się zobowiązał.

Ani młodzieniec, ani rodzice jego, ani żadna siła w świecie nie była w stanie wyrwać go zrąk werbowników. Musiał się poddać przeznaczeniu! ale gdy go do Berlina przywieziono, a zaczęto uczyć musztry za pomocą kija, gdyż naówczas metoda ta pedagogiczna była w powszechném używaniu, okazało się, że nawet wszechmogący kij ducha w nim i zręczności potrzebnéj grenadyerowi piérwszego szeregu wyrobić nie mógł. Kapitan Schmels, który tylko na rozmiary zważał, odebrał gorzką reprymandę. Raz jednak nabytego Fredersdorfa nie wypuszczono i starając się go zużytkować, kazano mu uczyć się grać na oboju i na flecie, gdyż do muzyki wielką okazywał skłonność.

Pułk schweryński, do którego muzyki wcielono go, stał załogą w twierdzy kistrzyńskiéj, gdy syn królewski Fryderyk, schwytany w chwili zamierzonéj ucieczki, osadzony w niéj został w więzieniu. Po piérwszych okropnych owych scenach, które pobyt jego zakrwawiły, młody następca tronu począł się rozrywać ulubioną

grą na flecie i książkami. To doń zbliżyło Fredersdorfa: książę go mocno polubił.

Wistocie był to człowiek, którego pokochać było można: natura flegmatyczna, spokojna, powolna, rozważna, niełatwo podlegająca wrażeniom, ale uczuciu raz powziętemu wierna niewzruszenie. Jako muzyk flecista odznaczał się wielkim gry wyrazem... jako człowiek miał serce wielkie, do rozmiarów piersi zastosowane. Odosobniony i surowo trzymany Fryderyk w Kistrzynie wyprosił był sobie naówczas u komendanta do posługi tego łagodnego, dobrego Fredersdorfa. Z nim razem grywali na flecie, wierny sługa potém ważąc nietylko swobodę ale życie, pisał od królewicza listy do siostry margrabinéj Bayreuth, usiłując wyjednać współczucie i pomoc obcych dworów.

W tych dniach niewoli i utrapienia, biedny milczący kupczyk był prawą ręką Fryderyka, a pomocy w takiém nieszczęściu, w takiéj chwili, gdy pomoc dana świeżo jednemu głowę kosztowała, nie zapomina się nigdy. Gdy te ciężkie przeszły czasy, oswobodzony i zwolna do łask ojca przypuszczony królewicz, wykupiwszy się sam ożenieniem, pierwszym groszem, jaki miał, wykupił z niewoli wojskowéj Fredersdorfa.

Flecista, który miał czas w Kistrzynie do pana się przywiązać, rozpoczął przy nim służbę od skromnéj funkcyi — lokaja... ale lokaj był zarazem przyjacielem, i Fryderyk, który tak kijem szafować lubił, nie śmiał się nigdy porwać nawet na niego. Wistocie, w chwili największego nawet rozjątrzenia, trudném to było, spojrzawszy na wiecznie wypogodzone, spokojne, zrezygnowane oblicze, które nigdy ani niecierpliwością, ani bólem nie drgnęło. Fredersdorf rozbrajał tym chłodem i rezygnacyą nawet Fryderyka II, który chwilami we wściekłość wpadał. Przez długi czas był to niemal jedyny człowiek, który, pomimo podrzędnego stanowiska, miał najzupełniejsze zaufanie pana. W jego ręku były papiery, pieniądze, klucze; wszystko u Fredersdorfa: nigdy niczego nie nadużył. Miał i to do siebie, że o nic nigdy nie prosił, a ze wszystkiego był zadowolony i ten jeszcze przymiot najwyższy, nieoceniony, że całe życie milczał i rozkazy spełniał, ani ich przechodząc, ani z nich nic nie obcinając.

Z lokaja przeszedł wkrótce na kamerdynera i na pierwszego ze sług księcia. Gdy Fryderyk II na tron wstąpił, uczynił go tajnym podkomorzym i wielkim podskarbim swoim. Nie przeszkadzało to królowi zamęczać tak nieszczęśliwego, wiążąc go do swéj osoby i posługi, że w końcu ulubieniec o mało nie padł ofiarą. Jakimś trafem poznał był Fredersdorf w Potsdamie bogatą i piękną córkę bankiera Dauna i umiał się jéj podobać. Gwałtowna

miłość zawiązała się potajemnie między dwojgiem przeznaczonych dla siebie. Fryderyk dowiedział się o tém. O miłości dla kobiety mówić mu było to ślepemu prawić o kolorach. Król miał sentyment za komedyą, bo nigdy go w życiu nie czuł. Dla niego wszystkie młode kobiety, nawet, jak się sam wyrażał, czosnkiem cuchnące dziewki szląskie, jeden urok miały: nielitościwie szydził z serdecznych zapałów! Prozaiczniejszéj natury, cyniczniejszego usposobienia trudno wyobrazić sobie. Miłość Fredersdorfa oburzyła go, rozgniewała. Pierwszy raz w życiu napadł zgóry na ulubieńca, złajał go i wyszydził okrutnie. Obawiał się, aby przywiązanie do żony nie odebrało mu serca potrzebnego sługi.

Wystrofowawszy najgminniejszemi wyrazy, wyśmiawszy bez litości, król sądził, że go wyleczy, ale postrzegł wkrótce, że to nie pomogło. Rozgniewany, aby stosunki rozerwać, wyprawił faworyta w podróż do Francyi i dopiero gdy tam ze smutku, żalu, tęsknoty zachorował niebezpiecznie Fredersdorf, zniecierpliwiony król pozwolił mu się żenić, choćby z dyabłem.

Podskarbi wyzdrowiał jakby cudem, ożenił się i do wiernych usług powrócił, bo się bez niego obejść było niepodobna, król nadał mu dobra znaczne i wszystko zapomniane zostało...

Fredersdorf był jeszcze podówczas bardzo pięknym mężczyzną, a wysoki ów wzrost nie odejmował mu zręczności w ruchach i wdzięku. Trudno w nim było teraz poznać dawnego kupczyka i pułkowego muzykanta. Bardzo wytworna tualeta, którą mu Fryderyk, śmiejąc się z niéj, przebaczał, sam będąc z zasady i natury nad wszelkie pojęcie brudnym, odmładzała go bardziéj jeszcze. Z uśmiechem na ustach, skromnie, cicho wsunął się do salonu i poszedł ku ochmistrzyni, ale oko zmierzyło szybko, niepostrzeżenie kawalera de Simonis, który poczuł, że po nim przeszło od stóp do głów to wejrzenie.

Ochmistrzyni przedstawiła mu młodzieńca, zowiąc go żartobliwie swoim protegowanym.

— Ale mój podskarbi — dodała zaraz — mnie się wcale w moich protekcyach nie szczęści. Kawaler de Simonis siedzi tu oddawna i nie może sobie znaléźć żadnego zajęcia.

Fredersdorf ramionami tylko poruszył zlekka: zamruczał coś, rozmowa się urwała, a potém przeszła na przedmioty obojętne. Ostatnia huczna zabawa u księcia Henryka dostarczyła wątku.

Szczęściem dla niego, Simonis mógł się jéj, choć nieco zdala, przypatrywać, wcisnął więc zręczne słówko i popisał się z dowcipem, a jeszcze więcéj z talentem postrzegawczym; podskarbi nie przerywając mu, słuchał go z natężoną uwagą, i on i ochmistrzyni zdawali się chcieć dać pole do tego popisu kawalerowi

i wrzucali tylko po słówku, wyciągając go na coraz nowe szczegóły.

Maks był szczęściem w werwie i opowiadaniem samém ożywiwszy się, wystąpił świetnie. Gdy skończył, ochmistrzyni i Fredersdorf, jakby porozumiewając się z sobą, oczyma się zmierzyli.

Podskarbi, jak i innych dni, był i teraz bardzo milczący, słuchał więcéj, niż się odzywał, wszakże gdy hrabina de Camas znowu coś wtrąciła o tém, iż dla swojego protegowanego, pomimo jego talentów, nic znaléźć nie może, odezwał się cicho i łagodnie:

— Jego królewska mość niechętnie nowych bierze ludzi; miejsca na dworze są zajęte! a w wojsku wątpię, by kawaler de Simonis talenta swe chciał zagrzebać. Wojsko więcéj potrzebuje rąk niż głów dobrych, a ja sądzę, że pan de Simonis głowę ma silniejszą niż dłonie.

Rozśmiano się nie przecząc; podskarbi rzucił jeszcze pytań kilka, zdawał się badać różnie Maksa; a po godzinném prawie egzaminie, cicho rzekł do niego:

— Życzę panu szczerze jak najświetniejszéj przyszłości... i sądzę, wróżę, iż możesz ją pan miéć przed sobą... ale, jako od starszego, chciéj ode mnie przyjąć jednę radę.

Tu się zawahał podskarbi i daléj ciągnął powoli, głos jeszcze zniżając:

— Ktokolwiek ma to szczęście, że się do dworów i wysoko stojących osób zbliża, powinien miéć za prawidło, że milczenie i dyskrecya więcéj mogą, niż dowcip i rozumy... Wielu rzeczy ani się trzeba nawet domyślać dla siebie, a żadnéj obcym mówić nie godzi.

To powiedziawszy, wstał szybko z krzesełka, spojrzał na zegarek i choć w téj chwili lokaj wnosił światło i przekąskę wieczorną, owoce, wino i ciasta, wymówił się od podwieczorku i wyszedł z salonu. Ochmistrzyni szepcząc coś z nim pocichu, odprowadziła go aż do przedpokoju, gdzie z półkwadransa zostali jeszcze.

Kawaler de Simonis sam na sam przez ten czas mógł się gryźć tą myślą, że i tym razem mu się nie udało. Rozmyślał tak nad swém położeniem, patrząc na butelkę z winem, gdy hrabina powróciła dosyć żywym krokiem, spojrzała nań, nalała mu kieliszek, kazała się przysunąć do stolika i westchnąwszy poczęła rozmowę.

Z początku wyrazy jéj nie bardzo zwracały uwagę zmieszanego młodzieńca, ale wprędce zaczął się im przysłuchiwać z coraz większą bacznością.

— Poznałeś już pan dosyć dwór nasz — mówiła zcicha, mierząc go oczyma — byś wiedział, że do niego przystęp nie łatwy. Ale dlaczegóżby nie spróbować szczęścia gdzieindziéj?

Tu się zawahała; kawaler de Simonis uczuł się jakby mieczem przeszyty. Radzono mu więc iść precz! Takie *consilium abeundi* zyskać zamiast tego, czego się spodziewał! I być wezwanym umyślnie na to tylko, aby tę przyjacielską radę słyszéć!

Ochmistrzyni postrzegła znać wrażenie i prędko usiłowała je zatrzéć...

— Hm! — rzekła — gdybyś pan miał nad swój wiek dyskrecyę, dlaczegożbyś przy innym dworze nie miał być nam, królowi nawet, użyteczniejszym niż tutaj?!

Maks zarumienił się jak wiśnia i o mało nie porwał się z krzesła; kapelusz spadł mu z kolan, tak pilno mu było oświadczyć, iż gotów był do dyskrecyi jak grób i do usług, jakich tylkoby po nim wymagano; ale ochmistrzyni mówić nie dała i pośpiesznie ciągnęła daléj:

— Słuchaj waćpan — rzekła — chciałabym szczerze coś uczynić dla niego, interesuje mnie położenie jego... Coś dla was, na własną rękę wymyśléć? mogę... tak, *na własną rękę*... od nikogo nieproszona, przez przyjaźń, jaką mam dla waćpana. Uważaj waćpan tylko, kawalerze de Simonis...

Tu przysunęła się bliżéj nieco, białą, chudą, pomarszczoną rączką chwyciła gruszkę z talerza i bawiąc się z nią, mówiła coraz głos zniżając:

— W téj chwili mi to na myśl przychodzi, dlaczegożbyś nie jechał do Drezna? Tam, wiemy to z pewnością, ten niegodziwy Brühl i jego zausznicy knują przeciw nam zdradę. Król strzela do psów i pali fajkę, jemu pod nosem zrobią, co chcą. Królowa Józefina nas nienawidzi. Waćpan jesteś swobodny, mógłbyś tam pojechać, porobić znajomości, podobać się Brühlowéj, która młodych ludzi lubi, choć sama dawno młodą być przestała. Mógłbyś się dowiedziéć wiele, mógłbyś mi o tém donosić; jabym królowi czasem list jego przeczytała. Któż wié? tą drogą do wielkich się rzeczy dochodzi!

Wysypawszy prędko wymówione te wyrazy, hrabina de Camas czarne swe oczy przenikliwie skierowała na młodzieńca, chcąc odgadnąć, jakie to na nim uczyni wrażenie. Kawalerowi de Simonis gorzały policzki, usta drżały, oczy się iskrzyły, a gdy nareszcie wolno mu było przyjść do słowa, odezwał się z zapałem, składając ręce jak do modlitwy.

— A! pani! proszę, rozkazuj, kieruj, wymagaj, co się podoba; spełnię bez zastanowienia wszystko!

Zręczne chłopię po tym wykrzykniku żywo poczęło, z sentymentalnym wyrazem:

— Jestem sierotą, sam jeden na świecie, nie mam opiekuna, doradcy, nikogo! oddaję się cały pani hrabinéj. Muszę pracować dla mojéj przyszłości, bo ją nikomu innemu, tylko sobie winien być mogę. Podaj pani rękę miłosierną sierocie...

Pochylił głowę. Ochmistrzyni się uśmiechnęła, a w uśmiechu tym było coś dziwnego, jakby politowanie jakieś i sąd surowy. Westchnęła, a po krótkim przestanku mówiła daléj:

— Więc cóż, kawalerze de Simonis? Przyjmujesz radę moję? Pojedziesz do Drezna?

— Na koniec świata!—odparł z zapałem Maks; lecz zaledwie wymówił te wyrazy, jakaś myśl wewnętrzna musiała go przestraszyć, pobladł nagle i zamilkł znacząco.

Błyskawicą przez głowę przebiegło mu jego położenie finansowe, szczupły zapas, jaki mu pozostał, a razem wielkie zbytki na saskim dworze, na którym bez pewnego kosztownego występu pokazać się, ani najmniejszéj roli odegrać nie było można.

Hrabina de Camas zdawała się zgadywać myśl jego i podchwyciła nie spuszczając go z oka:

— Ponieważ oddałeś mi się w opiekę, bądźże ze mną szczerym, kawalerze de Simonis. Żyjesz już dosyć długo w Berlinie, wprawdzie, jak słyszałam, skromnie, ale młodość ma swe prawa i potrzeby. Z domu zapewne wielkich nie miałeś zasobów. Dopóki ci się nie polepszy... jeżeli potrzeba, będę ci mogła czémś przyjść w pomoc.

Maks pośpieszył ucałować jéj rękę, nie chcąc w pierwszéj chwili daléj tak drażliwą posuwać kwestyę.

— Co się tyczy dworu saskiego — dodała — jeżeli się zgodzisz na podróż, mój kawalerze, przygotuję cię wiadomościami potrzebnemi, będziesz miał instrukcyą ode mnie. Nie masz tam znajomych?

— Niestety! nikogo!

— Tém lepiéj — mówiła hrabina — tém lepiéj; do jednego z dwu albo do starego Beguelina, który jest ziomkiem waćpana, albo do rezydenta Ammona listy mieć możesz ode mnie.

Spojrzała nań: usłyszawszy Ammona imię, Simonis drgnął, zarumienił się mocno i pomieszał.

— A! tylko nie do Ammona! — zawołał żywo. — Nie mogę mieć przed moją opiekunką tajemnic: tu udałem się najprzód do niego, nielitościwie odmówił mi swéj opieki. Nie jestem dumnym do zbytku, lecz raz odprawiony, znać go więcéj nie mogę.

— A! — uśmiechnęła się pani de Camas — niekoniecznie się z nim stykać potrzebujesz. — Ruszyła ramionami. — Beguelin Szwajcar, ten was po moim liście przyjmie otwartemi rękoma. Nikogo nie zadziwi, że jako Szwajcarowie oba żyć z sobą będziecie. Beguelin ciężki jest, stary, ale zna doskonale kraj i wielką wam być może pomocą...

Rozmowa o Saksonii trwała jeszcze chwilę. Hrabinę żywo zdawał się obchodzić los pupila przybranego, nie szczędziła mu rad i wskazówek; naostatek, gdy dosyć późno robić się zaczynało, niespodzianie, jakby jéj teraz dopiéro myśl ta przyszła... zawołała ręką uderzając po stoliku:

— Poznałeś tu waćpan *przypadkiem* Fredersdorfa; grzeczność wymaga, abyś go w Sans-Souci odwiedził. Człowiek ten, choć nie głośny, wiele może i przyda się w życiu jego znajomość, wierzcie mi!

— Lecz jakże się ja tam do niego docisnę? — szepnął Simonis.

— O! najłatwiéj, o to się nie masz co troszczyć — dodała pani de Camas. — W pewnych godzinach ogród jest otwarty, przejdziesz się po nim, zobaczysz posągi ładne, a trzebaby nieszczęścia, żebyś lub Fredersdorfa nie spotkał, albo się o jego mieszkaniu, nie dowiedział. Jeśli nie będzie przy królu, przyjmie was pewnie. Jutro więc, kawalerze, do Sans-Souci, bo tego odkładać nie wypada, a potém czekam was z raportem i instrukcyami do Drezna!

Hrabina wstała, porwał się z krzesełka młodzieniec, ucałował jéj rękę, zgiąwszy się wpół, i odszedł na palcach, rozmarzony.

Nie wierzył szczęściu swojemu! Te odwiedziny, tak złowrogo się zrazu obiecujące, skończyły się przecież niespodzianką pełną obietnic... Wyszedł w ulicę.

Parno było, noc zrobiła się czarna, chmury przebiegały po niebie. Kiedy-niekiedy błysk blady rozświecał pustą ulicę, i duże ciężkie deszczu krople spadały na ziemię. Przerażony Simonis spostrzegł dopiéro, co groziło jego pięknéj peruce i najlepszemu frakowi i pędem puścił się ku domowi. Tylko co na próg jego się dostał, gdy ulewa lunęła jak z wiadra...

II.

Kwaler de Simonis nie wiedział zapewne o często przez Fryderyka II powtarzanym aksyomacie: *Fallacem fallere non; est fallacia;* byłby się bowiem domyślił może, iż go nie dla własnéj zabawy wyprawiała wielka ochmistrzyni do Drezna...

Nie tłómacząc się nawet żadną fallacyą cudzą, wszelkich środków bez wyboru zażywała polityka Fryderykowska, gdy do upragnionego zmierzała celu. Kawaler de Simonis był zresztą zupełnie neutralnym, a w téj chwili gotów zawrzéć przymierze z każdym, coby mu przyszłość pokazał, i iść, choćby na rodzonych braci. Tych szczęściem nie miał. Wczorajszy wieczór tak w nim krew poburzył, iż mimo kilku szklanek wody, które wypił, aby ostudzić rozigraną wyobraźnię, całą noc prawie nie zmrużył oka. Dzień w Sans-Souci poczynał się nader wcześnie; Fryderyk w lecie wstawał koło czwartéj, za nim służba i dwór iść musiał. Należało więc dla pokłonienia się Fredersdorfowi dostać się rano, bardzo rano do Sans-Souci.

Szczęściem dla naszego kawalera, po burzy w nocy, która była bardzo gwałtowna ale krótka, nade dniem się wyjaśniło, uspokoiło, powietrze ochłodło i dzień obiecywał się prześliczny.

Choć niewyspany, Maks wstał rażno i zabrał się do ablucyj i ubrania. W domu jeszcze było cicho. Spali wszyscy i nienawykli do tego, by kawaler o brzasku się zrywał, musieli, słysząc go, dziwić się bardzo; ale za jego przykładem i oni téż powoli zaczęli ściągać się z łóżek. W mieście jeszcze było cicho i spokojnie, rzadki wóz z wiejskiemi zapasami zaskrzypiał, przeciągając powoli.

Maks otworzył okno i czynnie się zabrał do ubierania. Prawdziwém Opatrzności zrządzeniem ocalał mu frak wczoraj. Dziesięć minut wyszedłszy z zamku, byłby go od ulewy nie uratował, a peruka i kapelusz również piekielnym bogom poszłyby na ofiarę.

Wyraźnie tedy wieść mu się zaczynało, nastąpiło przesilenie fortuny i bogini, która dotąd plecami doń była obróconą, rozpromienioną twarz pochylała ku niemu.

Słońce wschodziło, gdy gotów był do podróży, którą musiał odbywać pieszo; piękny chłopak przejrzawszy się w zwierciedle, rad z siebie, zakręcił się szykownie do wyjścia.

Jakimś cudem mała Karlotta z rozpuszczonemi na ramiona włosami kruczemi, jeszcze od snu zarumieniona, świeża i ładna, jak wisienka, zaszła mu drogę. Od wczorajszego uścisku, jakby pewnych praw nabyła do Maksa, śmielsza była i w oczy mu spojrzawszy, zapytała:

— Ho! ho! a toż dokąd tak rano i tak wystrojony? Cóż to jest?

Kawaler się uśmiechnął dobrotliwie, ale po mentorsku zgóry ją traktując...

— Mam moje interesa, Karlotto. Proszę powiedziéć szanownéj mamie, że na obiedzie nie będę pewnie. Tak! mam interesa!

Karlotta główką pokręciła.

— Jaka mi ważna, wielka z waćpana figura — odrzekła — od czasu, jak hrabina de Camas zaprosiła go do siebie!

I chcącemu iść zastąpiła drogę niecierpliwie:

— He, dokądże? dokąd? dokąd?

Maks przypomniał sobie wczorajszą przestrogę podskarbiego w samę porę i pomiarkował, że przed dzieckiem się zdradzić nie powinien.

— Jestem zaproszony na ranną przechadzkę — rzekł. — Adieu...

Karlotta była pewną, że choćby dla usunięcia jéj z drogi, porwie ją, jak wczoraj i ucałuje, ale kawaler de Simonis nadto był zaprzątnięty dzisiaj, ukłonił się tylko z uśmiechem i prześliznął na schody.

Dziewczę zostało na górze smutne. W chwilę potém był już w ulicy i wybierając ścieżki suche, bo gdzieniegdzie po wczorajszym deszczu stały jeszcze kałuże, pośpieszył w dalszą drogę.

Dojść do Sans-Souci przy dobrych młodych nogach daleko było łatwiéj, niżeli tam sobie dać radę. Wcześnie więc myślał, jak się wcisnąć do ogrodu, jak zbliżyć do pałacu i jak długo mu przyjdzie odprawiać rekolekcye pod cieniem drzew, po pustych alejach, nim szczęśliwy traf da mu spotkać Fredersdorfa, albo się do niego docisnąć.

W ciągu tego roku kawaler de Simonis napróżno prawie starał się u dworu robić znajomości. Nie udawało mu się to wcale. Fryderyk II, jak nie cierpiał, ażeby jego urzędnicy i wojskowi wchodzili w stosunki z dyplomatami zagranicznemi, tak zakazywał tym, co go otaczali, wiązać się wogóle z cudzoziemcami. Każdy z nich był mu podejrzanym, wszystkich o szpiegostwo posądzał. Dwór króla stronił od przybyszów. Co ranka przywożono z Berlina listę kompletną przybyłych obcych do miasta, z wymienieniem powodów przyjazdu i wzmianką o tych, którzy się na dworze przedstawić chcieli. Przyjmowano jednych, odprawiano drugich, odmawiając, a niekiedy niebardzo się cieszył przypuszczony do oblicza pańskiego, bo w złym będąc humorze, Fryderyk bywał niegrzecznym, niekiedy grubiańskim.

Śmiała tylko odpowiedź dowcipna mogła czasem przejednać. Gdy po raz pierwszy przedstawił mu się sławny markiz Lucchesini, którego przedstawiał książę Fontana, król popatrzywszy nań ostro, rzucił pytanie: „wiele téż was jest takich markizów włoskich, co włócząc się po świecie, u dworów za szpiegi służycie?“ — markiz niezmieszany odparł żywo: „Najjaśniejszy panie, jest nas tylu, ilu panujących tak głupich, by nam podobne nędzne polecenia dawali“.

Dowcip rozbrajał Fryderyka, bo go się obawiał.

Kawaler de Simonis po drodze starał się właśnie przypomnieć sobie wszystkie pobieżne znajomostki, które mu się na coś przydać mogły i przyszedł mu na myśl paź królewski, Szlązak, Krystyan Ernest Malszycki, dobre chłopię, z którym się zapoznał przed kilku tygodniami w Berlinie, gdy za sobą usłyszał turkot wozu i obejrzawszy się, zobaczył niespodzianie wcale na wozie twarz dobrze znajomą.

Był to furyer królewski, przyjaciel cukiernika, częsty u niego gość, Szwajcar także, który z jakiémś pieczywem i kuchennemi jechał zapasami. Zwał się Jurli. Czerwony, piękny, indyczy nos wskazywał jego dobry humor i przyjaźń ze szklankami. Jurli był już w wyśmienitém usposobieniu, palił fajkę, ująwszy się w boki, coś niby chwilami podśpiewywał, a na skrzyni siedząc bokiem, nogami sobie takt wybijał.

— Eh! Herr Baron! — zawołał, rękę do czapki podnosząc — a dokądże? a dokąd?

Zawstydził się kawaler pieszéj podróży; chciał złożyć to na przechadzkę ranną dla świeżego powietrza, lecz strój go zdradzał. Wolał więc przyznać się, że idzie do przyjaciela do Sans-Souci.

Usłyszawszy to Jurli, na ramieniu woźnicy położył rękę i kazał mu stanąć.

— Pieszo do Sans-Souci! ho! ho! i w tym stroju — zawołał kręcąc głową. — Gdybyś się nie wstydził, a na drodze o téj godzinie żywéj duszy nie spotkamy, ofiarowałbym baronowi miejsce przy sobie. Zawszeby się coś nóg oszczędziło? hę?

Ofiara była wielce pokuśliwa, ufny więc w to, że istotnie na drodze nie napotkają nikogo, gdy Jurli oprócz tego przyrzekł, iż dobrze przed bramą go zsadzi, Simonis zajął skromne miejsce na skrzyni, a konie ruszyły daléj. Widocznie mu się szczęściło, bo oprócz tego Jurli objaśnił go, którą bramą wejść może do ogrodu, gdzie się ma przechadzać i w któréj stronie znajdzie podskarbiego.

— Zawsze — dodał do ucha — życzyłbym uniknąć nieprzyjemnego z najjaśniejszym panem spotkania. Bywa w złym humorze, a kij zawsze nosi w ręku. Ale o téj godzinie — dodał pocieszając — nie spodziewać się go w ogrodzie; psy tylko jego widzieć będziecie mieli szczęście.

Jurli był w gadatliwém usposobieniu.

— E! naprawdę — mruknął — gdybym nie był Jurlim, chciałbym być jednym z tych królewskich chartów! To szczęśliwe bestye! mają swój dwór, biorą strawnego po dwa talary na dzień, na atłasach się wylegiwają; Alkmena najczęściéj na kolanach pańskich i kijem ich nigdy nie potrąci. Zrana wyprowadzają je paziowie na spacer do ogrodu, może je tam zobaczycie, pokłońcież się zdaleka. Nie zawadzi polecić się ich protekcyi. Bez żartu! Na kogo Alkmena zawarczy, temu król nigdy wierzyć nie będzie; do kogo się połasi, to dla niego patent najlepszy.

Gawędząc tak, dojechali do Sans-Souci, i kawaler de Simonis zsiadłszy z wozu, podziękował grzecznie poczciwemu Jurli, który go długo jeszcze przeprowadzał oczyma.

W chwilę potém Maks dopadłszy otwartéj bramy, w boczną wsunął się aleję i zdala spoglądając na pałacyk w Sans-Souci z bijącém sercem oczekiwał.

Nie spodziewał się wcale, aby rychło los jego odwiedzin się rozstrzygnął, usiadł więc na ławce kamiennéj, a że i w nocy nie spał i śniadania nie jadł, poziewanie i senność go napadła. Byłby może uległ jéj i zdrzemnął się, gdy jakby cudem, postrzegł paziowski mundur i z wielką radością poznał idącego Malszyckiego.

Paź zarówno musiał być zdziwiony, jak on, tém spotkaniem, stanął przed nim i spytał żywo:

— A pan tu co robisz?

Nieprzygotowany do odpowiedzi, kawaler de Simonis nie wiedział dobrze, jak ma postąpić; na ten raz wszakże kłamać mu nie wypadało, bo Malszycki mógł mu być pomocnym.

— Panie Erneście — rzekł — wybieram się w tych czasach Berlin i Prusy opuścić, niewielu tu miałem znajomych, ale i tych chciałbym pożegnać; a więc pana podskarbiego Fredersdorfa, któregom raz spotkał i którego pamięci chcę się polecić, i was panie Erneście.

Uśmiechnął się z wdziękiem dotykając kapelusza.

— Zobowiązalibyście mnie wielce — dodał — gdybyście mnie nauczyć chcieli, gdzie znajdę podskarbiego?

— O téj porze? — spytał Malszycki — zdaje mi się, że przy najjaśniejszym panu być musi, ale późniéj... rzecz prosta, w jego mieszkaniu w pałacu.

— A wy na służbie dziś jesteście? — spytał Simonis.

— Do południa jestem wolny — odparł Malszycki.

— Przyznam się wam — pochwycił żywo kawaler — że z Berlina wy...jechałem bez śniadania. Gdyby było gdzie je znaléźć, poprosiłbym was z sobą.

Malszycki chwilę pomyślawszy, rękę mu podał, ale się wprzódy obejrzał dokoła, i po-za drzewami wyprowadził go nazad z ogrodu. Nieopodal od pałacu była gospoda i cukiernia.

— Dadzą nam tu doskonałéj czekolady — odezwał się Mal-

szycki — ale będziemy musieli milczéć, jeśli kogo zastaniemy, bo ja tam ust nie otworzę... Znajdziemy stoliczek pod drzewami.

Wistocie znalazło się miejsce ustronne i Simonis o czekoladę poprosił. Gospodarz, jak wszyscy niemal naówczas cukiernicy w Europie, był Szwajcar i trochę kawalerowi znajomy z Berlina. Odnowiła się więc ta znajomość i dwaj znajomi zasiedli u stoliczka.

— Król zapewne nie wstał jeszcze? — szepnął Simonis.

Ernest spojrzał nań oczyma wielkiemi.

— Znać żeście tu chyba pierwszy raz i że nie wiecie nic — odpowiedział. — Najjaśniejszy pan o pół do czwartéj już był na nogach i nawet mu mokréj chustki na twarz nie trzeba było przykładać, jak zwykle, bo od kilku dni jest niespokojny czegoś, i sam się w porze obudził. Widziałem go już w niebieskiéj jubce i lokaj poniósł mu dawno na tacy listy, które nadeszły z Berlina. Harcap mu zapletli, kawę swoję wypił, i jeśli się nie mylę, musi teraz na flecie grać.

Umilkł Malszycki, jakby się chciał przysłuchać: lecz zadaleko było od pałacu, aby ich doszła tu muzyka.

— Teraz radcy gabinetowi czekają w przedpokoju — mówił daléj paź — późniéj nastąpi posluchanie, daléj... doprawdy nie wiem, może przegląd jakiego pułku.

Zbliżył mu się do ucha.

— O! jeśli posłuchanie dawać będzie, nie zazdroszczę tym, co się w tych dniach nawiną. Najjaśniejszy pan od dni kilku jest zasępiony i gniewny.

— Nie wiecie przyczyny? — spytał Simonis.

Malszycki ręce podniósł.

— Ja? ja nie wiem nic a nic! a któż to może wiedziéć! Widzę tylko, że nasz pan zły i chwilami z oczów mu błyska tak... ludzie mówią, jak przed szląską wojną.

Rozmowa po czekoladzie nie trwała długo, bo Malszycki, choć nie był tego dnia na służbie, miał list pisać do matki i od pałacu oddalać się nie chciał. Wyszli więc razem do ogrodu, gdzie mu spokojne miejsce wskazawszy w cieniu, paź pobiegł do pałacu zaraz, przyrzekając, że późniéj, jeśli będzie mógł, przyjdzie do niego.

Kawaler de Simonis usiadł więc zadumany, rozglądając się po ogrodzie, a że przez drzew gałęzie widać stąd było taras pałacowy, w tamtę stronę zwrócił oczy. Wkrótce potém otwarły się drzwi szklane, wyszedł jeden z paziów, a za nim wyskoczyła cała zgraja charcików, ulubieńców królewskich, albo raczéj towarzyszów najulubieńszéj jego *Alkmeny* i *Biche*. Wyskakując, skowycząc,

szczekając, przewracając się, wyścigając po trawnikach, charciki, którym wszystko wolno było, wyruszyły na świeże powietrze. Paź kroczył jako guwerner i dozorca, nawołując niekiedy do porządku. Słychać było imiona delinkwentów, dość nieposłusznych, bo ich pokilkakroć zmuszać trzeba było do powrotu, zbiegających w krzaki daleko...

Phyllis, Thisbe, Dyana, Pax, Amoretta, Superbe, składały familię i dwór pani Alkmeny, która prawie nigdy nie schodziła z kolan królewskich; teraz zaś wypuszczona szła poważna, znudzona, nie biorąc czynnego udziału w swawoli, do któréj ją towarzystwo wciągnąć pragnęło.

Alkmena wlokła się, jakby zmuszona i drzemiąca na tę przechadzkę, z wilgotnéj nieco ziemi unosząc delikatne łapki ku górze, stając chwilami zamyślona, jakby się wrócić pragnęła, poziewając nawet znacząco, zatrzymywała się czasem i oglądała ku pałacowi.

Ponieważ słońce dopiekać zaczynało, paź skierował się w boczną zacienioną aleję, a psy rade nie rade za nim pociągnęły, właśnie ku temu miejscu, gdzie kawaler de Simonis spoczywał. Alkmena ciągle szła zwolna, dopiéro zobaczywszy na ławce siedzącego, zaciekawiona uszy nadstawiła, popatrzyła nań uważnie, nieco przyśpieszyła kroku i jak rozpieszczone dziecko, któremu wszystko wolno, czego zapragnie, a nikt mu nic nie śmie odmówić, dobiegłszy do ławki, wprost na nią skoczyła. Czarnemi oczyma wpatrzyła się w siedzącego, który lekkim płaszczykiem był okryty i z zaufaniem ku niemu, łapkę podniósłszy, płaszcz popróbowała odsunąć, co gdy jéj się powiodło, wsunęła się kawalerowi de Simonis na kolana, zwinęła w kłębek wygodnie i położyła na nich. Reszta psów stanęła, otaczając go kołem; nadszedł paź zadziwiony, wpół uśmiechnięty, napół nierad i począł odwoływać Alkmenę, ale ta ani myśląc ustąpić, zęby mu tylko pokazywać zaczęła. Phyllis i Thisbe szczekały gniewnie, znajdując to postępowanie nader nieprzyzwoitém, a za niemi wnet Pax, Amoretta, Dyana, Superbe, wszczęły okrutny hałas, który stąd mógł dojść do pałacu. Kawaler de Simonis nadto był dworakiem i szczęśliwym z okazanych mu przez królewską ulubienicę faworów, aby choć najlżejszém drgnięciem poddać jéj myśl ustąpienia z kolan. Paź był chmurny i nieszczęśliwy. Oglądał się niespokojny ku pałacowi, napróżno usiłując szczekanie zajadłe psów uśmierzyć.

— Przeklęte psiska! — mruczał między zębami, chustką zlekka je karcąc napróżno, co jeszcze do zajadlejszego szczekania pobudzało — przeklęta psiarnia! Nuż król usłyszy! A to nieszczęśliwa godzina!

Jeszcze tak niespokojny miotał się, tupał i wołał, gdy z gąszczu, jakby piorunem wyskoczył niespodzianie średniego wzrostu człowiek.

Paź stanął jak wryty, a psy spojrzawszy na niego tylko, daléj na Alkmenę ujadały.

Twarz tego nowego przybysza była oświecona dwojgiem oczu czarnych, ostrych, przenikających, nawykłych do grożenia i rozkazywania: cały wyraz oblicza w nich się skupiał. W ustach zaciętych i otoczonych już marszczkami i fałdami, był wyraz energii i sarkazmu. Nos dosyć ostry i chude policzki, całości nadawały coś ostrego i przykrego, ale razem znamionującego wolę, która nawykła się nie uginać przed żadną inną. Marszczki na czole jeszcze surowszą czyniły tę maskę nieco zżółconą i zmęczoną... Na głowie i peruce zaniedbanéj miał trzyrożny kapelusz zrudziały od słońca i słoty, na sobie niebieski mundur wypłowiały i stary. Pod nim widać było żółtą kamizelkę całą posypaną i poplamioną od tabaki, i brudną, a pomiętą koszulę. Reszta téż stroju nie odznaczała się elegancyą, bo na nogach miał niedbale naciągnięte pluszowe spodnie, w których kieszeniach z obu stron wydymały się dwie duże tabakierki, a buty do kolan, nieoczyszczone, podrapane, rude, zabłocone, zdawały się oznaczać chyba, że tylko co zsiadł z konia. Jedyną rzeczą kosztowniejszą, była w ręku jego trzcina z gałką wysadzaną brylantami i na brudnéj, atramentem zwalanéj ręce, dwa duże solitery w pierścieniach.

Wyszedłszy z krzaków, znać wywabiony hałasem ulubieńców, zmarszczony stanął z kijem podniesionym do góry, jakby nim chciał grozić paziowi, psom, czy Simonisowi.

Był to król Fryderyk II.

Simonis, który go widywał zdaleka, byłby się porwał, ale Alkmena nie dopuszczała, zrzucić jéj z kolan nie mógł. Zobaczywszy swojego pana podniosła głowę, pokiwała ogonem, ale z kolan nie schodziła.

— Co to jest!—krzyknął Fryderyk na pazia, podnosząc kij — co to jest! niech on odpowiada? kto to jest?

Paź szybko już począł się tłómaczyć.

— Jak on mógł pozwolić, aby Alkmenę kto brał na kolana...

— Najjaśniejszy panie! sama mimo mojego oporu, gwałtem... niepodobna było jéj wstrzymać.

Król surowo spojrzał na Simonisa, który nareszcie poruszył się, na ręce biorąc suczkę, i zrzucił kapelusz, nie mogąc inaczéj, na ziemię. Psy z początku się go nastraszyły, ale w téjże chwili rzuciły się nań, jak na zabawkę i zaczęły szarpać niemiłosiernie.

Fryderyk się uśmiechał. Uprzedzało go to zawsze dobrze o ludziach, gdy się psy jego garnęły do kogo przyjaźnie. Nie broniąc im zabawki z kapeluszem, który wnet uległ zniszczeniu i poszedł w kawałki, Fryderyk ręką paziowi dał odprawę, a sam na lasce się oburącz sparłszy, począł się Simonisowi przypatrywać.

— Niech mówi — odezwał się — co on tu robi o téj godzinie w Sans-Souci; kto jest? jakiéj profesyi?

Simonis wiedział bardzo dobrze, iż od téj chwili los jego przyszły mógł zależéć, nie wiedział, że król lubił odpowiedzi śmiałe i dowcipne; wezwał więc w pomoc całą umysłową przytomność, i trzymając na rękach suczkę, która się wyciągała i ziewała, odparł odważnie:

— Najjaśniejszy panie! Jestem rodem Szwajcar, szukam służby i zajęcia. Od roku bawię napróżno w Berlinie, a że tu wszystkie miejsca zajęte, i na zajęte po dziesięciu kandydatów, jestem na wyjeździe, przybyłem znajomych pożegnać!

— Jak się on nazywa? — spytał król.

— Maks de Simonis!

— A jest i *de*, cóż on szlachcic?

— Szlachtą byli moi przodkowie.

— Cóż on umié? — mówił Fryderyk.

Simonis zamyślił się.

— Umiem tyle, najjaśniejszy panie, iż wiem, że nie umiem jeszcze nic — odparł Maks — ale wiem i to, że się wszystkiego nauczyć mogę!

Fryderyk popatrzał nań.

— Czy on wołał Alkmenę do siebie?

— Najjaśniejszy panie, na tobym się nie ośmielił.

Alkmenie tak było dobrze na rękach, że choć kiwała ogonem do króla, ruszać się nie myślała; Fryderyk twarz chłopca tymczasem z wielką rozpatrywał uwagą.

— A kogo on tu ma znajomego?

— Miałem szczęście raz widzieć u hrabinéj de Camas pana podskarbiego...

— A skąd on zna hrabinę? — egzaminował król.

— Już od roku miałem szczęście raz być jéj pomocą... gdy konie...

— Wiem, wiem — przerwał król i odwrócił się.

Zdawało się, że chce odejść, lecz wtém zobaczył kapelusz, nad którym się psy znęcały; potrącił go laską, co im do darcia w kawałki nową było podnietą, i spozierając szydersko na kawalera, rzekł:

— Niech mu to będzie nauką: gdy się kto do dworów ciśnie, taką korzyść odnosi!

— Najjaśniejszy panie — odparł Simonis — kapeluszem okupiwszy szczęście widzenia waszéj królewskiéj mości, wcale się nie użalam na to.

Na to kadzidło skrzywił się Fryderyk, popatrzał nań i rzekł:

— Niech on Alkmenę powoli postawi na ziemię i idzie za mną.. Każę mu dać inny kapelusz.

Spełnił ten rozkaz de Simonis, chociaż się suczka opierała. Stanąwszy na ziemi, przeciągnęła się, popatrzyła na króla, który jéj pogroził i szczeknąwszy kilka razy przyjacielsko ku Simonisowi, jakby mu wymawiając, że ją opuścił, zwolna przed nim iść poczęła.

Simonis zebrał resztki swojego kapelusza i szedł posłuszny... Król go wyprzedzał milczący. Po chwili obejrzał się nań i stanął.

— A dokąd on myśli jechać? — zapytał.

Simonis się nieco zawahał.

— Hrabina de Camas jest tak łaskawą dla mnie, iż mi radzi do Saksonii, dokąd chce mnie wesprzéć listami!

Czarne oczy króla bacznie bardzo zwróciły się na Simonisa; przybliżył się ku niemu.

— Ma on ochotę dorobić się czego na świecie?

— Nietylko ochotę, najjaśniejszy panie, mam mus... jestem sierota...

— To niechże on wié, że tylko jednemu panu wiernie służąc, dochodzi się do czegoś, a zdradą i na dwóch stołkach, do stryczka i szubienicy.

I znowu podszedł król milcząc kroków kilka, a potém zwróciwszy się, rzekł:

— I to wiedziéć on powinien, że rozumne gadanie jest rzeczą dobrą, ale głupie milczenie jeszcze lepszą...

Simonis się skłonił.

Król szedł daléj ku tarasowi pałacu. Tu już widać było stojących u drzwi w mundurach kilku generałów, szambelanów i oczekujących posłuchania cudzoziemców. Fryderyk się jeszcze raz odwrócił do Simonisa.

— Niech on idzie do pałacu i w przedpokoju siądzie, gdzie paziowie moi są, a tam czeka rozkazów.

Kawaler skłonił się bardzo nizko i z bijącém mocno sercem, odgadując drogę, posunął się ku prawemu skrzydłu, w którém były apartamenta królewskie.

Zjawienie się jego pomiędzy paziami byłoby mu może wiele nieprzyjemności zrazu przyczyniło, gdyby tam już nie znalazł znajomego sobie Malszyckiego, który wcześniéj, niż się spodziewał, musiał zastępować wyprawionego za niedopilnowanie Alkmeny do aresztu poprzednika swego.

Z podartym kapeluszem w ręku zjawił się de Simonis.

— A waćpan co tu robisz? — zapytał zdziwiony paź.

— Jestem z rozkazu jego królewskiéj mości: czekać mi kazano.

Z kapelusza podartego śmiano się i drwiono jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł zaledwie patrząc na wyprostowaną służbę, król nie zrzucając kapelusza, którego nigdy prawie nie zdejmował z głowy; za nim cała psów jego czereda, a za niemi gienerałowie Lentulus, Warnery, adjutant Winterfeldt, wielki koniuszy gienerał Schwerin, kanclerz Coccei, szambelan Pöllnitz i wielu innych.

W chwilę potém słychać było w sali audyencyonalnéj pytania i krótkie odpowiedzi. Król naradzał się widocznie ze swemi dowódcami. Simonis w kącie zasiadłszy z Malszyckim, spodziewał się tu spocząć nieco, ale dnia tego spotykały go same niespodzianki.

Nie upłynął kwadrans, gdy się drzwi od sali otworzyły i mężczyzna wystrojony w mundurze szambelańskim wybiegł, po przedpokoju szukając jakby kogoś oczyma. Pomimo i rysów twarzy dawniéj przystojnych i stroju aż do zbytku wyszukanego, nie była to wcale postać sympatyczna.

Choćby na sobie nie miał ani téj liberyi królewskiéj, ani klucza u fraka, łatwo w nim było poznać człowieka, który zrósł, wychował się, zestarzał na dworach i uwiądł zawczasu w dusznéj atmosferze pozornego zbytku, istotnego niedostatku, długów, intryg, ambicyj pożerających, nadziei gorączkowych, upokorzeń wypijanych i połykanych codziennie. Latały mu oczy niespokojem, głęboko zapadłe, usta niepewnego wyrazu, gotowe na uśmiech i skrzywienie dygotały niecierpliwie: całe ciało zdało się wyłamane jak u kuglarza, który nawykł zwijać się w kłębek lub rozciągać jak struna.

Zaledwie wszedł do przedpokoju, już wzrokiem obiegł wszystkich, zakręcił się na nodze i jakby go co rzuciło, przypadł chwytając za guzik sukni Simonisa. Pochylił mu się do ucha, jednę nogę podnosząc do góry i szepnął:

— Simonis z rozkazu najjaśniejszego pana... mamy do pomówienia; chodź waćpan ze mną do ogrodu. Jestem szambelanem króla jegomości, baron Pöllnitz do usług.

Lekko głową skłonił.

Simonis od roku bawiąc w Berlinie i obracając się pomiędzy ludźmi, co znali dwór cały, jakżeby o baronie Pöllnitz nie słyszał.

Pöllnitz był sławny, z Pöllnitza śmiał się i drwił król nielitościwie; był pośmiewiskiem i plastronem wszystkich, a mimo to król mu przy sobie wisieć dozwalał.

Ciekawa to była i figura i historya tego człowieka, który za typ pewnego rodzaju awanturników mógł być uważany. Nic bardziéj zszarzanego a śmieléj narzucającego się z cynizmem i natrętnością niewysłowioną wyobrazić sobie nie było można. Pöllnitz, o wiele starszy od króla, był wnukiem znakomitego swojego czasu ministra, gienerała, komendanta Berlina, komendanta pułku gwardyi i t. d. i hrabianki de Nassau, córki pobocznéj księcia Maurycego, namiestnika Niderlandów. Ojciec jego dosłużył się stopnia pułkownika; on sam rozpoczął przy dworze służbę od kamerjunkra. Późniéj spadłszy z etatu puścił się na podróże, z których powstały wydane przez niego o dworach niemieckich Listy i Pamiętniki, a naostatek najsłynniejsze z dzieł jego, bezimienne: *La Saxe galante*. Za Fryderyka II dostał Pöllnitz szambelaństwo, ale ten obchodził się z nim jak z błaznem.

Zdaniem Fryderyka był to infamis, któremu wierzyć się nie godziło, zabawny przy obiedzie, ale potém chyba za drzwi. Tysiące anegdot chodziło o nim.

Raz Fryderyk polecił mu sprowadzić jakieś kury indyjskie; Pöllnitz pośpieszył ze spełnieniem rozkazu, i przesyłając je, a chcąc ruszyć dowcipem, bo chorował na dowcip, napisał do króla cztery wyrazy:

— „Oto kury, najjaśniejszy panie!“

Król kazał nazajutrz kupić jak najchudszego wołu, pozłocić mu rogi, zaprowadzić przed dom Pöllnitza, gdzie go do płotu uwiązano. Bilet przytém zawierał tylko: „Oto wół Pöllnitz“.

Przed laty kilku, baron, który wiecznie był w długach i wzdychał do łatwego zbogacenia się, napatrzył jakąś wdowę katoliczkę w Norymberdze, z którą zapragnął się ożenić. Poszedł więc do króla, prosząc go o odprawę i świadectwo. Fryderyk kazał mu usiąść i następujące słowa podyktował. Maluje ono doskonale króla i szambelana i godne jest pamięci:

„My Fryderyk i t. d. czynimy wiadomo wszystkim, komu o tém wiedzieć należy, iż baron von Pöllnitz, rodem z Berlina i o ile my wiedzieć możemy, z uczciwych rodziców zrodzony, u nieboszczyka dziada naszego, świętéj pamięci, kamerjunkier, u księżnéj d'Orleans w tym samym charakterze, u króla hiszpańskiego, jako pułkownik, u niedawno zmarłego cesarza, jako rotmistrz, u papieża, jako szambelan, u księcia brunświckiego, jako szambelan, u księcia wejmarskiego, jako chorąży, u spoczywającego w Bogu ojca naszego, jako szambelan, a naostatek u nas jako mistrz ceremonii

służący; gdy potokiem tych honorów wojskowych i wysokich dostojeństw dworskich, z kolei na osobę jego spływających, czuł się zupełnie zalanym, a w ostatku znużonym światem i złym przykładem szambelana Montaulieu uwiedziony, który na mało przed nim ze dworu zemknął, u nas wymieniony baron Pöllnitz, prosił i najuniżeniéj suplikował, abyśmy mu dla utrzymania jego dobréj sławy i mienia uczciwą i łaskawą dali odprawę.

„My więc, uwzględniając prośbę jego, gdyśmy za dobre uznali świadectwa mu tego nie odmówić, o które nas upraszał; zważywszy bardzo ważne usługi, jakie na dworze naszym spełniał przez swe błazeństwa i rozrywkę, jaką nieboszczykowi ojcu naszemu na Nowy Rok przynosił; nie wahamy się oświadczyć: że w ciągu całego tego czasu, gdy baron sławnie usługi przy nas pełnił, nie zdarzyło się ani razu, aby po gościńcach rozbijał, mieszki obrzynał, albo truciznę przyprawiał; nie porwał żadnéj panny, ani żadnéj gwałtu nie zadał; niczyjego honoru na dworze naszym nie naruszył grubijańsko, ale się sprawiał zawsze, jak na szlachcica przystało i na urodzenie jego, a dary, jakiemi wielu się podobało go wyposażyć, na uczciwy obracał pożytek, to jest do jednego zawsze zmierzając celu, który za zasadę mają komedyanci, który zależy na tém, żeby śmieszności ludzkie w sposób wesoły i przyjemny wystawiać i tym sposobem je poprawiać.

„Również za radą Bachusową w punkcie umiarkowania i wstrzemięźliwości zawsze szedł wiernie, a miłość chrześcijańską posuwał tak daleko, iż chłopów nawet potrafił przekonać o prawie ewangieliczném, że dawać błogosławionym jest lepszém niżeli brać. Oprócz tego umie on wszystkie anegdotki o naszych zamkach i ogrodach, a szczególniéj w pamięci wiernéj zachowuje całuteńki inwentarz starych sprzętów: na ostatek umiał téż swemi zasługami tym nawet stać się miłym i pożytecznym, którzy zarówno znali jego złą głowę i dobre serce.

„Dajemy téż wymienionemu baronowi to świadectwo, że nas nigdy do gniewu nie pobudził, wyjąwszy ten raz, gdy podłém swojém natręctwem (lâche importunité) przechodzącém wszelkie należnego uszanowania granice, w nikczemny i nieznośny sposób popioły naszych przodków zbezcześcić chciał i skalać.

„Ale że w najpiękniejszych krajach trafiają się bezpłodne i puste okolice, gdy najpiękniejsze ciała mają swe ułomności, a malowidła największych mistrzów wady; dlatego wymienionemu baronowi jego błędy i ułomności chcemy przebaczyć i udzielamy mu niniejszą chociaż niechętnie, pożądaną przezeń dymisyą, powierzoną mu zaś godność chcemy całkowicie znieść i skasować, ażeby przez to pamięć jéj u ludzi na wieki zniszczyć, i pewni będąc,

iż po wymienionym baronie nikt jéj już godnie sprawować nie może"...

Potsdam, dnia 1 kwietnia 1744 roku.

Baron otrzymawszy takie zaszczytne świadectwo, pojechał do Norymbergi, przyjął wiarę katolicką; wdowa dała mu, namyśliwszy się, odprawę; stracił, co miał, i wrócił do Berlina, wpraszając się napowrót do króla i ofiarując protestantyzm przyjąć znowu. Fryderyk kazał mu odpowiedzieć, że to go nie skłoni do przywrócenia mu dostojności dawnéj, ale jeżeliby muzułmańską wiarę przyjął i poddał się obrzędowi zwykłemu, natenczas gotów go do służby przypuścić.

Pomimo to jednak Pöllnitz do służby powrócił znowu, pod następującemi warunkami, które przyjął: Po ulicach Berlina miało być przy odgłosie trąby i bębna ogłoszoném, pod karą stu czerwonych złotych, ażeby nikt się nie ważył mu nic kredytować, ani pieniędzy, ani towarów. Zabroniono mu było nogą próg przestąpić obcego poselstwa, lub z posłami cudzoziemskiemi w innych domach się widywać i o rozmowach z królem cokolwiekbądź im udzielać. Naostatek zaproszony do stołu, miał się starać być wesół i nie wyglądać jak ....rogacz.

Król wiedział, że się Pöllnitz gdzieś dobitnie wyraził, iż korzystniéj było świniom służyć niż... radził mu więc udać się szukać służby do Westfalii; ostatecznie jednak długi zań płacił, trzymał go i bawił się nim. Raz proszącemu o zasiłek kazał korzec owsa zanieść i wysypać w pokoju...

Pöllnitz był swego czasu sławną figurą na dworze, a że z siebie dawał szydzić, wygodną. Nie był to człowiek bez zdolności, ale niestety, bez charakteru. Pomiatano nim jak ścierką.

Przymrużonemi oczkami wpatrzywszy się w Simonisa, który go znał z reputacyi, szambelan wywiódł go na taras przed pałac. Tu w téj chwili nie było nikogo.

— Król mi kazał waćpanu, panie kawalerze de Simonis, wszak tak? — począł żywo Pöllnitz — król mi kazał dać informacyę względem dworu saskiego. Najjaśniejszy pan to wie, że tajemnic tego dworu i innych, mogę powiedzieć, wszystkich w Europie, nikt tak nie zna, jak ja. Ale powiedz mi waćpan, co masz robić na tym dworze?

Simonis łatwo zmiarkował, iż całéj prawdy wyjawiać nie był powinien, zwłaszcza że Pöllnitz miał język tak długi a usta tak szerokie, że nic w nich utrzymać nie mógł.

— To się łatwo domyślić, panie szambelanie, spojrzawszy na mnie. Szukam szczęścia: chcę służby!

Pöllnitz od stóp do głów go mierzył oczyma.

— Rozumiem! chłopiec jesteś ładny, szykowny i młody. Hm! za Augusta II mógłbyś był może tam zrobić karyerę. Dziś chybabyś Brühlowéj wpadł w oko; ale to Minotaur rodzaju żeńskiego — dodał żywo — pożera żywcem, kto jéj w paszczę wpadnie...

Simonis się uśmiechnął...

— Królowa — mówił daléj baron — brzydka jak grzech śmiertelny, pobożna jak kropidło od święconéj wody... Kobiety tam teraz nie rządzą, tylko stary Guarini i Brühl... a prawdę rzekłszy, Brühl panuje. Miałżebyś waćpan ochotę o opróżnioną posadę jednego z sekretarzy Brühla konkurować? Właśnie jeden podobno był piętnowany pod pręgierzem i poszedł ułaskawiony na całe życie do Koenigsteinu... Wiesz waćpan za co!

Pochylił mu się do ucha...

— Wszyscy sekretarze ministra są też zarazem faworytami pani hrabinéj... Ten chybił jéj, bo się zakochał w garderobianie, słusznie więc postawiono go pod pręgierzem...

Simonis zbladł trochę, ale starał się uśmiechnąć.

— Panie baronie — rzekł — ja tak wysokich i trudnych obowiązków ani się spodziewam, ani życzę dostąpić, skromniejszém się czémś zadowolnię.

— Uczynisz waćpan, kawalerze de Simonis, jak uznasz właściwém — rzekł Pöllnitz — ale ja ci daję klucz do wszystkiego: staraj się Brühla pozyskać. Są na to różne sposoby.... — Tu odchrząknął znacząco. — I on młodych ludzi lubi... bardzo lubi, jak powiadają. Jeżeli wyprobuje wąszéj wierności, może przy królu umieści. Król od czasu, jak go najukochańsza córka opuściła, wyszedłszy za bawarskiego, niema z kim poobiednich godzin przepędzać... Któż wié, może miéć kaprys dla waćpana.

To mówiąc, szambelan ręce założył pod poły fraka i przeszedł się parę razy po tarasie; potém znowu stanął naprzeciw Simonisa.

— O ile mogłem zauważyć — rzekł zniżając głos Pöllnitz, obejrzawszy się dokoła — miałeś waćpan szczęście dosyć się królowi podobać, bo słyszę Alkmena wydała ci świadectwo dobre, wlazłszy na kolana; dlaczegoż cię tu gdzie nie umieszczą przy dworze? hę? to rzecz dziwna! Jego królewska mość sam waćpana pędzi stąd do téj Saksonii? Hm? to coś niezrozumiałego...

Simonis uląkł się tego domysłu i przerwał żywo:

— Bardzo przepraszam pana barona! Moje postanowienie jechania do Saksonii oddawna było powziętém... mam tam blizkie-

go krewnego... radcę Ammona. Nikt mnie tam nie wyprawia... ja sam jadę.

Pöllnitz spojrzał nań i uśmiechnął się, skinął i sprowadził zwolna w dół tarasu, gdzie mniéj było niebezpieczeństwa być podsłuchanym. Pochylił mu się do ucha:

— Waćpanu szczęście samo w ręce się ciśnie — rzekł: — Król narzeka, że ani Beguelin, ani Ammon dokładnych mu wiadomości nie dają stamtąd... a, nad Saksonią nadzór mieć trzeba, bo Brühl jest człowiek przewrotny. Zgrabne stylizując liściki, możesz, młodzieńcze, zrobić karyerę...

Spojrzał mu w oczy. Simonis pomiarkował, iż się powinien był oburzyć, aby nie wydać z sekretu.

— Przepraszam pana barona—odparł z dobrze odegraną zgrozą — obowiązków szpiega podjąć się, anibym je spełniać umiał.

Pöllnitz śmiechem wybuchnął...

W téj chwili hałas w przedpokoju oznajmił coś niezwyczajnego, a że baron Pöllnitz był niezmiernie ciekawy, pośpieszył z Simonisem wraz do pałacu.

W alei, wiodącéj do niego, widać było poszóstny powóz dworski, z wielką liberyą, najparadniejszemi końmi, w uprzęży błyszczącéj od złoceń, wiozący gości jakichś do króla...

Król snać był to już zobaczył i słychać było w audyencyonalnéj sali, któréj drzwi stały otworem, gniewny głos jego.

— Kto posłał poszóstny ekwipaż po tych dwóch rzymskich prałatów?

Wszyscy milczeli, aż stary generał Lentulus, na boku stojący, odezwał się:

— To ja, najjaśniejszy panie!

Widać było, jak Fryderyk z kijem podniesionym pobiegł do Lentulusa, który stał wyprostowany.

— On osioł! osioł! — zawołał — rozumié mnie: stary osioł!

Ale kijem uderzył król tylko w posadzkę i w téj chwili wszystkie psy szczekać poczęły.

— Gdy prałaci przyjadą — dodał Fryderyk — niech on idzie sam do stajni konie wyprządz, karetę wciągnąć, dwa kulawe chabety najgorsze i odartą im dać dorożkę... I tego dla nich dosyć. Rozumie mnie on!

Lentulus skłonił się. W téjże chwili dwaj rzymscy prałaci w fioletach, z krzyżami na piersiach, płaszczykami na ręku wchodzili na pokoje i drzwi się za niemi zamknęły.

Jakie tam było posłuchanie, nikt nie wiedział, ale w godzinę potém, gdy z audyencyi wyszli, stanęli zdumieni nędznym powo-

zikiem, jaki na nich czekał. Lentulus odprowadzał ich do ganku... Monsignor zapytał go nieśmiało o przyczynę zmiany.

Generał przybrał minę bardzo poważną.

— Jest to etykieta tradycyjna dworu naszego — rzekł — jak najparadniéj przywozimy, a fiakrem odprawiamy nazad. Etykiety zmienić niepodobna.

W czasie, gdy to się działo, baron Pöllnitz znikł był, a Simonis zajął swe miejsce przy Malszyckim w kącie przedpokoju... Sam nie był pewien, czy dłużéj ma czekać, czy przez Pöllnitza był już odprawionym; wolał jednak omylić się bodaj, a pozostać dłużéj i skorzystać z jedynéj zręczności przypatrywania się temu dworowi.

Przeczucie było dobre, gdyż w pół godziny późniéj zjawił się podskarbi Fredersdorf, szukając go oczyma; skłonił mu się zdala i dał znak, aby szedł za nim.

W milczeniu po wschodach weszli do skromnego pokoju, który był nie mieszkaniem, ale kancelaryą podskarbiego. Z téj on przeprowadził go do małego gabinetu, jeszcze prościéj urządzonego.

— Najjaśniejszy pan — rzekł, zamknąwszy drzwi za sobą — mówił mi o spotkaniu w ogrodzie. Miałeś pan prawdziwe szczęście i mogę mu powiedzieć, żeś się królowi podobał... Psy tam podobno popsuły waćpana kapelusz. Król chce mu wynagrodzić tę szkodę, a razem dopomódz do dalszéj karyery i kazał mi wręczyć ten zasiłek na drogę...

To mówiąc z biurka dobył Fredersdorf rulon w papier zawinięty i wsunął go w rękę Simonisowi.

— Najjaśniejszy pan życzy sobie jednak — dodał — abyś waćpan o tém nikomu nie wspominał. Jesteśmy bardzo oszczędni, a toby mogło naprowadzić innych na myśl podrzucania Alkmenie starych kapeluszy.

Rozśmiał się podskarbi.

— A teraz — rzekł — zejść możesz na dół, szanowny kawalerze, zjeść obiad z paziami i powracać do Berlina, gdzie bardzo proszę kłaniać się ode mnie hrabinie, bo spodziewam się, że waćpan nie wyruszysz w tę drogę, nie widząc jéj i nie korzystając ze światłych uwag, jakich ona panu może udzielić.

Skłonił się Simonis bardzo nizko i wypuszczony zszedł znowu do Malszyckiego; wistocie godzina królewskiego obiadu zbliżała się.

Nakryto późniéj dla paziów stolik w bocznym pokoju i tam skromnie się posiliwszy, bo oszczędność na dworze była we wszystkiém wielka, Maks, w chwili, gdy król do czytania poobie-

dniego zasiadał, wysunął się z pałacu, szukając sobie sposobu dostania się do Berlina.

III.

Tegoż wieczoru jeszcze, kawaler nasz, otrząsłszy się z pyłu i odświeżywszy perukę, pośpieszył na czwarte piętro do „raiku“ hrabinéj de Camas... Staruszka zdawała się oczekiwać na niego... Gdy wszedł, poszeptała coś na ucho ze znajdującą się właśnie u niéj drugą damą dworu, i ta pośpieszyła ją pożegnać.

Po wyjściu jéj ochmistrzyni niecierpliwie zbliżyła się do młodego chłopaka.

— A cóż? — zapytała — byłeś w Sans-Souci? Mów.. mów mi wszystko...

Nic tając więc nic przed tą, któréj miał być winien cały los swój, kawaler rozpoczął wesoło opowiadanie. Nie ominął najmniejszego szczegółu, a że umiał dowcipnie ubrać tę powieść, ubawił staruszkę bardzo. Szczególniéj ów szczęśliwy z psem przypadek uradował panią de Camas...

— Nader waćpan jesteś szczęśliwym — odezwała się śmiejąc. — Na dobrą jakąś trafiłeś godzinę! Król nie zawsze bywa tak usposobionym... Mogło równie łatwo spotkać cię coś gorszego daleko. Winszuję waćpanu, żeś wyszedł z takim tryumfem, o w dodatku zrobił jeszcze znajomość z Pöllnitzem, który bywa zabawnym, ale na nic się nikomu nie zdał. Teraz — rzekła, przysuwając się i przybierając twarz poważniejszą—teraz mówmy seryo. Ponieważ młodzi ludzie nie bywają zwykle oszczędni, a robienie nowych znajomości kosztuje ich wiele... nie nie zaszkodzi, gdy i ja waćpanu coś pożyczę... Tego oddawać mi nie będziesz potrzebował. Odsłużysz to listami, które do mnie pisać będziesz, co tygodnia... Listy oddasz tylko Beguelinowi: przez niego mnie one dojdą. Ja, jako kobieta stara, niemająca żadnego zajęcia, ciekawa jestem: mnie wszystko obchodzi... Pisz więc waćpan, co zobaczysz, co usłyszysz, co poczujesz w powietrzu... Młodych ludzi kręci się wielu około Brühla i Brühlowéj... gdybyś do nich samych mógł się wcisnąć, poznać Moszyńską, zawiązać stosunki z faworytami ministra... byłoby bardzo dobrze. Tymczasem, nim się to stanie, jako cudzoziemiec ciekawy, jako młodzieniec, co się zabawić musi... z kancelaryą Brühla postarasz się o zbliżenie... W listach opiszesz mi wszystko... wszak mnie rozumiesz?

Z oczów kawalera de Simonis wyczytać mogła staruszka, iż doskonale swe posłannictwo pojmował: błyszczały one roztropnością. Zdało mu się jednak, iż upewnić powinien hrabinę.

— A, pani! — zawołał — ja pojmuję to bardzo dobrze, iż najmniejsze nawet rzeczy, najlżejsze słówka mogą mieć swe znaczenie... Dowiedzieć się jak najwięcéj, choćby plotek; donieść jak najobszerniéj, cokolwiek pochwycić potrafię, będzie moim obowiązkiem...

— A pamiętaj o tém — dodała ciszéj hrabina — że od mężczyzn najwięcéj się potrafisz dowiedzieć przy kieliszku, a od kobiet, gdy się która w waćpanu pokocha.

Kawaler de Simonis skromnie nader spuścił oczy...

— Nie wstydź się waćpan — śmiejąc się dorzuciła hrabina — młody jesteś, przystojny, dowcipny; umiesz się znaleść w towarzystwie: niczby nie było dziwnego, gdyby tam jakie serce do was przylgnęło... Saskie panie zachowały pamięć czasów Augusta II. Nie trzeba tylko brać ich naseryo, tak jak one miłości naseryo nie biorą. Dla waćpana, jak dla nich, powinno to być rozrywką, z któréj rozumny człowiek potrafić powinien korzystać...

Naukę tę zrozumiał doskonale Simonis i przyrzekł się do niéj zastosować.

Hrabina dobyła z pod przycisku na stole dwa przygotowane listy i podsunęła je kawalerowi...

— Jeden z nich jest do ziomka waszego Beguelina — rzekła — drugi do mojéj dawnéj przyjaciółki baronowéj Nostitz, która, chociaż saskie nosi nazwisko, z Berlina jest rodem i całą duszą do naszego brandeburskiego przywiązana domu. Jest to niemłode już kobieta, u któréj znajdziesz opiekę, radę, pomoc, przyjęcia życzliwe... Oba listy przydadzą się...

Zatrzymała się na chwilę staruszka i pomyślała jakby szukając w pamięci, coby jeszcze dodać mogła, a potém odezwała się, głos podnosząc:

— Bądź mi pan zdrów, kawalerze de Simonis, a sprawuj się dobrze. Życzę i ufam, że ci się powiedzie na saskim dworze... Jeśli się będziesz mógł z pomocą baronowéj Nostitz dostać na dwór Brühla, uchwyć skwapliwie tę zręczność... Jedź prędko... jutro, jeśli można. Chodzą dziwne wieści od tamtéj strony (tu znowu głos zniżyła), mówią, że Brühl z Austryą wiąże się przeciw nam. Wartoby dotrzéć prawdy. W listach pisz waćpan śmiało, ale poczcie ich nie powierzaj: Beguelin znajdzie drogę... Bądź waćpan zdrów!

I podała mu rękę staruszka, którą kawaler zgięty aż do ziemi pokilkakroć pocałował, wynurzając jéj całą wdzięczność swoję...

Znalazłszy się w ulicy i przywodząc sobie na myśl, co mu

z domowego pozostało zapasu, co miał z daru króla i od hrabinéj, Maks tak się znajdował bogatym, iż mu się w głowie zawracało. Opłaciwszy nawet gospodarza wspaniale i zrobiwszy piękny prezencik Karlocie, miał zawsze jeszcze w zapasie trzysta kilkadziesiąt dukatów i talent robienia wielkich rzeczy małemi pieniędzmi. Z rzadką w młodych ludziach roztropnością, Simonis, gdy było potrzeba popisać się ze wspaniałomyślnością, rzucał dukatami głośno i pokaźnie; ale w powszedniém życiu umiał więcéj cudzym kosztem się przeżywić, niż swoim.

Nie miał teraz nic więcéj do czynienia, jak upakować swe węzełki, pożegnać gospodarzy i szukać sobie fury, któraby go przyzwoicie do stolicy saskiéj zawiozła.

Wróciwszy do swéj izdebki, zastał już wszystkich uśpionych, w domu cicho, i wkradłszy się niepostrzeżony, począł od rozpalenia światła, co naówczas nie przychodziło z łatwością. Każdy porządny jak on chłopak, niechcący żebrać iskierki u sąsiadów, miał na kominie krzesiwo i nasiarkowane drewienka, które się dopiero od hubki zapalały... Tym sposobem i nasz kawaler, natłukłszy sobie palców po nocy, doszedł do zapalenia drewienka, a od niego świecy... Miał tak wiele do czynienia, że mu się wcale na sen nie zbierało.

Szczególniéj męczyła go okoliczność jedna.. Na stoliku leżały przed nim dwa listy polecające do Beguelina i baronowéj Nostitz. Paliła go ciekawość grzeszna dowiedzenia się, co tam o nim pisano. Sam on nie rozumiał dobrze celu swójego poselstwa... radby się był o nim objaśnił. Wiedział bardzo dobrze, iż kusząc się o to popełni więcéj niż niedyskrecyą, bo nawet przestępstwo karygodne, naruszeniem pieczęci... ale Simonis nie był tak nadzwyczaj skrupulatnym, a ciekawość, co się w tych listach znajdować mogło, paliła go okrutnie...

Kilka razy brał je ze stolika, oglądał, stawiał naprzeciw świecy i kładł przestraszony nazad. A po chwili pokusa wracała, ręce wyciągał i papiery te miął w nich znowu. Pieczęci na listach położone przez hrabinę de Camas, pośpiesznie i drżącą znać ręką, nie były zbyt wyraziście odbite. Majaczyło na nich coś nakształt jakiegoś herbu, który z zewnętrznego kształtu przypominał wyrznięty na ojcowskim sygnecie kawalera. Przymierzywszy go do pieczątek przekonał się, że rozgrzawszy lak nieco, podjąwszy papier, mógł go wyśmienicie na nowo własnym herbem przymocować. Starcie jego mogło iść na rachunek podróży, gorąca i potrzeby trzymania przy sobie tych drogocennych rekomendacyj.

Z sumieniem i wykonaniem tego śmiałego pokuszenia przy-

szedłszy do ładu, kawaler de Simonts drzwi pokoiku zaryglował na zasuwkę i wziął się drżącemi rękoma do występnego dzieła.

Najprzód rozgrzał zlekka pieczątkę listu do Beguelina, w którym się spodziewał znaléźć polecenie hrabinéj; ale jakież było zdziwienie jego, gdy w zawinięciu czystego papieru, trafił tylko na żółty kawałek oddarty nieforemnie, na którym stały niezrozumiałe dlań liczby poprzedzielane punktami 64... 871... 55... 2 i t. p.

Była to cyfrowana depesza, oczywiście z królewskiego gabinetu, na któréj widok przerażony Simonis pobladł, rękoma coraz bardziéj drżącemi włożył ją nazad do papieru i zapieczętował niezgrabnie. Tę tylko wyciągnął korzyść z pokuszenia o tajemnicę stanu, iż się dowiedział, że był istotnie posłem króla. Listu do baronowéj wahał się już rozpieczętować i choć smutny, wyrzekł się zaspokojenia ciekawości. Schował do pugilaresu obie koperty, starannie je do siebie zwróciwszy pieczątkami, aby one przylgnęły i ślad naruszenia jednéj z nich zniknął.

Nareszcie zgasił świecę i jeśli nie dla snu, to dla wypoczynku położył się.

Pierwszy ruch ranny w domu przebudził go; pośpieszył się ubrać co najprędzéj. Potrzebował widzieć się z gospodarzem.

Ojciec Karlotty pan Ceroni, cukiernik z powołania, któremu wcale się dobrze działo, bo był w kunszcie swym biegły i gruszek nie zasypiał w popiele; mimo narzekań i krzyków piekarzy, łączył z cukiernictwem wypiekanie bułeczek różnych, a nawet rozmaitego chleba, któremu pozór nadawał niezwyczajny. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, otyły, rumiany, z twarzą lśniącą, uśmiechniętemi ustami, czynny, gadatliwy, niewidzący daleko, ale bardzo praktyczny. Lubił on Simonisa, lubiła go i gospodyni, a najwięcéj podobno jedynaczka ich córka, któréj to była pierwsza miłość zawczesna. Ulubieńcowi całego domu, bo i słudzy grzecznego chłopca dobrém widzieli okiem, Simonisowi pieszczonemu przez wszystkich wcale się tu nieźle działo.

Majster Karl, od którego imienia i jedynaczka córka zwała się Karlottą, właśnie rozpoczynał pod osobistym nadzorem porządkowanie sklepu na dole, gdy wszedł niezwykły o téj godzinie gość Simonis.

Karl rękę mu podał śmiejąc się.

— Cóż to was już drugi dzień tak rano budzi? — począł — widzę, że się musicie brać do jakiegoś ważnego dzieła, kawalerze Maks? Wczoraj dodnia ruszyliście na przechadzkę i nie było was na obiedzie, a obiad był doskonały. — Uderzył się po pełnym brzuszku.

Simonis, ponieważ chłopcy zwijali się ze szczotkami, odciągnął go ku oknu.

— Panie Karolu kochany — rzekł — przykro mi nad wyraz, ale przychodzę wam oznajmić, że muszę was opuścić.

Gospodarz aż się cofnął...

— A toż co jest? czy wam źle u nas?

— Jak w raju, ale z założonemi rękami siedzićć nie mogę dłużéj; lata upływają, trzeba o sobie myśléć; tu nie znajdę nic..

Karl patrzał zdumiony.

— Więc dokąd?

— Mam listy polecające do Saksonii.

Gospodarz głową zaczął kręcić.

— Trudno wstrzymywać — rzekł — ale i radzić wam nie miałbym ochoty. Saksonię znam. Łatwo tam się dorobić, to prawda, ale jeszcze łatwiéj za lada podejrzenie pójść do lochu, a za lada słowo pod pręgierz.

A po chwili dodał:

— Chyba listy macie do Brühla, bo tam jeden Brühl wszechmogący i niéma nad niego nikogo więcéj.

— A! tam już sobie dam radę — rzekł Simonis nie chcąc się wygadywać.

Karl westchnął.

— No, niebezpieczna to gra; dużo ludzi poginęło w Saksonii — rzekł cicho. — Dzieją się tam rzeczy dziwne, a dodałbym jeszcze, że pruska rekomendacya do saskiego dworu... he! he!

Tu usta wykrzywił i nie dokończywszy odwrócił się do chłopców, których łajać począł. Widocznie było mu niemiło, iż tracił kawalera de Simonis. Miał z niego między innemi i tę korzyść, że mu jego listy pisywał, a żonę i córkę zabawiał w dni słotne.

Simonis stał z posępną twarzą.

— Nie moglibyście poradzić, jakby mi najtaniéj i najbezpieczniéj dostać się do Drezna? — zapytał.

— Kupcy stąd jeżdżą często, napytacie ich łatwo przy Judengasse w gospodzie — rzekł Karl. — Czy wam pilno?

— Tak jest, bardzo pilno — odparł Simonis.

Karl głową pokiwał i jakby już o tém więcéj nawet mówić nie chciał, począł łajać służbę i latać po izbach.

Kawaler nasz spełniwszy to, do czego się czuł obowiązanym, wysunął się z domu i poszedł szukać zręczności dostania się do Drezna. Wskazówka była dobra, gdyż w godzinę potém napytał brykę, która dość pstre towarzystwo wiozła do saskiéj stolicy; dał więc zadatek i popołudniu stawić się obiecał do gospody.

Pakunek nie zabrał wiele czasu, po drodze kupił kawaler parę

kolczyków z niezapominajkami turkusowemi dla Karlotty i w godzinę gotów był do podróży.

Właśnie dopinał tłómoczka, gdy zastukano i dziewczę wbiegło z namarszczonemi brwiami, gniewne, prosząc go do obiadu. Zamiast spełniwszy tę formalność usunąć się prędko z pokoju kawalera, Karlotta oczyma zasępionemi zaczęła się po téj pustce rozglądać.

Z twarzy jéj mógł Simonis gorzką wyczytać wymówkę.

— Piękna Karlotto! — zawołał — nie mógłbym odjechać, nie zostawiwszy wam coś małego na pamiątkę. Proszę was, przyjmijcie to ode mnie!

I z wdzięcznym ukłonem podał jéj pudełeczko z kolczykami. Dziewczę zarumienione zrazu gniewnie prawie odtrąciło ten dar, potém spojrzało znacząco w oczy kawalerowi; pod powiekami zakręciły się jéj dwie łzy i uciekła aż do progu.

Od progu zwróciła się nazad, jakby się namyśliwszy.

— Ja, o! ja was nie zapomnę — zawołała ze łzami w głosie — ale wy?...

Simonisa poruszyło to przywiązanie dziecięce, zbliżył się do niéj; Karlotta ręce zarzuciła mu na szyję i zaszła się od płaczu.

Scena ta, wcale nieprzyjemna dla Maksa, bo dziewczę za dziecko uważał i wstydził się rozbudzonego uczucia, byłaby go w kłopot wielki wprawiła, gdyby w sieniach matka nie zaczęła głośno wołać Karlotty.

Rzuciła się więc ku drzwiom, łzy ocierając, a gdy matka weszła nazad do mieszkania, pożegnawszy wzrokiem Simonisa, zniknęła.

Przy obiedzie gospodarz butelkę wina podać kazał, wypito zdrowie miłego ziomka. Wymożono na nim słowo, iż powróci, jeśli mu się nie powiedzie w Saksonii, że o sobie napisze i doniesie; nareszcie, gdy się godzina odjazdu zbliżyła, Karl fartuch zrzucił, włożył surdut, wziął kapelusz i laskę, chłopcom kazał zabrać tłómoczki i przeprowadził pana kawalera do gospody, aby go woźnicy polecić.

We drzwiach stała jéjmość i Karlotta żegnając długo chustkami.

W gospodzie znaleźli już zachwalony ów powóz podróżny dla osób dystyngowanych, zaprzęgający się właśnie końmi chudemi, które na dychawiczne wyglądały. Było to starożytne pudło, ogromne, na dwóch drągach zawieszone, ze skórzanemi firankami i dwoma siedzeniami z tyłu i z przodu. Oprócz tego na wysokich kozłach obok woźnicy mógł się mieścić jeden podróżny, dwóch mniéj wymagających z tyłu na desce, do któréj przywią-

zany był zmiękczający ją wór z sianem. Szerokie dwa stopnie, mniejszéj objętości osóbkom wybornie służyć mogły za siedzenia. Wysokie i grube koła i cała budowa niezmiernie trwałą wydająca się, wszystko to utrzymać przyobiecywała.

W chwili, gdy kawaler nadchodził, pakowano właśnie węzełki i tłómoczki podróżnych, których czterech było oprócz naszego Szwajcara.

Trzej mężczyźni i jedna kobieta składali towarzystwo. Pani ta mocno wyróżowana i ubielona, ubrana nie bez pretensyi pewnéj, zdawała się mimo młodocianych ruchów, należéć przynajmniéj do osób drugą młodością obdarzonych, bo pierwszéj nie było śladu.

O ile z pod osłonek widać było rysów twarzy, zdradzały one już mnogie lata żywota i doświadczenia. Oczy tylko jeszcze czarne świeciły blaskiem niepospolitym, a usznurowane usteczka przypominały, że niegdyś małemi być musiały. Dziś dwie fałdy przy nich dawne dołki zastąpiły. Osoba ta zajęła sobie zawczasu miejsce w powozie najpoczestniejsze i najwygodniejsze, ostawiła się workami, na kolanach miała chustki i torebki i zamyślona wielce na świat zaledwie raczyła spoglądać.

Obok niéj sadowił się w trójgraniasym kapelusiku i płaszczu szarym, z laską w ręku, niemłody człowiek, z twarzą dziadka do orzechów, bezzębną i zapadłą, milczący i poważny. Obie ręce trzymał na swym bambusie, który miał głowę pozłacaną. Trzeci podróżny, który oświadczył się do kozła za mniejszą opłatą, wyglądał na dawnego wojskowego. Wąsy miał wywoskowane twardo, harcapik mały i płaszcz z szarego płótna, który odzież okrywał. Drab to był ogromny, pleczysty i milczący. Wewnątrz na przedzie, obok kawalera de Simonis, miejsce miał zająć maleńki jegomość niepomiernie otyły, któremu brzuch zdawał się ciężyć, bo nieustannie ocierał czoło z potu i sapał, a poruszał się z trudnością. Na krótkich a grubych nogach osadzony, niecierpliwił się, że nie jechano i klął po niemiecku zcicha. Węzełki jego już były przymocowane, a on sam zobaczywszy, że konie za chwilę miały być gotowe, począł się niezgrabnie drapać do téj arki Noego. Nikt mu nie pomagał i kawaler de Simonis tknięty litością, wyciągnął rękę, aby go wywindować do góry, za co wdzięczne otrzymał wejrzenie. Gdy tłuścioch siadł, powóz się widocznie na jednę przechylił stronę; wszyscy po sobie spojrzeli, ale cóż było radzić na to.

Uścisnąwszy poczciwego Karla, który otarł oczy i poszedł żywo do domu, ażeby miękkości serca nie zdradzić, kawaler zawinął się w płaszcz, zasunął w kątek swój, nogami tak rozporządził, ażeby naprzeciw siedzącéj pani nie zawadzały i wehikuł ów, z hałasem i wołaniem wielkiém przez wysoki próg, o który stuknął tak że w nim chrzęstnęły odwieczne żelaziwa, wydobył się szczęśliwie, na ulicę.

Kawaler de Simonis był tedy na drodze do saskiéj stolicy.

Sposób ten podróżowania niezbyt oszczędny nawet, miał i tę niedogodność, że się przeciągał nad miarę. Popasano na dzień razy dwa nie śpiesząc, odpoczywano i wydychiwano razy cztery, stawano na noc niezbyt późno i z Berlina do Drezna kilka dni potrzeba było. Droga przytém ciągnęła się piaskami, lasami głuchemi, krajem pustym, dzikim, niewiele zamieszkałym, wśród którego oko nawet spocząć nie miało na czém, oprócz chudéj i powypalanéj sośninki.

W miesiącu lipcu przy skwarze, utrapione to było jechanie. Lecz że niéma tego złego, coby na dobre nie wyszło (tak przynajmniéj chce przysłowie), podróżni, sprzężeni z sobą na dni kilka, byli zmuszeni uczynić bliższą znajomość.

Kawaler de Simonis, niezmiernie zawsze ostrożny w interesie własnéj skóry, którą nawykł był szanować, nie śpieszył z robieniem znajomości i rozwiązaniem ust, które mu polecono trzymać zamkniętemi. Spoglądał, przypatrywał się, czynił postrzeżenia różne, ale sam jak ślimak się chował w swej skorupce, unikając śledczych wejrzeń swoich towarzyszów podróży.

Piękna jego twarz młoda, musiała sympatyczne uczynić wrażenie na przywiędłéj jéjmościance siedzącéj naprzeciw niego, gdyż kilka razy spotkał jéj wejrzenie skierowane na siebie i natychmiast trwożliwie uciekające w drugą stronę, gdy je na tym gorącym pochwycił uczynku. Upał zapewne wyrwał kilka westchnień z czułéj piersi niegdyś pięknéj jéjmości, któréj znajomość zrobił kawaler de Simonis, przyniósłszy jéj drugiego dnia szklankę wody. Odtąd zaszczycała go wejrzeniami coraz śmielszemi i zdaje się, że tylko świadkowie niepotrzebni opóźnili rozpoczęcie poufnéj rozmowy.

Jegomość oparty na lasce, a pozbawiony zębów, który obok brudnych mankietów, miał na palcu chudym wspaniały pierścień z jakimś pompatycznym kamieniem, absolutnemu ślubował milczeniu. Zatopiony był w myślach, wzdychał, zaglądał niekiedy do zegarka jajowatego, który piastował na piersiach, i możnaby było powiedziéć, że patrzał w niebo, gdyby ono nie było w powozie reprezentowane skórzaną deką, noszącą na sobie groźne ślady przeciekania.

Tłusty sąsiad kawalera de Simonis jadł i pił prawie całą drogę. Między krótkiemi nóżkami umieszczony miał na ten cel

koszyk wypakowany dobrze i z niego czerpał do utrzymania życia zasoby. Jeżeli jeść i pić nie mógł, zasypiał, a naówczas przechylał się to na żelazne pręty od firanek, które go rychło ze snu budziły, to na ramiona kawalera, znoszącego cierpliwie ten nadmiar ciepła i wilgoci. Znudzony opowiadał swoję historyę całą, nie czyniąc z niéj tajemnicy. Był on rymarzem, a raczéj właścicielem warsztatu rymarskiego w Berlinie, a córkę miał za podoficerem saskim w Dreźnie. Jeszcze przed wieczorem wiedzieli wszyscy, iż mu pilno było na chrzciny wnuka, że saski zięć jego byłby złoty człowiek, gdyby nie pił i nie kłócił się; że Dorotka była śliczna kobiecina, i że on kilka tysięcy talarów czystego miał w rok dochodu, dom nad Spreą, a po ludziach kapitały.

Za to ze staruszka bez zębów nic się nie było można dowiedzieć, ani wyciągnąć; znać złe towarzystwo, w które wpadł, ignorował umyślnie. Niekiedy tylko robił miny znaczące i zdające się mówić:

— A cóż to za szuja! ażebyż prędzéj się z tego czyśca wydobyć!

Drugiego dnia na popasie, ponieważ czasu było poddostatkiem, a karczma, gdzie się woźnica zatrzymał, ciasna i brudna otoczona była cienistym laskiem sosnowym, kawaler de Simonis usiadł spocząć w chłodku. Tu znalazła się uróżowana jego towarzyszka i nieznacznie zawiązała się rozmowa. Z niéj dowiedział się Maks, iż podróżująca zwała się mademoiselle Doris, że należała do składu teatru francuskiego w Dreźnie, nieco dawniéj, że miała w życiu *des grands malheurs*, i że napróżno w Berlinie starając się o pomieszczenie, wracała do możnych i znaczących dawnych swych przyjaciół i protektorów w stolicy saskiéj.

Starała się ona wybadać nawzajem kawalera, który zbył ją ogólnikami. Dała mu nawet do zrozumienia, iż protekcya, na którą rachowała, starczyłaby na dwoje, gdyby jéj potrzebował, na co Maks podziękowaniem jak najgrzeczniejszém odpowiedział. Do zasad jego należało niczém nie gardzić, a starać się korzyć wyciągnąć ze wszystkiego.

Panna Doris, która panieński swój tytuł wyraziście i dobitnie uczuć dawała (niktby się go inaczéj nie domyślił), mówiła wistocie o saskiéj stolicy, jako o miejscu doskonale sobie znajomém.

Zrazu nieco powściągliwsza, rozgadała się potém wielce i obszernie, dowodząc, że z całych Niemiec było to może jedyne miejsce, gdzie żyć umiano i gdzie przyzwoici ludzie żyć mogli.

— W Berlinie tylko żołnierzom dobrze — dodała — piękny mi teatr, gdzie spektatorami są dwa bataliony piechoty, które się mieniają... Połowa tych gburów słowa po francusku nie umie. Saski dwór, król, to przecie cywilizowani ludzie i znają się na tém, co piękne..

Widocznie niesmak jakiś wynosiła z sobą z Berlina panna Doris. Kawaler słuchał tylko, ale z taką inteligencyą, iż coraz do wynurzeń skłonniejsza artystka zaprosiła go, aby ją w Dreźnie odwiedził i stanowczo przyrzekła zająć się jego losem...

— Brühl gdy był jeszcze kawalerem, mogę powiedzieć, że się kochał we mnie — szepnęła cicho — chciał mnie wydać za bardzo ładnego Sasa... ażebyśmy się nie rozstawali, ale mnie naówczas co innego było w głowie... Albożem nie mogła się spodziewać przynajmniéj taką zrobić karyerę, jak Barberini... ale...

Westchnienie dokończyło...

Mężczyzna, z woźnicą siedzący na koźle, który przez całą drogę z ust fajki nie wyjmując, kurzył zapamiętale, objawił się drugiego dnia jako eks-wojskowy pruski, jadący do szwagra w odwiedziny. W kampanii szląskiéj dostał był kontuzyę w nogę, która mu służby czynnéj pełnić nie dozwalała; był więc żonatym i z małą pensyjką przy pracy żył wygodnie. Z rozmowy jego z woźnicą dolatywały do wnętrza powozu ciekawe urywki, dowodzące, że był wielkim wielbicielem Fritza, chociaż razy kilka dobrze od niego dostał po grzbiecie.

Sławny Pfund, bez którego król Fryderyk nigdzie się ruszyć nie mógł, i który go tak doskonale wozić umiał, iż przez całe życie raz pono tylko wywrócił, był rodzonym bratem eks-grenadyera. Chlubił się tém żołnierz niemało, bo przez Pfunda więcéj można było dokazać czasem, niż za protekcyą szambelanów i ministrów.

Droga w tém towarzystwie nikogoby nie znudziła, gdyby nie wrażenie przykre, jakie czynił milczący pogardliwie, z zaciśniętemi ustami stary grat na lasce oparty. Wszyscy mieli wstręt do niego.

Tłusty, naprzeciw siedzący rymarz, w ciągłych milczących był zapasach z nogami sąsiada, które na jego terytoryum się wdzierały. Nie mówili do siebie nic, ale rymarz, mając milczka tego za arystokratę, mścił się na jego nagniotkach...

Naostatek pod wieczór, gdy się właśnie na burzę zbierało, a panna Doris spoglądała z obawą na skórę nad głową, obiecującą przeciekać niezawodnie, ukazało się Drezno na horyzoncie, a kto je ujrzał, powitał wesołym okrzykiem. Tylko nieporuszony dziadek ani głowy nie wychylił, ani dał znaku życia. Rymarz z radości koszyk pusty, który trzymał między nogami, precz na gościniec wyrzucił, wołając:

— Hopsa!

Kawalerowi de Simonis poruszyło się coś w piersiach; panna Do-

ris szepnęła mu, że tu może najpiękniejsze godziny życia swojego strawiła.

Gwarno zrobiło się i na koźle i w powozie...

Wkrótce potém ciężki powóz toczył się po bruku téj części miasta, która dawniéj zwała się starą, a od czasów Augusta Mocnego została na nowe miasto przeznaczoną...

Ztąd od złoconego posągu nieboszczyka króla (o którym mówili Sasi, iż go tyłem do miasta postawili umyślnie, aby sobie do Warszawy od nich jechał), widać było bramy i mury miejskie za Elbą i przepyszny most, wiodący ku zamkowi. Widok stąd był wspaniały, gdyż naówczas jeszcze wśród murów i kamienic, ogrodów było mnóstwo, a zielone drzew kłąby rozweselały szare ścian szeregi...

Wlewo w najpiękniejszém miejscu, ponad ciężkie kurtyny i baszty zamku, wznosiły się pałace i ogrody wszechmogącego, królewskiego ministra Brühla, jego galerye obrazów, altany i cały ten taras Brühlowski, który był naówczas jedną z najwspanialszych rezydencyj w Europie, godną króla... Augustowi III téż pochlebiało, iż jego minister mógł monarchom się równać i przyjmować koronowane głowy.

Z przeciwnéj strony piętrzyła się kaplica króla katolicka, mająca rozmiary kościoła, ale żadnego dzwonu. W protestanckiém państwie tolerancya naówczas nie dochodziła do tego, aby obcemu wyznaniu dozwolić wołać głośno do modlitwy. Z wieży zaledwo dokończonéj, odejmowano właśnie rusztowanie.

Już około starego mostu, ruch miejski otoczył podróżnych. Mnóstwo panów, pań, kawalerów na koniach, liberyi wspaniałéj, powozów wytwornych przesuwało się z miasta do miasta. Przed niektóremi biegli laufrowie pstro strojni, przed innemi jechali konni, rozpędzając zgraję... Widok był ożywiony, choć niewesoły. Lud szedł przygnębiony, milczący, patrząc ponuro i żałobnie... dworska służba pozwalała sobie zuchwale.

U mostu wstrzymano powóz dla formalności celnych i paszportowych, które zabrały dość czasu. Wszyscy iść musieli meldować się do kordygardy. Staruszek milczący, spełniwszy tę formalność, znalazł sobie człowieka, który zabrał pakunek jego, nie żegnając się z nikim, zniknął.

Kawalera de Simonis woźnica obiecywał zawieźć do przedziwnéj gospody, która się zwała *Trompetter Schlösschen,* a piękna niegdyś mademoiselle Doris tymczasowo także chciała się tam umieścić pod jego opieką. Wprawdzie Maks oświadczył jéj, iż natychmiast musi sobie prywatnego szukać mieszkania, ale i ona także miała to w myśli, a sama jedna lękała się pozostać.

Trompetter Schlösschen naówczas znajdował się niemal za miastem i nie miał wcale powabnéj powierzchowności; izdebka od podwórza, którą dano kawalerowi de Simonis, była ciemna i cuchnąca, lecz nazajutrz obiecywał uciec od niéj i od Doris. Ponieważ wieczór jeszcze nie był późny, odpoczynek w zaduszném mieszkaniu nieponętny, sąsiedztwo zaś panny dosyć niesmacznem dla kawalera, oczyściwszy się nieco, pośpieszył wybiedz do miasta. Dar oryentowania się miał niepospolity i temu przypisać należało zapewne, że niewiele błądząc, znalazł się na Starym Rynku. Po Berlinie nowym i szeroko rozłożonym, Drezno wydało mu się ciasne, lecz przypomniało stare szwajcarskie miasta i powagą swą uczyniło na nim wrażenie.

Rozglądał się właśnie po rynku, niewiele troszcząc się o to, za kogo wezmą go ludzie, gdy obok niego przesunęła się lektyka, na którą nie uważał; z lektyki wysunęła się głowa w peruce siwéj, z oczyma czarnemi, i za targnięciem sznurka, tragarze ze swym ciężarem stanęli tuż obok kawalera de Simonis.

Teraz dopiéro obejrzał on się mimowolnie i w oknie ujrzał z otwartemi od podziwienia ustami, starego swojego stryjaszka Ammona, którego raz tylko widział w życiu, ale mu jego rysy na wieki w pamięci pozostały. Zapomina się często ukochanych, lecz rzadko tych, do których się żal zachowało w duszy.

Zobaczywszy tę przykrą twarz surową i zimną, z wyrazem gniewnym i dzikim, z policzkami obrzękłemi i oczyma wypukłemi, których białka, jakby krwią były zabiegłe, Simonis się cofnął, odwrócił i chciał iść daléj, gdy grzmiący głos nań zawołał:

— Maks! Maks!

Niepodobna było zbuntować się całkowicie, Simonis przytém rad był może powtórzyć radcy Ammonowi, iż go wcale nie potrzebuje; przyłożywszy więc rękę do kapelusza, od niechcenia, powolnie zbliżył się ku lektyce.

— Co ty tu robisz? — krzyknął radca — po co tu przyjechałeś?

Kawaler zamilczał chwilę, a potém odparł powoli:

— Przepraszam pana, ale jakiémże prawem bada mnie pan o to!

— Jakiém prawem! — huknął głos z lektyki — jakiém prawem! Ty mnie, młokosie, o prawo będziesz pytał! o prawo! a to przedziwne!...

— Panie radco — zawołał zimno kawaler, umyślnie kładąc nacisk znaczący na ten tytuł, który wszelkie pokrewieństwo wyłączał — panie radco, od naszéj pierwszéj i ostatniéj rozmowy niéma między nami nic wspólnego; ja waćpana o nic nie proszę, nawet o radę, a pan mnie nie masz prawa pytać o nic.

To mówiąc, skłonił się i chciał odchodzić, ale radca skinął na tragarzy, którzy podnieśli wieko lektyki i stary laskę pochwyciwszy, z kapeluszem pod pachą, pogonił za odchodzącym.

— Słuchaj, Maks... ty jakiś — wołał radca — nie bądź... głupim. To com uczynił, gdym cię pierwszy raz przyjął, było dla twojego dobra. Ale co ty tu robisz? u kata! Mów! Dawno tu jesteś?

— Od godziny — odparł Simonis — i widzę, że mi się w stolicy saskiéj powodzić nie będzie, gdy na pierwszym kroku pana radcę spotykam.

Ammon na lasce się podparł.

— Młokosie — rzekł — ha! w Berlinie się nie poszczęściło: ani ładna twarzyczka, ani mowa układna nie pomogła, przyszedłeś szczęścia szukać tu... gdzie? na dworze? u Brühla? po starych babach! I myślisz, że tu ci pójdzie lepiéj?

Simonis uśmiechnął się szydersko.

Nie rad był wydawać się z tajemnicami swemi, ale mu się chciało okrutnie pomścić nad kuzynem.

Jakby obelżywa ta mowa dotknąć go nawet nie mogła, Maks popatrzał z politowaniem na Ammona, rękę jednę wsunął do kieszeni i odezwał się, cedząc wyrazy powoli:

— Nie gonię tu za niczém: mam interesa.

— Saperment! waćpan masz interesa? Jakieżto? kieszonkowe? spódniczkowe? czy...

— Moje interesa do mnie należą — odpowiedział żywiéj Simonis — ale pan radca, który mi tak wszedłeś w drogę, ażeby mnie znowu połajać, z obowiązków krewnego znając tylko ten jeden karcenia młodzieży, pan radca mógłbyś mi uczynić przysługę, którąby go nic nie kosztowała.

Ammon się zmieszał nieco.

— Potrzebuję adresu pana Beguelina, którego mam polecenie odwiedzić — dodał Simonis.

Między starym Ammonem a Beguelinem, choć oba byli Szwajcarowie, oddawna wrzała głucha wojna i współzawodnictwo. Ammon miał się za zwierzchnika, a Beguelin go pomijał i wprost się z Berlinem znosił. Nazwisko Beguelina poruszyło starego do najwyższéj niecierpliwości.

Przyskoczył do Maksa.

— Na cóż ci ten Beguelin? na co?

— To już rzecz moja, adres-bym tylko chciał wiedzieć.

Stary popatrzał długo, splunął, namarszczył się, ramionami ruszył i nie powiedziawszy słowa więcéj, powrócił do lektyki, którą ku zamkowi nieść kazał.

W tę samę stronę poszedł też zwolna kawaler de Simonis, dosyć rad z siebie, iż się staremu Ammonowi równą monetą wypłacił.

W ciaśniejszéj ulicy do zamku wiodącéj dosyć było gwarno, śpieszono na koncert i teatr do króla. Lektyki i powozy zdążały wszystkie w tę stronę i kawaler nasz miał sposobność przypatrzyć się przepysznym liberyom, koniom, perukom, służbie galonowanéj, a nawet pięknym główkom kobiet, które gdzieniegdzie z karet i *porte-chaise* wyglądały.

Wśród tego natłoku pierwszy raz w życiu z podziwieniem dopatrzył też strojów wschodnich, jakich nigdy nie widział, biorąc zrazu panów polskich za jakichś posłów z dalekiéj krainy. Mnóstwo ich tu się kręciło, ściągając oczy przepychem ubioru, szabel i powagą twarzy wypogodzonych.

Stanąwszy u muru kamienicy, tak się w ten różnobarwny tłum wpatrzył kawaler, iż wcale nie uważał, jak naprzeciw niego stanął młody, ale starszy już od niego mężczyzna, który z równą, jak on tłumowi, uwagą, jemu się przyglądał. Obchodził go z jednéj i drugiéj strony, badał twarz, zdawał się niepewnym, naostatek przystąpił do niego z ukłonem.

Był to mężczyzna lat trzydziestu może, wystrojony nader wytwornie, woniejący jakimś pudrem fiolkowym, w peruczce cudnie w pukielki małe ułożonéj, we fraku aksamitnym lila z białą atłasową podszewką. Pończochy wyciągnięte jak struny, trzewiki ze srebrnemi klamrami na korkach ponsowych, rękawiczki, z których jednę trzymał w rączce białéj, nadawały mu wybitny charakter dworaka i eleganta.

Na koronkami oszytéj koszuli wśród piersi błyszczał brylantami osadzony szmaragd, jak liść rośliny z kraju czarów.

Trącił zamyślonego Simonisa.

— *Pardon!* czyżbym się mylił? kawaler de Simonis?

Usłyszawszy swe imię, drgnął dopiéro i oczy skierował na mówiącego Maks.

— Na Boga! — zawołał — Robert Blumli!

Rzucili się sobie na szyję.

— Skądże? Jakże? — sypnęły się pytania.

Blumli był tak samo, jak i kawaler de Simonis, wychodźcem z okolic berneńskich, z tą różnicą, że pieszo wywędrował, umiejąc niewiele i nie wiedząc dobrze, jakiemu się zawodowi poświęcić. Wyszedł stamtąd z młodością i świeżością dziecięcia gór, wykarmionego wonią ziół alpejskich i mleczywem stad szwajcarskich, silny, zdrów, wesół, krzepki; pozostała mu wprawdzie i te-

raz piękność, przybyło elegancyi, ale ten kwiat świeży nadwiądł nad Elbą.

Blumli wyprzedził był Simonisa o lat kilka.

Wzięli się pod ręce.

— Znać, że ci się cale dobrze wiedzie, Robku mój — zawołał rozweselony kawaler — wyglądasz mi na pana!

Smutno się jakoś uśmiechnął Blumli.

— Nie mogę się skarżyć! — odparł cicho.

— Prawdziwe to dla mnie szczęście, żeśmy się spotkali — dodał Simonis — byłeś mi zawsze przyjacielem, mam nadzieję, że i teraz nie odmówisz opieki wędrownikowi. Nic nie potrzebuję zresztą, oprócz obeznania się z miejscowością. Ale ze stroju twojego widzę — dodał — żeś miał plany na wieczór, proszę cię, idź, nie czyń żadnéj dla mnie ofiary; znajdziemy się jutro.

— Najmniejszéj ofiary nie czynię — rzekł Blumli — wyszedłem właśnie z koncertu, a chciałem odetchnąć świeżém powietrzem: do jedenastéj jestem wolny. Zabieram cię więc z sobą, do mnie, a tam rozmówimy się od serca.

Nieopodal stała lektyka pana Blumli, drugą kazał wyszukać dla Simonisa, gdyż, jak się okazało, stał na Pirnajskiém przedmieściu. Pierwszy raz w życiu zapakowany do pudełka, kawaler odetchnął w niém, rad, że mu los nadarzył tego ziomka. Zebrał jednak myśli i postanowił jaknajmocniéj nie wygadać się z niczém.

Wydobywszy się za mury, lektyki mogły iść obok siebie, ludzie niosący nawykli byli do równego chodu, mogli więc, nie lękając się być podsłuchanemi, dalszą rozmowę prowadzić po francusku. Obu im przypomniał się kraj i więcéj na ten raz mówili o Bernie, o młodości, o swych latach spędzonych pod śnieżnemi Alpami, niż o Saksonii i o teraźniejszych swych losach.

Lektyki stanęły u bramy pięknego domu; zadzwoniono; otworzyły się wrota i wniesiono ich obu pod schody, na których dwóch lokajów czekało. Blumli wziął przyjaciela pod rękę i zdumionego dosyć prowadził na górę.

— Nie jesteś przecie żonaty? — zapytał oglądając się na swój strój podróżny Simonis.

Blumli się rozśmiał trzęsąc głową.

— Bynajmniéj! — Westchnął, potém spuścił oczy, a wtém drzwi się otworzyły i weszli do bardzo pięknego salonu.

Jedno z przysłów, powtarzających się we wszystkich językach, powiada słusznie bardzo: „Jaki pan, taki dwór”... *Ad exemplar* pana urabiają się ci, co go otaczają, przyjmują jego upodobania, nabierają niemal fizyognomii. Tak za Augusta Mocnego już świetność, przepych, zbytek, weszły w życie u Sasów; dwór bawił się w płoche miłostki jak pan, sypał jak on pieniędzmi i lubił go, o ile mógł naśladować. Tak potém syn jego przejął po nim zamiłowanie w przepychu, zabawach, ucztowaniach, w myślistwie. Brühl był swojego czasu największym zbytnikiem i marnotrawcą, pomimo że miliony zostawił po sobie, drugie tyle ich przeżył. Dwór jego liczył się na seciny ludzi, a Hennicke, który począł służbę od lokaja, bez czterech w liberyi ludzi u powozu nie ruszał się z domu. Najmniejsi urzędnicy zbytkowali na właściwą skalę, upodobanie w pięknéj odzieży, klejnotach, porcelanie, cackach kosztownych było powszechném.

W tym względzie porównanie życia i dworu króla pruskiego stanowiło najskrajniejszą sprzeczność. Fryderyk II nie miał nigdy nawet półtora tuzina koszul; chodził w brudnéj, buty nosił łatane, na wielkich uroczystościach dworu dla oszczędzenia świec, nie zapalano ich w jednéj sali wprzódy, aż goście z drugiéj wychodzić mieli, tak, że na weselu którejś z księżniczek długi czas cały dwór stał w ciemnościach, oczekując na światło. W bocznych salach palono po jednéj świeczce. Wszystko szło na ten sposób, ale siedmdziesiąt milionów talarów leżało na przypadek wojny i Fryderyk przez czas siedmioletniéj walki wprawdzie część sreber posłał do mennicy, wprawdzie bił fałszywe talary, ale u nikogo nic nie pożyczał. Stół, ubranie, utrzymywanie dworu, wszystko było w tym sposobie. Rachunki przeglądał Fryderyk i dopisywał na boku, ażeby kanalie nie kradły! Nauczony tym przykładem dwór, wprawiał się do oszczędności, opłacano go bardzo skromnie. W Saksonii zaś, gdzie Brühl żył po królewsku, gdzie jednéj opery przedstawienie kosztowało czasem sto tysięcy talarów, wszyscy chcieli naśladować króla i Brühla... Każdy potrzebował zbytku. I w chwili właśnie, gdy się to opowiadanie zaczyna, Saksonia miała doskonałą operę i piętnaście tysięcy wojska. Prusy mizerny dosyć teatr, na który chodzili żołnierze, i sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi pod bronią; Saksonia miała długów po uszy, a Prusy kapitały. Po skromnych mieszkaniach Berlina, apartament takiego małego człowieczka, jak Blumli, zdumiał niewypowiedzianie przybywającego Simonisa. Dwóch lokajów kręciło się po pokojach, niezbyt obszernych, ale jak gniazdeczko miękkie i ciepłe, wygodnie i świecąco wysłanych. Zwierciadła, porcelany, kobierce, obrazy, kazały się zamożności domyślać.

Kawaler de Simonis oglądał się, jakby wszedł nagle do zaczarowanego pałacu.

— Jesteś tu u siebie? — zapytał ziomka.

Blumli uśmiechał się ciągle smutnie, miał minę raczéj znudzoną, niż szczęśliwą.

— Tak jest — rzekł — to moje mieszkanie, i wszystko, co w niém widzisz, moje...

— No, to ci winszuję...

— Ach!... — powtórzył Blumli i spuścił oczy. — Dziękuję ci.

Siedli oba, podano wino, owoce, cukry i ciasta...

— Jesteś więc w urzędzie i widzę, że ważne zajmować musisz miejsce?... — dodał Simonis.

— Ja? jestem jednym z nadliczbowych sekretarzy ministra — cicho odezwał się Blumli, jakby się tego wstydził — ale z tego stanowiska u nas dochodzi się do wszystkiego.

— I wiele musisz miéć zajęcia?

— A! parę godzin zrana w kancelaryi — odparł, urywając żywo Blumli — wieczorami zaś... wieczorami, muszę być... na pokojach...

— Na szczęśliwego człowieka, który się tak rychło dorobił — rzekł, śmiejąc się Simonis — jakiś mi się wydajesz kwaśny...

Blumli przymuszonym uśmiechem pokrył widoczny zły humor. Nie chciał się więcéj tłómaczyć i zwrócił rozmowę.

— Cóż ty myślisz? — zapytał.

— Ja? myślę się rozpatrywać, uczyć, poznawać, i nie pilno mi wcale... Miałem do przybycia tu—dodał, kłamiąc bardzo zręcznie, jak na poczynającego dyplomatę — miałem powód bardzo ważny. Sam osądź! Słyszałeś, że Ammonowie są mojemi blizkiemi krewnemi. Przyjechawszy do Berlina, stawiłem się u starego radcy, który mnie przyjął, jak psa w kręgielni, i niemal za drzwi wypchnął. Naówczas dałem sobie słowo, że bez pomocy jego potrafię sobie dać radę i postarawszy się o listy polecające, przybyłem tu właśnie, aby mu się kręcić pod nosem... Ta zemsta tak mi się powiodła szczęśliwie, że dziś zaledwie wysiadłszy, jużem się z nim na ulicy rozprawił.

Blumli słuchał z natężoną uwagą.

— Wspomniałeś o listach polecających: za pozwoleniem, mogę wiedziéć, do kogo je masz?

Zawahał się nieco Simonis, bo się nawet przed przyjacielem zwierzać lękał...

— Czym mówił o listach? — podchwycił — jeźli tak, to była poetyczna amplifikacya, bo mam wistocie jeden tylko i to do Beguelina.

— Do Beguelina! — z lekceważeniem powtórzył Blumli. — Mój biedny Simonisie, ja tu nic nie znaczę, ale gdybyś list miał do

mnie, wyszłoby to prawie na jedno... Do Beguelina! ale cóż taki niby rezydent pruski uczynić dla ciebie może! chyba cię, jako emisaryusza pruskiego, skompromitować, gdyż my tu wcale nie lubimy Prusaków... My, to znaczy... Brühl, bo Brühl jest tu wszystkiém.

— Ależ ja także za Prusaka uchodzić nie mogę, kiedy stamtąd ze strachu głodnéj śmierci wynosić się musiałem...—rzekł Simonis.

Blumli zdawał się namyślać.

— Życzę ci dobrze — odezwał się. — Chcesz się czegoś dorobić? Niéma innéj drogi, tylko się dać poznać Brühlowi, stać mu się potrzebnym i dworować koło niego...

Blumli spuścił oczy, westchnął i zamyślił się.

— Czy i ty tą drogą doszedłeś? — spytał Simonis.

— Nie inną — szepnął Szwajcar i, podniósłszy oczy, zdał się chwilę przyglądać ciekawie Simonisowi.

Potém wstał, przechadzać się począł, niby od niechcenia, wyglądając przeze drzwi, czy ich kto nie podsłuchuje i przekonawszy się znać, iż mógł mówić bezpiecznie, siadł blizko, aby prawie do ucha Simonisowi szeptać:

— Przez kobiety, mój kochany, wiele się tu rzeczy dzieje; wyjąwszy królowę, która się modli i plotkami żyje, reszta tych pań lubi młodzież i szuka w jéj towarzystwie rozrywki... Jeżeli serce twe wolne, a podwiędłe i nieco zblakłe wdzięki nie czynią ci wstrętu... próbuj szczęścia.

Simonis uśmiechnął się, nie mówiąc nic długo.

— Hę! — rzekł wreszcie — człowiek, co się fortuny dorabiać musi, drożyć się z sobą nie może... Ja nawet wolę starsze panie, bo te do ołtarza nie prowadzą, a zakuć się w wiekuistą niewolę nie miałbym ochoty...

Rozśmiał się jakoś przymuszonym i niezdrowym śmiechem, a Blumli westchnął.

— Tam — rzekł — na pruskim dworze, kobiety nic nie znaczą. Królowa siedzi jak na wygnaniu, Fryderyk nie kocha się nigdy, płeć piękną traktuje jak żołnierzy na mustrze... Tu u nas począwszy od staréj Faustyny, od niemłodéj Moszyńskiéj i podstarzałéj Brühlowéj, baby rej wodzą potajemnie; no, i księża — dodał zcicha. — Inny świat...

— Nie lepszy! — rzekł Simonis — ale pewnie łatwiéj się doń wcisnąć i bezpieczniéj w nim żyć...

— Ha! bezpieczniéj — przerwał Blumli, krzywiąc usta — bezpieczniéj? tam jest Kistrzyn i Spandau, a my tu mamy Koenigstein i Pleissenburg... ba! ba! Jak dla kandydata do faworów, dobrzeby ci historyę Seyferta powiedziéć...

— Jakiego Seyferta?

— Mógłbym ci go jutro gdzie na przedmieściu pokazać, bo dziś już jest wolny, ale mu się w ulicach pokazywać nie godzi. Lat temu sześć, Seyfert miał apartament daleko piękniejszy od mojego, był sekretarzem do spraw wojskowych przy ministrze i hrabina go bardzo lubiła, bo był tak ładnym, jak ty, chłopcem... Dziś, gdybyś go zobaczył, skóra i kości, żółty, przygarbiony, kaszlący, ma lichy domek na przedmieściu i biedę klepie.

— Cóż zawinił? — zapytał Simonis zdumiony.

— Jakby ci to wytłómaczyć! — odparł Blumli. — Zakochał się w garderobianie hrabinéj Brühl, bardzo ładném dziewczęciu. Doniósł o tém zazdrosny współzawodnik... spotkała go niełaska, poszedł precz z sekretarstwa. Prawda, że nieostrożny: chcąc się mścić na Brühlu, pisał listy do Holandyi, aby mu psuć kredyt... listy połapano i Seyfert skazany został na śmierć. Hrabina wstawiła się za nim przez pamięć dawnych stosunków i stawiono go tylko pod pręgierzem na Nowym Rynku, a kat go wypoliczkował...

Blumli zbladł, słów mu zabrakło, popił winem szybko i dokończył:

— Tylko sześć lat wysiedział na Koenigsteinie, ale sześć lat w wilgotnéj izbie, bez słońca, bez powietrza, bez nadziei, bez słowa pociechy; sześć lat takich, mój Maksie, nie jestże to sześć wieków konania? Rozumiesz ty, co to jest z młodością w głowie, z sercem bijącém, z duszą głodną świata, sześć lat pazurami drzéć kamień zimnych ścian więzienia?

Simonis się wzdrygnął cały.

— Daj mi pokój z takiemi łaskami i z taką do fortuny drogą — rzekł głosem złamanym. — To nie dla mnie. Mówmy o czém inném.

Blumli przerwał rozmowę i począł mówić o piękności okolic, o przyjemnościach życia, jakby i on sam téż potrzebował zatrzéć wrażenie własnego opowiadania.

— Jakkolwiek — dodał — jeżeli tu posiedzisz, prezentować się trzeba Brühlowi i poznać jego i to, co go otacza. Człek i rzeczy ciekawe... Jako kawaler Maks de Simonis, podróżujący dla nauki i rozrywki, będziesz zawsze dobrze przyjętym. Wprawdzie moja protekcya ci nic nie pomoże, ale nie zaszkodzi przynajmniéj.

Po chwili jeszcze rozmowy przerywanéj, która wiele dała do myślenia naszemu awanturnikowi, ponieważ godzina nadchodziła, o któréj Blumli powinien się był znajdować na pokojach ministra,

wyszli razem, a Simonis podług drogi wskazanéj, pieszo pociągnął do swojéj gospody.

Nazajutrz zrana chciał oddać swe listy polecające, wyszukać Beguelina i baronową Nostitz. Zręcznie bardzo, nie obudzając niczyjéj uwagi, oba adresa dostał w aptece na Starym Rynku. Beguelin stał niedaleko na przedmieściu Wilsdrufskiém w małym domku z ogródkiem. Bosa dziewczyna przyszła drzwi otworzyć. Drewniany, lichy dworek, mieścił nalewo kancelaryą rezydenta, a naprawo jego mieszkanie. Sam Beguelin, który za pozwoleniem Fryderyka razem dyplomatyczne zajmował stanowisko i obok tego serami handlował, był starym, niepoczesnym, trędowatym, łysym człowiekiem, żywego i zgryźliwego temperamentu, skąpym i chciwym. Chciano Simonisa naprzód oddać na łup kancelaryi, lecz gdy oświadczył, że ma list, który do rąk musi oddać, puszczono go do zabrukanego gabinetu pana radcy... Siedział w brudnym przyodziewku, boso, w pantoflach, z okularami na nosie u biurka, pisząc jakieś rachunki. Gdy Simonis wszedł, przyjął go zrazu z krzykiem:

— Poco? czego? co za list? jakie u dyabła interesa?

Nie odpowiadając nic na to, de Simonis podał mu papier, a gdy Beguelin go rozpieczętował i spojrzał nań, stał się cud. Zagniewana twarz wyjaśniła się, czoło wygładziło, usta przybrały rozmiary do śmiechu właściwe i z wielką gracyą, gubiąc jeden pantofel po drodze, radca wskazał kawalerowi siedzenie na kanapce czarną włosiennicą pokrytéj, sam uprzejmie zajmując przy nim miejsce.

— Przepraszam cię, szanowny kawalerze — rzekł brudną od tłustego sera i atramentu rękę kładąc mu na kolanie — nasze nieszczęśliwe obowiązki narażają nas na ciągłe opędzanie się nieznośnym natrętom. No cóż? cyfry nie mam czasu czytać; odcyfruję ją późniéj: co słychać w Berlinie?

Simonis odparł, że wiadomości nowych nie przywiózł żadnych.

— Byłem wprawdzie — rzekł dla dodania sobie wagi — w wigilią odjazdu w Sans-Souci i miałem szczęście najjaśniejszego pana oglądać; a nawet mówić z nim... ale, o ile mi się zdaje, tam właśnie stąd, od Drezna oczekują wiadomości.

Beguelin dał znak ręką, wstał, z okularami zasiadł nad cyfrą, szybko ją porównywając z dobytym z szufladki zamkniętéj *kluczem;* potém opatrzył drzwi, siadł znowu przy Simonisie i rękę zwinąwszy w trąbkę, puścił mu przez nią w ucho;

— Tu się zbiera na burzę!! tak... niéma się co łudzić. Austrya się łączy z Rosyą, a zdaje się i z innemi dworami na nas... Saksonia może jeszcze nie podpisała traktatu, ale to lada dzień

nastąpi; Brühl się targuje, ile mu za to dadzą; bo on též pieczeń swoję przy tém upiec musi.

Simonis słuchał z wielką uwagą, ale nie odpowiedział nic.

— Polecono mi listy od hrabinéj de Camas składać na ręce pana radcy — rzekł.

Beguelin skłonił głowę...

— Lecz — dodał cicho Simonis, w rolę swoję wchodząc — pozwolisz mi pan radca, abym się tu jak najmniéj pokazywał: bo...

— *Suffit!* — odparł Beguelin.

— Mógłbym się tłómaczyć, żeśmy oba ziomkowie, bo i ja Szwajcarem jestem.

— A ja byłem! byłem! — poprawił Beguelin i machnął ręką.

— Ponieważ nic przed radcą taić nie chcę — dodał Simonis — muszę i to dodać, że radca Ammon jest moim blizkim krewnym.

Beguelin zerwał się z kanapy, podniósł nogę, zgubił pantofel i porwał się za łysą głowę.

— A to proszę do niego! — I pokazał na drzwi — u mnie tu nie macie co robić.

Simonis się nie poruszył.

— Przepraszam — odezwał się — stary Ammon jest egoista obrzydły, którego znać, z którym obcować, do którego się zbliżyć wstręt mam... To niegodziwy człowiek...

Zdumiony Beguelin podniósł głowę do góry, prychnął i nagle zbliżywszy się do Simonisa, podał mu obiedwie ręce.

— *Suffit!* — rzekł — jesteś szlachetnym młodzieńcem. Idź i niech cię bogowie prowadzą po téj chropawéj drodze, którą sobie obrałeś.

Już się żegnali, gdy Beguelin do ucha szepnął gościowi:

— Szpiegostwo tu kwitnące: język za zębami, oczy pod powiekami, ręce w kieszeniach trzymać należy, a w pisaniny, bilety i t. p. praktyki się nie wdawać. Kantorki zamykane na klucz nie pomagają... Adieu!!

Stąd udał się kawaler de Simonis na Nowy-Rynek, gdzie w staréj kamieniczce o trzech oknach od czoła mieszkała na drugiém piętrze baronowa Nostitz.

Z opowiadania hrabiny de Camas spodziewał się już kawaler de Simonis znaléźć w niéj rówieśnicę swéj protektorki. Kamieniczka do niéj należała. Zdaleka na drugiém piętrze zobaczył okna podmykane i klatki w nich ptaszków pełne. W przedpokoju jasnym u okna siedziała niemłoda służąca z pięcioksięgiem protestanckim na kolanach i pończochą w ręką wełnianą. Ponieważ nic dosłyszała, jak się okazało, Simonis musiał bardzo gło-

śno w ucho jéj krzyczéć, że przybywa z listem od hrabinéj de Camas. Gospodyni znać to wprzód usłyszéć musiała, niż stara Gertruda, gdyż drzwi od pokoju się otworzyły i jéjmość maleńka, pomarszczona, w wysoko stojącym czepku białym, przewiązanym w pół wstążkami karmazynowemi, których końce na ramiona jéj spadały, wyszła uśmiechnięta, zapraszając gościa do pokoju.

Tu było bardzo ładnie, czyściuchno, a nawet dosyć wesoło.

Ptaszki w klatkach sejmikowały bardzo głośno, słońce złociło stare mebelki, mnóstwo po ścianach portretów w perukach i czarnych wystrzyganych sylwetek za szkło oprawnych. W kącie stał staruszek fotelik na cieniuchnych nóżkach, a na nim leżała gitara z wstążką niegdyś niebieską. Piesek bonończyk tak tłusty, że zaledwie kołysząc się na krótkich nóżkach powoli mógł się z miejsca na miejsce przenosić, wystąpił naprzeciw przybyłego, powąchał go i ziewnął. Staruszka w białym czepcu uśmiechając się krzesełko wskazywała. Simonis już jéj był list wręczył, z którym poszła do okna. Wyczytanie go nie kosztowało wiele czasu, żwawa gosposia przebiegła oczyma pismo, usta jéj przybrały uśmiech pełen uprzejmości i zbliżyła się do kawalera.

— Jakże się ma moja Zośka — zapytała. — Zdrowa? Reumatyzmy jéj nie dokuczają?

Simonis zapewnił ją o dobrém zdrowiu hrabinéj de Camas.

— Ot jak to w naszym wieku, ani ja do niéj, ani ona do mnie dojechać nie możemy, a tak się kochamy.

Mówiąc to, przypatrywała się z uwagą wielką nietylko twarzy, ale ubraniu i całéj postaci gościa; zdawała się go badać i chciéć odgadnąć.

Pochyliła mu się do ucha.

— Cóż was tu sprowadza? — spytała, i palec podniósłszy do góry, położyła go na ustach znacząco. Nie czekając nawet odpowiedzi, szepnęła: — No, wiem, wiem; ale bądźcież ostrożni! bardzo ostrożni!

I schyliwszy się bliżéj jeszcze Simonisa, który nagiął się ku niéj, poczęła osłaniając usta rękoma nieco drżącemi:

— Niéma wątpliwości, że spisek na Berlin knują. Tak! tak! już się nawet podzielili całą fortuną Fryderyka. Tak! Rosyi mają się dostać Prusy za koszta wojny; Szlązk odbierze Austrya, Magdeburg i Halberstadt dadzą królowi saskiemu, Szwedzi wezmą Pomeranię, Francya Neufchatel; a i na resztę się znajdą amatorowie.

To mówiąc, załamała ręcę i jak w tęczę patrząc na Simonisa, głową kiwała.

— Może to tak być? — dodała ożywiając się — ja się nie spo-

dziewam po moim Brandeburczyku, ażeby na to pozwolił... Zobaczymy.

Szybko nachyliła się do ucha Simonisowi.

— Brühl jeszcze nic nie podpisał. To ja wiem — dodała tajemniczo — ale nie żeby mu na ochocie zbywało. O! nie! chciałby coś dostać za to! Biedne człowieczysko, tyle potzebuje na te zbytki, a bez tych zbytków, jakżeby żył!

Kręciła się staruszka na kanapce mówiąc to i coraz przypomniawszy sobie coś, pochylała się do ucha słuchającego.

— Wojska tu nie mają — rzekła — nie mają; jest tam tego z kilkanaście tysięcy do parady, ale więcéj oficerów, niż żołnierza. Nasi grenadyerowie pruscy zjedzą ich na śniadanie! Ale sza! sza!

I jakby jéj coś znowu na myśl przyszło, poczęła dopytywać żwawo.

— Słuchajże, kawalerze? cóż tu myślisz robić? z kim żyć, którędy chodzić? nawet gdzie mieszkać?

— Mieszkania nie mam jeszcze!

— Brawo! — zawołała baronowa. — Wprawdzie na trzeciém piętrze, ale nogi masz młode, dwa pokoje jak stworzone dla was, u mnie tu! Przecież balów dawać nie będziesz?

Simonis ramionami ruszył, staruszka z szuflady dobyła pęk kluczów, wyjrzała do przedpokoju, pokazała je Gertrudzie, która się domyśliła, o co chodziło, i Simonisa poufale po plecach poklepała odchodzącego z nią.

— Idź, zobacz; podoba ci się; będziesz miał tanio.

Już odchodził, gdy go za rękę pochwyciła.

— Grasz na jakim instrumencie?

— Trochę na skrzypcach i na klawicymbale, ale muzykę porzuciłem.

— Bobyś mi w nocy spać nie dał, a tego ja nie lubię — żywo rzekła pani Nostitz. — W dzień sobie graj, ile chcesz, ale wy młodzi macie zwyczaj do księżyca przygrywać, a ja tego znieść nie mogę.

Gertruda poprzedziła Simonisa na trzecie piętro, gdzie znalazł dwa pokoiki z małą antykamerą, całe wesołe i miłe. Zachodziło pytanie, co miały kosztować, gdyż z innych względów świadectwo staruszki było bardzo pożyteczném.

Niepytana stara służąca oświadczyła mu, że kancelista, który zajmował dawniéj to mieszkanie, płacił za niego po trzy talary miesięcznie z usługą. Cena więc przystępną była. Składało się wszystko jak najszczęśliwiéj. Baronowa potwierdziła wracającemu Simonisowi cenę i układ został zawarty pocałowaniem ręki. Poufne informacye tyczące się nierozlewania wody na posadzkę, nierobienia dziur w ścianach, oszczędzania sprzętów i restytucyi szkła, któreby stłuc się mogło, udzieliła jeszcze staruszka przyszłemu lokatorowi i Simonis pobiegł się przenosić.

Jakoż wieczorem był już we własném swém mieszkaniu i nie czekając dłużéj, wszystkie pochwytane tu wiadomostki spisywał jak najstaranniéj dla hrabinéj de Camas, tak, że drugiego dnia, rano, Beguelin, mocno zdziwiony, odebrał list do przesłania. Zakłopotał go ten pośpiech widocznie.

— Kawalerze kochany — rzekł — miałbym ci jednę uwagę do uczynienia... jesteś nadto gorliwym, nauczysz ich wymagać wiele, a niezawsze krowy mleko dają. Przytém wiatr nosi po ulicach takie śmiecie czasem, że tego posyłać nie warto.

Simonis zmilczał i list został wysłany.

IV.

Był to czas największéj ministra Brühla potęgi i nikt jeszcze nie przeczuwał, jak skała Tarpejska Kapitolu może być blizko. Wiedziano, że w Saksonii po ojcu Mocnym, panował August III. spokojny, pobożny, lubiący operę i polowanie, szlafrok i fajkę;, lecz widywano go tylko, gdy do Hubertsburga puszczał się na łowy, lub w loży kaplicy, albo w teatrze. Saksonią rządził nie z bożéj, ale królewskiéj łaski Brühl i po kilku próbach strącenia go z tronu, naostatek przyszli wszyscy do tego przekonania, iż póki życia króla, dopóty panowania Brühla.

Król, który jadł, pił, spał wyśmienicie, strzelał dowoli i bawił się operą i błaznami swemi, galeryą obrazów, a jak najmniéj nudną polityką, nie mieszał się do niczego. Zapytywał czasem o pieniądze i usypiał spokojny zaręczeniem, iż jest ich nad miarę i potrzeby.

Wistocie z nieporównaną sztuką i zręcznością pieniądze dobywano z pod ziemi. Opodatkowane było szczelnie wszystko, tak, że pono nawet żebracy od jałmużny podatek płacili; nikt mruknąć nie śmiał, w ostateczności pożyczano grosza u Holendrów, brano go, gdzie tylko się nawinął, i wprawdzie wojsko było niepłatne, ale opera stała świetnie.

Ostatnie odniesione przez Brühla zwycięstwo nad hrabią Lynar, dowiodło, iż w walkę z nim wdawać się było niepodobieństwem.

Hrabia Maurycy Karol Lynar, za cesarzowéj Anny poseł w Petersburgu, po ustąpieniu z téj posady, bez zajęcia mieszkał w Dreznie z tytułem radcy tajnego. Minister wiedział bardzo do-

brze, iż zbierał przeciwko niemu wiadomości i grawamina, które chciał do uszu królewskich przynieść dogodną porą, ale król był obsadzony tak, iż bez pozwolenia ministra, nikt do niego dostąpić nie mógł, a Lynarowi zawsze towarzyszył przez grzeczność sam Brühl, wprowadzał go i wyprowadzał.

Wojsko naówczas od dwudziestu ośmiu miesięcy płatne nie było. Lynar znalazł śmiałego pułkownika, który stan armii jak najdobitniéj opisawszy, w suplice do tronu wzywał litości pańskiéj. Manewrowano tak jakoś zręcznie, iż mimo szpiegów króla otaczających, suplika znalazła się na stoliku w takiéj chwili, gdy królowi nic ją przeczytać nie przeszkadzało.

Można sobie wystawić przerażenie Augusta, gdy marząc o operze, paląc fajkę... odczytał nagle to pismo okropne, a tak stanowcze podające fakta, cyfry i dowody, iż ich nic zbić nie mogło...

Król pobladł strasznie i natychmiast kazał przywołać Brühla, który się niczego nie domyślał. Była to chwila odpoczynku. Minister otoczony swojemi, w najlepszym humorze zabawiał się wesoło, gdy paź wpadł wołając go natychmiast do króla. Brühl najpewniejszy był, iż wojna między Włochami ojca Guariniego i Faustyny wybuchnąć musiała. Ubrał się szybko i zaniesiono go na zamek. Jedno spojrzenie na króla dostateczném było do przekonania, że coś nieskończenie ważniejszego zajść musiało. Król nie mówiąc słowa, podał mu suplikę pułkownika. Kto inny uczułby się przybitym, okazał pomieszanie, dał poznać po sobie trwogę. Brühl zawsze był przygotowany do odegrania takiéj sceny dramatu życia, jaką okoliczności nakazywały. Nie drgnął jeden muszkuł jego twarzy. Spokojnie odczytał do ostatniéj litery i złożywszy papier schował do kieszeni.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł — wiernie służąc waszéj królewskiéj mości, zasłaniając go piersiami memi, dzień i noc pracując, aby najlżejsza chmurka nie zaćmiła horyzontu, musiałem razem z łaską waszéj królewskiéj mości zarobić sobie na nienawiść zazdrośnych, występnych, niegodziwych ludzi. Ci nie wahają się nawet potwarzą mnie obrzucać, byle obalić mogli i w oczach waszéj królewskiéj mości oczernić, aby mi serce jego odebrać. Jestto najnikczemniejsze kłamstwo! ofiaruję się do jutra dostarczyć waszéj królewskiéj mości dowody najautentyczniejsze, iż wojsko żołd aż do ostatniego miesiąca co do grosza odebrało.

Król spojrzał zdumiony i odetchnął.

— Brühl, i to prawda?

— Najjaśniejszy panie, stawię głowę.

— Więc to nikczemna potwarz?

— Albo formalna waryacya! Nie rozumiem — dodał Brühl.— Zaklinam waszę królewską mość, aby to wieczornego strzelania nie przerywało, ani dobrego humoru: jutro się wszystko wyjaśni!

Skłonił się i wyszedł ucałowawszy podaną rękę królewską. W przedpokojach podwojono najściślejsze straże, aby się żywa dusza do króla dostać nie mogła. Brühl kazał się nieść do ministeryum wojny. Pracowano tam całą noc, jak? niewiadomo. Dosyć, że z *ostatnich* miesięcy pokwitowali wszysey płatnicy pułkowi, jako żołd odebrali. W nocy Hennicke zjawił się u pułkownika, który niespokojny czekał skutku swojéj supliki. Otaczała go rodzina, siostry, żona, dzieci w trwodze śmiertelnéj.

Hennicke zażądał pomówić z nim na osobności.

— Panie pułkowniku! — rzekł — oto są kwity z zapłaconych wojsku żołdów aż do ostatniego miesiąca. Mam rozkaz aresztowania go i zawiezienia na Koenigstein, dopóki się sprawa podanéj przez niego supliki i oskarżenia nie wyjaśni.

Pułkownik zbladł, ale rzekł:

— Jadę..

— Panu pułkownikowi wiadomo — dodał Hennicke — że o ile wrota jadącemu do Koenigsteinu szeroko się otwierają, o tyle wyjść przez nie trudno. Gdy tego można uniknąć... Idzie o bardzo małą rzecz; pułkownik podpisze tylko oto to zeznanie, iż czasami miewa napady melancholii i marzenia czarne: to nikomu krzywdy nie czyni.

— Nigdy w świecie! — zawołał pułkownik.

— Jedziemy więc na Koenigstein...

Rodzina nieszczęśliwego, słuchająca pode drzwiami, na samo imię Koenigsteinu przerażona wpadła płacząc i ręce łamiąc.

Hennicke zbliżył się do żony.

— Pani — rzekł — mnie was żal, niech pułkownik darmo nie ginie. Proścież go, niech papiery podpisze, a będzie wolnym.

Dzieci, żona, krewni otoczyli pułkownika, który złamany ich prośbami, zeznanie, iż bywał na umyśle nieprzytomnym, podpisał. Nazajutrz tryumfujący Brühl kwity złożył królowi, wstawiając się usilnie za nieszczęśliwym pułkownikiem, aby mu się nic złego nie stało. Wymógł też na królu, iż mu dano prostą dymisyę z pensyą dożywotnią i naznaczono mieszkanie w dalekiéj mieścinie w górach.

Hrabia Lynar śmiał się z tego cały wieczór i odtąd prób obalenia Brühla nie przedsiębrał więcéj.

Opowiadanie to w parę dni po przyjeździe swym kawaler de Simonis usłyszał od Blumlego. Tegoż dnia, ponieważ minister z królem na łowy pojechał był pod Schandau, Blumli przyrzekł

Simonisowi okazać wszystkie wspaniałości pałacu i rezydencyi ministra.

Wistocie było tam co widzieć i czemu się dziwować. Sama przestrzeń zajęta gmachami, pałacem, ogrodami, galeryą, belwederem, ogromne sumy kosztować musiała. Widok stąd na Elbę i na wyniosłe brzegi okryte lasami był zachwycający.

Trzynaście domów z ogrodami zakupić było potrzeba, aby na ich ruinach tę monarchiczną wznieść rezydencyę, którą Balkonem Drezna nazywano. Jeden z najzdolniejszych budowniczych Knöfele dawał plany gmachów, na które kosztu ani zachodu w doborze materyału nie żałowano. Brühl miał tu teatr, galeryą, bibliotekę, kioski, posągi i fontanny, jak król na Zwingrze.

Simonis zdumiał się przebiegając sale pałacu, powybijane chińskiemi materyami, gobelinami, złoconą skórą, wśród których marmurowe medaliony, olbrzymie źwierciadła, a nad niemi sufity malowane, w blasku najżywszych farb jaśniały. Wszystkie kominy były z porcelany, najwytworniejszemi ozdobami okrytéj; wszystkie piece zdawały się starożytnemi jakiemiś pomnikami. Porcelana była wszędzie, od podłogi począwszy do świecznika u sufitu i figur na gierydonach.

W osobnym składzie mógł admirować osłupiały Szwajcar sławny serwis, który milion talarów był ceniony. Ile tam ludzkiéj pracy w tém misterstwie utonęło, ile dni poszło na te zabawki, ile sztuk wyszafowano marnie na niedojrzane drobnostki!

W każdéj sali, w każdym pokoju inny zegar kunsztowniejszy coraz ściągał oczy, a wszędzie kapało złoto, bo niém i drzwi, zamki i okna były wykładane.

Sprzęty drogocenne i fraszki same były nieobliczonéj ceny.

Blumli, który znał się ze wszystkiemi, pokazał mu teatr, zaprowadził do stajen, w których stało trzysta koni, i szepnął pocichu, że ta cała ciżba sług należała do pierwszego ministra. Dwunastu kamerdynerów, dwunastu paziów, marszałek dworu, koniuszowie, berejterzy, kucharze, pisarze, lokaje, w liczbie okrągłéj stu głów, zapełniali wszędzie przedpokoje i podwórza. Większa część dworzan składała się ze szlachty niemieckiéj i polskiéj. Wolano naówczas służbę Brühla niż królewską. W kredensach stosy złoconych i srebrnych talerzy, puharów, dzbanów, roztruchanów, przypominały skarby królewskie.

Weszli nareszcie do garderoby.

Brühl był jednym z pierwszych, jeśli nie najwybredniejszym z elegantów ówczesnych. Suknie wszystkie sprowadzał z Paryża. Każdy ubiór miał właściwe do barwy i smaku: zegarek, tabakierkę, trzcinę i szpadę. Dwie sale ogromne ledwie starczyły na pomieszczenie sukien ministra. Na stole oprawna w safian leżała książka, w któréj wszystkie stroje w miniaturach były odmalowane; Brühl wskazywal tylko, który sobie wybierał. Ceniono te dwie sale na pięćdziesiąt tysięcy talarów. Spis, który Simonis mógł przejrzéć, zawierał pięćset ubrań, z których blizko dwóchset szytych, stokilkadziesiąt szamerowanych, sześćdziesiąt przeszło bogatych bardzo, czterdzieści jedwabnych, trzydzieści kilka aksamitnych i t. p. Do tego należały niezliczonych kształtów kapelusze, stosy piór do nich, futra, zarękawki, masy koronek, przeszło sto zegarków, ośmset tabakierek, szpady, laski, flaszeczki i trzysta flasz wody *de la reine d'Hongrie*, bez któréj zapasu minister żyć nie mógł.

Przepych był olśniewający; ten pierwszy sługa króla Augusta III wspanialéj daleko żył, niż król Fryderyk II, który chodził w butach podartych. Blumli zaprowadził go jeszcze do osobno stojącéj biblioteki w ogrodzie, złożonéj z 70,000 tomów, któréj katalog sam sześćdziesiąt jeden foliantów składały. Nietykany ten skarbiec odziany był cały w safian ponsowy i szamerowany złotem, jak suknie ministra. Brühl musiał miéć wszystko i to, co miał, najwspanialszém być musiało. Ponieważ hrabia Henryk von Bünau-Dahlen pod Dreznem mieszkający w Nöthnitz przepyszną słynął biblioteką, przy któréj Winkelman był sekretarzem i zawiadowcą, Brühl nie dając mu się prześcignąć, skupił księgozbiór i trzymał do niego uczonego Heyne. Ponieważ król lubił i kupował obrazy, minister także musiał miéć galeryę mistrzów, którą tak jak król sztychować kazał.

Galerya mieściła się w budynku osobnym, w którym niekiedy wielkie dawano obiady i wieczerze. Sala miała długości przeszło półtorasta łokci, i co sobie naówczas powtarzano ze zdumieniem, była o całe ośmnaście łokci dłuższą od słynnéj galeryi źwierciadlanéj w Wersalu. Obrazy w złoconych ramach z herbami pana wisiały tylko naprzeciw ogromnych okien wychodzących ku Elbie. Pomiędzy oknami temi ściany wykładane były źwierciadłami do sufitu, a przed każdą z nich na marmurowym postumencie stały posągi i popiersia starożytne.

Król niekiedy przychodził się bawić widokiem tych pięknych płócien, o których wiedział, że mu je Brühl testamentem swym przeznaczył, choć późniéj los zrządził inaczéj.

Przebiegając ogród, pałac, gmachy, kawaler de Simonis osłupiał, oniemiał i zaczynał nabierać takiego pojęcia o potędze Brühla i Saksonii, że mu się Prusy wydały zuchwałemi, śmiejąc się porywać na te splendory. Ci, co je posiadali, musieli przecież myśléć o ich zachowaniu i obronie. Niepojętém i to było dla niego, że

gdy w Sans-Souci i kołach wyższych nad Spreą, wszystko się zdawało zbierać na wojnę i do niéj gotować, tu nic nie widać było, coby ją przeczuwać dozwalało. Zabawy i sprawy podatkowe, to jest ssanie pieniędzy, a utrzymanie karności i posłuszeństwa, były jedyném zajęciem stojących u góry urzędników. Blumli zaraz mu dał uczuć, iż po nawyknieniu do pewnéj swobody gęby i mowy w Berlinie, gdzie król śmiał się z satyr i pamfletów, dozwalał paplać, co się komu przywidziało, byle słuchał i płacił, — Saksonia wymaga nowéj nauki życia. Tu mówić *de publicis*, a wogólności co się w urzędowym języku nazywało *„raisonniren"* najsurowiéj było wzbronione. Rezonujący, szczególniéj o podatkach i o sprawach polskich, dostawali się bez sądu do Koenigsteinu. *Nicht raisonniren!* było hasłem i maksymą! Za śmiałe słowo Fryderyk karcił czasem kijem, częściéj śmiał się z niego, bo słowo dlań nie miało wagi. Sam on słowem tém kunsztownie władał i znał, ile ono waży i może, a jak długo trwa. Nieposłuszeństwo karał śmiercią, paplaniną pogardzał. Tu inny świat, cały zbudowany z fikcyi i na kłamstwach, lękał się prawdy pękającéj jak bomba, którąby tę budowę wątłą w gruzy obrócić mogła. Z jednéj strony był cynizm posunięty do najostatniejszego kresu, bo do bezwstydu i szyderstwa z wszelkiego sromu; z drugiéj fałsz ubrany za boginię pełną wdzięku, malowaną, całą w szychach, w farbowanych strzępach pokrywających łachmany i uśmiechach sączących z siebie śmierć i truciznę...

Dwa takie światy musiały z sobą wystąpić do walki, choćby Szlązka do zdobycia i utrzymania, Czech do zawojowania, Saksonii do wyssania nie było. Zło w dwóch odmiennych postaciach musiało wystąpić do boju i niszczyć się wzajemnie. Brühl był reprezentantem najidealniejszym kłamstwa, Fryderyk cynizmu; ani dziw, że się nienawidzili... Ale Brühl nienawiść swą okrywał głębokiém napozór poszanowaniem; Fryderyk nazwiska nawet pierwszego ministra nie chciał wymówić nigdy, jednego tylko z wierzchowych koni przezwał Brühlem. Brühl spiskował przeciwko niemu pocichu, ostrożnie, wykrętnie, ściągając krok stanowczy do chwili ostatniéj; Fryderyk gniewny nie chcąc go znać ani widzieć, zemstę zań kładł na barki Saksonii.

Mając za sobą Austryę, Francyę, Rosyę, Szwecyę, pierwszy minister był pewnym, że pokona łatwo Brandeburczyka. Nie trwożyło go to, że nad 15,000 wojska nie miał więcéj; kilkakroć sto tysięcy otoczyć miało na dany znak Fryderyka. Spać więc na Brühlowskim tarasie, w tém złocistém gnieździe, mógł spokojnie. Tak mu się zdawało...

W Dreznie nie zadawano sobie nawet pracy, zbyt skrzętnie

dowiadywać się o to, co się działo w Berlinie. Tajemnica spisku i aliansów zdała się doskonale zachowaną. Nie domyślano się wcale, iż Fryderyk miał wszędzie swoich, co mu o najdrobniejszych donosili wypadkach; że z kancelaryi samego Brühla szły kopie wszystkich aktów i listów do Berlina; że najmniejszy ruch, myśl, ledwie się zrodził, był zdradzonym. W Berlinie był niepokój pokrywany pozorem obojętności i zaufania w sobie, w Dreznie ślepota dziwna i zarozumiałość niesłychana.

Ale nad Spreą oddawna w najściślejszéj tajemnicy czyniono przygotowania; bataliony i pułki ciągnęły nieznacznie na granice, małemi oddziałami, nocami, rozpierzchłe, tak, aby w kraju o nich nie wiedziano prawie. Główna armia kupiła się pod rozkazy króla i jego wodzów; w przedpokojach paziowie szeptali już o Szlązku: lecz poza taras w Sans-Souci nie wyszło stąd nic. W Dreznie tymczasem kupowano obrazy, gotowano się do nowéj opery i król polował, a Brühl pieniądze przesypywał oblane łzami i potem biednych ludzi.

Simonis, który był chłopakiem pojętnym, patrząc na to, co się tu działo, doznawał dziwnego wrażenia. To bezpieczeństwo, ta obojętność zdawała mu się na czémś opartą, a więc straszną. Lękał się więcéj o Berlin niż o Drezno.

Sardanapalowski przepych ten onieśmielał go i przerażał.

Poza nim nie mógł ani domyślić się, ani uwierzyć w taką lekkomyślność olbrzymią, w takie zaślepienie niepojęte, jakie wistocie miał przed sobą. Blumli pozapoznawał go z urzędnikami otaczającemi Brühla i Brühlową: byli to wszystko panowie tak dumni, strojni, ukameryzowani, uperfumowani, wyzłoceni jak ich pan i pani. Pieniądz zdawał się tu nie mieć wartości, a zdobycie jego było rzeczą silnéj woli. Z rozmów pochwytywał, że gdy potrzeba gwałtowniejsza wypadła, urzędnik akcyzy lub poborca jechał z oddziałem żołnierzy na prowincyą i wracał z sumą żądaną.

Co chwila szeptał mu Blumli:

— Oto ten nie miał przed dwoma laty koszuli na grzbiecie, a dziś ma dwóch kamerdynerów i karetę.

Przebywszy ranek cały ze Szwajcarem, Simonis zbogacony wrażeniami i pochwytanemi plotkami, pośpieszył do domu, gotując się do obszernéj korespondencyi. Już miał wejść na trzecie piętro, gdy drzwi się otworzyły na drugiém i głucha Gertruda dała mu znak, że jéj pani prosi go do siebie.

Staruszkę zastał tym razem już nie w owym domowym czepcu białym ze wstążkami, ale w wysoko napiętrzonéj peruczce, ubraną starannie, z mnóstwem pierścieni na palcach i wachlarzykiem w ręku. Stała w progu kiwając na niego, poza nią widać

było młodziuchną, rumianą, śliczną twarzyczkę dzieweczki lat może ośmnastu, której puder jeszcze świeżości i barwy dodawał. Daléj stał poza nią w mundurze gwardyi saskiéj oficer młody, niepowabnéj ale marsowéj twarzy, blady, żółty, jakby wymęczony, z konwulsyjnemi jakiemiś poruszeniami, które mu nie dodawały uroku. Dzikie wejrzenie, wydymanie ust, ściąganie twarzy jakby mimowolne, długo nań bez przykrości patrzéć nie dozwalały. Rzuciwszy nań zdala tylko wzrokiem Simonis poczuł jakiś wstręt i obawę. Za to ta różyczka z oczyma niebieskiemi, biała i różowa jak cukierek, drobnych kształtów, śliczniuchna, zachwyciła wchodzącego. Oczu od niéj nie mógł oderwać. W pośrodku saloniku stół był właśnie na trzy osoby, a Gertruda, znać domyśliwszy się sama, czwarte niosła nakrycie.

— Chodźże waćpan, kawalerze de Simonis — odezwała się baronowa — ale chodź: czatowałam na niego. Mam tu gości, a czwartego do stołu nam brakło; musisz zły obiad zjeść z nami. —I poczęła go prezentować, a potém wskazując na panienkę, odezwała się: — Synowica moja, panna Pepita Nostitz (włoskie imiona były w modzie), tak zapalona Saksonka, jak ja jestem Prusaczką. A to — dodała — mój dobry przyjaciel, pan kapitan baron Feulner.

Simonis skłonił się obojgu, ale na piękną Pepitę patrzał jak w tęczę, a że był młody i wiele miał téż wdzięku, baronowa obdarzyła go wcale uprzejmém wejrzeniem. W każdym razie, wolała pewnie patrzéć na niego, niż na niespokojnie wywijającego twarzą barona Feulner'a, który tymczasem cienkiego wąsa pokręcał, nie mając co począć z rękoma. Staruszka kazała zaraz siadać do stołu i rozporządziła tak, że po prawéj ręce miała synowicę, po lewéj Simonisa, naprzeciw barona. Gość więc nasz wystawiony był na ogień tych oczu niebieskich, na pozór łagodny, pociągający, ale rodzący niepokój jakiś i prawie obawę.

Panna pomimo młodości swéj, a może właśnie dlatego, że była niedoświadczoną, patrzała tak śmiało, uśmiechała się tak swobodnie, jakby ją nowy przybysz wcale nie obchodził.

— Mówże nam waćpan — odezwała się stara — gdzieś był? co widziałeś, kogoś poznał?

— Jeszcze myśli zebrać nie potrafię — odparł Maks — po tylu wspaniałościach na Brühlowskim dworze, w głowie mi się zawraca.

Staruszka i Feulner spojrzeli po sobie znacząco.

— Tak—wtrącił Feulner — jeżeli się nie mylę, pan jakiś czas bawiłeś w Berlinie; po tamtéj stolicy dziwnie się to wydawać

musi. Przyznam się, że dla Saksonii wolałbym koszary niż teatr, i obóz niż galeryę.

Stara pogroziła na nosie.

— Kapitanie, *Nicht raisonniren!* Ostrożnie! Wprawdzie Gertruda głucha, ja milcząca, kawaler de Simonis obcy, Pepita, to papla i Prusaków nie cierpi. Myślę nawet, i mnie kochać nie może, jakby powinna, dlatego, żem się Prusaczką urodziła.

— Ależ, kochana stryjenko — przerwała porywczo ładna panienka — ja tak mało znam świat, że dla nikogo nienawiści mieć nie mogę;—że swój kraj kocham i że mi się tu wydaje lepiéj, ładniéj, miléj, czyż to grzech?

Staruszka pocałowała ją zdaleka.

— Ja tobie wszystko przebaczam.

Gertruda wniosła zupę i rozmowa się przerwała na chwilę, ale oczy kawalera de Simonis prowadziły ją daléj z panną, która się wcale nie obawiała téj wymiany wejrzeń i nie spuszczała powiek przed natrętem. Czy się to kapitanowi Feulnerowi podobało, nie wiem; ale krzywił się straszliwie. Zaczęto mówić o dworze.

Pepita należała do frejlin królowéj.

— Cóż tam porabiacie? — pytała stara.

— Modlim się i zbieramy plotki, bo czémżebyśmy żyły? — odpowiedziała baronówna — nie wesoło u nas, za to na tarasie u ministra wszystko wesele się chroni...

— Masz słuszność. O! udało ci się — zawołała staruszka — wistocie i wesele i życie, i bogactwo téj biednéj Saksonii pochłania...

Dziewczę się rozśmiało i przerwało stryjence:

— *A! nicht raisonniren!*

Baronowa się téż rozśmiała.

— Masz słuszność, o tém mówić nie wolno; choć stara, mogłabym pójść na wygnanie.

Kapitan Feulner jadł zupę, a z pod oka wpatrywał się w Simonisa... Znalazł zręczność wkrótce, pochyliwszy się ku niemu zapytać:

— Dawno z Berlina?

— Dni parę!

— Tam, co słychać?

— A! — rzekł Simonis — w Berlinie zupełnie nic nie słychać... oprócz maszerowania żołnierzy...

— A w Sans-Souci?...

— Jeszcze mniéj: charciki króla szczekają.

— Żadnych nowin politycznych?

— Cisza zupełna...

Feulner się zamyślił.

— Dziwna rzecz: u nas nigdy się tak nie krzątano, jak dzisiaj, choć niéma koło czego.

Spojrzał na baronową.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tam cisza pokrywała jakąś robotę, a nasza krzątanina osłaniała próżniactwo...

Spojrzenie staréj gospodyni zamknęło mu usta. Pepita spytała Simonisa, czy się bawiono nad Spreą...

— O balach i zabawach nie słychać wcale — odparł Simonis— królowa czasem przyjmuje po obiedzie... u księcia Henryka bywają zabawy huczne, ale na samym dworze nie byłoby się komu bawić!..

— A stary Pöllnitz żyje też? — spytała baronowa.

— W najlepszém zdrowiu, może dlatego, że mu król gorzkich pigułek nie szczędzi — rzekł kawaler.

Kapitan Feulner zapytał o gienerała Lentulusa i Warnery, baronowa o lorda Marichal, a po nich z kolei imiona Winterfeldta, von Anhalt, Coccei... wyrywały się z ust, tak, że widać było, iż dwór Fryderyka nie był pytającym obcy.

— A widziałeśże pan kanclerzową Coccei? — spytała baronowa.

— Miałem raz to szczęście — rzekł Simonis.

— I wiesz waćpan, kto ona jest? — szepnęła pani Nostitz.

— Niegdyś słynna Barberini.

— Tak, tak, słyszéć musiałeś jéj historyą — dodała z gadatliwością wiekowi właściwą baronowa — ja naówczas byłam w Berlinie i wiem ją nalepiéj. Niech tylko Pepita nie bardzo słucha, to ją opowiem. — Uśmiechnęła się baronowa. — Mówią o Fryderyku, że się nie kochał nigdy, no, ale bałamut z niego, jak i drudzy... Któż nie wie, że z Drezna sobie Formerę zabrał i w Orzelskiéj był na zabój zakochany... A pani Wrech?... Tylko że u niego miłość zawsze trwa krótko. Już nie wiem, kto królowi zachwalił tak tę baletnicę, która się naówczas popisywała w Wenecyi... tę signorę Barbarę de Campanini, którą u nas przezwano Barberiną. Prawda, że Campanini naówczas już nietylko w Wenecyi, ale w Paryżu i Londynie w teatrze Common Garden zbierała oklaski. Zdaje się, że Bielefeld nią królowi nabił głowę. Pruski rezydent w Wenecyi już ją był umówił i kontrakt podpisał, na 7,000 talarów rocznie, gdy się jéj za Szkota Mackenzie za mąż wyjść zachciało. W Berlinie czekano na nią, a tymczasem... fru! panna uciekła. Król sobie nie pozwala uchybiać łatwo, nawet baletniczkom. Bawił naówczas na terytoryum pruskiém, przeznaczony posłem do Londynu od rzeczypospolitéj weneckiéj cavaliere Campello. Fryderyk zasekwestrował mu bagaże, pókiby mu Barberini nie wydano. Stał się hałas okrutny. Wzięto jéjmościankę pod wartę i rzeczpospolita odprawiła ją do granicy austryackiéj, skąd uprzejmi Austryacy odwieźli ją na granicę saską, a Sasi wręczyli ją w całości naszym Prusakom. Mackenzie jechał, wzdychając, za nią. Tymczasem przybyła z matką do Berlina. Kazano jéj wystąpić: podobała się królowi: zamiast siedmiu, dano jéj dwanaście tysięcy talarów i kawaler szkocki został odprawiony. Barberini nietylko była piękną, zręczną, ale roztropną, dowcipną, wesołą i król do niéj przychodził na wieczorki. Miała szczęście być zapraszaną do „Confidenztafel“ razem z panią Brand i wdową po hrabi Truchsessie. Na maskowych balach u dworu król też do niéj chodził do loży... Nie przyznał się do tego Fryderyk nigdy, ale „charmante Barberina“ tkwiła mu w sercu i listy od niego często odbierała. Kochali się w niéj nazabój wszyscy, miała w kim wybierać. Rottenburg, hr. Algarotti, cavaliere Chazot, bez miary Włochów, Francuzów, Rosyan, Anglików, padało przed nią. Prawda, że była uroczą... A co Coccei dla niéj wyrabiał! Na jednéj reprezentacyi w teatrze dworskim signora tańcowała... Coccei zawsze stawał w pierwszym rzędzie, żeby żadnego ruchu jéj pięknych nóżek nie stracić. Jednego razu obok siebie spostrzega drugiego takiego zapaleńca, który oczy wywraca i od przytomności odchodzi... Barberini kilka razy spojrzała na niego. Tego już Coccejemu było zanadto. Pochwycił go w olbrzymie ręce i cisnął jak piłkę na scenę pod nogi Barberinie. Fryderyk patrzał z loży, wszyscy struchleli; sądzono, że Coccei zginął! Ojciec poleciał na klęczkach błagać o przebaczenie... posłano go tylko do Głogowa do twierdzy, aby ostygł nieco... Coccei jest dziś jéj mężem, ale czy on szczęśliwy, i czy ona nie wzdycha, nie wiem.

Staruszka zmordowana zamilkła wreszcie. W czasie tego opowiadania, którego nie wiem, czy Simonis słuchał z uwagą, oczy jego ciągle były zwrócone na piękną Pepitę, tak, że choć mało mówili z sobą, zrobili wszakże, jeśli nie blizką znajomość, to przygotowanie do niéj, wiele obiecujące...

Staruszka, która lubiła mówić o przeszłości, już miała począć drugą historyjkę podobną, gdy kapitan Feulner sprowadził rozmowę na domowe sprawy.

— Panna baronówna — rzekł — musisz to wiedzieć najlepiéj: wszak się nie mylę, ktoś z Wiednia w tych dniach musiał być u królowéj?

— Nie wiem dobrze o tém—odpowiedziała baronówna.—Zresztą nie byłoby nic dziwnego, bo między królową a jéj rodziną muszą istnieć stosunki.

— Słyszałem — dodał Feulner — że nigdy one częstsze i gorętsze jak w tej chwili nie były.

Popatrzał na baronową znacząco.

— Ja o tém sądzić nie umiem — szepnęła Pepita.

Tymczasem obiad skromny zbliżał się do końca, baron zdrowie gospodyni wypił z Simonisem... przyniesiono owoce...

— Król Fryderyk ma najpiękniejsze w Niemczech gruszki, brzoskwinie i winogrona — odezwała się baronowa — i pewnie ich więcéj spożywa, niż którykolwiek z jego poddanych.

Na tém się skończyła pogadanka u stołu, gdyż wstawać trzeba było, a Gertruda dawała do zrozumienia, iż dłużéj czekać nie może. Podnieśli się więc wszyscy.

Kapitan zbliżył się do gospodyni, którą na chwilową, cichą rozmowę odciągnął ku oknu, a Simonis korzystał z téj zręczności, aby się zbliżyć do baronównéj i słów kilka z nią zamienić.

Oboje z naiwnością dziecinną niemal nie taili przed sobą, że się podobali sobie. Pepita spytała, czy zabawi w Dreznie; kawaler miał odwagę wyznać, iż radby ją widzićć znowu, a nie wie, gdzie będzie mógł spotkać.

— O! wszędzie! — odpowiedziało dziewczę — a najłatwiéj u stryjenki...

Maksowi, niesklonnemu wcale do łatwego zawrotu głowy, tym razem i serce biło, i młodość czuć się dała ze swą gorączką. Dziewczę tak było ładne, a tak zdawało się przystępne i miłe...

Wśród bardzo żywéj rozmowy, wpadła, śmiejąc się gospodyni i zawołała:

— O! o! proszę mi tylko nie bałamucić synowicy... bardzo proszę.

Z drugiéj strony kapitan Feulner wziął go pod rękę i szepnął:

— Chodźmy, mamy do pomówienia z sobą.

Kawaler się żegnał z paniami, choć niechętnie, gdy baronowa przystąpiła do niego i cicho na ucho dodała:

— Polecam wam kapitana!!? To *nasz* dobry przyjaciel.

Z tém wyszli; kawaler nie dobrze zrozumiał, co miało znaczyć to wyrażenie, gdy baron zażądał, aby razem wstąpili na górę. Simonis zgodził się na to chętnie... Milcząco przeszli schody, i gdy się w pokoju na spoczynek wygodny u okna rozsiedli, kapitan, obejrzawszy się dokoła, pochylony ku Simonisowi, mówić zaczął głosem zniżonym:

— Baronowa mówiła mi o panu... wiem, że mu zaufać mogę. Nie potrzebuję od niego żadnych zwierzeń, ale sam usłużyć może potrafię informacyą potrzebną...

Simonis zdziwił się trochę...

— Niech to pana ani trwoży, ani zdumiewa — spokojnie począł baron — we wszystkich warstwach, u góry i u dołu, znajdziesz pan ludzi, którym ten stan kraju dokuczył i których sympatye są gdzieindziéj. Jest nas tu więcéj, niż sądzisz, co pracujemy, aby nieznośnemu uciskowi i wyzyskiwaniu kraju przez niegodną gawiedź, koniec położyć... Myśmy protestanci, dwór jest katolicki; aby niechby był czém chciał, gdyby Boga miał w sercu. Gdybyś przejechał Saksonią i zobaczył jéj nędzę, a postawił ją przy tym zbytku i marnotrawstwie, jakie tu panuje, pojąłbyś dopiero, co mamy w duszy. Muzyka odzywa się nam jękiem, myśliwskie rogi chrapaniem konających... Po tych galonach złotych płyną łzy ludzkie. Tak dłużéj być nie może. Król nie winien nic, to stare dziecko, które kołyszą, aby nie płakało, a gdy zapłacze, dają mu niedźwiedzia, tak jak dziecinie lalkę...

Baron wstał i odetchnął, a czoło potarł...

— Jestem wojskowym — dodał — wojsko bezpłatne, umiera z głodu... z głodu nęka włościanina i miasta... Wolno mu wszystko, byle się o żołd nie upomniało. Wojsko to nic nie jest warte... Ubrane w paradne mundury, może zdaleka błyszczéć, ale dwóch kampanij nie wytrzyma...

Simonis słuchał nie śmiejąc się odezwać.

— Możesz mi wierzyć, że mówię prawdę i na wiarę słów moich *pisać*.

Tym wyrazem dał uczuć Simonisowi, iż jest wtajemniczonym. Kawaler chciał zaprzeczać, Feulner się rozśmiał...

— Pochwalam waszę ostrożność, ale ona ze mną nie jest potrzebną — dodał. — Skądżebym wiedział o was, gdyby mi znać nie dano, że otwarcie mówić mogę. Na mnie, na wielu innych rachujcie — dodał kapitan. — W Berlinie wiedzićć powinni wszystko. Na nas tu są oczy zwrócone, wy jesteście tu obcy, przez was płynąć tam powinny informacye... Ostrożność jednak nie zawadzi. Słodki Brühl nie waha się sprzątnąć człowieka, gdy mu zawadza, a potém w katolickim kościele i w ewangielickim odprawi zań nabożeństwo. W przyszłym liście piszcie, co słyszycie i widzicie. Zapewnijcie, że traktat w imieniu Saksonii nie jest podpisany, ale ta formalność nic nie znaczy... Brühl związany jest z Austryą i Francyą, to nie ulega wątpliwości. Jeśli Fryderyk da im czas wojsko zgromadzić i obsaczyć siebie, zginął, a z nim i monarchia pruska.

W ten sposób, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, kapitan Feulner mówił długo jeszcze, wreszcie wziął za kapelusz i pożegnawszy Simonisa, wysunął się od niego...

Rozmowa ich z sobą trwała z godzinę; dzień był jeszcze jasny,

piękny, i kawalerowi nie chciało się wziąć do pisania, które rad był odłożyć do nocy. Po krótkiém więc wahaniu, wyjrzawszy oknem i widząc, że kapitan był już daleko, Simonis wziął za kapelusz, myśląc pójść obejrzéć okolicę. Mówiono mu wiele o bażantarni... Było to wspaniałe dzieło Augusta Mocnego, jego *Parc aux cerfs*, w którego pustych teraz domkach, dwóch jezuitów i kilku Włochów zamieszkiwało.

Już się spuszczał zwolna ze schodów i minął był drugie piętro, gdy za nim drzwi się otworzyły, zaszeleściała suknia jedwabna i serce mu powiedziało, wprzód nim się obejrzał jeszcze, że piękna Pepita wychodziła.

Wistocie onato była... Stara, głucha Gertruda, otulona chustką, służyła jéj za towarzyszkę. Simonis się zatrzymał, podnosząc kapelusik i chciał ją puścić przodem, aby miéć przyjemność jeszcze raz spojrzéć w te prześliczne oczy... Panna baronówna przyśpieszyła kroku, spojrzała nań i zrównawszy się z nim, po chwili wahania, zaczęła iść powoli, miejsce mu zostawiając obok siebie.

Simonis nie śmiał jéj zaczepić słowem, dziewczę było odważniejsze od niego.

— Rada jestem, że się spotykamy, kawalerze de Simonis — rzekła nieco zniżonym głosem. — Przyznam się panu, nie bierz tego ze złéj strony, ani zbyt pochlebiaj sobie: obudziłeś pan sympatyę we mnie.

Simonis zarumienił się cały. Pepita spojrzała nań i rozśmiała się dziecinnie.

— Ta sympatya jest powodem, że pana przestrzedzbym chciała. Tak: przestrzedz... chociaż się wydaję takim młodym trzpiotem, jak mnie pan widzisz: przy dworze prędko się ludzie starzeją. Otóż! jakby to powiedziéć panu? Stryjenka nadto lubi Prusaków... jéj to wolno... lękam się, aby kapitan także nadto się w nich nie kochał. Niezmiernie mi łatwo się domyślić, co pan tu robisz i poco przyjechałeś w téj chwili.

— Pani! Ja podróżuję! ja nie mam innego celu, nad miłe przepędzenie czasu i naukę...

— Och! och! — rozśmiała się panna — a przybyłeś z listem do stryjenki? Nie mówmy o tém: ja dużo widzę, choć młode mam oczy. Mówią o nas, że tu wszyscy ślepi... że się tak szalenie bawimy, iż nie poczujemy, jak nam pod stopami runie posadzka balowa. Może to być... potrosze; ale są ludzie, co patrzą i czuwają. Stryjence się nic nie stanie; kapitana Feulnera już bardzo mają na oku; wiem o tém, ale go przestrzedz nie mogę... Co mi tam! Panaby mi żal było... gdybyś się tam dostał — szepnęła ciszéj — skąd powrócić trudno... trudno.

Spojrzała mu w oczy...

— Pan jeszcze może nie jesteś w niebezpieczeństwie, ale za jutro nie ręczę. Szkodaby mi was było.

To mówiąc, wstrzymała się, jakby przestraszona, obie ręce przyłożyła do ust; potém jedną z nich chwyciła rękę kawalera i rzekła żywo:

— Słowo rycerskie, że mnie pan nie zdradzisz!

— Pani, byłżebym najnikczemniejszym z ludzi? Przysięgam!

— Bądź ostrożnym...

I szybko, tak, że osłupiały Simonis gonić jéj nie mógł, zbiegła po schodach na dół, nie oglądając się nawet. Gertruda mrucząc i chwytając poręcze, przeklinając trzpiotowatą młodość, zeszła za nią, a Simonis powoli, nie mogąc przyjść do siebie, spuścił się za niemi i wyszedłszy w ulicę, już ani śladu pięknéj panny i jéj towarzyszki nie znalazł; ukryły się gdzieś za kamienicami.

Niespodziana ta przestroga, równie jak rozmowa z kapitanem, dawały mu tyle do myślenia, iż nie rychło się poruszył, aby iść daléj. Maks nie był nazbyt odważny, a z natury przebiegły raczéj, nawykł był każdą czynność obrachowywać wprzód bacznie. Wdzięczen był pięknéj panience, lecz przestroga ta szyki mu mieszała; potrzebował surowo roztrząsnąć wprzódy, co mu daléj czynić wypadnie. Uspokajało go to jedno, że na pokrycie skrytych celów podróży miał znajomość z Blumli i stosunki, jakie ten mu przyrzekał wyrobić na dworze Brühla. Ostrożność kazała może opuścić mieszkanie u baronowéj, ale z niém razem potrzeba się było wyrzec spotykania i widzenia z piękną Pepitą, a niebieskie jéj oczy nadto głęboko tkwiły mu już w młodém sercu. Nawet ta przestroga tak śmiała mocniéj go jeszcze przywiązywała do niéj. Cóż począć było? Czy wzgardzić niebezpieczeństwem, czy uchodzić od niego?

Nie szło tu zresztą o osobę samego pana kawalera, choć i ta wielce mu była drogą, ale o sprawę, którą zdradziłby musiał, o zawód, jakiby uczynił. Jakkolwiek obrachowany i przygotowany do dorabiania się w świecie jakimkolwiek kosztem stanowiska, Simonis jeszcze poczuwał się do obowiązku wierności téj sprawie, któréj raz się był podjął.

Na słońcu i owiany powietrzem, spojrzawszy na wesoły świat, odetchnął jakoś swobodniéj; groźba, w ciemnych schodach na ucho mu rzucona przez ładną panienkę, wydała się czczym postrachem! Pięknéj Pepicie przywidywało się chyba. Wszystko, co dotąd tu widział, okazywało taką obojętność, taką apatyę jakąś, iż szpiegowanie obcych wydało mu się niepodobieństwem.

Poradzić się nie miał z kim.

Beguelin nie był człowiekiem do rady i nie budził zaufania; kapitanowi tak świeżo poznanemu zwierzyć się było niepodobieństwem. Simonis rozmyślał jeszcze, gdy na zawrocie z rynku, który przechodził powoli, spostrzegł owego milczącego staruszka, współtowarzysza podróży z zaciśniętemi usty, z którym razem przybył do Drezna. Przybrany był teraz daleko wytworniéj i przedstawiał się jako poważny stary urzędnik, co najmniéj radca gabinetowy, a mina, z jaką poglądał na ludzi, świadczyła, że nad nich wiele wyższym się mniemał. Szedł zwolna, nie śpiesząc, opierając się na lasce z gałką złoconą, jak człowiek, który nie ma nic do czynienia i któremu wcale nie jest pilno. Oczyma powlekał po domach ulicy, przechodniach, a niekiedy machinalnie sięgał do kieszeni, dobywał z niéj tabakiery i pociągał hiszpanki, któréj ślady starannie z kamizelki strzepywał.

Zagadkowa ta postać postrzegła snać i poznała towarzysza podróży, z uwagą w niego wlepiła oczy, i zdawała się nawet chcieć przybliżyć. Simonis, nie doświadczywszy w drodze najmniejszéj ze strony jego grzeczności, nie myślał wcale zabierać znajomości. Lecz, że z zasady był grzecznym dla wszystkich, pamiętając, iż go uczono, jako nigdy przewidywać nie można, kto kiedy komu przydać się może, mijając starego dziadka od orzechów, przyłożył rękę do kapelusza i pozdrowił go, idąc daléj.

Stary oddał ukłon ten daleko uprzejmiéj, niż się po jego obejściu w podróży spodziewać było podobna, przyśpieszył nieco kroku i dogonił kawalera.

— Jakże panu podróż posłużyła? — zapytał dziwnym głosikiem cieniuchnym — jak się nasze Drezno podoba?

Zdziwiony trochę Simonis odparł, że czuł się zdrów i że stolica Saksonii, którą znał mało, wielce mu się zdawała powabną.

— A tak! tak! my Drezdeńczycy możemy się nią pochlubić — rzekł stary. — Jak mnie pan widzisz, z dziadów - pradziadów tutejszy jestem, rzadko wyjeżdżam, a i tym razem—tu zniżył głos— tym razem przypadkiem tylko byłem w Berlinie, odwiedzić chorego przyjaciela. Co gorzéj — szepnął zafrasowany — będąc urzędnikiem, pojechałem bez pozwolenia, bez wiedzy moich zwierzchników, i radbym, żeby o téj podróży nie wiedziano wcale. Dlatego to ośmieliłem się go zaczepić, w przypadku gdybyśmy się gdzie w świecie spotkali, obliguję mocno, abyście mnie nie wydali.

— A! panie — roześmiał się Simonis — nie mam szczęścia go znać, mało gdzie bywam i wątpię, ażebyśmy się spotkali. Daleko prędzéj inni towarzysze podróży...

— O! co! — roześmiał się stary — to są ludzie ze sfer innych: rzemieślnik, aktorka, z temi się pewnie nie znajdę nigdy razem i o tych mi nie idzie.

— Co do mnie — rzekł Simonis — możesz pan być spokojnym.

— Pan tu długo myślisz pozostać? — spytał stary — i, jeśli wolno spytać, jaki cel jego podróży?

— Na pierwsze pytanie odpowiedzieć mi dosyćby było trudno — odparł Simonis — co do drugiego, odgadniesz pan łatwo. Jestem młody, szukam zajęcia. Nie znalazłem go w Berlinie, któż wie?

— Masz pan znajomych?

— Ziomków — rzekł de Simonis. — Jestem Szwajcar, nas wszędzie pełno. Piękny kraj nasz mało daje chleba, instytucye republikańskie pozbawiają nas dworu. Młodzież nasza służby po świecie szukać musi.

Stary słuchał z uwagą.

— Tak, tak! — rzekł głosem suchym — mamy dwór liczny, a jego ekscelencya pierwszy minister żyje też po monarchicznemu. Dlaczegoby się pomieszczenie znaléźć nie mogło? Talenta pewnie są...

— Młodość! siły! ochota! — odpowiedział Simonis.

Rozmawiając tak, szli daléj ku bażantarni i już się znajdowali wśród pola, które przegradzało las od miasta, gdy w ulicy bocznéj zjawił się kapitan Feulner... i niezmiernie zdziwiony, zobaczywszy Simonisa w towarzystwie starego, podniósł obie ręce do góry.

— Jakto, panie radco, już i wy tego kawalera znacie? a to przedziwnie!

Twarz starego pobladła, jedną ręką dał jakiś znak mówiącemu, drugą machinalnie sięgnął, nic nie odpowiadając, po tabakierkę.

Simonis stał zdumiony.

— Zupełnie przypadkowe spotkanie — odezwał się powoli radca — zupełnie przypadkowe: pierwszy raz w życiu! Ani ja nie wiem, z kim miałem honor rozmawiać, ani szanowny ten pan.

— A to więc chyba Opatrzność was zbliżyła — zawołał Feulner — pan radca Mentzel senior; kawaler Maks de Simonis. Mocno go panu radcy polecam: jest domownikiem baronowéj Nostitz, to dosyć.

Radcy się twarz nieco rozjaśniła, ale usta stały zaparte. Feulner wnet zmienił przedmiot.

— *A propos* — dodał — ta dzierlatka, która nam przy stole swobodniéj się rozgadać nie dozwoliła, przestrzegam cię, kawalerze, abyś się jéj zbałamucić nie dał. Trzeba być ostrożnym.

Dziewczyna, choć synowica baronowéj, a raczéj jéj męża, ale wcale odmienne ma przekonania. Ciałem i duszą przy dworze. A umysł żywy! domyślne dziecko i zapalone. Więc miejcie się za ostrzeżonego.

Radca pochylił się do ucha kapitanowi, poszeptali coś z sobą i skłonił się raz jeszcze Simonisowi.

— Ale czy we trzech, moi panowie, bezpiecznie nam tak wędrować o białym dniu? jak myślicie? — zapytał.

— Panowie na to lepiéj odpowiedziéć potraficie — odezwał się Simonis — ja się do ich rozporządzenia zastosuję.

Prawdę mówiąc i jemu się nie bardzo chciało narażać od czasu otrzymanéj przestrogi; namyśliwszy się więc, dodał:

— Jak tylko taka wątpliwość zachodzi, czy nie lepiéj iść zosobna?

Feulner ruszył ramionami.

— A zapewne, chociaż to mi wszystko jedno.

— Mnie zaś — mruknął Mentzel — zupełnie nie jedno.

Simonis już podniósł kapelusik i dokoła się żegnał, nadrabiając uśmiechem, chociaż niebardzo był spokojny i niezbyt wesoły.

Na dobitkę stary Mentzel z myślą czy bez myśli, wskazując odkryty z miejsca, w którém stali, widok na Szwajcaryę saską, rzekł niby obojętnie:

— Patrzcieno, panowie, wszak to tam we mgłach, hen! hen!... widzicie, to Königstein.

— Tak, to Königstein — mruknął, ramionami ruszając, Feulner.

Simonis się mimowolnie zatrzymał.

— Ilu to tam człowiek miał i ma znajomych — mruczał Mentzel, jakby dla nauki Simonisowi — baron von Beneda-Netzky, siostrzeniec hrabinéj de Bellegarde, z domu Rutowskiéj: wszak znajomy i wam, kapitanie Feulner.

— Towarzysz broni! — bąknął lakonicznie kapitan.

— Jan August Heerwagen, syn radczyni Hausius, już powtórnie; znajomy także.

— Od dzieciństwa! — rzekł kapitan.

— Kamerherr i obristleitenant hrabinéj Kolowrat, synowiec hrabinéj Brühlowéj; hm! — chrząknął stary.

— Czyż być może? — wyrwał się Simonis.

— Jak mnie pan widzisz żywym — odparł Mentzel spokojnie — ale mój regiestr wspomnień nieskończony. Hrabia Chrystyan — mówił daléj, jakby czytał z papieru — Traugott Holzendorf, syn hrabiego i nadradcy konsystorza, szwagier syna hrabinéj Cosel, chorąży od dragonów, pewnie znajomy wam, panie kapitanie?

— Towarzysz broni — rzekł z pogardliwym uśmieszkiem Feulner.

— Daléj, czekajcie, panowie, mam jeszcze kilku: zaraz — mówił stary stukając laską o ziemię — pułkownik Henryk Levin von der Osten, mówią, że skradł pieniądze pułkowe; ale, kapitanie Feulner, czy téż to być może?

— Trudno, bo od lat trzynastu pułki nasze żadnych pieniędzy nie widziały.

Mentzel się począł śmiać.

— Nie wiem o tém — rzekł — ale na honor, kilka jeszcze imion przychodzi mi na pamięć. Kapitan Peter Ernest L'Hermet, baron du Cailau, za jakąś historyę *adulterii et blasphemiarum!* To jeszcze szczęście — dodał Mentzel — bo *in puncto adulterii* prosty człowiek głową nakładał wedle prawa, ale baronowie...

Feulner przerwał:

— Potwarz na niego rzucono: to mój przyjaciel.

— Winszuję — dokończył stary — ale to jeszcze nie koniec. Nie liczę panów von Roebel i von Zedtwitz, bo ci już muszą być wolni, ale nie mogę opuścić kapitana d'Elbée i junkra Abels, syna mojego dobrego przyjaciela pana radcy wojennego.

Kończąc to, wskazał jeszcze raz na Königstein, zdjął kapelusz i rzekł z przyciskiem:

— To... Königstein. Żegnam panów moich.

Kapitan wszedł w boczną ulicę, a Simonis pozostał sam jeden.

V.

Była godzina szósta rano. Okno gabinetu pierwszego ministra, wychodzące na ogród i na taras, na Elbę i zielone łąki u jéj brzegów, było otwarte; świeże powietrze poranku niém się wciskało: wspaniały widok na Nowe Miasto, na dalekie góry stąd się roztaczał.

Brühl, który tylko co był wstał z łóżka i wdział przepyszny szlafrok z materyi chińskiéj, a na głowie miał peruczkę ranną bez pretensyi, jednę z półtora tysiąca, jakie zawsze były w zapasie; patrzał machinalnie na krajobraz, ale twarz miał jakąś posępną i zamyśloną.

Na stoliku leżał list otwarty, do którego kilka razy powracał; brał go w rękę, czytał i rzucał z pewnym rodzajem gniewu, jakby go zrozumiéć nie mógł.

Na twarzy wszechwładnego ministra lata ubiegłe mało zostawiły śladu: miała ona jeszcze jakiś fałszywy odbłysk młodości,

chociaż zarysowywały się na niéj fałdy i cera przybierała ten pozór miękkiego grzybka, którym piętnuje człowieka znużenie i zużycie.

Na zegarze Nowego Miasta właśnie dobijała szósta.

Gabinet był widocznie do pracy i dla interesów przeznaczony. Ogromne biuro cylindrowe, w téj chwili otwarte, pełne stało porozrzucanych papierów, na stołach także leżały pliki. Brühl zdawał się oczekiwać na kogoś. Zapukano zlekka do drzwi i gdy się te otworzyły, wsunął się raczéj niż wszedł o kiju, nogami już powłóczący, zestarzały, z dobrotliwym uśmieszkiem na ustach, w szarym, długim cywilnym surducie pater Guarini.

Brühl podbiegł prędko i chwyciwszy go za rękę, pocałował w nią, a jezuita dotknął ustami jego ramienia i oczy nań podniósł zwolna.

Minister podsunął mu krzesło, które starzec zajął prędko.

— Piękny dzień — rzekł cicho — *bellissima giornata.*

— Tak—bezmyślnie odparł minister, który stanął przed nim—ale i piękne dni chmury mają. Nim nadejdą ci, których wezwałem, kochany ojcze, nie mam dla ciebie tajemnic; spojrzyjcie, co Fleming już mi po raz drugi z Wiednia pisze.

Ojciec Guarini dobył szybko okularów i, włożywszy je, z uwagą podane pismo odczytywać zaczął. Na twarzy jego przebiegały niezrozumiałe jakieś wrażenia, które pismo wywierało; wykrzywiała się, przeciągała, marszczyła; ale nie rzekłszy słowa, ramionami ruszył i, list oddając Brühlowi, rzekł:

— Nie rozumiem.

— Ja także — ręce rozkładając szeroko, zawołał minister — potwarz, intryga, chęć pochlubienia się wielką zręcznością; kłamstwo może.

— Nie, Flemingby nie kłamał — dodał pater Guarini — słyszałem u królowéj, że jéj coś podobnego pisano z Wiednia.

Brühl się nasrożył.

— Cóż to do królowéj jéjmości należy?

— Ona się téż do tego nie miesza — rzekł ojciec — ale gdy jéj piszą... Mój Brühl.. zdrajców jest pełno, mogą być i u ciebie.

Zamilkł na chwilę i dodał:

— *Dio mi guardi la quella gatta, che davanti mi lecca e di citro mi sgraffia...* (Niech mnie Bóg strzeże od takiego kota, który z przodu mnie liże a z tyłu mnie drapie).

Zapukano do drzwi i pogodna, roztropna, pełna sprytu, ale niemiłego wyrazu twarz wice-królem zwanego Globiga ukazała się we drzwiach. Z nim razem szedł drugi powiernik ministra, Hennicke.

Brühl odwrócił się ku nim.

— Panie radco — odezwał się do ostatniego — uczyńcie mi tę grzeczność, zapowiedzcie, aby nikogo nie wpuszczano tu więcéj. Tajemnica *status*... wezwałem panów na poufną radę.

Hennicke na chwilę się wychylił i powrócił niemniéj szybko.

— Nim zaczniemy o tém mówić — odezwał się Brühl z powagą przybraną i wymuszoną — proszę panów, abyście te dwa listy hrabiego Fleminga odczytali. O pierwszym nie mówiłem nikomu, lekce to ważąc, drugi nas zmusza do narady.

Globig z wprawą człowieka, który długiego pisma nie potrzebuje całego czytać, by odgadł treść jego, szybko przebiegł oczyma podane sobie papiery. Stojący za nim Hennicke, zmrużywszy oczy, oblizując się, również szparko szukał treści... Brwi mu się namarszczyły. Ojciec Guarini wpatrywał się w obu milcząc.

— Krótko mówiąc — podchwycił Brühl — rzecz jest następująca: Fleming donosi nam z Wiednia jako rzecz pewną, niezawodną, dowiedzioną, że wszystkie nasze depesze tajemne, jakie odbieramy od posłów z Wiednia, z Petersburga, Paryża, Londynu, słowem zewsząd... w kopiach są z naszéj kancelaryi udzielane sekretnie do Berlina.

Globig wykrzyknął:

— Kłamstwo! to nie może być!

— Nie może być! — ponuro powtórzył Hennicke — a naprzód, jakżeby o tém wiedziano w Wiedniu?

Brühl mówił daléj namarszczony:

— Kancelarya cesarzowéj jéjmości ma, albo przynajmniéj chwali się takiemi stosunkami, iż wie, jak trawa rośnie w Berlinie i co jego królewska mość Fryderyk II wieczorem w Sans-Souci mówi gienerałowi Lentulusowi na ucho!

Ruszył ramionami.

— Cesarzowa, jak mi pisze Fleming, obawiając się, czy wiedeńskie depesze po drodze gdzie nie są przejmowane, nakazała najsurowsze śledztwo; czyniono je w Wiedniu i w Pradze: najmniejszego nie znaleziono śladu.

— Ale i u nas się nie znajdzie śladu — zawołał Globig gorąco — mnie idzie o mój i o honor moich urzędników. To wprost być nie może. Szafa, w któréj się mieszczą depesze sekretne dyplomatyczne, jest pod moim kluczem, klucz ten na chwilę mnie nie opuszcza.

To mówiąc, Globig dobył z kieszeni pęk i wskazał misterny spory klucz, który natychmiast schował.

— Depesze — dodał żywo — mogą być gdzieindziéj łapane; nie wiem... ale nie z pod tego klucza. Co więcéj, szafa stoi

w sali, w któréj kilku kancelistów pracuje. Tajny kancelista Mentzel prawie jéj nigdy nie opuszcza.

— A jednak... — rzekł Brühl.

— A jednak — powtórzył Guarini — *si muove qualche cosa.*

Hennicke rękoma strzepnął jakby z rozpaczy.

— Rzecz dla nas najwyższéj wagi — mówił Brühl — nieskończonéj doniosłości... Jeżeli w Berlinie wiedzą o układach, traktatach, umowach... cały nasz plan rozbić się może.

— Ba! — przerwał Hennicke — w Berlinie czego nie wiedzą, to odgadną. Szpiegostwo tam jest, jakiém się żadna stara ani młoda monarchia poszczycić nie może.

— Przepraszam cię, panie radco — odezwał się Brühl. — Cesarzowa jest jeszcze zręczniejszą od Fritza, bo Fritz u nas kradnie depesze, a ona odkradzione otrzymuje od złodziei. Toć przecie jeszcze większa sztuka. U nas, przypuściwszy, że się coś podobnego dzieje, łatwo ze szlachetności naszéj, dobréj wiary i zaufania korzystać, ale podchwycić u Fritza! Ha! ha!

Guarini się rozśmiał, Globig i Hennicke stali milczący.

— Jednakże — odezwał się Guarini — powinniście się w ludziach waszych rozpatrzyć; Fleming i Kaunitz kłamać nie mogą, a *dar la lattuga in guardia a capreri* (zamknąć wilka w oborze)...

— Nie może być! — zawołał Globig — wszystkich w myśli przebiegam, na nikim cieniu podejrzenia widziéć nie mogę.

— Ani ja — rzekł Brühl, przechadzając się. — Ta denuncyacya nie od dzisiejszego dnia datuje; psują mi nią uszy dawno. Prosiłem Kaunitza, aby mi na dowód przysłał z tego źródła choćby jednę depeszę... odmówił.

— To dowód, że prostym wierzą plotkom — zawołał Globig — u nas zdrajcy być nie może.

Jezuita się uśmiechnął.

— *O sancta simplicitas!* — rzekł cicho — Chrystus miał kilkunastu apostołów i wśród nich znalazł się zdrajca; wy macie kilkuset urzędników i ręczycie, że między niemi niéma Judasza!

Zamilkli wszyscy.

— Mości panowie — odezwał się Brühl — jeżeli tajemnice gabinetu naszego zdradzone zostaną; jeżeli zawcześnie, nim cesarskie wojska zbliżą się ku granicom, a francuskie wysłane zostaną, Fritz zwietrzy robotę naszę; jeżeli się domyśli, jaki ja w tém udział miałem: Saksonia ucierpiéć może...

Chwilę chodził niespokojny.

— Nie żebym się obawiał tego królika, którego korona pozłacana jeszcze wyschnąć nie miała czasu. Prusy... nie podołają nam; monarchia ta z rzędu mocarstw europejskich wymazaną być musi.

Tak jest. Zachodzi fizyczne niepodobieństwo, ażeby się nam Fritz obronił; liczmy... Austrya daje sto ośmdziesiąt tysięcy żołnierza z Piccolominim i Bour'em. Sto czterdzieści tysięcy Rosyan idzie już ku granicom, tyluż miéć będziemy Francuzów, naszych Sasów niech tylko dwadzieścia do trzydziestu tysięcy, Szwedów ośmnaście; złączonéj armii cesarstwa dwadzieścia, Würtemberczyków dwanaście... proszę zliczyć... Przypuszczam, że Fritz wypędzi do ostatniego parobka i złoży półtorakroćstotysięczną armię. Jakże się potrafi oprzéć napaści ze trzech, ze czterech stron? Jest zgubiony — mówił żywo Brühl — to rzecz oczywista, na dłoni... ani pieniędzy, ani ludzi, ani żywności nie ma. Zgubiony, powtarzam... Ale trzeba, aby nasze plany dojrzały, abyśmy mieli czas nastawić pułapkę na tego szczura.

Guarini patrzał na mówiącego z uwagą, minister się rozgrzewał, zapalał i zwycięstwo już go zawczasu rozpromieniało. Globig i Hennicke słuchali potrząsając głowami.

— Na wszelki wypadek — odezwał się Globig nieśmiało — o naszém wojsku pomyśléćby też potrzeba.

— Zawcześnie jeszcze — rzekł lekceważąco Brühl—zawcześnie. Fleming mi zaręcza, że w ciągu tego roku nic się nie poczanie, mocarstwa sprzymierzone planu jeszcze nie zakreśliły i tak rychło na Prusy nie napadną. Czego się mamy śpieszyć? Wojsko nasze jest w stanie świetnym, zaręczał mi to generał Rutowski; sam widzę...

Doradcy zamilkli.

— Do wiosny nie mamy się wcale czego lękać; czas jeszcze na wszystko.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi pukać zaczęto.

Brühl się rozgniewał.

— Mówiłem, by nie wpuszczano nikogo.

Hennicke pobiegł do drzwi i wrócił z kopertą, wielką pieczęcią zalepioną.

— Depesza z Wiednia!

Niecierpliwie ją rozpieczętowując Brühl poszedł do okna. Ze zwykłą sobie szybkością przebiegł ją oczyma; ojciec Guarini, który na niego patrzał, dostrzegł, że brwi mu się ściągały.

— Oni tam w Wiedniu jakiéjś dostali gorączki — odezwał się Brühl — Fleming mi donosi, że król pruski zapytuje już ich o przyczynę przygotowań wojennych. Zwietrzył więc coś... Mogą mu odpowiedziéć przecież, że żadnych nadzwyczajnych nic robią. Ruchy wojsk zawsze się dają tranzlokacyą tłómaczyć.

— Wszystko się daje tłómaczyć — szepnął Guarini — *ma questo diavolo* niczemu nie daje wiary.

Minister chodził po pokoju zamyślony, jakby już myślami był gdzieindziéj. Globig i Hennicke szeptali między sobą.

— Radco Globig — odezwał się Brühl — proszę o największą tajemnicę co do naszych depesz; ale trzeba miéć oko na wszystkich, na wszystkich... Czas, abyśmy i my jak Fritz nauczyli się nie wierzyć nikomu.

Hennicke przyszedł coś mu poszepnąć do ucha.

Guarini, oparty na lasce, dumał milczący. Globig ręce pod frak włożywszy, przechadzał się po gabinecie. Milczenie trwało dobrą chwilę, poczém wice-król z Hennickem pożegnał się i wyszedł.

Brühl ziewając padł na kanapę, na białym ręku składając znużoną głowę.

Ojciec Guarini patrzał na niego z jakiémś uczuciem, którego natury trudno było odgadnąć.

— A — odezwał się Brühl — służba ta prawdziwy krzyż, ludzie zazdroszczą, nikt nie wié, co ona kosztuje i jak cięży. Ma to pozory świetne, a ani chwili pokoju.

— *Onus pro peccatis!* — uśmiechnął się jezuita — dałbyś pokój, ja-m to już słyszał... Cóż dziś? opera, koncert, polowanie, strzelanie do celu?...

Brühl spojrzał na notatkę leżącą na stole.

— Opera — rzekł.

— A! to moja sprawa potrosze — począł Guarini — alem ja już ociężał nawet do tego. Namby nowych sił potrzeba, nowych śpiewaków i śpiewaczek.

— Król starych swych lubi najlepiéj.

— Ale ci chrypną coraz, jak ja — dodał Guarini i wstał powoli z fotelu.

— O któréj idziesz do króla?

— Jak zwykle, przed dziewiątą.

Guarini się zabierał do wyjścia, Brühl go przeprowadził aż do drzwi salonu. Zaledwie wrócił do gabinetu, gdy bocznemi drzwiami wsunęła się niepocieszna figurka. Liberya królewska wskazywała, że to był prosty lokaj z przedpokoju, ale lokaje naówczas nadzwyczaj ważne grali role.

Z większą daleko uprzejmością, niżby się spodziewać było można, Brühl się zbliżył do wygalonowanego służalca.

Był to jeden z tych, co pod pozorem służby króla jegomości pilnowali, aby się do niego nikt docisnąć nie ważył, nikt nie przemówił, nikt papieru nie podsunął. Pocichu poszeptał z ministrem i zniknął.

Szeregiem potém zjawiać się zaczęli: brat ministra tajny radca Fryderyk Wilhelm, za nim wielki koniuszy dworu Jan Adolf Brühl, gienerał Brühl, szwagier ich Berlepsch, hrabia Kolowrath i mnóstwo innych kreatur wszechmogącego człowieka. Każdy jakiś raport, żądanie, radę, plotkę przynosił.

Na srebrnych tacach przyniesiono jeden list od hrabiny Moszyńskiéj, drugi od hrabiny Sternberg, żony posła austryackiego. Na chwilę zjawił się téż z uśmiechem na ustach, piękną i pełną życia twarzą młody syn ministra Alojzy, a gdy wszystko to przeciągnęło, i trzy kwadranse na ósmą zegar wydzwonił, czas się było ubierać. Toaleta zajmowała okrągłą godzinę, a przed dziewiątą Brühl już u króla być musiał.

Gdy czas ten nadchodził, August się niecierpliwił, patrzał na drzwi, brakło mu faworyta i rad téż był odbyć swą pańszczyznę, to jest popodpisywać, co mu przynoszono do podpisu.

Ceremonia ta odbywała się codziennie jednakowo: August zobaczywszy stos papierów, wzdychał, siadał do stolika, próbował pióra i nie zaglądając wcale, ani pytając o treść aktów, z wielką pilnością a żwawo opatrywał je w podpisy. Z twarzy jego królewskiéj mości widać było, iż czuł, jak ogromnie pracował. Czasem za dwudziestym „Augustem" wzdychał i spoglądał na Brühla, Brühl się uśmiechał z kondolencyą.

— Trudy panowania, najjaśniejszy panie — szeptał.

I król westchnąwszy raz jeszcze, pisał daléj z wielkiém poczuciem świętości obowiązku, jaki spełniał.

Tego dnia téż zupełnie się to prawidłowie odbywało. Ojciec Guarini, przypatrując się manipulacyi téj, na stołeczku siedział.

Za piętnastym podpisem, jakby go co tknęło, August podniósł dobroduszną twarz i spytał żywo, jak zwykle:

— Brühl, mam ja pieniądze?

— A jakże, najjaśniejszy panie!

Szło tedy daléj swym trybem.

O Austryi, o przymierzach, o Fritzu i tym podobnych fraszkach wcale tu mowy nie było.

Gdy ostatni arkusz został podpisany, królewska twarz wyjaśniła się wyraziście, oczy zabłysły, rzucił pióro i wstał z pewnym rodzajem tryumfu, po dokonaniu wielkiego dzieła.

— Brühl — rzekł — teraz o najważniejszych sprawach... Potrzebuję pieniędzy; Giovanni mi cuda obiecuje z Bolonii. Ten obraz Bagnacavalli znam, trzeba mi go nabyć koniecznie; Algarotti ma téż piękne rzeczy.

— Algarotti zawiele żąda za nie — odezwał się minister.

— Za takie cuda i arcydzieła sztuki, zawiele żądać nie można! — rzekł August żywo. — Crespi kupił dla mnie Ninusa

i Semiramidę Guido Reniego. Trzeba się za to księdzu kanonikowi wywdzięczyć. To arcydzieło!

I mówiąc to król, ręce złożył jak do modlitwy.

— Wszystkie rozkazy waszéj królewskiéj mości będą spełnione — rzekł z nizkim ukłonem minister.

— Inne wydatki... fraszka, mój Brühl; ale ty to pojmujesz! to zręczności jedyne: drugi raz się nabycie takie nie trafi... Ja to muszę miéć...

— Wasza królewska mość będziesz to miał...

— Dziesięć tysięcy skudów to nic! to bagatela za takie arcydzieło.

Brühl potakująco głowę schylił.

— Najjaśniejszy panie — przerwał zbliżając się Guarini — dziś mamy *Cleofidę*.

— A! a! — zawołał August — bardzo lubię tę operę, ale *Solimana* więcéj jeszcze, Hasse w nim sam siebie przewyższył, Amorevoli, Monticelli, Puttini i „la diva", jak w nim śpiewają!

Twarz królewska przybrała taki wyraz błogości, ekstazy, zachwytu, iż tylko Guarini i Brühl mogli na to pełne, okrągłe oblicze, żywym rumieńcem oblane, a tak dziwnie rozpromienione patrzyć bez uśmiechu politowania i szyderstwa.

Rozmowa i zachwyt zmęczyły wreszcie najjaśniejszego pana, który fajkę sobie podać kazał. Siadł w krześle i z oddaniem się téj nowéj fantazyi, dym z niéj łapczywie puszczać zaczął. Nie godziło mu się błogiego tego a niewinnego zajęcia przerywać nudziarstwem politycznem. Brühl przystąpił do ucałowania ręki pańskiéj i zniknął.

W przedpokoju zaleciwszy mocno, aby nikt nie śmiał pokoju najjaśniejszego pana zamącić i aby doń nie dopuszczano nikogo, Brühl pojechał z zamku do hrabinéj Moszyńskiéj.

Nieubłagane lata, które się tak łaskawie obeszły z samym Brühlem, nieskończenie surowsze były dla pięknych pań, które niegdyś ozdoby saskiego dworu stanowiły. Ale hrabina Moszyńska, mimo dojrzałości, piękną jeszcze była, jak żyjąca dotąd jéj matka, która dobrowolnie teraz na stolpeńskim zamku dożywała dni swoich.

Była ona Egeryą tego Numy w peruce i gdyby nie owe czasy i nałogi, z pod których wpływu i ona oswobodzić się nie mogła, byłaby może łodzią saską pokierowała baczniéj i szczęśliwiéj niż ten, co stał u jéj steru, myśląc tylko o pieniądzach na zbytki i pokrycie przed królem tego, co się działo w kraju. Około południa już z pałacyku Moszyńskiéj minister do domu powracał.

Tu z przepychem królewskim, z usługą strojną i wygalonowaną podawano obiad, który się ciągnął godzin parę. Dnia tego właśnie czekały na smakosza sprowadzone z Paryża i Strasburga pasztety, gdyż łakocie zwożono mu z całego świata, a czekolady musiał miéć z Rzymu.

Właśnie wstawano od stołu, przy którym oprócz pięknéj jeszcze, majestatycznéj hrabinéj, królowała téż hrabina Sternberg, a kilku cudzoziemców zaproszonych dowcipami je zabawiało, gdy żona ministra dała mu znak, że z nim ma coś do pomówienia na osobności.

Stosunek tego małżeństwa zmieniły lata również jak fizyognomie: hrabina przestała okazywać mężowi ten rodzaj wzgardy i lekceważenia, jakim go zrazu od siebie odpychała. Pewien rodzaj rozejmu zawarty został między niemi i żyli na stopie, jeśli nie bardzo czułego małżeństwa, to przynajmniéj dobrych i wyrozumiałych na wzajemne słabości przyjaciół. Brühl potrzebnym był hrabinie, hrabina niemniéj mężowi; zbliżali się więc, oddalali, widywali częściéj lub rzadziéj: ale powierzchownie było to pożycie dwojga małżonków wielkiego świata, takie, jakich naówczas trafiało się tysiące.

W charakterze i obyczaju ministra była najwyszukańsza grzeczność, okazywał ją nawet tym, na których zgubę pracował; szafował nią dla wszystkich wogóle i tak był nawykł do niéj, że chcąc nawet może, zupełnie grubijańskim i ostrym okazaćby się nie mógł. Dla hrabinéj zawsze był nadskakującym.

I tym razem pobiegł posłuszny na skinienie. Piękna pani stanęła w gabinecie wsparta z wdziękiem na kominie marmurowym. Brühl w wyszukanéj pozycyi, gotów na rozkazy, stał przed nią.

— Co mi Frania rozkaże? — zapytał.

— Mam prośbę, nie rozkaz.

— Prośby jéj są rozkazami...

Hrabina ramionami ruszyła.

— Musisz miéć miejsce sekretarza wolne?

Brühl spojrzał zdziwiony.

— Ośmiu ich jest, a dziesięciu na wakanse czeka.

— Niech czekają! — rozkazująco odezwała się Brühlowa — otaczasz się Sasami, którzy cię zdradzają wszyscy... Ja mam młodego, bardzo zdolnego człowieka, którego mi Blumli zalecił. Widziałam go, podobał mi się, ręczę: będzie ci użytecznym.

Chwilę milczał Brühl, podniósł powoli głowę.

— Ale czyż koniecznie ma być sekretarzem? — rzekł — ci panowie nadto o sobie mówić dają. Nie będę ci czynił przykrości, przypominając Seyferta.

Hrabina zżymnęła się na to imię i zarumieniła.

— Daj mi z tém pokój — zawołała. — Chcesz go wziąć czy nie?

— Ale niechże go poznam i zobaczę — rzekł Brühl zafrasowany. A po chwili dodał cicho:

— Gdybyś też cokolwiek, cokolwiek mogła być ostrożniejszą.

Brühlowa ruszyła ramionami i odeszła od komina milcząca, gniew widać było na jéj twarzy.

— Mniejsza o to — odezwała się — miejsce dla niego znajdziemy. Proszę mi wierzyć, tu nie idzie o żadne fantazye, choć mam prawo je miéć i nie zapieram się ich wcale. Waćpan potrzebujesz wierniejszych sług, niż ich masz tutaj. Sasi cię wszyscy zdradzają. Głośna to rzecz w Wiedniu, że stąd depesze przedają do Berlina...

Brühl ręką dał znak gwałtowny, aby zamilkła.

— Ani słowa o tém! — odezwał się — bardzo proszę. Skąd pani wiesz?

Brühlowa nie odpowiedziała, zakręciła się po gabinecie, wzięła ze stolika wachlarz, przejrzała się w zwierciedle i posunęła ku salonowi, urywając rozmowę.

Lecz Brühl nie dał jéj wyjść z tym złym humorem.

— Niech mi go Blumli jutro rano przyprowadzi!

Hrabina na znak zgody głową tylko skinęła i nucąc wyszła do salonu.

Brühl, otoczony dworem swym, już rozpoczynał rozmowę tak obojętną, jakby mu nic nie ciężyło na głowie.

Cudzoziemców prowadzono do ogrodu galeryę oglądać.

VI.

Kawaler de Simonis jeszcze rozmyślał o niespodzianém tego ranka spotkaniu z hrabiną Brühlową, które Blumli urządził, wcale mu o tém wprzódy nie mówiąc, gdy kartka nadeszła po obiedzie, że jutro rano przedstawić się ma ministrowi.

Wszystko to działo się jakoś tak szybko, tak mimo woli naszego kawalera, iż sam dobrze nie wiedział, co począć z sobą, a oprzéć się, nie ściągając na siebie podejrzeń, nie było podobna. Blumli aż nadto uprzejmy, nie obiecawszy mu nic, nie oznajmiwszy rano tego dnia, zaprowadził go z sobą do ogrodu Brühla. Miało to pozór spokojnéj przechadzki, wśród któréj znaleźli się niespodzianie w kiosku. Hrabina Brühl właśnie się po nim przechadzała sama jedna w rannym stroju. Blumli przedstawił jéj swojego ziomka i przyjaciela.

Simonis z pewnych oznak domyślił się łatwo, iż spotkanie było przygotowane, umówione. Rozmowa hrabinéj zdradzała co chwila, że o nim wiedziała wprzódy.

Chociaż duma i ton pański nigdy owéj niegdyś tak pięknéj, a dziś jeszcze dosyć miłéj Frani nie opuszczały... dla kawalera de Simonis okazała się bardzo uprzejmą. Ładny chłopak ujął ją widać młodością swą i łagodnym twarzy wyrazem. Zaczęła go rozpytywać o przeszłość, z któréj cały ostatni rok spędzony w Berlinie utaił jakoś kawaler, pokrywając go ogólnikiem podróży po Niemczech; potém badała o zdolności, o upodobania, o powołanie, jakieby był życzył obrać sobie. Simonis, zawsze nadskakujący kobietom, tym razem jeszcze był staranniéj grzecznym dla żony pierwszego ministra. Usiłował się jéj podobać, może już nie w widokach i rachubach przyszłości, ale przez próżność samę. Udało mu się to zupełnie: hrabina się ożywiła, pół godziny trzymała go na rozmowie, paliła go oczyma czarnemi, które nie straciły blasku, czarowała dowcipem, była naprzemiany złośliwą, czułą, mądrą, smutną i wesołą; a że w tym rodzaju kobiety kawaler de Simonis w życiu jeszcze nie spotkał, wziął to zjawisko za coś cudownego.

Gdy hrabina wreszcie, rzuciwszy nań urok ten, odeszła rada z siebie, Simonis długo stał w miejscu, jak wkuty, nie mogąc się ruszyć, nie umiejąc przemówić i Blumli musiał go uderzyć po ramieniu, aby do przytomności przywrócić.

Spojrzeli sobie w oczy: Blumli śmiał się z politowaniem starego strzelca, który spogląda na pierwszy raz w pole wychodzącego fryca.

— Kochany Maksie — rzekł — a jakżeś ty młody jeszcze!

— Jakto? dlaczego? — odparł Simonis.

— Jesteś zachwycony...

— Ale jakże nim być nie mam! Kogóżby ten blask nie olśnił...

Blumli ramionami ruszał, wziął go pod rękę i wyszedł z nim do ogrodu.

— Mój drogi Maksie — rzekł — niezmiernie szczęśliwy jestem, żem ci mógł sprawić przyjemność, chociaż postąpiłem podstępnie trochę. Nie miałbym sumienia teraz, gdybym cię nie ostrzegł o niebezpieczeństwie. Hrabina Brühl, to wszystkim wiadomo, kochała raz w życiu człowieka, który umarł na Koenigsteinie. Z tą miłością zmarło jéj serce, odtąd miewa fantazye. Możesz być bohaterem jednego z tych małych poematów... ja byłem nim też i widzisz, jakie z tego szczęście wyniosłem. Życie mi obrzydło, świat zmierziłem... Seyfert, o którym pewnie słyszałeś, z pokoju hrabinéj, gdzie spędzał słodkie godziny, dostał się pod pręgierz na Nowym Rynku... o innych nie mówię.

Zamilkł: Simonis szedł z głową spuszczoną.

— Proszę cię, nie odejmuj mi złudzenia — rzekł — jeśli to ma być złudzeniem tylko...

— Gorzéj, niż złudzenie, bo nader smutna rzeczywistość, pokryta trochą świecideł. Lecz młodość jest ciekawą nowych krajów... dlaczegóżbyś i ty nie miał się puścić, jak Förster na odkrycia, jeśli się rozbicia okrętu nie lękasz i zjedzenia przez dzikich.

Przechadzali się jeszcze dosyć długo, aż Simonis powrócił do domu, pożegnawszy przyjaciela. Tu ledwie miał czas zebrać myśli, gdy odebrał bilet, oznaczający na jutro godzinę przedstawienia się ministrowi.

Opanowała go jakaś niepewność i trwoga, jak ma postąpić. Pod nogami jego coraz grunt się zdawał mniéj bezpiecznym. Z jednéj strony groziło odkrycie jego posłannictwa, z drugiéj tajemne doniesienie do Berlina o stosunkach, które tam mogły wzbudzić podejrzenie. Hrabina w rozmowie z nim napomknęła już, iż mógłby łatwo za jéj pośrednictwem otrzymać posadę sekretarza, o którą się tak ubiegano. Wiodła ona w najgorszym razie do stanowiska urzędowego, do dostatków, do dostojeństw. Simonis w razie, gdyby mu ofiarowano to miejsce, ani wiedział, czy je może przyjąć, i czy je bezpiecznie odrzucić. W téj niepewności, nie mając nikogo, zbiegł na drugie piętro do baronowéj, aby jéj wszystko wyznać i z nią się poradzić.

Była to godzina, w któréj szanowna matrona, pieska trzymając na kolanach, po obiedzie odprawiała drzemkę w sorgenstuhlu wygodnym... Przerywać się jéj nie godziło nikomu.

Wygodne to krzesło stało obok saloniku w sypialni, od któréj drzwi były przymknięte. O tém wszystkiém pukając u wnijścia, Simonis nie wiedział wcale, a że głucha Gertruda drzemała także, pukać musiał długo, nim się pocichu otworzyły drzwi i baronówna Pepita, która także czekała na przebudzenie stryjenki, ukazała się w całym blasku zdumionym oczom pana Maksa.

Nie mogło na świecie być skuteczniejszego lekarstwa przeciwko urokom hrabinéj Brühlowéj, nad tę świeżą, jak podmuch wiosny twarzyczkę, z któréj tryskał dowcip i szlachetność. Simonis stanął jak przykuty...

— Stryjenka śpi — odezwała się baronówna wpół cicho — ale za pięć minut Fidel się obudzi i ona także nigdy nie drzemie dłużéj. Jeśli pan chcesz widzieć się z nią, chodź i cichuteńko posiedź ze mną w saloniku.

Simonisowi zdało się to znowu najwyższém szczęściem.

Miał tę młodzieńczą żywość wrażeń, które dozwalają co pół godziny uwielbiać inną piękność z najmocniejszém przekonaniem, że obojętność byłaby grzechem... Niebieskie oczy Pepity zupełnie zatarły wspomnienie owych czarnych, około których, niestety, snuła się już tkanka pajęcza przyszłych zmarszczek. Weszli więc razem do saloniku pocichu.

Baronówna czuła się w zastępstwie gospodyni powołaną do bawienia gościa.

— Gdzieżeś pan był? kogo poznałeś? — zapytała...

Simonis przyznał się prawie do wszystkiego, do przyjaciela Blumli, a nawet do rannéj rozmowy z hrabiną i jutrzejszego przedstawienia u Brühla.

— Jakże pan to pogodzisz — zapytała go śmiało Pepita — z innemi obowiązkami?

I spojrzała mu w oczy z dziecinném zuchwalstwem.

— Z jakiemi? — zapytał Simonis.

— Z temi, o których mu mówić nie wolno, choć mnie się ich niepodobna nie domyślać.

Simonis stał zmieszany, udając, że nie rozumie; Pepita śmiało patrzała mu w oczy. Nie było to płoche dziecko, pomimo pozoru niedoświadczonéj młodości. Matka surowa wychowała tę jedynaczkę, wlewając w nią swoję duszę i Pepita dojrzalszą była od rówieśnic swoich. Umysł jéj poważny dziwił wszystkich, a kawaler Simonis, jeszcze nie mając zręczności poznać go lepiéj, już ulegał jego sile, i dziwnie czuł się małym, onieśmielonym przy tém dziewczęciu.

Pytanie, które mu zadała, było dalszym ciągiem przestrogi na schodach rzuconéj. Oczy, zwrócone nań, z politowaniem jakiémś go badały.

— Nie wymagam od pana wyznań żadnych—dodało dziewczę —ale mi was żal szczerze. Możecie uniknąć niebezpieczeństwa, o którém mówiłam; ale jakże z dobréj woli rzucać się chcecie w otchłań taką? I co was zmusza do tego?

Zapytanie było zuchwałe, a młodość dziewczęcia czyniła je niepojętém.

— Będę z panem bardzo otwartą, bobym pana uratować chciała — mówiła, zmierzywszy go oczyma, baronówna. — Nie potrzeba było wielkiéj przenikliwości, ażeby odgadnąć, z czém pan tu przybyłeś. Stryjenka jest rodem z Prus, sprzyja Prusakom i życzy dobrze Fryderykowi. Wszyscy, co stamtąd do niéj wylądowują, są posłańcami Fryderyka. I pan nim jesteś.

— Pani! — przerwał Simonis — pani się mylisz; król mnie tu nie posłał.

— Król, czy hrabina de Camas, od któréj list miałeś, to

wszystko jedno — żywo zakończyła Pepita. — Przybyłeś tu nas badać, o nas donosić...

Simonis się zarumienił.

— O! przecież ja was nie wydam — zawołało dziewczę — bobym stryjenkę zgubiła... a was mi żal bardzo.

— Pani! — zaprotestował Simonis.

— Nie mów pan nic, nie uwierzę — mówiła baronówna — to jasne, jak na dłoni. I w tém położeniu będąc, starasz się o miejsce u ministra, o wciśnięcie się tam, o zdobycie naszych tajemnic, aby je wydać nieprzyjacielowi.

Simonis stał struchlały: słów mu zabrakło, twarz jego bladością się okryła.

— Cóż mi do tego? — odezwała się lekko ruszając ramionami Pepita — co mi do tego? Powinnabym milczéć i nie wdawać się wcale w sprawy cudze; ale powtarzam: młody pan jesteś, żal mi go. Niesiesz głowę swoję na ofiarę nie dla kraju, bo to kraj nie wasz: nie dla wiary, nie dla rycerstwa i sławy, ale dlaczego? dlaczego?...

Założyła ręce i pilno patrzała mu w oczy. Nigdy w przykrzejszém położeniu nie był jeszcze Simonis, nawet gdy Ammon za drzwi go wypędził grubiańsko. Stał i milczał...

Piękna Pepita z założonemi rękoma, jak sędzia surowy, nie spuszczała go z oka; niekiedy lękliwie spojrzała tylko ku drzwiom, za któremi spała stara baronowa, jakby się lękała jéj przebudzenia i chciała miéć czas dokończenia téj przykréj rozmowy.

Simonis miął kapelusz w ręku...

— Pojmuję zresztą — odezwała się baronówna — służbę czyjąkolwiekbądź, gdy się służyć musi; ale dwom nieprzyjaciołom służyć jest to narażać się na to, aby jaden z nich na was się pomścił. O! żal mi was! żal mi was! — dodała potrząsając główką.

— Daję pani słowo — zebrał się na odpowiedź Simonis — że u nikogo nie przyjąłem służby, a u hrabiego Brühla ani się jéj miéć spodziewam, ani podobna, żeby mi ją ofiarowano.

— Owszem, masz pan wszystko za sobą, jesteś cudzoziemcem — z bolesnym uśmieszkiem dodała piękna panna. — My Sasi nawykliśmy do tego, że nad nas przenoszą wszędzie Marcolinich, Cerrinich, Piattich, Chiaverich, Guarinich i nie wiem tam kogo jeszcze. Tytułem dla was, że nie tutejsi jesteście. Jeśli jutro Brühl wam da miejsce, na których nic zbywa, cóż daléj, kawalerze de Simonis? komu się sprzeniewierzycie?

Nielitościwe dziewczę mówiło z coraz większym zapałem i niemal ironiczną pogardą.

Pod pręgierzem jéj oczu stał nieszczęśliwy wijąc się i męcząc.

— Pani — zawołał — nic się jeszcze nie stało: ja jutro zaprezentuję się ministrowi, a wieczorem opuszczę Drezno.

Dziewczę spojrzało nań.

— O! téj siły miéć nie będziecie! — rzekła. — Cóż mnie do tego! radziłabym wam tymczasem tylko jednę obrać drogę i prostą, bo dwiema nigdzie nie zajdziecie.

To mówiąc odwróciła się szybko i przeszła w drugi koniec salonu. Simonis, odebrawszy tę naukę, stał w milczeniu ponurém. Kilka razy spojrzał ku niéj, ale jéj oczu nie spotkał; unikała widocznie wejrzeń jego, patrząc po ścianach i przyglądając się ze zbytnią uwagą sylwetkom na nich pozawieszanym. Kawaler się namyślał, co ma począć, i już nawet zabierał się do wyjście, nie czekając przebudzenia baronowéj, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się powoli: wtoczył się najprzód tłusty Fidel, a za nim zdziwiona nieco gośćmi, którzy czekali w salonie, staruszka. Zobaczywszy synowicę w jednym końcu pokoju, a kawalera u okna, parsknęła śmiechem i załamała ręce.

— A cóż to za skromna i grzeczna młodzież, że się nawet bez pozwolenia starszych zbliżyć nie śmie do siebie — poczęła staruszka. — Doprawdy! Oczom mi się wierzyć nie chce! Miałażbym wnosić z tego, że się państwo aż nadto blizko wprzódy spotkali i chcecie tylko starego gderliwego oszukać Argusa?

Pepita przyszła wesoło pocałować w rękę staruszkę, rzucając zukosa szyderski wzrok na kawalera.

— Obawialiśmy się rozmową przerwać sen baronowéj! — rzekła.

— I dawnoż to trwała ta cicha zabawa?

— Przybyłem przed kwadransem — odezwał się kawaler.

— A ja przed półgodziną — dodała Pepita.

— Cóż słychać u królowéj? — spytała baronowa ciekawie — ty wiesz, jak ja plotki lubię, a nigdzie ich niéma tyle, jak u najjaśniejszéj pani.

— Nic, oprócz że znowu żydóweczkę z Lipska chrzcić będziemy.

— Którażto od przyszłego roku? — zapytała staruszka.

— Zaraz, zaraz! W marcu w roku przeszłym chrzciliśmy matkę z córkami, pamięta stryjenka? zaraz po śmierci księżnéj Lubomirskiéj, w czerwcu parę znowu, we wrześniu dziewczynkę, a w grudniu, po narodzinach naszego księcia Antoniego, jeszcze jednę.

— I królowa to wszystko wyposaża?

— Nie sądzę, żeby jéj to za złe wziąć można — odparła Pepita.

— Tak! — mruknęła staruszka cicho — nawróconych obsypują złotem, a z biednych chrześcijan ostatni grosz ciągną.

— Ale nie królowa — szepnęła Pepita.

Baronowa zamilkła, Simonis patrzał się w okno, ażeby się do rozmowy nie mieszać.

— A wy, kawalerze—spytała gospodyni — jakże się tam wam powodzi?

— To ja stryjence powiedzićć mogę — odezwała się Pepita.

— Ty, a to skąd?

— My u królowéj wszak wiemy wszystko. Kawaler de Simonis dziś zrana miał szczęście prezentować się hrabinéj Brühl, a jutro ma się przedstawić ministrowi. Jeżeli się nie mylę, czeka go na dworze jego ekscelencyi świetna karyera.

Baronowa spojrzała zdziwiona, jakby żądając potwierdzenia: Simonis stał ze spuszczonemi oczyma.

— Ale, kochana stryjenko — dodała głośno Pepita, patrząc z boku na delinkwenta — dziwne mi się to wydaje. Kawaler de Simonis przybywa z Prus, jakże tak odrazu nawykłemu do berlińskiego powietrza ważyć się na karmienie saskiém, które jest zupełnie inne? Jak o tém stryjenka trzyma?

Baronowa kiwała głową.

— Ty bo jesteś złośliwa i długojęzyczna, ty żmijko — rzekła zmieszana — gdybyś nie była moją synowicą, nienawidziłabym cię, ale że kochać muszę... wybaczam tę paplaninę.

— Właśnie przybyłem tu — odezwał się Simonis — aby prosić o radę pani baronowéj. Kazano mi się prezentować ministrowi.

— Więc już o was wiedział? cóżby to znaczyć miało? — niespokojnie spytała staruszka.

— A! w tém niéma nic dziwnego — odezwał się Maks — niespodzianie wcale zastałem tu, oprócz innych ziomków moich, także przyjaciela lat młodych, niejakiego Blumli, który jest sekretarzem przy ministrze. Czasem tacy gorliwi bardzo przyjaciele niewygodni bywają. On mnie wprowadził wczoraj do kiosku i zaprezentował ministra żonie, i on, nie pytając mnie wcale, wyrobił na jutro audyencyę u ministra.

— A o czém pan nie wiesz, a co już u królowéj po obiedzie wiedziano, to, że hrabina wstawiała się do męża, aby pana wziął do swego boku.

I Pepita uśmiechnęła się szydersko. Stara baronowa dziwnie pokręciła głową.

— Teraz proszę stryjenki pozwolić mi puścić trochę cugle

wyobraźni — mówiła Pepita. — Pan kawaler de Simonis nie napróżno rok jakiś przeżył w Berlinie, musi tam miéć dobrych znajomych, serdecznych przyjaciół, ziomków... musi téż do nich pisywać! to rzecz naturalna! Będąc u tego boku ministra, z którego wiele widać, nuż się wypisze w liście do Berlina z jaką wiadomością ciekawą... Ponieważ w Wiedniu wiedzą wszystko, co kto czyta w Berlinie, list przyjdzie w kopii do Kaunitza, od niego do Fleminga, od tego do Brühla i kawaler de Simonis dostanie bezpłatnie pokoik w Koenigsteinie.

To mówiąc, dygnęła i roześmiała się głośno. Kawaler de Simonis stał ze spuszczoną głową, stara zacisnęła usta i zamyśliła się głęboko nie mówiąc słowa.

Pepita zaś wypaplawszy się z tém, co na sercu miała, zbliżyła się do ściany i zaczęła pilnie bardzo przypatrywać się sylwetkom.

Milczenie trwało chwilę. Dziewczę, które czuło, jakie wrażenie uczynić musiało, udało, że nie przywiązuje wagi do słów swoich i zwróciło się do stryjenki.

— Ten rok już nie dorównywa przeszłemu—rzekła.—Gdybyś pan tu był w przeszłym przyjechał, gdy grano Artemizę Hassego, w któréj trzystu tancerzy występowało w balecie!... albo gdy w styczniu, w zapusty przedstawiono *Ezio* (Aëtius) z takim przepychem... Nawet stryjenka dała się zaprowadzić do loży. Oprócz Włochów artystów, mieliśmy na scenie szesnaście koni, ośm wielbłądów, muły, wozy, całą stajnią i menażeryą. Cudne to było i nie więcéj jak sto tysięcy kosztowało. Wprawdzie — dodała, szczebiocząc ciągle — ja taka jestem dziecinna, że wykradłszy się do Gewandhausu, gdy grano dla ludu... pana von Habenichts, więcéj się nim bawiłam, niż zwycięzcą nad Atylą; ale ja...

— O! ty! ty! — przerwała stryjenka grożąc — kto ciebie zrozumie, kto twój języczek wstrzyma i kto ci da pomiarkowanie!

Pepita przybiegła pocałować ją w rękę i gderanie skończyło się uściskiem.

— Wiesz jednak, kochany kawalerze de Simonis — rzekła stara — ten trzpiot papląc tak co mu ślina do gęby przyniesie, czasem i do rzeczy coś powie. Otóż i dziś...

Spojrzała nań dając mu znak.

— Co wy na to?

— Właśnie na wypadek, gdyby... czego się nie spodziewam, zbyt gorliwy przyjaciel miał mi wistocie postarać się o nieproszone miejsce, radzić się chciałem, co mam czynić?

Pepita milcząc z założonemi na piersiach rękoma patrzała na niego i na stryjenkę; czekała, co powie baronowa: ta byłaby może

wcale inaczéj radziła Simonisowi, gdyby nie synowica i wszystko, co poprzedziło pytanie.

— Nad tém się namyślić potrzeba — rzekła cicho.

Domawiała tych wyrazów, gdy w przedpokoju hałas się wszczął jakiś, jak gdyby cisnął się ktoś, kogo dopuścić nie chciano. Usłużne dziewczę wybiegło do Gertrudy, ale nie wróciło rychło. W przedpokoju słychać było głos gruby męski sprzeczający się ze sługą.

Niespokojna baronowa sama już gotowa była wynijść się dowiedzićć, gdy żołnierz w dosyć nędzném ubraniu, w zabłoconych butach wparł się do salonu, obejrzał z obawą jakąś, dostrzegł gospodynię, wcisnął jéj prędko w rękę kawałek papieru i prędzéj jeszcze uszedł; tak, że nim baronowa oddaną kartkę otworzyć czas miała, słyszéć już było stukanie jego ciężkich butów po schodach.

W tém wszystkiém było coś tak przerażającego, niezwykłego, że nawet powracająca od Gertrudy śmiała Pepita blada była i przestraszona.

Baronowa drżącemi rękoma, rzuciwszy się na fotel, usiłowała brudną rozerwać kartkę, którą jéj żołnierz oddał. Ale przestrach i zdziwienie nie dozwoliły jéj tak łatwo, ani rozpieczętować, ani bladego pisma odczytać. Domyślała się już w tém czegoś takiego, czego przy Pepicie nie rada była czytać, a ciekawe dziewczę stało nad nią, oczyma usiłując odkryć, co na kartce stało.

— Moje okulary! — odezwała się baronowa.

Pepita chciała iść po nie, ale stara ręką ją zlekka odtrąciła i weszła drżącym krokiem do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą.

Pepita i Simonis zostali znowu sam-na-sam, a Fidel powlókł się za panią. Wtém lekki wykrzyk dał się słyszéć z gabinetu baronowéj i jakby ciężkie upadnięcie na krzesło. Pepita pobiegła do stryjenki. Przez drzwi otwarte Simonis mógł tylko dojrzéć staruszkę na fotelu, w ściśniętéj ręce trzymającą konwulsyjnie papier, z obawy zapewne, aby Pepita go nie pochwyciła.

— Co się stało? co stryjence jest?

Baronowa miała czas się opamiętać.

— Nic, nic; bądź spokojna: moja stara przyjaciółka, dawna sługa, Barbara Tuchlaubin, chora.

Pepita spojrzała stryjence w oczy i nic odpowiedziała nic. Czy uwierzyła nowinie, trudno było poznać; minkę zrobiła dziwną, jakby urażoną trochę... Simonis widząc, że wcale tu jest nie potrzebnym, chciał odejść; ale widząc, że się żegna, pani Nostitz dała mu znak potajemny, aby pozostał. Posłuszny, zatrzymał się nieco,

a baronowa ochłonąwszy wróciła do salonu, synowica spojrzała na zegar, potém na Simonisa i ze stolika chwyciła chusteczkę, którą narzuciła na włosy.

— Ja muszę iść — rzekła. — Niech stryjenka nie troszczy się zbytnio Tuchlaubiną, ja jéj poślę doktora.

I zdala tylko główką skinąwszy Simonisowi, wybiegła żywo.

Po jéj wyjściu czas jakiś panowało milczenie; staruszka zdawała się wyczekiwać, aby Pepita wyszła z domu i dopiéro usłyszawszy drzwi zamykające się za nią, zwróciła się łamiąc ręce do Simonisa.

— Nie wiecie nic! dziś w nocy Feulnera wzięto i na Koenigstein zawieziono. Któż wie, co znaléźć u niego mogli? On był tak nieostrożnym!

— Ale wczoraj jeszcze — zawołał strwożony i zbladły Simonis — jeszcze wczoraj...

— Dają mi znać! niéma wątpliwości... Kawalerze de Simonis, bądź mi pomocą: potrzeba palić papiery; mogą napaść i na mnie. Ktoś nas zdradził.

Simonis podał rękę drżącéj staruszce i z nią razem przeszedł do gabinetu; musiał wydobyte z osobnéj szkatułki papiery palić z nią na kominku, stojąc na straży, aby Gertruda nie weszła w czasie tego palenia, bo baronowa i jéj się obawiała. Gdy ostatni kawałek listu dogorzał i popioły zostały zmiecione, baronowa odetchnęła. Lecz po wzruszeniu doznaném, ani rozmawiać, ani radzić już nie mogła i skinieniem ręki pożegnała gościa, który wyszedł na palcach.

Na progu znalazł się Maks jeszcze mniéj pewien tego, co ma począć, i więcéj przelękły, niż gdy tu szedł, aby od baronowéj zasięgnąć światła. Nie mając po co wracać do mieszkania, z gotowym listem do hrabinéj de Camas, który miał w kieszeni, pociągnął do Beguelina. Chciał go się pozbyć co prędzéj.

Wywiezienie Feulnera, z którym niedawno zabrał poufałą znajomość, kazało mu się obawiać wszystkiego. Każda twarz nieznajoma, z którą się spotykał, każdy człowiek, idący za nim, zdawał mu się podejrzanym: oglądał się z trwogą. Przyszło mu na myśl dziwnie prorocze zakończenie rozmowy ze starym Mentzlem, wyliczającym kapitanowi wszystkich wysłanych do Koenigsteinu. Była to jakby przepowiednia!

Pośpiesznym krokiem, o ile znajomość miasta dozwalała, mniejszemi uliczkami przerznął się do dworku Beguelina. Obawiał się go nie zastać, ale z okna po prawéj stronie wyjrzał radca i drzwi mu sam otworzył.

Blady był i poruszony mocno.

Milcząc wpuścił go do swojego gabinetu i nierychło po przywitaniu usta otworzył. Simonis też musiał niezbyt wesoło wyglądać.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Co słychać? — rzekł Beguelin.

— Nic nie wiem, oprócz... oprócz że niejakiego kapitana Feulnera na Koenigstein zawieziono — rzekł Simonis — a przyznam się panu, że mnie to témbardziéj obeszło, iż właśnie z nim byłem zabrał znajomość.

— A! a! a! — wykrzyknął Beguelin i obejrzał się dokoła. — Nie dobrze jest — rzekł — coś zwąchali... mnie i nas wszystkich śledzą; do nikogo się zbliżyć, zagadać nie mogę nawet. Jesteśmy my wszyscy Prusacy tu jak zapowietrzeni! Cóż u kata! Wojna nie wybuchła żadna! Stosunki dyplomatyczne nie są zerwane!

Ledwie tych słów domawiał, gdy do okna od dziedzińca zapukano szybko. Beguelin pochwycił Simonisa za barki i nie mówiąc słowa, wepchnął go przez ciasne drzwicki do drugiéj izby, zamykając je na klucz.

Kawaler de Simonis znalazł się niespodzianie w obszernéj, drewnianéj salce, jakby naprędce skleconéj, w któréj z jednéj strony leżały sery, bo niemi Beguelin z Neufchatelu handlował, z drugiéj książki kancelaryjne. Zapach tłustości i stęchlizny papierowéj pomieszany razem wcale nie był przyjemny. Chwilowe to więzienie, oświecone małemi dwoma okienkami zakratowanemi u góry, smutne było i brudne. Próżne pudła, porwane sznurki leżały na ziemi i siąść nawet nie było na czém.

Od kancelaryi Beguelina dochodził głos żywéj rozmowy.

Simonis nie uczuł się wcale grzesznym, oko przykładając do dziurki we drzwiach i nadstawiając pilnie ucha.

Głos był mu znajomy, nierychło jednak potrafił szczupłym otworem dojrzéć tego staruszka Mentzla, który tak dziwnie prorokował kapitanowi. Stał on tu blady, przelękły, oglądając się i łamiąc ręce.

— Jestem zgubiony, panie radco! zgubiony przez was! tak! przez was, którym za psie pieniądze służyłem. W waszéj kancelaryj cesarzowa ma szpiegów; wszystkie depesze, które ja wam dałem, jéj posłano; kazała Flemingowi ostrzedz Brühla. Już dziś zamki opatrywano, mnie egzaminowano, szafę badano... Rozumiesz to pan?...

— Ale rozumiem — rzekł Beguelin.

— Oni mnie powiesić gotowi! — dodał Mentzel ręce łamiąc — za te nędzne wasze pieniądze.

Bezmyślnie Szwajcar powtórzył:

— A gotowi, a gotowi!

— I ja nawet uciekać nie mogę! ja mam żonę, dzieci, dom, familią...

Załamał ręce.

— Kusiliście mnie jak dyabli — wołał Mentzel, zapominając się i głos podnosząc. Opierałem się. Nie mogłem przecież téj zamczystéj szafy palcem otworzyć, toście mi dwa razy po pęku kluczów przysyłali z Berlina, póki licho nie nadało i jeden z nich nie otworzył. Więcéj jak cztery razy nie sięgnąłem do téj nieszczęsnéj szafki, i to trzeba niedzieli czekać lub czwartku, a południowe godziny wybierać, kiedy w izbie nikogo oprócz mnie nie było. Daliście mi słowo, że depesze w kieszeni u króla zostaną, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, a sekretarz Plassmann posyłał je panu Benoit, a Funka depesze petersburskie już w Wiedniu znają. I coście mi za to dali? co?

— A, ja nie wiem! — rzekł Beguelin — wyście się sobie układali z baronem Maltzanem; ja umywam ręce...

— Ale ja stąd nie wyjdę krokiem bez tysiąca talarów! — zawołał Mentzel — darmo! Któż wie? gotówem żonę i dzieci porzucić, aby życie ratować. Brühl mnie zetnie lub powiesi, albo ćwiertować, albo kołem bić każe. Ja! ja!...

Zabrakło mu tchu.

— Tysiąc talarów! ale ja nie mam pieniędzy! To do mnie nie należy. Idźcie sobie do hrabiego Beesa, do Ammona, do dyabła — krzyknął Beguelin — ja wam nie dam nic... nic... nic...

Mentzel stał przybity; usta mu się skrzywiły, zacisnął pięści, przyłożył je niemal do twarzy radcy, potrzymał tak chwilę, plunął i drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

Beguelin zamyślony stał chwilę, dopóki pukanie we drzwi Simonisa nie przypomniało mu, że powinien był otworzyć więźniowi. Nie śpieszył z tém jednak, dopóki nie był pewien, że Mentzel, który przez ogrody się tu wdrapał, nie odszedł bezpowrotnie.

Naówczas wypuścił kawalera, przepraszając go.

— Spodziewam się, że mi tego za złe nie weźmiecie — rzekł. — Z tym dyabłem Mentzlem nie można sobie dać rady. Nie chciałem, aby was widział u mnie. Gdy go złapią i dadzą na męki, gotów śpiewać wszystko, co wie i co mu na język ślina przyniesie.

Simonis zbierał się na odpowiedź, gdy na mostku prowadzącym do dworku od ulicy, stąpanie żywe słyszéć się dało i nim Beguelin po raz wtóry z serami zamknąć pośpieszył kawalera, wszedł Ammon.

Zobaczywszy krewniaka zdumał się mocno. On i Beguelin byli w stosunkach najnieprzyjemniejszych, zetknęli się więc jak dwa jeże. Simonis, który jeszcze się był nie pozbył listu, stał na boku. Zamiast się zwrócić ku radcy, Ammon wprost skierował się na kuzynka.

— A waćpan tu co robisz? — zapytał.

— Nie widzę obowiązku tłómaczenia się — rzekł Simonis.

Ammon obrócił się do Beguelina.

— Mam w interesie urzędowym do pomówienia z waćpanem. Zlecenie jest pilne. Nie mogę go spełnić przy tym jegomości, a czekać aż mu się podoba wyjść, nie mam czasu.

— Ja także mam tak jak urzędowy interes do radcy Beguelina — odezwał się Simonis — i oddalić się nie mogę.

— Fanfaron! patrzcie go! — krzyknął Ammon — on ma interes urzędowy! Ktoby go takiemu świszczypałce polecił...

Beguelin przybrał postawę poważną.

— Przepraszam pana radcę — rzekł — kawaler de Simonis wistocie jest mi poleconym z Berlina.

— Co za kawaler? skądże wziął u dyabła to kawalerstwo? Przyśniło mu się: prosty Simonis...

— Panie radco! — zawołał Maks.

— Mości Maksie! — odparł Ammon.

Zanosiło się na scenę nieprzyjemną, gdy Beguelin szybko kantorek swój zamknął na klucz i odezwał się:

— Kawaler de Simonis zaczeka tu na mnie, a radcę proszę do biura.

Nie mówiąc słowa, Ammon rzucił tylko okiem wzgardliwie na kuzyna i wyszli.

Maks padł na krzesło znużony i gniewny. Wszystko, co się z nim działo od wyjazdu z Berlina, wprawiało go w rodzaj gorączki. Czuł, że to przejście do czynnego życia niemal siły jego przechodziło. Żal mu było spokojnéj izby u cukiernika i dni tam na marzeniach spędzonych. Po kwadransie tych rozmyślań ujrzał wreszcie oddalającego się Ammona: Beguelin powrócił chmurny. Nie czekając dłużéj Simonis list mu wręczył.

Radca zważył go na ręku.

— Mam polecenie od hrabinéj do pana — rzekł — jest to właśnie chwila, gdy wszystko, co się tu dzieje, niezmiernie nas obchodzi. Trzeba się docisnąć do wojskowych, na dwór, do Brühla. Każde słowo pochwycone drogocenne. Wiemy, że na papierze mają trzydzieści tysięcy. Hę? ale nas upewniają, że niéma go więcej wistocie nad połowę, a gienerałów półtorasta, oprócz Rutowskiego niewiele wartych. Waćpan się musisz prawdy dobadać; to wasza rzecz.

— Ale niebezpieczeństwo!..

— Hę? — spytał Beguelin — albożeś waćpan nie wiedział jadąc tu, czém to pachnie?? Zresztą, niebezpieczeństwo niewielkie, byleś się waćpan wykręcał kilka tygodni jeszcze.

— Jakto, kilka tygodni? — spytał Simonis.

— A tak! — odparł Beguelin, ręce zakładając w kieszenie. — Za kilka tygodni (tu do ucha mu się nachylił) my tu panami będziemy.

Simonis zamilkł ze zdumienia. Beguelin śmiał się...

— Jak mnie waćpan żywego widzisz — rzekł — dlatego ja moje sery radbym spieniężył wprzódy, nim nasi przyjdą, bo je gotowi wziąć nawet ode mnie w kontrybucyi. Jużciż wolałbym, żeby je na kwitki wzięli u kupców niż u mnie. Zobligujesz mnie, miły kawalerze, jeśliby ci się trafiło kupca mi na sery nastręczyć. Nie śmiéj się z tego, że dyplomacya pruska serami handluje: bardzo nam licho król płaci, nie tak, jak August Brühlowi. Co pan chcesz? u Herzberga na korytarzu mleko sprzedaje baba na jego rachunek, a hrabiemu Lusi w Londynie pozwolono olejem handlować: *) czemubym ja nie miał serem?

Beguelin rozśmiał się i pozbywając Simonisa, skłonił się i drzwi mu otworzył.

VII.

Mrok był w ulicy, gdy nasz Maks wydobył się od radcy, handlarza serami, i odetchnął lżéj, odbiegłszy spory kawał od jego dworku. Był już pewnym, że dnia tego przygody szczęśliwie przebrnął. Mentzel jednak ze swemi żalami i zdradzoną tajemnicą, kapitan Feulner wywieziony, Pepita, która go odgadła i zawstydziła, Brühlowa z oczyma czarnemi, jutrzejsze posłuchanie u ministra, uwijały mu się po głowie. Szedł tak ze spuszczonemi oczyma, kierując się machinalnie ku domowi, gdy nagle uczuł się potrąconym.

Naprzeciw niego niosło dwóch w kanarkowych frakach tragarzy lektykę, która go właśnie mijała. Z okna wychyliła się głowa w kilkopiątrowéj peruce i okrzyk dał się słyszéć: „Halt! halt!“

---

*) Historyczne.

Tragarze stanęli. Simonis mimowolnie się zatrzymał przez ciekawość, chociaż ani przypuszczał, ażeby miał być przyczyną zatrzymania lektyki. Wpatrując się dopiéro uważniéj w twarzyczkę zbyt jaskrawą, białą i różową, aby naturalnemi kolory tak jaśnieć mogła, poznał w niéj swą towarzyszkę podróży, czułą Doris, która przybywszy z nim ową budą, w Dreznie dobiła się lektyki... Była nawet bardzo wystrojoną, a na twarzy, o ile róż i bielidło dozwalały, malowała się radość jakaś i rozpromienienie.

Lektyka stała już na miejscu jak wryta, a panna Doris, wychylona z niéj, domagała się gwałtownie od towarzysza podróży, aby się do niéj przybliżył.

— A! jakżem szczęśliwa, że pana spotykam! Chodź pan... słówko tylko! muszę panu opowiedzieć moję historyę. Powiodło mi się nader szczęśliwie. Znalazłam tu przyjaciółkę dawną, od serca, która mi miejsce wyrobiła w teatrze. To kobieta, która co chce, może... Przez nią ja wam nawet dać mogę protekcyę.

Tu się uśmiechnęła.

— Tak! tak! Poczciwa Mina mnie przytuliła. Wiecie kto jest Mina?...

— Nie, pani — rzekł Simonis, trochę szczebiotaniem tém onieśmielony i przestraszony — nic nie wiem, kto jest Mina.

— Tak, boście wy tu obcy! Przecież to cały świat wie, że minister oprócz żony, któréj kochać nie potrzebuje, bo ją tam inni za niego kochają, ma hrabinę Moszyńską w sercu, hrabinę Sternberg w uwielbieniu, dla rozrywki w czarnych godzinach Terenię Albuzzi, a najulubieńszą mu ze wszystkich jest moja Mina, Mina Tennert. Żebyś wiedział pan, jaką kamienicę postawił dla Miny!

Tu nachyliła mu się do ucha:

— Nie bardzo ona mu jest wierną, ale jemu o to nie idzie; chce, gdy się zmęczy, znaléźć twarz wesołą i szczebiotanie miłe. Mina umie doskonale rozerwać, a Mina jest moją przyjaciołką od serca. Kochamy się jak dwie Lesbianki.

Kawaler wyrażenia tego nie zrozumiał, i radby był zwierzeń dalszych uniknąć; zbywał więc milczeniem pannę Doris, gdy ta obawiając się, aby jéj nie uszedł, zatrzymała go chwytając ręką.

— Jadę właśnie do Miny, a waćpan musisz mi towarzyszyć: nic nie pomoże.

— Kiedykolwiekbądź, ale nie dziś! — zawołał Simonis.

— Nieodmiennie dziś! koniecznie dziś! Wieczorem u niéj nikogo nie będzie. Minister ma jakieś kłopoty, które go zatrzymują w domu. Powiem panu pod sekretem: Mina się kocha w sekretarzu Brühla, w Szwajcarze Blumli. On wiele może, ja pana z nim poznam.

Simonis aż drgnął, chciał się właśnie z Blumlim zobaczyć.

— A! jeśli Blumli będzie, służę! — zawołał.

— Widzisz! widzisz waćpan, jak jesteś niegrzeczny, dla mnie-byś nie poszedł, a dla tego...

— To mój przyjaciel, rodak.

Doris skinęła na tragarzy.

— Idź waćpan przy mnie! — rzekła. — Jak mnie pan dziś znajdujesz? Nieprawda, że mi w tych włosach do twarzy? Fryzyer królewski zaklinał mi się, że nie dałby mi lat dwudziestu!

Tu westchnęła.

— Winnam Minie, że mi i wesołość i młodość wróciła.

Tak szczebiocząc i nie puszczając Simonisa od siebie, Francuzka zaprowadziła go do domu zajmowanego przez sławną śpiewaczkę Wilhelminę Tennert.

Jak Albuzzi, dla któréj Brühl wzniósł sławną rotundę, panna Tennert miała jeśli nie pałac, to wcale pokaźną kamienicę z ogrodem na Wildrufskiém przedmieściu. Tam gdzie minister spędzał czasem wieczory, nie mogło być zbyt ubogo i skromnie. Na mniejszą skalę był to pałacyk wielkiéj pani lub słynnéj artystki. Na wschodach, u dołu, stały dwie marmurowe postacie, trzymające lampy w podniesionych do góry rękach. Były to napół obnażone kobiety, obwite wieńcami kwiatów i liści. Dwóch lokaików w liberyi seledynowéj przyjęło gości na dole. Doris wyszedłszy z lektyki, wiodła jeńca swojego na pierwsze piętro. W przedpokoju stał lokaj w takichże seledynach i peruce przepysznéj, ten otworzył im drzwi do niewielkiego saloniku, który był prawdziwém cackiem. W białych ze złotemi promykami ramach, okrywało go obicie atłasowe w kwiaty bukietami rzucane. Do téj bieli, złota i kwiatów stosowało się wszystko, ramy źwierciadeł porcelanowe, komin podobny, pająk z kwiatów, ptaków i motylów, sprzęt okryty takimże atłasem.

Pod oknami w ogromnych wazonach z porcelany rozpierały się bujno wyrastające kwiaty żywe, a wpośród nich stała właśnie piękna Mina, rozmawiając z Blumlim.

Mina, choć już dawno minęło jéj lat dwadzieścia, trzymała się jeszcze, jakby więcéj nad nie nie miała. Był to typ prawdziwie niemieckiéj piękności: włosy złoto-blond, oczy niebieskie, cera biała

i przezroczysta, wzrost ogromny, coś niby przypominającego Tusneldę dziką, któréj dłoń mogła napiąć łuk i dźwignąć pałkę w potrzebie. Majestatycznie wyglądała, lecz niewieściego wdzięku jéj brakło i chłodna otaczała ją atmosfera. Nie można było nie uznać ją piękną, a Simonisowi zdało się, iż w téj piękności, chyba znużony minister dla odmiany się mógł zakochać. Mówiono, że głos miała bardzo ładny i potężny.

Zobaczywszy ją Doris rzuciła się ku niéj z ognistemi objawy przyjaźni, jak gdyby się lat kilka nie widziały. Blumli zobaczywszy idącego za nią Simonisa, niezmiernie się zdumiał.

— Złapałam tego pana, którego poznałam w podróży, bardzo miłego, aby go tu przyprowadzić, kochana Mino. Spodziewam się témbardziéj, iż mi tego nie weźmiesz za złe, bo jest przyjacielem twojego przyjaciela.

Piękna Mina obejrzawszy Szwajcara zdala, dosyć go zimno powitała. Nie była wogóle rada gościom mając u siebie swego Blumli. I Blumli jakoś chłodno przyjął Simonisa, ale Doris nie zważając na nic, w najlepszym humorze gospodarowała już po salonie.

Kawaler wytłómaczył się w kilku słowach przed panią domu i Blumlego wziął na stronę.

— Nie mogłem się oprzéć téj babie — szepnął mu w ucho — widzę, że nie jestem tu gościem pożądanym, ani ja, ani ona; lecz potrzebowałem kilka słów pomówić z tobą i natychmiast się wymknę.

— Gdybyś i starą tę doryndę zabrał z sobą! — zawołał Blumli — ale takiego heroizmu wymagać po tobie nie mogę.

— Jakimże sposobem stało się, iż jutro już mam być ministrowi przedstawiony? — zapytał Simonis.

— Najprostszym w świecie: wpadłeś w oko hrabinie, kazała, aby cię poznał i dał ci miejsce u dworu.

— Ale ja, ja miejsca przyjąć... ja nie umiem — zmieszany odparł Simonis.

— Dlaczegóż? — rzekł zadziwiony Blumli — odpychasz szczęście, które cię spotyka. Hrabina ci się podobała, jesteś wolnym, obowiązki sekretarza będziesz, zdaje mi się, pełnił więcéj w jéj kancelaryi niż w naszéj. Cóż może być pomyślniejszego!

— Będę otwartym — odezwał się Simonis — namyśliłem się. Nie życzę sobie losu Seyferta, pręgierza i Koenigsteinu. Jestem młody, za serce ręczyć nie mogę.

Blumli nań patrzał z uwagą.

— Nie rozumiem cię — rzekł — coś innego stać musi na przeszkodzie; znam cię z dawniejszych czasów i z pierwszéj rozmowy, byłeś innym. Cóżto? nastraszono cię?

— Tłómacz to, jak chcesz!

— Jużciż cię stary szkielet Dorydy nie zbałamucił! — rozśmiał się Blumli. — Ha! postąpisz, jak zechcesz, zmusić cię przecież nie mogę, ani ja namawiać będę. Przedstawienie się ministrowi do niczego nie obowiązuje.

Simonis zmilczał i rozmowa na chwilę przerwana została. Dosyć zręcznie potém kawaler nasz potrafił ją przeprowadzić na przedmiot inny.

— Cóż to jest, com słyszał w mieście? — szepnął cicho — aresztowano jakiegoś Feulnera.

Blumli ruszył ramionami.

— Chleb powszedni — rzekł obojętnie — kapitanów codzień ślą do fortecy, bo dokazują wielce, o tym coś bąkają, że się z Prusakami zwąchał, a my dziś na to jesteśmy drażliwi. Wyobraź sobie — dodał — iż nam Prusacy depesze kradną z przed nosa. Brühl jest bardzo grzeczny, ale kto się w jego białe rączki dostanie, tego można pożegnać nazawsze.

Piękna Mina dopomniała się o swojego faworyta i odebrała go Simonisowi, dając mu w zamian niebezpiecznie dnia tego ożywioną Doris, któréj przy kawalerze przychodziły śmieszne reminiscencye młodości. Simonis nie mając ochoty grać w nich żadnéj roli, zabawił krótko i umknął jak mógł najprędzéj.

Księżyc przyświecał mu w drodze do kamienicy pani baronowéj. O téj porze wszystkie już domy w mieście, oprócz publicznych lokalów, były pozamykane, ale kawaler, obyczajem drezdeńskim, opatrzony był kluczem, który mu wrota otworzył.

Noc przeszła więcéj na niespokojnych marzeniach niż na śnie, który ledwie nad rankiem skleił powieki.

Posłuchanie wyznaczone było na niezbyt wczesną godzinę; Simonis skromnie ale ze smakiem przybrany czarno, poszedł do kancelaryi do Blumlego. Było to właściwie ognisko, z którego rozkazy na całą rozchodziły się Saksonię.

Brühl kierował tylko głównemi rozporządzeniami, środki wykonania zostawując podwładnym. Tych ośmiu panów sekretarzy panowało wistocie z mocą nieograniczoną. Znać było to uczucie ich potęgi po twarzach młodych panów, wyrażających najzupełniejszą wzgardę dla rodzaju ludzkiego.

Gdy Simonis wszedł na próg, oczy wszystkich zwróciły się na niego raczéj ciekawie niż życzliwie. Widzieli w nim współzawodnika a może niebezpiecznego faworyta. Wprawdzie panowie ci kręcili się tu z rękoma pod poły fraków i za żaboty u kamizeli

pozakładanemi, niekiedy spoglądali na robotę młodych kancelistów, ale interesa bieżące wcale się ich nie zdawały obchodzić. Mówiono o Faustynie, o Teresie, o Minie i o mnóstwie innych kobiet, o teatrze, o polowaniu, tylko nie o nudnych sprawach administracyi.

Simonis wszedł w chwili, gdy z rozkazu ministra wykomenderowywano jednego z radców, dając mu w pomoc szwadron konnicy, dla ściągnięcia zaległego podatku w górnych powiatach, gdzie ludność odmawiała należnéj panu daniny, pod pozorem nieurodzaju i głodu. Rozkazy były wyraźne; podatek ściągniętym być musiał dla samego przykładu i wpojenia téj zdrowéj zasady, którą Brühl się zawsze kierował: *Nicht raisonniren.* Rezonowaniem zwała się każda wymówka od spełnienia świętych obowiązków.

Z okien późniéj mógł się Simonis przypatrzyć, jak radca jechał otoczony konnicą, wioząc za sobą pisarzy dla protokułów, pachołków dla przytrzymania rezonujących i gawiedź sądową, aby forma legalna w domierzeniu słusznéj kary była zachowaną. Blumli, chodzący jak inni z rękoma w kieszeniach, o naznaczonéj godzinie udał się z kawalerem de Simonis do gabinetu ministra.

Brühl niezmierną i bardzo słuszną przywiązywał wagę do pierwszego wrażenia, jakie miał wywrzéć na obcym człowieku. Wszystko u niego było obrachowaném: tło na jakiém się miał malować, akcesorya obrazu, wyraz twarzy, strój, poza. Tym razem siedział w fotelu rozparty z nogą założoną na nogę, cały w jedwabiach, szytych srebrem, w koronkach, w peruce, którą amorki chyba fryzować musiały, a któréj wdzięk nie uwłaczał powadze. Ciężar spraw kraju i polityki europejskiéj spoczywał na czole osłoniętém lekką chmurą.

W białéj, pulchnéj rączce trzymał na kolanie spartą tabakierkę emaliowaną. Przed nim leżał stos listów. Nieinaczéj byłby usiadł do portretu dla potomności. Gdy Blumli drzwi otworzył i Simonisa wprowadził, minister zrazu nic posłyszał nic i nie spostrzegł, zatopiony w głębokich kombinacyach polityki europejskiéj, którą był pewnym, że ukryty w Saksonii kieruje; dopiéro za zbliżeniem się ich, przybrał nader uprzejmą postać i z gibkiemi ruchy, pełnemi elegancyi, dając poznać w sobie człowieka wielkiego świata, godnego dworu Ludwików, przyjął Simonisa protekcyonalnym uśmiechem. Machinalnie otworzył tabakierkę, patrząc w niebo, palcami rozstrzępionemi, aby na nich solitery tego dnia będące na dężurze widać było; wziął szczyptę i poniósł ją roztargniony, rozmawiając, do pięknego nosa. Usta tymczasem wyginały się z całą gammą stłumionych różnych wyrazów, odegrywając z wdziękiem nieporównanym.

— Bardzo się cieszę z poznania pana — rzekł cedząc powoli — bardzo się cieszę.

Oczyma tymczasem egzaminował młodzieńczą postać filuta, który z mniejszą wprawą grał, już jak wirtuoz wielkich nadziei, swą pierwszą rolę na dworze. Brühlowi wydał się skromnym i naiwnym.

— Bardzo się cieszę — powtórzył minister. — Kraj Helwetów dostarcza nam najzdolniejszych we wszystkich zawodach urzędników, artystów, uczonych. A pan jakiemu się powołaniu chcesz poświęcić? — dodał z uśmiechem.

Simonis się namyślał nieco.

— Właśnie chciałbym samego siebie doświadczyć i wypróbować — rzekł skromnie — jestem młodym i niewprawnym.

— Wyznanie pełne skromności — ciągle się w niego wpatrując mówił minister — daje to o waćpanu najlepsze wyobrażenie. Cieszyłbym się, gdybym mógł go tu zużytkować.

— Byłoby to dla mnie największém szczęściem, w usługach tak znakomitego męża stanu, jak wasza ekscelencya, pierwsze stawić kroki, ale nie czuję się do tego zdolnym.

To mówiąc, skłonił się dziękczynnie. Brühl uśmiechnął się; skromność przypadła mu do smaku.

— Ja też bardzobym rad zdolnego i tak pełnego nadziei młodzieńca miéć przy sobie — odparł zbliżając się — ale powiedzże mi, kawalerze, otwarcie, do czego się przykładałeś?

— Ja? wasza ekscelencya ciężkie mi do odpowiedzi dajesz pytanie — rzekł żywo Simonis — uczyłem się potrosze wszystkiego, a umiem niewiele. Kilka języków posiadam nieźle, lubię muzykę, rysowałem trochę, nie jest mi obcą matematyka; lecz wszystko to potrzebuje bezwątpienia wprawy i dopełnienia.

— A! — zawołał Brühl — jakże z kaligrafią? charakter wyraźny?

— Starałem się o to — odparł Simonis.

Minister, który znać był nawykł, że mu się inni kandydaci zbyt przechwalali, zdumionym był nieco.

— Będę miał miejsce w mojéj kancelaryi — rzekł — możebyś je waćpan chciał zająć przy korespondencyi zagranicznéj.

Simonis skłonił się nizko.

— Wielkie to i niespodziane dla mnie będzie szczęście, pracować pod zwierzchnictwem tak wielkiego ministra, którego Europa cała wielbi i podziwia; ale wasza ekscelencya raczysz mi dozwolić choć miesiąc czasu, abym się obeznał ze stosunkami miejscowemi.

— Prawdziwie, zachwycasz mnie waćpan taktem i rozumem

nad wiek! — zawołał Brühl. — Proszę bardzo, masz waćpan od dziś dnia wstęp wolny do mnie, dla obeznania się z porządkiem, a rozpoczniesz pracę, gdy zechcesz.

Zażył tabaki, strzepnął starannie koronkowe mankietki i spojrzał w zwierciadło boczne, które mu poświadczyło, że postawę i minę miał Richelieu'go lub Mazarina.

— Masz waćpan familię? — spytał.

— Nikogo oprócz siostry, którą w Berlinie zostawiłem.

— Stosunki? znajomych?...

— Bardzo mało, a głównie pan Blumli jest i był łaskawym moim opiekunem. Nie będę też taił przed waszą ekscelencyą, jegomość pan radca Ammon jest mi krewnym, ale on mnie a ja jego nienawidzę.

— A! a! — zawołał zdumiony Brühl — a toż dlaczego? Radca Ammon jest człowiek wielce szanowny.

— Tak, ale mnie przybyłego po radę przyjął jak włóczęgę, a uczucie osobistéj godności nie dozwala mi mieć z nim stosunków.

Brühl się zamyślił i machinalnie sięgnął do tabaki.

— Wielka szkoda — rzekł — wielka; na ten raz byłoby mi się to wielce przydało. Ale, zdaje mi się, że ja panów do siebie przybliżę.

To mówiąc spojrzał na zegarek...

— A zatém, szanowny kawalerze — dodał — zrozumiejmy się: *vous êtes des nôtres,* daję panu tylko urlop na miesiąc.

Simonis zaczął dziękować, ale Brühl już się odwrócił, ręką okazując, że tego nie wymaga. Pobiegł z pośpiechem do biurka, jakby przestraszony nawałem pracy, która go czekała: Simonis wyszedł.

Zaledwie się zamknęły drzwi, minister papier wzięty do ręki rzucił i głęboko się zamyślił. Gdzie myśli jego błądziły, któż odgadnie? Wzdychał niekiedy. Zbliżała się godzina, w któréj dziś wyjątkowo u króla być musiał, bo najjaśniejszy pan po niego przysyłał, dając mu znać, że czeka w interesie niecierpiącym zwłoki.

Już miał zadzwonić o lektykę, gdy bez zapukania wpadł wysokiego wzrostu, piękny i Augusta Mocnego twarzą i postawą przypominający, w wojskowym mundurze mężczyzna. Był to generał Rutowski, syn ostatniego króla, wojskowy z powołania i z upodobania, żołnierz, galant, rycerz, którego nawet Brühl szanował, bo nie obawiał się z jego strony żadnéj intrygi, a rachował nań w przypadku wojny.

Na téj nieumiejącéj nic ukryć twarzy człowieka, charakteru

z natury otwartego i żywego, każde wrażenie malowało się jak w zwierciedle. Spojrzawszy nań Brühl poznał odrazu, iż coś musiało go zburzyć i zaniepokoić. Nie mówiąc słowa, Rutowski wziął za rękę ministra i poprowadził go do okna.

— Kochany ministrze — rzekł — wiesz ty dokładnie, co knują w Berlinie?

— Jakto? cóż oni knuć mogą? to my (*entre nous*) knujemy; ale ten nieszczęśliwy Fryc obsaczony jak niedźwiedź, co on może?

— Pewien jesteś tego?

— Kochany hrabio! racz pomyśleć: my tego człowieka mamy w matni... Ale cóż mogło was tak zaniepokoić?

— Powiem ci: mam wiadomość z Berlina — rzekł Rutowski — mam ją pewną. Fritz skupia czterdzieści tysięcy wojska, które nim my się zbierzemy ku obronie, do Saksonii wkroczą.

Brühl szczerze się rozśmiał.

— Ale, kochany hrabio, jesteście znakomitym wodzem, nie przeczę, godnym uczniem Wiktora Amadeusza; jednak w polityce chyba uczniem. Możnaż wkroczyć nie wypowiedziawszy wojny? Byłoby to przeciwko wszelkim prawom *pacis et belli.* Nie mamy z kochanym sąsiadem naszym najmniejszego zatargu, siedzą u nas jego rezydenci i agienci; uśmiechamy się do siebie przez granicę. Jakżeby mógł, jakżeby śmiał?

Rutowski pomyślał.

— Tak, to prawda — rzekł — ale znaszże ty Fryderyka II-go? — zapytał.

— Pochlebiam sobie, że jego grubiańsko-królewską mość znam choć trochę — odparł minister. — W chwili, gdy pół Europy się na przyjaciela Imć pana de Voltaire szykuje, nie zdaje mi się, aby dobrowolnie chciał się postawić sam *hors la loi?* Pogorszyłby sobie sprawę — rzekł Brühl z uśmieszkiem — i moglibyśmy mu nawet Brandeburgię odebrać, ogłosiwszy go *au ban de l'Empire.* Ale mój hrabio — dodał — to są czcze, dziecinne strachy. Austrya go tego roku nie zaczepi, a sam, ręczę wam za to, wojny nam nie wyda; król Fritz nadto jest przebiegły, by mógł się tak unieść. *Allons donc!*

Rutowski pomyślał trochę.

— Masz słuszność — odparł podając mu rękę — ja dyplomatą nie byłem, nie jestem i być nie chcę. Jestem żołnierzem! Nie rozumiem tych spraw, uląkłem się niepotrzebnie. Ale, ale, jakże chcesz, doniesiono mi to z takiemi szczegółami...

— Naprzykład? — zapytał Brühl szydersko trochę.

— Doniesiono mi, że wojska część jedna ma pozostać pod wodzą feldmarszałka Lewalda na obronę kraju i stolicy, jeśliby we-

szli Rosyanie. Główne siły rozdzielone są na trzy korpusy, z których jednym dowodzi książę brunświcki, drugim sam król, trzecim książę Bevern.

Brühl się uśmiechał.

— I te trzy korpusy na nas mają być przeznaczone?

Zaczął się śmiać coraz głośniéj.

— Ha, chyba na rok przyszły.

Rutowski stał zmieszany.

— Wyście to naturalnie daleko lepiéj ode mnie wiedziéć powinni — rzekł — jestem więc spokojny i przepraszam, żem was napróżno nudził.

Brühl chwytając go za rękę, poskoczył ku niemu.

— Gienerale — zawołał — na miłość bożą, ani słowa o tém przed królem jegomością, aby go napróżno nie męczyć. Jestto wprost niemożliwe.

— A! wiesz przecie, że plotek nie noszę! — odezwał się Rutowski.

Podał mu rękę i wyszedł żywo. Brühl ramionami ruszył, spojrzał na zegarek; godzina królewska się zbliżała: zaledwie miał czas kazać się zanieść na zamek.

— Kłusem! — zawołał na tragarzy, i dwaj silni chłopcy ponieśli lektykę jak piórko.

W przedpokoju minister prawie się przeląkł, niespodzianie postrzegłszy oczekującą ciżbę; ale obawa trwała chwilę tylko, wprędce bowiem rozpoznał, że ta gromada osób składała się przeważnie z dzieci Muz i Apolina, z artystów i znawców sztuki. Stał wśród nich z włosami na ramiona rozpuszczonemi i żywemi oczyma, Rafael Mengs, obok niego skromny, szydersko jakoś uśmiechnięty Dietrich; daléj profesor i miłośnik starożytności Lippert i wielki znawca kunsztu, erudyt i intrygant, spekulator i krytyk zarazem, niegdyś jeden z sekretarzów Brühla, dziś dyrektor akademii Heinecken. Oprócz nich kilku Włochów, Anglik Hamilton, malarz scen myśliwskich i inni.

Brühl spojrzał na to zgromadzenie, zwołane bez jego wiedzy, i zapytał Heineckena:

— Co to jest?

— Król nas zawołać kazał; nie wiemy — odparł dyrektor.

Nie czekając dłużéj i zostawując tych panów w antykamerze, minister wbiegł do królewskiego pokoju. August zamyślony siedział w fotelu, naprzeciw którego na ogromnym trójnogu stał obraz: było to owo sławne Guido Reniego dzieło nabyte przez kanonika Luigi Crespi z Bolonii od rodziny margrabiego de Tanara.

Na widok Brühla król jakby rozbudzony powstał.

— Brühl! opóźniłeś się — zawołał — tu idzie o rzecz największéj wagi. Czy są wezwani znawcy?

— Czekają na rozkazy waszéj królewskiéj mości.

— Wprowadzić ich, chcę raz mieć stanowczy wyrok w téj mierze.

Szambelan stojący u drzwi, otworzył je i skinął na oczekujących, którzy z kolei wsunęli się do pokoju, oddając nizki pokłon królowi i stając rzędem jedni za drugiemi.

August przybrał twarz uroczystą.

— Panowie — rzekł — chciejcie się bacznie przypatrzyć arcydziełu temu, ręki onego Guido Reniego. O autentyczności wątpliwości niéma. Boskiego mistrza znać na nim dotknięcie. Ale rodzi się wątpliwość straszna, okropna, niepokojąca. Dyrektorze von Heinecken, profesorze Lippert, patrzcie! Tradycya rodziny Tanarów mówi, że obraz wystawia Salomona i królowę Sabę; tymczasem słyszałem drugich gorąco obstających przy tém, że to jest Ninus i Semiramis.

Wszyscy oczy na obraz zwrócili, milczenie wielkie, uroczyste jakieś, ledwie oddechami uczonych mężów przerywane, trwało minut kilka. Król patrzał po twarzach, twarze nie mówiły nic. Każdy oczekiwał zdania pańskiego, aby się do niego zastosować, a z własném ani się myślał odezwać. Nie szło nikomu o to, czy to był Salomon i Saba, czy Ninus i Semiramida, ale wszystkim chodziło o to wielce, ażeby się najjaśniejszemu panu nie sprzeciwić.

Brühl usta wydąwszy, zatopiony był napozór w kontemplacyi obrazu, chociaż wistocie o czém inném myślał. August III powoli obracając głowę, patrzał po tych osowiałych mężach, zdających się co najmniéj ważyć losy świata. Wszystkich fizyognomie, wyjąwszy nieco szyderską Dietricha, były nadęte, zadumane, pomarszczone od wysileń mózgowych. Król uśmiechając się oczekiwał. Nareszcie odezwał się:

— Brühl, ty się znasz; hm? Co mówisz?

— Przychylam się do zdania waszéj królewskiéj mości — zawołał żywo minister.

— Ale ja właśnie zdania nie mam — rzekł król uśmiechając się.

— Ja także, wyznaję — odparł Brühl — zdania mieć nie mogę. Jakżebym śmiał je mieć, gdy wasza królewska mość, daleko większym będąc znawcą, nie raczysz go wyrzec.

— Hm! otóżto; ale jak sądzicie?

Brühl, obawiając się skompromitować, ruszył ramionami.

— Pan dyrektor Heinecken mógłby być w téj mierze sędzią najlepszym — odezwał się Brühl, spoglądając na niego.

Heinecken był jednym z najzręczniejszych dworaków; powołany, skulił się, zgarbił, głowę skłonił, ręce roztworzył i koniec końców, rzekł:

— To kwestya!

— Tak, to kwestya! to kwestya! — zawołał król uśmiechając się — wielka i ważna kwestya, ale kto ją nam rozwiąże?

Spojrzano na profesora Lipperta, bo każdy rad był pierwsze słowo zrzucić na kogo innego. Lippert to zrozumiawszy, jako podstęp i zdradę, ramionami ruszył, na bok odstąpił i krótko rzekł:

— Nie wiem!

August ręce zacierał i śmiał się.

Na widok tego uśmiechu, zaczynali się i inni uśmiechać pocichu, a nareszcie Dietrich prychnął. Ze zgrozą obróciły się nań oczy: trzymał dłoń przy ustach.

— Dietrich! ty szyderco jakiś! niedowiarku! chodź mi tu zaraz — zawołał król. — Co ty mówisz? hę? z kogo się ty śmiejesz?

— Najjaśniejszy panie! — nizko się kłaniając, rzekł malarz — proszę mi przebaczyć. Śmiałem się ze wszystkich, oprócz majestatu waszéj królewskiéj mości i jego ekscelencyi.

— Ale cóż ty mówisz? — nalegał król.

— Ja? — spytał Dietrich.

— Tak, ty.

— Ja? — zamyślił się ponuro i westchnął malarz. — Najjaśniejszy panie! — rzekł — ja mówię, że czy to jest Ninus i Semiramis, czy Salomon i królowa Saba, obraz—arcydzieło i to mi wszystko jedno.

Król w ręce plasnął.

— Brawo! Dietrich, brawo! *e vero!* Ślicznieś powiedział bardzo, ale tu idzie o katalog, tu idzie o wyrozumienie przedmiotu, tu idzie o dojście prawdy.

— Najjaśniejszy panie! — odezwał się Dietrich — starożytni malowali prawdę nagą i wychodzącą ze studni; ale mnie się zdaje, że ona zawsze tak w szlafroki pozawijana, tak osłonięta i spowinięta, że jéj jeszcze nikt na oczy nie widział.

August III aż się za boki wziął od śmiechu.

— O! jakiż on przedziwny ten Dietrich, jaki on przedziwny!

Malarz skromnie już się wyrejterował w tył i schował za drugich.

Na przodzie stał jakoś Anglik Hamilton, znakomity malarz, władający jednak daleko wyborniéj pędzlem niż językiem, a do tego dystrakt.

— Panie Hamilton, co wy na to? — spytał król — hę?

Anglik głową zaczął kiwać, rękę jednę podłożył pod łokieć i sparł brodę na drugiéj: myślał.

— Nie wiem, najjaśniejszy panie — rzekł — może to być Salomon i Semiramis, a może być Ninus i królowa Saba! Wszystko może być.

Król homerycznym parsknął śmiechem z omyłki, inni prychali tak, jakby na panewkach proch spalał. Anglik pomiarkował, że się szkaradnie omylił i poprawił się z wielką powagą:

— Przepraszam, może być Ninus i Salomon, albo Semiramis z Sabą.

Śmiech jeszcze większy, Hamilton się nasrożył i cofnął. Nastąpiło głuche milczenie.

August spojrzał po zgromadzeniu prawie zafrasowany.

— Tylu tu widzę mężów uczonych, panowie, nie może być, ażeby żaden z was nie miał o obrazie zdania. Proszę o nie, bardzo o nie proszę, moi panowie; będę za nie wdzięcznym.

Profesor Lippert pokiwał głową.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł — obraz nabyty jest od rodziny Tanara.

— Tak — rzekł król — i mieliśmy z nim kłopotu niemało; gdyby nie ten poczciwy ksiądz kanonik Crespi, któremu trzeba posłać za to wazon porcelanowy, gdyby nie on, nie miałbym tego obrazu. Tak jest, przywiązywano do niego cenę nadzwyczajną, że chciano dziesięć tysięcy skudów, co się dało zredukować do trzech tysięcy dukatów w złocie, ale młody markiz de Tanara zaprotestował przeciw sprzedaży téj familijnéj pamiątki, tego drogiego klejnotu i nie chciał go wypuścić. Kanonik Crespi musiał u jego świętobliwości ojca świętego wyrabiać breve, a *Academici Clementini di Bologna* wydali zgodne świadectwo, że to dzieło Guida. Ale cóż mówisz? profesorze...

— Familia de Tanara musiała mieć tradycyę: wszak dla niéj obraz był malowanym! Academici Clementini musieli w świadectwie wyrazić przedmiot.

— *Evero!* — zawołał król żywo.—Tradycya mówi o Salomonie, świadectwo o Salomonie, ale jest kwestya, jest kwestya.

Wszyscy znowu oczy zwrócili na obraz i stali niemi, Brühl się skłonił.

— Najjaśniejszy panie! — odezwał się — nie ma tu między nami znawcy nad waszę królewską mość, a co nasz pan wyrzecze, to będzie sądem ostatecznym.

Król głową potrząsł i chytrze się jakoś uśmiechnął, szepnąwszy cicho:

— Ja nie powiem!

Położenie dworaków stawało się niesłychanie przykrém. Z tym dowcipem, jaki go charakteryzował, minister odgadł swojego króla, milczenie, według niego, nie mogło co innego znaczyć nad Ninusa i Semiramidę.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się po namyśle — gdybym miał odwagę przyznać się do mojego zdania...

— Miéj ją! proszę! — wtrącił król.

— Sądzę, że i familia zapomniała i akademicy się omylili: To Ninus i Semiramis.

Wszyscy spojrzeli na ministra, podziwiając jego odwagę. Król rozpromieniony w ręce uderzył.

— I ja tak trzymam! — zawołał wybuchając nareszcie.

Szmer się rozległ pomiędzy przytomnymi.

— Tak jest Ninus, niezawodnie Ninus i Semiramis — powtarzano.

Wejrzeniem objął król zgromadzenie; nie było najmniejszéj opozycyi; wszyscy teraz utrzymywali, że to nie mógł być Salomon ale Ninus, że niepodobieństwem było, aby w kobiecie malarz Sabę stworzył nie Semiramis. Tylko Dietrich, ten szyderca, co umiał wszystkich mistrzów malować a sam sobą nie był nigdy, uśmiechał się dziwnie i krył w kątku.

Profesor Lippert wystąpił na poparcie z erudycyą, Heinecken z prawdopodobieństwem, Mengs z charakterystyką.

Król usiadł w krześle uspokojony zupełnie i rad z siebie.

— Panie dyrektorze Heinecken, proszę obraz w katalogu poprawić, aby mi tam nie stał Salomon z Sabą, rozumiesz. Dzięki Bogu, ważne to pytanie stanowczo rozstrzygnięte zostało: dziękuję panom.

I August uprzejmie ręką ich pożegnał. Z kolei tedy od najstarszych począwszy, szeregiem poczęli się kłaniać majestatowi i schyleni tyłem cofać się do drzwi, za któremi każdy dopiéro swobodniéj odetchnął.

Dietrich popatrzał po towarzyszach szydersko nieco, skłonił się i pierwszy zbiegł ze schodów.

VIII.

Kawaler de Simonis jakoś nierychło dnia tego potrafił się wydobyć z pałacu Brühlowskiego: zaproszono go tu na obiad do stołu

dworzan i sekretarzy, przy którym prezydował marszałek dworu. Obiad był wytworny, wino doskonałe, humory wyborne i młodzież potém wybiegła do ogrodu. Maks mógłby być zupełnie zadowolonym z przepędzonego tu czasu, gdyby nie jedna okoliczność. Przy stole siadł obok Blumli, ale z drugiéj strony, niemal gwałtem się wcisnął młody chłopiec, który mu natarczywie patrzał w oczy i natrętnie szukał jego znajomości. Simonisowi wydało się to jakoś podejrzaném, bo nie mógł w żaden sposób odgadnąć powodu, dla którego ów młodzieniec, zupełnie obcy, tak się do niego cisnął. Od Blumlego się dowiedział, że to był Polak, syn dosyć zamożnego szlachcica, który gwałtem niemal go oddał do dworu Brühla. Minister, który miał dlań jakieś obowiązki z tych czasów, gdy się o szlachectwo polskie starał i ocieszyńskie sobie pochodzenie wyrabiał, wziął chłopaka do Drezna.

Znali tu wszyscy tego pana Ksawerego Masłowskiego, którego chociaż ich tam na dworze bardzo było wielu, zwano *kat exochen* Polaczkiem. Zrazu był przyjechał do Saksonii z podgoloną głową, przy szabelce, w kontuszu i żupanie; ale że na dworze Brühla noszono się po europejsku, musiał w końcu przebrać się jak drudzy. Taka była wola pana stolnika, ojca pana Masłowskiego. Na dworze dziwną Ksawerek grał rolę, bo niebardzo tu kogo szanował, głowę do góry zadzierał, żartował ze wszystkich, i choć po francusku mówił jak hiszpańska krowa, a po niemiecku jak owca hiszpańska, łamanym językiem, nitki na nikim poczciwéj nie zostawił. Kraj mu się wydawał osobliwy, ludzie śmieszni, stosunki dziwaczne, po szlachecku się zapatrując na to ramionami tylko ruszał i drwił.

Blumli, który się go i obawiał i nie lubił, bo był śmiałek okrutny i zawalidroga, ostrzegł zaraz Simonisa, z kim miał do czynienia, żeby się miał na ostrożności, bo Masłowski do nikogo nie zwykł się był czepiać darmo

Kawaler więc grzecznie się go zbywał przez cały obiad, sądząc, że chłodem odpędzi. Nie było to tak łatwo, Masłowski kroku od niego nie odstał, a gdy się przenieśli do ogrodu i Blumli odszedł nieco, pochwycił Simonisa jak swojego. Tym razem Szwajcar sądził, iż łagodnością i uprzejmością go rozbroi, przestał się więc wyrywać.

Masłowski był słuszny, blondyn, z nosem maleńkim garbatym a ustami wydętemi i oczyma wysadzonemi na wierzch. Okrutna się buta malowała w téj twarzyczce. Spiczastą nieco głowę z dziwnie do góry zaczesanemi włosami nosił zawsze zadartą. Mały wąsik blond, który lubiał pokręcać, i którego dla stroju francuskiego nie chciał poświęcić, zdobił mu wargę wierzchnią.

— Cóż, szanowny kawalerze — odezwał się do ogrodu wyszedłszy Masłowski — jak się panu ten niemiecki kraj podoba?

— A! bardzo — rzekł Simonis.

— Bardzo? ja się panu przyznam, że mnie niekoniecznie. My oba jesteśmy republikanie, a to przecie zupełnie co innego; szlachty ani widać: sami lokaje i urzędnicy.

Kawaler zmilczał nieco.

— No i lutry mało nie wszyscy — rzekł Masłowski — w katolickim kościele dzwonu powiesić nie wolno, jak u nas na bożnicy.

Ruszył ramionami, rozśmiał się pokazując białe zęby i dodał:

— Ale dziewczęta ładne!

Simonis, gdy raz wpadli na tę materyę, wcale nierezonującą i nieprzedstawiającą niebezpieczeństwa, odetchnął wolniéj.

— Ja tu mało kogo widziałem! — rzekł.

— Ale! ale! — przerwał Masłowski — nie tracisz pan czasu. Wszakże pan już znasz najpiękniejszą ze wszystkich i niemal ją codzień widujesz.

— Ja? kogo? — spytał zdziwiony Simonis.

— Ano pannę baronównę Nostitz, która jest przy królowéj frejliną. Oprócz tego juści pan i z naszą hrabiną zabrał pono znajomość.

Szyderski uśmiech Masłowskiego, pokręcającego wąsa, nie podobał się Simonisowi.

— Hrabina jeszcze hoża baba — mówił szlachcic — wcale niczego, jak się wyczupurzy; a Pepita choćby na sobie i listka babuni Ewy nie miała, byłaby jak anioł ładna! Tego to panu zazdroszczę, że ją tam u stryjenki widujesz...

— Ale skądże pan o tém wiesz? — spytał Simonis.

— Ja? widzi pan — mówił szlachcic — ja tu nie mam nic do roboty, ojciec mnie oddał dla przetarcia się i przecieram się... Patrzę, szpieguję i kpię. Ciekawy jestem! Cóż mam robić? Do czego to próżnowanie nie doprowadzi! Wszystkie ładne panny znam, a co Pepitę, choć Niemkę, przyznaję się, że uwielbiam. Gdyby nie była taka dzika, jabym ją nauczył po polsku.

Simonis się uśmiechnął.

— Mówiłeś pan, że mi zazdrościsz, ale doprawdy niéma czego, ja ją ledwie kilka razy widziałem.

— Kilka razy! ale swobodnie! a ja tylko ją oczyma gonić muszę; rozmowy ani sposobu. Śliczne stworzenie! — dodał Masłowski, wzdychając.

— Kochasz się waćpan w niéj? — spytał Simonis szydersko.

— A nie wiem — rzekł Masłowski — ale bardzo być może, iż... wypadnie się zakochać. Prawda, że Niemka, no, ale szlachcianka i taka bestya ładna i niegłupia.

— I śmiała — dodał Simonis.

— A to nic nie szkodzi, ja sam śmiałe lubię. Przyznam się panu — przebąknął Masłowski — że téj pannie winieneś, żem się tak mu do boku przyczepił. Chciałem was ostrzedz. Jakby wam ochota przyszła koperczaki do niéj stroić, to między nami byłaby awantura.

Simonis stanął i popatrzał mu w oczy.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał śmiejąc się.

— Czy pan kiedy w życiu spotkałeś szlachcica polskiego? — odparł drugiém pytaniem Masłowski.

— Nie — rzekł Szwajcar.

— No, widzi pan, co kraj to obyczaj; my szlachta naszéj rzeczypospolitéj od nie wiem wielu lat mieliśmy i mamy przywilej sami tylko bronić kraju. U nas chłopów w wojsku niéma: oni sobie ziemię orzą. Otóż od dzieciństwa nawykłszy do szabli i żołnierki, mamy ten nałóg, że gotowiśmy się bić o lada co. Co robić! dłonie świerzbią!

— A! — rzekł Simonis — ja téż nieźle się fechtuję i strzelam.

— A ba! daj ty mi pokój z fechtunkiem — rozśmiał się Masłowski — ja z rożnami waszemi nie mam do czynienia, choć i tegom się uczył; u nas na szabelki. To mi gra! Szpada to śmiech, a szablą jak płatnie...

Zamachnął Masłowski.

— Ale dajże mi waćpan pokój, mój rycerzu szablowy — odezwał się ze śmiechem Simonis — ja ci przecież w drogę nie wchodzę.

Masłowski podał mu silną i szeroką dłoń.

— Widzisz, kochany kawalerze — rzekł — mnie się zdaje, że starzy i młodzi, kto żyw w baronównie kochać się musi.

Ruszył ramionami i począł poświstywać.

— Ja kłótni, uchowaj Boże, nie szukam, ale się napieram do przyjaźni waćpana. Wiesz dlaczego?

— Cóż to takiego?

— Oto dlatego, że mi ta przyjaźń da sposobność uczęszczać na trzecie piętro kamienicy, w któréj na drugiém ta dzieweczka czasem przebywa. Mogę, obrachowawszy się dobrze, idąc spotkać ją na schodach.

Simonis się śmiał, śmieli się oba.

— Żeby ojciec wiedział o tém — rzekł Masłowski — dopiérożbym się miał zpyszna! Gdy mnie na to przecieranie się w świat wyprawiał, choć mi to nic było do smaku wcale, zapowiedział

najuroczyściéj, że jeśli się w Saksonii z babami wdam w amory, sto bizunów na kobiercu.

Simonis aż odskoczył.

— Kochany Szwajcarze — rzekł seryo bardzo Masłowski — u nas sto bizunów jest porcyą bardzo umiarkowaną. Ja ci ręczę, że dają i po dwieście. Zaś mniéj dwudziestu pięciu, szkoda zakasywać rękawy i szarawary. Ale z drugiéj strony, bracie republikaninie — mówił daléj pan Ksawery — trzeba wiedzieć, że u nas wielcy panowie, kiedy im przyjdzie fantazya skórę trzepać, często płacą potém po dukacie od bizuna.

Simonis słuchał już nic rozumiejąc.

— Co chcesz — ciągnął daléj Masłowski — u nas świat inny, jakże ty chcesz, ażeby mi się tu podobało. Wcale inne obyczaje: tu wszystko w kątku i pocichu.

Schylił mu się do ucha.

— Słyszałeś o Koenigsteinie? o Pleissenburgu, o Stolpen? Tam i naszéj dużo szlachty rekolekcye odsiadywało. W Stolpen król starą kochankę posadził, gdy mu się sprzykrzyła, a do Koenigsteinu codzień wożą. U nas tego niéma. Prawda, tu świat polerowany bardzo, ale gęby na kłódki pozamykane. U nas mówić wolno, co komu ślina do ust przyniesie; u nas... ale ty tego nie zrozumiesz, kawalerze de Simonis. My ludzie trochę dzicy, prawda, ale u nas każdy Pana Boga chwali, jak chce, co ma na sercu to wypowie i sejmy mamy, na których się wykrzyczéć można, co dusza zapragnie.

— Tak, o sejmach słyszałem — odparł Simonis — u was jeden szlachcic zrywa sejm, gdy zechce.

— Tak jest i jeżeli go w miejscu nie rozsiekają, to mu nic. Kawalerze de Simonis — przerwał nagle Masłowski — czy nie myślicie wy iść do domu? jabym was rad przeprowadził.

Rozśmiał się Szwajcar, wymawiając od tego honoru, a że Blumli nadszedł, skłonił się Masłowskiemu i wymknął z nim razem.

Blumli chmurną miał twarz.

— Chodź do mnie — rzekł — tu niebezpiecznie mówić, a do pomówienia mamy.

Z ogrodu więc przez pałac znowu się dostali na Nowy Rynek i skierowali ku mieszkaniu Blumlego.

Tu, gdy się znaleźli sami, tak, że ich podsłuchać nie było można, Szwajcar schylił się do ucha Maksowi.

— Coś dziwnego krąży w powietrzu — rzekł — jakieś pogłoski chodzą niezrozumiale; Brühl udaje wesołego, tai się z czémś, ale niespokojny. Ludzie, co od granic jadą, wciąż plotą o wojsku pruskiém, jakoby już zbliżającém się trzema korpusami ku grani-

com naszym. Dopóki się życie ciągnęło jak było, nieraz sobie niém człowiek sprzykrzył; teraz gdyby, uchowaj Boże, na wojnę się zaniosło, co będzie z nami? To jedno — mówił Blumli — ale nie mniéj trwoży, że u nas zdrajców się i szpiegów pruskich namnożyło. Najmniejsze podejrzenie, człowiek zginąć może.

Simonis udał bardzo obojętnego.

— Feulner tam coś do Berlina donosił, wzięli go na Koenigstein, a dziś, ale zachowaj to przy sobie, osób nie znasz, dziś uganiają się za Mentzlami, z których jeden podobno depesze Prusakom wydawał. Oba Mentzle zniknęli. Brühl się wścieka, bo długo nie wierzył w zdradę, bo Flemingowi odpisywał, że to nie może być, a jeśli depesze nasze ma Fryderyk i wié, co myśmy mu życzyli, no to około nas źle być może.

Blumli westchnął.

— W Dreźnie oprócz trocha gwardyi, żołnierza i załogi niéma; co nam pomoże forteca i mury, kiedy na nich dział nie widać. Myśmy do baletu gotowi choć jutro, ale do wojny ani za rok.

— Ależ wojna tak rychło przyjść nie może.

Towarzysz ruszył ramionami.

Wtém hałas posłyszeli za sobą i Blumli odciągając Simonisa ustąpił z drogi, spostrzegłszy dwór, który w wielkiéj paradzie ciągnął na strzelanie do celu do bażantarni.

Na przepysznych koniach strzelcy nadworni, myśliwstwo, jägermeistrowie, daléj król, synowie jego starsi, królowa, kilka pań, Brühl i jego żona, gienerałowie, dygnitarze; wszystko to poważnie bardzo ciągnęło z tém przejęciem się uroczystością zajęcia, jakby przystępować miano do niesłychanéj ważności dzieła. Na twarzy króla pogodnéj, zamyślonéj, było jakieś Nemrodowskie namaszczenie, strzeleckie jakieś niby kapłaństwo.

Biada temu, ktoby, patrząc na to, odważył się ironicznym uśmiechem tę kawalkatę powitać: Brühl srodzeby ukarał zuchwalca. Gawiedź co prędzéj ustępowała z drogi, a czapki i kapelusze leciały z głów; dworska służba przodem jadąca czuwała, ażeby ulice były oczyszczone.

Procesyonalnie tak, zwolna przeciągnęli wszyscy w milczeniu, a dwaj Szwajcarowie z odkrytemi głowami zatrzymali się, dając orszakowi miejsce. Mimowolnie porównywał Simonis Sans-Souci do Drezna i sam nie wiedział, coby był wybrał. Tu wistocie był majestat jakiś, tam tylko siła pewna siebie i szyderska, tu zdziecięciała powaga, tam naigrawający się z całego świata cynizm z kijem w ręku. Łatwo było przeczuć, że człowiek, który uroku tego nie poszanuje, bezsilną pychę zwycięży. Lecz przyznać trze-

ba było, iż dla oka ślicznie się to wydawało, a etykieta dworu, wielkiego mu dodawała blasku.

Gdy dwór przeciągnął cały, milcząc dwaj młodzieńcy poszli za nim ku domowi Blumlego i wkrótce oba zamknięci w nim gwarzyli przy butelce wina.

IX.

Późno wieczorem wrócił Simonis znużony do domu, w którym już wszyscy spali, rozmyślając nad wcale nieosobliwém położeniem swojém. Mijał milczące drugie piętro, gdy stara Gertruda otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie i poznawszy go przy świetle ogarka, który trzymała w ręku, dała znak, aby szedł za nią.

Zdziwił się nieco Simonis tak późném zaproszeniem, lecz posłuchał go. Staruszka siedziała w wieczornym dezabilku i ogromnym czepcu ze wstążkami na swoim fotelu i drzemała. Świeca okryta umbrelką paliła się na stoliku.

Zobaczywszy Simonisa, dała mu znak, ażeby usiadł naprzeciw.

— Cóż tam słychać? — zapytała pocichu, jak gdyby Gertruda nie była głuchą — co mówią w mieście? Jestem bardzo niespokojną. Feulnera wzięli, a choć się nie wygada pewnie, zawsze u niego coś znaléźć mogli; Mentzel uciekł, ale czy go nie dogonią? czy go nie wyda kto? Nareszcie i o waćpana mi idzie — dodała ciszéj — tak, o waćpana...

— O mnie? — spytał zdziwiony Simonis.

— Czyś się waćpan podpisywał na listach do hrabinéj de Camas? — zapytała baronowa.

Zbladł Maks.

— Dlaczego mnie pani pyta o to?

— Bo zdaje mi się, że na listy czatowano i schwytano je.

Simonis ust nie mógł otworzyć.

— Pani to skąd wie?

— Wiem — zimno odezwała się baronowa — wiem... to dosyć.

— Ale ja dziś rano byłem u ministra, który mnie przyjął jak najlepiéj.

— A wieczorem listy waćpana są u niego na stoliku.

— One szły przez Beguelina — zrywając się z siedzenia, odezwał się Simonis.

— A Beguelin więcéj myśli o serach swoich niż o listach. Waćpan, jeśli tak jest, nie masz chwili do stracenia: idź na górę, zabierz co konieczne, resztę oddaj Gertrudzie; każę zanieść na strych. Gdy zapukają do wrót, nie czas już będzie.

— Lecz gdzie się ja skryję?

Staruszka, mimo wieku, zachowała zimną krew i przytomność.

— Idź waćpan na górę, spal, jeśli co masz; zabierz pieniądze, weź płaszcz, zmień kapelusz: dam ci kartkę do Serba, mojego starego sługi, który mieszka w chatce nad Elbą między rybakami. Dopytasz się do niego. Śpiesz...

Simonis zawahał się z początku, staruszka wskazała mu na drzwi.

— Śpiesz! — powtórzyła — idź a pamiętaj, jeśliby cię złapano, nie mów nic o mnie. Żlebyś mi się wywdzięczył. Stare moje kości już ani więzienia ani męki nie wytrzymają.

Maks zerwał się z miejsca żywo i coprędzéj pobiegł na górę. Zaczęty list spalił przy ogarku, który mu dała Gertruda, złoto swe pochował w kieszenie, płaszcz narzucił na ramiona; westchnął, łza niemęska zakręciła w oku i już biegł na dół. Staruszka podała mu drżącą rękę do pocałowania.

— Idź waćpan, idź, idź...

Simonis co tchu zbiegł na dół, drzwi ostrożnie otworzył; na rynku nie było widać nikogo: księżyc świecił i plac stał pustkami.

Niedobrze sobie zdając sprawę z tego, co uczynił, puścił się ku Frauen-Kirche i dla odetchnięcia a zoryentowania przyparł u jednego z jéj ganków.

W téjże chwili z przyległego gmachu, który dawniéj część kościoła zakrywał, i w którym mieścił się odwach główny, ujrzał wychodzących sześciu żołnierzy, oficera i urzędnika, który temu oddziałowi przodował. Za żołnierzami wlókł się w płóciennéj odzieży człowiek, który trzymał łańcuszki w ręku. Simonisowi zrobiło się jakoś mdło, zakręciło mu się w głowie, nie mógł z miejsca ruszyć, choć chciał uciekać. Widział, jak żołnierze skierowali się do bramy domu baronowéj i jak urzędnik do niéj stukać zaczął.

Nie było wątpliwości, straż ta po niego szła; musiał więc co najrychléj umykać z placu i za Pirnajską bramą szukać przejścia gdzieś nad Elbę, aby tam znaléźć schronienie. Nieznającemu dobrze miejscowości wyprawa ta była niesłychanie trudną i ryzykowną.

Tonący brzytwy się chwyta. Simonis nie wiedząc już, dokąd bieży, począł szybko mijać rynek i wpadł w pierwszą jaką napotkał ulicę; z téj puścił się w inną, niebardzo bacząc, dokąd idzie; dobierając tylko jak najciaśniejsze i najciemniejsze uliczki, o które w ówczesnych miastach nie było trudno, zupełnie się zbłąkał. Zdało mu się wszakże, iż tu był bezpiecznym. Okiennice wszędzie były pozamykane, bramy zaparte, mało gdzie świeciło się w oknie:

w zaułkach oprócz kilku psów błąkających się nie spotkał żywéj duszy. Idąc po téj stronie, na którą cień padał, nie lękał się, aby księżyc w pełnym blasku mógł go zdradzić. Niekiedy nastawiał ucha, chcąc szmery dalekie usłyszéć i rozeznać, ale te na chwilę tylko zaszumiawszy tonęły gdzieś w głębiach. Zdala czasem skrzypienie drzwi otwierających się chwytał i trzask zamykania, niekiedy jakby ostrożne stąpanie po bruku. Przystając, to idąc, rozmyślił się wreszcie, że w jakimkolwiek kierunku iść należy, nie zmieniając go, aby tak do dnia nie błądzić i na patrol jaki nie natrafić. Prawdopodobnie nie znalazłszy go w kamienicy, musiano szukać w mieście: ostrożność więc zachować musiał największą.

O! jakże sobie w téj chwili wyrzucał, że się dał w tę sieć wpędzić, z któréj nie wiedział, czy wyjdzie z całą głową! Dom stary w Bernie, siostra, młodość, Berlin, stancyjka u cukierników, Karlotta: wszystko mu teraz ze łzami na pamięć przychodziło. Strwożony wlókł się pod murami i płotami, rozglądając, czy nie rozpozna położenia; gdy wreszcie trafił na większą jakąś ulicę. Ale na niéj posłyszawszy śpiew wesoły, cofnął się w cień i czekał. Środkiem szedł właśnie młody człowiek, jedną ręką w bok się wziąwszy, drugą spierając się na lasce; kapelusik na lewém uchu, mina gęsta, a humor jak po węgierskiém winie. Simonisowi zdawało się, że coś podobnego gdzieś widział niedawno i nie mylił się; był to bowiem pan Ksawery Masłowski. On i kilku młodzieży szlacheckiéj ze dworu Brühla i najjaśniejszego pana, sprawili sobie po teatrze niemieckim w Gewandhauzie traktament w winiarni u Czecha Hreczki, przy uliczce Kreuzkirche. Tamci się jakoś porozchodzili, a Masłowski powracał do domu, i żeby mu smutno nie było, polską na całe gardło śpiewał piosenkę.

Szwajcarowi, zobaczywszy kogoś ze dworu Brühla, zimno się zrobiło, choć noc aż nadto była parna; przylepił się do muru w przekonaniu, że go przechodzień nie postrzeże: ale wśród ulicy pustéj, nie mając co robić z oczyma, Masłowski przeglądał niemi wszystkie kąty. Dojrzawszy nieruchomo stojącego człowieka; rad, że może trafić na awanturę, nie zastanawiając się wprost puścił się na niego z krzykiem: *Wer da?*

Zrazu Simonis chciał uciekać, ale siły i determinacyi mu zabrakło; wziął się więc już do szpady, gdy Masłowski przypadłszy tuż poznał go i rozśmiał się na całe gardło.

— A ty tu co robisz, Szwajcarze? mnie pod sekretem mówiono, że cię wieczorem na odwach za coś miano wsadzić i wybierałem ci się tam oddać wizytę.

— Na miłość Boga! nie zdradzicie mnie! — zawołał Simonis —

wy Polacy macie naturę szlachetną. Chciałżebyś się znęcać nad nieszczęśliwym!

— Niech Bóg uchowa! — zawołał Masłowski — na złość tym szołdrom bronić cię będę; ale powiedzże mi prawdę, rękę na sercu położywszy, sumiennie, uczciwie, coś zbroił?

Simonis był w takiém położeniu, że nie miał już nic do stracenia: rodzaj gorączki go opanowywał.

— Szlachetny młodzieńcze — rzekł — przybyłem z Berlina, to starczyło, aby mnie posądzić.

— A jak na teraz, to dosyć posądzenia, ażeby do sznurka się wzięli — krzyknął Masłowski. — Ale przyznaj się: tyś pruski, hę?

Szwajcar się zawahał.

— Słuchajże! Bóg widzi, mnie to zupełnie wszystko jedno: jak tylko Niemiec, gatunku nie mogę rozpoznać. A jak mnie to bawi, że oni się z sobą tłuc będą! A jak mnie to bawi! Gdybym mógł, tobym z obu stron podżegał! Bądź ty sobie pruski, saski, austryacki, a mnie co do tego? jak tylko im pomagasz, żeby się z sobą jedli, to cię kocham! Lecz wiesz co, kawalerze szwajcarski — dodał ciszéj — cóż ty myślisz z sobą? Ciebie szukają, a jak znajdą, niéma żartu. Brühl słodki jest, ale jemu człowieka sprzątnąć, jak mnie wypić kieliszek. Ty się musisz skryć, i pomagaj Prusakom niech Sasów tłuką, a potém jeśli ci z tém będzie lepiéj, pomóż Sasom, żeby Prusaków wytłukli. Jak ich mniéj będzie, świat nie przepadnie. Maszże ty już jaką dziurę?

Simonis się jeszcze wahał.

— A! gadajże, tchórzu — zawołał Masłowski — żaden Polak nigdy nie zdradził.

— Mam — odparł Simonis — ale do niéj sam nie trafię, bo miejsca nie znam ani ludzi.

Obejrzał się pan Ksawery: w ulicy żywéj duszy niebyło.

— Daleko to? — zapytał.

— Nad Elbą, między rybakami — rzekł Simonis.

— Hm! — odparł szlachcic — ja co innego mam na myśli: niech sobie ta dziura zostanie na wszelki wypadek na późniéj. Gdzie ty tam w śmierdzącéj chacie o cebuli i razowym chlebie wytrwasz? Ja ci powiem, co zrobimy Ja się nikogo w świecie nie lękam. Stoję sam jeden u wdowy, nawet nie staréj, u niejakiéj Fuchsowéj: oto stąd niedalko, kilkadziesiąt kroków. Fuchsowa mnie drze, ale nie zdradzi i dałaby się posiekać za mnie. Nie pierwszy to raz u mnie się kto przytuli i przemieszka kilka dni. Powiem babie: *Verstehen*, język za zębami *halt!* Będzie milczała, choćby ją pieczono.

— Nie będzieszże się lękał? — spytał Simonis.

Masłowski, oczy otworzywszy szeroko, odstąpił kilka kroków.

— Ja? żebym się szołdrów zląkł? A! niedoczekanie ich! Szwajcara, jakby się zawzięli, mogą poturbować i połaskotać koło szyi, ale polskiego szlachcica? ha! ha! Co mi zrobią? wsadzą do Koenigsteinu? Ano, wielka rzecz: ojciec uwolni. Chodź!...

To mówiąc, pociągnął go z sobą; a dla większéj pewności pod rękę go ujął i tak prowadził do pani Fuchsowéj. Masłowskiego ojciec, pan stolnik, był człowiek majętny; kilka razy już długi synowskie płacił, działo się więc panu Ksaweremu u Fuchsowéj jak nie można lepiéj.

Jak tylko do bramy zaczął kluczem świdrować, służąca w pantoflach zbiegła ze światłem, a na pierwszém piętrze czekała gospodyni, średnich lat, nieszpetna kobiecina, wygadana, śmiała dworka. Gdy ją zobaczył Masłowski, zaczął zaraz łamanym językiem witać ją i oznajmywać, że prowadził z sobą przyjaciela, że ten kilka dni u niego spocznie: ale o tém powinno być cicho.

Fuchsowa oczyma tylko ciekawie zmierzywszy młodego chłopca, usty i rękoma zaręczyła uroczyście, że spełni polecenie grafa. Masłowski, jak wszyscy majętniejsi Polacy, dostał ten tytuł od Fuchsowéj; potwierdzili go potém tragarze, którym dobrze płacił, i kupcy, u których brał na kredyt.

Mieszkanie pana Ksawerego nie było paradne, a po saskich w porządku utrzymanych, wydawało się tém, co dotąd Sasi zwać zwykli *polnische Wirthschaft*. Nieład, panujący tu, dwa razy tyle kosztował, co gdzieindziéj najwyszukańszy porządek. Fuchsowa nie śmiała zaprowadzać u niego żadnych reform, bo Masłowski się gniewał.

Wśród dosyć porządnych mebli stały buty pod krzesłem jedném, na drugiém wisiał przyodziewek, na trzeciém ręcznik; miednica stała na stoliku wśród papierów, świeca przy talerzach z owocami; na ćwieczkach tu i owdzie wisiały piękne i nie piękne rzeczy: na kanapce leżała biała poduszka: na łóżku w drugim pokoju stało pudło.

— Przepraszam cię, kochany kawalerze Simonis—począł wchodząc Masłowski.

— Na miłość Boga! nie wymieniajcież mojego nazwiska — krzyknął Szwajcar.

— A! prawda: ale jakże was będę nazywał? hę? Po imieniu?

— Ani po imieniu.

— Ochrzcijże się, kim chcesz być.

— Włochem nazwij mnie.

— Terrini, znałem jednego, który się tak nazywał, to mi łatwiéj będzie — podchwycił Masłowski. — A zatém Signor Terrini, przepraszam cię za nieporządek u mnie. Niemcy się z niego wyśmiewają, ale te szołdry nie rozumieją bestye tego, że ja szlachcic wolny nie chcę być niewolnikiem moich rupieci i dla nich się męczyć! pal ich dyabli! Niech każda rzecz tam leży, gdzie ja każę, nie, gdzie jakiś głupi wymaga porządek. Pomimo to będzie wygodnie, możesz nogi położyć na stole, kiedy chcesz; u mnie wolno wszystko... mojém godłem: *libertas!*

To mówiąc, Masłowski wskazał na drugi pokoik, gdzie stało łóżko.

— Gość jesteś, zdejmę pudełko i oddaję ci łóżko: sam się prześpię na kanapie. Jeśli jesteś zmęczony, zrzuć łupinki z siebie i idź prosto w bety, a ja sobie radę dam; bądź spokojny.

Simonis jednak dalekim był od tego uczucia. Uścisnął rękę Ksawerego z wdzięcznością.

— Ale jutro?... jutro co będzie?...

— Jutro ja idę na służbę — rzekł Masłowski — dla saméj niepoznaki, muszę. Fuchsowéj zapowiem, że tu niéma nikogo; musi uwierzyć, bobym babie uszy natarł dopiéro. Zamkniesz się na klucz i jesteś jak u Boga za piecem.

— A jeśli się wyda?

— Jakimże sposobem ma się wydać?

— Któż to przewidzi?

— To nie może być.

— Lecz, gdyby...

— A no? gdyby; widzisz, kochanie, moje okno z sypialni, hę? wychodzi do ogrodu... Ofiaruję ci dwa prześcieradła, które masz czas skręcić i związać, spuścisz się i drapniesz prosto nad Elbę. Mówiono mi, że tego sposobu doskonałego używał kompatryota asindzieja Blumli, ile razy Brühl zastał go nie w porę u Miny i takiéj nabył wprawy, iż go to potém nic nie kosztowało.

Masłowski śmiał się i już zaczynał się rozbierać.

— Idź spać, kawalerze Simonis, u mnie się niéma czego obawiać! Jabym was dla tego samego bronił, że im pomagasz do ciupaniny! A! gdybym wojny między niemi doczekał, to dopiéro będzie satysfakcya. Dobranoc, kawalerze, kładź się, ja tu na warcie! Dobranoc!

X.

Ostatnich dni sierpnia, ktoby był po długiéj niebytności przyjechał do spokojnego Drezna, mógłby go nie poznać. Jakieś nie-

zwyczajne, rozbudzone życie krążyło nietylko w ulicach miasta, ale w najodleglejszych jego zakątkach. Twarze, które spotykano, potrwożone były, zdziwione, niektóre uśmiechały się szydersko, inne krzywiły smutnie. Kupki mieszczan gromadziły się tu i owdzie, szeptano między sobą żywo, a na widok wojskowych i urzędników, rozpierzchały się w mgnieniu oka. Z okien domów, na najmniejszy hałas wyglądały ciekawie głowy w perukach, czepkach i szlafmycach. Od zamku kiedyniekiedy wyjeżdżał konny gwardzista, pędził ciężkim kłusem ku Pirnajskiemu przedmieściu i znikał. Około pałacu Brühla ruch był większy jeszcze niż gdzieindziéj, lektyki i powozy stały przed nim, odchodziły, powracały, posłańcy bez kapeluszy biegali z zamku i do zamku; kobiety szczególniéj były w gorączkowym ruchu.

Hrabina Brühlowa siedziała u królowéj, minister był przy królu, a w jego salce czekało nań niecierpliwiąc się mnóstwo osób. Wszystkich twarze były zafrasowane, namarszczone, Hennicke chodził z głową zwieszoną. Globig i Stammer kłócili się z sobą. Wnoszono i wynoszono pliki papierów. Gienerałowie przybiegali, dowiadywali się i odjeżdżali. Niekiedy przez most od Nowego Miasta wpadał na koniu kuryer wprost przed pałac Brühla i szybko ze skórzanéj torebki dobywszy listów, oddawał je na dole, a z rąk do rąk chwytane dostawały się w mgnieniu oka do sali, gdzie je Globig bez ceremonii rozpieczętowywał; służba jak oparzona biegała, wołana, odwoływana, wylękła. Nigdzie dnia tego nie było porządku, a rozkazywał, kto chciał. Słuchano jednych, zapominano o rozkazach drugich; frasunek opanował do najmniejszego pachołka.

Wśród tego dworu oszalałego niemal jakąś trwogą, Masłowski z rękoma w kieszeniach, z miną napozór seryo, wistocie szyderską, chodził przysłuchując się, przypatrując, jakby go to niesłychanie bawiło.

Nie wydawał się jednak z tém uczuciem i przed towarzyszami przesadne rozwodził żale.

Do osób, które na Brühla już oczekiwały, w téj chwili przybył jeszcze gienerał Rutowski. Z posępném czołem rozepchnął tłumy te, nie patrząc prawie na nie; zapytał o ministra, niecierpliwie się zżymnął, usłyszawszy, że go niéma, i otworzywszy sobie gabinet, padł w nim na krzesło przy stole, głowę opierając na ręku.

— Słuchaj-no — rzekł do jednego z kamerdynerów — jak tylko minister wróci, dać mu wiedziéć o mnie.

Ale ministra nie było, godziny porządkowe zmieszane zostały, nikt nie wiedział, kiedy się co zacznie i skończy. Pomniejsza służba korzystała z tego szczęśliwego składu okoliczności, po kątach wysuszając butelki i ścigając niekontrolowane słodycze. Nikt ich teraz nie pilnował.

Wśród tego szmeru i wiru, nagle stała się cisza, a potém gwar, ruch, zamęt, wrzawa, podniosły się jeszcze. Wołano:

— Jego ekscelencya!

Drudzy poprostu:

— Brühl.

Wistocie minister wysiadał z lektyki i nie widząc nic, nie słysząc, nie zważając na to, co się koło niego działo, biegł na wschody. Twarz miał gniewem wywróconą, bladą i zestarzałą nagle; jeden mankiet koronkowy wisiał u rękawa oddarty, peruka była w nieładzie.

W sali powlókł oczyma po twarzach przytomnych i jakby nie widział nikogo, wpadł do gabinetu, w którym siedział Rutowski.

Za nim téż wcisnęli się hrabia Loss, kanclerz Stammer i prezydent konsystorza Globig, wszyscy wicekrólami zwani. Zmienione ich twarze zwiastowały przestrach; Loss trzymał papiery w ręku tak drżących ze wzruszenia, iż latały z góry na dół.

Za niemi nadbiegł z zamku dążący gienerał adjutant baron von Spörken. Stosownie do temperamentów, twarze tych panów były blade jak marmur, żółte jak wosk, czerwone jak piwonie: baronowi von Spörken krew o mało nie tryskała z oczów, Rutowski poważny i smutny, miał majestatyczny spokój ojca, którego był obrazem.

Brühl stanął w pośrodku i odetchnął.

— Panie gienerale — rzekł do Spörkena — zmiłuj się, rozporządź, nakaż, pilnuj, aby mi nikogo do króla, ale co się nazywa nikogo z wojskowych nie dopuszczano.

— To się rozumie, bądźcie spokojni — rzekł Spörken.

Oczyma jakby obłąkanemi Brühl powiódł po ścianach i siłą woli odzyskał przytomność i krew zimną, przynajmniéj pozornie.

— Rzecz jest niesłychana, w dziejach niepraktykowana, niepojęta, która wszelkim kombinacyom kłam zadaje, bo się wszelkiemu prawu urąga. Słyszeliście panowie?

Rutowski podniósł głowę.

— Tak jest; co chwila gońcy to potwierdzają — mówił Brühl, coraz usiłując się spokojniejszym okazać — tak jest. Król Fryderyk niepomny praw narodów, nie wypowiedziawszy nam wojny, nie mając najmniejszego powodu do najazdu, trzema kolumnami wkracza do Saksonii. Oto są z Berlina doniesienia jak najdokładniejsze. Ma czterdzieści tysięcy ludzi. Książę Ferdynand Brunświcki wszedł do księstwa magdeburskiego a kwatermistrz i przednie straże na Hallę, Lipsk, Bornę, Chemnitz, Freiburg, Dippelswalde, zmierzają ku Dreznu. Król sam z wyborem żołnie-

rza idzie po lewym brzegu Elby przez Wittembergę, Torgau, Meissen, zapewne na Kesseldorf. Książę Bevern od Frankfurtu nad Odrą, przez Elsterwerde, Budyszyn, Stolpen i Lohmen, dąży w okolicę Pirny.

Rutowski porwał się z krzesła łamiąc ręce.

— A my przeciwko tym trzem oddziałom mamy zaledwie...

— Trzydzieści tysięcy żołnierza! wybornego żołnierza! — przerwał Brühl, porywając papier ze stołu. — Tu stoi rachunek. Trzydzieści tysięcy...

Rutowski szybko z za munduru dobył inny papier.

— Hrabio, mylisz się i uwodzisz! — krzyknął.— nie mamy połowy tego. Piętnaście tysięcy, z ciurami, ani jednego więcéj.

— To być nie może! — odezwał się Brühl.

— Tak jest! tak jest! Na papierze mieliście ich trzydzieści, ale ja wiem, że połowy niéma przy regimentach.

— Austrya... — zawołał Brühl.

— To drugie złudzenie — przerwał Rutowski śmiało — z nami będzie to samo, co z księciem Karolem Lotaryńskim pod Kesseldorfem; Austrya tak nas poświęci, jak jego dała na ofiarę,

— Nie może to być, nie może! — począł Brühl. — Dwór cesarski, mam najpewniejszą wiadomość, wysłał siły znaczne do Czech. Korpusem jednym dowodzi Broun, ten stanie pod Kolinem, drugim Piccolomini pod Königsgrätzem. Gienerał Wied wykomenderowany zostanie do Peterswalde, aby nam podał rękę. My też wojsko nasze musimy zgromadzić w téj stronie.

— A Drezno? — spytał Rutowski — a król? królowa?

— Drezno! — uśmiechając się, zawołał Brühl — pan hrabia się lękasz o Drezno! Drezna nikt się tknąć, nikt się do niego zbliżyć nie waży, choćby w niém nie było jednego człowieka. O Drezno ja jestem spokojny.

— A ja nie! — rzekł Rutowski.

— Panie hrabio — odezwał się minister — proszę przypomnieć sobie, że gdy za ś. p. ojca waszego, Karol XII zajmował i nękał Saksonią całą; gdy mógł najłatwiéj opanować stolicę: przecież się nie ważył nogą stąpić na próg jéj, a gdy tu przybył, to z uszanowaniem i w gościnę. Jużciż Fryderyk nie będzie zuchwalszym od Karola XII?

— Wasza ekscelencya nie znasz Fryderyka, a ja służyłem w wojsku pruskiém i znam ducha, jaki tam panuje — mówił Rutowski. — W Karolu XII, jakkolwiek zdziczałym, było coś rycerskiego, było poszanowanie pewnych praw i przyzwoitości. Fryderyk, który się z Pana Boga śmieje, z religii drwi publicznie, nie wierzy ani w piekło, ani w niebo, a teraz już nawet, ani

w pana de Voltaire swojego przyjaciela; nie poszanuje nic i wejdzie wszędzie, gdzie siłą wejść będzie mógł bezkarnie.

— Nie sądzę — rzekł Brühl głosem niepewnym.

— Mamy pierwszy dowód tego na wkroczeniu do Saksonii — dodał Rutowski.

— Król jegomość już podpisał list, który natychmiast wysyłamy.

— List! — ruszając ramionami, mruknął von Spörken — wyślijcie armaty, ale list!... list pewnie nie poskutkuje.

— Zobaczymy — odparł Brühl. — To są strachy człowieka, który sam się boi. Fryderyk II wie, że naprzeciw siebie ma nie jednę Saksonię, ale Austryę, Francyę i Rosyę; wie, że jest zgubiony. Wiem, jakie są jego plany: chce nas tą groźbą zmusić, abyśmy szli z nim przeciwko Austryi.

Rutowski pokręcił tylko głową.

— Nigdy w świecie z Fryderykiem — dodał Brühl — za nic w świecie. Król jegomość na to się nie zgodzi.

— Tymczasem Saksonia padnie ofiarą — rzekł hrabia.

— To chwilowy kryzys — gorzko odparł minister. — Fryderyk zgubiony, zrozpaczony, targa się jak hyena w klatce zamknięta, ale darmo! Prusy zostaną wymazane z rzędu mocarstw europejskich.

Rutowski ruszył ramionami znowu i milczał.

— Radźmy, panie gienerale — odezwał się po małym przestanku Brühl. — Mojém zdaniem i zdaniem gienerała Nostitz, wszystkie nasze siły należy zgromadzić w obozie pod Pirną. Tam będziemy czekali, oparci o Königstein, dalszych wypadków. Fryderyk nie będzie śmiał. Gienerał Wied poda nam rękę, a przez niego utrzymamy komunikacye z Bourem i Piccolominim.

Obejrzał się Brühl; nikt się nie sprzeciwiał. Rutowski stał zamyślony.

— Jakże wy sądzicie, panie hrabio? — spytał minister.

— Ja nie chcę mieć głosu, aby nie brać na siebie odpowiedzialności — rzekł Rutowski. — Jego królewskiéj mości służyć chcę i będę, ale w takiém położeniu, w jakiém się znajdujemy, z piętnastu tysiącami na czterdzieści, bez przygotowania, zaskoczeni niespodzianie, możemy bronić honoru tylko, nie Saksonii.

— Panie hrabio! pan widzisz wszystko zbyt czarno. Za naszemi piętnastoma, przeciw Prusom staje kilkakroć sto tysięcy sprzymierzonych.

— Za pozwoleniem — przerwał Rutowski — traktat podpisany?

Brühl zawahał się.

— W tém była cała moja przebiegłość i polityka, aby go nie podpisać i nie dać pozoru do wojny. Traktat jest jak zawarty. Gdybym go podpisał, Fryderyk jutro miałby jego kopię, a tak...

— Wie tylko, coście pisali do Wiednia i to mu wystarcza — zakończył hrabia — nie mówmy o tém. Na słowa niéma już dziś czasu: trzeba coś robić. Robić! robić! — dodał Rutowski — rozkazy! rozkazów trzeba.

— Tak jest — potwierdził baron Spörken.

— Obóz pod Pirną...—odparł Brühl — pozycya jest doskonała! obronna! położenie, nad które nie znajdziemy szczęśliwszego. Całe siły nasze pod Pirną. Pan generał zechcesz obmyślić...

Rutowski, nie mówiąc słowa, wziął za kapelusz leżący na stoliku.

— Idę, wysyłam rozkazy.

Brühl z pewnym niepokojem przeprowadził go do progu.

Spörken począł chodzić po gabinecie. Hrabia Loss, Stammer i Globig rozmawiali pocichu; Brühl powrócił czoło ocierając i padł na krzesło.

— Tak — rzekł — nie przeczę, jesteśmy w chwilowém zakłopotaniu, ale kosztem tym pozbędziemy się raz tego nieprzyjaciela, któryby nam wiekuiście wpity siedział na boku. *Il faut en finir une bonne fois pour toutes.* Nigdy plan szczęśliwszy nie był obmyślany, nigdy zwycięstwo nie mogło być pewniejszém. Niech wchodzi do Saksonii; bardzo dobrze: obsaczymy go tutaj i weźmiemy. *S'en est fait de la Prusse!*

Gdy to mówił, twarz mu się stopniowo wyjaśniała.

Hrabia Loss stał przed nim zadumany.

— Jak myślicie, archiwa sekretne należałoby wywieźć do Königsteinu? — zapytał.

— Poco? — rzekł Brühl.

— A jeśli wnijdą?

— Dokąd?

— Do Drezna...

Brühl rozśmiał się.

— Mówcie panowie, co chcecie, jest to rzecz tak niemożliwa, tak niemożliwa...

Wszyscy zamilkli.

— Król chce być sam w obozie pod Pirną — rzekł zwracając się do Spörkena Brühl — napróżno usiłowałem go od tego odciągnąć. Mój Boże! ile go to zdrowia i spokoju kosztować będzie! Powiedział mi, że jeśli Prusacy natrą, sam gotów do nich strzelać; ale Prusaków nie zobaczymy.

Rozśmiał się Brühl.

Marszałek dworu wszedł w téj chwili oznajmując, że obiad stygnął oddawna.

— Jeść zawsze potrzeba — odezwał się Brühl wstając — proszę panów z sobą do stołu.

I podawszy rękę hrabiemu Loss, wyszedł, układając twarz do salonu, w którym hrabina Moszyńska i hrabina Störnberg i cały dwór jego nań oczekiwał.

Gdy się to działo w pałacu pierwszego ministra, około zamku gęstsze niż kiedykolwiek stały straże. Służba była przebrana najtroskliwiéj. Po korytarzach ukryte czatowały warty, na wschodach i w przedpokojach snuły się różne postacie, kosemi oczyma mierzące nietylko przechodzących przez pokoje, ale nawet ukazujących się w dziedzińcu.

Król August III siedział w swém krześle zadumany nieco, ale ukołysany już tak obietnicami posiłków przez Brühla, planem jego przeciw Prusakom, przedstawionym mu doskonałym stanem armii saskiéj, któréj dla króla było zawsze trzydzieści tysięcy, iż myślał już więcéj o księdzu kanoniku Crespi, kupnach Algarottego, o galeryi, o polowaniu, o różnych potajemnych przyjemnostkach życia, które ojciec Guarini pod warunkiem tajemnicy rozgrzeszał, niż o Fryderyku II i Prusach. W duchu téż był przekonany, że ten Fryderyk nie mógł mu być tak nieprzyjaznym, że można go było ująć, ukołysać tymczasem, a potém do Brandeburga odesłać, żeby mu się nie wiedzieć czego nie zechciało. August III czuł się tak silnym, iż chwilowy kłopot domowy nie zdawał mu się groźnym. W ostatnim razie albożnie miał jeszcze Krakowa i Warszawy, i puszcz polskich i niedźwiedzi i wilków, a nawet żubrów, gdyby mu się ich koniecznie zachciało.

Wprawdzie szlachta polska nie wszystka mu była do smaku; naród był burzliwy i krzykliwy, zuchwały i niegrzeczny, a jednak między niemi byli ludzie choć do rany przyłożyć. Pałac saski nie był nazbyt niewygodny... toż za Wilanowem i za Pragą lasy, a w lasach zwierzyny moc.

I dumał król, fajkę paląc, a wzdychając niekiedy nad niezmierną niegrzecznością Fryderyka.

A w zamkowéj ulicy, pod bramami, zbierały się potajemnie kupki ludzi. Szeptano sobie na ucho i spoglądano ku oknom zamkowym.

Nieopodal stąd, w sklepiku naprzeciwko, pod orłem białym, gospodarz, pan Weiss, otyły, połyskujący Niemiec, z rękoma na żołądku, rozmawiał z sąsiadką panią Krause.

— Powiadam ci, panie Weiss, żem w zamku słyszała... idą Prusacy; król Fryderyk nasz, ewangielik...

— Co waćpani w głowie! — uśmiechnął się Weiss — on ewangielik?.. poganin. Wiem to najlepiéj. Mają swój osobny kościół w Berlinie, do którego zgromadzają się nocami dla odprawiania swych obrządków. Kozła na ołtarzu czczą ze złoconemi rogami.

— Ale pfe! — zawołała pani Krause — to nie może być!

— Wiem najlepiéj od duchownych: z Francyi przyjeżdża ich arcykapłan.

— Otóż za to Pan Bóg karze! za to! — odezwała się pan Krause. — Już były w tym roku znaki. Czy nie pamiętacie, co się u nas działo w styczniu z 13 na 14? Sądny dzień! Dachówki leciały jak liście, kominy sypały się, okna wyrywało, koło Wilsdrufskiéj mur wywaliło. A w lutym znowu jaka była burza? Czy kiedy co podobnego ludzkie oczy widziały?

— Tę pamiętam, bo w kilka dni potém spaliło się w Kaïtz jedenaście domów — westchnął Weiss. — Ale do Drezna, niedoczekanie ich, Prusacy nie przyjdą — dodał — mury mocne.

— Kto ich wie, jeśli z kozłem mają do czynienia, a czary na posługi... — I westchnęła Krausowa, dygnęła i poszła.

Około ratusza kilku mieszczan rozglądało się po ulicach.

— Kuryery latają jak oparzone — rzekł jeden.

— Trzech na Pirnajską bramę posłano; sam widziałem — odpowiedział drugi.

— Gdzież, mówią, Prusacy? — spytał trzeci.

— Kto to może wiedzieć? Plotą ludzie tak, że człek głowę traci. Gadają jedni, że już w Lipsku, drudzy, że w Meissen, inni, że w Stolpen.

— Nie może to być: wojny, słyszę, nie wypowiedzieli — rzekł jeden polityk.

— A co myślicie? — odezwał się z boku inny — gdyby Saksonię i zajęli, alboby nam było gorzéj?

Syknął któryś:

— Bo już chyba nie może być gorzéj!—ale drudzy znak dali, aby milczał.

Wtém Beguelin się zjawił, znajomy kilku.

— Panie Braun! — rzekł szybko — bierzcie swój ser, na miłość Boga!

— A kto będzie jadł, jeśli wojna przyjdzie?

— O to niéma biedy — wtrącił drugi — spytaj lepiéj, kto go będzie płacił? Zjeść, zjedzą!

— Panie radco — zapytał zcicha Braun — prawdażto, że wasi nam Saksonią zajmują?

Beguelin stanął jakby niesłychanie zdziwiony.

— Kto? gdzie? oszaleliście czy co! ja nic nie wiem! — I odszedł szybko.

Do późnéj nocy trwał ten ruch niespokojny w ulicach. Wieczorem, że się bez rozrywki obejść niepodobna, król w Jägershofie wyprawił sobie strzelanie do celu. W Gewandhausie dworscy komedyanci niemieccy grali przedziwnie wesołą sztuczkę.

Lecz tego dnia pan Ksawery Masłowski nie potrzebował dla rozrywki iść do teatru: dosyć mu było w pałacu Brühla i w ulicach przysłuchiwać się i przypatrywać skutkom ogólnego popłochu. Ktoby go był widział prychającego kiedyniekiedy, gdy śmiechu wstrzymać nie mogł, myślałby, że istotnie coś nadzwyczaj szczęśliwego mu się trafiło.

Wychodził właśnie z pałacu, zamyślając iść wcześniéj do domu, aby nieszczęśliwemu Simonisowi dotrzymać towarzystwa, gdy Blumli się do niego przyłączył.

Zmieniony był i smutny. Zrana, z powodu Simonisa, musiał przebyć złą chwilę: posądzono go o wspólnictwo, przetrząśniono mu dom i papiery i tylko opiece hrabinéj, która zań zaręczyła, winien był, iż cały wyszedł a swobodny.

— Patrzajże, panie Ksawery — rzekł do niego — com odpokutował za tego człowieka! Ale któżby się był tego po nim spodziewał!

— Wistocie — odparł Masłowski — miał taką minę, jakby trzech zliczyć nie umiał.

— I niezręczny, w dodatku! — zawołał Blumli — dać się złapać na pierwszym kroku.

— Jakto złapać? — przerwał Masłowski.

— Jego jeszcze nie złapano, ale listy — mówił Blumli. — A co się z nim stało?

— Jak się wam zdaje? co się z nim stać mogło? — spytał Masłowski.

— Kto go wie! Wymknął się pewnie z pomocą baronowéj lub baronównéj!

— Taby go była nie ocaliła — rzekł Masłowski — nadto dobra Saksonka.

Blumli mówiąc szedł ciągle, jak gdyby w zamiarze odwiedzenia Masłowskiego. Panu Ksaweremu zaczynało być przykro.

— Idziecie do domu? — spytał Szwajcar.

— Ja? niekoniecznie: wolałbym się powłóczyć jeszcze.

— A jabym się do was wprosił w gościnę na kilka godzin. — dokończył Blumli. — Do domu nie chcę iść. Któż wie? może im przyjść fantazya i po mnie przysłać, tymczasowo na odwach wsadzić; wolę u siebie nie być.

Masłowski się zmieszał widocznie.

— U mnie taki nieład! — rzekł — Fuchsowa właśnie zabrała się szorować i robić porządek.

— Musiała go skończyć — rzekł Blumli — jużcić Polak niegościnnym być nie może. Czyżbyście mnie u siebie przyjąć nie chcieli? Czy się obawiacie?

W dwie drażliwe struny trącił Szwajcar: w gościnność i odwagę. Masłowski aż się rzucił.

— Nie mówcież mi tego! — zawołał. — Idę przodem o dwa kroki, abym Fuchsowéj nakazał corychléj izbę oczyścić. Proszę za mną.

Pobiegł pan Ksawery i pędem skoczył na górę, drzwi znalaz zamknięte i pięściami bić w nie począł. Nierychło jednak Simonis mu otworzył.

— Zamknij się w sypialnym pokoju — krzyknął, pośpiesznie go popychając. — Nie mogłem się odczepić od Blumlego, który tu idzie. Ruszaj i siedź cicho!

Zaledwie drzwi zamknęły się za kawalerem, który do alkowy umknął, Blumli był na progu.

— Fuchsowa dziś nie robiła porządku, chwała Bogu! — odezwał się Masłowski — zajęta jest Prusakami. Całe miasto o nich gada. W sypialnym pokoju nastawiała mi tylko konewek i balij. Siadajcie!

Masłowski posłał po wino i owoce i siedli tak gwarząc, a gospodarz z wielką pilnością chodził około drzwi zamkniętych, lękając się, aby Blumlemu nie przyszła fantazya zajrzéć do balij i konewek. Jakby naumyślnie Szwajcar rozwodził się nad niegodziwą zdradą Simonisa, nad podwójną rolą, jaką odegrywał, nad kłopotem, jaki z tego powodu miała stara baronowa. Słowem, nie żałował go wcale, a ukryty w izbie obok wszystkich tych narzekań słuchać musiał.

— A! — zawołał w końcu Blumli — gdyby mi popadł w ręce! Nie zaręczam, cobym zrobił... Dla oczyszczenia samego siebie, oddałbym go Brühlowi; przecieżby go nie powiesili, a niechby się raz strachu najadł, drugi raz byłby ostrożniejszy. Hrabina mówiła mi dziś rano, że gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, prosiłaby męża o surowość: jest oburzona.

Wśród téj rozmowy zdawało się Masłowskiemu, jak gdyby okno w alkowie brzęknęło, jakby ruch jakiś dał się w niéj słyszéć. Zagadywał, jak mógł, Szwajcara i głuszył go, lecz zbyt blizko drzwi siedzieli, żeby rozmowa ujść miała uszu nieszczęśliwego.

Dwie długie godziny tak przeszło.

— Teraz, gdy już noc nadchodzi — odezwał się Blumli — pójdę do Miny, ona mnie przechowa. Wątpię, żebym tam dziś Brühla zastał: nadto ma na głowie.

Pożegnali się; Masłowski go na wschody wyprowadził i co najprędzéj wrócił do pokoju, aby Simonisa uwolnić. Otworzył alkowę, spojrzał: okno stało naoścież... począł szukać po kątach, nigdzie Simonisa ani śladu; tylko koniec skręconych prześcieradeł bielał przywiązany do listwy, a spojrzawszy w ogród, dojrzał pan Ksawery końców sznura na gałęzi staréj gruszy.

— Skorzystał z mojéj instrukcyi doskonale — rzekł wciągając prześcieradła — a jeśli go teraz gdzie pochwycą, jam nie winien!...

I rozśmiał się na całe gardło.

XI.

Piękny i ciepły jeszcze był dzień dziewiątego września 1756 roku, ale w świetném i ożywioném zwykle Dreznie panowała cisza jakaś dziwna i złowroga. Trudno było rozpoznać, co ją spowodowało, choć na pierwszy rzut oka widać było, iż się działo lub przyjść miało coś nadzwyczajnego. Mało było ludzi w ulicach, zato pilnie wpatrując się, dostrzedz mogło ciekawe oko na wieżach kościoła Świętego Krzyża i Panny Maryi, na świeżo dokończonéj katolickiéj nadwornéj kaplicy, ludzi, którzy kryjąc się, przez okna i z za gzymsów spoglądali ciekawie na okolicę.

Pałac Brühlowski stał zamknięty, a ciżba, która się zwykle około niego kręciła, znikła była zupełnie; od ogrodu i arsenału wywożono paki, które wozami szły na Pirnajskie przedmieście. W oknach pozamykane były okiennice i zapuszczone zasłony. Na zamku stała jeszcze na straży gwardya królewska, zajmująca główny odwach i inne zwykłe swe stanowiska; ale na ponurych twarzach żołnierzy, malowało się jakieś niezrozumiałe uczucie i obawa. Najmniejszy hałas wywoływał z okien głowy ciekawe.

Drzwi kościoła katolickiego przy zamku, téj wspaniałéj, świeżo dokończonéj budowy, na któréj szczytach stali na straży święci pańscy, były otwarte... Z uroczystą powagą na chórze organy odzywały się modlitwą tęskną, powolną, pełną głębokiego uczucia, tęsknić się zdającą ku niebiosom i temu pokojowi, którego świat dać nie może.

Śpiew towarzyszył organom, a przed wielkim ołtarzem, w którym królowało arcydzieło Rafaela Mengsa, stał kapłan sprawujący świętą ofiarę. Loża wprawo była otwarta, firanki jéj rozsunięte; w oknie jéj zakwefiona Józefina, za nią młodsze jéj dzieci, rodzina

i dwór. Z głową spuszczoną, zdawała się płakać modląc, niekiedy załamane ręce nad głowę podnosiła ku niebu, a po chwili opadały bezsilne na bogato oprawną księgę. Organ grał ciągle pieśń swą błagalną i uroczystą.

W ogromnym kościele mała zaledwie kupka osób nabożeństwu była przytomną, tuląc się przy filarach. Niektórzy klęczeli zatopieni w modlitwie, inni stali pogrążeni w myślach. Przez okna, aż ku środkowi kościoła, wpadał szeroki pas światła, jak gdyby słońce chciało promieniem lepszéj nadziei pocieszyć strapionych.

Wtém, wśród przestanku, gdy organ umilkł na chwilę, wśród ciszy dobiegł aż tu z ulicy szmer głuchy i daleki okrzyk. Do barona Spörken, który stał w drugiéj loży dworskiéj, przysunął się zdyszany paź królewski.

— Prusacy idą! Prusacy wchodzą! Prusacy!... — zawołał.

I uszedł żywo.

Królowa drgnęła, jak gdyby przeczuła tę chwilę i to słowo. Właśnie kapłan od ołtarza odwrócony, ukończywszy ofiarę, z twarzą ku loży, krzyżem świętym dawał błogosławieństwo: Józefina podniosła się. Pomimo niemiłych i ostrych rysów niepięknéj twarzy, w postawie jéj i ruchu znać było córkę cezarów. Powolnie, przyklęknąwszy raz jeszcze, posunęła się na korytarz.

Tu ją napotkał baron Spörken.

Spojrzała nań pytająco: schylił głowę milczący.

O krok daléj stał pater Guarini w sukni swéj duchownéj, z rękoma założonemi na piersiach: głowę miał spuszczoną, twarz smutną, ale spokojną.

Królowa z dziećmi, nie odezwawszy się słowem do nikogo, pytać nie chciała, aby się nie dowiedzieć zbyt wcześnie — poszła korytarzami i gankami do zamku. Za nią pociągnął dwór w posępném milczeniu. Już tu zalatywały głosy z ulicy, bo ulice, przed chwilą puste, wypełniały się ludem, a protestancka ludność miasta witała Prusaków, jako współwyznawców. Przypominano sobie, że w czasie pierwszego zajęcia Drezna, Fryderyk uczęszczał czasem do protestanckich zborów, a nie pamiętano lub nie wiedziano tego, że je zarówno jak katolickie kościoły wyszydzał i ośmiewał.

Lud zresztą każdéj zmianie przyklaskuje łatwo, bo niéma lekkomyślniejszego nic nad zbiorowisko a tłum, który słowu i wrażeniu, jak morze wiatrom, rozkołysać się daje.

Po tylu widowiskach w operze, do któréj ulica przystępu nie miała, po *Re pastore* i *Aecyuszu* granych dla dworu, nadchodził dzień widowiska dla ludu. I napawała się ciżba upokorzeniem od Boga zesłaném tym, przed któremi wczoraj zmuszoną była padać na twarze. Pięćset osób występowało dla króla w operze, tu kilkadziesiąt tysięcy Prusaków grało dla ludu dramat krwawy.

Wołano zewsząd: Prusacy! idą Prusacy! ale wojsk tych widać jeszcze nie było; postrzeżono je z wież ciągnące ku miastu bezbronnemu, którego załoga z resztą wojsk wyciągnęła do obozu pod Pirną. Bronić się nie było komu i nie przydałoby się na nic. Fryderyk nie wypowiedział wojny, zajmował Saksonię, szydersko prawiąc o własném i jéj bezpieczeństwie. Napróżno po dwakroć pisał król do niego, odpowiadał mu, że jest i będzie jego najlepszym przyjacielem, a tymczasem wojska pruskie szły coraz daléj, zalewały kraj, zabierały kasy, wymagały prowiantów, chwytały ludzi i postępowały sobie jak w zawojowaném państwie.

Fryderyk cynicznie szydził z Augusta III, dla którego oświadczał się z uszanowaniem; o Brühlu nie mówił wcale, nie mógł wyrzec jego nazwiska; nazywał go: ten... Konia tylko, na którym jeździł, Brühlem nazywał. Był to najgorszy ze wszystkich. Wojska saskie wedle planu zakreślonego, usiłując się połączyć z austryackiemi, wszystkie wyciągnęły do obozu pod Pirną. Dnia trzeciego września, Brühl *chwilowo*, jak mówił, dla rozrywki obejrzenia wojsk, skłonił króla i królewicza starszego, aby wyjechali do obozu. Augustowi III towarzyszyło w téj przejażdżce pięćdziesiąt koni; pierwszy minister, który wiedział pewnie, że nierychło powróci do Drezna, miał ich z sobą sto dwadzieścia.

Król najmocniéj był przekonany dotąd, iż Fryderyk może go odwiedzić w jego stolicy, ale się jéj zająć nie odważy. Przeciwko Brühlowi nawet utrzymywał z uśmiechem, że Fryc nie jest znowu tak zły człowiek, tylko na nieszczęście niedowiarek trochę i bezbożnik.

Ostatniego dnia jeszcze poseł angielski Stormont ofiarował Brühlowi pokój od króla pruskiego, pod warunkiem, aby Saksonia rozpuściła wojska i ogłosiła się neutralną. Ale Brühl podrażniony i związany już słowem z Austryą i Francyą, od których pobierał pensyą za swe usługi, pewien, iż plany mocarstw przeciwko Prusom spełnić się muszą, odrzucił. Rutowski dowodził obozem pod Pirną, generał Wied obozował pod Nollendorf; a przednie jego czaty dochodziły, wedle planu, do Peterswalde.

Tym samym gościńcem wspaniałym, który Brühl zbudował do granicy czeskiéj, na urągowisko i groźbę napisawszy na słupach, że to był *Gościniec wojskowy* (Heerstrasse), i on i pułki saskie wyciągnęły na swe leże...

W ulicach coraz większe roiły się tłumy, wszystko, co wczoraj jeszcze kryło się lękając prześladowania, wybiegało teraz, pewne nietylko bezkarności, ale opieki. Żywioły te krajowe, co

się tulą po kątach nie śmiejąc się na dzienne światło pokazać, rachując na łatwe zdobycze w mętnéj wodzie, na zemstę niepoczciwą, na grabież zdradziecką, na posługę ohydną, wybiegły wszystkie jak męty w potrząśniętém naczyniu. I widać było ludzi i twarze, jakie rzadko świat razem zebrane ogląda; wszystkie wyrzutki społeczne, chciwe swojego dnia, a raczéj swéj chwili zwycięstwa krótkotrwałego. Przeląknąć się było można tych oczu krwawych, tych ust spalonych, tych łachmanów brudnych, tych rąk grabieżliwych i drżących... które się już wyciągały po łupy...

— Idą, idą! — rozchodził się szmer w tłumie.

A każdy nicpoń, który długie lata chował złość w sercu, żywił zemstę, uśmiechał się tym Prusakom, któremi się miał posłużyć.

— Idą, idą! — gorączkowo, urywano powtarzała ciżba — idą! idą!!

Zdala głuchy grzmot jazdy i brzęk broni dochodził, ale nic widać nie było.

Na zamku dwór i królowa trwali na modlitwie przed obrazem; zapalone świece... na klęczkach wszyscy... cisza... z ulicy czasem jakby wybuch stugębnego stłumionego krzyku słychać było: — idą, idą!

Z pałacu na Taschenbergu, jeden z katolickich kapelanów dworu, przesuwał się mimo protestanckiego kościoła świętéj Zofii na zamek. W progu zboru stało duchowieństwo protestanckie. Pastor z szyderskim uśmiechem podjął biret z głowy i kłaniając się, zawołał:

— Adieu! bywajcie zdrowi! panowanie wasze skończone!!

Mnóstwo scen podobnych odegrywało się wszędzie; to też duchowieństwo katolickie w tym dniu zamknęło się na zamku prawie całe, a ci, co mieli nieprzyjaciół i lękali się zemsty, szukali przytułku...

Ze dworu Brühla, z tych kilkuset osób, co go otaczały, jedni z nim pociągnęli do Pirny, drudzy się rozpierzchli przed burzą: garść niemych i przybitych na straży pałacu została.

Do ostatniéj godziny nie chciał minister wierzyć zajęciu Drezna; przykład Karola XII ubezpieczał go; nareszcie wobec głośnych odgróżek Fryderyka, trzeba się było poddać oczywistości. Zapóźno uczynił to minister i ze swych skarbów mało co już mógł ocalić. Wszystko prawie rzucał na pastwę mściwemu nieprzyjacielowi.

Król ze starszym synem wyjechał, królowa oświadczyła, że zostanie, że się nie ruszy krokiem, że zniesie wszystko, co jéj losy gotują, ale nie ustąpi. Mówiąc o Fryderyku zapalała się; oczy

jéj płonęły, ręce drżały, miotała się; modlitwa nawet ukołysać wzruszenia jéj nie mogła.

Oczekiwanie, straszniejsze nad wszystko, nużące, trwało długo.

Prusacy, otaczający już Drezno, ciągnęli powoli, jakby te męczarnie oczekiwania przedłużyć chcieli.

Naostatek w ulicach rozległy się krzyki i tętent, a na zamku królowa podniosła się z przed obrazu, przeżegnała i stanęła jak skamieniała, bezmowna, blada.

Przybliżył się ojciec Guarini.

— Najjaśniejsza pani — rzekł — módlmy się do Ducha świętego, aby nas natchnął męstwem i stałością. Są to dary Jego. Dni próby długo trwać nie mogą...

Baron von Spörken wszedł do sali blady.

Królowa nań spojrzała.

— Mów! — rzekła.

— Dwanaście batalionów piechoty i trzy szwadrony jazdy zajmują miasto — rzekł stłumionym głosem. — W téj chwili pierwsze posterunki gwardyi rozbrajają. Opór był niepodobieństwem.

— Niech się stanie wola boża.

— Szwajcarami obsadzają zamek...

Królowa nic nie odpowiedziała.

— A Fryderyk? — zapytała po chwili.

— Niéma go, przybędzie jutro; wołał na spełnione przyjechać, wstydząc się tego, co czyni.

W téj chwili popłoch z ulicy przenosić się zaczął do zamku.

Obszerne dziedzińce jego wypełniły się temi, którzy pod skrzydłem królowéj szukali opieki. Na tym podwórcu jak salon flizami kamiennemi wykładanym, gdzie się niegdyś odbywały świetne karuzele i maskarady za Augusta Mocnego, kędy się paliły ognie brylantowe i brzmiały muzyki; ciżba przestraszona, ludzie z węzełkami mienia, o którego całość obawiali się, cisnęli się teraz, szukając w cieniu, w załomach niedojrzanego schronienia.

Królowa wyglądała oknem i łzy płynęły jéj po twarzy, choć rysy zdawały się nieporuszone, i jakby od bólu stężałe.

Co chwila ktoś wpadał z wieścią...

— Zajmują magazyny wojskowe — wołał jeden...

— Wypróżniają arsenał... rozbierają broń...

— Zabierają kasy...

— Pieczętują dykasterya i archiwa.

Królowa zwróciła się żywo.

Archiwum sekretne, archiwum, o którego pochwycenie chodziło najwięcéj Fryderykowi, aby nim wojnę usprawiedliwić, znajdowało się na zamku; klucz jego miała królowa.

Baron Spörken wszedł, zabawił chwilę i stanął nie śmiejąc się odezwać.

— Archiwum? — zapytała królowa.

— Pieczętują je — rzekł gienerał.

W pierwszéj chwili rzuciła się królowa, jakby chciała biedz na obronę jego, ale się powstrzymała.

— Baronie! — rzekła — jeśliby gwałtu użyć chciano, muszę i powinnam o tém wiedzieć; pójdę sama; stanę... Niech się poważą podnieść rękę na mnie, niech mnie zabiją.

Hrabina Brühl, która towarzyszyła królowéj, zżymnęła się i zawołała:

— Nie będą śmieć!

— Najjaśniejsza pani — odparł Spörken — na wszystko przygotowanym być potrzeba; dla króla pruskiego niéma nic świętego: nic nie poszanuje...

— Nie będzie śmiał — zawołała Brühlowa — bo gdy nadejdzie chwila zemsty, wie, że jest nieuchronną; naówczas nie będzie téż dla niego litości, ani poszanowania.

Wszyscy milczeli. Baronówna Nostitz, piękna Pepita, stała u okna z twarzą w ogniu i piersią wzdętą; zdawała się jedną z tych bohaterek, którym tylko oręża brak w dłoni, aby się z nim rzuciły przeciw tłumowi. Coś rycerskiego pałało w jéj oczach.

Nie śmiała mówić, co myślała.

W główce jéj grało. Zapusty trwały długo, pokuta i post przychodzą! Szaleliśmy nad przepaścią i otwarła się przed nami. Któż nas ocali, gdy my się sami nie umiemy bronić, gdyśmy dobrowolnie do kajdan wyciągnęli ręce. A! gdybym była mężczyzną!! gdybym była mężczyzną! — Sparła się na oknie i bezmyślne wejrzenie w dziedziniec rzuciła. Nagle rumieniec jéj bladości ustąpił, głowa się pochyliła, brwi zmarszczyły; drgnęła... Przypatrywała się bacznie, coraz baczniéj.

Podwórze zajmowali w téj chwili Szwajcarowie i Prusacy. Pomiędzy niemi kręciło się kilku po cywilnemu ubranych. Zdawało się jéj, że oczy ją mylą: poznała w jednym z tych kawalera de Simonis. Szedł obok tłustego Beguelina, który rozmawiał ze swemi ziomkami.

Myśl jakaś dziwna błyskawicą przebiegła snać po jéj główce, zadumała się ponuro, ruszyła, wróciła na miejsce i poruszyła raz jeszcze.

Nikt nie zważał na nią.

Drzwi były blizko. Posłuszna téj myśli, któréj oprzéć się nie mogła, piękna Pepita wybiegła. Wschody stały puste; nikt z dworu i otoczenia królowéj nie ważył się wyjść z jéj pokojów, ona jedna miała to męstwo. Z wierzchołka wschodów spojrzała w dół. Szwajcarowie obsadzali warty... nieopodal stał Simonis.

Schyliła się Pepita; oczy jéj zaiskrzyły się.

— Kawalerze de Simonis — zawołała głosem drżącym.

Maks podniół głowę i postrzegłszy piękne dziewczę, drgnął, rękę podnosząc do kapelusza.

— Tu, do mnie — odezwała się — dwa słowa.

Zawahał się Szwajcar, ale głos i twarz dziewczęcia tak były nakazujące, taką miały siłę i potęgę, że się oprzéć nie mógł. Puścił się na wschody, nastrajając twarz pół zdziwioną, napół smutną. Stanąwszy przed Pepitą, oprócz jakiegoś poruszenia ust, które głosu nie wydały, nie umiał się zebrać na nic.

Dziewczę w całym blasku piękności swéj, którą gniew czynił jeszcze dziwniejszą, majestatyczniejszą może, przybliżyło się do niego.

— Panie de Simonis — zawołała porywczo — moja stryjenka ocaliła was, gdyście byli w niebezpieczeństwie, jéj winniście życie; ja wam przyrzekam wdzięczność królowéj, moję, skarby, złoto, w przyszłości dostojeństwa, wszystko, czego zażądacie, ale musicie przejść w służbę *moję*.

Simonis się zmieszał.

— Tak jest, moję! tak! — Pochwyciła go za rękę oburącz oglądając się dokoła, chociaż wschody i korytarze były puste. — Jam wyczytała z waszych oczów, że serce macie dobre, choć zbłąkane myśli, choć niepewne chęci; ja was od was samych chcę ocalić, ja wam wskażę szlachetną drogę, służbę nieszczęściu, nie niewolę siły. Jesteście wolni, kawalerze de Simonis, możecież lepszy uczynić użytek ze swobody waszéj nad poświęcenie jéj sprawie zacnéj przeciw uciskowi najniegodniejszemu?

To mówiąc, cisnęło jego dłonie śmiałe dziewczę, paliło go oczyma, nagliło.

— Te ręce, które cisną dłoń waszę — dodała — nigdy nie dotknęły męskiéj dłoni, nawet brata: te usta, które was proszą, nigdy o nic nie prosiły nikogo, oprócz Boga. Idzie mi o kraj mój, o królowę; dla nich chcę i muszę was zyskać. Rodzina moja majętna, własne mienie wam oddam a sama pójdę do klasztoru, uczynię was bogatym. Wszak nie pragnęliście niczego innego nad to przyjmując służbę Prusaka. Panie de Simonis, odpowiedz! na Boga! odpowiedz!..

Maks milczał. Spadło to na niego tak, jak od wyjazdu z Berlina ciągle niespodzianie nań gromadziły się niebezpieczeństwa i pokusy. Piękność Pepity, jéj śmiałość, uczucie czyniły na nim wrażenie, któremu oprzéć się nie mógł. Radby był uciec, widząc

przed sobą zawikłanie nowe, nowe groźby na przyszłość. Baronówna go nie puszczała.

— Pani! — rzekł — daj mi się pani namyślić; ja nie wiem, ja nie mogę...

— Na to namysłu nie potrzeba — odparła Pepita — pan musisz mi służyć, a ja daję panu słowo uroczyste, jeśli chcesz, stwierdzam je przysięgą (tu rumieniec na twarz jéj wytrysnął); — poświęcenie wasze opłacę poświęceniem bez granic!

Słowa te nie przebrzmiały jeszcze, gdy Simonis oszalały schylił się do jéj rąk i gorąco je całując, zawołał:

— Rozkazuj pani!

Pepita odetchnęła, odstąpiła kilka kroków; po krótkim namyśle odwagi jéj zabrakło.

— W téj chwili — rzekła ciszéj — mam jedno tylko: zachowaj pan dawne stosunki, nie zrywaj z nikim. Niech wszystko zostanie, jak było. A dziś wieczór u stryjenki, rozumiesz mnie pan...

Simonis skinieniem tylko odpowiedział; baronówna znikła.

Przez chwilę stał nie mogąc oprzytomnieć, zbierał myśli, nie dowierzał rzeczywistości; sam siebie pytał, czy takie szczęście prawdą być może. Obok tego całe niebezpieczeństwo położenia na myśl mu przyszło. Zmieszany stał jeszcze, gdy u dołu ujrzał Beguelina, który szukać się go zdawał. Zbiegł więc żywo ze wschodów ku niemu.

— A cóżeś tam waćpan robił?

— Pannę znajomą zobaczyłem...

Szwajcar ruszył ramionami pogardliwie.

— W takiéj chwili o pannie myśléć, a to trzeba być takim młokosem jak waćpan. Chodźmy stąd. Niéma tu co robić. Sądziłem, że król jegomość dziś przybędzie, dlategom się stawił. Bądź-co-bądź, przykra rzecz patrzéć na to, co się tu teraz dzieje.

I boczną bramą ku kaplicy wyprowadził Simonisa w ulicę, która i z téj strony pełną była ciekawych tłumów. Przez most przeciągały wojska; wrzawa u wjazdu nań i ścisk był ogromny. Niekiedy szyderski śmiech zakręcił się w powietrzu i zmilkł.

Stąd widać już było straże postawione przy pałacu Brühla.

— No, jutro zobaczymy tu piękne rzeczy — rzekł Beguelin — bo że mu król jegomość nie daruje i że mu peruki przewietrzy, za to ręczę.

Rozśmiał się, ale wnet zwrot myśli ku sobie wywołał westchnienie i dodał pocichu:

— Połowy sera mojego nie sprzedałem, a co zostało... *kaput!*

I ręką machnął.

— Kto mógł przewidziéć, że się to tak rychło stanie...

Simonis tu go pożegnał. Przyszło mu na myśl, ażeby pójść podziękować staréj baronowéj i skierował się około pałacu Brühla, ku Nowemu Rynkowi.

Tu ludu mniéj było; przeciągały małe kupki, poglądając w okna i jakby smakując tylko w myśli małego rabunku. Pałac słynął ze swych skarbów. Ale straże pruskie zajmowały podwórza i wnijścia. Przechodząc tędy zdala, usłyszał Simonis głos jakiś wyświstujący wesołą piosenkę. Było coś tak niezwyczajnego z téj wesołości wśród powszechnego smutku i w takiéj chwili trwogi, że Simonis szukać zaczął winowajcy oczyma, gdy głos ten zbliżył się ku niemu i ogromna silna dłoń uderzyła go po ramieniu. Obejrzał się: pan Ksawery Masłowski siedział na baryerze przed pałacem.

— A! niechże cię, Szwajcarze przeklęty — zawołał — obawiałem się, czyś karku nie skręcił, lub żeby cię nie zapakowali gdzie do komórki. Stój, gadaj, co się z tobą działo...

Simonis zatrzymał się, witając go i dziękując.

— Widzę, żeś cały i śmiało teraz używasz świeżego powietrza — dodał Masłowski — bardzo się cieszę. Ale mi się należy za podarte prześcieradła, żebym wiedział, co się z tobą stało. Mów!

Simonis przysiadł się przy nim na baryerze.

— Nie chciałem ani was, ani siebie wystawiać na niebezpieczeństwo. Blumli się odgrażał — rzekł — wolałem uchodzić.

— Dokąd? — zapytał Masłowski.

— W chwili, gdym się z okna spuścił poszarpawszy ręce, patrz, że jeszcze znać — mówił daléj — w téj chwili wcale nie wiedziałem, co zrobić z sobą. Miałem adres dany mi do Serba, mieszkającego nad Elbą, ale w przeznaczeniu znać mojém było, żebym się do niego nie mógł dostać.

— E! więc gdzieżeście ten czas przesiedzieli?

Simonis zarumienił się mocno.

— Wyszedłszy od was przez ogród...

— I przez mur — poprawił Masłowski.

— Dostałem się na dziedziniec domu, przez którego bramę otwartą trzeba było przejść, aby wydobyć się na ulicę; zdawało mi się, że trzeba to spełnić żwawo, aby mnie jak złodzieja nie pochwycono. Puściłem się więc kłusem przez bramę, gdy z drugiéj strony wchodziła do niéj właśnie kobieta, którą w pędzie, nie mogąc się zatrzymać, potrąciłem. Krzyknęła mocno ze strachu. Poznałem w niéj pannę Doris, moję towarzyszkę podróży z Berlina.

— Masz waćpan widocznie szczęście do starych bab — przerwał Masłowski — bo oto druga; wszak Brühlowa chciała waćpana wziąć za sekretarza... Widoczna to wskazówka Opatrzności, abyś się podżyłych pilnował, bo co przeznaczone, to nie minie. Już teraz odgaduję, że Doris, któréj los rzucił cię w objęcia, musiała ocalić...

— Coś podobnego — rzekł Simonis — nie puściła mnie, pókim się jéj nie wytłómaczył, czegom tak uciekał. Piąte przez dziesiąte wykłamałem się niedobrze, bo coś już o mnie i o mojéj ucieczce od Miny zasłyszała. Uparła się być moją zbawczynią i przez te dni uchodziłem za jéj brata.

— No, to jeszcze nic — odparł Masłowski — gorzéjby było, żebyś musiał za męża uchodzić. A teraz co myślisz?

— Nie wiem jeszcze; a wy? — zapytał Simonis.

— Ja? Do obozu pod Pirnę hrabia Brühl brać mnie z sobą nie życzył, zostałem tutaj. Wcale się nie gniewam, to mi wszystko jedno, a mam satysfakcyą patrzéć, jak się te szołdry jeść będą. Nasza ekscelencya, lękam się, żeby nie rychło chyba dostała pozwolenie powrotu do pałacu. Prusacy zabierają się tu gospodarować na dobre. Dalipan zabawne... Spojrzał obojętnie na Simonisa, i swą piosenkę poświstywać zaczął, a potém odezwał się:

— Masz już waćpan mieszkanie? bo spodziewam się, że u Doris nie zostaniesz dłużéj?

— Będę je miał dzisiaj.

— Na przypadek potrzeby, zawsze moje na usługi wasze. Fuchsowa bardzo dobra kobieta i drugiéj pościeli dostarczy.

Z tém się pożegnali. Simonis nic nie mówiąc, poszedł do kamienicy baronowéj. Zdala już widać było okna drugiego piętra pootwierane i staruszkę w czepcu, przypatrującą się, jak z głównego odwachu przed jéj oknami pruscy żołnierze ściągali resztki nieszczęśliwéj gwardyi saskiéj; tłum ludu i tu stojący opodal, w milczeniu się temu przyglądał.

Jeszcze nie miał czasu dostać się na drugie piętro, gdy stara Giertruda, zapewne z rozkazu swéj pani, otworzyła mu drzwi, witając go ręką i uśmiechem.

— Pańskie zawiniątko na strychu w całości: nic nie zginie...

W progu stała baronowa z twarzą promieniejącą. Simonis w rękę ją pocałował.

— Cieszę się, że waćpana widzę całym i zdrowym, teraz już jesteście zupełnie bezpieczni. Ale mi mój Serb kazał odpowiedzieć, gdym się o was pytać posyłała, że tam u niego aniście byli. Lękałam się bardzo...

Kawaler wytłómaczył się, iż znalazł przytułek u przyjaciela, nic nie mówiąc o przyjaciółce. Staruszka go posadziła przy sobie.

— Jutro przyjeżdża nasz król... Choć to faworyt mojéj poczciwéj hrabiny de Camas, choć sprzyjam mu, choć go od tych Sasów wolę, co tylko hulać i swawolić umieli, a lud ze skóry drzéć; choć się ucieszę, że im da naukę: ale mi królowéj żal trochę i tego niedołęgi króla, który może i teraz jeszcze nie wié, co z nim robią. A Brühla, żałuję tylko, że nie pochwycił go Fryderyk... ha! ha!

Staruszka pokręciła głową.

— Prusacy zajęli miasto; nie było go komu bronić; choć do baletu nigdy nie brakło ludzi!

Gderząc tak przez chwilę pani Nostitz, przypomniała sobie, że Simonis nie miał pewnie mieszkania.

— Zajmijże swój pokój na trzeciém piętrze i niech ci Gertruda da klucze, a wieczorem przyjdziesz do mnie.

Zaproszenie było bardzo na rękę: myślał bowiem, jak spełnić rozkaz pięknéj Pepity, któréj obraz miał ciągle na myśli. Do wieczora było wprawdzie daleko; Simonis jednak tak był zmęczony i tak się potrzebował namyślić, co daléj pocznie, że cały ten czas, porządkując w mieszkaniu i leżąc wyciągnięty, przebył, nie postrzegłszy, jak przebiegł. Giertruda zastukała do drzwi.

Trochę poprawiwszy stroju, zamyślony Maks zszedł do baronowéj. Pepity wzrok powitał go w progu. Stała czarno ubrana i wejrzeniem dała mu znać, ażeby się nie wygadał przed staruszką. Przywitała go tak, jakby się wcale dnia tego nie widzieli. Baronowa, oszczędzając synowicę, drażliwéj nie wprowadzała rozmowy; pytała tylko o królowę.

— Wiem — odezwała się Pepita — że nasza pani przyjaciół nie ma, że jéj charakter nigdy się nie dozwolił przypodobywać ludziom i szukać jéj względów, ale dziś, któż jéj nie pożałuje! W tém wszystkiém niéma jéj winy najmniejszéj, a dla niéj, nad nią ciąży najstraszniejsza pokuta! Modli się i płacze!

— I gniewa — dodała baronowa.

— Któżby jéj tego nie przebaczył? — zawołała Pepita.—Córka cesarska niewolnicą brandeburskiego margrabi, królowa dwóch państw—na łasce tego żołnierza..

Stara baronowa westchnęła.

— Tak — rzekła smutnie — gdy się wielkie dzieło sprawiedliwości dokonywa, i niewinni porwani są burzą: gdy dęby padają, gniotą kwiaty, co kwitły pod niemi.

— Jestże to dzieło sprawiedliwości? — zawołało dziewczę.

— Tak — odparła staruszka — patrzały na to oczy moje, gdy

szalał August Mocny, nie szanując ani rodziny, ani wstydu, ani ludzkich łez; gdy mu się bóstwo jakieś śniło i Jowiszowe miłostki. Zostawił po sobie niedołężnego syna, a wychował dlań opiekunów w Brühlach. Spełnia się na dziecku, na co ojciec zasłużył.

— Ale kochana stryjenko — poczęła gorąco Pepita — to tylko próba, to chwila i przesilenie. Pan nasz ma królestwo drugie, w którém znajdzie schronienie; pan nasz ma sprzymierzeńców potężnych i ukarze to zuchwalstwo. To nie kara boża, to próba: my z niéj wyjdziemy zwycięsko!

Spojrzała na Simonisa, który milczał pożerając ją oczyma; czekał on na przyrzeczoną mu rozmowę; nie jego rzeczą było myśléć o tém, gdzie i jak ona odbywać się może. Pepita miała dosyć odwagi i przebiegłości, by nastręczyć sposobność. Wcale téż po niéj nie widać było obawy, ani wahania. Zdawała się być swego pewną.

W chwili, gdy baronowa poszła do drugiego pokoju otulić swego Fidela do snu w jego koszyku, Pepita zbliżyła się żywo do Simonisa.

— Przed dziewiątą pożegnaj pan stryjenkę, zejdź na dół i czekaj na mnie przy mojéj *porte-chaise*.

Simonis skłonił głowę, baronówna odeszła od niego prędko.

O naznaczonéj godzinie, choć staruszka wstrzymać go usiłowała, Simonis wyszedł na stanowisko. Lektyka już czekała przed kamienicą.

Wkrótce potém zbiegła Pepita i wsiadła do niéj, rozkazując ludziom iść powoli ku zamkowi. Maks towarzyszył jéj, stanąwszy przy oknie, które było spuszczone.

— Panie de Simonis — zaczęła Pepita — nie wymagałam od was przysięgi, choć sama mu ją złożyłam. Nie zacięży mi ofiara żadna, bylem ocaliła moję królowę, mój kraj. Nieprzyjaciela, który nas, urągając się wszelkiemu prawu, zagarnął bezbronnych, godzi się odpierać wszelkiemi środkami. Nie mamy żołnierzy; my kobiety chytrością, podstępem, orężem, jaki nam Bóg dał, opierać się i walczyć będziemy. Waćpan jesteś moim, prawda? jesteś moim? ja na niego rachować mogę?

— Pani — zawołał Simonis — dosyć było twojego słowa, ażeby Szawła Pawłem uczynić. Pani wiesz, co możesz: któżby ci się oparł?

Pepita uśmiechnęła się smutnie.

— Niestety! — rzekła — jakież to okropne! Pan mnie nie znasz, tylko z téj odrobiny nędznego blasku, jaki mi młodość nadaje. Pan nie wiesz, czyś aniołowi dał duszę, czyś szatanowi zaprzedał! Mój Boże, dlaczegoż ja w panu zamiast tego zaślepienia we mnie, nie mogę natchnąć szlachetniejszego uczucia litości dla uciśnionych, miłosierdzia dla tego nieszczęścia, dla téj królewskiéj niedoli?..

— Pani możesz mi natchnąć wszystko, bo jéj słowa mają potęgę.

— Dość, dość — przerwała Pepita — muszę téj potęgi używać, bo innéj nie mam siły; ale użyję jéj, aby was podnieść, podźwignąć! Panie Simonis, wyście nie winni, ja wiem; wyście wzrośli w tych przekonaniach, że możecie, że powinniście zaprzedać się pierwszemu lepszemu dla chleba i dla przyszłości. Niestety, wasi ziomkowie służą tak po całym świecie: biedni! To było we krwi u was, ale wam Bóg dał, spodziewam się, duszę szlachetną, którą rozbudzić tylko potrzeba, aby uczuła, iż człowiek nie jednym chlebem żyje, ale sumieniem i cnotą.

Podała mu rękę przez okno. Simonis ją pocałował. Zawstydzony był, milczący.

— Chciałabym was szeroką, jawną, jasną poprowadzić drogą; niestety, nie czas. Nieprzyjaciel — mówiła daléj — wpędził nas w te wąwozy ciemne, w których się bronić musimy. Jesteś pan i zostaniesz w obozie nieprzyjaciela, ale dla nas, abyś nas ostrzegał, abyś działał. Musisz moję sprawę poślubić dla mnie.

— Rozporządzaj pani i bądź pewną, że będę jéj wiernym.

— Będę mówić obrzydliwym językiem — odezwała się Pepita — ale raz muszę i to powiedzieć: nie stracicie na poświęceniu się waszém. Fryderyk głodem morzy swoje sługi, my przyjaciół obsypiemy złotem, choćbyśmy sami nędzę cierpieć mieli. Tam nie dosłużyłbyś się nic, tu spodziewać się możesz wszystkiego.

— Dosyć mi będzie, gdy pani... — rzekł Simonis.

Pepita nakazała mu milczenie.

— Na te oświadczenia zawcześnie — rzekła — czekaj pan, aż mnie poznasz. Jestem tyranem...

Wtém przerwała nagle.

— Jutro przybywa król! Jutro, wiem pewnie, odegra się scena z królową naszą. Nie wiem, jak się ona skończy, nie wiem, jakie będą plany nadal. Poznaj się pan z gienerałem von Spörken: on nam jest oddany cały.

— Nie mogę go szukać — rzekł Simonis — ani się jawnie zbliżyć do niego.

— Tak, ale możesz pan być zakochanym we mnie — odparła Pepita — kompromituj mnie, jak chcesz. Dla mnie możesz przyjść do zamku, a znajdziesz barona. O tém nikt w świecie wiedzieć nie będzie.

Mówili jeszcze chwilę, gdy Simonisowi Masłowski na myśl przyszedł z zazdrością swą i uwielbieniem dla pięknéj Pepity: rozśmiał się. Na zapytanie baronównéj, opowiedział jéj o Polaku, malując jego charakter i dziwactwo.

— Gdyby się na takiego wartogłowa spuścić można — zawołała Pepita — mógłbyś go pan użyć dla nas.

— Nie sądzę — rzekł Simonis — dla niego ta tragiedya jest komedyą tylko, któréj się obojętnie zdala przypatruje i czyni sobie z niéj zabawkę.

— Wszelkiéj broni używać trzeba — rzekła — któż wie!

Lektyka zbliżała się do zamku, u którego bramy stali Szwajcarowie. Straż przyszła zajrzéć, a Simonis odezwał się do swoich ziomków, ażeby przepuścili porte-chaise, co téż natychmiast spełniono.

Pepita podała mu rękę.

— Nim się umówimy o inne miejsce... u stryjenki wieczorem. Jeśli będę potrzebowała was, u Gertrudy zostawię książkę; w książce między kartami wklejoną będzie karteczka. Baczność i wierność...

Raz jeszcze pochyliła się ku niemu:

— Masz pan pieniądze? — spytała.

Simonisowi przykro się zrobiło.

— A! pani — rzekł szybko — starczy mi ich na długo: wcale nie potrzebuję.

Lektyka znikła w ciemnych podwórcach zamkowych.

XII.

Młodość tylko szczęśliwa i starość zobojętniała są tak obdarzone, że wśród rozgorączkowania powszechnego, wśród klęski i niepokoju, zachowują: pierwsza lekkomyślność swą, drugą odrętwienie. Nie było może w całém Dreznie drugiego człowieka, któregoby mniéj obchodził gwałtowny ten wywrot i niespodziana zmiana, jak pana Ksawerego Masłowskiego. Śmiał się i powtarzał: „niech się Niemcy tłuką; a mnie to co obchodzi? Zawsze ich trochę mniéj będzie!“ Lamentującéj pani Fuchsowéj śmiał się w oczy i ramionami ruszał, co ją zdumiło i rozgniewało prawie. Zobaczywszy Simonisa, zajął się nim na chwilę, lecz gdy odszedł, na myśl mu przyszła piękna baronówna. Był to jedyny wyjątek w całym tym kraju, dla Masłowskiego nie obojętny.

— Gdyby, broń Boże, Polką była, śmiertelniebym się w niéj zakochał, ale ojciec — człowiek słowny; nie mam ochoty leżéć na kobiercu.

Korciło go to jednak, że Szwajcar znowu pewnie do staréj baronowéj się wniesie i koperczaki będzie stroić.

— Trzeba sumienia nie miéć, żeby na to pozwolić — mówił w duchu, siedząc na barycrze przed pałacem Brühlowskim i przypatrując się piechocie pruskiéj, która po marszu nieosobliwie wyglądała. — Gdybym przynajmniéj mógł mu przeszkodzić!

Dla pana Ksawerego dosyć było pomyślić, aby wziąć się do roboty.

— Taki kuglarz, co z sumieniem tu przyjechał jak drugi z małpami na pokaz, żeby taką śliczną pannę bałamucił, a niedoczekanie jego! Trzeba się o tém bliżéj przekonać.

Jakoż, *dictum, factum*, pobiegł natychmiast, kryjąc się pod kamienicami, za Simonisem. Zobaczył, jak wszedł do domu baronowéj, a że dworska lektyka, która właśnie zaniosła baronównę Pepitę, odchodziła, przyczepił się do tragarzy, ażeby ich rozpytać.

Będąc na dworze Brühlowskim, Masłowski codzień prawie i to po kilkakroć biegał na zamek, znał całą służbę i nie było człowieka, z którymby w dobrych nie był stosunkach. Lubiono go za jego wesołość, a potrosze i za pieniądze, któremi rzucał chętnie; łatwo mu więc było zaczepić znajomych tragarzy.

— Słuchaj Hans — rzekł do jednego — kogożeście nosili do staréj baronowéj? przysięgnę, że pannę frejlinę Pepitę.

— Zgadłeś pan — odparł Hans — a jużci wolimy ją nosić, niż jutro może tego króla, co nam takiego piwa nawarzył.

— Ale jego nosić nie będziecie — zawołał Masłowski — ten albo konno albo pieszo, nigdy inaczéj i nigdy bez kija. Nawet konia, gdy chce popędzić, wali go laską między uszy *), a tak samo i gienerałów. Dostałoby się i waszmościom.

Tragarze zamilkli. Niebezpiecznie było o tém mówić, mając już Prusaków w mieście.

— He! Hans, miałbym jeszcze się o co popytać — dodał Masłowski.

— A co? — odwracając się odezwał tragarz — byle nie o tego króla...

— Nie. Czy panna baronówna kazała wam przyjść po siebie?

— Rozumie się — odpowiedzieli oba razem — o dziewiątéj.

— Hans! mógłbyś spocząć i dostać dukata!

— Jakim sposobem? — spytał tragarz.

*) Historyczne.

— Bardzo prostym — a mówił chłodno napozór Masłowski. — Któż z was nie wie, że my Polacy jesteśmy szalone pałki. Czasem się nam zachciewa, niewiedzieć czego. Pewnieście słyszeli, jak mój jeden kolega najął sobie Niemca i konno na nim jeździł po rynku. No, to cóżby było dziwnego, gdybym ja zechciał sprobować ponosić lektykę; wezmę suknią waszę, Hans, i pójdę z lektyką wieczorem po pannę.

Hans oczy wytrzeszczył.

— Oho! oho! — zawołał, kręcąc głową — co bo to się waści zachciewa! Chcesz z tyłu pewnie iść i pannie coś szeptać do ucha. Baronówna poskarży przed królową, królowa powie marszałkowi, marszałek da wiedzieć starszemu, a starszy kijem wytrzepie.

— Daję na to słowo, że tego nie będzie — rzekł Masłowski.

— I to za dukata? — dodał tragarz.

— Dam dwa.

Hans zamilkł, bo drugi już odwrócił głowę i chciał targu dobić.

— Zgoda — rzekł pierwszy.

— A tobie żebyś milczał, dukata także.

Umowa na tych warunkach łatwo została zawartą; Masłowski niewymownie był z niéj rad.

Stało się tedy, że gdy wieczorem Simonis odebrał rozkaz iść przy *porte-chaise* i prowadził rozmowę z piękną Pepitą po francusku, dosyć głośno, bo się oboje nie lękali być zrozumianemi przez tragarzy, pan Ksawery wszystko wysłuchał.

Nie jeden raz zadrgała lektyka, bo się chłopak zżymnął i ochota go brała okrutna przeszkodzić, odepchnąć, zdusić szczęśliwego rywala. Niestety! nic mógł się tego dopuścić. Wysłuchał nawet, jak Simonis mówił o nim, jak go Pepita wartogłowem nazwała i t. d. Byłby może w pierwszym impecie poleciał za kawalerem de Simonis i popełnił niedorzeczność jaką, ale suknie tragarza i obietnica dana Hansowi, zmusiły go odejść spokojnie od ganku do izby, w której swoje odzienie zostawił; miał więc czas ochłonąć i namyślić się.

Żal mu było szlachetnego dziewczęcia, które w rozpaczy chcąc ratować kraj i królewską rodzinę, rzucało się w grę tak niebezpieczną. To co słyszał z rozmowy, jakkolwiek trzpiotem był, trafiło mu do serca. Ten najemnik tego nie zrozumie! — mówił w duchu — ale że ma szczęście, to niewątpliwa. Taka śliczna panna!

Gdy rozpłaciwszy się i ubrawszy, wyszedł Masłowski z izby, zamiast odrazu na ulicę, skierował się ku podwórzom zamkowym. U bram stała straż Szwajcarów, która się nie mieszała wcale do tego, kto wchodził i wychodził; miała tylko polecenie powozów

i pak żadnych, oraz tłomoków z zamku nie wypuszczać. Na rozległych a teraz ciemnych podwórzach, dużo jeszcze było ludzi lękających się Prusaków, rabunku i nocnych nieprzyjaciela ekscesów.

Gienerałem komendantem z ramienia pruskiego mianowany był Wylich; wprawdzie objeżdżał on miasto i mówił o utrzymaniu porządku, lecz na to nic bardzo się spuszczać było można. Ze strony saskiéj, minister wyjeżdżając, zostawił umocowanych do zarządu krajem, stolicą i interesami, hrabiego Loss, Stammera i Globiga, trzech wicekrólów; ale tych władza była tak jak żadna: słuchał ich kto chciał, kto nie chciał, nie słuchał. Było to więc jakieś bezkrólewie, którego się obawiać każdy miał prawo. Na zamek zbiegli się najwierniejsi słudzy i poszlakowani o jawną niechęć ku Prusakom. Rodzaj obozu znajdował się w dziedzińcu. Wiele ubogich przeniosło się tu za wiedzą i pozwoleniem królowéj, z małém mieniem, z dziećmi; ze wszystkiém, co unieść mogli. Wełniane kołdry, porozkładano na ziemi, w latarkach paliły się świeczki, karmiono niemowlęta, głodni posilali się chlebem. Starzy leżeli już i spali obojętni na to, co ich spotka, inni gwarzyli pocichu. Widok dziedzińca wielkiego był zaprawdę osobliwy, jak czasu oblężenia lub wojny. Tłum ten w ciemności, w mroku mruczał i poruszał się, nie śmiejąc głośniej odzywać, aby go nie wypędzono. Gdzieniegdzie promyk latarki rozświecał twarze powiędłe, zlęknione, kupkę łachmanów, stos worków, a światło słabe z okien zamkowych, nieco oddalonych, nie dając rozpoznać téj masy ruchawéj, fantastycznie tylko gdzieniegdzie coś z jéj głębi wydobywało. Pomiędzy rodzinami, które się tu schroniły, było kilka z tych, co niedawno pod opieką królowéj, wiarę chrześcijańską katolicką przyjęły i z Mojżeszowego wyznania do niéj przeszły. Ci neofici lękali się swoich współbraci i ich zemsty.

Królowéj z wieczora dano znać o tém, a że wielce zawsze była troskliwą o los nawróconych, gdy panna Nostitz od baronowéj przybyła na zamek, poleciła swojéj służbie, by jedzenie i okrycie wyniesiono dla jéj protegowanych.

Pepita zwykle do podobnych czynności bywała delegowaną, dla śmiałości swéj i znajomości języków. Zawołano ją i teraz, nim z siebie zrzuciła okrycie; dano jéj za towarzyszkę pannę hrabiankę Frohsdorf i jednego szambelana, i w chwili, gdy Masłowski wchodził na to podwórze, ujrzał zdala ze wschodów spuszczające się poselstwo dobroczynne, przed którém nieśli pochodnie dwaj pachołkowie dworscy.

Z gromady ludzi instynktowo podniosło się i przybiegło, co było biedniejszego. W koszach przygotowany chleb i inne zapasy żywności rozdawać zaczynano. Korzystając z tego, Masłowski

przysunął się. Znano go dobrze, wmieszał się więc niepostrzeżony między dworskich i ze śmiałością sobie właściwą, potrafił docisnąć się do Pepity.

Zdziwiła się, zobaczywszy go baronówna.

— Właśnie nie mam nic do roboty i to mnie trapi — odparł Masłowski — jestem prostym spektatorem. Hrabia Brühl z sobą mnie wziąć nie chciał, w pałacu pustki, więc się kręcę po mieście.

Pepita popatrzyła nań jakoś badająco: Masłowski śmiało też do oczów jej pięknych zaglądał.

— Z tego próżnowania — dodał ciszéj — przyszła mi fantazya sprobować nosić lektykę i miałem to szczęście być jednym z tragarzy, którzy przed chwilą panią od stryjenki tu odstawili.

Zarumieniła się i wyprostowała sztywnie, hardo Pepita.

— I nie wahałeś się waćpan podsłuchiwać rozmowy? — odezwała się.

— Byłem zmuszony do tego — rzekł Masłowski — a cieszę się bardzo, iż się tak stało, bo mogę panią przestrzedz, że gra z takim jegomością, jak Simonis, i bardzo niebezpieczna i wątpię, by się na co przydała.

Niezmieszany Masłowski, mimo gniewnego spojrzenia, baronówny, mówił daléj:

— Rozumiem to bardzo, iż w podobnych razach nadzwyczajnych tonący brzytwy się chwyta; ale brzytwa nikogo nie uratowała. Ludzie, co dwom służą, zdradzają obu.

— Waćpan mnie podsłuchałeś, to niepięknie — odezwała się zmieszana panna — lecz ufam, że mnie nie zdradzisz: toby było ohydne.

— Żaden Polak nigdy nie zdradził nikogo — rzekł Masłowski — robimy głupstw wiele, ale w zdrady się nie bawimy nigdy: na to jest dosyć innych, takich, jak Simonis, awanturników.

W téj chwili przyszło na myśl pannie Nostitz, że i o Masłowskim była mowa, zarumieniła się znowu i podchwyciła żywo:

— Toś waćpan słyszał, co o nim mówiono?

— Ani słówka nie straciłem — kłaniając się rzekł pan Ksawery — pani mnie nazwałaś wartogłowem, jeśli się nie mylę.

Mimowolnie rozśmiała się baronówna.

— Możem na to zasłużył — zawołał Masłowski — ale gdyby mnie szczęście spotkało takie, jak Simonisa, a! pani, głowę bym się postarał zamienić, ażeby go się stać godnym.

Wejrzenie zapłaciło śmiałemu chłopcu.

— Nie pochwalasz pan pewnie, żem Szwajcara zobowiązała do służby królowéj? — spytała.

— Nie ufam mu — krótko rzekł Masłowski. — Pani go możesz innym, niż był, uczynić.

— Rzecz nie do poprawienia — szepnęła Pepita.

Masłowski spojrzał ku niéj i westchnął.

— Zazdroszczę mu! — rzekł — bardzo zazdroszczę. Pani mi żal, lecz kiedy mnie los do sekretu przypuścił, pozwól pani, abym się i ja przydał na co. Ja się obowiązuję pilnować go, a jeśli spostrzegę najmniejszy krok podejrzany, no, to go zadławię.

Baronówna nieznacznie wyciągnęła rękę ku niemu, nie mówiąc nic.

— Będę jego opiekunem — rozśmiał się Ksawery — pani mi zaufać możesz; nie żądam za to nic, oprócz uśmiechu i wejrzenia dobrego, bo gdy pani spojrzysz na mnie (tu się za piersi pochwycił), ciepléj mi w duszy!

To mówiąc, zdjął kapelusz, skłonił się i nim panna Nostitz odpowiedziała mu, zniknął w tłumie. Baronówna stała długo oglądając się, rozmyślając, trochę na siebie gniewając, plany układając różne, aż gdy jadło rozdane zostało i tłum się rozchodzić zaczął, wróciła na pokoje.

Mało kto téj nocy zasnął w Dreznie. Na zamku czuwano do dnia: mieniała się służba, a w mieście mimo pruskich patrolów, włóczyli się też ludzie ciekawi i niejedno okno do rana było odemknięte. W wielu z nich widać było światło, bo przy świetle ludzie bezpieczniejszemi się czuli. Z brzaskiem dnia chorobliwe jakieś życie zaczęło się rozbudzać.

Na ratuszu zgromadzeni panowie radni miasta spali na krzesłach w perukach i paradnych strojach, nie śmiejąc, na wypadek wszelki, rozejść się do domów. Prusacy coraz czegoś nowego domagali się. Dnia pierwszego zaraz zapowiedziano, że miasto będzie mieć obowiązek dostarczania komisowego chleba dla wojska, a raczéj mąki, drzewa, ludzi i pieniędzy; gdyż Prusacy woleli sami pieczywa pilnować, aby im tam czego do niego nie namieszano. Nad Elbą kazano na łące dwadzieścia kilka pieców budować.

Gdy dnieć zaczynało, i panowie rajcy i co było urzędników, którzy się spodziewali zostać przed króla powołanemi, gotowali się wystąpić, bo wiedziano, że Fryc wstawał rano i mógł nocując niedaleko, co chwila ich zaskoczyć. Najmniejszy tętent po bruku wszystkich ciągnął do okien.

Na mieszkanie dla króla wyznaczono pałacyk hrabiny Moszyńskiéj, który już od wczoraj był wyprzątnięty. Chciano go czémś dla przypodobania się królowi przyozdobić, ale generał kwatermistrz rozśmiał się, ruszył ramionami i dużo z tego, co było, powyrzucać jeszcze kazał.

— Nam to niepotrzebne — zawołał — my żołnierze, nie baby, i jego królewska mość żołnierzem też jest.

Jeszcze przed przybyciem króla, od strony Pirny i obozu, gościniec i wszystkie komunikacye zostały odcięte i silnie obsadzone. Od téj chwili Brühl, król, dwór, nie mogli już ani listu odebrać z Drezna, zostawał im Königstein na schronienie.

Gdy około dziesiątéj rozlegały się wołania: „król! król!“ co żyło, puściło się naprzeciw, ażeby go zobaczyć. Drezdeńczycy oddawna nawykli do przepychu otaczającego majestat pański, stanęli osłupieni.

Ranek był chłodny.

Fryderyk jechał na Brühlu, to jest na najgorszym swoim wierzchowym koniu, w starym mundurze, w butach zabłoconych, okryty płaszczem poszarpanym, z laską nieodstępną w ręku, przygarbiony nieco, z głową na jedno ramię zwieszoną. Z pod trójgraniastego zrudziałego kapelusza, którego pióra nie w najlepszym były stanie, widać było tę twarz posępną, oczy bystre i usta szyderskie, uśmiechające się bez wesela, na zimno. Pomimo że wchodził jak zwycięzca, że mu się nic tu opierać nie śmiało, jechał raczéj gniewny i zniecierpliwiony, niż uradowany i tryumfujący. Widać było na czole troskę, w wejrzeniu niecierpliwość i niemal gniew. Spoglądał, jakby szukał tylko powodu by wybuchnąć. Za nim nieco staranniéj poubierani dwaj adjutanci, kilku gienerałów i urzędników. Gienerał Wylich mianowany komendantem, który był na przedmieściu wyjechał dla spotkania Fryderyka, w pewném oddaleniu, tuż za królem jechał, jakby rozkazów wyglądał. O miasto, o drogę, nie potrzebował się rozpytywać król, bo je znał dobrze, bo nie pierwszy raz tu był gościem nieproszonym, a po raz pierwszy, przybył tu przed laty z ojcem i wywiózł stąd pierwszą fantazyę dla Formery i coś nakształt pierwszéj miłości, rychło straconéj, dla Orzelskiéj.

Fryderyk jechał powoli, stępem, czasem głowę podnosił, popatrzył gdzieś pogardliwie i znowu ją spuścił obojętnie; na żółtéj twarzy jego wcale widać nie było, aby to zajęcie stolicy domu panującego daleko starszego od dynastyi, którą Fryderyk reprezentował, czyniło na nim jakie wrażenie. Wchodził tu widocznie jako żołnierz, nie jako król, a na urągowisko bolesne, włożył pod niebieski mundur ciemno-szafirową wstęgę Orła białego, niby dla uczczenia króla polskiego, od którego ją miał. Gwiazda czasem się z pod płaszcza starego ukazywała. Nikt nie wiedział, dokąd król się ma udać, gdy stanąwszy na chwilę w rynku, gdzie cała gromada radców miasta w perukach wyszła na jego spotkanie,

zaledwie spojrzawszy na tych dostojnych panów, którym i głową nie kiwnął, konia skierował ku zamkowi.

Przodem już pobiegli dworscy stojący na straży, dać znać królowéj, która ubrana czarno, blada jak trup, z usty drżącemi, stała wśród dam swoich. Między niemi była i hrabina Brühlowa.

Głuche milczenie panowało w zamku. Króla poprzedził szmer tłumu, co go otaczał i gonił za nim. Szwajcarowie stojący na warcie krzyknęli; cały odwach rzucił się z bębnem dla oddania honorów królowi; głosy straży doszły aż do pokojów Józefiny, Fryderyk wjechał zamyślony w bramę i aż na drugim stanął dziedzińcu. Spojrzał na ten tłum, co się tu był wczoraj schronił, coś poszeptał adjutantowi i z konia zszedł.

— Wylich — zawołał — gdzie tajne archiwum?

— W zamku, najjaśniejszy panie: trzy pokoje zajmuje; wczoraj je opieczętowano; straż stoi u drzwi i pod oknami.

— U kogo klucze?

— U królowéj jéjmości.

— Idź waćpan ode mnie; pokłoń się najjaśniejszéj pani i proś ją o klucze. Powiedz, że ja ich żądam.

Gienerał Wylich wbiegł szybko na wschody, Fryderyk powoli spierając się na lasce, szedł także ku górze z flegmą i obojętnością, któréj wistocie nie miał, ale ją uznał za potrzebną. Dwór królowéj cały był przy niéj zgromadzony; etykieta surowsza niż kiedykolwiek, choć Józefina nigdy o niéj nie zapominała. Gienerał Wylich musiał się przez szambelana zameldować wielkiéj ochmistrzyni i czekać. Dano mu postać umyślnie. Nareszcie szambelan przyszedł z oznajmieniem, że królowa jéjmość prosi go.

Trzy sale, w których cały fraucymer i dwór był zgromadzony, przechodzić musiał stary żołnierz, nie zdając się tą okazałością wcale zmieszanym. W gabinecie królowa siedziała w fotelu.

Gienerał skłonił się nizko.

— Najjaśniejszy pan król Fryderyk II, pan mój miłościwy, rozkazał mi złożyć uszanowanie waszéj królewskiéj mości i prosić jéj o klucze od sekretnego archiwum.

Była chwila milczenia: królowa zerwała się z krzesła, chciała mówić; słów jéj brakło...

— Powiedz waćpan swojemu królowi, że jestem tu u siebie, w domu, w stolicy mojéj, na moim zamku; że nikt mi nie ma prawa rozkazywać; że kluczów mu nie dam. Wszedł gwałtem, niech gwałtem dokona to, co nim zaczął...

Wylich zmieszał się nieco, skłonił głowę.

— Spełniam rozkazy mojego króla — rzekł — odniosę mu odpowiedź; lecz lękam się, ażebyśmy nie byli zmuszeni istotnie...

— Możecie być zmuszeni — zawołała królowa wyciągając rękę, która drżała widocznie jak jéj głos — możecie być zmuszeni nietylko drzwi łamać, ale mnie od nich odciągnąć, ale mnie królowéj, mnie córce cesarskiéj, mnie... (tu na chwilę znowu głosu jéj zabrakło) mnie odtrącić, mnie zabić!! Powiedz mu to.

I królowa na fotel padła.

Wylich skłonił się i wyszedł powoli.

Fryderyk oparty na lasce czekał na niego u żelaznych drzwi sekretnego archiwum, oczyma dzikiemi rzucając dokoła. Zaledwie ukazał się, krzyknął:

— Masz klucze?

— Królowa wydać ich nie chce. Niedosyć na tém, kazała mi powiedzieć, że sama osobą swą gotowa bronić nietykalności własności swojéj.

Fryderyk nie odpowiadając ani słowa, pogardliwie obrócił się ku drzwiom i z całéj siły uderzył w żelazne ich blachy laską, którą trzymał w ręku.

— Wyłamać drzwi! — zawołał — ślusarzy... Wylich, natychmiast; ja mam tu jeszcze dosyć do czynienia. Czekać nie lubię: niech on o tém pamięta...

Gdy z jednéj strony świta króla rzuciła się natychmiast po rzemieślników i narzędzia potrzebne do odbicia archiwum, z drugiéj w korytarzu stojący dworacy królowéj natychmiast oznajmić jéj pobiegli o tém.

Fryderyk stał niecierpliwiąc się widocznie. Znalezienie ludzi i rzemieślników łatwém nie było, żaden ślusarz drezdeński nie dałby był wziąć się do tego, nawet najstraszniejszą groźbą: uciekali i kryli się wszyscy.

Musiano więc gwałtem zabrać narzędzia, obcęgi, młoty, sztaby, a żołnierzy pruskich użyć do téj roboty. Zaledwie pierwsze uderzenie słyszeć się dało, gdy w końcu korytarza ukazała się biegnąca królowa, w rozpuszczonych szatach, z rozpłomienionym wzrokiem, straszna gniewem, niema ze wściekłości. Na widok jéj, wpadającéj między żołnierzy, ludziom młoty wypadły z rąk, stanęli jak osłupieli. Józefina rzuciła się na żelazne drzwi, osłoniła je sobą, rozpostarła ręce, położyła się płacząc na nich.

Fryderyk, który stał o kilka kroków, patrzał na to obojętnie chwilę; krew mu po twarzy przebiegła i znikła, wyciągnął laskę ku Wylichowi:

— Słyszysz — zawołał — dwóch grenadyerów niech weźmie królowę, waćpan będziesz jéj towarzyszył do jéj pokojów i postawisz straż przy nich.

Gienerał osłupiał i zawahał się.

— Słyszy on! — krzyknął król, podnosząc kij — słyszy on: rozkaz spełnić natychmiast! *).

Gdy Wylich oniemiały i drżący zbliżył się ze dwoma żołnierzami i majorem Wangenheimem do królowéj, krzyk się wyrwał z jéj ust okropny, bolesny, a drugim jęknął cały jéj dwór przerażony. Płacz, wołanie, przekleństwa, wrzawa stała się straszliwa. Królowa Józefina osunęła się, omdlała, a dwaj żołnierze napół martwą ponieśli ku jéj pokojom. Za nią cisnęły się tłumem kobiety, szlochając i ręce łamiąc.

Fryderyk stał blady i wcale nieporuszony tą sceną; drgała mu twarz szyderstwem strasznem, zimném, które przejmowało nawet tych, co nań patrzéć codzień byli przywykli. Laskę podniósł:

— Łamać drzwi!!

Żołnierze wzięli się żywo do kruszenia zamków i zawias, jedni drugich starali się wyprzedzić i pośpieszać, a w miarę jak ta robota postępowała, Fryderyk do drzwi się przybliżał. Gdy ostatnia zapora pękła i brzęcząc na ziemię opadła, a żołnierz podważywszy drzwi otworzył je z uśmiechem, król pierwszy pośpiesznie wszedł du archiwum.

Na środku pierwszéj sklepionéj izby stały właśnie przygotowane do wywiezienia paki, zawierające dyplomatyczne depesze, których część Mentzel był wydał do Berlina. Król gorączkowo, tak gwałtownie dobijał się do tego archiwum, obiecując sobie w niém znaléźć, coby wojnę i postępowanie jego usprawiedliwiło **). Wiedział przez zdrajcę Mentzla, że paki te do Polski uwieźć miano. Ostatniego dnia nie było na to czasu, a nazajutrz obóz w Pirnie, król i Brühl zostali odcięci.

Fryderyk niedługo zabawił w archiwum, paki natychmiast kazano wywozić do pałacu Moszyńskich, a dwóch kancelistów pod przewodnictwem radcy wyznaczonego, pozostali dla przejrzenia reszty. Straż stała u drzwi.

W pół godziny potém, Fryderyk z oczyma zaiskrzonemi radością, któréj nie taił, śmiejąc się wyszedł z archiwum, przebiegł żywo korytarz i na wschodach będąc, kazał sobie podać konia.

— Batalion żołnierzy! — zawołał do Wylicha — za mną...

---

*) Ściśle historyczne wszystko. Zobacz Vehse, i Chronik der K. S. Residenz, St. Dresden, Życie Fryderyka i t. p.

**) Niezupełnie znalezione papiery odpowiedziały oczekiwaniom. Na nich się opiera wydany wkrótce: *Mémoire raisonné sur la conduite des Cours de Vienne et de Saxe.*

Drugą bramą zamkową wychodzącą ku katolickiemu kościołowi wyjechał król. Stąd już widać było gmachy pałacu Brühlowskiego. Wszyscy odgadli, że ku niemu teraz Fryderyk się uda. Batalion żołnierzy ściągnięty z odwachu, stał w Georgenthor w pogotowiu. Król skinął, aby szedł za nim. Za żołnierzami szła ciżba milcząca. Brühlowski pałac był zamknięty, lecz na widok przybywającego króla, Szwajcar w paradnéj odzieży, z buławą, przy szpadzie, na oścież drzwi otworzył. Fryderyk szepnął coś i skinął, kilku żołdaków rzuciło się na nieszczęśliwego stróża i odarło go natychmiast do koszuli. Przestraszony pobiegł gubiąc perukę, w dziedziniec.

Na schodach stojąca garstka sług, widząc to, zemknęła. Król zsiadłszy z konia, z całą swą świtą i żołnierzami wszedł na pierwsze piętro, nie spotkawszy nikogo. Przez przedpokój pusty, śmiejąc się wpadł do ogromnego salonu, całego w zwierciadłach, porcelanie i atłasach. Był to apartament, w którym pierwszy minister przyjmował nieraz książąt panujących, posłów wielkich mocarstw, gdzie ugaszczał Richelieugo. Wspaniałości jego dziwili się dworacy króla francuskiego nawykli do wersalskich przepychów. We wszystkich razem wziętych zamkach i pałacach króla Fryderyka nie było połowy tego bogactwa, wykwintności i smaku. Gdziekolwiek spoczęło oko, spotykało cudowne dzieła kunsztu, które na rozkaz pana stały się rzemiosłem, aby dogodzić fantazyi królika. Nie jeden talent, któryby arcydzieła mógł tworzyć, rozproszył się na te tysiące drobniuchnych, misternych ozdób, zlanych tak w jednę całość, jakby tchnienie jedno, jeden człowiek, jedna wola stworzyła je jedném słowem.

Fryderyk spojrzał z pogardą i rozśmiał się, kijem, który trzymał w ręku, uderzył w ogromną szybę zwierciadlaną: prysnęła w kawałki *). Było to hasło.

— *Zum Ausräumen!* (Uprzątnąć)—zawołał król zwracając się do swoich żołnierzy — *Zum Ausräumen!*

Niepodobna odmalować skutku tego rozkazu, który w mgnieniu oka stał się czynem. Żołnierze z okrzykiem ogromnym, z dziką radością rzucili się na salon i pokoje.

Brzęk tłuczonych zwierciadeł, łamanych sprzętów, wyciąganych szuflad, chwytanych zegarów, śmiechy, wrzawa rozległy się po cichym pałacu. Służba Brühla pierzchnęła, nie było na obronę nikogo, nie było ktoby w imieniu sztuki, w imieniu pracy, upomniał się o rozbijane posągi i zrzucane na ziemię obrazy.

Król siadł na chwilę w fotelu i patrzał a słuchał; widać było,

*) Historyczne.

że się zemstą nasycał, że ją pił z rozkoszą, że mu tego jeszcze było mało. Oczyma wodził po zniszczeniu i śmiał się.

Batalion piechoty, któremu się te łupy dostały, nie starczył na uprzątnienie nagromadzonych tu bogactw, potrzeba mu było dodać drugi do pomocy. Zrzucano, śpiesząc dopókiby rozkaz nie został odwołany, sprzęty oknami w ulicę, wydzierano obicia, rwano firanki. W miarę jak to dzieło zniszczenia postępowało, szał opanowywał żołnierzy, część ich dobrała się do kilku tysięcy butelek wina najprzedniejszego w piwnicy i hulała pijąc zdrowie Fritza w dziedzińcu. Okrzyki dochodziły do uszu króla... Gienerałowie stali jakoś oniemieli i posępni, mieli trochę żalu; właściwie ta gratka tak piękna, im się, nie téj gawiedzi należała.

Zostawał ogród a w nim biblioteka i galerya, najdrogocenniejsze zbiory, których się nie godziło dawać na łupy zemście chwilowéj. Jeszcze chwila a żołdactwo byłoby się rzuciło na nie; niebezpieczeństwo było wielkie, szczęściem obfita piwnica obroniła bibliotekę: nie chciało się opuszczać jéj, dopókiby wszystko zabrane i wysuszone nie było.

Gdy się to działo, a król siedział jeszcze, kijem okutym dziurawiąc wysadzaną misternie posadzkę, człowiek blady, przelękły, trzęsący się cały, w czarnéj sukni, wszedł do zburzonéj sali i strwożony stanął u drzwi.

Król spojrzał na niego.

— Kto on jest! — zakrzyczał.

— Bosza, Włoch, najjaśniejszy panie, dozorca biblioteki, galeryi, ogrodu, najjaśniejszy panie!

Włoch kłaniał się i jąkał.

— Czegóż on chce ten dozorca?

— Najjaśniejszy panie — wyciągając ręce z rozpaczą — przybyłem błagać go o ocalenie ogrodu, biblioteki, galeryi; najjaśniejszy panie...

— Żołnierze mają to sobie darowaném, to nie moje. Co mi dasz? Co im dasz?...

Bosza się zająknął.

— Najjaśniejszy panie, oddam, co mam: cały mój majątek...

— A wieleż jego majątek wynosi?

— Nie mam nad dziesięć tysięcy talarów...

— To mało.

Włoch ukląkł, Fryderyk się rozśmiał.

— Ech! *Canaillen Bagage,* dawaj te dziesięć tysięcy talarów, tu zaraz mnie... i niech cię dyabeł bierze *).

*) Historyczne.

Skinął król na adjutanta.

— Ogrodu żeby mi nie tknięto!

Bosza pobiegł po pieniądze.

Jeszcze żołdactwo hulało po pałacu, gdy król ze świtą poszedł się przypatrzéć ruinie. Stawał co chwila i przyglądał się z gniewem, śmiał się, szczątki potrącając nogami i dobijając je kijem.

Cały szereg sal przeszedł tak, aż do tych dwu, gdzie cała niemal garderoba Brühla w przepysznych szafach się znajdowała. Lecz szafy te stały teraz otworem, suknie podarte walały się po podłodze, a na urągowisko półtora tysiąca peruk ministra złożono w stos ogromny w pośrodku sali; żołdactwo obeszło się z niemi tak nieprzyzwoicie, iż do niczego już nigdy służyć nie mogły.

Fryderyk stanął nad temi perukami zadumany.

— Osobliwsza rzecz — zawołał — żeby człowiek, co nie miał głowy, mógł tyle peruk potrzebować *).

Dowcip królewski homerycznym powitano śmiechem.

Najmniejszego kątka nie pominąwszy i przekonawszy się, że wszystko było dosyć porządnie uprzątnięte, król zszedłszy zwolna do drzwi głównych, głośno zawołał:

— Podać mi Brühla!

Siadł na koń i zwolna pojechał do pałacu Moszyńskich.

Ulice długo jeszcze potém przedstawiały widok, jaki rzadko się trafia. Rozpuszczony żołnierz na wózkach, na rękach, na plecach, niósł, wlókł, dźwigał, co mu się dostało z Brühlowskiego pałacu. Niektórzy staczali walki o pochwycone sprzęty, które się kończyły zniszczeniem ich, ażeby się ani jednemu, ani drugiemu nie dostały. We drzwiach, w dziedzińcach, po ulicach odgrywały się sceny, które przestrachem przejmowały mieszkańców. Nawet otoczenie króla uczuło to, że scena z królową, a później „uprzątnięcie“ pałacu nie mogły im zjednać ani sympatyi kraju, ni przyjaciół w Europie. Lecz Fryderyk II miał w téj chwili całą niemal Europę przeciwko sobie, a z jéj uczuć dla siebie żartował.

— Wolałbym sto tysięcy dobrego żołnierza, niż najlepszych przyjaciół i wielbicieli.

W mieście wieść o wypadkach na zamku i o Brühlowskim pałacu ostudziła znacznie zwolenników pruskich. Przyczyniły się do tego kontrybucye, żywienie wojska i wszelkiego rodzaju zabory. Tegoż dnia kasy uprzątnięte zostały także.

Z temi smutnemi wieściami potajemnie wysłała królowa zaraz do obozu w Pirna zaufanego człowieka, który jako świadek naoczny, ustnie miał donieść o wypadkach. Urzędnicy pozostali sprawowali obowiązki swoje, ale wistocie drżąc oczekiwali tylko na los, jaki im zgotowano.

*) Historyczne.

Hrabia Loss, Stammer i Globig dla osobistego bezpieczeństwa siedzieli na zamku. Zdawało się, że ich król może kazać wezwać do siebie: cały więc dzień w mundurach i przy szpadach, w perukach, z kapeluszami pod pachą, spoglądając po sobie milczący przebyli, za każdém drzwi otworzeniem przewidując posła.

Zjawił się on wistocie w postaci oficera, który zaprosił ich do jenerała Wylicha, a raczéj iść im do niego kazał.

Hrabia Loss ruszył się z powagą; towarzysze poszli za nim.

Wylich przyjął ich z fajką w zębach, stojąc nad papierami, które trzech kancelistów wygotowywało.

Spojrzał tylko na wchodzących.

— Najjaśniejszy pan kazał mi waćpanom oświadczyć, że ministerstwo jest rozwiązane. Dopóki my tu jesteśmy, wcale go nie potrzeba; urzędnicy niżsi niech spełniają swe obowiązki, a wyższy nad niemi nadzór, aby to szło porządnie, do nas należy.

— Jednakże... — odezwał się hrabia Loss.

— Niéma tu żadnego *ale* ani *jednakże* u nas — przerwał grubijańsko Wylich. — Po żołniersku: komenda i posłuszeństwo. W Saksonii nie było porządku, zdzierstwo i marnotrawstwo do najwyższego stopnia; my to się postaramy w karby wprowadzić. Dopóki my tu i dopóki najjaśniejszy pan dla własnego bezpieczeństwa zmuszony jest zajmować Saksonię, nikt tu rozkazywać nie ma prawa. Inne rozporządzenia później nastąpią. Kłaniam się! — rzekł Wylich.

Trzej vice-królikowie stali niemi.

— Kłaniam się — powtórzył jenerał.

Spojrzawszy po sobie, mieli już odchodzić, gdy Wylich się odezwał:

— Hrabiego Loss i panów będę jeszcze potrzebował dla naradzenia się, choć to może dziś zawcześnie. Sejm w Polsce się zbliża; król jegomość August III zapewne zechce nań pośpieszyć, żeby choć jeden się nie zerwał. Niech mu panowie dadzą znać, że do Polski paszporty gotowe i konie na przeprzęgi. Kłaniam się! — dokończył.

Znowu tedy zabierali się wychodzić, gdy Wylich pyknął, dym puścił i odezwał się:

— Ale, ale, tę gawiedź, co darmo chleb jadła: śpiewaków, muzykantów, operę, balet, trzeba do dyabła rozpuścić. Pieniędzy na nich niéma, bo te, co są, my musimy wziąć. Słuchać ich też

i bawić się niemi nie będzie komu! Królowa nie zechce się rozrywać; nasz król nie ma czasu, a August III wyjedzie do Polski.

I znowu dodał:

— Kłaniam się!

Hrabia Loss poszedł żywo ku drzwiom, aby go już więcéj nie odwoływano.

Wylich spojrzał za niemi tylko i do kancelisty obracając się dodał:

— Pisz waćpan: kurfirstowska kamera wyda drzewa dla piekarzy, sążni...

Więcej już vice-królikowie nie posłyszeli, bo się drzwi zamknęły.

Poszeptali pomiędzy sobą i cicho udali się na zamek.

W mieście tego dnia tłumno było jeszcze, gwarno, lecz smutnie...

Około pałacyku i ogrodu Moszyńskich stały gromady ciekawe. Po południu generał Wylich oświadczył magistratowi i przedniejszym mieszkańcom, iż powinni pójść się pokłonić królowi.

Kto mógł wymawiał się od zaszczytu tego, lecz radzi nie radzi panowie urzędnicy miejscy i wskazane osoby znaczniejsze musiały powdziewać suknie, przypiąć szpady i ciągnąć w pokorze do pałacu, który król zajmował.

Osób przeszło dwadzieścia wielce poważnych, *honoratiores*, którzy nie spodziewali się, ażeby ich jaka owacya spotkać mogła, zjawiło się, szeregami idąc u drzwi, w których stał adjutant.

Wpuszczono ich niezwłocznie.

Król w wytartym mundurze i tych samych butach, w których go widziano zrana, siedział z jednym z gienerałów u stołu, na którym rozłożone były karty Saksonii i Czech. Niedaleko od niego rozbite paki wzięte z archiwum i wyjęte z nich tomy ogromne leżały w nieporządku. Charcicę trzymając na kolanach, bo ta mu i na wojnie towarzyszyła, w kapeluszu na głowie król przyjął deputacyę. Wstał tylko do niéj wkrótce i kij wziął do ręki:

— A co mi oni powiedzą? — spytał.

Milczenie panowało długie. Burmistrz Führich chrząknął raz, odchrząknął raz drugi, mruknął coś, poprawił się i nic nie powiedziawszy umilkł.

— Hm? — spytał Fryderyk, a wtém sam zaczął: — Byłem zmuszony postępowaniem tego człowieka, dla którego zbyt mam wielką wzgardę, abym imię jego wymówił, zająć Saksonię i stolicę. Bezpieczeństwo moje wymagało tego. Nie mogło być inaczéj... Mam dowody w ręku, że spiskowano przeciw mnie. Króla jegomości szanuję wielce, on nic nie winien... Tymczasowo niech jedzie do Polski, my się tu bez niego obejdziemy.

Deputacya stała milcząca.

Król począł kijem wskazywać osoby i kazał sobie mówić imiona, nazwiska i tytuły.

— Spodziewam się — rzekł w końcu — że oni rozum mićć będą i zachowają się uczciwie i spokojnie; jeżeliby zaś komu do głowy przyszło ze mną wojnę prowadzić, damy sobie z nim radę. Infamisów i kanalią odprawię do Spandau i Kistrzyna. Niech oni sobie idą, każdy do swojéj roboty, ja także mam o czém myśléć...

Nastąpiły ukłony. Król na te nizkie pochylenia, grzbiety i peruki, których końce po plecach biegały, popatrzywszy z wyrazem najwyższej pogardy, gdy się drzwi za niemi zamknęły, odezwał się do gienerała Quintusa Jeiliusa:

— *Canalien Bagage!* a jakie to podłe i nikczemne! Niéma jednego, któryby mnie w łyżce wody nie chciał utopić, i niéma jednego, coby śmiał pisnąć słowo...

Plunął stukając laską o podłogę.

— Gienerale, wprowadzić szpiega, który miał dać informacyę o obozie pod Pirną; trzeba ich zabrać, bo nam ludzie się przydadzą!

XIII.

W smutną nawet porę jesienną, gdy drzewa są z liści odarte, trawy wyschłe, niebo szare, a cała natura zda się martwą i obumierającą, krajobraz około Pirny, nad brzegami Elby zachowuje swój urok majestatyczny. Rzekłbyś ruina jakiegoś starożytnego świata, prawy brzeg rzeki naprzeciw miasteczka, które ponad lewym się rozkłada, ze swemi popękanemi, szaremi, wysokiemi piaskowca ścianami, porosłemi lasy i krzewami, z jodłami i sosnami czatującemi na wierzchołkach, przeglądający się w rozlanych wodach, łudzi jakoby pozorem zwalisk jakiéjś zapomnianej budowy. Elba wije się tu od Czech płynąc, jakby chciała coraz nowe zwiedzać zakąty, jakby pragnęła się ukryć a nie mogła, dopóki na szersze nie dobywszy się równiny, nie rozleje po łąkach, zobojętniała i spoważniała, wlokąc się pod mury stolicy. Pirna ze swemi murowanemi domkami, poczepianemi nad nierównym brzegiem, stoi na straży rzeki.

Wąwozy, góry sąsiednie, parowy, wysoka skała, na któréj u zdobyta twierdza Königsteinu siedzi, Lilienstein piętrzący się do

góry, cała okolica nadelbiańska czynią położenie warownêm i dla nieprzyjaciela niedostępnêm. Nie można też było lepszego znaléźć miejsca dla wojsk saskich, które zbliżone do czeskiéj granicy, mogły bez przeszkody się połączyć z oddziałem austryackim gienerała Wied, aby stawić czoło pruskiemu wojsku Fryderyka. Nad brzegiem rzeki widać było rozbite obozy, namioty, szałasy, mnóstwo ładownych wozów, stada koni i wszystko, co wojsku potrzebnêm być może. Gościniec od Drezna zajmowały przednie straże i wysunięte placówki.

W najpiękniejszym z murowanych domów miasteczka, który Brühl urządzić kazał na pomieszczenie króla, ostawionym strażami dokoła, August III bawił już od dni kilku, dosyć podrażniony położeniem, w którém się znalazł cale niespodzianie. Książęta Karol i Ksawery znajdowali się przy nim: Brühl był nieodstępnym. Pierwszy z nich żywy, ognistego temperamentu, niecierpliwy; drugi łagodniejszy choć w nim też krew rycerska grała, byli ulubieńcami ojca i matki. August III w Karolu przypominał sobie naturę ojca, Józefina pieściła Ksawerego, który był mniéj śmiały i posłuszny.

Obaj królewicze również jak król znękani byli i upokorzeni wygnaniem ze stolicy, przymusem tym, który Brühl jako chwilowy tłómaczył i wiodący do niezawodnego tryumfu.

Król spędzał tu dni, które mu się długiemi nad miarę wydawały; pozbawionym był wszystkich swych zwykłych rozrywek, opery, strzelania, myśliwstwa, galeryi obrazów, towarzystwa ojca Guariniego i tego życia zegarkowego, do którego był nawykły.

Pomimo listów, które mu do podpisywania dawano, mimo wygnania tego do Pirny, August III niewiele wiedział, co się z nim i dokoła niego działo. Minister malował mu to w barwach świetnych jako chwilową nieprzyjemność tylko, która się długo przeciągnąć nie mogła.

Dwunastego września, król po obiedzie siedział z fajką w szlafroku w izbie, na któréj kominie palił się ogień jasny. Jeden z jego błaznów, gdyż drugi chory w Dreznie pozostał, siedział skulony w kątku, pilnując ogniska Przeze drzwi nawpół naprędce grubą portyerą przysłonionych, widać było w sąsiednim pokoju gromadkę dworskich i wojskowych. Cisza panowała około domostwa, przed którém chodziły straże. Królewicze oba wyjechali z Rutowskim do obozu.

Blady, z twarzą znękaną i chmurną wszedł minister, napróżno usiłując ukryć w sobie doznane świeżo wrażenie. Właśnie przez szpiega odebrał od Globiga szczegółowy opis zajęcia Drezna, odbicia archiwum i rabunku własnego pałacu. Na licu jego, nienawykłém od dawna do gwałtownych wstrząśnień, znoszącém bez zmarszczenia powszednie życia bóle i zadraśnięcia, znać było przejście burzy, która po sobie zostawiła ślady zniszczenia. Oczy były wpadłe, usta ściśnięte, czoło przygarbione, a choć na chwilę odzyskując przytomność, przymuszał twarz, by wróciła do zwykłego spokoju, wnet roztargnienie i zapomnienie na siebie wykrzywiało ją gniewem i troską.

Przestępując jednak próg królewskiego pokoju, potarł dłonią po czole, jakby z niego chciał zmieść ślady smutków. Król odwrócił głowę; Brühl kłaniał się i uśmiechał.

— Brühl — odezwał się August III, wychodząc jakby z zamyślenia — Brühl, powiedz ty mnie, pókiż to tego będzie?

— Najjaśniejszy panie! — rzekł po namyśle minister — nie można nigdy dokładnie oznaczyć trwania takiego przesilenia. Jesteśmy w chwili, która decyduje o przekształceniu Europy, o przywróceniu Saksonii jéj dawnéj potęgi i blasku. To bez ofiar przejść nie może.

— Tak, tak — odezwał się król — to pewna; ale ten Fryderyk, ten Fryderyk, który sobie tak pozwala!...

— Rozpacz go ogarnęła, najjaśniejszy panie — odezwał się minister — potrzeba mu przebaczyć szaleństwo: to są ostatnie podrygi bezsilności.

— Dobrześ się wyraził — wtrącił król — uważałeś kiedy, gdy odyniec zabity i oszczep mu w bok pakują, jak się rzuca, jak kłapie zębami; ale to nic nie pomoże.

— Ani Fryderykowi też jego zuchwalstwo, za które opłacić musi. Cesarzowa się postara, aby go ogłoszono wywołańcem, całe Niemcy pójdą nań, Francya, Rosya, Austrya, my, Szwecya. Jakże się potrafi obronić?

— Tak, to prawda, Brühl — rzekł król — ale dlaczegóż ja muszę siedzićć w Pirnie? Patrzaj, jak tu paskudnie, pfe i nudno. Ja do takiéj dziury nie nawyklem.

— A! Najjaśniejszy panie, nikogo to tak nie boli, jak mnie— zawołał minister — mnie najwierniejszego sługę waszéj królewskiéj mości, któryby gotów wylać krew swoję, aby panu najdroższemu jednę minutę przykrości oszczędzić. Niestety! są takie wypadki.

— Słuchaj, ale w tym lesie — odezwał się król — tam na brzegu przeciwnym, tam są świnie dzikie: słowo ci daję. Gdyby można zapolować!

Brühl się zamyślił.

— Będziemy się starali polowanie urządzić.

— A co z Drezna? były tam jakie wiadomości? Nie przywieźli dla mnie moich myśliwskich przyborów?

Minister westchnął i spuścił głowę.

— Najjaśniejszy panie, zdaje mi się, że Prusacy chwilowo zajęli Drezno.

August III fajkę rzucił o ziemię, po którą zaraz paź przybiegł, i krzyknął:

— Odważył się...

— To rozpacz go prowadzi, najjaśniejszy panie.

— No, patrzaj-że! byle mi moich obrazów nie pokonfiskował. Człowiek w rozpaczy i na to gotów.

— O obrazy się nie lękam, gorzéj — szepnął Brühl — żeśmy archiwum wywieźć nie mieli czasu.

Król ręką machnął.

Zdawało się go to mniéj obchodzić niż obrazy.

— To szczęście — rzekł — że ja tę Magdalenę Corregia zabrałem z sobą. Wszak jest tu z nami?

— Jest, najjaśniejszy panie, upakowana doskonale: Heinecken kazał na nią zrobić pudełko.

Zamyślił się mocno August, i dodał cicho:

— On ciebie bardzo nie lubi — rzekł — bardzo zły na ciebie; jeżeli już weszli do Drezna, no to oni tobie szkody narobią więcéj niż mnie. Biedny Brühl!

Westchnął minister.

— Najjaśniejszy panie, z pałacu mojego już pozostała ruina tylko.

Król ręce załamał.

— To barbarzyńca! Dla niego nic świętego niéma! To bezbożnik! A! co za szczęście, żem zabrał Magdalenę Corregia, bo na majestat Rafaela, tak jak na majestat królewski porwać się nie będzie śmiał. Mówisz, że ci pałac splądrowali. A galeryę?

— Bosza ją wykupił, zapłaciwszy dziesięć tysięcy talarów.

— Ja ci to powrócę, Brühl — rzekł król wzdychając—ja wiem, że ty to cierpisz dla mnie. Niech tylko tego pyszałka zgniotę...

Łzy zakręciły się w oczach króla, który powoli poszukał fotelu za sobą, siadł, podparł się na ręku i odezwał tęsknie:

— Masz słuszność; kiedy tak, to na te dzikie świnie polować nie wypada, póki Prusaków się nie pozbędziemy.

I była chwila milczenia.

— To nam tu w téj głupiéj Pirnie gotowo wszystkiego zabraknąć — dodał król.

— Najjaśniejszy panie! — mojém zdaniem — odezwał się minister — zdrowie i spokój waszéj królewskiéj mości droższe są nad wszystko. Kraj się podźwignie po tych klęskach, byle pańskie na tém nie szwankowało szczęście i należne mu zaspokojenie potrzeb ciała i ducha. Wkrótce ma się rozpocząć sejm w Warszawie; gdyby nawet Prusacy nie byli weszli do Saksonii, zawszebyśmy byli zmuszeni wybrać się do Polski.

— Tak, tak — rzekł król — mieliśmy polować na niedźwiedzie i łosie.

— Dlaczegóżbyśmy teraz zaraz nie udali się tam? Przesilenie — mówił Brühl — trwać długo nie może: najjaśniejszy pan nie potrzebujesz tu być osobą swoją. Możnaby udać się do Warszawy i tam oczekiwać rychłego rozwiązania sprawy.

— Którędy? — zapytał król — hę? a gdzież ja teraz sto trzydzieści koni znajdę na przeprzęgi?

— Zdaje mi się, że król Fryderyk, przez Szlązk i Wrocław drogi dopuści: nie będzie śmiał zatrzymywać króla polskiego.

— Masz słuszność — odparł August — jednakże, hm? jeśliby Austryacy nam w pomoc zaraz przyszli, a nasze 30,000 żołnierza połączyły się z niemi, żebyśmy tego najezdnika ścisnęli i wrzucili do Elby, a mogli w przyszłym tygodniu powrócić do Drezna? Królowa musi być bardzo niespokojna, hm?

Brühl westchnął, nic nie umiejąc odpowiedzieć na tak zuchwałe żądanie. Nie śmiał téż całéj prawdy oznajmić królowi, zwykłym będąc do oszczędzania mu zmartwienia i ukrywania jéj połowy, ażeby zarazem zmniejszyć winę swoję.

August III kazał sobie podać fajkę, palił ją i wzdychał ciężko. Niekiedy coś do siebie pomrukiwał niezrozumiałego.

Wtém w przedpokoju głośne dało się słyszeć stąpanie. Brühl przestraszony żywo pobiegł ku drzwiom, w których pokazała się chmurna twarz gienerała Rutowskiego.

— Gienerale! — szepnął mu — na miłość bożą, nic nie mówcie królowi.

— Ale dosyć już tego! — zawołał stłumionym głosem Rutowski. — Nie pora...

To mówiąc zlekka odtrącił ministra i żywym krokiem zbliżył się do Augusta III, który go witał uśmiechem. Rutowski był, mimo uszanowania, jakie okazywał Augustowi, dosyć poufale z bratem.

— Najjaśniejszy panie! — odezwał się — hrabia musiał już choć część złych nowin z Drezna udzielić. Wiadomości są złe, są szkaradne. Prusacy zajęli Drezno; Fryderyk odbił archiwum...

— Wiem — rzekł król — wiem, i zrabowali tego nieszczęśliwego Brühla, wszystkie te śliczności, z których byłem dumny.

— Ale co za zuchwalstwo, targnąć się na królowę! — zawołał Rutowski.

Brühl zapóźno dotknął ręki gienerała, aby go powstrzymać;

może też niby to nie pomogło. August za głowę, a raczéj za perukę chwycił się, obejrzał dokoła i rzucił ku Rutowskiemu.

— Na królowę! — zawołał — jak to być może?

— Królowa osobą swą chciała bronić wnijścia do archiwum. Z rozkazu Fryderyka żołnierze ją porwali i odprowadzili... Śmieli targnąć się na majestat...

Zakrył król oczy i płakać począł; Brühl ukląkł przed nim.

— Najjaśniejszy panie! pomścimy się téj zniewagi... niech się wasza królewska mość nie gryzie, a szanuje swoje zdrowie...

Rutowski niespokojny przeszedł się krokiem żołnierskim po pokoju.

— Dla wojska niéma żywności! — zawołał — nie starczy nam sił, aby obsadzić przejścia wszystkie... któż wie, co się stać jeszcze może...

Brühl przyskoczył od króla do gienerała.

— Na miłość bożą, nie malujcież nam tak czarno położenia! Za dni kilka połączymy się z gienerałem Bourem... Na to długiego czasu nie trzeba.

Rutowski ramionami ruszył...

August milczał zatopiony w sobie.

— Barbarzyńca! — powtórzył pocichu — dziki człowiek! Brühl, napisz do niego list... silny... ja go natychmiast podpiszę. Niech Bellegarde jedzie, albo ktokolwiekbądź.

— List! jemuby kulę nie list posłać trzeba — rzekł Rutowski — toby jedno poskutkowało.

Szczęściem jakoś nadeszła chwila podwieczorku; król ruszył milczący spełnić ten obowiązek i rozmowa się przerwała. Rutowski po kilka razy wtrącał jakieś słowo, ale August udawał, że nie słyszy i nie odpowiadał.

Dosyć długo potém minister przy królu pozostał, sam-na-sam z nim, pocieszając go umiejętnie, tak, że gdy nadeszła snu godzina, August III po wieczorném winie, zwaném „Schlaftrunkiem“ prawie uspokojony poszedł za kotarę.

Brühl ustawiwszy straże wysunął się do sąsiedniego domu. Dano mu znać w progu, że posłaniec od żony czekał z Drezna. Był to przebrany włoch Rotti, używany do posług różnych, zręczny, przebiegły, śmiały i gotów na wszystko dla hrabiny, któréj był ulubionym sługą. Ażeby wydobyć się z Drezna, musiał przywdziać łachmany rybacze, w których go poznać było trudno: piękny i w sile wieku mężczyzna wydawał się prawie starym.

Brühl ze świecą musiał przystąpić blizko, aby być pewnym, iż on jest nie kto inny.

Rotti miał na plecach nalepiony plaster, pod którym było pismo hrabiny. Nie listem, ale rodzajem dziennika nazwać je było można. Godzina po godzinie zdawała sprawę w wyrazach krótkich, suchych, z tego co się w mieście działo. Dyaryusz ten mimo swéj zwięzłości, choć nie zawierał jednego wyrazu narzekania, choć zdawał się pisany z krwią zimną protokólisty, przejmował jakąś zgrozą. Brühl czytając go, bladł, rumienił się i wstrząsał, gryzł wargi, wreszcie rzucił go na stół i twarzą ku stojącemu obrócił.

— Mów! — rzekł.

Rotti ręce roztworzył, głowę zwiesił, ramiona podniósł.

— Przepadło wszystko — rzekł — oni tam panują! Pałac zburzyli ze szczętem, zrabowali; zabrali, co zabrać było można, czego wziąć niepodobna, zniszczyli. Król sam był tam w czasie rabunku.

— To nic — przerwał Brühl zimno. — Ha! zwierciadła i porcelana kupują się za pieniądze. Co więcéj?

— Archiwum — rzekł Rotti stłumionym głosem.

— To wiem — odezwał się minister — co więcéj?

— Kassy zabrano wszystkie, ministrom zapowiedziano uwolnienie.

Brühl się uśmiechnął.

— Ale ich nie wypędzono?

— Nie. Wasza ekscelencya mieć będzie pewnie od hrabiego Loss osobną wiadomość.

— Teatr i aktorowie rozpuszczeni! — dodał Rotti. Sam widziałem Hessego; wybiera się do Włoch napowrót: drudzy jeszcze nie wiedzą, co zrobią ze sobą.

— Powiedz im, niech poczekają trochę — szepnął Brühl — gospodarstwo to nie potrwa długo; przyjdziemy z Austryakami do Drezna, i wygonim tych intruzów.

Rotti westchnął.

— Oni bo się tam rozsiadają na dobre — rzekł. — Słyszałem, że posłano do Magdeburga i Elbą mają sprowadzić, kto ich wie, mówią dwieście piećdziesiąt dział żelaznych, dla obsadzenia murów i wałów: snać się chyba bronić myślą.

— To plotki — rzekł — wszystko wam w oczach rośnie.

Rotti zamilkł.

— Kiedy powracasz do Drezna? — zapytał po namyśle.

— Gdy mi wasza ekscelencya każe i gdy będzie podobna się dostać jakkolwiek do niego, bo teraz ani wydobyć się, ani dobić niełatwo. — To mówiąc westchnął. — Boże! — dodał — ktoby się był takich na nas losów spodziewał?

Brühl ręce złożywszy, oczy podniósł ku niebu pobożnie.

— I my i losy nasze w rękach bożych: modlić się trzeba, aby nam Opatrzność pomoc zesłała.

Zbudowany tém wielce pobożny Włoch westchnął także całą piersią, ale już usposobienie ministra się zmieniło; myślał snać o czém inném, zbliżył się do Włocha i, rękę położywszy mu na ramieniu, szeptać począł:

— Mój Rotti, musisz wziąć z sobą kartki do hrabiny i do Globiga; ale pamiętaj, jeśliby cię schwytano, połknij je a nie daj im w ręce: idzie o twe życie, o króla, o mnie...

— Nie bójcie się — odparł Włoch — pisma rąk dojdą, choćbym ja miał zginąć!

XIV.

W dolnéj izbie sklepionéj, na królewskim zamku w Dreźnie, od któréj jedno kraciaste okno, oddawna ręką ludzką nietknięte, z nieprzezroczystemi szybami, wychodziło na dziedziniec, o wieczornéj godzinie znajdowało się osób kilka, potajemnie tu zgromadzonych. Jedna świeca paliła się na przymurku, mówiono pocichu... u drzwi stały straże... oglądano się niespokojnie za najmniejszym szelestem. Przy świetle słabém, które rzucała woskowa świeca w ciężkim srebrnym osadzona lichtarzu, chwilowo tu przyniesiona, trudno było twarze osób rozpoznać. Izba znać oddawna za skład niepotrzebnych sprzętów służąca, zaniedbana, brudna, ze sklepieniem okopconém, przedstawiała się jakby więzienie, smutną i opuszczoną. Stół przy ścianie, kilka prostych stołków, w kątach resztki niedopalonych pochodni i drągi jakieś czarne, na kamiennéj posadzce ciemne wałki jakichś starych opon i płócien rudych... powiązanych sznurami... składały wszystek sprzęt téj kryjówki, o któréj w zamku nawet mało kto wiedział. Miała ona niegdyś różne przeznaczenia za przeszłych kurfirstów i pocichu opowiadano o niéj krwawe i straszne dzieje. Od Augusta Mocnego, a szczególniéj za jego syna, służyła tylko stróżom zamkowym na skład łomu, którego wyrzucić nie chciano, a chować staranniéj nie było warto. Dwoje drzwi, jedne od dziedzińca zawsze zatarasowane, drugie od wnętrza i sieni, do któréj schodów kilka schodziło, dozwalały przemknąć się tu niepostrzeżenie. Dlatego może tego wieczora zebrały się tu osoby, które ani widziane, ani podsłuchane być nie chciały...

W jednéj z nich łatwo poznać było hrabinę Brühlową, która postawą dumną i głową podniesioną zdawała się tu dowodzić i rozkazywać. Drugim był baron Spörken... w téj chwili widocznie niespokojny, podrażniony, ciągle oczyma biegnący ku drzwiom, z nachmurzoném czołem i brwią nawisłą.

Obok niego stał drżący i blady kawaler de Simonis, zdający się tylko przymuszonym świadkiem narady, czyniącéj na nim wrażenie przerażające. Tarł niekiedy ręce i perukę, przestępował z nogi na nogę, zakładał dłonie na plecy, chował je po kieszeniach, nie wiedząc, co z sobą zrobić i z niemi.

Naostatek opodal nieco widać było nieznajomą jakąś postać, z twarzą wyschłą i pomarszczoną, choć nie starą, z biegającemi oczyma, ale wyrazem zaciętości w ustach i całéj fizyognomii, stojącą jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Człowiek ten ubiorem stanu nie zdradzał, odziany był suknią widocznie dla niepoznaki włożoną, która do niego niedobrze przystawała, a na wierzch zarzucony miał płaszcz gruby podróżny.

Hrabina Brühlowa, gienerał Spörken i biernie tylko posługujący im Simonis naradzali się jeszcze pocichu. Po krótkich szeptach, hrabina wystąpiła naprzód i zbliżyła się do oczekującego.

— Panie Glasau! — rzekła pocichu.

— Po co wymawiać moje nazwisko — opryskliwie przerwał stojący — po co? to do niczego niepotrzebne.

— Waćpan jesteś Sasem, byłeś nim przynajmniéj; zachowałeś pamięć o tém: chcesz służyć królowi?

Glasau głową tylko skinął na znak zgody.

Brühlowa posunęła się kilka kroków daléj, prowadząc go za sobą w ciemny kąt izby, gdzie ani Spörken, ani Simonis słyszéć rozmowy nie mogli.

— Jesteś przy królu?

— Tak: jest nas kamerdynerów kilku.

— Ciągle przy nim?

— A, i tu i w obozie, nieodstępnie — rzekł Glasau.— Uszy moje i plecy o tém świadczą...

Tu westchnął.

— Gotów waćpan jesteś na wszystko?

— Mówmy-no o warunkach — przerwał Glasau — ja duszy gubić nie mogę za darmo. Prawda, że król śmieje się i powiada, iż duszy człowiek nie ma, a no témbardziéj ciała na męczarnie i zgubę nie myślę dawać.

— Przecież niéma niebezpieczeństwa?

Glasau się uśmiechnął.

— Z nim? z nim? ale to człowiek, co wszystko najgorsze zgadnie, bo sam do wszystkiego i najgorszego gotów. Cóż mi dacie? — zapytał — co mi dacie?

— Co chcesz?

— Wiele chcę, wiele; a czegóż ode mnie żądacie?

— Musimy wiedzieć, kiedyby go pochwycić było można. Często się z kilku ludźmi oddala i puszcza po nocach; przewodnik mógłby go wprowadzić w zasadzkę...

— Tak, zuchwały jest; to prawda — rzekł Glasau i opuścił głowę.

— Toby było najlepszém — dodała hrabina.

— A cóżby było najgorszém?... — bąknął nie patrząc jéj w oczy Glasau.

— Gdyby, gdyby — szepnęła pocichu Brühlowa — waćpan rozumiesz... biały proszek... w czekoladzie...

Ostatnie słowa wymówiła prawie niedosłyszanym głosem: Glasau głową potrząsł, ale się nie uląkł wcale.

— Prawda, że ja mu noszę rano czekoladę — rzekł — ale ją czasem wprzódy pies wypije, nim się on do niéj zbierze, a takby się wydało.

Szept niedosłyszany trwał jeszcze minut kilka. Glasau się zdawał targować.

— Nie, nie — rzekł w końcu — ja go wam dam żywego w ręce, tak będzie lepiéj.

I zawsze rozmawiała z nim Brühlowa, aż kazała przystąpić Simonisowi.

— Przypatrz się temu panu — rzekła — zapamiętaj jego rysy; ani ja, ani baron nie będziemy mogli inaczéj komunikować się z wami jak przez niego.

Glasau podniósł oczy.

— To licha warto — rzekł — albo ja lub ów się omylić może, oczom wierzyć niebezpiecznie. Trzeba się umówić o znaki.

To mówiąc, szybko począł ukazywać ręką Simonisowi, jak go ma witać, ile z kolei palców rozłożyć.

— Jednego znaku mało — rzekł — mógłby być przypadek: trzy ledwie starczą.

Kawaler de Simonis znajdował się biernie, nie biorąc zbyt żywego udziału w umowie. Oczy hrabiny biegały po obu.

— Tak — dodał Glasau — już my się zrozumiemy.

Brühlowa dobyła rulon z worka, który miała przy sobie i wcisnęła mu go w ręce, szepcząc coś jeszcze pocichu; Glasau się skłonił i pośpiesznie ku drzwiom skierował.

— Znajdziecie tam tego, co was tu przyprowadził — pośpiesznie biegnąc rzekł baron — ten was téż na bezpieczne miejsce dostawi.

Glasau już brał za klamkę, generał wywiódł go do sieni i powrócił. Brühlowa zbliżyła się do Simonisa:

— Za waćpana ręczyła mi baronówna — rzekła zcicha — chociaż zdaje mi się, że na was było posądzenie, żeście z Berlinem korespondowali. Znaleziono listy.

— Ja się ich nie zapieram — odpowiedział Simonis — było to wprzódy, nim panna Nostitz podjęła się i dokonała mojego nawrócenia.

— Ale cóż nam ręczy za jego szczerość?

— Pani hrabino — odezwał się spuszczając oczy Simonis — moją poręką jest baronówna, a jeśli mam otwarcie wyznać, mój własny interes. Gdzież większe szczęście spotkać mnie może?

Brühlowa uśmiechnęła się szydersko i poruszyła ramionami nieznacznie.

— Waćpanu Nostitzówna rękę swoję przyrzekła? — zapytała.

Simonis ukłonił się milcząco.

— Tak, tego panu powinszować można — dodała — będziesz miał wielu przyjaciół, bo baronównie na wielbicielach nie zbywa.

Rzuciwszy ten sarkazm dojmujący, Brühlowa poparła go wejrzeniem czarnych oczów, które mimo katastrof tylu zalotnemi i wyzywającemi być nie zapomniały.

— Baronie Spörken—rzekła, obracając się do niego z kolei — cóż mówicie o tym człowieku?

— Ja go sam nastręczyłem—odparł baron — więc inaczéj jak dobrze mówić o nim nie mogę. Jakie wrażenie uczynił na waszéj ekscelencyi?

— Człowieka, który na wszystko gotów, ale za dobrą zapłatą; nie zaręczyłabym jednak, ażeby w chwili czynu się nie uląkł i nie cofnął.

— Nie sądzę — zawołał Spörken — na nieby mu się to nie zdało... kto mówi *a*, ten musi *b* powiedzieć... Raz wzięty w ręce, nie ucieczе nam... Jak tylko przyjął pieniądze... przyszedł tu...

Brühlowa potakująco skinęła głową, palec położyła na ustach... i zdawała się przysłuchiwać krokom, które słychać było w sieniach. Spörken żywo przysunął się do drzwi, wszyscy zamilkli i czekali. Kroki i szmer powoli w oddaleniu słabły, wkrótce znowu nastąpiło milczenie.

Brühlowa narzuciła zasłonę na głowę i poprosiwszy ruchem ręki o otwarcie drzwi, wysunęła się pierwsza. Spörken został chwilę z Simonisem, z którym rozmawiał jeszcze pocichu. Wypuścił go potém, wskazując ręką schody... a sam wziąwszy świecę z przymurku, zamyślony wyszedł ostatni powoli.

Nie bez obawy widocznéj wyśliznął się Simonis z téj konferencyi tajemnéj i nie zachodząc do zamku, przez jednę z bram wysunął się zręcznie w ulicę, tu dopiéro swobodniéj oddychając; nierychło jednak przysłoniętą płaszczem twarz odkryć się ośmielił.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy posłyszał pozdrowienie, zdziwiony, że go pociemku poznano. Był to Masłowski, który wyrósł jakby z ziemi: Simonis drgnął zdziwiony nieprzyjemnie.

— Nie mogę pojąć, jakeś mnie waćpan mógł poznać po nocy— odezwał się, nie kryjąc zdumienia.

— A! — rzekł śmiejąc się wesoło Masłowski — najprzód my mamy kocie oczy, to rzecz wiadoma... w nocy widzimy doskonale, osobliwie kogo nam zobaczyć potrzeba; za to we dnie często nie dojrzymy, gdy nam kto zawadza. Powtóre, waćpan wiesz, kawalerze Simonis, my jesteśmy serdeczni przyjaciele, sympatya!

— Aha! — zawołał Simonis — ale ja byłbym waćpana minął nie poznawszy.

— Sympatyi dla mnie nie masz — odezwał się Masłowski, bez ceremonii biorąc go pod rękę. — No, a wolno wiedzieć skąd? z zamku?

— Jakto z zamku?

— Nic, myślałem tylko.

— Cóżbym tam robił?

— No, podejrzywam waszmości zawsze o miłość dla frejliny, a ona tam przy królowéj.

— Dla mnie niedostępna.

— Dla mnie téż — westchnął z przesadą Masłowski — jedne mamy losy, jedno cierpienie, jedne uczucia; musimy być przyjaciółmi. Różni nas tylko, że waćpan kochasz Prusaka... a ja...

— Sasów? — spytał Simonis.

— A gdzie tam! ktoby mógł jakiegokolwiek Niemca kochać! Niemkę... to co innego — zaczął wesoło Masłowski. — Ale powiedzże ty mi szczerze, po przyjacielsku, ja cię nie zdradzę; na czém stanęło? czy zawarłeś alians z Prusakiem, czy z Austryą i Saksonią?

Simonis pytanie w śmiech obrócił...

— Myślę, że masz do Prusaka słabość — dodał Masłowski — no, no, co komu do gustu... Mnie się tak zdaleka patrząc w ulicy na tego kaprala zdaje, że musi śmierdzieć, a ja mam powonienie nader drażliwe.

Simonis nie chciał się zdradzić, Masłowski niemiłosiernie go męczył.

— Przyjacielu mój! — dodał — nie rozumiem, jak pogodzisz miłość dla baronówny z miłością dla króla Fryderyka. Dla logiki będziesz musiał się w staréj Nostitzowéj zakochać, a to podobno trudno.

Kawaler milczał, szli tak daléj ciemną ulicą, Simonis aby się uwolnić od przyjaciela, skierował się milczący ku swojéj kamienicy. Masłowski go odprowadził aż do progu. Tu powiedzieli sobie dobranoc, Simonis wszedł szybko do domu i drzwi za sobą zamknął. Zamyślony wstępował na górę, gdy go znowu, jak niegdyś, Giertruda za rękaw pociągnęła, pokazując mu drzwi baronowéj. Nie spodziewając się już tu dnia tego zastać Pepity, mniéj chętnie posłuchał staréj sługi i wszedł na próg powoli.

Stara baronowa w boki się wziąwszy, co u niéj wielce szczęśliwe oznaczało usposobienie, chodziła po saloniku uśmiechając się do siebie. Spostrzegłszy Simonisa, dygnęła mu wesoło.

— Dobrze, żeś przyszedł, mam coś dla waćpana — rzekła.

I zbliżywszy się mu do ucha, szepnęła:

— Major Wangenheim czeka na waćpana na dole w pałacu Moszyńskich, ma ci coś do polecenia.

Simonis drgnął i zbladł.

— A tak! tak! misyę konfidencyonalną. Ja sama nastręczyłam mu waćpana. Możesz się teraz zasłużyć i dojść daleko. Proszę iść zaraz do niego, ażeby komu innemu tego nie powierzono.

Simonis, nie mogąc się poruszyć, stał wryty; położenie jego stawało się niewymownie przykrém. Jakkolwiekbądź, zdrajcą teraz musiał być, nie sługą. Dreszcz po nim przebiegł. Nieprędko zebrał się na słowo...

— Pani baronowo — odezwał się jąkając i nieśmiało — nieskończenie jéj jestem wdzięczen, ale prawdziwie mam obawę; nie jestem pewny, doświadczenia mi brak, nie wiem, czy potrafię sobie dać radę.

Pani Nostitz spojrzała nań urażona niemal.

— Przecież nie co innego ci dadzą do roboty, tylko to samo, z czém cię tu moja poczciwa de Camas wysłała... Być może, iż wypadnie się dostać do obozu do Pirny... ale cóż to znowu tak osobliwego: powiesz, że cię Brühlowa przysłała... To samo, że się tam dostaniesz, już zaufanie obudzi. Zdasz tylko raport z tego, coś widział i słyszał. Major Wangenheim czeka na waćpana! Trzeba iść i to zaraz.

Spojrzała na twarz nieszczęśliwego Simonisa i zawahała się widząc go tak straszliwie przelękłym, że ją litość nad nim wzięła. Roześmiała się jednak wkrótce.

— Nie wiedziałam, że z waćpana takie dziecko! — zawołała— ależ to w takich właśnie trudnych i zawiłych sprawach ludzie się dorabiają. Panu Bogu powinieneś dziękować i głowy nie tracić.

Simonis powiódł ręką po czole, na które kroplisty pot występował.

— Czy waćpan chcesz się tego podjąć, czy nie, to darmo —

dodała, napróżno wyczekawszy odpowiedzi. Trzeba iść do majora. Rozmówicie się z nim o tém.

Kawaler opamiętał się nareszcie; nie było środka... musiał być posłusznym.

W ulicy pożegnawszy go Masłowski, gdy się drzwi zamknęły, jak gdyby go przeczucie jakie zatrzymało, czy chętka szpiegowania Simonisa, odszedł wprawdzie powoli na stronę; lecz niebardzo potrzebując śpieszyć, chwilkę między kościołem a odwachem pozostał. Oddalił się zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy wśród ciszy nocnéj posłyszał skrzyp otwierających się drzwi i zwróciwszy głowę, dostrzegł przy świetle ogarka, którym stara Giertruda przyświecała wychodzącemu Simonisowi, iż ktoś wymknął się z kamienicy. Nie był wcale pewnym, iż to być miał Simonis, zatrzymał się jednak przytuliwszy do węgla ganku Frauenkirche, czekając, aż się zbliży idący.

O kilkanaście kroków z postawy i chodu poznał przyjaciela. Nie wysuwając się ze swéj kryjówki, dał mu ją pominąć, wyprzedzić się o dobry kawał drogi i ostrożnie poszedł za nim.

— Prawdziwe szczęście — rzekł w duchu. — Czekaj, ptaszku! wyprawa nocna jest mi mocno podejrzaną. Muszę wiedzieć przecie, dokąd o téj porze się wybrałeś.

Szedł więc nie spuszczając go z oka, unikając aby go niepostrzeżono. Pałac Moszyńskich stał naówczas wśród obszernego ogrodu, niemal za miastem, z widokiem niczém nieosłonionym na dalekie góry. Z samego kierunku drogi łatwo było odgadnąć cel, do którego prowadziła. Masłowski się wcale tego nie spodziewał; zawrzało w nim.

— Jeżeli zdrada się okaże, jutro go jak psa zastrzelę — zawołał do siebie. — Mniéj jednym takim jegomością na świecie, ludzkość na tém nic nie straci.

Simonis oglądał się pilnie dokoła, nim przypadł do żelaznych sztachet i bramy, która w ogród i do pałacu prowadziła. Tu stała warta i spytała go, do kogo idzie, Simonis szepnął, że ma polecenie stawić się u majora Wangenheima. Żołnierz służył mu za przewodnika. Masłowski pozostał zdala na czatach.

Major Wangenheim, młody i przystojny mężczyzna, pomimo spóźnionéj godziny siedział jeszcze w mundurze i przy szpadzie, gdy mu przychodzącego oznajmiono.

Spojrzawszy na niego, zamyślił się nieco.

— Pani baronowa Nostitz mnie przysyła — odezwał się Simonis.

— Tak — rzekł sucho major — wiem, waćpan byłeś trochę znajomym Brühlowi i jego dworowi.

— Bardzo mało...

— Mogłoby dla waćpana być ciekawém zobaczyć, co się tam w obozie dzieje?

Kawaler zmilczał.

— Mógłbyś waćpan zaofiarować hrabinie przeniesienie listu od niéj do męża, ale ten musiałby być mnie wprzódy zakomunikowany.

— Hrabina wątpię, by mi zaufała — odezwał się Simonis nieśmiało.

Wangenheim popatrzał na niego.

— Jedném słowem — rzekł — mój panie, masz ochotę przynieść nam wiadomość z obozu i zanieść tam do naszych znajomych pewne rozkazy.

Simonis zmilczał.

— Będę posłusznym, gdy mi to nakazaném zostanie — odezwał się — lecz nie kryję tego, iż mało mam wprawy i doświadczenia, i że na własną zręczność rachować nie mogę.

Major się rozśmiał wzgardliwie nieco.

— Zbytnia to skromność — odezwał się patrząc mu w oczy i badając go — w takich sprawach mało kto nabiera wprawy: ludzie się do tego rodzą. Krótko waćpanu powiem, ludzi nam braknie, potrzeba, abyś jutro się wybrał i jak najprędzéj powrócił.

Na dworze króla i Brühla jest dwóch ludzi, którym nieznacznie oddasz pan te dwa od ich żon listy. Nic w nich niéma... nie zrozumié ich nikt, oprócz nich. Będziesz się waćpan starać widzieć jak najwięcéj, dowiedzieć jak najdokładniéj, powrócić jak najprędzéj.

Major Wangenheim z pewną niecierpliwością, jak gdyby nie bardzo miłą dla siebie kończąc rozmowę, na listach, które złożył na stole, rzucił rulonik dukatów, i odstąpiwszy parę kroków, głowy skinieniem pożegnał Simonisa.

To złoto tak jawnie rzucone mu w oczy, z pewnym rodzajem pogardy, wywołało rumieniec na twarz Simonisa.

— Przepraszam pana majora — rzekł odsuwając rulon — mogę i muszę podjąć się służby dla jego królewskiéj mości, ale bez tego dodatku.

— Jakto? — zapytał major.

— Jeśli zasłużę na co, mogę być późniéj wynagrodzonym; nie należę do tych, którzy się najmują.

Major spojrzał mu w oczy i ruszył ramionami, nie zdawało go się to ani dziwić, ani rozczulać, jak gdyby do podobnych scen był przywykłym.

— To na koszta podróży — rzekł sucho — niepodobna, byś waćpan o swoich pieniądzach ja odbywał. — I dodał: — dobranoc!

Simonis wziął listy i znać nie chcąc się podać w podejrzenie, schował też rulon do kieszeni i wyszedł.

Noc była ciemna, gdy się znalazł za bramą z tak przykrém uczuciem niepewności jakiéjś, obrzydzenia, wstrętu, obawy, iż postąpiwszy kroków kilka, spytał się sam siebie, czyby nie najlepiéj było zabrawszy, co miał, powracać do Berna i szukać w pracy przyszłości.

Wspomnienie tylko pięknéj Pepity wstrzymało go może od tego kroku. Zbliżeniem się do niéj czuł się uszlachetnionym i nie chciał już wrócić na drogę tajemniczych, brudnych intryg, która mu teraz wstrętliwą była i upadlającą. Ale jakże się mógł wywikłać z téj sieci, w którą wpadł poczęści z własnéj winy. Zbliżał się już do miasta, gdyż pałacyk leżał naówczas za jego obrębem, gdy usłyszał półgłosem nuconą śpiewkę i z wielkiém podziwieniem a przestrachem spotkał Masłowskiego. Ten udał nadzwyczaj zdziwionego.

— A to rzecz szczególna! — zawołał — że my się téż nieustannie musimy z sobą spotykać? mamże uwierzyć oczom? Wszak waćpana odprowadziłem na spoczynek do domu, miałeś iść spać? Jakimże sposobem w téj stronie? Ktoby powiedział, żeś waćpan chodził dawać dobranoc królowi pruskiemu?

— A cóż wy tu robicie? — spytał Simonis.

— Ja? ale ja nie mając nic do roboty z profesyi, jestem włóczęgą — rozśmiał się Masłowski — szpieguję Prusaków. Wiesz, że to są jednak nie głupi ludzie. Jaki w nich rygor i ład... Ale mówże, skąd Pan Bóg prowadzi?

Simonis nie chcąc się zdradzić, musiał się namyślić, co powiedzieć.

— Przyznam się waćpanu — szepnął — awanturka kobieca.

— W téj stronie? za miastem? to chyba z dziewką jaką od ogrodnika, bo tu nic porządniejszego nie mieszka... Co mi mówisz, ale!...

Simonis umilkł.

— Wierz waćpan lub nie, jak chcesz...

— Przyjmże moję radę — dodał Masłowski — jako lepiéj oswojonego z Draznem: nie bardzo bezpiecznie w blizkości króla mieć *rendez-vous.* Fryderyk jest podejrzliwy, a rozstrzelanie u niego nic a nic nie kosztuje.

Spotkanie z Masłowskim, który go znowu przeprowadził aż do kamienicy, do reszty przybiło nieszczęśliwego Simonisa. Milczący wsunął się na swe trzecie piętro, pożegnawszy szydzącego i natrętnego Polaka. Paliły go listy, które miał od Wangenheima, niepokój niewysłowiony oka mu zmrużyć nie dał. Ledwie doczekawszy poranku, zerwał się z łóżka i pobiegł do zamku. Cały dwór był jeszcze na mszy rannéj, gdy przyszedł; ukrył się więc w mieszkaniu barona Spörken; oczekując na baronównę, z którą się chciał zobaczyć. Paź miał jéj oznajmić, iż Simonis mówić z nią potrzebował. Po półgodzinném prawie oczekiwaniu piękna panna zjawiła się, tak jak była ubraną do kościoła. Spojrzała na Simonisa i zmieniona twarz jego nic jéj znać dobrego nie zwiastowała, gdyż niespokojnie zbliżyła się do niego.

— Co waćpanu jest? — zapytała.

— Osądzisz pani sama — odezwał się Simonis. Wczoraj zaledwie stąd wyszedlszy udałem się do baronowéj. Przywitała mnie tém, że powinienem był natychmiast udać się po rozkazy do majora Wangenheima. Późno w noc musiałem biedz do pałacu Moszyńskich, kazano mi z listami do obozu pod Pirnę, szpiegować.

Pepita słuchała z żywém zajęciem.

— Pani — zawołał Simonis — niéma w téj chwili pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka! Gdyby nie pani, uciekłbym stąd! Zważ pani położenie moje. Co mam począć? Zdradzić was nie mogę, zdradzić tamtych, to grozi śmiercią; ale mniejsza o śmierć: to grozi mi upodleniem, poniżeniem, którego od czasu, jak-em się zbliżył do was, znieść nie potrafię. To przechodzi siły moje, brzydziłbym się sobą!

Baronówna podała mu rękę w milczeniu zarumieniona.

— Mogę wam służyć, nie winienem nic i nie mam obowiązków żadnych względem króla; lecz w ten sposób, nie! nie zdołam!

Rękoma zakrył Simonis twarz.

— Co mam począć! co począć!

Baronówna stała zamyślona nie mówiąc słowa.

— Rozumiem — odezwała się głosem cichym — że są pewne granice, po-za które żadne poświęcenie nie sięga. Honoru się nie poświęca...

— Powiedzże mi pani, jak się mam ratować!

Baronówna przeszła się po pokoju.,.

— Wistocie, rzecz to do rozwiązania trudna; ja zamało mam doświadczenia, abym to potrafiła rozwiązać. Pan nam jesteś potrzebny. Gdybyś się ukrył na zamku, zamiast iść do obozu, mógłbyś się nam przydać tutaj; gdybyś do obozu się udawszy w nim pozostał, uszłoby to może za uwięzienie: król i Prusacy długo tu nie pobędą.

Z mowy niepewnéj baronówny znać było, że sama nie wiedziała, ani co mu ma radzić, ani co z nim począć; żywe tylko

rozdrażnienie malowało się na jéj twarzy. Narzędzie to, na które tak rachowała, z rąk się jéj wymykało.

Po namyśle pobiegła do drzwi i już biorąc za klamkę, ze spuszczoną głową, prawie nie patrząc na niego, rzekła prędko:

— Wybierz się pan, pożegnaj baronowę, przybądź tu, a naówczas zobaczymy, co uczynić wypadnie.

Simonis nie miał czasu jéj wstrzymać: zniknęła, poszedł więc i on spełnić dane rozkazy i napozór przygotować się do podróży. Domyślał się, iż Pepita musiała chcieć naradzić się z królową może, a z Brühlową pewnie, gdyż hrabina była główną sprężyną, około któréj obracały się wszystkie przeciw Prusakom wymierzone, dotąd bezsilne intrygi.

Maks jeszcze był nie powrócił na zamek, gdy po korytarzu przechadzający się, jakby dla zabawki Masłowski, czatował na baronównę. Lękając się, aby to polowanie zadługo nie trwało, pan Ksawery dał lokajowi *duser*, jak się to w języku dworskim zwało, i poprosił go o wywołanie frejliny: w innych czasach byłoby to niemożliwém, ale od czasu wnijścia Prusaków działy się na dworze nigdy niesłychane rzeczy.

Baronówna wyszła natychmiast.

— Przepraszam, żem panią śmiał fatygować — rzekł Masłowski — chciałem się opowiedzieć. Zdaje mi się, iż chwila nadeszła, w któréj mojego przyjaciela Simonisa wypada mi uczynić „nieszkodliwym". Wczorajszego wieczora powróciwszy stąd, chodził w nocy do króla Fryderyka. Zdrajcą jest...

— Nie, panie mój — odpowiedziała Pepita — nie; bo ja o tém wiem: iść tam musiał. Bądźcobądź, ja panu za jego czujność dziękuję serdecznie. Jesteś szlachetnym, jesteś zacnym.

Wyciągnęła mu rękę, a pan Ksawery pochwycił ją i namiętnie po polsku całować zaczął. Nie nawykła do takich gorących pocałunków, baronówna się zarumieniła, i rękę, jak oparzona wyrwać musiała.

— Byłbym go zadławił! — zawołał — gdyby panią śmiał pomyślić zdradzić; ale wié pani co, ja panią ubóstwiam, a jednak gdybyś mi tak, jak jemu na dwóch stołkach kazała siedzieć, darujesz, tegobym i dla niéj nie potrafił.

— Spodziewam się, że i on tego nie uczyni — szepnęła baronówna, biorąc sługę swojego w obronę.

— Ano, przepraszam, żem chcąc usłużyć, naprózno pannę baronównę niepotrzebnemi odwiedzinami memi niepokoił. Nie rozkaże mi pani nic? Zabić kogo? powiesić? udusić? dla pani gotów jestem!

Ton i wesołość, z jaką Masłowski mówił, w tak dziwnéj były

sprzeczności z usposobieniem na zamku panującém, iż baronówna z niejaką zazdrością spojrzała na młodego chłopaka, którego te sprawy tak mało obchodziły.

— Dziękuję panu — rzekła — i admiruję obojętność jego wśród tych nieszczęść, jakie nas spotykają. Pana to nic nie obchodzi?

— Ja-m tu zupełnie obcy, ja-m spektator, pani — zawołał Masłowski — a mam ten nieszczęśliwy nasz narodowy charakter, który nawet wśród najcięższych przygód własnych zmusza do wesołości. Tak nas Pan Bóg stworzył!

— Nie macie się skarżyć na co — westchnęła Pepita.

— Wesołość ta nie odejmuje nam przytomności — mówił Masłowski — a jęk i narzekanie na nic się nie zdały. Ma mi pani co do rozkazania?

Pepita się zawahała.

— A gdyby ważnego co było do zaniesienia do obozu? odważyłbyś się waćpan?

— W ustach zaniosę, co mi pani każe, papieru nie mogę: dystrakt jestem i gubię nawet własne pieniądze.

— Chwilkę pan poczekaj.

Baronówna znikła.

Masłowski zaczął już śpiewać, bo gdy nie mówił nic, świstał lub nucił, bezczynnym nie mogąc pozostać, gdy na korytarz wybiegł baron Spörken i szukać go zaczął oczyma. Obejrzał się, czy ich kto nie widzi, a potém wciągnął z sobą do pokoju.

— Możesz się pan dostać do obozu do Brühla?

— Jeżeli mnie Prusacy nie złapią.

— Ale właśnie trzeba się nie dać złapać...

— Nie mam najmniejszéj ochoty do tego, bo mówią, że kogokolwiek do wojska zdatnego pochwycą, natychmiast mu wdziewają mundur, a ja do pruskiéj służby się nie kwalifikuję.

— Idzie o to, aby zanieść ważne wiadomości.

— Ustnie? — dodał z przyciskiem Masłowski.

— Tak jest.

— Spróbuję: proszę o nie...

— Słowo, że ich nie wydasz? — spytał Spörken.

Masłowski się rozśmiał.

— Prusakom? a za kogóż mnie pan masz?

— Słowo?

— Najuroczystsze!

Spörken poprowadził go pod okno.

— Fryderyk albo już wyruszył z Drezna — rzekł — lub dziś czy jutro wyjdzie. Wiemy plan jego... Chce obóz nasz odciąć od

czeskiéj granicy i uniemożebnić połączenie się nasze z Austryakami. Odcięci, nie zasposobieni w żywność, nie mając jak garść ludzi, których codziennie choroby, dezercya, a nawet niedostatek żywności dziesiątkują, jesteśmy zgubieni. Potrzeba, ażeby Rutowski, jak skoro to będzie możliwém, wyruszył ku gienerałowi Wied, nim Fryderyk drogi obsadzi. Widzisz pan, że od tego ocalenie nasze zależy.

— Rozumiem — zawołał Masłowski — są sposoby wydobycia się z Drezna, spróbuję, czy też niéma środka dostania się do Pirny: zrobię, co będę mógł.

Żegnał się już, gdy weszła promieniejąca baronówna.

— Idziesz pan?

— Nie wiem, idę, czy jadę, czy płynę; ale to wiem — zawołał Masłowski — iż mnie to bardzo bawi i pilno mi puścić się na awantury.

Skłonił się, Pepita podała mu znowu, zapomniawszy się, rękę i zarumieniła się po pocałunku.

Masłowski biegł śpiewając po schodach, gdy zwolna ciągnącego ku górze Simonisa spotkał.

— Dosyć, że my we dwóch musimy, jak w kręglach kule, spotykać się z sobą. Tym razem żegnam was, kawalerze de Simonis, gdyż prawdopodobnie przez dni kilka nie będę miéć honoru...

— A waćpan dokąd?

— Na spacer! — zawołał kłaniając się Masłowski — adieu!

Przybywszy do Fuchsowéj i swojego mieszkania, pan Ksawery mocno się zamyślił, jak ma dokonać zamierzonéj podróży. Gospodyni była już z tego powodu przywiązaną do młodego wartogłowa, iż dosyć wiele był jéj dłużnym.

— Kochana Fuchsowa! — rzekł zawoławszy jéj Masłowski — boli mnie to nieskończenie, ale muszę cię pożegnać! służba służbą: Brühl w obozie i mnie do niego potrzeba.

Ręce załamując rzuciła się ku niemu gosposia.

— *Herr Jese!* to być nie może! ja pana nie puszczę... pan wiesz... ojciec mi waćpana oddał w opiekę.

— Daj ty mi pokój z opieką taką, kiedy koszule nawet nie pocerowane — odparł Masłowski — acani wiesz, że jak ja czego chcę, rozstąp się ziemio! musi być! Do Brühla się więc dostanę, ale powrócę zaraz; daję ci słowo, nie będę u niego siedział, jeżli mnie Prusacy nie powieszą! To od was zależy, pani Fuchsowa.

— Czyś waćpan oszalał?

— A tak jest, waćpani mi musisz dać kogoś, co mnie do Pirny zaprowadzi i odprowadzi nazad.

Strzepnęła rękoma wdowa, poczęły się targi ostre; lecz koniec

końców, ku wieczorowi ucichło i Masłowski przed zwierciadełkiem wąsy golił. Tych młodych wąsów, takich ślicznych, żal mu było, aż się na płacz zbierało.

Z jego pokoju i do jego pokoju wynoszono coś ciągle i wnoszono. Szeptano, biegano, naradzano się, a o mroku już zaszedł, przed dom wóz, na którym siedział stary Niemiec i stara baba W pośrodku było coś takiego, jakby łoże podróżne dla chorego wysłane. Masłowskiego wcale nie było widać, tylko z pomocą dziewczyny, zwlokła się chora kobieta, którą starannie położono i okryto, Fuchsowa stała we drzwiach zamyślona.

Wóz ruszył ku bramie do Pirny wiądącéj, ale wprzódy jeszcze zatrzymał się przed mieszkaniem komendanta Wylicha, w rynku, i stary Niemiec wszedł doń.

Nierychło jednak wrócił do wozu, na którym baba siedziała z dwoma żołnierzami. Ci obejrzeli chorą kobietę leżącą, która głowę podniosła i zaraz na posłanie opadła, i jeden z nich towarzyszył przy wozie jadącym do Pirnajskiéj bramy. Szczęściem zdążyli jeszcze w porę, nim capstrzyk odbębniono i wrota zamknięto. Żołnierz z rozkazu komendanta rozkazał przepuścić wóz i choć już mrok był znaczny, powlekli się powoli ku Pirnie. Na gościńcu, w dosyć znacznén oddaleniu od miasta stały porozstawiane pruskie czaty.

Wszystkie przybiegały do wozu łając, krzycząc i wstrzymując, dopóki im woźnica kartki komendanta nie pokazał.

Nakoniec późno w noc, straże pruskie znikły; nowy gościniec był pusty, żywéj na nim duszy: nawet z małych domków nade drogą ludzie pouciekali i te pustkami stały. Nade dniem już, ponieważ błoto, wiatr i konie chude pośpieszyć nie dozwalały, odezwało się *„wer da?“* saskie.

Woźnica drgnął, a chora kobieta porwała się z wozu tak, jak gdyby nigdy w życiu nie chorowała. Żołnierz stał na koniu z wykierowanym na jadących gardłaczem, lecz na bardzo wyrazistą z saskim akcentem odpowiedź woźnicy, wstrzymał się od nieprzyjaznych kroków. Chora kobieta domagała się, aby ich do gienerała Rutowskiego lub ministra Brühla prowadzono. Ponieważ patrol właśnie do Pirny powracał, wóz żołnierzem otoczony, powlókł się daléj. Tylko chora kobieta zupełnie się zmieniła i tak z żołnierzami rozprawiała raźnie jak najzdrowszy mężczyzna.

Był-to też wistocie pan Ksawery Masłowski, który tym dowcipnym sposobem bardzo wygodnie i bezpiecznie dostał się już na terytoryum zostające pod opieką wojska saskiego.

O godzinie ósméj rano, gdy Brühl jeszcze w szlafroku nad papierami siedział, niewiadomo czy odpowiedź króla pruskiego roz-

bierając, czy nowy list stylizując od Augusta III; oznajmiono mu, że paź jego Masłowski, przybyły z Drezna, mówić z nim pragnie.

Brühl niebardzo Masłowskiego lubił, więcéj instynktem jakimś niż z jakichbądź powodów. Nie miał wistocie przeciwko niemu nic, ale ile razy sobie w oczy spojrzeli, minister w nich coś takiego czytał, co mu się nie podobało. Masłowski nadto był śmiały. Dlatego czyniąc wybór mających mu towarzyszyć w podróży, pana Ksawerego zostawił w Dreźnie, nie przewidując jeszcze, iż wypadnie wprost z obozu udać się do Warszawy.

— Co waćpan tu robisz? — zawołał zdziwiony.

— Przynoszę waszéj ekscelencyi ukłon od pani hrabiny—rzekł spokojnie pan Ksawery — przybyłem z tém umyślnie.

— Kiedy? jak?

— W nocy, a jak, to trudno nawet opowiedzićć, dosyć żem cały, dzięki Bogu!

— Masz waćpan pismo jakie?

— Niech Bóg uchowa: mam ustne polecenia.

Tu obejrzał się pan Masłowski i dał do zrozumienia, iż pragnąłby mówić na osobności.

Brühl wprowadził go do małego pokoiku zastawionego szkatułkami różnych wielkości. Zawierały one tabakierki, zegarki, klejnoty, pierścienie, które na wszelki wypadek minister zabrał był z sobą. Ciasne stosunkowo mieszkanie wyciskało wielkiemu panu westchnienia i łzy niemal nad własnym losem. Nie miał więcéj nad dwadzieścia peruk z sobą i tyleż sukien, nie było przy nim więcéj nad dwudziestu ludzi do osobistéj posługi. Upokorzony był i znękany. Codziennie na modlitwie upominał się choć z pokorą, ale z pewnym naciskiem u Pana Boga o nagrodę za te ciężkie prywacye, które znosić był zmuszony dla chwały bożéj! Szczególniéj w obozie pod Pirną, Brühl nadzwyczaj był skruszonym i pobożnym. Widywano go po kilka razy na dzień klęczącym ze złożonemi rękoma pod krzyżem. Masłowski zdał mu sprawę ze swego poselstwa, Brühl słuchał jéj namarszczony, niekiedy głową okazując nieukontentowanie i zdziwienie, jak gdyby to wszystko uważał za widziadła imaginacyi; kilka razy wyrwało mu się:

— Ale gdzież zaś...

Wostatku jakby zapomniawszy się, że ze skromnym panem Masłowskim ma do czynienia, zawołał głośno:

— Co im się śni! Fryderyk wkrótce będzie musiał sam uciekać, gdy go zewsząd w kluby weźmiemy... tego banitę!

I ramionami ruszył.

Nie odprawiając Masłowskiego, posłał Brühl kartkę do gienerała Rutowskiego. Paź tymczasem poszedł spocząć z dawnemi towarzyszami, dopytującemi go ciekawie o Drezno.

Gdy Rutowski nadszedł, powołano go, aby powtórzył, z czém go gienerał Spörken wyprawił; słuchając téj powtórnéj relacyi, Brühl dawał oznaki zniecierpliwienia.

— Jakto? pan gienerał to przyjmujesz za dobrą monetę? — zawołał.

— Za jak najlepszą, a w każdym razie daleko szacowniejszą niż fałszywe pieniądze, któremi Fryderyk nas zalewa — odparł z uśmiechem smutnym Rutowski. — Niestety, nim się rzesza niemiecka zbierze, nim Francuzi wyciągną, nim wkroczą Rosyanie, nim Austryacy przyjdą... my padniemy ofiarą. Wojsko nie ma co jeść! W szpitalach w Pirnie leży półtora tysiąca chorych żołnierzy!

Brühl się zżymnął.

— Niéma wojny bez ofiar — zawołał — to darmo!

— Lękam się właśnie, by ofiary nie były daremne — odparł Rutowski.

— Cóż więc robić? — gniewnie, ale grzecznie spytał minister.

— Co najrychléj most dla przeprawy budować na Elbie i śpieszyć ku Peterswalde.

Brühl się skłonił.

— Nic nie mam przeciwko temu.

Rutowski jakby sobie coś przypomniał, zapytał Masłowskiego:

— Gdzie Fryderyk? w Dreźnie...

— Był na wyjezdném — odpowiedział paź. — Słyszałem też, iż z Magdeburga Elbą dwieście pięćdziesiąt dział żelaznych, dla obsadzenia wałów i murów, sprowadzić miano.

— Tém lepiéj — odezwał się minister — zostaną one dla nas.

Rutowski przeszedł się po pokoju i nie odpowiedział nic. Wyspowiadawszy się ze wszystkiego, co miał, Masłowski odszedł, dopraszając się tylko, ażeby mógł co rychléj powrócić. Zbyto go niewyraźną odpowiedzią. Około dziesiątéj przysłał Brühl, ażeby paź szedł z nim do króla; August III dowiedział się od Rutowskiego o jego przybyciu i sam go chciał o Drezno rozpytać.

Właśnie kapelan królewski odprawiał był mszę na przenośnym ołtarzu w pokoju króla i sprzęt kapliczny wynoszono, a August III, tylko co był powstał z klęcznika, gdy Masłowski został wprowadzony.

Minister dał mu wprzódy dokładną instrukcyę, co i jak miał mówić przed królem, oszczędzając niepotrzebnego zmartwienia. August popatrzał na wchodzącego i długo nie odzywał się wcale.

— Co się dzieje z teatrem? — spytał.

Brühl nie dał odpowiedzieć Masłowskiemu, skinął na niego groźno i sam począł:

— Właśnie oto powiada mi, iż całkiem fałszywie rozgłoszono, jakoby król pruski...

— Nazywaj go margrabią brandeburskim — przerwał król.

— Tak, najjaśniejszy panie, margrabia brandeburski nie rozpuścił teatru i artystów, ale oni sami oświadczyli, iż przez miłość dla waszéj królewskiéj mości, dla nikogo śpiewać i grać, przed nikim się popisywać nie chcą, dopóki król ich ubóstwiany do swéj stolicy nie wróci. Napróżno chciano ich zmuszać, różnie kuszono złotem: oparli się.

Król się uśmiechnął.

— *Bravi!* — zawołał — Bóg da, że im to nagrodzę; zobaczycie! powiedzcie im to.

— Dopiéro wskutek tego oporu — dokończył Brühl — pensye im odjęto.

— Każę im zaliczyć to wszystko...

— A hrabia Loss, a ministeryum nasze? — dodał król.

Masłowski nie miał czasu odezwać się, gdy minister rzekł żywo:

— Wszystko funkcyonuje w jak największym porządku: nie ośmielono się ich tknąć.

Król odchrząknął.

— Cóż się dzieje z galeryą? był w galeryi Fryderyk?

Na to pytanie Brühl nie umiał odpowiedzieć, ale nie sądził, ażeby niebezpieczeństwem groziło danie swobody Masłowskiemu.

— Najjaśniejszy panie! — odezwał się paź — wiem, że król, a raczéj margrabia brandeburski, kazał sobie galeryę otworzyć Heineckenowi.

August wstał trochę przelękły.

— Nic nie zginęło!

— Nic nie tknięto, nic...

— Bogu i świętym patronom niech będą dzięki! — westchnął August.

— A cóż mówił? co mówił?

— Heinecken powiada, że admirował bardzo.

— Jednak admirował, a nie wiesz co najbardziéj?

— Magdalenę Battoniego *).

Rozpromienioną twarz, dziwnie uśmiechniętą podniósł król do góry.

*) Historyczne.

— Nie przeczę, piękna jest, ale do Corregia!...

Nie dokończył, z politowaniem się uśmiechając ciągle...

— Znawca! znawca! — rzekł szydersko — Madonna Sykstyńska nic... Tycyan nic... Veronese nic... tylko Battoni. Margrabia brandeburski!...

— Samo nazwisko malarza, przypominając kij — odezwał się Brühl — musiało mu sympatyę margrabiego pozyskać.

Usłyszawszy to król, zaniósł się od śmiechu, ale wnet jak przestraszony tym wybuchem, usta sobie zatulił i rzekł:

— Pst! — grożąc Brühlowi.

Zaczął potém August pytać o królowę, o dzieci młodsze, o kościół, o księdza Guariniego, i naostatek o panią Brühlową.

Masłowski zapewnił, że wszyscy byli zdrowi; spytano, czy parku około pałacu Moszyńskich nie uszkodzono i o tém podobne fraszki.

Masłowski o mało się nie wygadał o działach jadących z Magdeburga, ale Brühl czémś inném mu przerwał. O piecach, wystawionych nad Elbą do wypieku chleba dla żołnierzy, król już wiedział, lękał się o zwierzyniec swój i o bażantarnie. Paź upewnił, iż dotąd były nietknięte. Nastąpiła kwestya o ogary myśliwskie, o które się August domagał, aby mu je tu w jakikolwiek sposób przysłać się starano.

— Co ja bez nich pocznę! ja jestem najnieszczęśliwszy — zawołał — póki ich miéć nie będę.

— Gdybyś wasza królewska mość chwilowo, dla sejmu przeniósł się do Warszawy — wtrącił Brühl — tambyśmy znaleźli psiarnię.

— Jaką psiarnię! — westchnął August. — Fleta, Akteona, Lutni, Sezostrysa tam miéć nie będę!

Brühl chcąc smutek ten rozerwać, z pogardą odezwał się o charcikach margrabi; ale to króla nie rozweseliło.

— Myśliwstwo warszawskie — dodał najjaśniejszy pan — nie wiele warte zapewne, lepsze niż nic; ale tam takich, jak ja, psów nie mają.

Minister zapewnił, iż podobnych nie było w całéj Europie, i że książę Richelieu za łaskę się domagał parę szczeniąt dla króla Ludwika.

To nieco rozjaśniło czoło pańskie. Masłowski stał ciągle w progu, bo jeszcze rzucano mu jakieś pytania, na które najczęściéj sam minister w imieniu jego fantazyjnie i niekoniecznie zgodnie z prawdą odpowiadał.

Długie badanie skończyło się nareszcie; Masłowski przypuszczonym został do pocałowania ręki królewskiéj i odszedł. W godzi-

nę potém Brühl go powołał do siebie i kazał mu oświadczyć w Dreznie, aby próbę tę od Boga zesłaną znoszono cierpliwie; że ona długo trwać nie może, a skończy się znamienitym tryumfem; iż wojska saskie wkrótce się z austryackiemi połączą i wygnają z kraju nieprzyjaciela: słowem, że wszystko szło zgodnie z planami jego, które musiały nieomylnie prowadzić Prusy do upadku, a Saksonię do potęgi i sławy!

XV.

Było to 14-go października 1756-go roku, w dniu, który żałobną pamięcią zapisał się w dziejach Augusta III. Zima zbliżała się, ale wojny przerwać nie mogła; z obu stron gromadziły się siły, poruszały oddziały i nieustanna walka na granicy prawie zawsze na korzyść Prusaków wychodziła.

Miesiąc upływał od czasu, gdyśmy w Pirnie króla widzieli; on i Brühl z całym dworem lękając się wpaść w ręce nie nieszanującego króla pruskiego, przenieśli się do Koenigsteinu, w którym tyle ofiar wprzódy lata powolnéj męczarni spędziło. U stóp twierdzy odegrywała się ostatnia scena pierwszego aktu tego dramatu, w dziejach zowiącego się siedmioletnią wojną.

Wkrótce po oznajmieniu gienerała Spörkena, iż wojska pruskie usiłować będą odciąć obóz od czeskiéj granicy, Fryderyk wistocie śmiałym marszem wystąpił pod Lowositz i pierwsze odniósł tam zwycięstwo.

Po niém był już prawie panem wojska saskiego, które nierychło zebrawszy się na zbudowanie mostu pod osłoną twierdzy w Koenigsteinie, przeszło go mglistą nocą z dnia 13 na 14 i znalazło się wycieńczone trzydniowym głodem, a więcéj niż czterotygodniową blokadą, w rękach oczekujących już na nie Prusaków. Nie pozostawało już nic nad zdanie się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela. Gienerał Rutowski ze swojemi 16,000 kapitulować musiał. Wszystkie wąwozy, drogi, przejścia zawczasu były obsadzone.

Pułki saskie, rade nierade, siłą wcielone zostały do armii Fryderyka, który nawet gwardyi Augusta uwolnić nie chciał, aby, jak mówił, drugi raz ją brać w niewolę nie był zmuszony. Oficerów tylko na słowo puszczono. Saksonia była bezsilną w rękach zdobywcy, który ze zwycięstwem łączył to nielitościwe, cyniczne szyderstwo, które go cechowało.

Z wierzchołka niezdobytéj twierdzy Brühl widziéć mógł zastęp ostatnich obrońców kraju, który jego winą wpadł w ręce nieprzyjaciela, składających broń i wdziewających sinoczerwone barwy pruskie. Królowi i teraz jeszcze, wraz z Brühlem, którego imienia Fryderyk wymówić ani napisać nigdy nie chciał, ofiarowano paszporty do Polski, dodając przestrogę, iż się przecież na sejm wypadało pośpieszyć.

W tak rozpaczliwém położeniu, do którego przywiódł Saksonię zarozumiały a słaby minister, umiał on jeszcze Augusta III-go pocieszać tém, iż zwycięstwo pozorne Prusaków krótko trwać miało. Lada chwila sprzymierzeni wszyscy runąć musieli i obalić miotającego się rozpaczliwie Fryderyka. August III wzdychał, a pocichu przypominał, że najlepsza pora jesienna do polowania bezpowrotnie przepadła. Saksonię odzyskać było można, ale nie stracone łowy! Na Koenigsteinie też smutne było życie: te mury, do których tyle westchnień i jęków przylgnęło, zdawały się rozpacz i smutek wyziewać.

Tegoż dnia 14 października, po mglistéj nocy, w chłodny poranek, kwatera króla Fryderyka znajdowała się w małéj wioszczynie u stóp góry niedaleko Lilienstein. Feldmarszałek Keith, któremu poleconém było spisanie kapitulacyi, zajmował obszerniejsze nieco domostwo; król swym obyczajem, z pewną ostentacyą surowego żołnierza mieścił się w ciasnym domku, w którym żadnych wygód nie było. Z téj izdebki nagiéj dyktował on rozkazy i rozporządzał zabranemi kilkunastu tysiącami niewolnika, który wojsko jego miał zwiększyć. Rozesławszy gienerałów, z jednym majorem Wangenheimem na dyżurze, naprzeciw rozpalonego ognia na kominie siedział Fryderyk zamyślony, trzymając na kolanach ulubioną charcicę. Na prostym stoliku leżało kilka książek i kilka kart atramentem poplamionych, obok nich na talerzu stały jabłka i gruszki, które król przez cały dzień jadł chętnie. Kilkunastu żołnierzy składało straż całą. Milczenie panowało w domku, do którego niekiedy wpadali adjutanci po rozkazy i zbyci kilku słowami, natychmiast do kwatery feldmarszałka wracali.

W tym człowieku zmęczonym, okrytym ladajakim mundurem, zbłoconym i opylonym, którego twarz więcéj przebiegłości i energii, niż gieniuszu zdradzała, trudno było poznać króla i wodza. Nie w nim nie było dla oka ludzkiego, dla opanowania ludzi i olśnienia ich wielkością; w stroju i postawie odbijał się charakter pogardzający człowiekiem i świadomy tego jednego, iż siłą na nim wszystko wymódz można. Z okien tego domku i izby widać było w oddaleniu majestatyczny, wspięty na skale Koenigstein. Oko Fryderyka zwracało się czasem na te mury, nie zatrzymując się na nich długo: uśmiech naówczas przebiegał usta.

Na ten dzień dosyć długo czekał, dość się nad nim napraco-

wał zwycięzca, a jednak rozpromienienia twarzy widać nie było, raczéj troskę i zamyślenie. Dla innych był to krok stanowczy, on widział, iż wojna zaledwie była rozpoczętą, świetnie wprawdzie; lecz ileż razy wiele obiecujący początek zawodem się kończy?

Wangenheim wszedł powoli.

Fryderyk twarz ku niemu obrócił.

— Gienerał Bellegarde z listem króla polskiego...

Skinął, aby go proszono.

Słusznego wzrostu, piękny mężczyzna, w mundurze, z twarzą smutną wszedł na próg i skłonił się przed Fryderykiem.

— Dzień dobry gienerałowi, jak się on ma?... z czémże tam?...

Bellegarde długo się wahał, nim usta otworzył.

— Jeśli on chce ode mnie jakiéjkolwiek ulgi w kapitulacyi, to napróżno — odezwał się Fryderyk. — Nie mogę. Jestem do tego zmuszony, co czynię: często mimowoli, z musu...

— Jednakże gwardya, najjaśniejszy panie! — odezwał się Bellegarde.

— Poco mu gwardya? Niech jedzie do Warszawy, tam ma pospolite ruszenie panów „nie pozwalam“... Nie ma tu czego siedzieć... Wasz minister, którego imię gdybym ja wymówił, ustaby mi splamiło; wasz to minister na mnie naszczuł Europę całą; a jednak tego szacownego półgłówka puszczam wolno, ażeby się król w drodze nie nudził. Dam mu paszporty, niech rusza i poluje!

Bellegarde stał poważny, na rozmowę w tym tonie nie znajdując odpowiedzi.

Fryderyk spojrzał na niego.

— Powiedz, gienerale, królowi, że go szanuję, że mu dobrze życzę, ale sobie jeszcze lepiéj. Trudno, bym pozwolił się zredukować, jak-ście chcieli, na margrabię Brandeburga; wolę, aby kurfirst saski zszedł na Miśnieńskiego landgrafa! Niech do Polski jedzie: zawsze mu zostało królestwo tak bogate w lasy jak żadne, a ja oskoczony, muszę się bronić, nie mając piędzi ziemi bezpiecznéj.

Po chwilce podniósł głowę.

— Król jegomość prosi o gwardyę! — powtórzył gienerał.

— To próżno! boleję nad tém, ale jéj nie puszczę, aby nie poszła zwiększyć austryackiéj siły. Pozdrów króla ode mnie. Paszporty gotowe; niech na Wrocław jedzie: drogi bezpieczne i przezprzęgi mieć będzie dobre.

Bellegarde stał jeszcze, gdy Fryderyk odwrócił się, pogięty kapelusz uniósł nieco i skinął głową:

— Nie mogę więcéj, adieu...

Gienerał wyszedł wzdychając; a król oczyma za nim pogonił.

Zaledwie się drzwi zamknęły, gdy major Wangenheim wszedł.

— Wasza królewska mość pozwolisz mi więźnia tego przypomnieć?

— Jakiego?

— Młodego Polaka, którego przed kilku tygodniami wzięto, gdy się z Pirny do Drezna chciał dostać.

— Polaka! — odezwał się król — który się tak zuchwale stawił?

— Lecz nic przy nim nie znaleziono, a przez czas, jak jest pod strażą, mogliśmy się przekonać, iż wcale Sasom nie sprzyja. Wasza królewska mość byłeś łaskaw przyrzec mu uwolnienie, ośmielam się za nim wstawić.

Fryderyk pomyślał.

— Niech mi go tu przyprowadzą.

Wangenheim wyszedł, a w kwadrans potém dwóch żołnierzy przywiodło do drzwi odartego Masłowskiego, odzianego w kożuszek stary, w chodaki zamiast butów, bez czapki, podobniejszego do włóczęgi niż do owego śmiejącego się chłopaka, który tak raźno dawniéj na świat spoglądał.

Nędza ta jednak i niewola, choć go wymizerowały, nie odjęły mu ani dawnéj buty, ani téj wesołości rozpaczliwéj, która czasem w pewnych charakterach na rusztowanie nawet towarzyszy.

Wprowadzony Masłowski stanął u drzwi w milczeniu.

Fryderyk na niego z pogardą popatrzał, a potém rzekł:

— A co, wypościł się on?

— Z łaski waszéj królewskiéj mości — krótko rzekł Masłowski — dosyć.

— A drwa pan szlachcic rąbał?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— I wodę nosił?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Niechże wie, że ja zuchwałych odpowiedzi nie lubię — zawołał Fryderyk i żywo dodał:

— W wojsku on nie chce służyć?

— Nie życzę sobie.

— Może w saskiém?

— Ani w pruskiém, ani saskiém.

— A w jakiémże?

— We własném lub żadném.

Król zamilkł, parsknął śmiechem i powoli wymówił przesadnie:

— „Nie pozwalam!“

Na bladą twarz Masłowskiego wystąpił rumieniec.

— Fort! wracaj sobie do Drezna, lub jedź z królem polować na niedźwiedzie. Żołnierza z ciebie dobrego nie będzie, bo gdybyś lepszym był, o pozwoleniebym cię nie pytał, poszedłbyś pod karabin i basta.

Król podniósł kij groźnie i powtórzył:

— *Fort!*

Masłowski się odwrócił do wyjścia, a Wangenheim wskazał mu, drzwi otworzywszy, drogę, gdy w sieniach chaty pan Ksawery, oko w oko spotkał się tu z bardzo dziwnem zjawiskiem, które go powstrzymało zdumionego.

Stało tu dwóch ichmościów, *cabinet*-sekretarzy jego królewskiéj mości, w rodzaju mundurków dosyć niepoczesnych, z papierami pod pachą. Czekali widać, ażeby ich zawołano. Jeden z nich pociesznie pękaty i mały, w peruce z lokami nad uchem i harcapkiem z jasną wstążką, żuł coś w ustach, korzystając z wolnego czasu, widocznie nie interesując się wcale tém, co się koło niego działo. Kiedy niekiedy ręką sięgał do kieszeni, wyjmował coś z niéj i sypał do gęby, pracowicie natychmiast obracając ten materyał pożywny zębami. Na wygolonéj twarzy znać było ruchy muszkułów pośpieszne, dozwalające odgadywać godną łapczywość. Drugi obok z miną roztargnioną, tak się zdał Masłowskiemu do Simonisa podobnym, iż na chwilę osłupiał. Nie musiał to jednak być ów elegant kawaler, chociaż twarz nadzwyczaj go przypominała, bo spojrzawszy na Masłowskiego, nie okazał najmniéj, ażeby go poznał. Owszem, z uwagą nań popatrzał, ale z obojętnością zupełną i oczy zaraz ku drzwiom obrócił. Pan Ksawery stał jeszcze nie wiedząc, czy mu się przypomnieć, czy go spytać, gdy major Wangenheim powtórzył mu rozkaz króla, aby dopóki wolnym jest, ruszał, gdzie chce. Radził mu, co najbliżéj dostać się do Koenigsteinu do Brühla, gdzieby odzież lepszą mógł dostać.

Nieszczęśliwego Masłowskiego, gdy po sprawieniu poselstwa przedzierał się do Drezna, schwyciły były placówki pruskie. Zaprowadzono go do główněj kwatery, okrzyczano szpiegiem. Zrazu była mowa o rozstrzelaniu. Zimna krew, przytomność, obce może pochodzenie, brak wszelkich dowodów, tłómaczenie się śmiałe, zjednały chłopcu opiekę starszyzny wojskowéj. Powiedziano o nim królowi, który z początku kazał go był wcielić do wojska: Masłowski się temu oparł. Stawiony przed królem, powiedział, że jest szlachcicem polskim, z czego Fryderyk tylko drwił sobie; jednakże trochę francuszczyzny a wiele przytomności umysłu, wyjednały mu tyle względów u króla, iż mu dał do wyboru: albo drwa rąbać i wodę nosić przy obozie, lub wdziać mundur. Wodzono go za obozem z kilku innemi więźniami, aż go major Wangenheim wyprosił.

Pan Ksawery mógł się pochwalić, że przetrwał jednę z najcięższych prób, jakie w czasie wojny spotkać mogą, i to zwycięsko. Na chwilę nawet, przy chłodzie, głodzie, wśród znęcania się i urągowiska żołnierzy, nie opuściła go krew zimna i humor wesoły. Ci, co mu dokuczali, wydziwić się nie mogli praktycznéj filozofii chłopaka i nieustraszonemu męstwu. W czasie bitwy pod Lowositz, na chwilę był w ogniu najstraszniejszym, wlazł na wóz, patrzał na potykających się, śmiał się i bił brawo. Ta odwaga jednała mu podziwienie i serca. Zdawało się, że człowiek z takiém usposobieniem, powinien był nabrać smaku do wojennego rzemiosła; lecz Masłowski na ponowione propozycye odpowiadał, że woli z musu nosić wodę, niż z ochoty bić się za Prusaków.

Wangenheim o tym osobliwszym oryginale mówił podobno Fryderykowi, a król z przekąsem nazywał go *„panem niepozwalam“*; koniec końców uwolnić go jednak kazano. Nie pozostawało Masłowskiemu nic innego, tylko dostać się do najbliższego Koenigsteinu, bo w stroju, jaki miał, do Drezna, w zimną porę, trudno się było wybierać. Strój ten, jak-eśmy mówili, składał się ze zgrzebnéj, bardzo brudnéj koszuli, w części dziurawéj; ze szkaradnego, zatłuszczonego kożuszka dziurawego, także ze spodni płóciennych i chodaków, które niegdyś były skórzane, a trzymały się tylko dzięki misternie poszczepianym sznurkom. To, co się nazywało czapką, było wistocie kawałem łachmana, w którym mógł się bardzo domyślny znawca dobadać resztki futra i tkaniny, która suknem być mogła. Nadto Masłowski nie posiadał narazie więcéj, oprócz kawałka prostego sznura, znalezionego gdzieś na drodze, którym się opasywał. Wymizerowany był strasznie, a mimo biedy, oczy mu się śmiały i usta drgały, byle cośkolwiek zabawniejszego nad żołnierzy pruskich zobaczył. Na polu bitwy pod Lowositz zdobył sobie był płaszcz, buty i niejaki zasób po austryackim oficerze, z którego trupem się spotkał; lecz w kilka godzin gwardya jego królewskiéj mości łup ten sobie przynależny odebrała.

Masłowski jeszcze stał przypatrując się temu mniemanemu czy prawdziwemu Simonisowi, który go wcale znać nie chciał; gdy Wangenheim szepnął mu, aby do kancelaryi poszedł po bilet, za którymby mógł się dostać do Koenigsteinu.

I w téj chwili zwrócił się do stojących cabinet-sekretarzy króla.

— Niech który z panów pójdzie napisać uwolnienie temu panu.

Z dwóch kandydatów do pisania, pierwszy, który był zajęty

pożywaniem tajemniczego zapasu wydobywanego z kieszeni, uczynił taki ruch, jakby mu niezmiernie było pilno spełnić rozkaz; lecz w ruchu tym, napozór gwałtownym, łatwo było dostrzedz, że mimo pośpiechu, rad się był dać swemu koledze wyprzedzić. Poruszał się bowiem w miejscu, nogami tupiąc, przechylając, ale zarazem w zgarnianiu papierów trzymanych szukając pretekstu do pozostania. Simonis czy też jego Sozya zdawał się nie chcieć zrozumieć, że rozkaz się do niego stosował.

Skutkiem tego żaden z nich się nie ruszył, a major zniecierpliwiony, zawołał, palcem wskazując pierwszego:

— Proszę iść, napisać bilet...

Masłowski tak był nawykły do podrzędnéj roli, iż za próg się nie ruszył pierwszy. Widocznie nie rad z danego mu polecenia Simonis (nazwijmy go tém imieniem) milcząc wyszedł szybko, nie oglądając się za siebie, wprost do domku sąsiedniego, w którym pracowali wojskowi pisarze i kancelarya przyboczna. Niewielka przestrzeń rozdzielała go od kwatery króla. Masłowski wysunąwszy się za nim natychmiast, napróżno usiłował dogonić idącego przodem, który, jakby naumyślnie, pośpieszał i doszedł drzwi kancelaryi, nim pan Ksawery mógł za nim zdążyć.

Aż nadto było widocznem, iż unikał spotkania z więźniem, co pana Masłowskiego utwierdziło w przekonaniu, iż to był prawdziwy Simonis. Jaką on tu grał rolę? sługi, czy zdrajcy? odgadnąć było trudno. W razie gdyby drugą przyjął na siebie, trzeba mu było przyznać odwagę niepospolitą. Masłowski się jéj po nim nie spodziewał. Bądź co bądź, jakimś zdrajcą był zawsze Simonis, albo króla pruskiego, lub dwór saski poświęciwszy dla widoków swoich.

Panu Ksaweremu sprawiło to pewnego rodzaju obrzydliwość i obudzało w nim pogardę

Gdy za Simonisem wszedł do małéj izby, w któréj się znajdowali pisarze, znalazł tu ścisk, gwar i wrzawę, tak, że trudno się czego było dopytać. Niepodobne to było wcale do królewskiéj kancelaryi, ale raczéj do jakiéjś kordygardy i gospody. Żołnierze różnéj broni, obdartusy najosobliwsze, więźniowie, księża, przekupki, wszystkiego tu było pełno. Do stołów przy których pisano, docisnąć się było trudno. Pan Ksawery od progu się przypatrywał temu malowniczemu widokowi, gdy go z piórem za uchem, pisarzyna wezwał do drugiéj izby. W téj już się był skrył ów Simonis. Była to kancelarya osobna sekretarzy gabinetowych, mało co porządniejsza od pierwszéj, ale przynajmniéj niedostępna dla tłumu. Tu już za stołem przybyły sekretarz zajęty był pisaniem.

Masłowski w progu stanąwszy nie spuszczał go z oka.

— Dokąd się waćpan chcesz udać?—nie podnosząc nań oczów spytał piszący.

— Przez Koenigstein do Drezna, bo przynajmniéj buty i koszulę spodziewam się dostać u jego królewskiéj mości, jeżeli król ma ich dwie pary.

Simonis nic nie odpowiedział, widocznie znać nie chciał Masłowskiego, chociaż głos jego zdradzał, i już omylić się ani wątpić nie było podobna.

— Czy mogę panu sekretarzowi — rzekł cicho Masłowski — służyć czém, jeżeli szczęśliwie do Drezna dopłynę?

Czekał na odpowiedź, ale téj nie otrzymał. Po pewnym przestanku, w ciągu którego pilno zajmował się pisaniem sekretarz, podniósł głowę, spojrzał na Masłowskiego, namarszczył się i palec położywszy na ustach, wnet się wziął znowu do wyciskania pieczęci na bilecie.

Pan Ksawery nic już nie mówił nawet, uśmiechał się tylko szydersko. Simonis przygotowany bilet porzuciwszy na stoliku, wybiegł do pierwszéj izby wrzawliwéj, zahałasował tam bardzo, pokręcił się, wrócił, drzwiami okrutnie trzasnął za sobą, obejrzał się w okno, poza którém chodziła straż, kiedy-niekiedy się ukazująca za szybami; pobiegł do szafki, wziął z półki kawałek chleba razowego i przybliżywszy się do Masłowskiego wcisnął mu go w rękę, szepnąwszy: „Spörken na zamku“... Potém co najprędzéj chwycił bilet już gotowy i począł po niemiecku krzyczeć na cały głos na Masłowskiego, ażeby sobie szedł do dyabła, dopóki cały. Otworzył mu drzwi łając jeszcze i zawołał na cały głos:

— Wynoś mi się!

Panu Ksaweremu na śmiech się zbierało, ale chleb za koszulę wcisnąwszy, wyszedł, bilet trzymając w ręku. Nie miał już tu co robić, obejrzał się tylko ku obozowi saskiemu, w którym zamęt i hałas panował niesłychany, a że jeszcze most, którym wojsko w nocy przeszło, stał naprzeciwko Koenigsteinu, powoli kierował się ku niemu. Po drodze pełno spotykał Prusaków, którzy już dokoła Sasów posterunki zajmowali. Naprawdę też, oprócz oficerów, trudno było jedno wojsko od drugiego rozpoznać; głodnym Sasom dano chleba, piwa i wódki i wszyscy pospołu z Prusakami chciwie się odżywiali, bo od dni trzech mało który co miał w gębie. Po drodze leżały konie zdechłe, wozy połamane i ludzie, którym nagle osłabienie lub choroba daléj iść nie pozwoliła. Widok to był straszny i litość obudzający. Masłowski szedł, stawał, patrzał, ale i jemu śpieszyć się trzeba było, bo i on ostatnich dni wiele stracił, a pomódz nikomu nie mógł. Po razy kilka zatrzymywały go straże pruskie; pokazywał swój pas i szedł

dalej. Minęło go kilku saskich oficerów puszczonych na słowo, popatrzeli i poszli. Most na rzece jeszcze był cały; przeszedłszy go powoli, skierował się na zamek. Tu resztki gwardyi szczupłe straż trzymały u bramy. Wdrapawszy się na górę i wpuszczony przez sklepione wrota do środka, pan Ksawery zaraz w nich spotkał się z Wernerem, paziem Brühla, który poznawszy go, krzyknął:

— Prowadź mnie — rzekł — do jego ekscelencyi, żebym przynajmniéj miał się w co odziać i powrócić do Drezna.

Trudno się tu było czegokolwiek dopytać, taki popłoch panował na zamku. Werner przy najlepszéj chęci usłużenia dawnemu towarzyszowi, nie mógł narazie lepiéj mu przysłużyć się, jak wprowadzając go do ciepłéj izby i obiecując jedzenie.

Wypocząwszy i odzyskawszy swój humor, Masłowski potrafił nawet już między paziami nabyć sobie na kredyt ubranie porządne i ciepłe, nie chciał go jednak włożyć, pragnąc przedstawić się ministrowi tak, jak z niewoli powrócił.

Z południa ledwie wezwano go do domu komendanta, w którym i król i Brühl się schronili. Minister widząc zbliżającego się odartego człowieka, cofnął się ze wstrętem przed nim, gdy Masłowski dał się mu poznać.

Załamał ręce Brühl.

— Co się z waćpanem działo?

— Tak mi służba przy boku waszéj ekscelencyi poszczęściła— rzekł Ksawery — iż na całe życie będę miał co opowiadać i o czém pamiętać.

— Jakim sposobem?

Masłowski przerwał.

— Opowiadać waszéj ekscelencyi takie smutne przygody moje byłoby zadługo, dosyć, że mnie Prusacy zmusić chcieli do służby i miesiąc im drwa rąbać musiałem, nie chcąc karabina nosić; nareszcie mnie uwolniono.

— Pomścimy się za to wszystko! — szepnął Brühl. — A cóż waćpan myślisz robić z sobą?

— Ja muszę do Drezna — rzekł Masłowski. — Stamtąd prawdopodobnie na Wrocław do Polski powrócę, bo tu się już waszéj ekscelencyi przydać nie mogę.

— Jakto? i owszem — zawołał Brühl — dwór mój rozbity. My prawdopodobnie téż do Polski na jakiś czas z królem udamy się. Waćpan zostaniesz przy mnie.

Masłowski skłonił się.

— Ale proszę waszéj ekscelencyi o pozwolenie udania się do Drezna, bo tam wszystko, co mam, zostało, a w dodatku i długi.

Brühl roztargniony nie zdawał się słuchać, chodził po izbie z namarszczoném czołem.

— Gdzie waćpana trzymano? — zapytał.

— Przy wojsku, razem z połapanemi włóczęgami. Wycierpiałem wiele, lecz nabrałem doświadczenia: nie skarżę się.

— Cóż to tam za wojsko tego króla — przerwał Brühl — to zbierana drużyna, kupa rozbójników, obieżyświaty; kogo tam niéma! to być musi lichota!

— To prawda — rzekł Mosłowski — ale kij i groźba trzyma to w takiéj ryzie, że ot biją najprawowitszych w świecie Austryaków.

— Przypadek i nieopatrzność — szepnął Brühl.

Zamilkł i zbliżywszy się do Masłowskiego zapytał cicho:

— Słyszałeś waćpan co? cóż myślą daléj? Co mówią o dekrecie banicyi, który rzesza wydała przeciw królowi?

— Śmieją się — rzekł Masłowski.

Brühl spojrzał srogo.

— Jak? cóż to ma znaczyć?

— Ale bo to ta sroga omyłka druku!

— Jaka?

Brühl nie wiedział nic. Wistocie drukowany dekret zawierał najszkaradniejszy *lapsus*, jakiego mógł się zecer kiedy dopuścić. Któż wie, czy nie popełniono go umyślnie! „*Śpieszące* posiłki państwa“ drukarz zmienił na „*nędzne* posiłki“ *).

Nieśmiało wytłómaczył Masłowski, co się w dekrecie znajdowało. Minister zamilkł.

— Król jegomość pruski — dodał — wszystko to przypisuje waszéj ekscelencyi, do któréj ma największy żal; to téż w obozie nieraz się słyszéć dawały odgróżki, że skoro czas będzie potemu, oczyszczą Prusacy i kamienia na kamieniu nie zostawią, w dobrach waszéj ekscelencyi w Nischwitz Pod Wurzen, w Grochwitz pod Herzbergiem, a nawet na zamku w Pförten na Łużycach.

— Niedoczekanie ich! — mruknął Brühl.

Masłowski uzyskawszy tytułem pożyczki zasiłek i pożegnawszy ministra, który dłuższéj rozmowy unikał, wybrał się do towarzyszów. Nazajutrz miał odjeżdżać do Drezna gienerał Bellegarde; przy nim więc wybrać się postanowił.

Prusacy od czasu osadzenia i zabrania w niewolę Sasów, daleko mniéj się obawiając, nie pilnowali już tak komunikacyi pomiędzy Dreznem a resztą kraju. Królowi dozwolono ściągnąć

*) Zamiast *Eilende Reichshülfe*, wydrukowano: *Elende*.

stamtąd, co mu do podróży było potrzebném, gdyż stanowczo za szesć dni do Polski jechać wprost miano. August III najmocniéj przekonany, iż to wygnanie długo się przeciągnąć nie może, przyśpieszał sam wybór na sejm i wypoczynek w Warszawie. Brühlowi téż dosyć było pilno wyrwać się z zasadzki i znaléźć daléj nieco od nieprzyjaciela, który się nań odgrażał.

Nie zapomniawszy o owym kawałku razowego chleba, przeznaczonym dla Spörkena, pan Ksawery umyty, uczesany, odziany, podobniejszy do człowieka, coraz weselszy, dosiadł jakiegoś lichego konia pożyczonego mu tutaj i pokłusował za gienerałem do Drezna.

Dostał się tu jeszcze w porę, aby po miesięcznéj przeszło niebytności, dostrzedz niezmierną różnicę między ową stolicą Augusta mocnego i słabego, a miastem zajętém przez pruską załogę.

Nietknięto wprawdzie zamku, wktórym królowa, nie zważając na nieprzyjemności spotykające ją i niebezpieczeństwo, na jakie narażoną być mogła, chciała pozostać do końca; lecz przebrzmiała w nim muzyka, teatr był zamknięty, Włosi rozpędzeni, liczny dwór zmniejszył się dezercyą, prześladowaniem, brakiem funduszów na jego utrzymanie. Król Fryderyk, który całą zajmował Saksonię i kiedy-niekiedy wypłacał coś komuś fałszywemi pieniędzmi, które umyślnie na te ciężkie czasy bić kazał, królowéj pensyi odmówił, życząc, aby się o nią udała do męża i ministra.

Cicho więc i smutno a pusto było na zamku królowéj.

W mieście królowało wojsko i militarny panował porządek. Na wałach i murach ustawiono już owe magdeburskie działa, w pysznym pałacu japońskim zrobiono skład słomy dla wojska; koszary na Nowém Mieście, gmach korpusu kadetów, gewandhaus, ratusz, zmieniły się na lazarety, do których zwieziono rannych z pod Lowositz i ze wszystkich utarczek. W ulicach więcéj widać było wojskowych, niż mieszczan i ludu. Nad Elbą dwadzieścia kilka pieców z saskiéj mąki, na saskiém drzewie wypiekało chleb dla żołnierzy Fryderyka. Gienerał Wylich rządził w mieście. Z rozkazu protektora Saksonii, wprowadzając słuszną oszczędność, kancelaryom ze 190,000 talarów, pensyą zredukowano do trzydziestu. Talary z dobrego srebra zabierano do kas pruskich, a mieniano je na efraimy różnego rodzaju, w których miedzi więcéj niż srebra było.

Masłowski, wjechawszy do Drezna, poznać go nie mógł: ani owych lektyk złoconych, ani świetnych ekwipażów, ani elegantów dworskich, nigdzie widać nie było. W pałacu Brühla Prusacy zrobili odwach i szpital. Pożegnawszy gienerała, któremu towarzyszył, Masłowski pojechał wprost do Fuchsowéj. Tu go bodaj za zabitego miano. Gdy stanął u drzwi i szukał oczyma, komuby powierzył konia, spostrzegła go i poznała gospodyni i jak szalona ze wschodów ku niemu zbiegła.

Zabrakło jéj tchu i głosu, gdy go witać zaczęła. Ludność domu całego zbiegła się zmartwychwstałego oglądać. Masłowski ledwie z serdecznych uwolniwszy się uścisków, poszedł na górę. Szczęściem Fuchsowa obroniła się była od pruskiego oficera, którego jéj chciano dać na załogę: mieszkanie było wolne, a rzeczy, z wyjątkiem niewielu obróconych na użytek w rachunku należności, znalazły się jeszcze całe. Fuchsowa wchodziła i wychodziła, śmiała się, płakała; opowiadała, jak ją oficer chciał gwałtem pocałować, jak mu się heroicznie obroniła, i nie dała spocząć Masłowskiemu, póki nie spostrzegła, że słuchając jéj, padłszy na łóżko, mimo wymownego opowiadania, usnął głęboko i chrapał.

XVI.

Nazajutrz rano, pan Ksawery, nie zapomniawszy o chlebie przeznaczonym dla barona Spörkena, poszedł najprzód do kościoła. Królowa najczęściéj teraz słuchała mszy świętéj w kaplicy małéj zamkowéj, nie pokazując się w loży. I tym razem, Masłowski pustym go prawie zastał. Przed wielkim ołtarzem, kilka osób modliło się, msza była cicha. Nie uważał nawet, że u góry w jednéj z lóż odsunięto firankę i kobieta zakwefiona uklękła modlić się. On téż modlił się, czegoś smutniejszy dziś niż zwykle; przynajmniéj chwilowo milczący ów kościół przejął go jakiemiś przypomnieniami kraju, młodości, nabożeństw okazałych i głośnych. Dom ojcowski, życie owo szlacheckie, towarzysze, zabawy, wszystko mu przyszło na pamięć i zatęsknił do powrotu; miał już dosyć tego, co przecierpiał, a choć z początku śmiał się ze wszyskiego, na krwawém pobojowisku po raz pierwszy uczuł, że nie w każdéj chwili i nie z każdego wypadku śmiać się godzi. Ta wojna, w któréj żadna strona nie pociągała go ku sobie, gdzie czasami mimowolnie rad był pobitym Sasom, niekiedy litował się nad niemi, oburzając przeciw Fryderykowi, nużyła go już, jak zbyt długo przeciągnięte widowisko.

Po skończonéj mszy, wszedł powoli na zamek, zamierzając szukać gienerała Spörkena, gdy u wschodów zastąpiła mu drogę piękna Pepita. Spojrzała nań i mimowolnie załamała piękne rączki.

— Mój Boże! — zawołała — cóżeśto waćpan wycierpiéć musiał, kiedy tak na nim znać doznane cierpienie. Myśmy nic o nim nie wiedzieli.

— A kogóżby to obchodzić mogło, co się ze mną stało, przy tylu innych nieszczęściach! — rzekł, wesoło witając ją Masłowski.

— Ja nie wiem—odparła żywo panna Nostitz — nie wiem, czy kogo to obchodziło, ale zaręczyć panu mogę, że ja często myślałam o nim.

— Jużcić nie tak często jak o Simonisie? — przebąknął złośliwy Masłowski.

Baronówna się zarumieniła i potrząsnęła główką tylko.

— A wie pani, com robił przez ten miesiąc?—zawołał Masłowski.—Rąbałem drwa na kominek króla jegomości pruskiego, nosiłem wodę, pasłem konie, wszystko to dlatego, żem munduru włożyć nie chciał. I chodziłem bosy, w starym kożuszku, aż mi samego siebie strach było. Nareszcie zabrawszy całe wojsko saskie, mnie uwolnili, widząc, że żołnierza nie zrobią z takiego kloca niezgrabnego.

Panna Nostitz słuchała z uwagą. Ksawery spojrzał na nią, ale i na jéj twarzy, choć spokojnie na zamku siedziała, znać było przebolałe dni trwogi i upokorzenia. Zbladło świeże lice, smutek oblewał je i zamyślenie w jéj wieku przedwczesne. Zestarzało biedne dziewczę. Nie śmiała go pytać o nic długo, ale wpatrywała się nieśmiało, wahała się, jakby nie wiedząc od czego zacząć, aby się nie wydać niepotrzebnie.

Oszczędzając jéj zakłopotania, Ksawery odezwał się:

— Widziałem kawalera de Simonis w nowych jego obowiązkach, ale dopiero ostatniego dnia; mówić z nim jednak ja nie mogłem, a on ze mną nie chciał.

Panna Nostitz przystąpiła bliżéj.

— Gdzież? jak go pan widziałeś? co robi? nic panu nie polecił?

Milcząc, dobył Masłowski kawałek chleba z za sukni, i trzymając go w ręku, ukazał baronównie.

— Ten chleba kawałek przeznaczony dla barona Spörken...

Dziewczę sięgnęło po niego ręką, ale pan Ksawery przypomniał, że powinien był oddać baronowi.

— Chodźmy więc do niego — zawołała Pepita — chodźmy.

W pokoju gienerała siedziała hrabina Brühlowa. Na widok Masłowskiego wymizerowanego, znędzniałego, posypały się pytania, na które długo odpowiadać musiał.

Słuchając opowiadania, Brühlowa płakała, ale łzy to były nie bólem, tylko gniewem wyciśnięte. Na twarz jéj buchały płomienie, w oczach błyskał ogień dziki. Spörken tymczasem ów chleb w drugim pokoju rozciął i wyjął zeń cyfrowaną kartkę: ledwie czytelną, którą odczytać starał się. Hrabina Brühlowa poszła mu dopomódz, a baronówna została sam na sam z Masłowskim. Pytaniom nie było końca; przybyły musiał opowiadać, a Pepita słuchając, często ocierała łzy z oczu.

— Zostaniesz pan z nami? — spytała w końcu pocichu.

— Nie, pani — odpowiedział Masłowski — jam tu niepotrzebny wcale, a w domu stary ojciec może choć teraz zatęsknił za mną, gdy się o wojnie dowiedział. Cóż wam tu ze mnie?

Spojrzała baronówna.

— Gdybyś pan wistocie nie był nam potrzebnym, nie wątp, że byłbyś miłym zawsze. Jednym więcéj uczciwym i szlachetnym człowiekiem czuć przy sobie, to zawsze szczęście wielkie. My ich tu nadto nie mamy! Doświadczamy, niestety, co może siła, szczęście i niedola. Powoli opuszczają nas wszyscy, zostajemy same; ludzie biegną kłaniać się wschodzącéj, choćby łunie pożarnéj.

I zamilkła w okno spoglądając, a potém zwróciła się doń zmieniając rozmowę:

— Powiedz mi pan, jak wygląda Simonis? jak go znalazłeś, gdzieś go widział?...

I nie dokończywszy tego pytania, zarumieniona dodała zaraz:

— Nie posądzaj mnie pan: nie rozpytuję oń dlatego, żebym miała czulsze powziąć dla niego sentymenty. Jestem dosyć szczerą i śmiałą, że do tego-bym się przyznała; ale nie tak jest. Pytam, bo mam dla niego obowiązki wdzięczności: z mojéj przyczyny rzucił się w paszczękę lwu (poprawiła się nagle), przepraszam, wilkowi: uczynił to dla mnie. Wiesz pan, w jakiém znajduje się położeniu. Należy mu się choć wspomnienie i o los jego troska.

Masłowski słuchał z uwagą, głos jego drżał, ale wistocie nie odzywała się w nim czułość, raczéj obawa i sumienie. Z największemi więc szczegółami opisał jéj spotkanie, znalezienie się jego i nadzwyczajne ostrożności, któremi się otaczał, widząc się z nim nawet bez świadków.

Słuchając Pepita, ręce załamała.

— O nieszczęśliwe położenie, które nas zmusza, nas kobiety, mnie nawet do mieszania się w takie sprawy, z których co chwila płyną łzy, a co moment krew wytrysnąć może.

Obejrzała się na drzwi pokoju, w którym była Brühlowa.

— Nie dziwuję się hrabinie, ją to nawet bawić może; ale mnie! mnie! I posługiwać się często takiemi ludźmi, do których wstręt czujemy, i czynić na co się wzdryga niewieście serce!

Spuściła oczy.

— Jużciż do tych ludzi, w których się czuje wstręt, nie liczy panna baronówna tego nieszczęśliwego Simonisa.

— Dla niego nie mam ani wstrętu, ani nadzwyczajnéj sympatyi — odpowiedziała z wyrazem szczerości — mam obowiązki. A, na czém się to skończy! — zawołała nagle — i kiedy się to skończy! Król wyjeżdża do Polski, my z królową zostajemy same, kobiety, na wyłomie...

I zakryła sobie oczy.

Masłowskiemu żal się zrobiło dziewczęcia, spojrzał na nią: łzy w oczach miała.

— Gdybym ja się pani na co mógł przydać! — rzekł cicho.

— Nie chcę was mieć na sumieniu — odparła baronówna. — Prawda, że na świecie, teraz szczególniéj, czuję się bardzo osamotnioną; że czyjeś silne ramię i poczciwe serce brata, bardzoby mi było pożądaném, ale możnaż wymagać takiéj ofiary i czémżebym ją mogła opłacić? ja co nie mam nic, nawet swobody rozporządzania sobą. Ja nie należę do siebie — dodała — kazano mi się poświęcić dla interesów królestwa. Żołnierze oddają za kraj życie, dlaczegożbym ja szczęścia oddać nie miała?

Te wyrazy szybko wyrzekłszy, panna Nostitz wybiegła nie patrząc na Masłowskiego, który przez chwilę pozostał jak wryty u okna; potém przeszedł się po pokoju, a gdy baron Spörken wyszedł, pożegnał jego i hrabinę Brühlową.

— Waćpan zostajesz z nami? — zapytała żona ministra, która pragnęła do swoich intryg wmieszać i mieć pod ręką jak najwięcéj osób.

— Jego ekscelencya kazał mi wracać do Polski, gdyż dworu będzie w Warszawie potrzebować — odezwał się Masłowski. — Muszę być posłusznym, jednakże nie wiem, kiedy wyjadę, bo wypocząć muszę i czuję, że drodzebym teraz nie podołał, po służbie u Prusaków...

— Dopóki waćpan nie wyjedziesz — dodała hrabina mierząc go oczyma, w których siłę wierzyła jeszcze — proszę się zgłaszać do mnie.

Z tém Masłowski wyszedł.

Nie mając nic do czynienia, umyślnie przesunął się po mieście, ciekaw przeistoczeniu, jakiemu uległo. Znajomych nie spotykał prawie nikogo, inna zupełnie ludność krążyła po ulicach, miasto całe wyglądało na koszary. Nierychło znużony i znudzony pan Ksawery powrócił do mieszkania. Ostatnia rozmowa z baronówną tkwiła mu w myśli, gniewał się sam na siebie.

— Nietylko pan stolnik, ale ja sam sobiebym dał na kobiercu, gdybym się miał w niemieckiéj baronównie zakochać dlatego, że jéj oczy czasem łzami zachodzą, a w głosie brzmi coś tak serdecznego: ale Pepita istotnie niebezpieczna. Już mi się do domu odechciało, choć rano miałem najmocniejsze postanowienie.

Uderzył pięścią w stół gniewnie.

— Nie wart jestem być polskim szlachcicem!

Wyrzuty te jednak czynione samemu sobie nic nie pomogły; obraz pięknéj baronówny stał mu przed oczyma. Masłowski nie mając czém się rozerwać, aby się od téj zmory, jak powiadał, uwolnić, położył się spać z rozpaczy.

XVII.

Nadeszła zima, która dała odetchnąć Fryderykowi, a raczéj do nowéj, upartszéj i strasznieješzéj przygotować się walki. W Dreznie napozór nic zmieniło się nic. Na zamku ta sama gromadka wiernych, coraz szczuplejsza, otaczała królowę, ściskając się i kupiąc koło niéj. Tu wrzała codzień rosnąca nienawiść przeciwko Fryderykowi, z każdym dniem potęgujące się namiętności i najrozpaczliwsze przeciwko niemu spiski. Na czele najczynniejszych nieprzyjaciół jego stała zemstą pałająca hrabina Brühlowa. Przedłużające się położenie to, które co chwila pogorszać się zdawało, rodziło szał jakiś bezsilny, rzucający się do wszelkich środków możliwych przeciwko Fryderykowi. Stąd wychodzili potajemni posłańcy śledzący każdy krok jego, upatrujący zręczności, w któréjby podstępem, zdradą opanować go było można, pochwycić, nawet pozbawić go życia. Nie zastanawiano się nad trudnością wykonania planów podobnych, ani nad brakiem sił i narzędzi. Posługiwano się ludźmi, jacy się nastręczali, wierzono we wszystko, co przynosili płatni szpiedzy, łudzono się możliwością tego, co było niepodobieństwem.

Z drugiéj strony, król pruski, który tak zwanych swych: „*cujons*“ opłacał sowicie, przez rozsianych po całym kraju, w postaciach różnych najemników, uwiadomiony był o usposobieniach przeciwko sobie dokładnie, a jeśli nici żadnego spisku schwycić nie mógł, miał się na baczności, czując, że one go otaczają. Brühlowa posyłała ludzi do kwatery Fryderyka, król pruski słał na dwór saski coraz gęstsze szpiegi. Z obu stron ostrożności były największe, owoce tego potajemnego śledzenia bardzo szczupłe. Fryderyk wreszcie, z rodzajem fatalizmu, zaniechał zbytnich ostrożności, spuszczając się na szczęście swoje. Brühlowa, królowa, gienerał Spörken, z zaciętością trwali w swych zamiarach.

Simonis namówiony, wyprawiony, zręcznie dostał się do kance-

laryi, otrzymał miejsce sekretarza gabinetowego; i choć z największemi ostrożnościami, przysyłał wiadomości o projektach, miejscu pobytu, sile straży otaczającéj i ludziach, których można było pozyskać. Oprócz niego kamerdyner króla Glasau zjednany był oddawna, opłacony i baron Spörken z hrabiną Brühlową usiłowali go skłonić, aby królowi wsypał do czekolady proszek, który mu powierzono. Glasau wziął go wprawdzie, ale nie przyrzekł, że użyje: wstręt jakiś i obawa go wstrzymywały.

Łudzono się tém, iż zasadzka, których już przygotowano kilka, potrafi żywcem pochwycić króla i uwieźć go do austryackiego obozu. Środek ten mniéj się wydawał wstrętliwym, a nawet łatwiejszym do wykonania.

Tymczasem król się z miejsca na miejsce przenosił, osnute plany niespodzianie się obróciły w niwecz, a Glasau naglony, ostatecznego środka użyć się wahał.

Pobożna królowa, chociaż nie wiedziała o środkach, domyślała się spisków i modliła z dobrą wiarą za ich wykonanie szczęśliwe. Ojciec Guarini nie pochwalając nic, nie biorąc udziału w niczém, bardzo zręcznie umiał tłómaczyć, nawet przykładami biblijnemi, jak dla ocalenia kraju i wiary daleko zajść było można. Całe to tajemnicze krzątanie się pokrytém było dla oczu ludzkich pozorną rezygnacyą, lecz baczniejszy wzrok łatwo się istnienia zabiegów skrytych mógł dobadać.

Stary jenerał Wylich, ówczesny komendant Drezna, jeden może nie domyślał się, nie przypuszczał, aby coś podobnego istniéć miało.

Wyżły jego przychodziły często z doniesieniem, że na zamku coś się smaży, że nieustanne narady, biegania, szepty, nie mogą być bez celu i znaczenia. Żołnierz i człek prosty, śmiał się z tego i odpowiadał, że się bab i babskich intryg nie lęka wcale.

Ciągnęło się to więc coraz żywiéj wzmagając, bo czas i bezkarność ośmielały hrabinę Brühlową.

W początku zimy, Simonis, który miał ciągłe stosunki z jenerałem Spörken, umiał bardzo zręcznie wyrobić sobie pozwolenie, a nawet polecenie do jenerała Wylicha. Sam król ustnie kazał mu ostrzedz komendanta Drezna, iż na zamku knują spiski, że wysyłają przekupionych, że stosunki mają nawet w jego otoczeniu, których dotąd dojść było niepodobna.

Słuchając téj instrukcyi, Simonis musiał zebrać całą siłę swą i odwagę, aby nie okazać, jaką go przejęła trwoga. Spodziewał się wprawdzie urzędowéj misyi, ale nigdy tak niebezpiecznéj, tak ciężkiéj.

Fryderyk, który z posług Szwajcara dosyć był zadowolony, a nie powziął dotąd najmniejszego podejrzenia, kazał mu dać małą gratyfikacyą i prędki powrót zalecił. Ktoby był widział naówczas Simonisa po krótkiéj rozmowie wychodzącego z pokoju, z zaschłemi usty i językiem do podniebienia przylgłym, bladego, z oczyma obłąkanemi, byłby się może domyślił, jaką trwogę miał w duszy. Simonis wiedział bardzo dobrze, iż narażał się na szubienicę. Nierychło cokolwiek mógł przyjść do siebie; a w drodze dopiéro wstąpiło w niego cokolwiek odwagi. Przychodziły mu wszakże myśli i przypuszczenia tak straszne, że w podróży już chciał się wyrzec wszystkiego i gdziekolwiek bądź szukać bezpiecznego schronienia.

Glasau wiedział o Simonisie, tak jak on też znał całą historyą przekupionego kamerdynera, nad którym dozór miał polecony a na charakterze jego nie polegał wcale. Zmuszony oddalić się, lękać się zaczynał, aby Glasau trwogą przejęty lub pochwycony na jakim uczynku, nie wydał jego wspólnictwa. Jechał do Drezna, gdzie na dany znak łatwo go mogli pochwycić.

Im bardziéj zbliżał się do stolicy, tém ta trwoga więcéj go opanowywała. Nawet obraz pięknéj Pepity, dla któréj poświęcił wszystko, z długiém od niéj oddaleniem, stracił na potędze i uroku. Zbliżenie się wreszcie do Fryderyka i poznanie lepsze charakteru energicznego wodza, kazało mu wątpić, na jaką stronę waga zwycięstwa przechyli się.

Szczególniéj ta ostatnia wątpliwość podziałała na Szwajcara, w którego charakterze przemagała piecza o interes własny i wyratowanie najprzód siebie. Przybywał więc do Drezna w usposobieniu wątpliwém, z obawą wielką, ostygły znacznie, namyślając się co począć daléj. Zaczynał wierzyć w duchu, że mimo 700,000 sprzymierzonych przeciwko niemu, Fryderyk ze swemi 260,000 może zwyciężyć. Naówczas Simonis był zgubionym. W drodze jednak nie uciekł do Szwajcaryi, chociaż wielką miał do tego pokusę. Chciał widziéć naocznie, jak rzeczy stały na dworze królowéj.

Rozbrojenie wojsk saskich, wcielenie ich do pruskiéj armii, wyjazd króla i Brühla do Polski, moralne znękanie Saksonii, zwycięstwa odniesione nad Austryakami, wszystko to przyczyniło się wielce do zachwiania postanowieniem Simonisa, poświęcenia sprawie dworu saskiego.

Jadąc z poleceniem króla, musiał naturalnie stawić się, zameldowawszy u bramy, wprost jenerałowi Wylichowi.

Godzina była blizka południa, gdy go wpuszczono do komendanta, który właśnie się do obiadu zabierał. Stary żołnierz nabrał

obyczajów cynicznych króla swego i przesadzał jeszcze grubijaństwem i szorstkością.

W izbie, do któréj go wpuszczono, stół był nakryty na dwie osoby. Simonis przez drzwi otwarte spostrzegł niezmiernie zdziwiony, siedzącą dawną swą znajomą pannę Doris, wyróżowaną, wybieloną i dosyć strojną, która na widok jego o mało téż nie krzyknęła.

Wylich z rękoma w kieszeniach, z fajką w ustach, powitał go z wysokości swéj komendanckiéj godności.

Nieznacznie, po przywitaniu, dał mu do zrozumienia przybywający, że miał doń poufne od króla polecenie.

Wylich pannie Doris, odwróciwszy się, kazał iść... do dyabła. Francuzka schowała się tylko do trzeciego pokoju, od którego komendant drzwi zamknął. Naówczas Simonis, łagodząc nieco, zdał mu rozkazy królewskie, tyczące się spisków i knowań zamkowych.

Wylich wysłuchał ustami kręcąc.

— Dobrze, dobrze — rzekł — posłów nie ścinają i nie wieszają, ale to są bzdurstwa, któremi królowi jegomości zdala nabijają głowę. To moja rzecz. Ja tu wiem o najmniejszym szepcie, mojego oka nic nie uchodzi. Niéma się tu czego lękać. Królowa się modli, Brühlowa się wścieka i po wszystkiém.

Ręką machnął.

— Co więcéj?

Simonis odpowiedział na kilka pytań i zamilkł. W pół godziny skończyła się i wyczerpała rozmowa. Wylich stanął w oknie, a Simonis zabierał się do wyjścia.

— Panie gienerale — rzekł — mam polecenie dowiedzenia się cokolwiek i przypatrzenia zblizka temu, co się w zamku dzieje; oznajmuję więc o tém.

Wylich rozśmiał się.

— A wleź sobie choć na wieżę i rozpatruj się, w czém chcesz, to mi wszystko jedno.

Uwolniony w ten sposób, Szwajcar wydobył się na swobodę i poszedł szukać mieszkania, któreby nazbyt na oku nie było. Wynalezienie łatwo nie przyszło, tak Prusacy wypełniali miasto całe. Prywatne nawet domy, gdziekolwiek obszerniejsze znalazło się mieszkanie, zajmowali chorzy oficerowie i gawiedź wojskowa.

O zmroku już wybrał się z pewnemi ostrożnościami, aby łatwo nie być poznanym i wyszpiegowanym, do zamku. Nie bardzo pewnym był do kogo udać się dla dowiedzenia się o baronównę, gdy na dole u wschodów spostrzegł Masłowskiego. Pan Ksawery opóźniwszy bez powodu wyjazd do kraju, kręcił się częściéj niż było potrzeba około zamku i sam przed sobą wyznawał, że zasługiwał na to, co mu ojciec przyrzekł. Nie chciał się zgodzić na to, żeby był zakochany w baronównie, ale mówił sobie, iż go bardzo zajmowała i miał wielką dla niéj sympatyą i przyjaźń.

Posługiwał jéj, jak umiał, jak mógł, a korzystał z tego, żeby ją widywać jak najczęściéj. Widok twarzy Simonisa przykre bardzo na nim uczynił wrażenie. Ścisnęło mu się serce. Nie umiał nawet pokryć niechęci, z jaką rad nie rad go witał. Zwykle wymowny aż nadto, tym razem stał jak słup.

— Chciałbym się widzieć z baronówną — odezwał się Simonis pocichu.

Masłowski wskazał mu palcem drogę na górę, ale prowadzić go nie miał ochoty, ani dłużéj rozmawiać. Poszedł więc rozglądając się Szwajcar i trafił do mieszkania Spörkena, który go z niewymownem wzruszeniem przywitał. Lecz, że sam przez się nic nie czynił, ruszył się natychmiast dać znać hrabinie Brühlowéj.

Napomknęliśmy już kilkakrotnie o roli, jaką odgrywała hrabina. Namiętnéj téj, nieszczęśliwéj, zbłąkanéj kobiecie, potrzeba było zawsze czegoś do zabawy, czegoś, coby ją budziło do życia i usnąć jéj nie dało. Od wyjścia za mąż gorączkowo tak chwytała się wszystkiego, co sztuczny cel próżnemu sercu jéj dać mogło. Wychowywała dzieci, któremi już rozporządzano, i które się jéj wprzódy z rąk wyrywały, a teraz zupełnie uciekły. Miłości ich nawet zyskać nie mogła. Zaprzątała się tak z kolei wszystkiém, co życie może uczynić znośném, co o ranach pozwala zapomniéć. Fantazye czasem dochodziły do szałów, po których znowu następowała apatya, milczenie, ziewanie, nudy. Naówczas gorączkowo zajmowała się jakimś Blumli, jakimś Seyfertem, starała się z nich uczynić ludzi... ideały serca, a kończyło się to jak ze Seyfertem pod pręgierzem, jak z Blumli na wyczerpaniu i pogardzie.

W takich paroksyzmach pragnień i rozczarowań przeżyła Brühlowa aż do dni ostatnich. Fryderyk Wielki obumierającą już wskrzesił do życia, do zemsty. Rzuciła się z całą gwałtownością charakteru swojego do wojny przeciwko niemu. Prowadziła ją jak dotąd wszystkie życia sprawy, nie znając miary w namiętności i nie przebierając w środkach.

Bezskuteczność starań tych zaczynała ją nudzić i niecierpliwić. Czekać nigdy nie umiała. Życie przy królowéj znękanéj, fanatycznie pobożnéj, pół dnia spędzającéj na religijnych praktykach, przykrzyło się. Brakło jéj tego dworu młodego, dawnych lat, z którego sobie wybierała ofiary. Nie była już tą panią wszech-

władną, na któréj skinienie twarze się zmieniały, jawili się i znikali ludzie.

Gdy baron Spörken dał jéj znać o przybyłym Simonisie, hrabina była właśnie w tém usposobieniu apatyczném, znużona, tęskniąca prawie do śmierci. Wiadomość ta poruszyła ją, zelektryzowała. Zerwała się i pobiegła.

Simonis już dawniéj był wpadł jéj w oko i — fantazya została niespełnioną. Miała mu za złe, że tak łatwo mógł się jéj wyrzec. Trochę zemsty czuła w sercu. Nie pokazała mu jéj wszakże i wyszła, spojrzawszy w zwierciadło, chcąc być piękną, ożywioną, więcéj udając gorączkę, niż wistocie rozgorączkowana.

Wchodząc podała mu rękę.

Spörken usunął się nieco.

— Przecież! rada jestem, że was widzę nareszcie. Tak długo czekałam wiadomości, tyle czasu upłynęło bez skutku! Cóż się dzieje? co robicie! My z założonemi rękoma, a Prusacy zwycięscy. Król...

— Pani!—odezwał się Simonis—czyniliśmy, co mogli, nie było sposobu stanowczego przedsiębrać kroku.

— A Glasau? wszakże to każdego dnia spełnić się może. Cóż mówi Glasau?

— Ociąga się, zwleka — rzekł pocichu Simonis — mieliśmy nadzieję, nie uciekając się do tego środka...

— Tu niéma co w środkach przebierać — przerwała namiętnie Brühlowa. — Szkodliwego zwierzęcia pozbywa się na wszelki sposób. Glasau zdradza nas, a pan... pan nie dosyć go przynaglasz... Wszystkie trzy plany pochwycenia, tak wybornie osnute, w niwecz się obróciły.

— Nie z naszéj winy — odparł Simonis; — król zmieniał kwaterę, a z nią zmieniały się warunki.

Brühlowa odwróciła się pogardliwie, lecz wprędce zmieniając usposobienie, łagodniéj przemówiła i pociągnęła Simonisa ku oknu. Tu jakby w głąb jego duszy zajrzéć chciała, męcząc go wejrzeniami wyzywającemi, badawczemi, zagadkowemi dlań, przedłużyła rozmowę niepotrzebnie, nie dając mu odejść i powracając do jednych zarzutów, wymówek i badań.

Simonis dosyć zręcznie zrazu uniewinniał się, potém tok téj rozmowy zmieniać się zaczął. Brühlowa wywodziła skargi, malowała swe położenie, uczucia, czyniła zwierzenia, starała się okazać zajmującą, czułą, nieszczęśliwą. Z niezmierną zręcznością i świadomością środków, z zalotnością kobiety, która przeszła przez długie doświadczenia, starała się wywrzéć wrażenie na Simonisie, zapisać tę chwilę w jego pamięci, słowem, zawrócić mu głowę.

Długą godzinę trwało to, póki Szwajcar nareszcie nie zebrał się na przestrzeżenie o tém, z czém go Fryderyk wyprawił. Zalecał ostrożność. Śmiała się Brühlowa.

Spörken znużony oczekiwaniem, wyszedł, zostawując ich sam na sam. Przedłużyło to jeszcze narady, w ciągu których hrabina tyle obcych wtrącała przedmiotów, iż byłyby mogły trwać nie wiem jak długo, gdyby baronówna, dowiedziawszy się od gienerała o przybyciu Simonisa, nie weszła do pokoju.

Przywitanie było z obu stron pełne zakłopotania jakiegoś i chłodniejsze, niż spodziewać się było można. Pepita nigdy nie miała nazbyt gorącego uczucia dla człowieka, dla którego musiała być tylko przynętą. Simonis wahał się już czy iść dalej... spotkali się więc jak często po długiém niewidzeniu bywa, zimniejsi daleko. Hrabina szydersko popatrzywszy na oboje, nie dozwoliła im zostać sam na sam i postanowiła być natrętną.

Słów kilka zaledwie mogli przemówić do siebie; baronównie, zwykle wymownéj i odważnéj, słów brakło.

— Nie spodziewaliśmy się pana bardzo; wiemy jak, trudno ze szpon króla się wydobyć.

— Ja téż na sznurku tylko wypuszczony jestem z klatki — odpowiedział Simonis — i natychmiast powracać do niéj muszę.

— Tak — wtrąciła Brühlowa — byle tylko skuteczniejszą była ta wyprawa. Każda godzina dla nas wiekiem.

— A! pani! — zawołał Szwajcar — czémże ona dla mnie dopiéro?

— Myślę, żeś się pan z tém przeznaczeniem trochę pogodzić musiał — szydersko dopowiedziała Brühlowa.

Simonis westchnął spoglądając na pannę Natalię.

Hrabina odstąpiła tylko na chwilę, aby się przejść po pokoju, ale nie spuściła ich z oka. Szyderski jéj uśmiech zarówno Simonisa, jak Pepitę ostudzał; bali się ust otworzyć. Szwajcar w końcu nie mogąc dłużéj pozostać, aby nie ściągnąć podejrzenia, kilka słów przemówiwszy, wysunął się.

Uważał, że baronówna mniéj niż dawniéj była śmiała i trzymała się w niejakiém oddaleniu.

Już był w korytarzu, gdy hrabina wyszła za nim i skinęła.

— Potrzebuję z panem zupełnie na osobności pomówić bez świadków.., tak nawet, aby drudzy o tém nie wiedzieli; jest to koniecznem. Tu niepodobna.

To mówiąc zbliżyła się doń i oddając mu klucz, opowiedziała, w którym domu w zamkowéj ulicy czekać na niego będzie przed nocą. Dom ten przez Georgenthor łączył się z zamkiem samym; hrabina miała w nim, jeśli nie mieszkanie, to kryjówkę, w któ-

rój przyjmowała swych powierników. Simonis zrazu chciał się wymawiać, lecz nakazujące, ponowione żądanie usta mu zamknęło. Hrabina nie rozumiała tego, aby jéj coś odmówić było podobna.

Gdy z głową jakby upojoną i rozmarzoną dziwnie, rozdrażniony Simonis znalazł się sam nareszcie, i zszedłszy w podwórze, spotkał się znowu z Masłowskim, którego się tu spodziewał i który czekał wistocie na niego, długo przemówić nie mógł, potrzebując znowu przyjść do zwykłego stanu. Brühlowa potrafiła dokazać, co chciała; Simonis czuł się pijanym wszystkiém tém, co niby niechcący rzuciła mu w duszę.

— Umyślniem tu na was czekał — rzekł Masłowski — bo, kto wie, czybyście gdzieindziéj chcieli się widzieć ze mną. No? cóż z wami?

— A wy? — spytał Simonis.

— Ja, to nic: mam długi i te mnie za poły trzymają.

Szwajcar westchnął.

— Gdybyście się nie obawiali — szepnął Masłowski — zaprowadziłbym was do gospody Brühlowczyków. Reszta dworzan ministra, która się tu mimowoli została, schodzi się tu wieczorami kląć Prusaków...

— Którzy nas podsłuchują — dodał Simonis.

— Gdyby tylko jeden wieczór słuchali, jużby nas tu żadnego nie było — rzekł Masłowski śmiejąc się.

— A gdzież ta wasza gospoda?

— Idziesz ze mną? — zapytał Ksawery.

Zawahał się sekretarz gabinetowy.

— Nie mogę — rzekł — wybyście się mnie obawiali, a ja was: nie mogę.

Pożegnali się i Masłowski zniknął w ciemnéj ulicy.

Szwajcar zaszedł do swéj gospody spocząć, a o wieczornéj godzinie naznaczonéj znalazł się z kluczem u drzwi domu przy ulicy zamkowéj. Zabawił tam późno w noc, a gdy wyszedł rozmarzony bardziéj jeszcze niż z rana, nie uważał nawet, iż miał jakiegoś anioła stróża za sobą, który zdaleka odprowadzał go do gospody.

W piérwszym planie Simonisa, zatrzymanie się w Dreznie niewiele miało zabrać czasu: nazajutrz wszakże z gospody wyniósł się niewiadomo dokąd i przed Masłowskim przyznał się, iż zapewnie dłużéj zostanie, niż myślał. Drugiego dnia poszedł do gienerała. Żołnierz go tak przyjął jak zwykle wojskowi biuralistów przyjmują, nie tając mu pewnego rodzaju lekceważenia.

— A waćpan tu jeszcze?

— Tak jest, panie gienerale, przyszedłem mu dać znać, iż zapewne dni kilka zabawić będę musiał, bo trafiłem na poszlaki pewne, z których będę musiał zdać sprawę.

Gienerał na niego popatrzał i pokiwał głową.

— Dobry wyżeł z waćpana — rzekł mrucząc — ale i my tu też nosy mamy... To do mnie nie należy... Wąchaj sobie waćpan i... kłaniam się! — głośniéj dodał drzwi ukazując — kłaniam się.

Stąd poszedł Szwajcar do Beguelina, który go przyjął z niezmiernym respektem, wiedząc już, że ma do czynienia z jednym z sekretarzy króla. Beguelin wobec władz wojskowych zmalał był i smutną miał postać. Sery stały zamknięte i nie wydawał się z niemi, aby ich w rekwizycyą nie wzięto. Posadził gościa na czarnéj kanapce i na wojnę wogóle uskarżać się zaczął.

— Niewygodne położenie — rzekł skrobiąc się w głowę. — Austryacy gotowi bombardować, a bomby nie pytają, gdzie który radca mieszka... Uchowaj Boże, wezmą Drezno... nasz król będzie niechybnie odbierał i spali.

Podniósł ręce do góry.

— Do czego te wojny! — mruknął — handel psują, ludzi dużo ginie i spokojności niéma...

Beguelin był tego zdania, że należało lepiéj zły pokój zawrzéć, niż najszczęśliwszą wojnę przedłużać.

Zabawiwszy trochę czasu, Simonis wrócił do zamku, ale do baronówny dostąpić nie mógł. Spotkał Brühlowa, która go na krok nie puszczała. Narady były ciągłe, we dnie i wieczorami.

Baronówna téż niebardzo się narzucała Szwajcarowi i oboje teraz znaleźli się daleko więcéj obcemi, niż byli. Kilka dni upłynęło, nim Simonis pochwycił zręczność rozmówienia się z Pepitą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy — rzekł do niéj — bo choć tu już od dni kilku siedzę, zbliżyć się do pani mi nie wolno.

— Czy moja w tém wina? — spytała Pepita — mów pan otwarcie.

Simonis trochę się zmieszał.

— Ja prawdziwie nie wiem, z mojéj strony ja także winy nie czuję.

— Może przeznaczenie? — odezwała się baronówna.

Szwajcar milczał.

— Niepodobna, ażebym ja was szukała — ciągnęło daléj dziewczę coraz śmieléj — tego po mnie wymagać nie możecie, a bądźcie szczerzy; czy wam z tém bardzo źle: ja nie wiem?

— Pani wątpi?

— Nie, ja jestem pewna, że zbyt za mną nie tęsknicie. Proszę was, nie zmuszajcie się do żadnych czułości sztucznych. Ja w razie potrzeby słowa dotrzymam, nie potrzebujecie się silić na zakochanie we mnie.

Mówiła to tak chłodno, bez żadnego gniewu, bez zazdrości, iż Simonis uczuł się tém dotkniętym.

— Widzę, żem zupełnie łaski u pani stracił — szepnął.

— Bądź pan spokojnym — dodała Pepita — spełnij tylko, coś przyrzekł, bądź nam wiernym, a na moje słowo rachować możesz...

To mówiąc, jak gdyby rozmowy przedłużać nie chciała, odeszła. W chwilę potém Brühlowa zabrała go z sobą dla narady z gienerałem Spörken.

Przybycie Simonisa było jakby bodźcem do coraz bardziéj gorączkowéj czynności. Codzień coś nowego było na stole, a rozprawy o każdym kroku zabierały godziny. Tego dnia znowu odebrano wiadomość, iż ułożone porwanie i wydanie gienerałowi Bour króla pruskiego, udać się w żaden sposób nie mogło.

Brühlowa była gniewna.

Chodziła po pokoju nie kryjąc swojego oburzenia i narzekając na niedołęstwo wszystkich, co tyle kosztowali, a nic dotąd zrobić nie mogli.

— Należy natychmiast wyprawić do Glasaua — dodała — ostatniego użyć środka... zmusić go, aby nie zwlekał... Waćpan napiszesz zaraz do niego, a gienerał wyśle pismo przez zaufanego człowieka.

Simonis się zawahał, ale niecierpiąca sprzeciwienia się najmniejszego kobieta tupnęła nogą i wskazała mu miejsce przy stole.

— Ja to biorę na moje sumienie, na odpowiedzialność moję; czasu dosyć zmarnowano... niech Glasau spełni, co przyrzekł... Nie słucham nic... poślijcie mu, co zechce... ja oddam, co mam... Zapłacimy mu, ile każe...

Zmuszony do pisania, przelękły Szwajcar usiadł. Nie było sposobu się oprzéć; spojrzał kilka razy na hrabinę; nie dała mu mówić. Powtarzała ciągle:

— Ja to biorę na moje sumienie.

Simonis napisał, co mu kazano, obwinięto papierem tym rulon dukatów. Spörken go opieczętował i wyszedł. Maks wstawał blady od stołu.

— Pani mi daruje — rzekł cicho — jakkolwiek Glasauowi udać się może...

— Musi! — przerwała hrabina.

— Lecz gdyby coś niespodzianego zdradziło.

— To nie może być.

— Jednakże — wtrącił Simonis — ja nie wiem, czy w takim razie potrzeba, żebym i ja padł ofiarą?

— Waćpan? — przerwała, za rękę go chwytając hrabina — waćpan! nigdy w świecie! Jesteś mi potrzebny. Ja losu jego się podejmuję. Baronównę możesz odstąpić, komu chcesz, waćpan nie potrzebujesz jéj, ja zapewnię jego przyszłość.

Skłonił się Simonis i dosyć poufale spytał cicho:

— Lecz jeśli tak jest, czy nie lepiéj, abym czekając na wypadek, skrył się. Jeżeli Glasau chybi...

— Glasau chybić nie może! — z gniewem w oczach i głosie odparła Brühlowa — niecierpliwisz mnie!

Dopiéro ochłonąwszy, rzekła rękę mu kładąc na ramieniu:

— Tak jest, Simonis, na tym obrzydliwym świecie możliwe wszystko: skryj się. Masz jakieś przeczucie. Ja straciłam wszelkie: gdy przeczuwam dobro, przychodzi zło, a gdy się zła spodziewam, ono jedno niezawodzi. Tak, skryj się — dodała głosem drżącym — ja potrzebuję cię...

Głowę otuliwszy dłoniami, przeszła się kilka razy po pokoju milcząca i zamyślona. Widać było, że myśl o zemście, o sprawie królowéj, o kraju, ustąpiła bliższéj jakiéjś o własnych losach.

Zwróciła się do Simonisa.

— Waćpan powinieneś stanowczo zerwać z baronówną — rzekła — ona go nie kocha, to są więzy. Ja tego nie chcę. Baronówna! — dodała — baronówna nie ma więcéj nad kawałek ziemi w górach i pusty zamek. To wszystko niewiele warte. Mój mąż wyrobi wam dar od króla znaczniejszy, ja potrafię mu uzyskać posadę. Ta wojna wiecznie trwać nie może; a jeśli Glasau... Ale nie chcę ani mówić o tém, ani rachować. Choćby Glasau chybił, są inne środki... Tak, tak — zawołała, coraz się rozgorączkowując — choćby się sto razy nie powiodło, choćby się wszyscy ulękli i cofnęli, ja nigdy! nigdy! Moja miłość i nienawiść nie kończą się, mogę usnąć, ale się budzę jutro rzeźwiejszą jeszcze. Chybabym umarła.

Przeszła się tak kilka razy po izbie, i uspokoiła nareszcie; przystąpiła do Simonisa zdejmując soliter z palca i trzymając go w ręku, rzekła pocichu:

— Ten pierścień dawno miałam od króla, daję go wam na znak, że spełnię, com wyrzekła. Zerwij z baronówną, ja się dzielić z nikim nie mogę.

Simonis całował jéj rękę blady, gdy gienerał i Pepita weszli i przerwali tę scenę. Brühlowa zapewne chcąc ułatwić to zerwa-

nie, którego się domagała, natychmiast wysunęła się z gienerałem do drugiego pokoju, oczyma nakazując Simonisowi, aby spełnił jéj rozkaz.

Baronówna wchodząc do pokoju, choć nie postrzegła może oddawania pierścienia, mogła się dymyślić poufałego zbliżenia z postawy hrabiny i pomieszania Simonisa, który zbyt śpiesznie, postrzegłszy ją, cofnął się. Nadto wiele wiedziała i słyszała z życia ówczesnego piękna Pepita, aby się jego tajemnic i intryg domyślić nie mogła; życie hrabiny było jéj znane dobrze. Miłość własna ucierpiała może w pierwszéj chwili, lecz po rozmyśle uspokoiła się łatwo. Chłodna więc i na pozór zupełnie obojętna znalazła się naprzeciw Simonisa witającego ją z nadskakującą grzecznością.

Spojrzała mu w oczy z takim wyrazem wszechwiedzy i spokoju, że Maks się trochę zmieszał, czując odgadniętym.

— Może przeszkodziłam? — odezwała się.

— Nie, wszystko skończone — odparł Maks.

— Spodziewam się, że szczęśliwie — dodała spoglądając na pierścień, który Simonis ukryć zapomniał.

Nie odpowiadając na to obwiniony, spuścił oczy.

— Tak jest, tak — rzekł — ale kiedyż można być pewnym, że to, co się wydaje szczęśliwém, rzeczywiście się powiedzie.

— Masz pan wielką słuszność, jest to prawda, która w całém życiu zastosować się daje. Nie jesteśmy nigdy niczego pewni.

— Niestety! — westchnął Maks.

Pepita spojrzała na niego i rozśmiała się.

— Cóż daléj? — zapytała.

— Najsmutniejsze to — odpowiedział Simonis — że ja zapewne będę zmuszony przez czas jakiś się ukrywać i że nie będę miał szczęścia widywać pani.

— Ale czyż to się mogło szczęściem nazywać? — odezwała się baronówna. — Mnie się zdaje, że to kłopot niepotrzebny. Ja się wcale nie łudzę.

— To ja powinienbym z tych słów pani, a podobno i z wielu innych — podchwycił Szwajcar — wnieść, że nie powinienem się łudzić. Nie mam u niéj łaski.

— Ale masz pan moje słowo — rzekła zimno Pepita — to dosyć.

— Jeśli nie mam i muszę się wyrzec serca?...—dodał Simonis.

— Któż może mówić o sercu! — rozśmiała się baronówna. — Gdybym chciała dać je, nie mogę; bo serce nie daje się, ale zdobywa...

— A ja nie umiałem, nieprawdaż? — zapytał Simonis.

Pepita zamilkła.

— Musi to być panu obojętném.

— Przepraszam panią — rzekł Maks — gdybym się miał wyrzec serca, wyrzekłbym się ręki.

Zdziwioną trochę zdawała się baronówna.

— Za pozwoleniem — odezwała się — czy to wyrzeczenie się miałoby za sobą pociągnąć i odstępstwo od naszéj sprawy? mów pan otwarcie...

— Téj sprawy już ja odstąpić nie mogę — z uśmiechem przykrym dodał Simonis — podpisałbym wyrok na siebie.

Panna Nostitz stała z jakąś niepewnością, obawą i jakby promykiem nadziei na twarzy.

— Panie de Simonis — rzekła — umiem cenić to, coś mi powiedział, przyjmuję to zrzeczenie się serca i ręki, a co się tyczy majątku...

Maks nie dał jéj dokończyć, skłonił się nizko, zakręcił, i rzekł głośno:

— Godzina nagląca, pani daruje...

— Zatém ja jestem wolna? — spytała, rękę wyciągając baronówna z nietajoną już radością.

— Najzupełniéj — odparł Maks i chwycił za kapelusz do wyjścia.

Usłyszawszy kroki, Brühlowa wyszła na próg drugiego pokoju, zmierzyła oczyma Pepitę i Simonisa i podała mu rękę na pożegnanie. Maks wybiegł.

XVIII.

W tydzień po téj rozmowie, jasnego zimowego dnia, pocztylion w ciężkich butach, obmarzły, cały na koniu, z którego para buchała, zatrzymał się przed kwaterą gienerała Wylicha. Była to poobiednia godzina, podstarzały żołnierz drzemał z fajką, a piękna Doris grała na gitarze pocichu w drugim pokoju. Wpadnięcie niespodziane kuryera, który do drzwi nawet nie zapukawszy, jak stał, wtoczył się do gienerała i podjąwszy płaszcz, z torby skórzanéj papierów zaczął dobywać, rozgniewało pana komendanta. Już miał na ustach *lumpen*... jakieś osolone, gdy spojrzawszy na papiery, do których przylepiony był kawał pióra na znak pośpiechu, na pieczęcie ogromne, na notatki u góry, zamilkł i drzwi od Doris zamknąwszy, zaraz się rzucił do papierów. Pocztylionowi ręką wskazał, aby odszedł.

Gienerał Wylich miał dosyć złe oczy, pismo było pilne i se-

kretne, zdawało się wiele zależéć na niém; zadzwonił więc, wzywając w pomoc pisarza, choć się nim posługiwać nie lubił.

Pisarz ten nazwiskiem Blind, człowiek do wszystkiego niezmiernie zręczny, kaligraf niezrównany, koncepcista osobliwy, posiadający wszelkie style, piszący wiersze, domyślający się prawdy, przy sądach wojennych ułatwiający śledztwa, jedném słowem gienialny robotnik, był zarazem najniebezpieczniejszém stworzeniem, jakie ziemia kiedy nosiła. W wojskowym trzymany rygorze, chodził posłuszny jak koń dobrze wytresowany, lecz było mu na chwilę popuścić cugli, spłatał zawsze coś takiego, za co mało było nawet kijów powszednich. A jednak bez Blinda obejść się nadzwyczaj było trudno. Gienerał Wylich wziąwszy go w spadku po towarzyszu, trzymał przy sobie, jak w więzieniu. Na oko Blind był chłop nieszpetny i silny, chociaż czerwonemi plamami okrytą miał twarz i nieco kulał. Ubiór zakrawał na pewną elegancyę.

Zobaczywszy go gienerał, poszedł pannę Doris zamknąć w trzecim pokoju, a sam wróciwszy kazał mu czytać depesze. Szły one wprost z głównéj kwatery w...

Blind rzuciwszy okiem na ogromny arkusz, nawpół zapisany, pobladł i zachwiał się.

— Co ci jest? czytaj!

Zaczął wistocie czytać Blind jąkając się, lecz ledwie pierwsze słowa wymówił, Wylich mu papier z rąk wyrwał i ręką gębę zatulił. Pokazał pięść, krzyknął:

— Milczéć! — i wypchnął za drzwi.

Depesza była największéj wagi i sekretna, nie godziło się, by na niéj oko kancelisty spoczęło. Gienerał nierad był z siebie, iż dozwolił Blindowi pokosztować tego owocu zakazanego. Co najgorzéj, że znając spryt tego wisusa, pewien był, iż raz spojrzawszy na papier, cały już połknął i umiał go z końca w koniec na pamięć. Takie przynajmniéj miał o Blindzie wyobrażenie.

Zamknąwszy drzwi gienerał, wziął się do papierów, czytał je drżący. W ostrych nader wyrazach skreślone było pismo. Król wyrzucał w niém Wylichowi, iż ślepy, nieudolny, zarozumiały, dozwolił pod swoim bokiem knuć spiski na życie króla, wysyłać szpiegów i morderców, korespondencye i pieniądze, że dopuścił na zamku w biały dzień konspirować żonie ministra, gienerałowi Spörken i królowéj.

Cała ta sieć intryg, któréj o mało Fryderyk nie padł ofiarą, tylko jego własną przytomnością umysłu i bystrém spojrzeniem odkryta została. Niejaki Glasau, opiewała depesza, będący w służbie kamerdynera przy królu, przekupiony przez Brühlową, będący w stosunkach ze świeżo zbiegłym byłym sekretarzem gabinetowym, niejakim de Simonis, nasłanym także przez żonę ministra i zdradzającym tajemnice, jakie mu były powierzone, dał się pieniędzmi skłonić do podania jego królewskiéj mości trucizny w czekoladzie. Król, gdy mu ją przyniesiono, spojrzawszy przypadkiem na twarz Glasaua, postrzegł na niéj pomieszanie, bladość, coś podejrzanego. Zapytał go surowo, co mu jest; kamerdyner złożył to na niezdrowie. Czekoladę postawiono na stoliku. Fryderyk nie miał ochoty pić jéj zaraz, czytał właśnie Plutarcha. Tymczasem Thisbe charcica skoczyła na stolik i łapczywie zaczęła zajadać królewskie śniadanie. Gdy król się obejrzał, czekolady połowa już była wypitą, a suczynka prawie natychmiast poczęła skowyczéć, tarzać się, pienić i zdechła.

Pochwycono kamerdynera Glasaua a resztę napoju dano na próbę wiejskiemu psu, który w kwadrans potém nie żył. Trucizna była więc dowiedzioną. Nakazano jak najsurowszą tajemnicę, nie chciał bowiem król, ażeby wiadomość o tém stała się powszechną. Glasaua stawiono natychmiast, zapewniając mu życie, jeśliby wyznał wszystko. W ten sposób odkrytą została zdrada Simonisa, stosunki z Dreznem; papiery nawet, które wprawdzie imion osób nie zawierały, lecz stwierdzały zeznania Glasau, i spisek uknuty w Dreznie, jeśli nie z wiedzą królowéj, to nie bez milczącego jéj przyzwolenia.

Do opisu wypadku przyłączony był rozkaz najsurowszy wyprawienia natychmiast hrabiny Brühlowéj do Warszawy, poszukiwania i uwięzienia Simonisa, najsurowszego nadzoru nad wszystkiemi, co do zamku uczęszczali i mieli z nim stosunki.

Gienerał Wylich utonął w mnóstwie szczegółów, spotniał czytając, a co najgorzéj czuł, że winę swą miejscem okupi i że wkrótce przez kogo innego zastąpionym zostanie [1]). Ażeby na straszniejszy jeszcze gniew króla nie zasłużyć, chwyciwszy się za głowę, jął się zaraz krzątać około czynnego wystąpienia. Ale od czego tu począć było?

Zadzwonił na Blinda.

Nadszedł żołnierz oznajmując, iż go nie było, że przed chwilą wybiegł na miasto. Gienerał przeląkł się, tego domyślając, słusznie czy nie, że Blind rozgadać może przedwcześnie to, co było i powinno zostać tajemnicą.

Chwili czasu nie miał do stracenia. Ubrał się więc, przywołał adjutanta, wziął żołnierzy, a że mu najwięcéj szło o Simonisa, pobiegł do jego mieszkania.

---

[1]) Zastąpił go gienerał Schmettau.

Tu dowiedział się, że od dni dziesięciu Szwajcar *wyjechał*. Posłano przetrząsać wszystkie domy, które szpiegi wskazać mogli, uganiano się do wieczora napróżno, nareszcie Wylich kazał zamek ostawić strażą, i postanowił w nim robić poszukiwanie.

Wiedział bardzo dobrze, iż nawet za brak uszanowania dla królowéj lub jéj dzieci pewnie ukaranym nie będzie. Gienerał von Spörken wyszedł naprzeciw komendanta.

— Co się stało, panie gienerale? — zapytał.

— Nie wiecie jeszcze, no to się dowiecie — odpowiedział oburzony Wylich. — Niejaki de Simonis przechowuje się w zamku, były sekretarz króla, zdrajca, którego szubienica czeka, jeśli nie ćwiertowanie; albo mi go wydajcie, lub...

— Niéma go tu, za to mogę zaręczyć — rzekł gienerał Spörken.

— Od dachu do lochów strząsę wszystko — krzyknął Wylich.

— Sile się nie możemy oprzéć, jużeśmy tego doświadczyli — odezwał się Spörken — czyńcie, co się wam podoba. Lecz jeśli późniéj Europa cała za znieważenie rezydencyi jéj królewskiéj mości i kurfirsta następcy...

Wylich nie dając dokończyć, zawołał:

— Was wszystkich i waszę Europę nie mam za tyle... (Wyraził się jeszcze ostréj). I krzyknął na żołnierzy: — Na zamek!

Spörken znikł, ażeby przygotować królową. Gdy komendant wchodził na pokoje, pierwsza mu drogę zabiegła hrabina Brühlowa: straszna była gniewem, ale zarazem i trwogą.

Wylich nie witając się z nią nawet, odezwał się grubiańsko:

— Mam rozkaz waćpanią wyprawić do Warszawy. Słyszysz pani?

— Co to jest! jakto?

— Rozkaz króla, który zostanie spełniony.

— Cóż za powód?

— Nie mam potrzeby przed waćpanią się tłómaczyć.

Gdy się to działo w sali, na któréj progu przeciwnym, królowa za portyerą słuchała i przypatrywała się, rozjątrzona do żywego tą napaścią, zamek patrole przetrząsali jak najpilniéj.

Hrabina Brühl wiedziała, że szukano Simonisa. Na kilkanaście minut wprzódy Blind, który oddawna był ujęty, dał znać o tém, co z depeszy miał czas wyczytać. Kawaler de Simonis wistocie znajdował się na zamku, ale w tych starych murach tyle było kryjówek, przejść, schówek, drzwi zamaskowanych, podłóg odmykających się, zwierciadeł, za któremi w grubości muru wyżłobione były gabinety ciemne, które za Augusta II służyły do czarodziejskich niespodzianek, a dawniéj może na straszniejsze narzędzia kary, tyle tu było tajemnic ledwie niewielu osobom znanych, że żołnierze pruscy, wedle wszelkiego podobieństwa, nic znaléźć nie mogli. Simonis, w jedném z takich wyżłobień w wielkiéj sali ukryty, słyszał, jak żołnierze przechodzili ją, jak się dokoła drzwi odmykały, jak zamek tętniał przekleństwy, wykrzyknikami i ciężkiém stąpaniem Prusaków, jak Wylich klął i niecierpliwił się, i czekał losu, jaki go miał spotkać. Na kilka dni wprzódy przewidując niebezpieczeństwo, opatrzył się był w truciznę, którą trzymał w pogotowiu, gdyby przypadkiem ci, co ściany opatrywali i bili w nie szukając, gdzieby zadzwoniła próżnia, trafili na ukryty gwóźdź, cienkie utrzymujący zwierciadło.

Dwie godziny trwało nadaremne przetrząsanie zamku, w czasie którego pokoje królowéj nie były oszczędzone. Żołnierze przetrząsali łóżka, zrywali opony, wciskali się w najciaśniejsze kąty. Ołtarz domowéj kaplicy otworzono z tyłu, myśląc, że tam się zbieg ukrywa.

Późno już było, gdy gienerał Wylich, coraz gniewniejszy, straże u bram zostawując, kazał nareszcie poprzestać. Wszedł jednak raz jeszcze na górę i przywolanéj hrabinie oświadczył surowo, żeby się natychmiast w podróż wybierała.

— Jeżeli chcecie wiedzieć o przyczynie, to wam jéj taić nie będę — zawołał gienerał. — Schwytano tego, któregoście przekupili dla dania królowi trucizny. Wszystkie wasze sprawy wiadome. To gniazdo osie oczyścimy.

Brühlowa przymuszonym ale głośnym wybuchnęła śmiechem, a Wylich się oddalił.

Na zamku panowała trwoga i oburzenie, dworska służba stała niema, Spörken przechadzał się po galeryi, zżymając się i naradzając sam z sobą.

Nie obawiał się on wale, ażeby Prusacy kryjówkę mieli odgadnąć, lecz niezupełnie był pewnym swéj służby, aby któryś z nich pobytu na zamku nie zdradził. W owych czasach nikomu zbytnio dowierzać nie było można. Dlatego nie spuszczając się na nikogo, sam ukrył Simonisa. Kilku jednak ludzi o poprzedniém jego mieszkaniu na poddaszu wiedziało.

Przez cały czas poszukiwań hrabina Brühl stała ponad schodami, z zaciśniętemi usty, drgając na każdy wykrzyk głośniejszy, cisnąc ręką pierś zburzoną i nie umiejąc w sobie ukryć niepokoju, jaki nią miotał.

Kilka razy słabnąc, chwyciła się galeryi. Przywiązanie jéj do Simonisa, niedawne jeszcze, przeszło w namiętność, która niedługo może w sercu trwać miała, lecz tém też teraz była gwałtowniejszą. Spoglądała błagająco na Spörkena, który jéj dodawał męstwa, a gdy się wreszcie skończyło wszystko, poszła bezsilna paść na krzesło.

Simonis był wprawdzie ocalonym chwilowo, lecz należało go z zamku uprowadzić i ułatwić mu ucieczkę.

Pośpiech był koniecznym, a wykonanie zdawało się prawie niepodobnem. We wszystkich bramach stały straże. Wśród tego tłumu, jaki jeszcze napełniał zamek, łatwo się było szpiegów domyślać.

Hrabina błąkała się tak myślami, nie umiejąc znaléźć środka, gdy baronówna stanęła przed nią, a widząc, że jéj nie postrzeżono, lekko dotknęła ręką dłoni Brühlowéj, która krzyknęła z przestrachu.

— To ja — odezwała się spokojnie Pepita — to ja. Potrzeba radzić.

— Straciłam głowę! Glasau pochwycony, stracone wszystko. Simonisa ocalić niepodobna.

— Musimy to uczynić — odpowiedziała baronówna.

Hrabina spojrzała jéj w oczy.

— Wiesz sposób?...

— Trzeba go szukać, jest ich tysiąc, a najprzód czekać spokojnie i nie wydawać się z obawą.

Na te słowa wszedł Spörken, wszystko troje stanęli milczący, gdy szmer zwiastował wnijście czyjeś: Brühlowa spostrzegła idącą królową i podniosła się.

Królowa Józefa nosiła już w sobie zaród téj choroby, która ją wkrótce życia pozbawić miała. Blada, drżąca, z oczyma pełnemi łez i gniewu, wlokła się raczéj, oparta na ramieniu jednéj z panien, niżeli szła. Stawać musiała co chwila, i oddychać.

Z poszanowaniem dla téj niedoli rozstąpili się wszyscy.

Królowa była jakby w gorączce boleści, która jéj nadawała powagę męczennicy i natchnienie wieszczki. Powiodła oczyma nie widząc nic.

— Cóż więcéj nas czeka? — zawołała — jakie jeszcze upokorzenie? jakie urągowisko? Mówcie, ja zniosę wszystko; ja-m zniosła już tyle, że z méj rodziny nikt ze mną na równi stanąć nie może. Gienerale mów!...

— Najjaśniejsza pani — odezwał się Spörken — niéma nic nowego, ani nic zagrażającego jéj królewskiéj mości.

— Nie oszczędzajcie mnie — poczęła królowa — Bóg wié, co i dlaczego zsyła... Ja-m przyszła tu, abym grzechy ojców naszych zmazała pokutą. Niech ręka boża chłoszcze, ażeby krew zmyła plamy, ażeby pokolenia następne czyste były i wolne. Karz nas, Boże, a przebacz plemieniowi naszemu!

Mówiąc to, płakała, a mówiła nie dla tych, co ją słuchali, ale jakby sama do siebie, zmuszona do téj spowiedzi uczuć i myśli.

— To nie koniec — rzekła po chwili — to początek drogi krzyżowéj, a każdy na niéj krok zmywa plamę. Karz Boże! chłoszcz mnie, abyś dzieciom przebaczył! — powtórzyła bijąc się w piersi.

Podano krzesło, gdyż Józefa osłabła i siły ją opuściły nagle. Wszyscy stali nieporuszeni. Usta jéj, jakby cichą, szybką odmawiały modlitwę.

Upłynęło minut kilka, zdawała się nieco uspokojoną.

— Spörken — rzekła — ja widziałam tych napastników, wiem, że znowu popełnili tu gwałt; ale nie wiem przyczyny. Cóż się stało?

— Najjaśniejsza pani — poczęła hrabina Brühlowa głosem ochrzypłym od połykanych łez — targnął się ktoś na życie tego, który sam targa się na wszystko. Przypisują ten zamach, nie wiem komu; mnie może, bo mi precz stąd jechać kazano .. na zamku szukano wspólników.

Królowéj oczy się ożywiły ciekawością.

— Zamach? co to było?

— Mówią... trucizna... którą pies wypił...

— Biedny pies — odezwała się pocichu królowa. — Kazano ci wyjechać? — zapytała Brühlowéj. — Jesteś szczęśliwszą ode mnie, ja nie mogę ruszyć się stąd, bom powinna dotrwać na stanowisku; moje miejsce jest tutaj: ja tu umrę...

Spörken odezwał się uspokajając królową, zaczęli mówić wszyscy, opowiadano szczegóły, których królowa zdawała się słuchać z zajęciem. Powoli poruszenie, gniew, boleść uśmierzyły się, królowéj Józefie wróciła jéj rezygnacya i dała się swym kobietom nakłonić do przejścia do swych pokojów. Po drodze tylko wstąpiła do kaplicy, a kapelana przywołano na wieczorne modlitwy.

Na zamku uciszało się powoli, światła gasły, i tylko straże u bram, chodem ciężkim i szczękiem broni ją przerywały.

XIX.

Pan Ksawery Masłowski spał jeszcze, gdy gospodyni jego, nie pytając o pozwolenie, weszła do pokoju.

— Na miłość Boga! pan śpisz, a pan nie wiesz nic! — zawołała.

Porwał się stolnikowicz oczy przecierając.

— Cóż się stało? kot waćpani zdechł!

— Jak można żarty w takiéj chwili stroić. Na zamku się coś stało!... Ja nic wiem: po całém mieście chodzą okropne wiadomości. Prusacy wczoraj cały zamek trzęśli, szukali po piwnicach, po strychach; hrabinie Brühlowéj precz wyjeżdżać kazano. Mówią, że pochwycono człowieka, co chciał struć króla pruskiego. Szukają ja-

kiegoś sekretarza, co z nim należał do spółki, jakoby ukrytego na zamku. Sądny dzień.. a pan śpisz...

Usłyszawszy ostatnie wiadomości Masłowski, który wiedział trochę, co się na zamku działo, bo się tam często jakoś podkradał, ażeby czasem piękną baronównę zobaczyć, porwał się z łóżka jak oparzony i zaczął wołać, aby mu do ubierania się podawano.

Pośpiesznie odział się, niebardzo zważając, co na siebie kładzie, a że zima była już bardzo ostra i mróz wielki, narzucił futerko, aby co prędzéj biedz się dowiedzieć na zamek.

Zrana wprawdzie pruskie straże były pozdejmowane, stali znowu Szwajcarowie; na pozór nie było nadzwyczajnéj pilności koło zamku: lecz dokoła spotykało się twarze i figury, jakie się tu zwykle nie trafiały. Po ulicy Zamkowéj i około katolickiego kościoła przechadzało się mnóstwo odartusów, których łatwo było posądzić, iż niedawno pruskie mundury pozrzucali. Nie doznał pan Ksawery żadnéj przeszkody wchodząc na podwórze. We wnętrzu było spokojnie. Poszedł więc jak zwykle na wschody, azali gdzie w korytarzu kogo znajomego lub baronówny nie spotka.

Była to godzina mszy rannéj, któréj królowa słuchała w małéj kaplicy. Masłowski stanął tak, aby wracający dwór go nie minął. Jakoż wkrótce potém wyszła zakwefiona królowa, a za nią hrabina Brühlowa i inne panie. Pepita zobaczywszy Masłowskiego, zatrzymała się.

— Wiesz pan o wszystkiém? — spytała.

— Nic nie wiem, oprócz, że coś się miało stać nieprzyjemnego. Na tę wieść przybiegłem.

— Simonisa szukają... cały zamek wczoraj przetrzęsiono... Ocalić go potrzeba. Jabym na sumieniu miała jego nieszczęscie, bom go wciągnęła, namówiła, skusiła. Ja go ocalić muszę! muszę! — powtórzyła baronówna z energią wielką.

Masłowski spojrzał.

— Czy mi pani ufasz? — spytał.

— Pytasz pan o to? — ruszyła ramionami.

— Jest on tu?

Pepita głową tylko odpowiedziała. Ksawery zamilkł posępnie, potarł czoło.

— W korytarzu naradzać się niepodobna — rzekł — chodźmy, jeśli pani pozwoli.

— Proszę! chodź, zmiłuj się! Myślałam o was, spodziewałam się jeszcze wczoraj.

— Ja nic nie wiedziałem.

Mówiąc tak, weszli do pokoju frejliny.

Było to mieszkanie, do którego w zwykłe dni nigdy stopa obca posunąć się nie mogła. Masłowski pierwszy raz przestępował próg tych cichych pokojów, w których niewieścia dłoń z wdziękiem właściwym kobiecie rozłożyła wszystko. Nie śmiał się posunąć daleko od progu.

Pepita wskazała mu, by szedł za nią Zrzuciwszy z siebie zasłonę, w któréj szła do kaplicy, stała przed nim w całym blasku piękności, któréj smutek i znużenie dodawały uroku. Załamała ręce.

— Na miłość bożą, radźcie! — szepnęła — lecz nie mieszajcie się wy, ażebym po raz wtóry nie miała na sumieniu ciężaru. Jego szukają, na niego czatują: chociaż go wczoraj nie znaleziono, są pewni, że się tu znajduje.

— Najprzód o tém się przekonać potrzeba — rzekł Ksawery —wprawdzie około zamku kręci się mnóstwo ludzi, jakby z szubienicy oberwanych, ale ci może troskliwi są o co innego.

— W nocy go wyprowadzić trzeba — dodała Pepita.

— Najgorzéj — przerwał Masłowski — nocą pewnie pilnować będą, w biały dzień najbezpieczniéj.

Zamyślił się pan Ksawery.

— Bądź pani spokojną — rzekł; — wyprowadzę go, znajdzie się na to jakiś środek. Lecz gdy go wyprowadzimy... cóż daléj? dokąd?...

Pepita oczy sobie zakryła.

Pomocnik jéj tak już był sprawą tą zajęty, że zdawał się nawet gospodyni, dla któréj był z takiém uwielbieniem, nie widzieć.

— Gdyby to nie było bardzo straszne — rzekł — jakieby to było zabawne, z pod nosa Prusakom go wziąć i to w biały dzień.

— Jakże w dzień?

— Przebrać go najłatwiéj, przecież na zamku znajdziemy w co... Niechno mnie pani puści do barona Spörkena.

Ruszyła się Pepita, ale Masłowski ją wstrzymał.

— Przecież i po dachach, jeśli zręczny, może doskonale dostać się na drugą stronę ulicy.

— Najłatwiéjby go spostrzeżono. Co za myśl?

Masłowski z kolei najrozmaitsze podawał środki, ale jedne od drugich trudniejsze do wykonania. Wyczerpał cały swój zapas imaginacyi i stał trochę zmieszany.

— Bądź co bądź — dodał w końcu — jeżeli w téj chwili największa jest pilność, należy go przetrzymać, późniéj mniéj będą zwracać uwagi.

— Ale męczarnia tego człowieka!

Masłowski ramionami ruszył.

— Na to niéma sposobu.

— Siedzi zamknięty w ciasnéj i ciemnéj kryjówce.

— Daj mi pani trochę czasu, namyślę się, coś zrobić musimy...

— Panie — składając ręce odezwało się dziewczę — zdejm mi z sumienia ten ciężar, całe moje życie wdzięczną ci będę. Myśl ta mnie dusi: jam winna.

— Trochę czasu, trochę czasu!... bądź pani spokojną.

— Daję panu godzin...

Masłowski uszy zatknął.

— Nie przyjmuję tego warunku, idę i nie wrócę, aż coś wymyślę.

Wybiegłszy z pokoju baronówny, Masłowski wprost skierował się do bramy i już miał się wymknąć w ulicę, gdy z dwóch stron para ciężkich rąk uderzyła go po ramionach i uczuł się zatrzymanym. W mgnieniu oka ręce mu w tył zarzucono i pruski żołnierz zawołał: *Vorwärts!*

Napróżno Masłowski wyrywał się i łajał, otoczono go i popychano. Gawiedź ta była najpewniejsza, że w młodym człowieku wzięła szukanego Simonisa. Tłum uliczny począł się natychmiast gromadzić, i z hałasem wielkim, ulicą Zamkową pchano go tak ku Rynkowi. Masłowski zły był, choć zresztą nie obawiał się żadnych następstw groźnych. Uroczyście bardzo prowadzono go tak do komendanta, gdyż z każdym krokiem gromadziło się więcéj ludzi. Przodem już pobiegł ktoś dać znać, że Simonisa prowadzono. Wylich w rozpiętym mundurze wybiegł naprzeciw tak pożądanego gościa: spojrzał i z gniewu obie ręce podniósłszy z pięściami do góry, krzyczéć począł.

Ci, którzy wzięli Masłowskiego, chcieli usprawiedliwić pomyłkę i obdartus jakiś na ucho coś bardzo żywo począł wskazując winowajcę, opowiadać Wylichowi, który się powoli uśmierzył. Wprowadzono go z rękoma związanemi do izby komendanta, żołnierze się cofnęli, ale instygator pozostał. Zaczęło się badanie, na które bardzo spokojnie odpowiadał Masłowski, świadcząc się gospodynią swą i mnogiemi znajomemi, kto był.

— Ja wiem, że ty nie jesteś Simonis — zawołał Wylich — ale sługa Brühlów, który do wszystkich intryg należał.

— Niczyim sługą nie jestem — rzekł Ksawery — byłem dworzaninem ministra, a dzisiaj przez samo poszanowanie dla królowéj i pozostałéj rodziny mojego króla chodzę do zamku.

— Ty o wszystkiém wiesz i ty mi musisz powiedzićć wszystko! — krzyknął Wylich — do więzienia! do więzienia!

Masłowski z początku wymawiał się, wspomniał o bilecie wydanym z rozkazu króla, o pochodzeniu, ale to nie pomagało nic. Wylich był zły i słuchać nie chciał, tupał nogami powtarzając: do więzienia!

Szlachcicowi w końcu już się i tłómaczyć sprzykrzyło, odwrócił się milczący i dał prowadzić, gdzie chciano. Izba, do któréj go zamknięto, nie daléj się znajdowała, jak na odwachu, a odwach naówczas był w Brühlowskim pałacu. Była to więc doskonale znajoma panu Ksaweremu ciemna, sklepiona komnata, w któréj dawniéj stróże i palący w piecu przemieszkiwali.

Gdy go tu wepchnięto, znalazł się wśród kilkunastu ludzi pobranych za różne przewinienia, którzy tu losu swego czekali. Gawiedź była uliczna, obdarta, brudna, patrząca dziko; towarzystwo wcale nie przyjemne; lecz pan Masłowski, który nowicyat odbył w pruskiéj niewoli, umiał się zgodzić z przeznaczeniem. Przyjęto go wejrzeniami nieufnemi i złośliwemi. Myślał, że znajdzie może twarz jaką znajomą, lecz zrazu nie postrzegł nikogo. Pozarastałe zresztą w więzieniu brody, łachmany, sadze i brud, czyniły tych ludzi nie do poznania zmienionemi.

Ławy pod ścianami służyły za siedzenia; wiadro z wodą i czerpakiem do powszechnego użytku. Milczenie przymusowe panowało w izbie, przerywane tylko mruczeniem, które, gdy się cokolwiek głośniejszém stawało, żołnierz stojący pode drzwiami wołał kaprala, a ten z laską wchodził, i nie szukając winnego, grzmocił po plecach pierwszych z brzegu, co wpajało potrzebną solidarność gromadzie. Musieli się wszyscy wzajem pilnować; aby hałasu nie było. Niektórzy palili coś nakształt tytoniu, napełniającego izbę dymem wlokącym się pasmami do okna. Masłowski począł rozmyślać nad swym losem, gdy mężczyzna ogorzały, przygarbiony, z zawiązaną gębą, w czapce naciśniętéj na uszy, tak, że twarzy jego prawie widać nie było, zbliżył się do niego. Stanął nad nim, bo Ksawery przysiadł był na rogu ławy, ręce w kieszenie włożył i patrzał długo. O ile twarzy z pod szmat otaczających ją widać było, zdawała się uśmiechać.

Masłowski popatrzał i nierychło poznał w nim stróża niegdyś pałacu Brühlowskiego, który był przed kilku laty wzięty z Warszawy. Zwano go Kondratem. Był to Dyogenes w swoim rodzaju: milczący, powolny, śmiejący się ze wszystkich, niepotrzebujący wiele, obojętny nawet na rany, i chodzący wśród najwytworniejszego dworu Brühlowskiego, w obdartym kożuchu lub płóciennéj odzieży, z rodzajem pogardy dla tych, którzy się na świecidełka zmagali.

Kondratem na dworze posługiwali się słudzy sług: on mył, wodę nosił, w piecu palił i robił to, czego nikt się nie podjął.

Lecz służba jego i swoboda kończyła się z brzaskiem. Gdy inni wstawali, Konrad gdzieś się w dziurę zaszywał i spał. W nocy włóczył się po najpyszniejszych salonach, często z ironicznym uśmiechem brał w ręce kosztowne cacka, przyglądał się im i stawiał drwiąco na miejscu. Główną zaletą jego była nieposzlakowana wierność. W pokoju gry, często znajdował walające się pieniądze, po salach balowych zgubione klejnoty: wszystko to zbierał starannie i oddawał jak najwierniéj.

Jemu nad ciepły łachman, strawę, dziurę, w któréj spał, i kieliszek wódki, nic więcéj nie było potrzeba. Kondrat znał w pałacu nietylko ludzi wszystkich, ale wiedział tajemnice, stosunki, nocne wycieczki, grzechy powszednie i śmiertelne téj gromadki, która grzeszyła wiele i niebardzo się nawet z têm kryła.

Obojętny dosyć widz patrzał, śmiał się, ramionami ruszał, a że języka ledwie urywanych wyrazów się nauczył, nie miał nawet przyjemności żółci swéj wylać przed nikim, chyba przed którym z polskich paniczów, jak ich nazywał. Z Polakami dzieje się to zwykle, że doma buty mają do zbytku, ale zagranicą, gdy swój język posłyszą, gotowi nawet takiego prostego chłopa uścisnąć. Tak przynajmniéj dawniéj bywało; Kondrat więc, jakkolwiek obdarte stróżysko, czasem się z paniczami wdawał w rozmowę: Masłowskiego zaś szczególniéj lubił.

Teraz z politowaniem jakiémś patrzał na niego, ale zarazem twarz mu się, nawykła do szyderstwa, krzywiła ironicznie. Długo nie odzywał się nic. W końcu:

— No, a co, paniczu? — rzekł — dobrze?

Ksawery spojrzał.

— A ty tu dawno?

— Ja? a od rabunku. Ciąłem jednego po pysku i wsadzili, proszę panicza; a pan co?

— Ja nic zrobiłem nic, ot tak zachciało im się.

— A to wy tu nic wyżyjecie — rzekł Kondrat — ja, to co innego, ale wy. U nas, z pozwoleniem, świnie lepiéj karmią...

— Jużem ja próbował téż w niewoli pruskiéj i zgniłego chleba i żadnego.

— Długo? — spytał stróż — ja dwa dni, jak woda jest i jest gdzie się położyć, to wytrwam *przez* niczego...

— A ja téż — rzekł Masłowski.

Kondrat głową pokręcił.

— To proszę panicza, na szlachcica dużo! to dużo!

Wśród téj rozmowy w obcym języku, co było Niemców, słuchało ciekawie, co było Serbów z Łużyc, którzy gdzieniegdzie słowo chwytali, uśmiechało się niby braterskim dźwiękom mowy.

Ale Kondrat już dłużéj nie chciał gawędzić, zamyślił się posępnie. Masłowskiemu zdawało się, że go puszczą po kilku godzinach, ale nie przyszedł nikt. Rozdano chleb komisowy, posłano po wodę, naostatek i jakiéjś polewki w kociołku dali. Szlachcic chleb swój wziął, jeść mu się nie chciało. Kondrat swój osolił, dobywszy z węzełka soli i począł zajadać z wielkim apetytem.

Jedzenie gwar zwiększyło, kapral z kijem wszedł i ucichło wszystko. Stróż, ponieważ miejsca nie było na ławie, padł na ziemię niedaleko od Masłowskiego.

Inni téż jako tako podjadłszy, gdzie kto mógł, na podłodze próbowali spać, aby czas prędzéj przeszedł. Gdy się uciszyło, Kondrat pochylił się do ucha Masłowskiemu.

— Gdybym ja chciał, uciekłbym; a co mnie z tego?

— Jakim sposobem — spytał Ksawery.

— E! bestye te nocą śpią jak zabite, a tu były w murze drzwi, które ja sam pomagałem w jednę cegłę zakładać. Jakby podłubał trochę, dziuręby zrobić łatwo.

— Gdzie one wychodzą — zapytał Masłowski.

— Do pustéj sieni, no z sieni do ogrodu i po wszystkiém...

— A straże?

— Od ogrodu ich niéma. Ale nie warto pod zimę na mróz uciekać — dodał Kondrat — niechajno...

Ta wiadomość poruszyła mocno Ksawerego.

— Jednę noc przetrwam — rzekł w duchu — a drugiéj wybiję mur.

Do wieczora nie zgłosił się nikt, nie spytał. Masłowskiemu zaczynało być bardzo nudno; przypomniawszy sobie jednak położenie Simonisa, wolał jeszcze swoje.

Noc przeszła na czuwaniu i słuchaniu chrapań i krzyków téj ciżby, któréj niespokojne sumienie odzywało się przez sen. Kondrat przespał na podłodze, jakby w najwyśmienitszéj pościeli. Powoli zaczął się zimowy dzień robić i w pałacu ruch się wszczął niezwykły.

— Coś te dyabły robią — rzekł stróż — albo pałac uprzątają, albo go do reszty burzą.

Ode drzwi więźniowie coś pochwyciwszy z korytarza, mówili, że pałac dla króla sztyftują.

Wistocie tak było podobno.

Około dziesiątéj od komendanta przyszedł oficerzyna i zawołał pana Masłowskiego. Uwolniono go, nie mówiąc ani dlaczego, ani z czyjéj łaski. Oficer tylko mu zapowiedział, ażeby z Drezna się wynosił.

Z równą prawie obojętnością, jak się dał zamknąć, wyszedł Ma-

słowski wsunąwszy coś w dłoń Kondratowi, który pozostał tak spokojnie, jakby mu to zupełnie było jedno. Niespokój o Simonisa, chęć widzenia baronówny, skłoniły go, ledwie nieco otrząsłszy się i obmywszy, pobiedz do zamku. Bez pozwolenia tym razem poszedł wprost do pokoju Pepity. Nie było jéj tutaj i młoda służąca tylko, któréj narzeczonego zabrali Prusacy, siedziała płacząc u okna. Masłowski poprosił jéj, by pani o nim oznajmiła.

W kilka minut nadbiegła rozpromieniona Pepita.

Podziękuj mi pan — rzekła — gdybym go nie uwolniła, siedziałbyś do końca wojny.

Masłowskiemu tego tylko było potrzeba, ażeby rękę pięknéj panny pochwycić i serdecznie spojrzéć jéj w oczy.

— Jakim sposobem? — spytał.

— Przez stryjenkę moję, którą Prusacy szanują — żywo odpowiedziała Pepita, obejrzała się na siedzącą sługę i dodała cicho: — Gdybym tak mogła...

Wzrok jéj dopowiedział, że Simonis jeszcze na zamku pozostał.

— Kiedy wyjeżdża hrabina Brühlowa? — spytał.

— Prędko, prędko; ale nie prędzéj, aż... rozumiesz mnie pan.

Masłowski musiał się domyślić, że szło o zabranie Simonisa.

Więzienie nietylko mu nie odebrało odwagi, ale go uczyniło zuchwalszym. Dał znak pięknéj pannie, aby z nim wyszła na korytarz.

— Niéma co zwlekać — odezwał się — król Fryderyk ma przybyć do Drezna, naówczas wszystko stanie się trudniejszém. Podejrzliwy, zgryźliwy, mieszający się do wszystkiego; kto wie do czego się może rzucić. Ja biorę na siebie, że Simonisa wyprowadzę; dajcie mi go tylko: przebiorę, uczernię go; zbrukam, zabiorę do siebie i albo oba zginiemy, lub ucieczemy.

Baronówna zaprowadziła go do Spörkena, który rad był pozbyć się i odpowiedzialności i więźnia.

Zgodził się na wszystko. Poszli więc razem do pustéj sali i pozamykawszy drzwi, wyciągnęli Simonisa z kryjówki. Miał on tu i posłanie i jedzenie; zdaje się, że nawet dodając mu odwagi, odwiedzała go hrabina Brühlowa; jednak gdy się wydobył na światło dzienne, ledwie na nogach się mógł utrzymać. Kręciło mu się w głowie, blady był jak trup.

Z sali przez cały szereg pokoi przeszli pocichu do gabinetu, w którym Masłowski zajął się przebraniem Simonisa. Gienerał sam dostarczył łachmanów, sadzy komin, a inwencyi Masłowskiego żywa wyobraźnia. Szklanka wina orzeźwiła drżącego. Rozpuściwszy mu włosy i obmywszy je z pudru, zaczerniwszy twarz,

okrywszy go łachmanami, zdawało się Masłowskiemu, że dokazał arcydzieła. Simonis posłuszny jak dziecko, robił, co mu kazano.

Sznur i wiązka drew na plecach, służyć miały do dopełnienia téj maskarady, która tragicznie skończyć się mogła. Spörken namówił Simonisa, aby za siermięgę wziął puginał i w razie, gdyby go kto chciał pochwycić, bronił się nim a uciekał.

Masłowski iść miał nieco przodem, tak, aby go z oczów nie tracić. Wszystko było jak najlepiéj ułożoném i zdawało się niepodobieństwem, ażeby Simonisa pod tą postacią poznać miano; brakło tylko jednéj rzeczy: przytomności i męstwa. Szwajcar znużony więzieniem, osłabły od nieustannego strachu, gdy miał wyjść za próg, tracił męstwo i wypraszał się do zmroku. Napróżno Masłowski starał się mu tłómaczyć, iż właśnie naówczas straże najczujniejsze były.

Naostatek, gdy już z niego szydzić zaczynano, Simonis ruszył się nareszcie w korytarze puste. Masłowski zbiegł drugiemi wschodami. Spörken, ukryty w oknie, zdaleka miał miéć oko na cały przebieg téj niebezpiecznéj próby.

Dziwnym trafem, w chwili właśnie, gdy Simonis z bijącém sercem wychodził w podwórzec zamkowy, rozmierzając oczyma dosyć znaczną przestrzeń, która go dzieliła od wrót, ulicy i swobody, na Kreuz-Kirche, Frauen-Kirche i w innych kościołach uderzono gwałtownie we dzwony.

Król Fryderyk w swoim starym płaszczu, na Brühlu wjeżdżał do miasta; tym razem, chcąc być zamku bliżéj, nie do pałacu Moszyńskich, ale do Brühla pałacu jadąc prosto, gdzie sobie kazał wyporządzić mieszkanie.

Simonis usłyszawszy dzwony, nagle zadrżał; nogi mu zadygotały, nie wiedział, co to znaczyć miało, zatrzymał się, jakby zapomniał, w którą ma się kierować stronę.

Była to właśnie dla niego chwila najpomyślniejsza, bo żołnierstwo wybiegało do bram w ulicę Zamkową, w nadziei, że tam króla zobaczy; w drugich wrotach został jeden żołnierz roztargniony. Simonisowi wszakże dwoiło się w oczach, widział niebezpieczeństwo, nie pojmował tego składu pomyślnego okoliczności. Masłowski już stał w bramie i sobą napróżno zasłaniał żołnierzowi drogę, aby przekradającego się nie mógł zobaczyć. Simonis stał. Spörken, który na to patrzał za oknem, ręce łamał i klął niezdarnego awanturnika. Tak drogi już moment pierwszy został stracony. Dzwony biły ciągle zapamiętale.

Superintendent Am Ende, który w kilka dni potém miał królafilozofa uczęstować predyktem, do którego użył za godło *Suum cuique*, witał właśnie Fryderyka w rynku. W mieście panowała

wrzawa dochodząca aż tutaj. Simonis wreszcie oprzytomniał i widząc, że nikt nań nie patrzy, nikt się go nie czepia, począł iść ku bramie.

Szczęściem to było wistocie, iż nikt nie miał czasu nań spojrzéć, tak źle grał swoję rolę starego stróża, przygarbionego pod wiązką drew niesioną do domu. Biegł zbyt żywo, prostował się, stawał, zdradzał niepokój i niepewność siebie.

Ale żołnierz właśnie patrzał w ulicę, a Masłowski ciągle służył za parawan, gdy naostatek Simonis szybko się z bramy w ulicę wychwycił. Tu mu sił zabrakło, musiał się oprzéć o ścianę.

Masłowski odetchnął wolniéj.

Wkrótce potém przebrany biedak wywlókł się po za kościół: Ksawery poszedł za nim.

Do mieszkania jego trzeba było iść przed pałacem Brühla, przed którym stał właśnie batalion piechoty i gdzie się króla spodziewano. Obawiając się, aby nieprzytomny Simonis nie rzucił się na oślep, Masłowski, mijając go, musiał mu szepnąć:

— Za bramę, nad Elbę... i naokoło do mnie... czekam na was...

Iść razem nie podobna było; tu zresztą Simonis nie zwracał już niczyjéj uwagi i mógł się łatwo w tłum wmieszać, którego wszędzie było pełno.

Jakkolwiek lud był może przywiązanym do dynastyi, dwa takie panowania jak Augusta Mocnego i Słabego, nie mogły przejść bez skutku. Na kilkuset ludzi, co się rozrzutnością dworu żywili i zbogacali, miliony cierpiały pod uciskiem niesłychanym. Podatki były ogromne, a obchodzenie się z krajem surowe. Szlachta miejscowa kilka razy chciała u stóp tronu złożyć najpoddanniejsze prośby, ale Brühl ich nie dopuścił. Lękano się jéj i zastąpiono cudzoziemcami. Cały kraj oprócz tego był protestanckim i fanatycznie do reformy przywiązanym, która na dworze cierpianą była, gdy katolicyzm doznawał opieki czynnéj i krzewił się coraz więcéj. Widziano w Fryderyku, który wprawdzie przynosił wojnę, kontrybucye, kwaterunek, werbowanie przymusowe, monarchę protestanckiego i opiekuna kościoła. Część więc znaczna ludności zwracała ku niemu oczy. Król, który w Berlinie nigdy prawie, oprócz obrzędów uroczystych i przymusowych, nie bywał w kościele, w Dreznie gotów był nawet kazań słuchać cierpliwie.

Pochód przez miasto pod oknami zamku, pod oczyma królowéj i jéj rodziny, umieszczenie się o kilkadziesiąt kroków od rezydencyi, mogło uchodzić za brawadę, i było nią zapewne wistocie, bo pałac Brühla zniszczony zupełnie, ani wygodnym, ani przyjemnym być nie mógł.

Simonis unikając kup, które się tu gromadziły, wyszedł zaraz za bramę i spuścił się małą ścieżyną po-pod samemi murami, która stała całkiem pustą. Gdy Elba wzbierała, rzeka niekiedy podchodziła pod stare ściany twierdzy; teraz pomiędzy niemi a rzeką była dróżka, która prowadziła na przedmieścia zamieszkane przez rybaków. Pomimo chłodu, czuł pot na czole; otarł go, sparł się o mur i stał długo, odzyskując zwolna trochę odwagi i energii. Lecz nie był to już ten sam człowiek, który się niedawno ważył na wszystko.

Przedłużona trwoga ciągłego oczekiwania wyczerpała siły i ochotę do czegokolwiekbądź oprócz ocalenia życia. Myślał znowu z tęsknotą o Bernie, o siostrze, i byłby przyjął ubóstwo wieczne, byle znad jego karku ustąpił ten miecz Damoklesa.

Szubienica, koło, rwanie końmi, ćwiertowanie, wszystko to z kolei przychodziło mu na myśl. Hrabina Brühlowa, wielkość przyszła, dostojeństwa, bogactwo, czémże były, położone na szali obok takiego sromotnego końca? Długo stał Simonis, nim się opamiętał i powlókł daléj. Rozgorączkowanie myśli, to chwilowo usunięte niebezpieczeństwo, dozwoliły mu zapomnieć, iż powinien był pozostać zgarbionym włóczęgą w łachmanach. Naprzód wiązkę drew rzucił pod murem, potém trąc czoło i twarz oczyścił ją w części z sadzy i umyślnego brudu; naostatek rozprostował się i zwykłym krokiem począł iść nad Elbą.

Tu już naówczas stało kilka letnich domków i mieszkań zajmowanych przez zamożniejszych dworaków. Simonis zapomniał lub nie wiedział, że i wuj Ammon miał tu maleńką posiadłość. Przypuszczać zresztą było trudno, ażeby ją w téj porze zimowéj mógł odwiedzać. Lecz są ludzie stworzeni do tego, ażeby im się nie wiodło.

Troskliwy o swój opuszczony domek, powracał właśnie stary Ammon pieszo śpiesząc do miasta, usłyszawszy dzwony zwiastujące króla przybycie; gdy na drodze oko w oko niemal go potrąciwszy, spotkał się z Simonisem. Oba stanęli osłupieli. Ammon wiedział od Wylicha o swoim kuzynie i jego zdradzie, wypierał się go z całych sił; gdy w tém dziwném przebraniu zjawił się mu przed oczyma. W pierwszéj chwili zawahał się z poznaniem. Simonis też chciał nie dając czasu do rozmysłu uciekać, gdy Ammon rzucił się na niego.

— Stój! ty trutniu! przechero jakiś! łajdaku! stój! — I pochwycił go za ramię.

— Czy waćpan chcesz mnie wydać? — zawołał Simonis obejrzawszy, że na drodze nie było nikogo.

— Co ty tu... co ty tu śmiesz robić? jak?... — Ammonowi wyrazów nie starczyło — ty jakiś... mów!...

— Chcesz mnie wydać? — powtórzył Simonis — tego tylko brakło.

— Mam cię przechować? ty niepoczciwy, którego się wyparłem; ty zbóju — wołał Ammon — mam dla ciebie szyję poświęcić?

— Puśćcie mnie tylko, nie chcę więcéj nic.

— Tak, idź, idź na złamanie karku; patrz — odwrócił się stary — Elba o dziesięć kroków; wiesz, co masz najlepszego do zrobienia? idź, utop się, idź...

I pchnął go z całéj siły; uszedł potém kroków kilka, gorączkowo począł szukać po kieszeniach, wyciągnął zieloną sakiewkę, wysypał z niéj ręką drżącą, co było, i rzucił stojącemu Simonisowi, nie odwracając głowy, puścił się ku miastu.

Maks wyczekał trochę, i kołując poszedł szukać mieszkania Masłowskiego, który nań oddawna czatować musiał: nie łatwo przyszło mu je znaléźć po dosyć długiéj włóczędze.

Ksawery nie chcąc, aby widziano przybywającego, wszystkich powyprawiał z domu; sam z za drzwi wyglądał w ulicę; syknął i dał znak a Simonis wbiegł co prędzéj. Na górze czekały go suknie, spoczynek i jedzenie, którego nie skosztował. Zaledwie zrzuciwszy z siebie brudną odzież, którą Masłowski wepchnął do palącego się pieca, Simonis padł na łóżko i omdlał.

XX.

Ktoby był widział pięknego dnia zimowego powozy i dwór króla Augusta III wracające z łowów i zdążające o słońca zachodzie ku Warszawie, wspaniałe ubiory łowczych i myśliwców, piękne cugi, kosztowne futra, dwór od złota i srebra świecący, pióra nad kapeluszami, wstęgi, aksamity, dywdyki bogate, któremi wierzchowce pokryte były, nie domyśliłby się wcale, że panu temu dziedziczne jego kraje zajmował sąsiad, że mu całą młodzież do wojska pędził, sekwestrował dochody i w stolicy jego gospodarował jak w domu, z tą jednak różnicą, że domu zawsze się oszczędza, a cudzéj stolicy jak najmniéj.

Lecz dzięki gieniuszowi Brühla, fałszywe pojęcia o stanie spraw politycznych Europy nie miały przystępu do ucha Augusta; wiedział on, że za jego sprawę biło się siedemkroć sto tysięcy sprzymierzeńców, że lada godzina będzie mógł swobodnie powrócić polować w lasach hubertsburskich i słuchać opery w Dreznie.

Brühl nieustannie powtarzał królowi, iż się niczego obawiać nie było potrzeby, w Polsce miał schronienie bezpieczne, szkody zaś poczynione w Saksonii łatwo było odzyskać przyłączeniem od

Prus obszernych prowincyj. Co zaś najwięcéj bawiło i radowało poczciwego króla, to że nawet raz udało mu się Fryderyka oszukać wybornie.

W czasie tego nieszczęśliwego pochwycenia wojsk saskich w obozie pod Pirną, gdy nawet ocalenia gwardyi utargować nie mógł Rutowski, przyczaił się tak zręcznie Brühl, iż wszyscy niby zapomnieli o najpiękniejszych czterech pułkach Saskich stojących w Polsce. Te pułki przez Morawią pociągnęły pocichu w pomoc Austryakom.

Król ile razy sobie tę wyborną przypomniał sztuczkę, śmiał się patrząc na Brühla i mówił:

— A co Brühl, moje cztery pułki? ha?

Brühl uśmiechał się także; a August odpowiadał mu jeszcze raz śmiechem. To pewna, że nic tyle go martwiła strata całéj armii, ile cieszyło wykradzenie tych czterech pułków. Równie tryumfował z tego, że wywiózł z sobą Magdalenę Corregia, i Fryderykowi zostawił Battoniego, która, jak dla takiego znawcy, jeszcze była arcydziełem.

Naostatek jakkolwiek Warszawy do Drezna naówczas porównywać nie było podobna, ale założono i tu zwierzyniec do strzelania napędzonéj dziczyzny, psów było dosyć do wprawy w celowanie, gdy na pole się ciągnąć nie chciało, saski pałac mieścił z biedy dwór i królowi samemu starczył, teatr zaś z niedobitków drezdeńskich i muzyką nadworną wcale niezły złożyć się udało.

Ile razy solo fletowe przychodziło w czasie koncertu, król zwracał się do Brühla i szeptał mu na ucho:

— On tak nie zagra!

Ten *on* oznaczał Fryderyka, który w téj chwili, zapomniawszy o flecie, wygrywał na saskich grzbietach koncert wcale nieharmonijny.

Tu z warszawskiego punktu widzenia, cała wojna i przyszłe rozwiązanie tego dramatu nieszczęśliwego wydawały się tak jasno, tak nieochybnie tryumfalną sceną, iż król August, który z Koenigsteinu wyruszył tak markotny, wzdychający, zamyślony, odzyskał pogodę umysłu zwykłą i wszystkie obyczaje szczęśliwego człowieka.

Zachciewało mu się czasem czegoś z Drezna, ze zwierzyńców, z galeryj, ale Brühl, który o sobie dla pana zapominał, umiał zawsze w zastępstwie tego, co brakło, wyszukać coś, co pana uspokoiło.

Jedno tylko dobrego króla martwiło, gdy mu minister, co się cały dlań poświęcił, opowiadał o poniesionych stratach, zrabowa-

nym pałacu, popalonych zamkach, potłuczonéj porcelanie, zbezczeszczonéj garderobie.

Naówczas wzdychał król, nazajutrz sypał starostwami, jakie miał do rozporządzenia, ażeby choć w części te ofiary biednemu człowiekowi wynagrodzić.

Życie w Warszawie mało co było odmienném od drezdeńskiego; tu tylko na pokojach częściéj się spotykało wygolone głowy i szable, których właściciele tak się nauczyli nizko kłaniać i w rękę całować króla jegomości, jak gdyby byli rodowitemi Sasami. Nie przeszkadzało to do rwania sejmów, ale któż może odgadnąć jednę wichrowatą czupryną wśród kilkuset? I tu król był obwarowany strażą z zaufanych ludzi złożoną, aby nikt mu się nie podkradł z niepotrzebnemi wiadomościami. Brühl czuwał nad tém, ażeby z pola wojny przychodzące doniesienia zredagowane były zawsze tak umiejętnie, by wszelka klęska zdawała się zwycięstwem, a najmniejszy szarmycel pomyślną, wygraną, walną bitwą.

Zbierano téż starannie wszystkie anegdotki o Fryderyku, które go w śmieszność podać mogły.

Brühl utrzymywał Augusta w tém przekonaniu, iż lada godzina skończy się to wszystko stłuczeniem na miazgę nieprzyjaciela. Czasem bardzo znudzony król zapytywał:

— A co?

— Wszystko jak najlepiéj, najjaśniejszy panie — odpowiadał minister. — Francuzi już idą, armia rosyjska już wyszła, Szwedzi w drodze, Austryacy wszędzie górą. Lada dzień katastrofa...

— Żeby go żywcem wziąć! żeby go żywcem wziąć! — mówił król.

— Tego się niechybnie spodziewamy, najjaśniejszy panie — odpowiadał niezmieszany Brühl — już dwa czy trzy razy o mały włos...

— O włos! — powtarzał August — ale zawsze ten włos!

Z Drezna wiadomości dochodziły nieustanne; Brühl kierował sekretną administracyą hrabiego Moss, Globiga i Stammera, dawał instrukcye Hennickemu, ciągnął nawet pieniądze, o ile obok wyciąganych przez króla Fryderyka dało się bocznemi drogami wydobyć; lecz z tego, co przychodziło ze stolicy, robiono na użytek króla wybór troskliwy, aby o tém, co niepotrzeba, nie wiedział. Zrana przychodził Brühl zapytać o zdrowie i rozkazy, późniéj wpuszczał wybranych przez siebie, podpisywano papiery, przychodziły na stół sprawy polskie, a po nich obiad wykwintny. Król rozbierał się do koszuli po tém znużeniu, zapalał fajkę, a osoby, które wpuszczano, były starannie dobierane, poufałe, potrzebne

koniecznie lub zabawne. Niekiedy trafiał się obraz albo do nabycia lub przez którego z panów polskich ofiarowany. Stawiano go na staludze, a król wzdychał nad galeryą, od któréj był oddalony. Troszczył się najwięcéj o Madonę Rafaela, którą się pysznił, dla któréj, gdy ją przywieziono, tron z sali kazał usunąć, aby wielkiemu mistrzowi zrobić miejsce.

— Któż wié? — mawiał — lada głupia kula austryacka może świat pozbawić arcydzieła!

Jeżeli był teatr około czwartej lub piątéj, szedł król na operę, albo na koncert, albo jechał do Mokotowa, lub na Bielany na małe łowy. Wieczorem kładziono pod pałacem zwykle zdechłego konia, do którego schodziły się psy; król do nich strzelał z altany, zawsze z tą oględnością, aby ich nie zabijać tylko ranić, boby mogło ich w końcu zabraknąć. Strzelał zaś tak wprawnie, iż zwykle mawiał do Brühla:

— Brühl, prawa łapa...

I prawa łapa była strzaskana.

Minister prawie tak doskonale strzelał jak August III, ale rozumiał to, że mu gorzéj zawsze wypadało celować i niekiedy chybiać.

Inne téż rozrywki dwór bawiły: puszczano się kuligiem, bywały ognie sztuczne misterne, popisywali się wędrowni wirtuozowie, i opera na małą skalę przypominała Aecyuszów, Tytusów, Aleksandrów drezdeńskich. Niestety, Faustyny tu nie było, a żadna jéj zastąpić nie mogła. Na wspomnienie divy król się zamyślał, nie mówił nic, oczy wlepiał w ścianę: czuć było, że w kontemplacyi ducha cześć oddawał jéj obrazowi przytomnemu wyobraźni.

Dnia tego kawalkata, która była wyruszyła ku Bielanom, szczególnym trafem już na przedmieściach Warszawy napotkała drugą.

Łatwo było poznać w tym szeregu powozów zmęczonemi pocztowemi zaprzężonych końmi, drezdeńskie ekwipaże dworu; król, który w odkrytym jechał, odwrócił się do tuż towarzyszącego mu Brühla, ręką wskazał i zawołał:

— Brühl, otóż masz! a to co?

Minister właśnie poznał był żonę swoją i dwór jéj.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał — żona moja... Sama nam przywozi ważne wiadomości z Drezna.

Król milczącym, wdzięcznym ukłonem pozdrowił wyglądającą panią. Uwolniony dla rozporządzenia umieszczeniem hrabinéj, Brühl pojechał za nią, a król do pałacu. Dobre pół godziny upłynęło, nim minister, na którego niecierpliwie oczekiwano, zjawił się w pokoju króla.

Zobaczywszy go, powstał August III i spojrzał mu w oczy. Brühl jak zwykle przychodził z twarzą jasną.

— Królowa? jak się ma królowa?

— W zupełném, w najlepszém zdrowiu. Są od najjaśniejszéj pani listy i od księcia kurfirsta, które żona moja chce miéć zaszczyt sama złożyć w ręce waszéj królewskiéj mości.

— *Sehr angenehm* — szepnął król — bardzo mi będzie przyjemnie.

— Z wiadomości — dodał Brühl — ta tylko ważna, iż Fryderyk o mało nie zginął.

— A! jakim sposobem?

— Kamerdyner Glasau chciał go otruć w czekoladzie!

Król ręce podniósł do góry.

— Ale pies wypił truciznę.

Nastąpiło wątpliwe głowy rozkołysanie.

— Z tego powodu — mówił Brühl — posądzono mnóstwo osób w Dreznie, chciano więzić, więziono nawet. Odkryto zdradę sekretarza gabinetowego...

Słuchał z uwagą król, ale nie mówił nic.

— Szczególną niechęć zwrócił Fryderyk ku żonie mojéj, czując w niéj nieprzyjaciela i dlatego ona oddalić się wolała.

— Zapewne — dodał król — tak lepiéj.

Jeszcze raz zapytał o królową August i przeszedł się zamyślony, zwrócił potém nagle do Brühla:

— W bażantarni? w zwierzyńcu?...

— Wszystko całe, na mnie spada zemsta jego: palą i niszczą.

— Ale ja ci to nagrodzę — odparł król — zobaczysz, niech się to tylko raz skończy. Pałac trzeba żebyś sobie budował tutaj, zda się.

— Z łaski waszéj królewskiéj mości.

— Ja ci na to dam. Są pieniądze?

— Są, najjaśniejszy panie.

Zadumał się król, na tém się skończyło.

Za panią Brühlową przybył cały jéj dwór. W chwili wyjazdu pomnożył się on niespodzianie rozkazem gabinetowym króla, który oprócz hrabiny skazywał na opuszczenie stolicy baronównę Nostitz, jako zbyt czynną w zamkowych intrygach. Gienerał Spörken ledwie się potrafił utrzymać.

Simonis ocalony i wyprawiony przodem do Wrocławia, tu się połączył z dworem Brühlowéj, do którego Masłowski należał. Zmienił tylko kawaler Maks Simonis nazwisko swe na Henryka Ammona, i pod tém zjawił się w Warszawie.

Któż odmaluje radość, zapał, szał niemal, z jakim pan Ksawery, podrzucając czapką do góry, powitał stolicę i dźwięk mowy, któréj był spragniony. Działało to na niego tak, że zaraz za Wrocławiem zaczepiał wszystkich, kogo spotkał, i gęba mu się nie zamykała.

Wesołość ta, często zbyteczna, wyrażała się dziwnie, żartami niekiedy bolesnemi z Simonisa, który jechał przybity, milczący i wogóle zmieniony bardzo.

Do powozu téż, w którym siedziała baronówna przypadał nieustannie, aby ją bawić, bo była smutną i zapewniać, że po Saksonii płakać nie będzie miała powodu.

Masłowski, który w ostatnich czasach postradał był wiele dawnéj wesołości i swobody umysłu, odzyskał je w granicach rzeczypospolitéj. Trafiło się téż, że na drugi dzień w podróży spotkali na drodze pielgrzymującego z właściwym sobie stoicyzmem, pomalutku Kondrata. Skorzystał on z zamętu, jaki w czasie przybycia Fryderyka panował, by się wyśliznąć z więzienia.

Nie tłómaczył się, jak tego dokazał, nie przyznawał, czy cegłę wyjął ze ściany; dosyć że wolny, goły, mało odziany, o żebraczym chlebie, ciągnął się tak ku domowi, gdy go Masłowski poznał i na furgon wsadził. Karmiono go chętnie, bo służbie był użytecznym, a byli to jego dawni znajomi.

Jedna rzecz truła panu Ksaweremu powrót do domu, myśl o surowym ojcu, o panu stolniku, w razie gdyby odkrył, dowiedział się lub domyślił, że syn w Niemce się zakochał; tak było wistocie. Nie ulegało już najmniejszéj wątpliwości, iż pan Masłowski głowę stracił, a było wielkie prawdopodobieństwo do tego, że baronówna serce mu oddała. Hrabina Brühlowa, któréj oczu przenikliwych ujść nie mógł stosunek tego rodzaju i która zwykła się go była domyślać nawet tam, gdzie nie był, uśmiechała się z politowaniem. Próbowała nawet parę razy małą uczynić dywersyę, bałamucąc potrosze Masłowskiego; lecz wprędce postrzegła, że do galanteryi tego rodzaju Polak nie był wcale zdatny...

Zakochany, zbyt się oddawał pani swych myśli, ażeby mu na epizody starczyło czasu. Simonis zaś, który był w łaskach pani, od ostatnich wypadków wiele w oczach jéj utracił. Litowała się nad nim i znajdowała go zbyt mało rycerskim, nadto lękającym się dramatycznych scen i t. p. Tylko zasługa jego i poświęcenie ratowały od niełaski i zapomnienia. Simonis jechał z pewnością otrzymania posady sekretarza i dalszéj świetnéj krescytywy.

Najsmutniejszą ze wszystkich była baronówna, którą losy jéj kraju obchodziły żywo. Przywiązaną była do królowéj, litowała się nad jéj losem, tęskno jéj było zdala, próżno dowiadywać się tylko o tém, w czémby była uczestniczyć pragnęła. Przewidując

klęski, chmurna, zmuszona, jechała za hrabiną, a jeżeli się kiedy uśmiechnęła Masłowskiemu, to na jedno mgnienie oka. Chmury wracały na czoło, łzy na powieki, tęsknota do serca.

Masłowski zagadywał, ona powtarzała ciągle:

— Powiedz, co się tam dzieje?

Pan Ksawery ledwie wysiadł, zaledwie się wyciągnął, gdy nadchodzący minister zobaczywszy go, zawołał do niego:

— Stolnik jest w Warszawie.

Chciał pytać Masłowski, gdzie go miał szukać, ale Brühl, któremu było pilno, wszedł do pokojów hrabiny. Złożywszy swe węzełki i zdawszy je służbie, pan Ksawery ani chwili się nie namyślał: trzeba mu było natychmiast pójść, paść do nóg ojcowskich: stolnikby mu nie przebaczył opóźnienia.

A serce też, mimo strachu, biło mu do tego ojca, który surowym był, zapalczywym, lecz dziecko kochał, i choć się z tém krył dla utrzymania powagi, zdradzał nieustannie.

Pan stolnik Masłowski z Chełmskiego był, jak Brühl mówił, jego przyjacielem, jak on sam powiadał, sługą jego ekscelencyi. Ksawery wybiegł na ulicę, rachując na Opatrzność, iż mu kogoś o mieszkaniu stolnika wiedzącego dostarczy. Każdego spotkanego szlachcica przy karabeli, zdejmując czapeczkę, zapytywał:

— Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja, nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieszka stolnik Masłowski?

Jedni odpowiadali grzecznie, grubiańsko drudzy: „Na końcu języka", albo: „kto go tam zna?" Inni radzili udać się w to lub w inne miejsce na zwiady. Ksawery szedł zmordowany i już zły, gdy zobaczył dobrze sobie znajomego Maćka, fornala ojcowskiego, na małéj taczce, z wielką biedą popychającego beczułkę, oczywiście pełną, bo sobie ledwie z nią mógł dać radę. Maciek miał głowę spuszczoną, zaspany był i spocony, mimo chłodu.

— Stój, Maciek! na rany Chrystusowe?! — zawołał — gdzie ojciec?

Przestraszonemu apostrofą chłopcu taczka z rąk wypadła i o mało się beczułka z niéj nie stoczyła.

— Jezu miłosierny! taż to panicz! A co pan zdrowasiek na waszę zmówił intencyą, a jakie u nas paskudne chodziły wieści!

I począł go ściskać za kolana.

— Chwałaż Bogu, żem cię spotkał — zawołał Ksawery. — Ojciec zdrów?

— Dzięki Bogu jako tako.

— Cóż to wieziesz?

— Rozumie się, wino, proszę panicza; trzeci dzień u nas piją— rzekł Maciek — na zabój. Coś to tam, jakaś sejmowa sprawa, wino idzie na rachunek ministra. Pan stolnik, jako gospodarz, wody sobie potrosze dolewa, aby trzeźwym być, ale nie bez tego, żeby też nie był pod hełmem, a co drudzy, paniczu, jak sztofy! Zdaleka słychać, jak wrzeszczą.

Ksaweremu zrobiło się markotno trochę.

— A gdzież stoicie?

— Na Pociejowie, proszę panicza; najął pan stolnik pięć pokoi. We trzech już leżą jak kłody, ci którzy mają do syta; ano co się wytrzeźwi który, to mu dolewają.

Nie pytając o więcéj, poszedł pan Ksawery. Dostali się z chłopcem na podwórze w Pociejowie, pełne sani, wozów, czeladzi, żydów, wrzawy i wszelkiego motłochu. W kącie kuglarz pokazywał sztuki z gałkami i kubkami, gawiedź mu się przypatrywała, a filuci powoli robili rewizyę po kieszeniach. Hałas w dziedzińcu i w gmachu był ogromny, trzeba było nawyknąć do niego, aby znieść. Stąd już chór podpiłéj szlachty słychać było na górze, a w oknach, choć jeszcze za dnia, już zapalone były światła. Nie potrzebował daléj przewodnika pan Ksawery: wrzawa i śpiewy go prowadziły.

Podszedłszy pode drzwi, poprawił ubrania, zdjął kapelusz, przeżegnał się, gdyż przystąpić do ojca nie mógł nigdy bez obawy, i uchyliwszy drzwi wszedł do ogromnéj izby, w pośrodku któréj właśnie z kielichami podniesionemi do góry, stojący przyjaciele pana stolnika, ryczeli ochrypłemi głosami pieśń znaną:

To pan, to pan, to dobrodziéj nasz,
A my jego słudzy:
Pijmy jako drudzy.

Jeden potężny głos basowy szczególniéj się odznaczał. Posiadacz jego siedział na ławie, obie ręce do ust w trąbę złożone przystawiwszy, wył, aż mu oczy na wierzch się wydobywały, a twarz karmazynem oblewała.

Zapach wina, jadła, świec, butów szlacheckich zlekka dziegciem dzyngowanych, najrozmaitszych woni, chwycił za nos przybylca, który u progu zatrzymał się pokornie, kroku daléj ruszyć nie śmiejąc.

Na przodzie stał pan stolnik Masłowski, olbrzymia figura, z brzuchem potężnym, z którego pas był opadł nizko, tak nizko, iż lękać się było można, aby się na ziemię nie zsunął.

Piękny to musiał być niegdyś mężczyzna, ale życie do rozrostu niepomiernego budząc ciało, zatarło szlachetne formy pierwotne. Głowa tylko wysoko podgolona z wąsem, z podbródkami, z oczyma niebieskiemi napół przysłoniętemi, miała wyraz rozpojonego

Sardanapala. Znać w niéj było krew bujną, starą, rycerską, a zarazem już okiełznaną doradztwem i nałogami.

Jedną ręką trzymał się w bok, przy karabeli, któréj nigdy nie odpasywał, którą u stołu kładł przy sobie, a nocą przy poduszkach; drugą unosił *pełną*, kielich złocistym płynem nalany po brzegi. Zrazu czy nie spostrzegł, czy nie poznał syna, oczy mając zaszłe blachmanem, lecz nagle zadrgał mu kielich, usta otwarte ścięły się i popędził ku drzwiom.

Pan Ksawery już leżał u nóg jego, stolnik drżał cały, kielich mu padł z rąk; rzucił się gwałtownie chwytając za głowę i całując namiętnie syna. Dopiéro temu uczuciu dogodziwszy, pchnął Ksawerego od siebie.

— A mówże ty bestyo jakaś, co się z tobą działo? wszak już pletli Bóg wié co, i opłakałem waszeci!

Szlachta wesoła otoczyła wnet stolnikowicza.

— Vivat! vivat!

— Dajcież pokój — przerwał stary — jeszczeby czego nie stało, żeby takich smarkaczów pić zdrowie. Niech się wytłómaczy.

— Tst! tst! — zaczęto wołać.

— Panie stolniku — przerwał podkomorzy Różański. — Nie pozwalam! Na sucho mówić *nego! veto!* dać mu kropel, nim zacznie mówić... kropel!

Obejrzano się za winem.

Maciek, który miał już czas wcisnąć się do izby, niósł kielich nalany, rozlewając z niego po drodze. Gwałtem go w ręce wbito Ksaweremu. Ten przyklęknął:

— Zdrowie rodzica dobrodzieja! — zawołał.

A za nim jak hukną wszyscy:

— Naszego stolnika zdrowie! Kochanego stolnika zdrowie... do stu lat!

Od hałasu ci, co spali w dwóch dalszych izbach, pozrywali się na nogi i chwiejącemi kroki poczęli, za ściany i drzwi chwytając się, cisnąć do salki.

— Zdrowie stolnika! — wrzało, huczało, szumiało.

Rozczulony ojciec jeszcze raz uścisnął syna.

— A teraz gadaj! — zawołał. — Panowie, uciszcie się! Dworzanin jego ekscelencyi ministra Brühla ma głos.

Ksaweremu nie zbywało na wrodzonéj wymowie, lecz ile razy przy ojcu mu się z nią popisywać przychodziło, onieśmielony jąkał się i prawił tak, że się jedno drugiego nie trzymało. Tym razem, czy wino, czy ogólny duch zgromadzenia, czy ojcowska czułość, czy radość z powrotu namaściły mu usta. Począł mówić dowcipnie, zamaszysto, pieprzno i słono, nie żałując ani barwy, ani przyprawy. Ojciec stał zaniemiały ze zdumienia; szlachta się za boki trzymała. Chwilami gdy Fryderyka malował i jego obyczaje, którym się przypatrzył w obozie, do szabli się rwano i na ostrych wyrażeniach nie zbywało. Jedném słowem na słuchaczach swych i na ojcu uczynił to wrażenie, iż kiedyś mówca z niego niepospolity urośnie.

W czasie téj mowy posiadali, gdzie kto mógł, a przybysze świeżo przebudzeni z drugiéj izby, zdrzemnęli się znowu. Ojciec słuchał z radością i rozrzewnieniem przygód syna.

Masłowski, opowiadając o nich, jedno tylko pomijał starannie, to wspomnienie baronówny.

Gdy dokończył nareszcie, szlachta wniosła zdrowie stolnikiewicza, a ojciec go pocałował i kielich wychylił milcząco. Więc znowu się wszczął gwar, huk i szkło ponapełniane szło wkoło.

Pan Ksawery znalazłszy kilku dawnych przyjaciół i niemal rówieśników, cofnął się z niemi trochę na stronę, bo pytaniom nie było końca. A że się pora wieczerzy zbliżała, poczęła czeladź różnego stroju i kalibru nakrywać do ogromnego stołu. Obrus leżał już na nim od dwóch dni, pooblewany sosami i winem; poprzynoszono tylko stosy obłupanych talerzy: żelaznych nożów i widelców, daléj chleba stosy, a naostatku poczęły wyjeżdżać niewykwintne półmiski jadła, które na to było przeznaczone, aby istotne potrzeby zaspokajało.

Szły więc zrazy z cebulą, pieczenie z rożna, kapusta kwaśna, ogórki, bigosy i fundamentalne jadła. Kto mógł, zabierał miejsce, bo tu rzeczywiście *periculum in mora:* ledwie misy dotknęły stołu, już z nich znikały potrawy.

Ksawery, głodny téż, o sobie radzić musiał. Ojciec się zbliżył do niego.

— Radź o sobie — rzekł cicho — a jeżeli zmęczony jesteś i zalewać się nie chcesz, bo to téż dla waści zawczesne, izdebkę na piętrze niech ci pokażą, abyś odpoczął, choć, Bóg raczy wiedzieć, czy my tu komu dziś spać damy: niemały to kłopot sejm smarzyć...

Westchnął ocierając pot z czoła. Ksawery korzystając z pozwolenia, posiliwszy się, natychmiast zniknął. Maciek poszedł za nim i w izbie mu na ziemi posłano, bo o łóżku mowy być nie mogło, na sianie i łosiowéj skórze. Zaczynano chórem piać na dole, gdy Ksawery do skórzanéj téż poduszki zaledwie głowę przyłożywszy, zasnął kamiennym snem, z któregoby i działa pruskie może go obudzić nie potrafiły.

I spał nie marząc nawet.

XXI.

W kilka dni po przybyciu hrabiny i umieszczeniu jéj, życie dworu, na chwilę jakby wstrząśnięte nowemi żywiołami, które do jego składu przybyły, wróciło do dawnego spokoju i zegarkowéj swéj regularności.

Najjaśniejszy pan po kilkakroć powoływał hrabinę, aby mu coś o królowéj, o dzieciach, o Dreznie opowiedziała. Minister bywał rozmowie przytomny i wejrzeniami kierował odpowiedzi, gdyż doświadczył, że się żona jego gniewem zbytnio unosiła i wygadywała niepotrzebnie. Po kilku jednak dniach, August, czując się już dostatecznie zawiadomionym i uspokoiwszy sumienie, zapraszał tylko na zabawy, które jako niezbędne życiu, szły swym trybem. Dodawały im smaku wiadomości przychodzące o zwycięstwach wojsk rosyjskich, o tryumfach austryackich, o naprowadzonych siłach francuskich i t. p.

Było więc w Warszawie tak spokojnie, tak wygodnie, tak cicho, jak może być tylko w kraju, w którym wszystko od sejmów zależy, a w którym żaden sejm nie dochodzi i z chaosu zręcznie się korzysta.

W zarządzie polskiego kraju, Brühl też same rozwijał talenta, jakich dał dowód rządząc Saksonią; jednał sobie stronników, pilnował własnego interesu, obrachowywał, ile nieład przynieść może, i starał się go uwiecznić.

Zgryźliwsze umysły widziały w tém przyszłą zgubę; Rzeczpospolita już nie władała sobą; ale to, co się tu działo, dla teraźniejszych widoków ministra było korzystném: nie szło mu o nic więcéj.

Nadskakującą grzecznością jednał sobie ludzi: sam starał się przerobić na szlachcica polskiego, synowi dał starostwo warszawskie, córkę wydał za Mniszcha, spokrewnił się ze wszystkiemi znaczniejszemi domami i był panem rzeczypospolitéj. Miał tu także swych Stammerów, Globigów i Hennickich.

Gdy on o tych wielkich politycznych myślał planach, hrabina starała się sobie uprzyjemnić życie, ściągając do domu swego towarzystwo i dobierając domowników i sekretarzy do smaku.

Simonis, który po niejakim czasie przyszedł do siebie, stał na czele téj młodzieży, pod różnemi pozory przeznaczonéj na opędzenie nudów i skrócenie czasu. Pomimo najwygodniejszego urządzenia w Warszawie, chociaż tu miała córkę i syna, hrabina czuła się nie swoją. Tu sieć jéj intryg tak łatwo i dogodnie snuć się nie mogła; tu przeciwko znienawidzonemu Fryderykowi nic przedsięwziąć nie było podobna. Nie było wreszcie ludzi, coby po wypadku Glasaua zamkniętego na całe życie do fortecy, jego rolę na siebie przybrać się podjęli; trudno było o szpiegów nawet.

Każdą pocztę chwytała Brühlowa chciwie i po każdéj smutniejszą była, bo wiadomości pomyślnych brakło.

Simonis pisał pod dyktowaniem listy codziennie; codzień je wysyłano drogami różnemi; lecz działanie zdaleka coraz się stawało trudniejszém.

Pan stolnik Masłowski, który tak rzewnie pierwszego dnia przyjął syna, drugiego dnia był już znacznie surowszym, a trzeciego odprawił go na służbę do Brühla. Ksawery nie był bardzo tém zmartwiony, gdyż mu to dozwalało zbliżyć się do baronówny.

Ta także czuła, może mocniéj niż inni wygnańcy drezdeńscy, ciężar osamotnienia i tęsknotę za krajem, którego każde drgnienie w piersiach się jéj odbijało. Towarzyszyła wprawdzie Brühlowéj, ale jak niemy i obojętny świadek, którego myśl jest gdzieindziéj. Nawet Masłowski, który nie kryjąc się ze swym przywiązaniem, ciągle był przy niéj, często nie umiał i nie mógł jéj rozerwać. Uśmiechała mu się smutnie, serdecznie, ale bez życia, bez nadziei. I ona rzucała się chciwie na każdą pocztę, która przybywała z Drezna.

Wszystko, co stamtąd szło, obchodziło biednych wychodźców: ciężka nadzwyczaj zima, która szyldwachów dwu królowi pruskiemu na śmierć zdławiła, drożyzna chleba i t. p. Cieszono się nawet śmiercią gienerałów pruskich, z których jeden von Kleist zmarł w Dreznie.

W styczniu wiedziano o pobycie Fryderyka, który prawie nie opuszczając Saksonii, małe z niéj tylko do Szlązka czynił wycieczki. Resztę saskiéj broni pozabierano w arsenałach, a ludzi chwytano po ulicach, gwałtem ich ciągnąc do wojska. Ze szkoły nawet uczniów starszych Fryderyk pozaszywał w kamasze.

Wszyscy przerażeni byli tém, że na zamku i w kościele katolickim Szwajcarów rozbrojono, zastępując ich pruskim żołnierzem. Nareszcie przyszła wieść, że twierdze, mury i baszty pilnie zaczęto poprawiać i umacniać, a król nawet dowiedziawszy się, iż słusznemu żądaniu żony jego, która 174,000 talarów miesięcznie na dwór i życie wymagała, odmówiono, bardzo przez dwa dni był pochmurny.

Przyczyniła się do tego i wiadomość, że Hasse, gienialny muzyk, którego król rad był mieć w Warszawie, wyjechał do Włoch, a ściągnąć się stamtąd nie dawał.

Gdy w Europie wojowniczemi ruchy wrzały całe państwa spi-

knięte na Fryderyka, tu król August mógł zażywać niczém, oprócz ech i odgłosów, nieprzerwanego spokoju. Całą zimę polowano wyśmienicie, korzystając z mrozów, co ścięły bagna, i śniegów, co zwierzętom utrudniały ucieczkę.

Z pierwszą wiosną, w kwietniu już, Fryderyk znajdował się w Czechach. Zwykłą jego zasadą było nieprzyjaciela nie czekać, ale pierwszemu nań nachodzić: tą śmiałością zyskiwał wiele. Lecz istotnie zdawała się zbliżać chwila, w któréj niewielkie jego siły, rozdzielone, zewsząd z ziemi wyrastającemu nieprzyjacielowi podołać już dłużéj nie mogły. Obok wielkich wypadków na scenie politycznéj i wojskowéj, drobniejsze dzieje serca ledwie na siebie zwracały uwagę. Nie zachodziło téż nic tak nowego, coby im nowy zwrot nadało. Simonis trzymał się hrabiny, wyglądając codzień bardziéj znudzonym, choć z każdym dniem rosnął w łaski, podarki i nadzieje.

Masłowski oczyma gonił baronównę i mówiono na dworze głośno, iż ta miłość zobopólna małżeństwem się skończyć musi. Przeciągało się to jednak, a Simonis, pomimo wyrzeczenia się Pepity, z nudów, czy z istotnéj skłonności, ostrożnie bardzo znowu zbliżać się zaczynał do niéj. Baronówna chłodem i obojętnością odpychała go od siebie nadaremnie. Szwajcar, poznawszy lepiéj stosunki miejscowe, domyślał się, że Masłowskiemu ożenić się z nią będzie trudno; rachował i na to, że hrabina może późniéj, zobojętniawszy, dopomódz mu do panny Nostitz.

Ostrożnie więc, nie natarczywie, Maks coraz bliżéj kołował przy pannie; Ksaweremu nie zdawało się to bynajmniéj niebezpieczném, milczał więc.

Byłoby się to tak ciągnęło dłużéj może, gdyby hrabina nie była zazdrośną, namiętną, i gdyby nie potrzebowała właśnie, nieczynnością zmęczona, czémś gorętszém się odżywić. Ludzie, którzy długo w ogniu żyć byli nawykli, nie znoszą chłodu i ciszy. Intryga staje się nałogiem, namiętność potrzebą.

Brühlowa raz powziąwszy podejrzenie, iż Simonis nie bez celu spogląda znowu ku baronównie, zaczęła go szpiegować, odgadła i, nie okazując nic po sobie, zapaliła się gniewem wielkim. Dla Simonisa stała się owszem czulszą niż kiedy, aby nie odgadł, co go czekało.

Jednego wiosennego poranku na świstku papieru nakreśliła hrabina do męża żądanie, ażeby przyszedł z nią pomówić; minister pełen atencyi stawił się natychmiast.

— Co mi moja piękna pani każe? — rzekł z uśmiechem.

— Mój Brühlu — odezwała się nie wstając z krzesła hrabina — mam do was prośbę, a spodziewam się, że czułe jego serce

jéj wysłucha: raz przecie dwoje szczerze się kochających połączyć potrzeba.

— Kogo? — zapytał zdziwiony minister.

— Ten biedny Polaczek Masłowski schnie z miłości dla Pepity; ona go kocha, ale chłopiec się ojca lęka i tak się to ciągnie, iż się oboje zamęczą. Zresztą — dodała ciszéj — może się to skończyć téż nieładnie...

— Serdecznie pani dziękuję za podanie mi zręczności spełnienia dobrego uczynku. Z największą przyjemnością—dodał Brühl.— Stolnik, ojciec Masłowskiego, jest mój przyjaciel, służy mi wiernie; słucha, zrobi, co zechcę: pożenim ich... *C'est dit!*

Brühlowa podziękowała skinieniem głowy, ale nakazała dyskrecyę. Drugiego czy trzeciego dnia minister, zobaczywszy pana Ksawerego, przypomniał sobie obietnicę i zbliżywszy się do niego, szepnął mu, aby ojca nazajutrz do niego prosił. Stolnik dotąd jeszcze był w Warszawie; wyjeżdżał wprawdzie co kilka tygodni, ale po polsku. Konie zaprzęgano, tłomoki znoszono, ludzie byli gotowi, zaczynały się pożegnania, podróż się opóźniała, odkładano ją do dnia następnego. Nazajutrz zrana coś przeszkodziło; po południu konie znowu wyprowadzano, ktoś nadszedł, interes był pilny i tak się zwlekło do nocy, a nocą jechać licha warto. Następował poniedziałek a w ten dzień nikt nie jeździ. We wtorek było święto, we środę rozrachowywano, że do domu na termin oznaczony zdążyć nie można i wyjazd odkładał się *ad calendas graecas*. Takie wyjazdy powtarzały się kilkakrotnie, stolnikowi ciężko się już było ruszyć z Warszawy. Wyprawiał dyspozycye ekonomowi, odbierał raporta i siedział. Gdy Ksawery całując go w rękę, przyszedł prosić do ministra, stolnik *cum debita reverentia* to przyjął.

— Ano będę, oczywiście będę — rzekł.

Rozpytał o godzinę i syna odprawił.

Brühl tymczasem zapomniał o wszystkiém i dopiéro na sali audyencyonalnéj zobaczywszy pana stolnika, przywołał na pamięć, o co chodziło. Odprawiwszy więc innych klientów, ujął go pod ramię i wprowadził do gabinetu. Domyślał się pan Masłowski, że musiało iść o rzeczy polityczne i zdziwił się mocno, gdy go zagadnął minister.

— Na ten raz, panie stolniku, interes prywatny zbliża mnie do waćpana; pozwolisz mi z sobą, jako swojemu przyjacielowi, mówić otwarcie.

Stolnik się skłonił bardzo nizko. Brühl ujął go za rękę:

— Kochany stolniku, co myślisz z synem? Chłopak dorosły,

młodzieniec, któremu wszyscy sprawiedliwość oddają: ja pierwszy. Czasby go może ożenić?

Masłowski aż odskoczył.

— E! to smarkacz! — zawołał — trzydziestu lat nie ma.

— Sam czas.

— U nas nie! oho! gdzie mu tam o tém myśléć!

— No — przerwał śmiejąc się Brühl — ja się lękam, że może on już dawno ma projekta.

Na twarz Masłowskiego wypłynął rumieniec.

— Z pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana — rzekł — gdyby bez mojéj wiedzy miał projekta, dostałby pięćdziesiąt bizunów i odeszłaby mu ochota.

Brühl się śmiał.

— Nie będę — rzekł — obwijał w bawełnę: waćpana syn kocha się w baronównie Nostitz. Jest to stara rodzina u nas, u dworu w łaskach, najjaśniejsza pani i król są opiekunami panny, ma majątek piękny, wcale piękny. Osoba zacna i charakteru najszlachetniejszego: czegóż sobie więcéj życzyć można, gdy i miłość jest wzajemna?

W czasie téj mowy stolnik milczał, ale powoli twarz mu się mieniła, bladła, nabiegała krwią; marszczki okrywały czoło, wąs się podnosił i ruszał, ręka zaczęła drgać. Potarł czoło milczący, nadął się i widać lękając się, aby z niego nie wybuchnęło to, co zawrzało, szepnął tylko krótko i cicho:

— Pan minister pozwoli... do namysłu... zobaczymy.

Brühl nie zrozumiał, iż stolnik spolitykował tylko i dodał:

— Niech się pan namyśli; partya nie może być lepsza.

Stolnik nizko się ukłonił i prędko wyszedł. Przez salę audyencyonalną przesunął się nie patrząc na nikogo, w pałacu okręcił się, szukając zaraz syna, a znalazłszy Ksawerego, powiedział mu krótko:

— Idź waćpan ze mną.

Zaledwie wyszli w ulicę, aż dłużéj w sobie rankoru nie mogąc utrzymać stolnik, stanął i zawołał:

— Trzykroć sto tysięcy dyabłów, mosanie, to waćpan tu bez méj wiedzy w amory się wdajesz! hę! Sto bizunów! com obiecał, to dotrzymam. A ten Niemiec szołdra jakiś, dlatego, że ja mu syna dałem do dworu, i żem mu w jego polityce służył, będzie mi się mieszał do moich spraw domowych! Truteń jakiś, a wara! a zasie! Co to ja twój chłop, sługa, żebyś mi ty syna żenił! Kwita z przyjaźni! — krzyknął, kułak podnosząc — kwita! A, to tak! Ksawery, za mną!

I wzburzony cały stolnik poszedł na Pociejów. Ledwie w podwórzu stanął, na ludzi zawołał:

— Pakować i zaprzęgać!

Drżący pan Ksawery szedł za nim, stolnik sapał i zżymał się: weszli do izby.

— Wart jesteś, żebym ci dał sto — zawołał.

Ksawery do nóg mu się rzucił.

— Jedno twoję winę w oczach moich łagodzi to, że na tym dworze przeklętym baby szaleją i mężczyźni popsuci jak psy. Zaciągnęli cię; dosyć: póki ja żyję, z tego nie będzie nic, *tak mi Panie dopomóż i święta męka Twoja.*

Ksawery chciał mówić coś, ręką tylko machnął:

— Dosyć. Pakować: jedziemy.

Chciał syn iść po rzeczy swe, pożegnać.

— Ani kroku stąd, ludzie rzeczy zabiorą, a nie, pal je dyabli; droższa dusza od spodni: duszę trzeba salwować. Jeszcze w naszym rodzie niemieckiéj krwi nie było. My szlachta. Niech się Mniszchowie, Czartoryscy, Lubomirscy kumają z Flemingami i Brühlami, to magnaci: nam zakon tego broni. Waćpan nie znasz szlacheckiego zakonu. Z chłopką się żeń, jeśli ci do gustu; ale z Niemką wara!

Nieubłagany stolnik, nie puściwszy syna na krok od siebie, tym razem gdy konie były gotowe, choć późno, wyjechał z miasta. Mijając Brühlowskie mieszkanie, rzekł jakby sam do siebie:

— Kwita, kochanku, z przyjaźni. Ja sobie w kaszę pluć nie dam.

I jakby go paliło, stolnik poleciał do domu.

Wypadek ten ogromne we dworze uczynił wrażenie: Brühl śmiał się, ale był do żywego obrażony; Brühlowa się wściekała, baronówna (do któréj bilecik potrafił jakimś cudem wyprawić Ksawery, mimo dozoru ojca), zamknęła się na kilka dni w pokoju i nie pokazywała na dworze.

Cały plan osnuty przez panią Brühlową, runął.

Simonisowi jego przeniewierzenia przebaczyć nie mogła. W kilka dni potém otrzymał nie odprawę, ale inne miejsce w kancelaryi Brühla. Szwed Ferdeström zajął tegoż dnia jego miejsce. W tydzień minister oświadczył Maksowi, że go przeznacza w misyi jakiéjś do Hamburga, dokąd niełatwo przekraść się było można. Simonis się zawahał, dano mu trzeciego dnia małą gratyfikacyę i odprawę. Został nagle bez miejsca, bez nadziei, na tym pstrym koniu, na którym wedle przysłowia, jeździ łaska pańska.

Brühlowa kazała mu powiedzieć przyczynę, i oświadczyć, że się już nic więcéj spodziewać nie może...

EPILOG.

Choć w życiu nic się nie kończy, w książce, wedle prawideł i przyjętéj formy, czytelnik ma prawo wymagać jakiegoś ostatecznego rozwiązania. Musimy go więc zaspokoić o losach osób, które się w obrazie ukazywały.

Część ich znaczna do dziejów należy i o tych z historyi więcéj się dowiedzićć można, niż ze skromnego naszego opowiadania. Rok następujący 1757 rozpoczął dla Saksonii szereg pamiętnych klęsk. Fryderyk z zaciętością dalszą prowadził wojnę, z różném szczęściem, lecz z wytrwałością żelazną. Nie był on dla niego pomyślnym. W bitwie pod Kollinem, cztery owe pułki saskie, które się w Polsce przechowały, przechyliły zwycięstwo na stronę Austryaków; najpiękniejsza gwardya królewska w niéj padła; zginął Fryderykowi gienerał Schwerin, nad którego zwłokami płakał. Hrabia Nostitz i Benkendorf, rzuciwszy się na Prusaków, położyli trupem najpiękniejszego żołnierza. Ziethen na drugiém skrzydle otrąbiał zwycięstwo, gdy oni zadali tę klęskę.

— To moja Połtawa — zawołał król — patrząc na pobojowisko.

Królowa Józefa, która już była chorą, podniosła się, dźwignięta tą wiadomością; ale wkrótce potém przyszła wieść o zwycięstwie pod Rossbach i ta ją dobiła. Pobożna pani zmarła nie ustąpiwszy ze swéj stolicy, nie dożywszy wzięcia Drezna przez Austryaków, którym je zdać był zmuszony gienerał Schmettau.

Fryderyk, wydawszy rozkaz cofnięcia się z miasta, wprędce je zapragnął odzyskać. Oblegli Prusacy stolicę, otoczywszy ją wszystkiemi siłami swojemi. Rozpoczęło się straszliwe owo bombardowanie, które pół miasta obróciło w perzynę...

Znane są wypadki wojny siedmioletniéj, w ciągu któréj Fryderyk zrozpaczony nosił przygotowaną truciznę i kilka razy chciał sobie życie odebrać.

Dziwnie szczęśliwy skład okoliczności ocalił go i państwo, któremu groziła zagłada.

Fryderyk w sile wieku wyszedł na tę wojnę, w któréj szło o życie, nie jego, ale Prus świeżo powstałych; wrócił do Berlina złamanym, osiwiałym starcem, choć napół zwycięscą. Los w tém miał udział znaczny, ale wielcy ludzie wszyscy jemu coś są winni, czasami więcéj niż sobie.

Zaledwie pokój w Hubertsburgu został zawarty, August i Brühl natychmiast opuścili Warszawę, śpiesząc do Saksonii, na ruiny i zgliszcza. Ministrowi ulubionemu, który łask swojego pana nie utracił do końca, wynagrodził August straty nadaniem starostwa Spiskiego po królowéj i pałacu Fürstenbergów w Dreznie, nie licząc łask innych.

Hrabina Brühlowa nie doczekała wszakże ani powrotu, ani końca wojny i zmarła 1762 roku w Warszawie. Brühl przeżył króla i do zgonu był tym wszechwładnym panem Saksonii i Polski, jakimeśmy go, mimo nieudolności jego, widzieli. Słabość króla stanowiła siłę ministra...

Dnia 1 maja, po zawarciu traktatu, śpiewano po kościołach Te Deum, galerya została otwartą. W sierpniu powrócił Hasse z Włoch i w operze dano *Siroe*, na dzień imienia króla w rocznicę ustanowienia orderu Orła Białego. Opera, w któréj Fryderyk umieścił magazyn wojskowy, w mgnieniu oka odświeżona została. Po Siroe, nastąpiła *Królowa Amazonek Talestris*, z muzyką i librettem napisaném przez synową króla.

W październiku, gdy się przygotowywano do nowego widowiska „*Leucippo*“ na dzień urodzenia Augusta, król siedząc u stołu, wśród obiadu, pochylił się na krzesło i uderzony apopleksyą skonał.

Brühl przeżył go o kilka tygodni, jakby ich losy z sobą były związane: zachorował natychmiast po zgonie dobroczyńcy.

Kurfirst, który się z nim obchodził dosyć łagodnie, zażądał złożenia wszystkich urzędów; zostawiono mu jednak pensyą znaczną...

Katolik w Polsce, ewangielik w Dreznie, na łożu śmierci Brühl wrócił do wiary, w któréj się urodził. Nałożono sekwestr na majątki, który w r. 1772 został zniesiony, i prawie cały spadek przeszedł na dzieci Brühla. Oprócz innych po nim pozostałości, dlaczegobyśmy zapomnieć mieli o książce od nabożeństwa! Wyszła ona w tych czasach, gdy minister był jeszcze w najświetniejszém położeniu i gdy jéj nie na pociechę w utrapieniach, ale dla ludzi potrzebował, którym się pragnął okazać natchnionym, uniesionym czystą miłością bożą. Odgrywanie téj roli religijnego człowieka należało do całości sztuki, którą z takim

talentem doprowadził aż do spadnięcia ostatniéj, czarnéj zasłony. *Mors ultima linea rerum.*

Simonis, w niełaskę wpadłszy, tułał się po Warszawie, przebywał jakiś czas w Białymstoku, w Wilnie, po dworach możniejszych panów polskich, odgrywając dwuznaczne role rezydenta, sekretarza, przyjaciela, wędrownika, wedle okoliczności.

Tymczasem, zdaje się, że przez jakieś tajemne kanały porozumiewać się musiał z dworem pruskim i uzyskać zapewnienie bezkarności (okupione zapewne znaczącemi jakiemiś wyznaniami), gdyż zaraz po zawarciu pokoju w Hubertsburgu, zniknął z Warszawy, a wkrótce potém zapewniano, iż go w Berlinie widziano. Tu jednak, Fryderyk znacznie rozczarowany względem cudzoziemców, nie musiał go chcieć użyć do niczego; bo miejsca jawnego przynajmniéj nie miał, a żył sobie jako człowiek prywatny i swobodny.

W roku 1764, Blumli także odprawiony po śmierci Brühla, lecz dosyć zamożny, dzięki przeszłości, przybył do Berlina, mając powody opuszczenia Saksonii i osiedlił się z nadzieją wstąpienia w służbę pruską. Siedział tu już pół roku bezskutecznie, gdy raz pod Lipami niespodzianie się spotkał z Simonisem.

Poznali się oba, choć oba byli bardzo znacznie zmienieni na twarzy i na humorze. Zrazu zawahał się jeden i drugi, witać się czy nie: ale gdy Blumli podał rękę i napół się uśmiechnął, Maks téż ją wyciągnął.

— Co robicie w Berlinie? — począł Simonis.

Blumli nie chcąc się spowiadać, złożył swą podróż na ciekawość, na brak zajęcia i zastrzegł się od pytań dalszych tém, że żadnego obowiązku nie ma, a nawet o żadnym nie myśli, zapewne po niejakim czasie wrócić chcąc do Szwajcaryi.

Simonis, ubrany bardzo skromnie, dosyć podstarzały, z twarzą bladą i spokojną, gdy mu zadane pytanie Blumli nazad odesłał i zwrócił ku niemu, zrazu wahał się z odpowiedzią.

— Wyleczyłem się — rzekł po chwili — z choroby ambicyi i z chętki dobijania do sfer, które nie każdemu bywają dostępne: gotów dziś jestem na małém się ograniczyć.

— Ale cóż robisz? zostajesz w Berlinie?

— Prawdopodobnie — rzekł Simonis trochę skłopotany.

— Masz jakie zajęcie?

— Tak, jak żadnego.

Wszystko to były zagadki. Blumli nie czując w nim chęci szczerszego tłómaczenia, już go chciał pożegnać, gdy Simonisowi zebrało się na odwagę; wziął go pod rękę i odezwał się:

— Chodź ze mną, do mnie.

O kilkadziesiąt kroków stamtąd, weszli do domu, na którego dole była cukiernia. Pominąwszy ją, Simonis zaprowadził przyjaciela w dziedziniec i w oficynie na prawo, któréj okna wychodziły na małą boczną uliczkę, zadzwonił na pierwszém piętrze: służąca przyszła otworzyć.

Z drugich drzwi na chwilę pokazała się młodziuchna kobiecina, w domowym czepeczku, gosposia, niebardzo wykwintnie ubrana, i znikła. Simonis wprowadził Blumlego naprzód do swego pokoju, bardzo przyzwoitego i wygodnego, ale zarazem skromnego; potém do mieszczańskiego saloniku, w którym widoczne były ślady kobiety. Blumli nie śmiał pytać o nic, ażeby przyjacielowi nie być zbyt natrętnym, gdy Simonis rękoma biorąc dłoń jego, rzekł cicho:

— Widzisz, ożeniłem się!

— Jakto? żonaty jesteś? z kim?

Simonis westchnął, głos zniżając:

— Aspirowałem — rzekł — do daleko wyższych sfer i losów, ale prawdziwe szczęście nie ściele gniazda tak wysoko.

— Miłość więc? — przerwał Blumli.

— Tak — rzekł Simonis — była to miłość, która się poczęła, gdy żona moja była prawie dzieckiem. Jam trochę o niéj zapomniał, ale ona mi była wierną... No, no, i wróciwszy co było robić... ożeniłem się.

Ostatnie wyrazy dokończył niemal ze wstydem jakimś. Blumli aż się rozśmiał.

— A! na Boga! — zawołał—toś doskonale uczynił; zazdroszczę ci, jesteś szczęśliwy: cóż więcéj potrzeba?

Z zawstydzenia Simonisa domyślając się, iż świetnego zapewne małżeństwa nie zrobił, Blumli nie pytał o szczegóły, gdy gospodarz wybiegł na chwilę do drugiego pokoju i, poszeptawszy tam coś, powrócił.

W dobry kwadrans otworzyły się drzwiczki i osóbka dziwnie podobna do owéj słynnéj czekoladnicy Liotarda, ale ciemno-oka i ciemno-włosa, ubrana naprędce w jedwabną sukienkę, wniosła na tacce butelkę wina i ciasteczka.

Była to ta sama nieubrana gosposia, którą Blumli ujrzał wprzódy przez drzwi wpółotwarte. Simonis żonie swéj przedstawił przyjaciela i ziomka. Młodziuchna jéjmość usiadła przy nich, zapraszając i częstując z gościnnością natrętną ludzi nie wielkiego świata, a dobrego serca. Blumli znalazł ją bardzo miłą, wesołą i wdzięczną.

Kieliszki szły szybko jedne po drugich, gosposia przyniosła jeszcze jedną butelkę, a tuż wszedł nowy gość, niewykwintnie ubrany, bo w fartuchu pod surdutem. Był to ojciec pani, cukier-

nik, który jako Szwajcara i ziomka przychodził poznać pana Blumlego. Zaczęła się tedy ożywiona rozmowa i gość dowiedział się z niéj, że dawny sekretarz ministra, dawny sekretarz gabinetowy króla, dawny wielkich nadziei ajent polityczny był dziś pomocnikiem cukiernika.

Karyera jego zdawała się być skończoną na zawsze, a Karlotta o żadnéj innéj myśléć mu nawet nie pozwalała, nasłuchawszy się o niebezpieczeństwach, na jakie mąż jéj był narażony.

— Chwała Bogu! — mówiła żywo — w domu nam na niczém nie zbywa; niéma czego się po świecie dobijać, narażając się na skręcenie karku, a nam to do czego?

Blumli, przesiedziawszy parę godzin u Simonisa, z westchnieniem mieszkanie jego opuścił. Jakkolwiek skromną nader była dola kawalera Maksa, majętniejszy od niego Blumli prawie mu jéj zazdrościł.

Panna baronówna Pepita, po wywiezieniu Masłowskiego przez ojca, zamknęła się z początku i na świat pokazywać nie chciała; potém zmuszoną była na świat powrócić, ale się na nim zachowała obojętnie, dumnie i licznym swym wielbicielom, ażeby jéj nie nudzili długo, dawała sumaryjną, bardzo ostrą odprawę. Wkrótce téż mimo wdzięku i mienia i zamożności jéj, nikt się już do niéj nie posuwał; mówiono sobie, że Pepita ma w sercu nieuleczoną jakąś miłość.

Masłowskiego młodego więcéj już na dworze nie widziano. Ojciec nie poprosił nawet o uwolnienie go od obowiązków: jak go dał wprzódy Brühlowi, tak go potém samowolnie odebrał i na wsi zamknął.

Stolnik z tego powodu zerwał nawet z ministrem i jego adherentami, stając w opozycyi przeciw dworowi, któremu przebaczyć nigdy nie mógł, iż śmiał mu chciéć syna ożenić; nazywał to tyranią, *absolutum dominium* i t. p., i stał się zagorzałym republikaninem.

Pan Ksawery, za karę, iż śmiał rozporządzać swém sercem, nie odniósłszy się wprzódy z tém do ojca, chociaż miał zapowiedzianém zgóry, iż o małżeństwie myśléć nie powinien, mianowany został ekonomem w majątku stolnika. Przychodził wprawdzie do stołu i niekiedy wzywanym był do gości, ale zwykle dni spędzał w polu, stodole, przy kosarzach, młóckach i t. p. Niekiedy ojciec dla złamania buty i swawoli młokosa, jak powiadał, sadzał go w smrodliwéj gorzelni, nakazując pilnować żyda i wypędu wódki; czasem posyłał go biédką jednokonną do Hrubieszowa, Chełma i Lublina po sprawunki. Po półroczu dopiéro dano mu lichego konia wierzchowego. Ojciec jednak, monitowany podobno przez duchownego, księdza dziekana Pietraszkiewicza, zliczywszy lata synowskie i obrachowawszy się z sumieniem, postanowił go ożenić, aby krewkości młodzieńczéj koniec położyć; chciał mu folwark Rudy wypuścić i sam, rozpatrzywszy się po sąsiedztwie, wybrał mu pannę chorążankę Zerkowską, jedynaczkę, po najdłuższém życiu rodziców mającą posiąść sąsiednią wieś kapitalną Żłoby.

Jednego wieczoru, gdy Ksawery klucze od stodoły i lamusu odniósłszy, stał u progu czekając na dyspozycyą pańszczyzny, stolnik westchnąwszy odezwał się:

— Coś chciałem mówić... waćpanu przychodziła do ożenku ochota... hm! Musiała już dyable bezżenność dokuczyć, kiedy aż Niemka zasmakowała! Wchodząc w to, nie jestem tyranem żadnym — dodał stolnik — na ożenienie wreszcie, acz antycypowane, piszę się, aby jakiego zgorszenia nie było; ale sam waści wybiorę żonę.

Spodziewał się podziękowania stolnik; spojrzał: Ksawery stał i milczał, wcale nie rozradowany.

— Cóż tedy waszmość na to? — spytał.

— Ja nie mam ochoty do ożenienia! — wyrwał się Ksawery.

Ojciec stanął zaperzony biorąc się w bok.

— A to tak! rozumiem! Jak ojciec sobie życzy, to nie. Otóż gdy mi się podoba, ożenię waszmości; bo prawo mam i po nosie sobie grać nie daję: rozumiesz waść?

Ksawery, nie chcąc ojca jątrzyć, zamilczał.

Nastąpiło kazanie całe o posłuszeństwie, jakie dzieci są rodzicom winne, o przykazaniu bożém: „Czcij ojca i matkę twoję"; o Niemcach i Polakach, o niesforności młodzieży i t. p. Wysłuchał go cierpliwie pan Ksawery, nie ważył się ani słowem odpowiedziéć, ojca w rękę pocałował i odszedł.

Stolnik był markotny, ale uparty. Nazajutrz kazał synowi jechać do Żłobów, do chorąstwa, pod pozorem zamiany pszenicy na nasienie. Dał mu list do Zerkowskiego; Ksawery pojechał. Przyjęto go tu uprzejmie. Panna była zdrowa, hoża i wychowana po domowemu, a we dworze znać było gospodarstwo niezmiernie zabiegliwe. W izbie gościnnéj jéjmość z córką liczyły i gatunkowały motki i talki poodbierane ze wsi, ważono len i rozdawano, wcale się gościa nie wstydząc. Sam chorąży kilka razy z kluczami chodził do lamusa, ludziom nie wierząc. W dziedzińcu rozesłany był len, naprzeciwko pokojów często przez drzwi otwarte ujrzéć było można przychodzących z różnemi gospodarskiemi potrzebami ludzi. Chorążanka, milcząca, zarumieniona, przypatrywała się gościowi; matka téż. Mówiono mało o rzeczach obojętnych.

Obiad, na który zaproszono, choć widocznie z występem, był niezmiernie prosty: legumina, która się nie udała, składała całą paradę.

Gdy Ksawery powrócił, jeszcze ledwie z konia nie zlazł, gdy już w ganku nań ojciec czekał. Próbkę pszenicy przywiózł. Wieczorem stolnik spytał o pannę, jak się podobała; Ksawery zmilczał.

Poszło tedy na upartego. Ojciec co trzeci dzień do Żłobów jeździć kazał w konkury, czasem sam towarzyszył. Sadzano pana Ksawerego przy chorążance. Młodzieniec był grzecznym, ale nic więcéj. Rachując na krewkość i na świeżość panny, stolnik się omylił i był zły. Po niejakim czasie chciał zrobić zaręczyny; Ksawery, nawykły do rygoru, rzucił mu się do nóg i powiedział, że nie może żenić się i nie ożeni.

Scena była okrutna: hałas, wrzawa, aż się służba pode drzwi zbiegła. Stolnik wrzeszczał, czerwieniał, bił pięścią o stół; nic nie pomogło. Długo się jednak uspokoić nie mógł. Przeklinał dzień i godzinę, gdy syna oddał na dwór niemiecki, który mu jedynaka zepsuł i zrobił z niego jakieś niezrozumiałe stworzenie, niewiedzące samo, czego chciało.

Odłożono zaręczyny *ad futura*, nie odstępując od nich. Energia ojca walczyła z mocném postanowieniem syna. Postrzegł w końcu pan Masłowski, że w nieodrodném dziecku jego własna krew grała. Na radę do księdza dziekana... Ten życzył zostawić to czasowi: nie było wistocie innego ratunku, bo się stolnik do ostateczności posuwać nie chciał.

Życie Ksawerego było istotną próbą wytrwałości i męstwa. Lecz wesołe jego dawniéj usposobienie, swoboda umysłu, śmieszek na ustach, lekceważenie wszystkiego, zmieniły się bardzo. Pan Ksawery stał się milczącym, ponurym, zamyślonym, wreszcie blednąc, mizernieć poczynał i chorzéć. Stolnik, który go jednego miał, i po swojemu kochał, nic okazując po sobie nic, zakłopotał się.

— A choćby go téż te niemieckie amory i uleczyć miały — mówił sobie w duchu — co niemożliwe, to na żaden sposób.

Chciał go kędyś wyprawić, znaleźć pozór jakiś do rozerwania, wymyślić lekarstwo; ale ani on sam, ani ksiądz dziekan nie zdobyli się na żaden plan wykonalny.

Nastąpił wreszcie koniec wojny, wyjazd dworu z Warszawy i oddalenie się z nim panny Nostitz do Drezna. Ksawery, który, pomimo nadzwyczajnéj ojca pilności, potajemnie pisywał do niéj i odpowiedzi różnemi odbierał drogami, wpadł w większy jeszcze smutek, gdy mu oddalenie się baronówny nawet stosunki z nią listowne utrudniło. Stolnik się cieszył, gdy Niemcy pociągnęli do Drezna.

W téjże samej prawie chwili, u mieszkającego w blizkości podkomorzego wypadł obchód imienin uroczysty, który na sposób saski solenizowano. Szlachta się zjechała z całego sąsiedztwa na mil dziesięć; szopę wystawiono, aby stół na kilkaset osób w niéj umieścić: nie wiem wiele beczek wina sprowadzono umyślnie.

Stolnik, który był znanym z tego, iż w podobnych okazyach dostał kroku najtęższym, począł tego dnia iść o lepszą z lubelskim mecenasem Zawistowskim, także hulaką jakich mało. Oba zdrowia wymyślali, kielichy coraz ogromniejsze, osobliwsze sposoby picia; drugiego dnia wprawdzie Zawistowski legł bez zmysłów, a stolnik nad nim pogrzebowego wypiwszy tryumfował; lecz do domu wróciwszy, i sam się położył.

Leczył się kwaśnemi ogórkami, kapustą, śledziem, różnemi wymysłami: nazajutrz jednak nie wstał, a we dwa dni dostał gorączki i majaczył. Posłano po fizyka do Lublina, a ten oświadczył, że chyba silna bardzo natura zwycięży, bo w medycynie on środków nie widzi.

W ciągu tygodnia było ciągle gorzéj i coraz gorzéj, spodziewano się kryzys, ale zamiast niéj przyszło osłabienie i konanie. Stolnik poczuwszy zbliżający się koniec, posłał po dziekana, spowiadał się bardzo przykładnie i umarł prawie przytomnie, synowi dawszy błogosławieństwo. O ożenieniu żadném mowy nie było. Ksawery znalazł się więc panem swéj woli i swobodnym. Pogrzeb stolnika przy ogromnéj frekwencyi obywatelstwa, ze stypą należną pamięci tak zacnego pana, odbył się w Chełmie i kosztował na one czasy sumę znaczną. Wdziawszy żałobę stolnikowicz, pozostał w domu, regulując pozostałe interesa. Nie ruszył się wcale przez cały rok i sześć niedziel, poczém nabożeństwo jeszcze w aniwersarz za duszę nieboszczyka odprawiwszy, do Warszawy pojechał. Dziekan, który u niego od czasu do czasu bywał, obserwował go i badał, wcale nie umiał powiedzieć, coby myślał. Tymczasem podróż się przeciągnęła.

Dowiedziano się nierychło, iż z Warszawy ruszył Ksawery do Drezna. Złożyło się tak właśnie, iż tu w październiku przybył.

Króla przywróconego krajowi przyjmowano tu uroczyście, a Brühl dbał o to, aby mu na zwykłych nie zbywało rozrywkach.

Ale minister sam jakkolwiek w łaskach zawsze u pana, dla którego był niezbędnym, czuł się nie tak wszechmocnym, nie tak siebie pewnym, jak wprzódy.

Nie mówiliśmy w ciągu powieści o zajściach jego z hrabią Wackerbarth Salmour, niegdy przybocznym młodego kurfirsta, który Brühla nienawidził i w otwartéj z nim był wojnie. W czasie siedmiolecia, gdy kurfirst mieszkał jakiś czas w Dreznie, a Wacker-

barth z nim był także; udało się nieskończenie w małych rzeczach zręcznemu Brühlowi ściągnąć podejrzenia Fryderyka na nieprzyjaciela swojego, którego król pruski w Kistrzynie osadził. Wprędce jednak intryga się wydała, puszczono go na wolność, ale cała rodzina, przyjaciele, stronnicy Wackerbarthów, całe otoczenie księcia Ksawerego, wszystko to, co stało po-za dworem króla, tchnęło nienawiścią przeciw Brühlowi.

Młoda żona Fryderyka Chrystyana, Marya Antonia Bawarska była też dla niego niebezpieczną współzawodniczką. Młodość, talenta, śmiałe chwytanie wszystkich środków wiodących do opanowania władzy, obiecywały, że wszystko pod siebie zagarnie. Godziny panowania Brühla były policzone. Marya Antonia malowała, znała się na sztuce, pisała libretta, komponowała muzykę do oper, i króla starała się zająć wszelkiemi sposoby.

Kurfirst młody nie liczył się wcale, był to dobry, łagodny, spokojny człowiek, chory od dzieciństwa i niemogący chodzić o swéj sile. Matka napróżno starała się go namówić do zrzeczenia się tronu i ustąpienia praw ulubieńcowi jéj, energiczniejszemu Ksaweremu.

Na dworze krzyżowały się więc wpływy różnych kółek, a choć Brühl zawsze panował nad królem, musiał się oglądać na przyszłość. Książę Ksawery nie krył się z nienawiścią ku niemu... August III nie tak w latach był podeszły, jak życiem zbyt wygodném, zbyt pieszczoném wycieńczony. Bawiono go już jak dziecię, i to zdziecinnienie codzień było wybitniejsze, stawało się śmieszném. Kuratela Brühla była nieuchronnie potrzebną, lecz stała się rażącą.

Masłowski wpadł do stolicy wśród nagromadzonych w niéj zabaw, któremi starego pana rozerwać usiłowano. Zaczęło się to od weneckiego skoczka Cassaty, który sześćdziesiąt sześć sztuk pokazywał na linie, przyczém była arcyzabawna psia komedya, w budzie na Nowym Rynku. Późniéj za Pirnajską Bramą nad Elbą na łące, urządzono strzelanie do ptaka, którego siedem lat mieszkańcy Drezna nie mieli. Tysiące się też ludu na nie zbiegło. W dzień orderowy dnia 30-go sierpnia, pierwszy raz w oczyszczonéj operze grano Siroe, a w Brühlowskim ogrodzie na Frydrychstacie było orderowe strzelanie do celu i stół dla kawalerów. Wszyscy ci panowie występowali w uroczystych szatach karmazynowych, bogato srebrem szytych. Był dla zabawy i sejm saski, było i wiele innych rozrywek.

Panu Ksaweremu jednak wcale o nic głowa nie bolała, szukał baronówny i znalazł ją nareszcie przy podstarzałéj stryjence, dobrowolnie od dworu usuwającą się. Spotkanie było czułe i milczące. Stara baronowa, która stręczyła Pepicie kogo innego, ozięble przyjęła Polaka, ale sprzeciwić się nie mogła dawno postanowionemu małżeństwu.

Konieczne formalności, które je poprzedziły, zabrały tyle czasu, iż Masłowski przytomnym był jeszcze uroczystéj abdykacyi gienerała Rutowskiego, komendanta Drezna, którego miejsce zajął Chevalier de Saxe. Z powodu tego Brühl cały dwór wspaniale przyjmował znowu w ogrodzie swoim. Gotowano się do pierwszéj próby Leucippa, gdy tegoż dnia król od stołu już nie wstał... W parę dni potém, po ślubie cichym w kaplicy królewskiéj, Masłowski z żoną wyjechał do domu.

Nie umiemy powiedziéć zaprawdę, jakie było pożycie młodéj pary, ale to pewna, że potomkowie jéj choć z cudzoziemki urodzeni, mimo obawy nieboszczyka stolnika, nigdy w niczém nie dali poznać, iż obcéj krwi kropla w ich żyłach płynęła.

1875.



KONIEC.



SPIS RZECZY.

